



1911  
1912  
1913

Biblioteka Politechniki Krakowskiej





10000231555

27/124


12.-

4642 Holloway



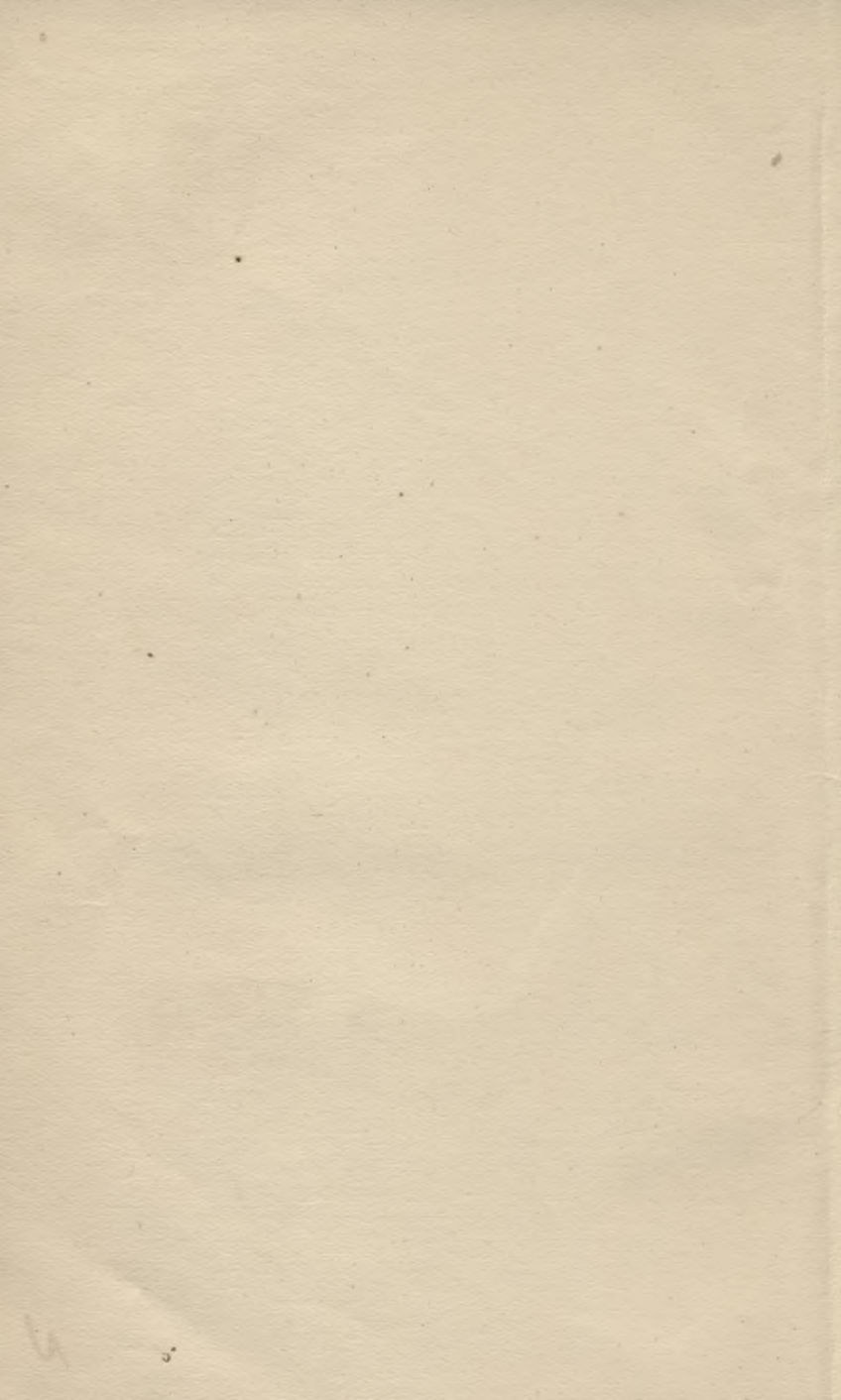
BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW  
NOBLA

KAROL  
GJELLERUP  
WĘDROWCY  
ŚWIATA











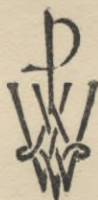


*BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJA  
DRA STANISŁAWA LAMA*

*T O M 23.*

*KAROL GJELLERUP  
WĘDROWCY ŚWIATA*

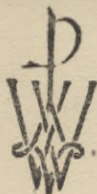


*LWÓW—POZNAŃ 1924  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

KAROL GJELLERUP  
WĘDROWCY ŚWIATA

ROMANS POETYCZNY

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU  
F. MIRANDOLA



LWÓW—POZNAŃ 1924  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

~~I 29.566~~



I-301252

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY  
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

◊◊◊◊◊ ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM ◊◊◊◊◊  
POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T.A., POZNAŃ

Akc. Nr. K-1877/58

BPK-10-468/2016

KSIEGA PIERWSZA.

PRZYJACIEL LORDA BYRONA.

„Lecz byli to wędrowcy po bezkresie wieków.“

*Byron.*

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

### „I uchylił zasłony...“

**N**iby pierwszy oddech budzącego się z głębokiego omdlenia, nadpłynął od strony werandy bungalowu lekki powiew do pokoju z oknami, na ogród obróconymi, i zatrzepotał, jak pajęczyną, włosami na czole młodej dziewczyny. Prócz nich niczego poruszyć nie był w stanie. Dopiero drugi powiew wprawił w lekkie drżenie srebrne listowie pipalowego drzewa, stojącego po lewej stronie od schodów, które oczom wydało się błyskotliwem migotaniem, zaś uszom czemś w rodzaju sieżczenia drobnego deszczu. Dopiero ten drugi powiew odczuła jako ochłodę czytająca dziewczyna i westchnęła z ulgą, czyniąc zarazem gest bezwiedny, od którego skrzypnął fotel bambusowy, w którym siedziała.

Naprzeciw niej tkwił na krześle przysadkowaty mężczyzna, na którego czole niewiele jeno włosów mógł poruszyć wiatr, natomiast zgoła sobie już rady nie dawał z obfitym szczecinowatym zarostem szpakowatej brody. Mąż ów ożywił się jednak teraz o tyle, że odzyskał chwilowo świadomość istnienia cielesnego. Nie odwracając oczu od małego stosu leżących przed nim na stole skrawków liści palmowych, sięgnął prawą ręką po jedwabną chustkę i otarł wypukłe, wystające

nico czoło, oraz krótki kark. Z pod rozpiętej, miękkiej koszuli wyrzała szyja jaśniejszej znacznie barwy od części górnej karku i ceglastej twarzy, co było dowodem, iż gorliwy czytelnik niedługo przebywał w tych okolicach. Słońce indyjskie nie zdołało jeszcze w zupełności wyrównać różnicy pomiędzy skórą wystawioną na powietrze, a chronioną, jak to bywa w Europie, przez kołnierzyk i krawat.

Uczony nie odwrócił ni na ułamek sekundy spojrzenia od dziwnego rękopisu, natomiast dziewczyna złożyła na kolanach czytana dotąd, w zielony safjan oprawną książkę i zapatrzyła się na ogród i dalszą okolicę.

Wiatr poruszał teraz łagodnie drobne listowie akacji, wiechy paproci drzewiastych i potężne miotły zakrzewia bambusowego, natomiast jezioro, ku któremu sphywał ogród nieznacznym spadkiem, leżało tak nisko, że powiew nie mógł tknąć jego martwej płaszczyzny. Poza niem podnosił się coraz to bardziej teren cielistobarwnego gruntu, przechodząc nieznacznie w grzbietowinę gór, podobną stosom srebrnoszarych, różowawych i liljowych sztuk jedwabiu, spiętrzonych pod bladem niebem.

Cały prawy brzeg jeziora wyglądał od dołu do góry jak rojowisko budowli, zanurzonych w rozedrgany, roztapiający i przeduchowiający wszystko żar, zjednoczonych w jakąś niesłychaną fatamorganę i raczej podobnych fantastycznym marzeniom sennym pijanego architekta, niż istotnym, przez ludzi zamieszkałym gmachom. Pływało to niejako w powietrzu, nie tykając podłoża czerwonego piaskowca, tworząc oszołomiający chaos szpiczastych, strojnych w blanki baszt, schodów, taras, murów, wykuszów i kolumnad, aż



gdzieś, w dali rozsypywało się znowu w las pawilonów, wież i kopuł, o przedziwnych, mieszanych kształtach cebulastych, niskich, przysadkowatych, to znów śmigłych, ananasowatych, lub rozpadało w wielostopniowe, pagodowate piramidy.

Jasno, na jasnym tle malowany obraz ten ujmowała rama ścian pokoju, otwartych niemal zupełnie od strony werandy. Na dwu ścianach bocznych widniały dwa ciemne portrety. Po lewej, wizerunek lorda Byrona, o znanym dobrze geście małej kędzierzawej głowy, tkwiącej w odwiniętym szeroko kołnierzu, oraz również znanych fałdach płaszcza, zarzuczonego wskos przez kaftan. Naprzeciwko wisiał portret młodzieńca w niebieskiej, szamerowanej złotem bluzie, odsłaniającej na piersi i ramionach haftowaną szkarłatem koszulę, sięgającą do wiśniowej, jedwabnej szarfy, za którą tkwiły dwa, zdobne srebrem pistolety. Białe fustanele przecinała rama obrazu. Najistotniejszą część twarzy stanowiły wielkie, głębokie, ciemne orjentalne oczy, nikły mech zarostu puszył się na wardze górnej, zaś z pod fezu spływały na ramiona fale czarnych, jakby wyrzeźbionych w hebanie włosów. Tło portretu stanowiły szczyty gór o tonie liljowym, oraz chmura, przeszyta zygzakami błyskawicy.

Młodzieniec zdawał się w tem zestawieniu wyobrażać którąś z kreacyj szlchetnego lorda, na przykład „Korsarza,” a to tem więcej, że po obu jego stronach widniały iluminowane sztychy z heroinami byronowskimi, po prawej Haidea, po lewej Gulnara.

Wkońcu mężczyzna, tkwiący nosem w liściach palmowych, odzyskał dokładną i trwałą świadomość, że istnieje nie tylko jako odczytywacz starohinduskich tekstów, ale jako osobnik, i powtórzył manewr z je-

dwabną chustką, której następnie użył do wytarcia wielkich sowiastych szkieł swych rogowych okularów. Okulary te nie zostały wsadzone z powrotem na nos, ale spoczęły na stosie liści palmowych, zaś nieuzbrojone oczy jęły spozierać wokół, celem zorientowania, gdzie się właściwie znajdują. Ponieważ jednak wszystko dalsze było dla nich jeno błyszczącą mgłą, zwrócili się tedy ku przedmiotom bliższym, zwłaszcza ku dwu portretom, odpowiadającym wyraźnie na owo pytanie, a potem spoczęły z serdecznym uśmiechem na twarzy dziewczyny, błędzącej ciągle jeszcze spojrzeniem po krajobrazie, widnym poza werandą.

— Tu jest napisane — rzekł — że sowa widzi zapomocą oczu, człowiek rozumu, bramin zapomocą Wed, a, jak muszę niestety dodać także, niemiecki uczonec zapomocą okularów. Ale i bez nich spostrzegam, że pałac radży silniej pociąga twe myśli, niż poezja naszego przyjaciela i gospodarza.

Uśmiech pogodny, jakim dziewczyna przyjęła żart o okularach, stał się przy słowach ostatnich sarkastycznym.

Wzięła ponownie w rękę leżący na jej kolanach, safjanowy tomik i zaczęła przewracać kartki.

— Poezja naszego gospodarza? — powiedziała — A więc na przykład: *Lines written to a lady who after presenting the author with a ribbon from her bosom asked him what t'ie would do with it.\**)

Śmieszny, pełen przekomarzania wyraz jej ust, oraz trafny ton, jakim strawestowała tytuł, wywołały uśmiech na twarzy uczonego, z której rzadko jeno ustępowały zmarszczki powagi.

---

\*) Wiersze pisane dla damy, która, nagrodziwszy autora wstążką, odpiętą od łona, poucza go, co ma z nią uczynić.

— Co ma z tem uczynić? Nie wiem, czy cię to zaciekawia, ojcze, — dodała — mnie jednak nie, a zwłaszcza nie tutaj. Sądzę, że inny rodzaj poezji mógłby jeno mierzyć się z owym kamiennym poematem, jaki mamy przed sobą. Kiedy się tak wylania z mgły, kiedy nabiera życia, gdy jak teraz tu wykusz, tam pawilon wyziera z gęstwy, patrząc na to, mam istotnie wrażenie, że pałac ten miałby mi coś do powiedzenia.

— W istocie, droga Amando, taki prastary pałac radzowski miałby niejedno do opowiedzenia! — przyznał z pobłażliwym uśmiechem, przystojnym poważnemu badaczowi, dobrotliwie tolerującemu fantazje dziecka.

— Naturalnie! Mógłby głosić cuda, zwłaszcza o czasach, kiedy wszystko było większe niż dziś, straszliwsze, ale i wspanialsze zarazem, nienawiść krwawsza, miłość silniejsza...

Wstała energicznym ruchem.

— Śmiejesz się, ojcze? Ale to opiewałabym ja, gdybym była poetką i mogła zrozumieć, co mówi ta budowla baśniowa, gdybym mogła dostrzec to, co widzi oko poety.

Powiedziawszy to, uderzyła małą, miękką, zgoła nie bohaterską rączką po zielonym tomiku, jakby chciała dodać: — Niema tu śladu objawień takich, jakże mnie tedy mogą zaciekawiać te wiersze?

Ojciec uśmiechnął się na te słowa z zadumą i musnął ostrożnie brodę.

— To prawda, droga Amando, — rzekł — jeśli wierzyć tym oto liściom palmowym, które właśnie badam, tego rodzaju spojrzenie wstecz jest możliwe, ale nie zdoła tego uczynić poeta.

— Jeno kto? — spytała z żywym błyskiem oczu.

— Jeno święty!

Amanda miała szczególnego rodzaju brwi. Zaczęły śmiały łuk, ale kończyły się nagle w miejscu, gdzie sklepienie nadocza tykało czoła, jakby sądziły, że dość tego, i gardziły wszelkiem sentymentalnem staczaniem się w dół. W kątach oczu ciemniały głębokie wręby myśli. Te wręby zbliżyły się teraz do siebie, czoło zmarszczyło ponad szeroką osadą nosa, a drwiący uśmieszek skrzywił wargi, co było śmieszne, bo kontrastowało z miękko zarysowaną ich linią i fałdowym kształtem.

— Jeno święty? — zawołała — A, więc Sir Trewelyan musi chyba przestać pytać o słowo zagadki owego sfinksa, a raczej wypadnie mu wziąć się z powrotem do rozwadniania melancholji swego słynnego przyjaciela, lorda Byrona, albo, co jeszcze lepsze, do polowania na grubego zwierza, jak czyni zresztą i teraz.

Indolog wyczuł w jej głosie niezrozumiałe dlań wzburzenie. Dobył z sztylckretowego futerału okulary, mniej sowiaste od używanych do czytania, wsadził je z powolną dostojnością ruchów na szeroki, wydatny nos i zapatrzył się nibyto na krajobraz, w rzeczywistości jednak nie sięgając poza ponętny profil córki, opartej w tej chwili o odrzwia werandy. Ale gorzki wyraz zaciśniętych ust dziewczyny, oraz bolesne zmarszczenie sklepiętego, szerokiego jej czoła, jak u dziecka mającego za moment wybuchnąć płaczem, nie pozwalały nic wyczytać uczonemu, którego oczom dużo łatwiej było odcyfrowywać kreski i punkty starego palmowego rękopisu, niż orjentować się w dołeczkach, fałdkach i zmarszczkach kobiecej twarzy.

Musiał też zadowolić się krajobrazem i, chcąc przerwać trwające zbyt długo, kłopotliwe milczenie,

uczynił spostrzeżenie, że widać stąd teraz całkiem wyraźnie *nullah*, to jest głęboko wcięte łożysko rzeki, po drugiej stronie jeziora.

— Już widać?

Wydawszy ten okrzyk, Amanda zwróciła się ku jezioru, gdzie biegł zygzakowatą linią jego konturu, w stronę łądu, blade szafirowy pas i ginął w górach, coraz to bledszym zarysem.

— Musi być tedy późna godzina! — zauważył ojciec, któremu ten szczegół krajobrazu zastępował widocznie wskazówki zegarka, jakiego w bezkamizelkowym bytowaniu swem nie nosił przy sobie — Sir Edmund sądził, że dużo wcześniej wróci z wycieczki łowieckiej.

— Byle tylko nie zabłądził. Okolica dzika, a dzikszych jeszcze ma towarzyszy, zwłaszcza nie bardzo budzi zaufanie ten Radżputanin z bokobrodami i wąsami aż poza uszy.

— Czandra Singh? O nim myślisz? To prawda!

— Czasem patrzy na Sir Trewelyana wyzywająco i zezuje przytem.

— Doprawdy? Tak patrzy? Hm... Kala Rama mówił mi...

Urwał niby to zakłopotany, udając niezręcznie, że na widok krajobrazu zapomina, co miał powiedzieć.

— Hm... doprawdy... To dziwne jak dziś widać wyraźnie ten *nullah*. Nieprawdaż... tam polują na panterę. Mieli ją osaczyć w górnym biegu *nullahu*.

— Tak. Ale co mówił minister? W całych Indjach jeden jedyny krajowiec, sam chyba jeno Kala Rama nie gada byle gadać.

— Hm... tak... Kala Rama... ekscelencja tak...

Przyłapany ojciec spostrzegł się zbyt późno, że idzie tu o coś, o czem nie radby był mówić z córką.

Ale nie było już ucieczki. Ile razy Amanda pytała w ten sposób, znaczyło to, że chce mieć odpowiedź.

— Tak... powiedział mi... Rozmawialiśmy o Radźputanach i ich namiętym charakterze... i nie wiem doprawdy czemu, ale gdy teraz o tem myślę, mam wrażenie, że ta dziwna zażyłość nie jest bez powodu...

— To pewne, że kryje się w tem coś! Ale co? Cóż ci takiego powiedział, ojciec, że muszę wyduszać słowo po słowie?

— Powiedział mi, że Czandra Singh pała namiętą miłością do rani \*), a miłość ta podobno nie pozostała bez pewnej zachęty i wzajemności z jej strony.

Indolog wypowiedział owo poufne zwierzenie z pewnego rodzaju zawstydzaniem, przystojnem niemieckiemu uczonemu i ojcu, zmuszonemu zdradliwymi okolicznościami do rozmawiania z córką o rzeczy tak śliskiej jak miłość mężczyzny ku zamężnej kobiecie i to w dodatku małżonce władcy.

Ale ta romantyczna tajemnica pałacowa nie wielkie uczyniła wrażenie na dziewczynie, nie zaciekała jej nawet widocznie, jak to poznać można było po jej obojętnem: No więc...

— Podobno rani jest uroczem zjawiskiem, czemś w rodzaju *Urvasi*, jak ją nam kreślą kwieciste wiersze Kalidasy, chociaż pono nie posiada tyle wdzięku. Ciekawym bardzo, czy ją zobaczymy jutro wieczór, na festynie ogrodowym radży. Pewnie pokaże nam tylko oczy, o których zresztą głośzą cuda. Coprawda, ty, Amando, będziesz miała sposobność obejrzyć ją swobodnie. Kiedyż to miałaś się jej przedstawić?

— Wizyta moja wyznaczona jest na ostatnią godzinę przed zachodem, kiedy pochlodnieje. A więc

---

\*) *Rani*, królowa, małżonka radży.

tak... Wenus hinduska opętała brodatego Radźputanina? A cóż to ma za styczność z Sir Trewelyanem?

— Hm... przecież wspomniałaś o zuchwałym, zezowatym spojrzeniu Czandry Singha... takiego... nieprawdaż użyłaś wyrażenia?... — dodał pytająco z fatalną niezdarnością słynnego krytyka starych tekstów.

— W każdym razie to miałam na myśli.

— Hm... otóż wpadło mi... jak to czasem przelata człowiekowi przez myśl... że może Radźputanin, dopatruje się swego rywala w Sir Edmundzie...

— Rywala?

— No tak! Nie sędzę, by nasz przyjaciel miał... broń Boże! Ale jest on wszakże przystojnym, a nawet pięknym mężczyzną, postacią wielce interesującą, musi się chyba podobać kobietom, to też nie jest wykluczone, że Czandra Singh... zgoła bez jakichkolwiek powodów ze strony naszego drogiego gospodarza...

Zakłopotanie zacnego uczonego rosło z każdym słowem. Im bardziej wchodził w treść tej awanturki miłosnej i wynikających z niej możliwości, tem lepiej czuł, że przygoda hinduska niegodna jest zaiste jego, profesora dra. fil. Karola Eichstädta, słynnego w całym świecie indologa, wydawcy „*Manawa-Dharma-Sastry*“ i członka-korespondenta rozlicznych angielskich, francuskich i włoskich towarzystw naukowych. Gdyby Czandra Singh i rani żyli przed kilku tysiącami lat i stanowili epizod erotyczny Mahabaraty, wówczas innaby była sprawa,... ale tak...

Owo zakłopotanie oddziało zresztą dobroczynnie na spokój jego duszy, gdyż nie dostrzegł skutkiem niego śmiertelnej bladeści, która niby wiew lodowaty przemknęła po twarzy córki. Zauważył jeno ostatni ślad tego wrażenia, gdy mu przerwała bez tchu w piersi:

— O Boże! W takim razie nie jest pewny życia!

Wydawca „*Manawa-Dharma-Sastry*“ drgnął bezwiednie, jakby sploszony strzałem wśród dociekań krytycznych. Mimo, że wszystko, co powiedział, mieściło dostateczne premisy takiego wniosku, to jednak wydał mu się on zdumiewającym. Cóż dziwnego, że istota tak subtelna jak Amanda nie była rozradowana przypuszczeniem, iż paść może z rąk skrytobójcy człowieka, pod którego gościnnym dachem od całych już miesięcy zażywali wygód europejskich na dalekim Wschodzie.

Spiesznie jął tedy rozpraszać owe nieuzasadnione, jak sądził, urojenia dziewczęcej fantazji trafnymi zarzutami.

— Tak źle nie jest chyba, drogie dziecko! Przyjaciel nasz Trewelyan nie jest to naiwny człeczek, co sam wchodzi w pułapkę. Słusznie nazwałby go można *a match for the Rajput*, godnym współzapaśnikiem Radżputanina. Wszakże mając zaledwo dwadzieścia lat, krążył wraz z pewnym awanturnicznym śmiałkiem po wschodnio-indyjskich wodach, potem zaś, poznawszy w Grecji lorda Byrona, bronił się Turkom w jednej z jaskiń Parnasu na czele garści greckich buntowników...

— Buntowników? Zwiesz tak, mój ojczu, obrońców wolności.

Nagły błysk złoto-brunatnych oczu dziewczyny ujawnił namiętną duszę, żywo orjentującą się i zdecydowaną. Bystry spostrzegacz musiałby jednak podejrzewać, że owo oburzenie z powodu ubliżającego miana było jej nader pożądanym sprzymierzeńcem dla spowodowania rozmowy z przykrej dziedziny na zgoła bezpieczne tory.

Ale zacny ojciec, nawykły, jak przystało łatwowiernemu uczonemu, do trzymania się tekstu i nie



szukania niczego poza nim, wziął ten wykrzyk serjo i bronil się z zupełnie dobrą wiarą.

— Wiesz przecież, droga Amando, że zawsze byłem gorącym zwolennikiem Hellenów, to też owo wyrażenie, w moich specjalnie ustach, nie może nic złego oznaczać. Chcąc jednak udokumentować jego użycie filologicznie i poprzeć je autorytetem klasycznym, przytoczę wiersz własny lorda Byrona, któryś mi niedawno czytała, gdzie o tych ludziach sam autor w ten sposób się wyraża.

— O, wiem już, co masz na myśli, ojczy.

Amanda założyła ręce poza splot włosów na karku, oparła się o filar werandy, zamknęła bezwiednie oczy, jakby wtapiając się w odległe wspomnienia i, poszukawszy przez chwilę w pamięci byronowskiego wiersza, wygłosiła go płynnie:

*But some are dead and some are gone,  
And some are scatter'd and alone,  
And some are rebels of the hills  
That look along Epirus' valleys,  
Where freedom still at moments rallies  
And pays in blood oppressions ills,  
And some are in a far countree,  
And some all restlessly at home,  
But never more, oh! never we  
Shall meet to revel and to roam\*).*

\*) Poetycki przekład tego byronowskiego wiersza jest niemal niemożliwy, podajemy go przeto prozą:

„Pewna ich część wymarła, inni poszli precz, niektórzy rozproszeni, samotni zostali, a reszta została buntownikami w górach, spoglądających na d. liny Epiru, tam gdzie jeszcze kupią się obrońcy wolności, by dać krwawy odwet tyranji. Niektórzy przebywają w dalekich krajach, inni siedzą w domu bezradni. Ale nigdy, ach, nigdy już nie zbierzemy się wraz, by swobodnie i wesoło wędrować po świecie.“

Szkoda, że zmarły od lat dziesięciu poeta, którego oblicze spozierało ze ściany, nie siedział w tym oto fotelu bambusowym, w którym tak często przeciągał się przyjaciel jego i towarzysz sir Trewelyan, i nie mógł słyszeć wiersza własnego, płynącego z ust dziewczyny. Nie byłby zaiste przystał na wykreślenie przez kilku literackich doradców tych strof z poematu, którego pełen nastroju wstęp stanowić miały. Byłby niezawodnie spytał tego swego przyjaciela i towarzysza, czy wie, że jego bungalow ocienia istotę kobiecą, której wrażliwa dusza drga harmonijnie z najtajniejszymi akordami rytmu i wczuwa się w najsztubtelniejsze odcienia poetyckiej wyobraźni, czy wie że jest to jedna z owych rzadkich osób, którym przeznaczenie włożyło w kołyskę podarek cenny, ale niebezpieczny, zdolność wchłaniania najwyszukańszej i najlotniejszej woni piękna i podzielenia jej losu, tak, że muszą wychylić zarówno kielich rozkoszy, jak i męki, oba przelewające się poza brzegi i oba spełnić do samego dna.

Tak spytałby niezawodnie poeta wzruszony przedziwnie melodyjnością fali wiersza, płynącego z tych ust dziewczęcych.

Ale zmysł estetyczny profesora nie był dość rozwinięty, przeto rzekł niewzruszony zgoła:

— Tak, o tem właśnie myślałem... ładne to, naprawdę ładne!

— Ach! To prawdziwe ukojenie po wszystkich kulawych naśladownictwach, zawartych w zbiorze poezyj sir Trewelyana.

— Czyż wiersze sir Edmunda są aż tak liche? Jak wiesz, nie odczuwam poetów współczesnych, oczywiście z wyjątkiem Goethego i Szylera, i nie śmiem wyrokować, ale wczoraj odczytałem coś, co mi się wcale spodobało.

— Zawierz mi, ojcze, to marne fabrykaty! — odparła surowa krytyczka, podchodząc do ojca, otaczając go ramieniem i patrząc z uwagą na zapisane liście palmowe. — A cóżeś ty czytał ojcze? Coś, oczywiście, starego, pięknego i niezwykłego, jak mi sam mówiłeś niedawno. Ale nie mogę ni słowa odcyfrować.

— To nie jest sanskryt, Amando! To narzecze *pali*, święty język buddystów. To rękopis starych, czcigodnych *jatak*.

— Jataki? — Cóż to znaczy?

— Wyraz ten oznacza: opowieści o reinkarnacji. W rzeczywistości są to baśni ludowe, gawędy, legendy, czasem wprost coś jak nowele. Łączy je ta wspólna cecha, będąca zarazem źródłem ogólnego tytułu, że traktuje o dawnych legendarnych wcieleniach i życiach Buddy. Przynajmniej za to chcą uchodzić, bo są często jeno pretekstem do zamieszczenia tej, czy owej popularnej bajeczki. Gdy naprzykład mąż doskonały przychodzi na świat w rodzinie kupieckiej, przeprowadza swą karawanę bezpiecznie przez pustynię pełną demonów, gdzie inni giną bez ratunku. Jako jelen kładzie życie w obronie stada. Te opowieści nawiązują zawsze do jakiegoś zdarzenia, które pozwala Buddzie przytoczyć coś z zamierzchłej przeszłości i włączyć to w jatakę przez zidentyfikowanie osób, występujących w różnych, odległych od siebie czasach. Powiada wówczas: Sariputta był wówczas mądrym bra-minem, Ananda ministrem, ale królem Benaresu byłem w tych czasach ja sam! W taki, czy podobny sposób dzieje się to zawsze.

— Przedziwne rzeczy! Odgadłam, że jest to coś niezrównanego. O jakże harmonizują te baśni z górami o barwach ametystu, topazu i masy perłowej,

pośród których mógłby krążyć również ów jeleni ofiarny, oraz z pustynią, której wydmy pomarańczowego koloru, otoczone wieńcem palm, zaczynają się poza jeziorem! W jakiejże zgodzie zostają one z kryształowem jeziorem, pełnem mówiących naturalnie ryb, oraz pałacem, mieszkaniem godnem zaiste króla Benaresu. Słuchaj, ojczulku, okaż się dobrym i przeczytaj mi jedną taką jatakę. Nic się lepiej nie nadaje do oczyszczenia powietrza, będzie to woń prawdziwego kwiecia po lichem pachnidle.

Ojciec jął z uśmiechem przerzucać karty rękopisu, uradowany zainteresowaniem, jakie obudził w córce stary hinduski tekst, a jednocześnie zdziwiony śmieszłą wprost nieugiętością, z jaką odpychała wiersze pana domu.

— Słucham z nabożeństwem! — powiedziała Amanda, siadając wygodnie w bambusowym fotelu i wpijając oczy w nullah, którego ciemno-szafirowy teraz zarys wił się zygzakiem po czerwonych upłazach gór.

— Otóż mamy jedną bardzo piękną i znamiennej jatakę! — zaczął ojciec — Nasamprzód dowiadujemy się, że bracia zakonni, zebrani pewnego wieczora w wiharze, to znaczy w hali klasztornej, rozmawiają o pewnym mnichu, opętanym namiętnością ku złej kobiecie. Na to wchodzi Budda, mnisi opowiadają mu treść swej rozmowy, a on oświadcza: — Nie dziś to dopiero, o bracia, dał się mnich Revata chwycić po raz pierwszy w sieci rozkoszy zmysłowych, ale uczynił on to już dawniej, w czasach odległych! — Powiedziawszy to, uchylił zasłony kryjącej życie minione.

Amanda wyprostowała się w fotelu i patrzyła na opowiadającego z pod uchylonych powiek sennie, niemal wizjonersko, dysząc przytem ciężko.

— Aj, droga Amando! — powiedział — Czemuż to spoglądasz na mnie tak „rozkwitłemi bujnie oczyma,“ jakby się wyraził Dandin, stary, subtelny nowelista.

— I uchylił zasłony...! Jakże to brzmi uroczyście i dziwnie... nie, nie potrafię wyrazić, co czuję w tych słowach...

Padła z powrotem w fotel, a spojrzenie jej odwrócone od dali, skierowało się, rzec można, w głąb niej samej.

— Może ci słabo, dziecko drogie? — spytał z troskany ojciec — Może ci zaszkodził nadmierny upał? Połóż się na chwilę!

— Nie, nie, ojczy! Czytaj! Niechże mistrz uchyli zasłony!...

— W czasach, kiedy w Benares panował Brahma-datta — zaczął czytać profesor — odrodził się Bodhi-satwa, ... to znaczy późniejszy Budda... jako syn bogatego kupca...

Urwał nagle, wyteżając słuch.

Widocznie czytanie miało dziś spełznąć na niczem.

---

## ROZDZIAŁ DRUGI.

### Kamień kobry.

**H**ałas, który tak niespodzianie przeszkodził w czytaniu, składał się z dreptania maleńkich łapek, szelestu zeschniętych liści i dudnienia biegnących, dobrze obutych, zgoła nie „tubylczych“ stóp ludzkich. Zbliżało się to wszystko szybko, zrazu po żwirze, potem po schodach, przyczem szelest liści przeszedł w szorowanie po kamieniach czegoś, co się opierało, a jednocześnie zabrzmiało z młodzieńczej piersi wyrzucone, śmiechem i groźbą jednocześnie przepojone wołanie: Garuda! Garuda!

Ktoby na dźwięk tego słowa wspomniął mitycznego gryfa, ptaka Wisznu, którego wypuklorzeźba, wykuta w niszy głównych schodów pałacu radży, wyobrażała w zaciętej walce z demonem-wężem, wijącym się w śmiertelnych skurczach w jego pazurach, zaiste człowiek ten musiałby powątpiewać, żali mianem takim ochrzcić można stworzenie, jawiące się teraz na werandzie i wskakujące do pokoju.

Było to zwierzę podobne jednocześnie do wieiórki, kota i szczura. W głowie opatrzonej kończystą paszczą i ostremi zębami, tliła para małych, czerwonych oczu. Niezwykle ruchliwy ogon, teraz

wzniesiony w górę, był ku nasadzie coraz to grubszy i spływał nieznacznie z silnie rozwiniętym, bardzo puchatym zadem. Futro miało złoto-brunatną barwę, z jaśniejszym paskiem w połowie ciała. Ponad wszystko inne jednak cechowała owo stworzenie niesłychana ruchliwość od końca nosa do końca ogona. Było to wcielenie żądy czynu i rozmachu w każdym kierunku, z wyjątkiem chętki ucieczki.

Chociaż atoli małe stworzonko nie miało nic wspólnego ze swym boskim imiennikiem, to jednak przypominało go pod jednym względem. Nie siedziało wprawdzie na demonie-wężu, miało atoli pod sobą rzeczywistego węża, w którego grzbiet utkwilo ostre zęby, ciągnąc z widocznym trudem po schodach jego czterostopowej długości ciało.

W chwili, kiedy zwierzątko dotarło ze swą zdobyczą do progu, wpadł za niem jak bomba młodzieniec jasnowłosy, wołając po raz ostatni: Garuda! i gubiąc wielki, panamski kapelusz w ruchu, jakim chciał przeskodzić mungowi w dostaniu się do pokoju. Ale Garuda porzucił łup i przemknął goniącemu przez rękę.

Amanda wydała głośny okrzyk, wcisnęła się błada i drżąca w kąt pokoju i patrzyła to na leżącego bez ruchu węża, to na munga, który tańczył wkoło niej, rzucając się w powietrze wszystkimi naraz łapami, jakby w nich miał samoczynne sprężyny. Wyrzucał przytem krótkie wrzaski, zrazu śmieszne, dzikie i wojownicze, potem jednak jął skomleć, jakby się uzał za gorzko, że czyn jego nie został lepiej oceniony i że nie doznał od swej młodej pani spodziewanego przyjęcia. Po chwili wziął Garuda w ostre ząbki rąbek jej sukni. Ale ciałem Amandy wstrząsnął dreszcz i uczyniła gest,

jakby miał iść za zwierzęciem, chciała się jeszcze dalej cofnąć, gdyby jeno miała miejsce. Spostrzegłszy to, puścił ją Garuda, pobiegł w susach do progu, wrócił jednakże z pół drogi i jął skomleć głośniejsze i płaczliwiej, przyczem zjeżył tak włosy futra, jakby miały rozpiierzchnąć się na wszystkie strony. Wogóle Garuda zachowywał się, jak najśmieszniejszy morderca węzów z pośród wszystkich, zjawionych dotąd na ziemi.

Ale na niczyich ustach nie wywołało to uśmiechu.

Profesor Eichstädt wstał trochę przerażony i, oparłszy rękę o stół, patrzył na węza, leżącego w całej długości na progu. Na wiotkiej skórze karku, okrytej jasno-brunatną łuską, można było rozpoznać jeszcze wyraźnie znak okularów.

Młodzieniec ocierał sobie z czoła pot i patrzył pełen skruchy na zmartwiałą od strachu dziewczynę. Wiedział, jak się niesłychanie boi węzów, a strach ten był tak zagadkowy, niesamowity wprost, jakby wynikał z przecucia. Właśnie to mu nasunęło myśl podarowania Amandzie na urodziny tego zwierzątka, będącego wspaniałym okazem ichneumona (nikt nie wiedział, jak zań drogo zapłacił), tak by miała zawsze przy sobie obrońcę. Pomysł ten uwieńczyło powodzenie. Amanda i Garuda polubili się tak, jakby tę przyjaźń wywołała instynktowna odraza do pomiotu węzowego. Garuda na chwilę nawet nie zapomniał o zadaniu życia w służbie swej pani i przywiązany był do niej jak zwierzę symboliczne do swej bogini. Dziś dokazał sztuczki nielada. Artur spostrzegł jednak ze strachem, że upojony triumfem zwycięzca postanowił zwłoki wroga złożyć u stóp Amandy.



Artur uczynił, co mógł, by jej oszczędzić przestachu, ale nie udało się, i oto teraz biedaczka blada, drżąca, ledwo mogła ustać na nogach.

Zatargał oburącz włosami swemi koloru piasku, że przypominały nastroszone futro Garudy, i rozejrzał się wokoło z tak skruszoną miną, że na pewno rozśmieszylby tem Amandę, gdyby nie to, że jednocześnie okroczył próg, chcąc wejść do pokoju.

— O dont, do'nt mr. Steel! — zawołała, czyniąc wzbraniający porywczy gest ręką.

Stanął osłupiały i spojrział pytająco na Amandę i jej ojca, nie wiedząc, jakiej się znowu dopuścił przewiny i czemu nie wolno mu wejść do pokoju, gdzie się znajdowali.

— Młodzieńcze, — rzekł w odpowiedzi profesor — nie czyńże jak ludzie nieświadomi, biorący wedle słów Wedy postronek za węża, a świat złudy za rzeczywistość.

— O tym kobrze myślisz pan? — spytał — Nie żyje, podobnie jak solony śledź w beczce!

Końcem trzewika obrócił zwłoki, tak że ukazał się brzuch gadu, pokryty srebrnymi pasami łuski.

Mimo, że śmierć węża i śledzia solonego nie ulegała kwestji, nie uchroniło to jednak ścierwa od zażartego wroga. Garuda wrzasnął przeraźliwie, jakby mu z gardła wypadło nagle dziesięć isów, i skoczył, wbijając zęby w rozwarte jeszcze niedawno wachlarzowato, a teraz obwisłe fałdy karku i jął trząść szkaradną głową. Sądził zapewne, iż ten bezwolny ruch ciała węzowego świadczy o tlejącem w niem jeszcze szczątku jadowitego życia, które wytrząść do reszty powinien.

To jednak, co wyleciało skutkiem potrząsania, zadudniło po podłodze zgoła materjalnie i twardo.

Artur uderzył w dłonie.

— Kamień kobry! — zawołał.

— Niepodobna! Pan chyba żartuje! — odparł profesor.

Ale jednocześnie poskoczył, jakby ta rzecz była dlań ważną.

Amandę opuścił już strach i podeszła zaciękawiona, a ruch ten powitał Garuda radosnym kwikiem. Dał susa, wylazł do góry po fałdach sukni swej pani, a dziewczyna, żałując już, że skutkiem przerażenia pozbawiła ulubieńca zasłużonej nagrody, wzięła go na ręce, zaczęła doń mówić czule i gładzić puszyste futro, przewyciężając fizyczną odrazę, jaką w niej wywoływał włos ichneumona po otarciu o łuskę wężowego cielska.

Trzymając zwierzątko na ramieniu, pochyliła się nad stołem.

Cztery pary oczu spozierały teraz z wielkiem napięciem na niepozorny wielce przedmiot. Stalowo szare oczy młodzieńca, okulary profesora, jasne, oliwkowo-brunatne oczy dziewczyny i płonące czerwono, maleńkie jak lebki szpilek, ślepią Garudy tkwiły tępo w owej rzeczy, którą ichneumon uważał pewnie za kamienne serce wroga, wytrzęsione zeń ostatecznie. Co o tem sądzili inni, nie wiedział.

Był to mały kamyk, wielkości bobu, gładki, owalny, prześwietlający, blado-zielonej barwy, prawdopodobnie zwykły krzemień.

— Więc to na serjo prawda, a nie żadna gadanina ludowa! — zawołał profesor — Istnieją, widzę, kamienie wężowe. Ach, gdybym go nie widział na własne oczy...

— Profesorze, wiedziałem o tem dawno, — powiedział Artur — sam miałem taką rzecz przed oczyma

i to w pewnych okolicznościach. Ale to jeszcze nic, musi pan zobaczyć, jak świeci w nocy.

— Więc jeszcze świeci?

— Nic nam pan o tem nie wspomniał! — zauważyła Amanda z wyrzutem.

— Nie wspomniałem? Byłem pewny, że państwu przedłożę jutro własnoręcznie zdobyty węzowy kamień, a tymczasem ubiegł mnie ten malec.

Zaśmiał się niemal gniewnie i uderzył zlekka po pyszczku Garudy. Zwierzątko odpowiedziało na ten kares kwikiem, złączonym z pomrukiem, nie wiedząc dobrze, czy ma się obrazić, czy uradować.

— Jutro, mister Steel? — spytała Amanda — Skądżeś pan miał tę nadzieję.

— Liczyłem na pewno, że moja dzisiejsza wyprawa nocna będzie pomyślniejsza od wczorajszej.

— Jakto, — rzekł profesor — czyżbyś, młodzieńcze, był tak nieostrożny, byś miał spacerować nocą po miejscach, gdzie żyją kobry?

Potrząsnął karcąco głową i siadł z powrotem w wygodnym fotelu bambusowym.

Reszta towarzystwa usiadła także, a Garuda zajął miejsce na stole, tuż przy łokciu swej pani.

— Wyznaję, że byłem właśnie tak nieostrożny. Zwierzyłem się przed Man Royem z mego pragnienia wejścia w posiadanie takiego kamyka, wręczyłem mu kilka rupij i obiecałem więcej, jeśli wycieczka się powiedzie. Wczoraj przedpołudniem powiedział mi, że zdołał wysledzić kobrę, noszącego z sobą kamień węzowy. Poszliśmy o zmierzchu do malej dżungli, o kilka mil \*) poza miastem położonej. Noc już była, gdyśmy sta-

\*) Angielskich mil.

nęli na miejscu. W odległości kilku kroków od wysokiego drzewa, skryci w krzakach, czekaliśmy bez ruchu blisko godzinę. Światło księżyca rozjaśniało wyraźnie gęstwę listowia. Wkońcu usłyszeliśmy szelest i istotnie, pośród konarów pnia ujrzeliśmy kobrę. Tuż przed nim błyszczało w trawie coś niby robaczek świętojański. Nie dostrzegłem zbliżania się węża, teraz atoli widziałem wyraźnie, jak podniósł głowę, rozpostarł kaptur i chwiały szyją w prawo i lewo, zupełnie na sposób tańca, wywołanego przez poskramiacza węzów za pomocą grania na flecie. Zdawał się modlić do błyszczącego kamyka, ja zaś w tej chwili, dalibóg, gotów byłem wierzyć we wszystkie baśni, opowiedane o tych zwierzętach.

— Ale nie zdobył pan kamienia? — spytała bez tchu niemal Amanda.

— Nie miałem szczęścia, albo byłem niezręczny. Położyłem obok siebie strzelbę w sposób niewłaściwy, tak że chwytając ją, wywołałem szmer. Zaszleściło w liściach, i ach... kobra znikł, zabierając, co gorsza, skarb z sobą. Popadłem w desperację, ale Man Roy pocieszył mnie, że ma na oku drugiego jeszcze kobrę z kamieniem, w tej samej dżungli, pod podobnym drzewem. Mielśmy go osaczyć dziś wieczór, a chytry Hindus obmyślił jakiś niezawodny fortel.

— Czemużeś pan jednak tak żarliwie pragnął zdobyć taki kamyk? — spytała Amanda.

— Po części dlatego, że pani wyraziła przed kilku tygodniami chęć posiadania kamyka, co do którego niema wątpliwości, że go nosił kobra rzeczywiście.

Amanda oblała się rumieńcem wobec tego dowodu uwielbienia ze strony młodzieńca, który również poczerwieniał, przezco nie poprawił wcale napiętej sytuacji.

— Tylko „po części,“ miałeś pan tedy inny jeszcze rozsądniejszy powód wystawiania się na niebezpieczeństwo! — odparła po chwili i drgnęła wyraźnie na myśl o nocy spędzonej w dżungli, pośród rojowiska okularników.

— Jest to zjawisko w samej rzeczy interesujące, — zauważył profesor — i zasługuje, by je stwierdzić i zbadać należycie.

— Być może „po części“ kierowała mną też ciekawość przyrodnika, — rzekł Artur — ale głównym powodem było jeszcze coś innego i głębszego nad chęci rycerskiego przysłużenia się damie. Uczyniłem to z powodu mistycznego wprost strachu pani na widok węża.

— Mistyczny, albo mityczny, jest ten mój strach, — zażartowała Amanda — wywodzi się bowiem aż z raj. Zresztą wspólny on jest wszystkim.

— O, nie, — odparł — u mnie go niema, zupełnie niema, tak że nie mogę pojąć pani, natomiast silnie jest rozwinięty u mego kuzyna. Przed kilku dniami spotkaliśmy poskramiacza, który chciał pokazać swe sztuczki. Zaledwo jednak postawił na ziemi kosz i zaczął wygrywać, jął Edmund tak drzeć na całym cielem i tak pobladł, że cisnąłem prędko rupję i odprawiłem poskramiacza. — Chciałem się przewyciężyć, — rzekł mi Edmund — ale nie byłem w stanie!

— Czyż możliwe i sir Trewelyan doznaje tego strachu? — zawołała Amanda z podnieceniem.

— Zdaje się to panią radować! — zauważył Artur tonem niby żartobliwym, w którym jednakże brzmiał żal, że skutkiem swej bezwrażliwości stoi od niej niejako dalej od swego kuzyna.

— Ano, wobec tego nie potrzebuję się tak bardzo wstydzić tej słabostki.

— Właśnie w tem leży cała przedziwna zagadka. Rzecz nie warta byłaby wspomnienia, gdyby szło o zwyczajną, płochliwą młodą damę, ale pani jest wszakże mężniejszą od wielu, wielu kobiet.

— Ja mam być mężną?

Roześmiała się na to komiczne przypuszczenie.

— Tak jest! Wszakże siedziałem tuż obok pani w howdahu i widziałem, jak pani patrzyła w otwartą paszczę tygrysa, o pięć ledwo stóp oddalonego. Czyż pani wówczas krzyczała ze strachu, albo dostała spazmów? Nie opuścił pani spokój w tej chwili.

— To się nie liczy, panie Steel. Wszystko nastąpiło bardzo niespodzianie. Nikt nie przypuszczał, by tygrys był tak blisko.

— Ja zwłaszcza. To pani właśnie zwróciłaś mi uwagę na falowanie trawy.

— Prawda, alem nie sądziła, że to może być tygrys, a on w okamgnieniu siedział już na głowie słonia, wtapiając pazury w miękkie części ciała, pomiędzy uszami nieszczęsnego zwierzęcia! Musiałam z całej siły trzymać się howdahu, by nie zostać wyrzuconą, a za moment zwierz leżał już na dole w trawie i grzmiały wszystkie strzelby. Nie stało czasu na strach.

Artur wybuchnął śmiechem.

— Znam sporo ludzi, którzyby na to czas znaleźli. Sama pani nie namyślała się długo, gdy tu przybył Garuda z węzem. A jakże to było ongiś, z tym okrętem korsarskim? Aż nadto było chyba wtedy czasu na przerażenie.

Profesor zrobił niewyraźną minę.

— Oo... ten okręt... to szkaradna rzecz... gdy wspomnę dziś jeszcze...

— Czyż się nie bałam wówczas?

— Byłaś pani przynajmniej jedyną damą, która nie leżała w kajucie z głową w poduszkach, a palcami w uszach. Władanie sobą i odwaga okazana wtedy zaimponowały bardzo memu kuzynowi. O jakże mu zazdrośczyć, że był przy boku pani i że mu było danem...

— Tak... tak... — rzekła Amanda wymijająco — ale nie powiedziałaś nam pan jeszcze panie, Steel, czemu mój strach przed węzami skłonił pana do ubiegania się o kamień kobry.

— Słuszna uwaga! — zawołał profesor, który jak każdy niemiecki uczony nienawidził niespodzianych skoków w rozmowie i kładł wielki nacisk na tok logiczny rozumowania, płynący od punktu do punktu, prosto ku wytkniętemu celowi.

— Zeszliśmy, zważcież państwo, na manowce! — rzekł tonem napomnienia — Słonie, tygrysy, piraci! Drogi, młody przyjacielu, muszę z przykrością zrobić dość ważką uwagę, podziwiam wprawdzie pańską śmiałą lotność wyobraźni, z którą bardzo do twarzy młodemu, ale zato brak mi zbyt często logiki i to u pana, będącego ziomkiem Tomasza Reida! Otóż i tu! Jakikolwiek byłby powód tak wybitnie u córki mej rozwiniętej odrazy do węzów, to nie ma to nic wspólnego z pańskim uganianiem się nocami za kamieniem kobry.

— Nie ma nic wspólnego? Ależ, profesorze, uznajesz pan przecież maksymę: *ab esse ad posse valet consequentia*.\*)

— Oczywiście, ale...

---

\*) Z tego, co jest, wyciągać wolno wnioski o tem, co być może.

— Otóż właśnie ten strach był mi motywem, albowiem dopatrzyłem się w nim przeczucia niebezpieczeństwa, które w przyszłości zagrażać może córce pańskiej z powodu ukąszenia kobry.

— Otóż wylazł z pana Szkot! Przechucie... *second sight!*...\*)

Profesor Eichstädt tak bardzo był nierad pierwiastkowi irracjonalnemu, jaki go zaskoczył, że nie zauważył wcale, jak niedokładnie skreślonym został dotąd związek logiczny, ale zanim to zdołał uchwycić, uzupełniła, bledsza teraz nieco, Amanda brakujące ogniwo.

— Czyż taki kamień może przeciwdziałać truciznie?

— Tak przypuszczają wszyscy. Powiadają, że przyłożony do świeżej rany wsiąka jad, lub osłabia jego działanie w jakiś sposób. Man Roy zaklina się, że tak jest. Oświadczył, że każdy poskramiacz nosi przy sobie taki kamień, to też sądziłem...

— Musisz pan więc postarać się o taki kamyk przede wszystkim dla swego kuzyna! — powiedział profesor — Jeśli zechcesz pan być konsekwentnym, to przechucie niebezpieczeństwa, przypisywane mej córce musisz pan również odnieść do swego kuzyna, sir Trewelyana.

— Niechże się on stara sam! — odparł Artur z istic kuzynowską obojętnością — Pst! Słyszę, zda mi się, głosy!

— Tak jest...

— W każdym razie nie wypada, by zastał kóbrę na progu domu! Byłoby to zbyt przykre powitanie... Garuda!

---

\*) Jasnowidzenie.



Artur wziął z kąta kij i podniósł nim węża, zanim Garuda zdążył skoczyć ze stołu i dopaść swego łupu. Wyszedłszy przed werandę, drażnił się chwilę ze zwierzęciem, podnosząc i opuszczając martwe ciało, a potem rzucił je dużym łukiem na trawnik ogrodu.

Następnie skierował spojrzenie na nadchodzących, których głosy rozbrzmiały głośno w pobliżu, mimo że nie było słyhać ich kroków.

---

## ROZDZIAŁ TRZECI.

### Czarna pantera.

**A**manda wstała, a serce jej zatętniło gwałtownie. Nadsluchiwała tego właśnie głosu, którego brakło.

Artura stojącego na werandzie otoczyli Hindusi, czyniąc gesty pytania, zdumienia, rozczarowania, nadziei, oraz gadając i wykrzykując jeden przez drugiego.

— Niema sahiba? Nie wrócił dotąd?

Była to barwna, malownicza czereda brunatnych zuchów, w białych kaftanach, ściągniętych w pasie jaskrawemi szarfami. Większość przyszła boso, niektórzy mieli obcisłe spodnie, przechodzące u kostek nieznacznie w pantoflowate trzewiki. Prawie każdy miał na plecach małą, miedzianą, krągłą tarcz, przy-mocowaną skrzyżowanemi na piersiach rzemieniami, krzywy mieczyk za szarfą i lancę w ręku. Niektórzy trzymali miast tej ostatniej broni, używanej tak zręcznie przez Radżputan arabskie flinty, wykładane srebrem, a tak długie, że gdy oparli szpiczasto zakończoną kolbę o ziemię, końce luf sterczały im wysoko nad ramionami. Jeden tylko miał nowożytną, angielską strzelbę myśliwską.

Mężczyzna ten przerastał wszystkich swych towarzyszów i nie ustępował wzrostem, będąc przytem

barczystszym, młodemu Szkotowi, z którym zaraz na wstępie wszczął żywą rozmowę. Przenikliwie patrzące oczy jego przysłaniały gęste, zrosłe z sobą brwi. Wąs sterczał mu jak włosy na pysku tygrysa. Po obu stronach gładko wygolonego zresztą oblicza wyrastały tak bujne bokobrody, że końce ich, obyczajem radźputańskim, założone miał poza uszy. Starannie utrzymana ręka, o barwionych henną paznokciach, którą w salaamie podniósł wykwintnym ruchem do czoła, była drobna, wybitnie arystokratyczna, oraz jasnej barwy, a nadawała się w sam raz do rękojeści radźputańskiego, bogato rzeźbionego miecza. Często ustawały ruchy tej ręki, towarzyszące gestami potokowi wyrzucanych słów, i muskała ona raz po raz z nawyku bujny zarost. Mimo marsowatego wyglądu, gest ten nadawał mu cechę podrzędną, jakby nieodłączny od przekonania, że broda stanowi wielką część składową jego osobistości. O ile trafnem jest spostrzeżenie, że im większa broda, tem bardziej zniewieściały nadaje wygląd ogólny, to w tym wypadku, owo niezamierzone zgoła wrażenie podkreślała jeszcze bardziej woń piżma, otaczająca go, czyniąc go podobnym ptakowi mającemu w dżungli gniazdo swoje. Na niewielkim, zielonym turbanie, który jak wszyscy miał na głowie, połyskiwała precudna agrafa, migotająca jak słońce, w której tkwiło czaple pióro, spływające mu na ramię.

Tuż za nim stał sługa z wielkim, ordynarnym, złożonym parasolem, który trzymał rękojeścią na dół.

Ten zwracający uwagę mężczyzna był to Czandra Singh, bliski krewny panującego radży.

Mówił szybko, a każde jego słowo potwierdzali i uzupełniali głośno i z szerokimi gestami wchodzący właśnie Hindusi. Amanda, ni ojciec nie rozumieli tego

co mówił, z wyjątkiem chyba stereotypowego zapewnienia, że sahib jest mu jak ojciec i matka jednocześnie, albowiem używał narzecza hindustani, to jest języka, jakim z głębi duszy gardził uczony, bowiem było straszliwą mieszaniną zepsutego sanskrytu, różnych pierwotnych idjomów, arabszczyzny, a wreszcie języka angielskiego, którą to ostatnią ingredjencję profesor uważał za najbardziej hańbiącą. — To najwstrętniejsza karykatura języka, jaką spotkać można na świecie! — mawiał z oburzeniem słynny indolog. Amanda przyswoiła sobie tyle, że starczyło na porozumienie ze służbą, ale nie była w stanie pochwycić treści zawilego sprawozdania.

Nagle przybyli zawrzaśli, wskazując ku werandzie, od strony której po wejściu wszystkich otwarty został widok, to też słuchacze nie rozumiejący słów, skierowali tam oczy.

U wejścia leżała na noszach czarna pantera, a mieniące się jak mora, jedwabiste jej futro połyskało wyraźnie w jaskrawem oświetleniu.

— Jego Wysokość Czandra Singh, — tłumaczył Artur, zwracając się do Amandy i profesora — opowiedział nam, że mój kuzyn opuścił po upolowaniu tego wspaniałego zwierzęcia towarzyszy i poszedł w stronę odległej ruiny świątynnej, chcąc ją zwiedzić samotnie, jak przystało zresztą pociu. Musiał zabił w drodze powrotnej, ale niema powodu do obaw i nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo...

Czandra Singh rozumiał słowa tłumacza, czynił wymowne gesty zapewnienia i wkońcu, siłąc się na najbardziej angielskie hindustani, oświadczył: — Niebezpieczeństwo... skądżeby... sahib jest tutaj wszędzie równie bezpieczny jak w Anglii.

— Jeszcze bardziej... jeszcze bardziej! — zaręczali chórem w słowach i gestach członkowie świty — Wielki sahib, gość umiłowany urodzonego w niebie... chluba kraju... dobroczyńca całych Indyj... którego sława przepaja blaskiem cały świat... którego cień, niechże rośnie w nieskończoność...

Błyskały oczy, szczerzyły się zęby, machały ręce, trzęsły się turbany, a wszyscy drwili z myśli o niebezpieczeństwie, jako śmiesznej i niedorzecznej.

— Dobry na scenę, ale w pokoju mocno przesadny! — pomyślała Amanda, ślubując sobie dawać pilne baczenie na wspaniałego Radżputanina.

Tymczasem podszedł mały człowiek o chorobliwie niemal wysokich ramionach, którego niemile kłujący wzrok Amanda czuła już od chwili na sobie, i gnąc się w karkołomnych ukłonach jał błagać o przebaczenie, że będąc nędznem jeno stworzeniem, śmie wyrazić swe zdanie o kimś równie wzniosłym jak wielki sahib. Oświadczył, że czyni to jeno z powodu, iż zauważył niepokój pięknobrewej i przytem wpadła mu do głowy myśl, która wypowiedziana wyda zaiste owoce i będzie tak trwałą, jak barwa na białej materji. Z całym przekonaniem zaręczał, iż słowa jego przywrócą czerwień twarzy księżycolicej na zawsze, zaś po tym wstępie przysiągł, iż w całym kraju nawet dzikie zwierzęta nie uczynią krzywdy wielkiemu sahibowi, który, jak twierdzą kapłani, jest poprostu samym Ramem, odrodzonym dla dobra Indyj.

Chór zawrzasł w odpowiedzi jak opętany: — Ram! Ram! \*)

---

\*) Nowoindyjskie miano Ramy, bohatera Ramajany, będącego wcieleniem Wisznu.

Nietylko nie uczynią więc zwierzęta, zakończył mówca, nic złego wielkiemu sahibowi, ale przeciwnie, wskażą mu prawdziwą drogę, tak że niebawem każdy z wyglądających z boleścią powrotu jego poczuje, że mu pęcznieje wątroba z radości.

Treść tej przemowy została wiernie podana Amandzie i profesorowi. Dziewczyna z trudnością zdołała się jeno opanować, by nie rzucić referentowi spojrzenia przy wzmiance o „pięknobrewej“ i nie wskazać swych przykrótkich nieco brwi, które zyskały na kwiecistej frazeologii Hindusa. Podobnie też słysząc, iż jest „księżycolica“ miała chętkę nadać policzki. Ale zdołała jakoś zachować do końca powagę.

Na zakończenie postawiła sobie jednak użyć:

— Dobrze ryczysz, lwie! Araczej powiedziałabym dla odmiany: Dobrze wyjesz, szakalu! — rzekła do Artura, nie zmieniając postawy, pełnej dyplomatycznej godności.

Artur pochylił z czcią głowę, ale rzucił jej szybkie spojrzenie, świadczące, że godzi się w zupełności z jej porównaniem mówcy do szakala, jaki we wszystkich opowieściach hinduskich odgrywa rolę zdrajcy nader wymownego i pełnego uwielbień, przed którym trzeba się mieć na baczności.

Potem zwrócony do Hindusów, przełożył im słowa Amandy w ten sposób, że szlachetny Partab, łączący męstwo lwa z rozumem szakala, ukoił znacznie obawy pięknobrewej, wyrażając bez żadnej przesady szczerą prawdę, jak to przystoi tak światłemu mężowi, którego słowo lśni najpiękniej w całej swej nagości, nie przysłoniętej żadną ozdobą. Oświadczył jednak zaraz, że chociaż bogowie i zwierzęta pomagają sahibowi, ludziom nie wolno czekać z założonemi rękami i że on, Artur, domaga się koniecznie, by niezwłocznie

urządzić wyprawę, celem odnalezienia drogiego nieobecnego, tak by nie był zmuszony nocować w dżungli. Nazbyt gościnne zwierzęta mogłyby go zatrzymać zbyt długo, używając do tego zbożnych podstępów, z którą to okolicznością, jak widać, nie liczył się czcigodny Pertab mimo swej mądrości.

Czandra Singh skinął w zamyśleniu głową, musnął oburącz jednocześnie bokobrody, założył końce za uszy, rzucił falę piżmowej woni i oświadczył, że niepodobna udzielić mędrszej rady jak ta, którą dał młody sahib, w niedalekiej zapewne przyszłości przywódca swego narodu. Wyprawę tę należy zorganizować niezwłocznie, a on sam stanie na jej czele.

Słowo to stało się hasłem dla chóru. Ponowny wylew słów i gestów zaświadczył, że wszyscy Hindusi raczej połamią sobie nogi, niżby miał zostać narażony na najmniejszą nieprzyjemność wielki sahib, który jest każdemu z nich ojcem i matką jednocześnie.

Wzburzenie ogarnęło również i profesora, który, zerwawszy się, energicznie oświadczył, że idzie razem z wyprawą, mimo że sam wiedział jak i wszyscy, iż obecnością swą nabawi jeno kłopotu, a to tem więcej, że w żadnym tekście napisów skalnych niema wskazówki, dokąd wyruszył sir Edmund Trewelyan.

Ponieważ każdy, jeden przez drugiego, spieszył z radą odnośnie do kierunku, ilości psów, pochodni i różnych rzeczy, przeto niebawem utworzył się wokoło Czandry Singha kłęb ruchliwy gorączkowo wirujących postaci, podczas gdy Artur czynił daremne wysiłki powstrzymania profesora od udziału w tej sprawie.

Stosownie do swego postanowienia, nie spuszczała Amanda z oczu Czandry Singha, który każdemu rzucał spojrzenie i słowo, nawet profesorowi, aręczając

iż jego obecność odda niesłychaną korzyść, ale osobno zerkał i szeptał krótkie wyrazy małemu, koślawemu Pertabowi, dzierżącemu go bez przerwy za łokieć. Ten zausznik miał wybitnie czarną cerę, a oliwione na gładko włosy były obcięte w kwadrat na wysokości uszu. Także, w przeciwieństwie do dostojnego, brodatego protektora, dolną część szpiczastej twarzy zdobyły skąpe jeno, nikłe pęczki włosów. O ile Czandra Singh rościł sobie z pewną racją prawo do dumnego, hinduskiego tytułu „człeka-tygrysa,“ to miano szakala, nadane już przez Amandę, nie ubliżało zgoła, podobnemu postacią do tego zwierza, zausznikowi jego.

Dziewczyna podeszła blisko do obu, by pochwycić i zapamiętać sobie kilka słów, których sens spodziewała się odcyfrować później. Dokazała po części swego. Nagle nieokreślone uczucie skierowało jej spojrzenie w stronę werandy i w pierwszej chwili nie była w stanie stłumić lekkiego okrzyku wesela.

W progu stała postać, w której z łatwością odnaleźć było można oryginał portretu na ścianie, a tylko strój albański zastępował kostjum, będący malowniczą kombinacją europejskiej i hinduskiej odzieży. Miał noszonego przez wszystkich, zielonego turbanu przybysz miał na głowie słomiany kapelusz, otoczony welnianym welonem, spływającym na plecy i chroniącym kark od żaru słońca. Twarz jego, obramiona tą białą, prześwietloną wskroś materją, miała niemal brązowe zabarwienie cery Hindusa.

Po cichym okrzyku Amandy, rozbrzmiał chór głośnych wrzasków zdumienia i radości, podkreślanych odpowiednimi gestami. Czujne oczy dziewczyny zdolały wśród tego wszystkiego pochwycić spojrzenia, wymienione pomiędzy Czandrą Singhem a jego za-



usznikiem, które wyrażały zdumienie, ale dalekie były od wyrazu radości. Zamigotało w nich zdziwienie i wściekłość, przede wszystkim jednak niezaprzeczalny, dziwny strach, jakby wywołany przez widmo, który pobielił na kolor popiołu nawet czarne lico koślawca. Owo wrażenie odmalowało się z wyrazistością dostateczną, by przekonać Amandę, że nie popełniła omyłki, co musiałoby inaczej nastąpić, wobec nieopisanej radości, z jaką obaj natychmiast powitali wielkiego sahiba. Każdy z osobna włos bokobrodów Czandry Singha stroszył się, ożywiony widokiem człowieka, którego nieobecność nappełniła go bólem, zaś gładka fryzura trabanta ronila krople oliwy z rozradowania i pełnej namaszczenia wdzięczności. Cały chór przysięgał zgodnie, że wątroby wszystkim nabrzmiały do niesłychanych rozmiarów z ukontentowania, mimo że nie zagrażało najmniejsze niebezpieczeństwo, bowiem, wedle słów małego koślawca, nawet dzikie zwierzęta nie poważyłyby się uczynić krzywdy dostojnemu potomkowi Rama, którego należy uważać za nowe wcielenie samego Ramy.

Z odpowiedzi tak wielbionego dostojnika okazało się, że nie żywi on żadnej urazy. Zaniepokoiło natomiast Amandę, że sir Edmund, postawiwszy strzelbę w kącie, pociągnął na bok Czandrę Singha i mówił mu coś długo szeptem, a Radżputanin słuchał z uważnym skupieniem, w pozycji przystojnej człowiekowi, który odbiera rozkazy od przełożonego.

Poufalskość tych dwu mężczyzn nie podobała się Amandzie wcale, wyglądało to bowiem tak, jakby mieli coś wspólnie przedsięwziąć. Słowa ojca, nasuwające przypuszczenie, iż są rywalami, były jej kluczem do rozczarowania, jakiego doznał Radżputanin na widok wracającego sahiba, któremu pewnie zgotował zasadzkę. Cóż ich

mogło łączyć? Oznaczało to w każdym razie dla sir Edmunda zwiększenie niebezpieczeństwa. Postanowiła też przestrzec go przy pierwszej sposobności, a gdyby się nie nadarzyła w najbliższych godzinach, wymusić ją przymocą, choćby przyszło zerwać z przepisami etykiety.

Edmund przywitał ją i ojca bardzo serdecznie, chociaż z pewnem roztargnieniem, potem zaś spytał wskazując ku werandzie:

— A cóż znaczy ta czarna bestja?

— Pantera? Wszakże to łup myśliwski sahiba! — odparł Czandra Singh z głębokim ukłonem, a chór podjął te słowa, powtarzając je w różnych warjantach, na różne tony, zdobiąc poetycznie arabeskami — Niszczycielka gór zaznała szczęścia, że poległa z fuzji wielkiego sahiba... padła z ręki Rama... — to też szakalogęby zausznik wyraził przekonanie, że czeka ją nader korzystne wcielenie.

— Jakto? Więc to ja miałem zastrzelić panterę? — spytał sir Edmund.

— Oczywiście! Prosto w serce... strzał mistrzowski, o którym przez setki lat śpiewać będą bardowie nadworni!

Zaprawdę, ktoby ich widział i słyszał, musiałby chyba przypuścić, że do tego dnia nie padła jeszcze w Indjach ni jedna pantera.

Wkońcu wyrażających tak entuzjastycznie swój podziw Hindusów wyprosił za drzwi gospodarz, zaręczając w równie grzecznych wyrazach, że nawet największy niedołęga, polując z Radżputanami, musiałby się czegoś nauczyć i bodaj raz dałby z samego małpowania strzał równie mistrzowski, poczem na zlecenie Artura zabrano wyczekującą tak niesłychanie korzystnego wcielenia czarną panterę, w celu zdjęcia z niej skóry.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

---

### Jak to sir Trewelyan i indolog zapijali Rüdersheimera.

**K**iedy Edmund wrócił, śmiejąc się, do pokoju, zastał samego jeno profesora, zajętego przy stole starannem składaniem skrawków palmowych, róg do rogu, niby talji kart, tak by wystający brzeg nie uległ zgnieceniu. Uczony spojrział z niejakim zdziwieniem na pana domu, ale przez sympatję zawtórował jego wesołości.

— Otóż masz pan Hindusów, profesorze! — rzekł, rozpierając się w niskim fotelu bambusowym i wyciągając przed się nogi, jak człowiek, który ich użył do syta.

Rysy profesora przybrały teraz wyraz rezerwy, jakby się miał na baczności przed tą wesołością.

— Co masz pan na myśli? — spytał.

— Rzecz się miała tak: Czarna djablica, siedząca w krzakach nullahu, uciekła przerażona piekielnym wrzaskiem naganki i skryła się, lekko ranna, na płasko-wzgórzu w kępie aloesów, wysokiej na dwadzieścia stóp i równie szerokiej. Osaczono ją, a krzyki i bombardowanie kamieniami wszczęto na nowo. Ale czcigodna Bagera nic sobie z tego nie robiła, przeto musieliśmy

krzaki zapalić raketami... Ale wyszło mi w gardle... przeto za pańskim zezwoleniem... pewnie i dziś wzgardzisz pan, jak zwykle, profesorze, memi cygarami?

— Dziękuję, o tym czasie nie palę!

Edmund dobył puzderka z cygarami, wybrał troskliwie jedno „regalio“ bez zarzutu, skrzesał ognia, zapalił i rzucił kłęb dymu z nieklamanem zadowoleniem.

— Oczywiście te osły zapomniały raket w czólnie, nastąpiła tedy przymusowa, półtoragodzinna pauza. Czemże ją zapłacić? Wszystko wkoło gorzało niemal w pionowych promieniach słońca, nadeszła pora lunchu, przeto zabraliśmy się do jedzenia w wąskim pasie aloesowego cienia.

— Była zatem jeszcze druga kępa aloesów? — zauważył profesor.

— Nie, jedna tylko.

— W której siedziała pantera?

— Tak. To ja podałem ten projekt!

Sir Edmund zaśmiał się z chłopcęą dumą.

— Zresztą niebardzo to był trudny pomysł, gdzież się bowiem skryć było? Jak okiem sięgnąć, nigdzie cienia, a i tam mieliśmy blisko sto stopni.

— Czyż nie dopuściłeś się pan jednak... nieostrożności?

— Właściwie to nie. Czarna pantera jest groźna, ale słońce indyjskie jest jeszcze dziesięć razy groźniejsze, dlaczegóżby więc przezacna Bagera miała opuszczać swą kryjówkę, zanimby ją do tego zmusiły rakiety?

— To prawda, ale jednak...

— Jednak mimo to, drogi profesorze, zdołałem właśnie szczęśliwie odkorkować flaszkę hoku...

— Ach, sir Trewelyanie! — zawołał profesor Eichstädt, czyniąc gest komicznie rozpaczliwy — Kiedyż

wy, Anglicy, przestaniecie zwać każde wino reńskie hokiem, co znaczy „Hochheimerem,” który wcale nie jest winem z nad Renu, ale rośnie nad Menem! To co pan masz w piwnicy, to Rüdersheimer i w dodatku doskonałego zbioru. Niech panu Bóg przebaczy, że wleciesz taki nektar na stustopniowy upał... Zresztą licho wie, ile to wynosi, bo nie mogę zrozumieć tego waszego Fahrenheita!

Anglik roześmiał się dobrotliwie z tego wzburzenia dzielnego Nadreńczyka.

— Drogi profesorze, — rzekł — przyrzekam poprawę! Coprawda, za ludzi moich ręczyć nie mogę! Ale przypomina mi to...

Klasnął w dłonie.

Zjawił się zaraz czarny, biało ubrany sługa, durwan, przyczajony dotąd na schodach, i oddał salem.

Sir Edmund wydał mu rozkaz w gwarze hindustańskiej.

— Tak... tak... wiem, drogi profesorze, — rzekł, zwracając się do indologa, który uczynił gest sprzeciwu — wiem, że to nie w porządku, ale dzień dzisiejszy wykoleił mnie potrochu i czuję potrzebę orzeźwienia.

Puścił kilka kłębów i zapatrzył się przed siebie, jakby zatracił wątek opowiadania.

— *Ale revenons à nos moutons!* — rzekł po chwili — Otóż, ledwo zdążyłem szczęśliwie odkorkować flaszkę Rüdersheimera...

Rozgoryczony jeszcze trochę Nadreńczyk skrzywił się, słysząc jak gruby język Brytyjczyka kaleczy nie-szczęsną nazwę, jakby mówił o jakimś gatunku ziemniaków, nie zaś najprzedziwniejszym soku winogrodu,

zaraz jednak przypomniał sobie pełną napięcia sytuację i spytał:

— I cóż się stało potem, drogi przyjacielu?

— Potem rozbrzmiał dziki wrzask, tak żem skoczył na nogi. Pantera wyszła i właśnie wbiła pazury w jednego człowieka z naganki. Stała o jakieś pięćdziesiąt kroków od nas. Obaj z Czandrą Singhiem byliśmy gotowi do strzału, gdy nagle bestja runęła szalonym skokiem wprost na nas, porzucając swą ofiarę. Ujrzałem czarną chmurę z dwoma rozjarzonymi węglami w środku. Złożyłem się... i oto strzelba moja nie wypaliła.

— Na miłość boską!

— Tak jest, profesorze, zawiódł strzał i albo nieco mieszana krew moja, albo najczystsza krew Radżputanina byłaby zabarwiła piasek, gdyby nie celny strzał Czandry Singha, który położył na miejscu potwora.

— Ach, nie rozumiem dobrze, drogi sir Trewelyanie... Jeśli pan powiadasz, że strzelba pańska nie wypaliła, to przecież...?

— W tem cały dowcip! — zawołał — Czandra Singh wie dobrze, że moja broń zawiódła, wie, że ja wiem o tem, wie też, że ja wiem, iż on to wie, a mimo to... — tu uczynił gest właściwy: — Łup sahiba! Strzał mistrzowski! Pieśni nadwornych bardów! Oto do czego zdolny jest prawdziwy Hindus!

Rysy profesora przybrały wyczekujący wyraz.

Nie po raz to pierwszy już podkreślał sir Edmund, jak nisko stawia hinduskie zamięrowanie prawdy, i każdy taki atak na pupilów profesora rozgoryczał wielce zacnego badacza. Dziś atoli dali się złapać zbyt jawnie na gorącym uczynku, tak że w pierwszej

chwili nie wiedział, co rzec na ich obronę. Jakże jednak niewłaściwem jest uogólnianie pojedynczego faktu!

— Wiem dobrze — zaczął — że pan ma przekonanie, iż Hindusi niebardzo ściśle liczą się z prawdą...

— Łagodnie, ale poprawnie ujmujesz to, drogi profesorze.

— Muszę się jednak zastrzec, — zawołał rozsierzdzony indolog — Hindusi słynęli w starożytności z umiłowania prawdy, co stwierdzają nawet świadectwa greckie.

— Stwierdzają one również, że Persowie jeździli konno i mówili prawdę. Jeżdżą, coprawda, po dziś dzień, ale pewien przyjaciel, który żył długo w Persji, powiedział mi, że Persa może do powiedzenia prawdy skłonić jeno wielki zysk. Narody uwsteczniają się widać pod tym względem. Oczywiście z wyjątkiem Greków. Dziwili się oni słusznie prawdomówności Persów, gdyż byli sami zdawiendawna bandą łgarzy i takimi zostali do dziś. Przebacz, profesorze, że urażam pański filhellenizm, ale znam ich z pierwszej ręki.

— Zapoznałeś się pan z nimi właśnie z racji filhelleńskiej, o ile wiem.

Edmund odparł z uśmiechem:

— To prawda, walczyłem za ich wolność, ale wyznaję w dyskrecji, że najuczciwszymi ludźmi w całej Grecji byli Turcy... a także rozbójnicy.

Profesor Eichstädt westchnął z rezygnacją, nie czując jednakowoż skłonności do porzucenia swej sprawy.

— Jakże pan sądzisz, sir Trewelyanie, — spytał, kładąc dłoń na stosie liści palmowych, — cóż tu leży przede mną? To prastare, czcigodne jataki, zawierające podania ludowe o kolejnych wcieleniach Buddy.

Tam powiedziane jest wyraźnie, że chociaż był kilka razy wodzem opryszków i dopuścił się wielu zbrodni, jedno go tylko nie obciąża, oto przyszły Budda nie skalał ust kłamstwem. Czyż można żądać lepszego świadectwa na fakt zamilowania prawdy Hindusów?

— Nieprawdaż, mówiłeś mi wczoraj, profesorze, że ten Budda nie odrodził się nigdy kobietą?

— Tak jest i to prawda stwierdzona! — zawołał żywo profesor, radując się w prostocie serca tem, że spleenowatego Anglika interesują tak dalece jego wywody, iż zdołał zapamiętać z dnia na dzień jeden bodaj fakt z legendy.

Edmund rzucił mu spojrzenie szelmowskie, podkreślone rzec można mefistofelowskim uśmiechem.

— Czy panu nie wpadło, profesorze, — powiedział — że w tem zestawieniu mieści się nader bystre spostrzeżenie?

Profesor Eichstädt, człowiek prosty z natury, przepojony czysto germańską czcią dla kobiecości, nie wiedział jaką przybrać minę wobec tej cynicznej uwagi pana domu. Było to coś gorszego jeszcze, niż napaść na Hindusów! Miał wrażenie, jakby mu ktoś imputował, że drwi z nieboszczki żony swej, albo zdradza córkę, a mimo to niepoprawny byronista ten miał w sobie coś, co rozbrajało każdy odruch rycerskiego oburzenia.

Na szczęście zjawił się w tej krytycznej chwili arcyuroczysty korowód. Przodem kroczył durwan, jako przywódca, za nim szedł sirdar, w roli mistrza ceremonji, potem następował na pięty poprzednikowi abdar, niosący na miedzianej tacy dwie szklanki, za nim dźwigał bhisti okryty rosą, gliniany garnek, z którego wyzierała ponętnie szyjka brunatnej flaszki



z żółtą czapczką z laku. Za nimi włókł się khitmutgar, szef departamentu kulinarnego, a dźwigał jeno własną godność, zbyt ciężką zda się na jego wąskie plecy. Dalej jakaś, zgoła bezimienna nicość niosła korkociąg, i ostatnia, nic nie niosąca nicość zamykała pochód. Ta ostatnia istota wzięła na znak sirdara od korkociągowej nicości korkociąg, dobytek z garnka i podała oba przedmioty khitmutgarowi, który odkorkował flaszkę i wręczył ją sirdarowi. Sirdar napełnił szklanki, które ustawił na stole abdar, poczem ostatnia bezimienna nicość wsadziła flaszkę z powrotem w chłodzącą toń garnka, a bhisti postawił go na stole dla dalszego użytku. Durwan czuwał nad wszystkim, patrząc melancholijnie, jakby w ceremonji tej widział ilustrację do starej przypowieści Paṇṇatantram \*): — Mylą się ci, którzy służbę zważają psiem życiem, bowiem pies porusza się wedle własnej woli, sługa zaś na rozkaz pana swego! — Przekonawszy się dowodnie o prawdziwości tego przysłowia, durwan złożył pierwszy salam, potem zaś odprowadził z powrotem korowód, czarną, białą ubraną procesję postaci stąpających teraz równie aksamitnie cicho, jak podczas ukazania się.

— O jakże to boli, kiedy bhisti wnosi prosty garnek z wodą, miast kubelka z lodem, jak to bywało po różnych mych obozowiskach, ostatnio zaś w Cawnpore, pamiętnem i rzeźwem zarazem! — zawołał Edmund — Niestety, Kala Rama, mimo swych wysiłków cywilizacyjnych nie doprowadził jeszcze do tej wyżyny państwa swego. Ale ponieważ i zacofanie posiada pewien urok, przeto wypijmy i spełńmy zdrowie Indyj tym, nieco ciepłym, ale szlachetnym płynem. Odnosi

---

\*) *Paṇṇatantram*, słynny hinduski zbiór baśni.

się to zwłaszcza do znanych panu — Indyj starych. Ja ze swej strony...

— Nie znasz ich pan wcale! — rzucił profesor bezmyślnie. Wziąwszy wina w usta, trzymał je przez chwilę we wgłębieniu języka i dopiero po chwili wahania pozwolił mu spłynąć. Teraz siedział zapatrzony w złoto prawdziwego rena, zapomniawszy niemal, gdzie się znajduje. Otoczyły go szmery zielonego, majowego listowia, zaszumiały buki Niederwaldu, ujrzał świętą rzekę, wijącą się przez ojczyste dziedziny, a słyszał nawet, zda się, szum wodospadów Bingerlochu.

— Coprawda, bardzo jeno niedokładnie znam stare Indje, — przyznał Anglik dobrotliwie, a może nawet łaskawie — a jednak wydaje mi się jakoby właśnie dziś spojrział im w oczy.

— Komu?

— Pańskim, starożytnym Indjom. Tak, profesorze, dziś miałem dziwną przygodę, a jest ona tem dziwniejsza, że nie wiem na czem polega.

— Tak? Przygoda?

Indolog, a raczej w tej chwili Nadreńczyk, nie przejawiał jakoś płomiennej ciekawości. Czuł spływający w gardło ożywczy nektar, i to budziło w nim czarowne wspomnienia młodości. Zamknąwszy oczy, znalazł się znów w Niederwaldzie, miał przed sobą w błękitnej dali Hunsrück, a pod nogami, oblaną wirem fal starą „Mysią wieżę.“ Słuchał też niedbale opowieści gospodarza, który, po zabiciu pantery, ruszył, porzucając towarzyszy, ku starej ruinie świątynnej, a potem, w drodze powrotnej zablądził pośród wzgórz zarosłych dżunglami.

— W istocie sytuacja nie była tak pewna jak mi się to zrazu wydało i zacząłem już żałować nieostroż-

ności, gdy nagle spotkałem Hindusa, wędrownego jogisa. Była to, mówię panu, postać wprost z Wed, podobna do... zaraz... jakże się zwał ten człowiek, któremu, wedle słów pańskich pewien szalony radża dawał po tysiąc krów o złoconych rogach za każde słowo, płynące z jego ust?

— Masz pan pewnie na myśli Jainawalkiję? — mruknął mechanicznie profesor, podróżujący jeszcze po Nadrenji.

— Tak jest! W ten sposób musiał wyglądać Jainawalkija. Pokazał mi drogę i odprowadził aż na brzeg dżungli, skąd zobaczyłem miasto. Potem zawrócił w las, nie bacząc mego podziękowania.

Edmund umilkł, puścił ostatni kłęb dymu, wyrzucił poza werandę niedopałek cygara, podniósł do ust szklankę... i zapomniał się napić.

Nagła cisza zbudziła profesora z ojczystych marzeń.

— I cóż dalej? — spytał chcąc okazać zainteresowanie.

— Nic! Na tem się skończyło.

— W każdym razie wywarło to na panu głębokie wrażenie, a to rzecz nie mała. Radbym, zaiste, ujrzeć człowieka, który tej sztuki dokazał.

— W istocie żałuję, żeś pan nie widział jego oczu, gdyż chciałbym się przekonać, czy tylko na mnie tak oddziaływały. Ciągle jeszcze widzę przed sobą te wielkie, ciemne oczy, podobne do oczu Shelleya. Pośród tłumu ludzi odnajdywałem zawsze Shelleya po tych oczach. Spojrzenie jego przenikało wszystko, niby życie przezierające przez martwość. Ale w spojrzeniu tego Hindusa było jeszcze coś... niesamowitego, powiedziałbym, gdyby nie patrzył z taką dobrocią, a więc coś

raczej tajemniczego, zbyt przepastnego dla ołowianki rozumu, mojego przynajmniej. Jedną znam tylko rzecz, która mnie podobnie oczarowuje i wprawia w drżenie, pełne niepojętych przeczuć.

— Cóż to takiego?

— Wyśmiejesz mnie, profesorze, ale mniejsza z tem! Mam na myśli żółty klejnot, który Kala Rama nosi w turbanie.

— Kamień węzowy?

Profesor Eichstädt zerwał się jednym skokiem i, porzucając ojczyznę, wpadł całą duszą prosto w ziemię obiecaną misterjów i tajemnic.

— Ja miałbym pana wyśmiewać, sir Edmundzie? — zawołał — Na Boga, czyż mógłbym to uczynić? Czyż przeniknąłem związek wzajemny rzeczy tego świata? O nie, przeciwnie, raduję się wielce, że i pana ogarnął wiew tej prastarej ziemi, ojczyzny mistycznej wiedzy. Jest to może zwiastun burzy, która rozorze głęboko pańską duszę i zbudzi nowy pogląd na świat i życie. O tak, nie pierwszym pan jesteś z ludzi, którym w Indjach spadły łuski z oczu!

Edmund zaśmiał się trochę lekkomyślnie.

— Ocho! Tędy droga? Nie raduj się pan przedwcześnie, profesorze. Nie wyruszyłem tu jako do kraju mistycznej mądrości, ale do ojczyzny bujnego życia i płomiennej miłości, znużony starą Europą, gdzie daremnie walczył w imię wolności ginącej. Uciekłem od rodzących się starców-niewolników, od głupich przesądów...

— Tak pan uczyniłeś, zaiste, — przerwał mu indolog — ale nie w tem rzecz z czem się odjeżdża, jeno z czem wraca. Wiesz pan, za czem wyruszył Saul, a co znalazł.

— Znalazł koronę... prawda... masz pan rację, profesorze... koronę...!

Szczególny ton głosu i dziwne spojrzenie, nie na profesora skierowane, ale rzucone orlim gestem ku szczytowiskom radzowskiego pałacu, byłoby niezawodnie zwróciło uwagę bystrzejszego obserwatora. Ale indolog trzymał się zawsze oburącz tematu, bacznym jeno na rozwikłanie pojęciowe i wystrzeganie się dygresji. To też dodał szybko:

— Koronę mądrości, oczywiście!

— O, wiem, o czym pan myślisz... o koronie zdobnej klejnotem mistyki. Nie... zwróć się pan z tem do mego kuzynka Artura, który właśnie nadchodzi. Osnuto go w Kalkucie tak dokładnie ową szafirową mgłą, że wierzy ślepo we wszystkie sztuczki jogisów.



---

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### Ręka Opatrzności.

**A**rtur wszedł spiesznie od strony werandy, rzucił na stół kapelusz, wielką torbę skórzaną i przeorał oburącz swe krótkie, jasne włosy.

— Acha, poczta! Istąd twe podniecenie! — zaśmiał się Edmund — Człowieku, kiedyż pozbędziesz się owej gorączkowej tęsknoty za ojczyzną? To na nic dla nas!

Podkreślił te słowa, oraz rzucił znaczące spojrzenie kuzynkowi, który ledwo odpowiedział oczyma.

Edmund otwarł tymczasem torbę i wygarnął na stół jej zawartość.

— Nie, biedny chłopcze, — rzekł — niema dla ciebie listu. Ale przeczytaj sobie „Edinburgh Review,“ który znacznie złagodniał od czasu jak mu Byron zmył głowę. Weź, weź, chłopcze, brzmi to zawsze trochę na nutę „*Auld lang syne*“ \*). Profesorze, jest dla pana list i dwa druki, a wreszcie to olbrzymie liścisko dla mnie. Ach, pieczęć ministerstwa!

Edmund złamał pieczęć i wyjął kilka aktów oraz list z wielkiej koperty.

— Oczywiście wuj Archibald. Cóż mi ma do powiedzenia ten podagryczny gentleman?

---

\*) „*Dawno minione dni*,“ pieśń Roberta Burnsa.

Profesor zatopiony był w liście, a Artur w miesięczniku, to też żaden nie zauważył wielkiego zdumienia na twarzy Edmunda, zanim jeszcze przebiegł spojrzeniem pierwszą stronę listu. W miarę czytania uśmiechał się coraz to ironiczniej, wkońcu zaś wybuchnął głośnym śmiechem i, nie obracając nawet pisma na czwartą stronę, rzucił je na stół.

— Możecie mi w istocie powinszować, przyjaciele! Oto macie przed sobą zapoznawany długo genjusz dyplomatyczny, наконец odkryty przez inteligentną ojczyznę. Powitajcież w mej osobie upełnomocnionego ambasadora Afganistanu.

Artur opuścił miesięcznik, spojrzął na kuzyna i otworzył usta.

— Jedziesz pan do Afganistanu? — zawołał profesor i zaraz wpadło mu do głowy: — A cóż się stanie ze mną? Coprawda, przyjaciel mój, minister Kala Rama, który mnie tu sprowadził, zabezpieczy mi dalszy pobyt, bowiem dużo mam jeszcze do roboty z napisami, gdzież jednak znajdę, zwłaszcza dla Amandy, tak wygodne pomieszczenie, jak w domu sir Edmunda. W dodatku odjedzie z nim pewnie i sekretarz, młody Szkot, który, zdaje się, ofiarował swe serce mej córce, a nie znajdę chyba nigdzie lepszego i pożądanszego zięcia. Gdy raz zniknie, Bóg wie, czy go zobaczymy kiedy i czy co z tego będzie?

— Uspokój się pan, drogi profesorze, — rzekł sir Edmund — wszystko zostanie po dawnemu. Nie pojedę do Afganistanu, jednak zaszczyt ten należy ocenić.

— Zapewne, zapewne, wielki to zaszczyt, gdy rząd ofiaruje tego rodzaju stanowisko. Czemużbyś pan jednak miał odmawiać? Sądzę, że zainteresowałoby to pana w wielkiej mierze.

Profesor Eichstädt zły i zawstydzony, że go przyłapano na samolubnym strachu, starał się teraz nibyto namawiać Edmunda do przyjęcia misji, zaś pan domu rozprawiał szeroko o nikczemnej, kramikarskiej polityce swej ojczyzny. Nagle jednak przerwał im Artur, który przeczytał list i podał go teraz swemu złotoustemu kuzynkowi, wskazując drżącym palcem ostatnią stronę.

— Cóż to znaczy, Edmundzie? — spytał.

Edmund wybaluszył na Artura oczy zgoła bezymyślnie, po chwili zaś podał list profesorowi.

Ogarnięty niesłychanem zaciekawieniem, co mogło do tego stopnia zdziwić obu panów, profesor Eichstädt wyrwał niemal pismo z bezwładnych palców gospodarza.

Ostatnia strona mieściła kilka jeno wyrazów, pod niemi zaś widniał olbrzymi, na kształt lassa poskręcany, zawily podpis: Archibald Pembroke. Natomiast wskos całej stronnicy były wypisane ogromnemi literami, energicznym charakterem i kolorowym, zda się, ołówkiem te dwa jeno słowa: Ręka Opatrzności.

— Któż to pojmie? — wykrzyknął Edmund — Jakże się te słowa dostały do wnętrza? Obie pieczęci, zarówno wuja, jak i ministerstwa nienaruszone!

— Wuj pański pozwolił sobie na żarcik! — zauważył profesor.

— Widzę, nie znasz pan mylorda, profesorze!

— Więc uczynił to jego sekretarz, albo ktoś z biura.

— Powtarzam, nie znasz go pan. Spójrz jeno, profesorze, jak starannie powikłał zakrety podpisu aż do końca strony, by nie zostawić miejsca do dopisania czegokolwiek. Za nic nie zapieczętowałby on listu bez



starannego zbadania go i za żadną cenę nie pozwoliliby go zapieczętować komuś drugiemu.

Artur skinął głową i powiedział z naciskiem:

— Nie, nie, panie profesorze, ten kto to pisał, nie miał ochoty żartować.

— Aa... — zawołał wzburzony Edmund, chwytając Artura za ramię — Więc ty wiesz, chłopcze, kto to uczynił?

— Kto to uczynił, nie wiem!

— Cóż wiesz tedy? Czyś widział kiedy takie pismo, takie słowa wpisane do zamkniętej koperty? Artur uczynił gest potwierdzający.

Profesor skoczył z fotelu.

— Ależ, drogi, przyjacielu! — zawołał.

— Cóż to więc znaczy, Arturze?

— Co znaczy? To jest *ragi joga*.

Słowa te, wyrzucone z niechęcią i burkliwie z ust przypartego do muru młodzieńca, padły niby strzał z pistoletu.

Wyrażenie to, będące współczesną, indyjską nazwą sił tajemnych najwyższego typu, znali profesor i Edmund.

Edmund roześmiał się nie bez przymusu, jakby chciał tą sztuczną wesołością pokryć coś nader poważnego i wprost niesamowitego.

— Wszakże mówiłem, profesorze, pozbawiono w Kalkucie biednego Artura potrochu rozumu i teraz wierzy ślepo we wszystkie sztuczki jogisów.

— Ach, panie Steel! — zwrócił się doń niemal prosząco prof. Eichstädt — Nie zechcesz pan chyba twierdzić, by ktoś mógł wpisać coś do zamkniętej koperty!

— Nie mówiłem o „wpisywaniu.“

— Mniejsza o wyraz, nie spierajmyż się o słowa! Ale tego już chyba za dużo. Przyznaję, że sztuczki jogisów mocno przypominają cuda i czarodziejstwa, ale należy uwzględnić, że starożytni Hindusi sami uważali to wszystko za uludę zmysłów, nie zaś fakty rzeczywiste. Dowodzi tego niezaprzeczalnie ciekawy ustęp brahmasutry, gdzie Sankara wywodzi różnicę pomiędzy pozorną realnością: ja indywidualnego, a jedynie realnem, najwyższem, boskiem: ja. Czyni to zaś w arcy-subtelnych słowach, mówiąc: — Czarodziej, który zdaje się wspinać w powietrze po rzuconej w górę nitce, różni się w ten sam sposób od czarodzieja stojącego rzeczywiście na ziemi! — Widzisz pan, drogi przyjacielu, w rzeczywistości niema tedy nitki i nikt się po niej nie wspina, istnieje zaś jeno czarodziej, który stojąc w kole widzów wprawia ich w halucynację i każe widzieć, co chce. Sankara powiada dalej z przedziwną jasnością porównania: — Podobnie istnieje w rzeczywistości wyłącznie brahman, bóstwo wieczyście spoczywające, a tylko skutkiem niewiedzy, to znaczy świadomości zmysłowej przedstawia się nam ono w postaci mnóstwa wędrujących, niejako po nitkach wspinających się dusz indywidualnych! — Oto mamy objaśnienie ze strony największego autorytetu hinduskiego. Stosownie do tego musimy uważać za zgoła nie istniejące w rzeczywistości owo drzewko mangowe, jakie nam tu, wczoraj jogis wywiódł na oczekaniu z ziarna wsadzonego w doniczkę...

— Ach! — zawołał Artur — Drzewko mangowe, to najniższy stopień hata-jogu! Ten, który te słowa napisał, to jest mówiąc ściślej... wypowiedział chemicznie na papier, czyli precypitował na papier, ten posiada znajomość sił przyrody, których nie domyślają

się nawet uczeni nasi, a osiągnął ją przez rozwinięcie najwyższych pierwiastków swej istoty, przedewszystkiem zaś pierwiastku: buddhi...

— Ach, te pańskie pierwiastki...

— Na miłość boską! — zawołał Edmund — Nie rozpoczynajcież sporu o siedm pierwiastków!

— Nie... nie, — uspokoił profesor swego kapryśnego gospodarza — chciałem tylko powiedzieć panu, panie Steel, że cała ta nauka o siedmiu pierwiastkach, nad którąś pan się wczoraj unosił, to jeno grube niezrozumienie słynnej anandavali w upaniszadzie taittiriya, gdzie uczyniono przedziwną próbę wyluskania z wszelkich obsłon, jądra człowieka i świata, to znaczy atmanu... ustęp ten...

— Ależ, panie profesorze, znam doskonale całą anandavali, która jest w istocie najstarszym źródłem nauki o pierwiastkach...

— Znasz ją pan, widzę, całkiem naopak! Jest to straszne wykoszlawienie! Jeśli się, jak tam wyłączy: ja, będące jeno tchnieniem życia z: ja, będącego produktem soków odżywczych, to oczywiście w takim razie...

W tej chwili wszedł sirdar i, przerywając zaciętrzewionemu indologowi, zaanonsował przybycie Kala Ramy.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

---

### Kala Rama.

Znany daleko poza szczupłemi granicami swego państwa, oraz w całych Indjach słynny minister, wkraczający w tej chwili do komnaty w towarzystwie dwu służących, był to wysoki, smukły, bezbrody starzec, o rysach szlachetnych, przeduchowionych i cerze jasno-brunatnej barwy. Amanda miała słuszną, mówiąc po pierwszym zetknięciu się z nim, że wygląda raczej na panditę \*) lub sannyasę \*\*) niż męża stanu, chociaż wrażenie to zacierała do pewnego stopnia pewność siebie i swoboda zachowania, cechująca światowca, a będąca wyrazem zewnętrznej władzy, jaką posiadał. Pierwsze wrażenie potęgowała atoli znowu prostota stroju, niezwykła u człowieka wschodu, a specjalnie Hindusa. Od stóp do głowy był spowity w białą materję bawelnianą, jedwab lśnił jeno na szarfie obciskającej długi kaftan, a sznury wspaniałych pereł spinały na piersi fałdzisty płaszcz o szerokich rękawach. Jedyny punkt barwny tworzył wpięty w zwoje turbanu żółty diament niezwykłej wielkości i blasku.

---

\*) Biegły w księgach świętych.

\*\*) Żebrak-pustelnik, uważany za świętego.

Kala Rama zatrzymał się w progu, oddał ukłon i podniósł lewą dłoń do czoła.

Minister nie był, jak ogólnie wiadano, mańkutem. Z tą formą pozdrowienia związana była, zdaniem Anglików „cała historia,“ wchodząca w dzieje Radżputany.

Przodek Kala Ramy spotkał w połowie XVII wieku pewnego wodza Wielkiego Mogola, który podaniem prawicy zaręczył mu bezpieczeństwo i towarzystwo w podróży. Za ledwo atoli, ufając temu, odprawił swą wojskową asystę, został schwyty i niebawem zamordowany w więzieniu. Od tego dnia członkowie tej rodziny oddawali pozdrowienie jeno ręką lewą, a przywilej ten był tak ogólnie znany, że musiał się nań zgodzić nawet sam, siedzący w najcudniejszej tronowej sali świata, na diamentowym tronie następcy Wielkiego Mogola Akbara w Delhi, kiedy Kala Rama przybył na audjencję, przypominając mu tym lewo-ręcznym ukłonem zdradę, jaką jego protoplasta popełnił prawą ręką.

Owo pozdrowienie Kala Ramy wywierało przez swą legendarną symbolikę uroczyście wrażenie na wszystkich wrażliwszych umysłach, musiało tedy oddziaływać również na romantycznie nastrojonego Edmunda, który ani w połowie tak nie cenił rzeczywistych zasług wielkiego męża, jak ów ton rycerskości feudalnej, złączony z tym gestem lewej, do czoła unieszonej dłoni. Bezwiednie niemal czuł się zaszczyconym przez każde zetknięcie z wykwintnym naprawdę człowiekiem i okoliczność ta znalazła wyraz w oddanym mu ukłonie.

Po dopełnieniu etykietalnych salamów, usiadł Kala Rama w podanym sobie fotelu bambusowym i rzekł z uśmiechem na wąskich wargach:

— Widzę w ręku twem, szlachetny sahibie, list, będący w najściślejszym związku z moją dzisiejszą, zadziwiającą pana może trochę, wizytą.

— Jakto, ekscelencjo, pan wiesz? Ach, zapewne mój wuj...

Kala Rama potwierdził skinieniem.

— Lord Pembroke uczynił mi ten zaszczyt, że zwrócił się do mnie poufnie, a i premier również odznaczył mnie swem pismem. Obaj dostojnicy wyjaśnili mi, jak ważne zadanie chcą złożyć w pańskie ręce i wyrazili życzenie, bym uczynił, co mogę dla skłonienia pana do podjęcia tej misji. Nie tracąc tedy chwili czasu pospieszam, ale myślę, że namowy moje będą zbyteczne.

— *J* istocie, ekscelencjo! — odparł Edmund z grzecznym uśmiechem, nie pozbawionym szyderstwa — Są one zbyteczne, albowiem czuję się bardzo dobrze w państwie, które ty, ekscelencjo, pracą całego życia doprowadziłeś do rozkwitu niezrównanego. Powtarzam, czuję się tu zbyt dobrze, bym miał się nosić z zamiarami rychłego wyjazdu.

— Miło nam to słyszeć wszystkim, szlachetny sahibie, że się panu u nas podoba, ale bolelibyśmy wielce, gdybyś z tego jeno powodu miał odtrącać zaszczytną propozycję, zwłaszcza że idzie tu o rzecz dla pańskiej ojczyzny nader ważną. Z zupełną słuszością pisze wuj pański, że rządowi potrzeba człowieka obeznanego jak pan z obyczajami wschodu.

— Nie znam ich jeszcze dość dobrze, ekscelencjo! Radbym je sobie tu wpoić należycie.

Kala Rama spoważniał.

— Nie, nie sir Trewelyanie, sahibie! — powiedział — Nie powinienes się pan wzbraniać! Jesteś pan młody,

posiadasz wielkie zdolności, a szkoda by je zmarnować w beczynnem życiu.

— Czemużby nie? Zdawien dawna uważają wszyscy Indje za kraj życia kontemplacyjnego!

— A mimo to wyraziłeś się pan z tak przesadnie wielkiem uznaniem dla pracy mego życia!

— O, ekscelencjo! Pan jesteś pod każdym względem człowiekiem wyjątkowym!

Profesora i sekretarza ogarniać zaczął niepokój, rozmowa bowiem przybierała coraz wyraźniej ton utarczki słownej, z której Edmund wywijał się nic nie znaczącemi zwrotami, mogącemi urazić poniekąd człowieka tak wysoko jak Kala Rama postawionego. Rys nieukontentowania w kątach ust i twardszy nieco ton głosu świadczyły też, że minister ma dość tej gry i nie uważa jej za godną siebie.

— Skądże ma to być komplementem? — rzekł.

— O... naturalnie, ekscelencjo!

Ledwo dostrzegalny ruch ręki podkreślił, że wszelkie powątpiewanie byłoby nie na miejscu.

— Nie sędzę jednak, bym był wyjątkiem — podjął minister — jeśli powiem, że obywatel państwa nie ma prawa usuwać się od pewnej nałożonej mu przez rząd misji i to w chwili przełomu politycznego. Każdy inny zamiar winien pójść na drugi plan, a nie wiem doprawdy, sahibie, coby tu pana ważnego zatrzymywać mogło.

Spojrzenie, które padło nagle na Edmunda, zdawało się przenikać mu przez serce i nerki. Odpowiedział, napół wyzywającym, napół szyderczym błyskiem oczu, na który wyraźnie silić się musiał, zaś Artur zaczerwieniony jak przyłapany na uczynku żak szkolny, gmerał w papierach, nie śmiąc spojrzeć ni na ministra, ni kuzyna. Profesor czuł się zupełnie wykolejonym

i dumał nad problemem, czy w istocie może jest w toku jakaś awanturka miłosna pomiędzy rani, a sir Edmundem.

W komnacie uczyniło się parno, jakby spaść miała za chwilę burza. Ale zaledwo odczuto ten moment, minął natychmiast.

Echo ostatnich słów ministra nie przebrzmiało jeszcze, gdy podjął na nowo z ujmującym uśmiechem:

— Jak słyszałem, ubiłeś pan właśnie czarną panterę, co jest rzadkim lupem. Nałowileś pan już, sahibie, mnóstwo panter zwyczajnych, tygrysów królewskich i niedźwiedzi, stawaleś też konno z lancą przeciw dzikom, co nietylko w Radżputanie, ale i u Anglików uchodzi za najwyższy rodzaj sportu. Czegóż pan tedy jeszcze chcesz? Nie mamy tu dla pana słoni i nosorożców, a gdyby nawet były, to z myśliwskiego, a także sportowego punktu widzenia należałoby dać pierwszeństwo Afganistanowi. Przytaczam to jako ważny argument, bo kto dziś jedzie do Kabulu pertraktować imieniem rządu z Dost-Mochamedem, ten powinien, zaprawdę wpierv sporządzić testament.

— Mój testament byłby krótki! — zaśmiał się Edmund — Ale przyznaję, że to jest argument znacznie lepszy od wszystkiego, co pisze mój wuj.

— Nie zapominajmyż jednak o argumentach poważnych. Sytuacja przedstawia mi się w ten sposób: Jego Wysokość lord Bentinck ustępuje ku naszemu wielkiemu ubolewaniu, bo cokolwiekby sądzić można, o jego niektórych metodach finansowych...

— Mojem zdaniem, ekscelencjo, jest to djabelnie skąpy osobnik, który chce wszystko zamienić w gotówkę. Dziwię się nawet mocno, że nie uległ pokusie sprzedania Taj Mahala w Agrze, przezco znikłby z po-



wierzchni ziemi jeden z największych cudów świata, li tylko dla uzyskania cennego materiału. Wahał się niewątpliwie długo i z wielkim jeno bólem serca zrezygnował z owych ofiarowanych mu, marnych trzech jakhów rupij\*).

— Policzmyż mu to za tem większą zasługę! — rzekł Kala Rama z lekkim uśmiechem — Zresztą ta negatywna zasługa nie jest jedynym jego dorobkiem. Skasowanie obrzędu sati\*\*) i wytracanie thagów\*\*\*) okryły go wielką sławą, pozatem przysłużył się znacznie angielskim rządóm w Indjach swą rozważną i ostrożną polityką. Dlatego też szkoda, że ustępuje. Jeśliby to stanowisko gubernatora objął sir Charles Metcalfe jako senator rady, moglibyśmy żywić nadzieję, że ta polityka będzie kontynuowana. Ale, zdaje się, partja przeciwna przeforsuje sir Aucklanda. W tym wypadku podzieliłbym musiał obawy wuja pańskiego, oraz premjera, bo lord Auckland, znany z poglądów i temperamentu, zechce pewnie przywrócić wygnanego Afgańczyka Shah-Shuję na tron kabulski, zajmowany dotąd przez uzurpatora Dost-Mohameda, który siedzi na nim mocniej, niż się wydaje. Wie on dobrze, że Shah-Shuja w Ludhianie nie bez podstawy liczy na bagnety angielskie, a to go popycha w objęcia Rosji, która usadawia się coraz to pewniej w Azji środkowej i zamierza niebawem ustanowić w Kabulu ambasadę. Idzie więc o wyprzedzenie Rosji i pozyskanie dla Anglii Dost-Mohameda, oczywiście bez oddania mu Peshawaru,

---

\*) 3 jakhy rupij = 30.000 funtów szterlingów.

\*\*) *Sati*, obrzęd palenia wdów.

\*\*\*) *Thagowie* — dusiciele religijni, sekciarze i zawodowi rozbójnicy-mordercy, czczący straszliwą boginię Kall.

który chce za każdą cenę odebrać sikhom.\*) Zbytecznym jest wspominać panu, że o tem mowy nawet niema, bo z sikhami żartować niebezpiecznie. Ci, tak zwani też ranit-sinkhowie, wyszkoleni przez europejskich oficerów, nie mają pono równych sobie fanatyków religijno-wojskowych od czasu waszych kromwelowskich „ironsidów.“ Krótko mówiąc, kluczem Azji centralnej jest dziś Kabul i idzie o pochwycenie go w ręce. Kto tego dokona, przysłuży się Anglii tak, że trudno będzie dość wysoko ocenić jego zasługi. Nie tracę nadziei, sir Edmundzie Trewelyanie, że pan będziesz tym właśnie człowiekiem.

Kala Rama wstał.

— W ten sposób — dodał — spełniłem żądanie wuja pańskiego, a zarazem właściwie również angielskiego rządu.

— Ni wuj, ni rząd nie mogli znaleźć, zaprawdę, lepszego rzecznika nad pana, ekscelencjo! — odparł Edmund z grzecznym ukłonem — To, com usłyszał od waszej ekscelencji, rzuciło na sprawę zgoła odmienne światło, niż nic nie mówiący list mego wuja. Ale list ten ma w sobie jeszcze coś ciekawego, na co pozwolę sobie zwrócić uwagę.

Podał Kala Ramie list, obróciwszy go na ostatnią stronę.

— Proszę, niechże wasza ekscelencja spojrzy na ten napis.

Trzy pary oczu wpiły się z ciekawością w oblicze ministra.

---

\*) *Sikhowie*, czyli *ranit sinkhowie*, była to sekta religijna o wojskowej dyscyplinie. Po upadku cesarstwa, Wielkiego Mogoła zawładli Pendżabem. Za króla Ranit-Singha (1800—1839) doszli do szczytu rozkwitu. Król ten był wiernym sojusznikiem rządu angielskiego.

Błysk zdumienia i przelotne rozjarzenie oczu starca zdradziły, że słowa te mają dlań jakieś znaczenie.

— Cóż o tem sądzisz, ekscelencjo? — spytał Edmund bez tchu.

— Oczywiście jest to motto najodpowiedniejsze dla listu tej treści! — rzekł spokojnie.

— Nie pytam, ekscelencjo, o znaczenie symboliczne tych słów, ale o to jak mogły znaleźć się na tym papierze, w liście dwukrotnie włożonym w koperty i zapieczętowanym przez wuja mego i ministerstwo. Znając pedantyczną skrupulatność i ostrożność wuja, wykluczam zupełnie, by mógł to ktoś napisać przed zapieczętowaniem, pozatem charakter pisma nie jest zgoła europejski. Ręka autora umie widać stawiać takie znaki, ale nawykła też niewątpliwie do zgoła innych.

— I dla mnie nie ulega to wątpliwości,

— Ależ w takim razie, ekscelencjo, jest to więcej niż zagadkowe! Czy może wasza ekscelencja umiałby to wyjaśnić...?

Kala Rama milczał przez chwilę, zapatrzony w ziemię. U innego możnaby to wziąć było za zakłopotanie, ale jego rysy wyrażały jeno pełen namysłu spokój.

— Przypuśćmyż, sahibie, — powiedział — że dla mnie nie jest to równie wielką jak dla pana zagadką, to jednak nie mogę jej panu objaśnić. My, Hindusi, posiadamy tajemnice zgoła niedostępne ludziom zachodu. A jesteśmy na tym punkcie wysoce ostrożni... nawet wrażliwi. Rzeczy te chociaż nie za święte dziś, uważamy jednak za czcigodne i nie spieszo nam narażać ich na uśmiech niedowierzania, czyli raczej nie-

wiedzy. Bardzo też możliwe, że pytając wprost n. p. o *ragi jogę*, otrzymasz pan zaprzeczenie, a interlokutor pański zaręczy, że nic o tem nie wie, mimo że jego najbliżsi mogą być w posiadaniu takich zdolności i sił.

Artur skinął triumfująco głową i spojrział na kuzyna, który tego jednak nie zauważył, szarpany zniecierpliwieniem z powodu, że stary Hindus wykręca się, jak sądził, frazesami. Popatrzył tedy na profesora, wytrącając go w ten sposób z rezerwy, narzuconej szacunkiem dla starego ministra.

— Ależ, ekscelencjo! — zawołał uczony — Te słowa pańskie umocnią jeno w zabobonie rokującego wielkie nadzieje młodzieńca, który...

Kala Rama wstrząsnął pobłażliwie głową.

— Widzicie panowie! — rzekł — Już mnie chwyta w szpony nasz uczony przyjaciel.

— O, ekscelencjo... proszę bardzo...

— Panu, drogi profesorze... pomijając ten niewiele znaczący fakt... odpowiem jeno słowami wielkiego poety, znanego, zda mi się, równie dobrze wam, Niemcom, jak i swemu narodowi, mianowicie że istnieje pomiędzy niebem a ziemią więcej rzeczy, niż się śni waszym filozofom... chociaż, coprawda śniła o nich i wasza i nasza filozofja. Łączy się to z tem, com usłyszał niedawno od pana samego, o waszym wielkim Kancie i tym drugim, mniej znanym...

— Schopenhauerze... myśli pewnie wasza ekscelencja. Jest to autor dotąd mało znany istotnie, ale czeka go ogromna sława. Dostałem nawet na wyjeźdźnym od przyjaciela jego główne dzieło. Cenił on go wysoce i uważał książkę za nader odpowiednią lekturę dla człowieka, udającego się do Indyj.

— Wedle tego, com się od pana dowiedział o owym człowieku z trudnem do wymówienia nazwiskiem... przyjaciel pański miał zupełną słusność.

— Trudne, bo trudne, ale powinieneś się pan go wyuczyć! — mruknął Edmund, używając słów, jakimi przyjaciel jego, Byron, zaszczyił w dzienniku swym Grillparzera.

— Tak, panie profesorze! Ludzie tego rodzaju są to dla mnie radosne znaki, świadczące, że zetkną się kiedyś drogi wschodu i zachodu i że wy dojdziecie do tego myśleniem, czegośmy sięgli w marzeniach. Prastary pogląd hinduski stwierdza, że czas i przestrzeń nie docierają do samego dna rzeczy. Z istoty tego, co nie powstało, zrodziła się przestrzeń, jest ona wpleciona w treść subjektu poznania. Tak uczy Wedanta, a wielki buddysta Nagasena odparł królowi Milindzie, pytającemu go o istotę czasu: — Czas jest tam, gdzie są dusze odradzające się po śmierci, tam, gdzie są dusze zwolnione od tego zupełnie przez nirwanę, tam niema czasu!

— Wspaniale, ekscelecjo, wspaniale! O, pan masz słusność! Ta prawda zasadnicza, przeczuwana przez wszystkie wielkie duchy, a przez Kanta po raz pierwszy naukowo uzasadniona, to jedyna brama, wiodąca do każdej rzeczywistej metafizyki i prawdziwej religji, ona to jedna zapanuje kiedyś na świecie, a zwłaszcza tu, w Indjach...

Trudno powiedzieć, jak daleko dałby się był unieść indolog i jakichby wyżów filozofji sięgnął pod wpływem chwilowego uniesienia, gdyby mu niestety nie przerwał nagle, skorzystawszy z pauzy dla złapania oddechu, sir Edmund, który kipiąc z niecierpliwości, zagadnął azjatyckiego dostojnika w sposób iście natrętny:

— Ekscelencjo, zanim panowie utoniecie w nurtach metafizyki, radbym zadać pytanie: Czy wiesz, ekscelencjo, kto to pisał?

— Tak, wiem, sahibie!

Ta odpowiedź, dana z takim spokojem, podziałała piorunująco. Nawet profesor, wirujący poza przestrzemię i czasem, spadł nagle w dziedzinę konkretnej rzeczywistości. Artur wpatrzył się w ministra oczyma szerzej zaiste rozwartemi, niż wypadało, spoglądając na niego.

Edmundowi drżał głos, gdy spytał ponownie:

— W takim razie nie zechce mi pewnie wasza ekscelencja odmówić tej satysfakcji, bym wiedział, kto sobie wobec mnie pozwolił na tego rodzaju żart!

— Jest to niemożliwe, sahibie, z tego już choćby powodu, że nikt z pana nie żartował. Mogę tylko powiedzieć, że piszący te słowa jest panu życzliwy i dobrze uczynisz, idąc za jego radą.

Powiedziawszy to z naciskiem i wielką powagą, Kala Rama przeszedł niespodziewanie w ton lekki i towarzyski.

— Wyznam otwarcie, — rzekł — iż pewnym będąc pańskiej zgody na propozycję, postarałem się z góry o mały podarek pożegnalny.

Powiedziawszy te słowa, Kala Rama przystąpił blisko do cofającego się wprost ze zdumienia Edmunda:

— O ile wiem, podobał się panu zawsze kamień, który noszę w turbanie! — dodał, pochylając w ten sposób głowę, by sir Trewelyan mógł wygodnie obejrzeć klejnot.

Wężowy kamień?... O tak, ekscelencjo... niezawodnie... jest on prześliczny...

— Tylko prześliczny? — spytał Kala Rama —  
Przebacz pan, miałem wrażenie, że pociąga on pana  
w sposób głębszy, bardziej tajemniczy...

— Gdy nań patrzę, jak teraz...

— O ekscelencjo, nie mylisz się pan wcale! — za-  
wołał profesor — Przed godziną niespełna mówił do  
mnie sir Edmund o tym kamieniu właśnie w tym  
sensie!

— Nie przeczę, — rzekł z wahaniem Edmund —  
nie wiem czemu, ale dziwnie oddziaływał na mnie ten  
kamień, ile razy dostrzegłem połysk jego ścięć, teraz  
atoli, kiedy z uprzejmości waszej ekscelencji mogę go  
dokładnie obejrzeć, dostrzegam tylko rzadkiej pięk-  
ności diament.

Kala Rama uśmiechnął się zlekka do siebie.

— A więc rad jestem, że się wkońcu zdecydo-  
wał na inny upominek dla pana.

Skinął na służących, którzy stojąc u drzwi, trzy-  
mali w rękach jakieś osłonięte przedmioty. Zbliżył się  
jeden w niskich ukłonach i postawił na stole przed zdu-  
mionym Edmundem bogato rzeźbioną, srebrną skrzy-  
neczkę.

— Prześliczna robota, ekscelencjo, niewątpliwie  
bardzo stary wyrób... — wybąknął zmieszany jeszcze  
ciągle Anglik.

— Główna rzecz mieści się wewnątrz, sahibie! —  
odparł Kala Rama, podając mu kluczyk.

Edmund otworzył szkatułkę, ale zaledwo odkrył  
wieko, skoczył wstecz, wydając okrzyk przerażenia.

— Spojrzenie nieznanego jogisa! — wymruczał.

Artur i profesor uderzyli niemal czołami o siebie,  
zazierając ciekawie do wnętrza, kryjącego rzecz cu-  
downą.

Na podściółce z białego jedwabiu leżał żółto-zielony kamień, zda się, bliźniak diamentu z turbanu ministra.

Jak wszystkie stare indyjskie klejnoty, nie był on szlifowany w ostre naroża, ale płasko. Zatracił przeto żywą migotliwość klejnotów europejskich, natomiast tem wydatniej ujawniło się intensywne, stałe jaśnienie mistycznej, złoto-zielonej substancji. Miał błyskotania powierzchni posiadał światłość głębi, miał sprytu posiadał kontemplacyjną mądrość.

— Zaprawdę, — ozwał się profesor — teraz dopiero rozumiem słowa starego Sakji: — Podobnie jak klejnot, drogi kamień, czystej wody, w ośmiobok starannie rżnięty, na jasnym podłożu leżący, błyszczący, jarzy się i płonie, tak płomienieje dusza po ozdrowieniu ze śmierci. Jest to blask, nad który blasków nie masz!

— Arcykapłanie świątyni sanskrytu! — zawołał minister z życzliwym uśmiechem — Dobyłeś, zaprawdę, ze skarbnicy swej wiedzy niemniej cenny klejnot, niż ja z mojej, a światłość ich obu jednoczy się z sobą przedziwnie.

Potem rzekł z uśmiechem do Edmunda:

— Przebacz, sahibie, żem sobie pozwolił na żart i wystawiłem pana na próbę! Wyszedłeś z niej świetnie i okazałeś się znawcą, odnajdując z taką pewnością prawdziwy kamień węzowy. Poza sobą, nie znam doprawdy człowieka, ktoby tego zdołał dokazać przy dziennem świetle. W ciemności rzecz to łatwa, bo kamień węzowy wydziela słabe jaśnienie, które zresztą stanowi jeno resztkę dawnej świetności, podobnie jak osłabły jego prastare, rzekomo inne, niezrównane zalety. Legenda o nich, oraz o sposobie w jaki dostały się do



rąk jednego z mych najsłynniejszych przodków, do-  
trwała do dziś dnia w rękopisie i pan, panie profesorze,  
otrzymasz ten dokument, który panu przyniosłem  
w darze, wiedząc że milsze ci są stare legendy, niż  
klejnoty.

— O, ekscelencjo! — wyjąknął oszołomiony profesor.

— Nie jest to upominek pożegnalny, bo profesor  
zostaje nawet w wypadku odjazdu sir Trewelyana do  
Afganistanu, ale radbym otworzyć szkatułkę z rękopi-  
sem w obecności pańskiej jeno, w pracowni waszej,  
profesorze. Możebyśmy tam poszli?

Edmund, zatopiony jeszcze w obserwowaniu prze-  
dziwnego klejnotu, ocknął się na te słowa i uświadomił  
sobie nagle niezwykłą sytuację, w jakiej go postawił  
niespodziany dar.

— Ekscelencjo! — zawołał w chwili, gdy Kala  
Rama uczynił już gest pożegnania — Nie mogę w ża-  
den sposób przyjąć takiego daru! Poza cudownymi  
własnościami, klejnot ten to ogromny majątek!

— Dla mnie, — odparł minister — majątek nie  
ma wartości. Jestem bogaty, jak pan wiesz, sahibie,  
a niedługo, bardzo niedługo będę bogatszy, niżli  
sobie pan możesz wyobrazić. Kamień ten, zdaniem  
mojem, winien posiadać ten, dla kogo ma on naj-  
większą wartość. Człowiekiem tym właśnie pan jesteś...  
Nie odmawiaj pan, sahibie... proszę bardzo! A tak-  
że nie domagam się innego podziękowania, prócz tego,  
byś pan przystroił się w ten kamień jutro wieczór,  
na festyn ogrodowy radży. Spotkamy się tam...  
do widzenia, sahibie!

Edmund chciał się wykręcać, ale popadł w wa-  
hanie, a tymczasem minister przystąpił już wraz z pro-  
fesorem do drzwi, które otwarł sługa.

Nagle powziął inne postanowienie.

— Ekszelencjo, proszę bardzo, — rzekł, postępując kilka kroków — jeszcze słówko!

Kala Rama zwrócił się doń, spoglądając ze zdumieniem.

— Dar waszej ekszelencji, tak niesłychany, jaki ofiarować mógł jeno Kala Rama, dar, który mnie oszalał i czyni niepewnym, żali mi go przyjąć wolno... słowem, dar ten odebrał mi swobodę umysłu, tak że zupełnie zapomniałem o pewnej, małej sprawie osobistej, któraby mnie była dziś jeszcze zawiodła do pałacu waszej ekszelencji, gdyby nie zaszczyt pańskiej wizyty. Nie jest to może nawet nic tak ważnego, ale radbym rzecz wyluszczyć tylko w obecności mego sekretarza i kuzyna.

Zdziwiona mina Artura świadczyła wymownie, że nie jest wtajemniczony.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, sahibie! — rzekł Kala Rama — Profesor raczy mnie usprawiedliwić na chwilę! Niezadługo przyjdę do pańskiej zacisznej pracowni i wręczę swój skromny upominek.

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

### Romal.

Słucham pana, sir Trewelyanie! — powiedział Kala Rama, gdy się zamknęły za profesorem drzwi, ale gestem ręki odmówił zajęcia miejsca i mimo uprzejmości, całem zachowaniem podkreślił wyraźnie, że ma nadzieję, iż sahib będzie zwięzły i poruszy tylko najważniejsze rzeczy.

Edmund musiał zauważyć te oznaki, ale nie uczyły one wielkiego wrażenia na pewnym sobie Angliku.

— Pozwoliłem sobie, zatrzymać na moment waszą ekscelencją, a to celem spytania o thagów! — powiedział tonem najzupełniej swobodnym — Stoimy dziś w znaku tych nader interesujących, hinduskich rycerzy księżycy i szerokich rozłogów. „*The Delhi Gazette*“ rozpisywała się strasznie o trzydziestu powieszonych niedawno w Saugorze. Zakładali sobie pono sami stryczki i skakali z rusztowania, nie chcąc przez dotknięcie parji utracić czystości kastowej i iść skalani w zaświaty. Czyż to nie podziwu godne? Niesłychane jest to zreszenie tysięcy zawodowych morderców, złączonych w bractwo, o tajemniczych obrzędach i tajemnej mowie, zrozumiałej tylko dla członków. Pełno ich wśród wszystkich stanów, a mimo to tak

są zakonspirowani, że nikt o nich nie wie, natomiast thag z Himalajów, spotkawszy thaga z przyłądka Komorin, poznaje w nim na pierwsze wejście dusiciela Kali. Czyż przesadzam? Wynika to, zda mi się, z samego procesu.

— Tak jest w istocie, sahibie.

— Ekscelencjo! Zaręczam, w Anglii uważano by to za bajkę, w tej Anglii, gdzie mnie, Bogu dzięki, niema! Drzę cały z radosnego wzruszenia, iż żyć mogę w kraju cudów, gdzie napotkać można takie przygody.

— Nie powiem, bym uważał thagów za najzbożniejszą sektę Indyj!

— O, naturalnie, ze stanowiska urzędowego racja zupełna. Ale ekscelencja wie przecież, że jestem potrochu poetą i zrozumie, iż rzecz ta podnieca w sposób niesłychany mą fantazję. Widzę tu świetny temat do poematu w guście Tomasza Moora, a raczej może Southeya... nieprawdaż, Arturze? Toby mnie wsławiło! A do kogoż mam się zwrócić, jeśli nie właśnie do waszej ekscelencji, regenta niezawisłego państwa? Nie zbrakło waszej ekscelencji zapewne doświadczeń na tem polu, to też ufam, że prośba moja nie spotka się z odmową. Są tutaj thagowie... nieprawdaż?

Artur spojrział bardzo, bardzo przelotnie na ministra i zauważył, że ten dostojnik uważa za rzecz zgoła poniżej swej godności omawianie literackiej słabostki. Zawstydział się też potrochu z powodu tak rażącego nietaktu kuzyna, który zdawał się zapominać o swym stosunku do Kala Ramy. Ale słysząc ostatnie pytanie, zauważył coś szczególnego w tonie głosu Edmunda i, popatrzawszy nań, dostrzegł w jego oczach jakieś, jakby czajenie się, oraz humorystyczne

niemal drganie dolnej szczęki. To go zdumiało i czekał z zaciekawieniem na ciąg dalszy.

— Przykro mi, że pana rozczaruję, — odparł Kala Rama — ale thagowie nie zaznaczyli tu oddawna niczem swego istnienia, odnośnie zaś do ich języka miło mi oświadczyć, że posiadam w bibliotece rzadkość, słownik narzecza thagów i chętnie go panu oddam do użytku.

— Jestem waszej ekscelencji niesłychanie wdzięczny, chociaż, co prawda, przykra to rzecz poprzestawać jeno na książkach, gdy można czerpać natchnienie z samego życia. Okropna to rzecz, być pieśniarzem thagów, a żyć w miejscu, gdzie ich niema! O, biada mi! Muszę tedy, widzę, pakować manatki, bo jak wasza ekscelencja wie, artysta stawia ponad wszystko dzieło swoje! To prawdziwa szykana! Wszędzie po angielskich kolonjach roi się od thagów, całemi wagonami zwożą ich co tydzień do sądu saugorskiego, a tu, w prawdziwych Indjach ani słychu... Czyżby naprawdę nie było ni jednego?

I znowu błysła mu chytrość w oczach a wargi ściągnął uśmiech humorystyczny, drwiący niemal, tak że to zwróciło uwagę ministra.

— Nie powiadam, że tu niema thagów, — odparł, — stwierdzam tylko, że dawno nie zaznaczyli niczem swej obecności. Przed siedmiu laty znikło towarzystwo, złożone z dwunastu osób, mała karawana kupiecka pomiędzy naszą stolicą a Gwaljorem. Czynu dopuścili się niezaprzeczalnie thagowie, ale nie stwierdzono, czy zbrodnię spełniono po tej, czy drugiej stronie granicy.

— I nikt nie uszedł z pogromu?

— Nie jest w zwyczaju u thagów pozostawiać kogokolwiek przy życiu. Nikt się tem pochwalić jeszcze nie zdołał chyba.

— Nikt... naprawdę? Ach jakże to zajmujące! O ile pamiętam, czytałem nawet, że groby kopią dla ofiar jeszcze przed ich zaduszeniem.

— W istocie. W każdym razie „grabarz“ to u thagów osobistość ważna. Jeśli wierzyć tradycji, dawniej bywało inaczej. Zostawiano poduszonych na miejscu, a bogini Kali, która jeździ na tygrysie, przybrana w naszyjnik z czaszek, pożerała zwłoki. Pewnej atoli, księżycowej nocy jakiś ciekawy thag, obejrzawszy się, zobaczył straszliwą Kali, zajęętą jedzeniem. W obu rękach trzymała po trupie, trzeci zaś wychylał jej się do połowy z paszczy. Rozgniewało to boginię do tego stopnia, że przysięgła, iż nie będzie już zjadała zwłok. Dopiero po długich prośbach złagodniała o tyle, że użyczyła swym wielbicielom jednego ze swych zębów celem zakopywania pomordowanych.

— Jest to zapewne ów czekan, o którym ciągle mowa podczas przesłuchiwań?

— Tak, czekan jest symbolem owego daru bogini i każda banda go posiada. Robią go w sposób tajemniczy wielce i przed każdą wyprawą poświęcają rytuałem nader długim i zawikłanym. Thag, noszący ów czekan, posiada w bandzie godność najwyższą, zaraz po przywódcy, i każdej nocy zakopuje go w obozie w miejscu bezpiecznym, zwracając ostrzem w stronę, w którą się udają! Jeśli kierunek ten jest niekorzystny, to czekan obraca się sam w inną stronę i wskazuje ostrzem, gdzie banda ma iść nazajutrz. Dawnemi czasy wrzucano czekan do studni, skąd sam wracać miał do rąk swego nosiciela. Pewien thag, którego

przesłuchiwałem, twierdził z całą pewnością, że sam to widział, a mianowicie podczas pierwszej wyprawy, w której brał udział jako dorosły i wtajemniczony członek bandy. Zazwyczaj idą z bandą nawet mali chłopcy. W czasach późniejszych czekan zatracił podobno swą moc, albowiem thagowie dopuszczali się rzeczy wzbronionych i zaniedbywali tego, co było przepisane. Tylko niektóre bandy Dekhanu, przestrzegające wiernie przykazań Kali, posiadają dziś czekany, tą własnością obdarzone. Ów thag wcale nie odczuwał żalu za popełnione moderstwa, przeciwnie, uważał je za czyny zbożne. — Nie myśmy pozabijali ludzi, — mówił — jeno bogini naszemi rękami, jesteśmy wszakże bezwonnemi narzędziami dewów. Każdy zawód jest nam przeznaczony przez Opatrzność. — To prawda! — powiedziałem mu — Mnie Opatrzność przernaaczyła na sędzię, a przeto nie ja cię powieszę, ale Opatrzność mojemi rękami! — Oto kilka szczegółów z własnego doświadczenia, które panu może posłużą do pańskich poetyckich zamierzeń.

— O, niezawodnie! Jestem waszej ekscelencji niesłychanie wdzięczny. Wiedziałem dobrze, że nie doznam zawodu. Ten czekan wychodzący ze studni, to kapitalna rzecz! Ale równie świętą, jak on rzeczą jest zapewne poświęcany ręcznik, którym duszą ofiarę. Wyznaję, że budzi we mnie specjalne zainteresowanie. Jakże go to zowią... zaraz...

— Romal.

— Tak... tak... romal! — zawołał Edmund, notując sobie nazwę — Czy ekscelencja widziałeś go kiedy?

— Raz jedyny. Był to prosty, bawełniany ręcznik na stopę szeroki, a cztery długi, koloru żółtego. Ale

może być też podobno biały. Na jednym końcu miał wyszyte białym jedwabiem jakieś tajemnicze znaki, umieszczone tam zapewne podczas uroczystości poświęcenia, co odbywa się w pewne, określone, księżycowe noce przy ofiarowaniu bogini czarnej kozy.

Edmund nakreślił pospiesznie kilka słów i zamknął notatnik.

— Raz jeszcze dziękuję najgoręcej waszej ekscelencji za te cenne informacje. A teraz pozwolę sobie odprawić pewną ceremonję i wręczyć podarek małej wprawdzie wartości, ale budzący pewne zainteresowanie. Z pamiętników dziadka wiem, że w północnych Indjach panuje pewien obyczaj. Ile razy zbliża się ktoś niższy do wyższego stanowiskiem, ofiarowuje mu małą, jedwabną szarfę. Ta oto nie jest jedwabna, ale może, przypuszczam, spełnić i tak swą powinność.

Rzekłszy to, dobył z kieszeni na piersiach zmięty kawałek materji i, rozprostowawszy go w rękach, podał ministrowi.

Artur skoczył z bezwiednym okrzykiem zdumienia.

Był to wąski, długi, biały, bawelniany ręcznik. Na jednym jego, zwieszonym z rąk Edmunda końcu widniały wyszyte żółtym jedwabiem, mistyczne znaki.

Nawet oijentalny spokój Kala Ramy doznał przelotnego wstrząśnienia.

— Tak, — powiedział, obejrzawszy znaki — To romał... bezsprzecznie romał. Czy wolno spytać w jaki sposób dostał się w ręce twe, sahibie, okaz tak rzadki?

— W sposób najsluszniejszy, zaiste, ekscelencjo, bowiem romał ten przeznaczony został na mą własną szyję. Nie wiem, coprawda, czy nasz szanowny sztucer stołeczny podobałby sobie w takiej krawatce, chociaż jest dość duża i ma tę zaletę, że starczy raz na zawsze.



Ta ostatnia uwaga skierowana była do Artura, gdyż trudno przypuścić, by sława sztucerów angielskich i ich krawatów miała dotrzeć aż do Kala Rami. Ale Artur przejęty do żywego niebezpieczeństwem, jakie zagrażało kuzynowi ze strony tajemniczych morderców, nie odpowiedział zgoła uśmiechem, co wcale nie uradowało Edmunda, który lubił, by jego dowcipy czyniły wrażenie.

— A więc mam przed sobą człowieka, — rzekł Kala Rama — który może się pochłubić, że był w ręku thagów i nie tylko ocalał, ale przyniósł piękny łup.

— Nie całkiem byłem w ich ręku, ale mnie więcej tak się stało. Jeśli wasza ekscelencja raczy usiąść, opowiem wszystko dokładnie.

— O, proszę bardzo o to! — odparł minister, zajmując miejsce. Wąskie jego, przedziwnie wycięte wargi zacisnęły się bardziej jeszcze, a spojrzenie ciemnych oczu wyrażało skupienie. Pojawienie się thagów, o czem świadczyły stanowczo słowa Anglika, dotknęło go bardzo, postanowił też surowo ukarać zbrodnię, byle jeno schwytano sprawców.

— Ekscelencja zna pewnie małą ruinę świątynną powyż nullachu w górach?

— Stara to kapliczka Kryszny... znam ją oczywiście dobrze.

— Po wycieczce łowieckiej skorzystałem ze sposobności i poszedłem obejrzeć ten zabytek sam jeden, jak przystoi poecie. Wracając, stanąłem na wyżu, zasłanym złomami skał i porośłym jeno krzewami kaprowemi, dzikim mirtem i aloesami.

Kala Rama skinął na znak, że zna i to również miejsce.

— Otóż zauważyłem tu, że nie jestem tak samotny, jakbym pragnął. Po obu stronach skakały nagie, brunatne postaci, o ruchach kocich i podejrzanych wielce. Dzikusy kryli się, gdym stawał, ale za pierwszym krokiem wychodzili na nowo. Nie jestem bojaźliwy z natury, ale mimo to przemknęło mi przez myśl, że nie jest to chyba moja świta honorowa. Odwiodłem kurki strzelby i stwierdziłem, że pistolet, oraz sztylet mam pod ręką.

Kala Rama potrząsnął głową:

— Nie wieleby to panu pomogło, sahibie! — rzekł.

— W istocie. Uratowało mnie coś całkiem innego. Ujrzałem nagle o kilka kroków Hindusa, jakby wyrosłego z pod ziemi. Zrazu pewny byłem, że to przywódca. Przemówił on do opryszków, ale z wielką złością i gwałtownością i nie w narzeczu hindi. Kilka razy pochwyciłem wyraz: t̄hotani...

— Jest to imię tajne bogini Kali, używane przez thagów! — objaśnił minister.

— Acha! Domyśliłem się tego po trochu. Palnąwszy im długie kazanie, zakończył płomiennym jakimś zwrotem, uczynił władczy gest, a draby rozbiegły się na wszystkie strony. Zbawca mój przemówił do mnie... o dziwo... po angielsku i zaofiarował mi towarzystwo swoje aż do wyjścia z pośród dżunglowych zarośli, co oczywiście przyjąłem z wielką podzięką. Mieliśmy już ruszać, gdy spostrzegłem na krzaku aloesu coś białego. Ten oto ręcznik zawisnął na kółkach liści. Jakże wielkie musiało być wrażenie, wywołane na dusicielu przez owego Hindusa, jeśli nie spostrzegł zguby romalu, albo nie śmiał poń wrócić!

Kala Rama skinął zadumany:

— Musisz pan wiedzieć, sahibie, — rzekł — że jeśli thag miał już w rękach romal, a inaczej nie byłby został na krzaku, to była to chwila ostatnia. Zbawca nie przybył ani sekundy za wcześniej. Jakiż to był człowiek i jak wyglądał?

— Uważam go, wedle ubrania za wędrownego jogisa i tem tłumaczę sobie też wpływ jego na thagów. Musieli go uważać za świętego, inaczej zamordowaliby nas obu.

— Mógł to być również jakiś dostojnik thagijski, który skarcił lekkomyślność mordowania w biały dzień Anglika, którego zniknięcie poruszyłoby świat i wyszło, w tym zwłaszcza czasie na niekorzyść sprawy Bhotani. Dowiedział się pewnie za późno o wszystkim i zdążył ledwie, by zapobiec morderstwu. Uważam to objaśnienie za najprawdopodobniejsze.

Edmund potrząsnął głową:

— Nie mogę uwierzyć, by to był thag. Powiedziałem już profesorowi, że przypominał wedycką postać Jainawalkji. Widziałem, go, przeto mogę pojąć strach, jaki wzbudził w zabobonnych, religijnych sekciarzach, jakimi są thagowie. Kto go raz ujrział, nie zapomni.

— Zaciekawiasz mnie pan wielce, sahibie. Czy mógłbym prosić o opisanie mi go?

— Trudno to będzie, obawiam się. Miał niemal pański wzrost, ekscelencjo, na ramiona spływały mu ciemne loki, a rozdzielona broda, oraz regularne rysy, upodobniały go do naszego typu Chrystusa. Ale najszczególniejszem było spojrzenie jego głęboko osadzonych oczu, którem to może właśnie obezwładnił thagów, podobnie jak pogromca zwierzęta. Nie dziwiłoby mnie to wcale. Czy jest tu ktoś może podobny do tego opisu?

— Nie może to być człowiek miejscowy.

Kala Rama potrząsnął głową, ale lekki uśmiech majaczył w kątach jego ust. Artur spostrzegł, że uśmiech ten błysnął w chwili wzmianki Edmunda o nagłym zjawieniu się zbawcy, w miarę opowiadania, obejmował coraz to bardziej twarz starego ministra, a teraz tlił wciśnięty w wargi.

— Założyłbym się, — pomyślał — że Kala Rama zna owego „niemiejscowego“ człowieka i tylko chytrze unika odpowiedzi! Ale nietylko to! Z jakiegoś, niewiadomego powodu, poza faktem ocalenia Edmunda, obecność tego człowieka jest mu bardzo na rękę.

— W całej tej sprawie nie rozumiem jednego punktu, — rzekł Kala Rama, dotykając palcami romalu — a właśnie punkt ten jest nader ważny dla mnie i mych zadań najbliższych. Thagowie są rozbójnikami, są to religijnie sfanatyzowane zwierzęta drapieżne, ponad wszystko jednak rabusie. Dlatego też napadają niemal wyłącznie Hindusów, którzy, jak wiadomo, podróżują z kosztownościami, przytem chcą uniknąć rozgłosu z powodu zamordowania Europejczyka. Otóż chroniło pana przed thagami raz pochodzenie europejskie, a powtóre brak kosztowności, jakich się przecież na polowanie nie zabiera. Musiał w ich zamiarze tkwić tedy motyw inny i to bardzo silny, jeśli przeważał strach przed Europejczykiem. Nie starczy powiedzieć, że thag to zwierzę drapieżne, sfanatyzowane religijnymi wierzeniami. Możliwe, żeś pan przy zwiedzaniu świątyni dopuścił się jakiegoś naruszenia przesądów religijnych?

— Nie sądzę, ekscelencjo! Coprawda, niezbyt byłem zbudowany ohydnym majestatem Kali, ale pozatem nie mam na sumieniu żadnej profanacji.

Kala Rama zaprzeczył ruchem głowy takiemu objaśnieniu.

— Może więc ściągnąłeś pan na siebie czyjąś prywatną zawiść? Gdyby dotyczący był thagiem, wszystko by się wyjaśniło.

— Nic o tem nie wiem, ekscelencjo. Chyba tylko gniew bogini zaciężył na mnie.

— Przy pomocy analizy rozumowej nie dojdziemy do niczego! — zadecydował Kala Rama. — Ale mamy inną, gdyż na szczęście przypadek dał nam w rękę samo święte narzędzie. Dziwiłoby mnie wielce, gdyby ten romal dzisiejszej jeszcze nocy nie wpędził nam w ręce sprawcy zamachu morderczego. Coprawda, nie mamy ni chwili do stracenia.

Kala Rama wstał i uniósł lewą dłoń do czoła.

— Sahibie, — rzekł — życzę panu po tym burzliwym dniu spokojnej nocy! Ale, oto jeszcze jeden szczegół ciekawy dla pańskiego poematu: wierność kobiet thagijskich weszła w całych Indjach w przysłowie. Niejeden radza mógłby pozazdrościć tego thagowi.

---

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

### Rękopis.

Wyszedszy do przedsionka, zastał Kala Rama swych ludzi, oraz profesora Eichstädta, który sam chciał zaprowadzić ministra do swej pracowni.

Dość długi czas oczekiwania skracał sobie uczony rozmową z sekretarzem Kala Ramy, inteligentnym, młodym Hindusem, który nie był jednak tak biegły w ortodoksyjnej Wedancie, jakby sobie życzyć można. Profesor tłumaczył mu wyższość Sankary nad wszystkimi przeciwnikami jego i starał się wpoić, by starannie rozróżniał exo- i esoteryczny punkt widzenia, czyli jak powiada Sankara, pamiętał co jest *apara vidya* i *para vidya*, to jest niższa i wyższa wiedza. Zachęcał go, by trzymał się ostatniej, jako niezmyślanej prawdy, zaś literalne ujmowanie tekstu w miejscach zwłaszcza, gdzie mówi o Bogu osobowym, pozostawił „duchom powolnym,“ jak je zwie Sankara.

Młody bramin słuchał uczonego z uprzejmą uwagą i nabożeństwem w wyrazie twarzy i gestach, w duszy zaś rachował przerażony, ile razy będzie się musiał oczyścić, oraz jaką masę odprawić modłów, celem odzyskania czystości kastowej po tak licznych zetknięciach z sudrasem. Uniesiony zapalem profesor brał

raz po raz małą, brunatną dłoń Hindusa i ścisnął ją po ojcowski w swych wielkich, czerwonych łapach.

Wejście ministra zakończyło strach bramina i natchniony wykład profesora. Skinął na sekretarza, pokazał mu romal i wyjaśnił sytuację w kilku zwięzłych zdaniach. Bramin przejął się tem widać tak, że popielista szarość okryła mu policzki. Na wieść o grasowaniu thagów pod samem miastem uczuł drżenie w kolanach. Kala Rama zapytał go ostro, czy nie chory, ale zaprzeczył i z napięciem słuchał rozkazów. Otrzymał polecenie, by poszedł natychmiast z romalem do dyrektora policji. Należało wybrać najtęższych ludzi, oraz wziąć najlepszego psa ze sfory radży i na miejscu szukać śladów. Pokazał mu naddarty koniec ręcznika i podkreślił, że na kolanach aloesu musiało zostać kilka nitek. Ten ślad należało dać powąchać psu i postawić go odrazu na tropie.

— Wedle ludzkich obliczeń — dodał Kala Rama — przypieczętowany jest już los posiadacza romalu, zwłaszcza że bogini nie zechce także chronić sługi, który porzucił świętą jej szarfę. Pościg trwać musi, choćby przyszło sięgnąć Himalajów. Ty zaś wrócisz natychmiast i zdasz mi sprawę. Przyślij również łódź, bo wrócę wodą, chcąc zażyć wieczornego chłodu.

Odprawiwszy sekretarza, przeprosił profesora, że mu pozwolił czekać zagnalony sprawami rządowemi i oświadczył, iż uda się z nim chętnie do zacisza jego pracowni.

Pokój, do którego weszli, znajdował się na końcu kurytarza i miał okna od przeciwległej strony domu. Było tu chłodniej, niż w pokoju ogrodowym, ale też duszniej, a powietrze przesycił pył uczoności. Wszędzie, nietylko na półkach, ale gdzie było trochę bodaj miej-

sca, stały, leżały i wały się książki. Napół rozcięte broszury, cuchnące jeszcze farbą, i oprawne tomy, wonejące klajstrem, stare, popleśniałe foljanty i plamiste pergaminy, najwidoczniej dokumenty z epoki mogolskiej, wielkie walce kartonowe z wyrysowanymi starannie podobiznami napisów skalnych, wszystko to wytwarzało specyficzną biblioteczną atmosferę. Dominowały jednak dwa zapachy czysto orjentalne, mumjowaty odór rękopisów palmowych, oraz nieznośny, słodkawy zapach drzewa santalowego, z którego zrobione były szkatułki na dokumenty, lub też okładziny palmowych rękopisów, w postaci prostych deseczek. Wisząca w powietrzu resztką dymu tytoniowego była, zaiste, zachodniego pochodzenia. Różne fajki o długich cybuchach, z porcelanowymi głowami, stojące po kątach, świadczyły dowodnie, że profesor hołduje dawnym nawyczkom studenckim, zaś kosztowny nargil, czyli t. zw. hubble-bubble, stojący widocznie jeno dla ozdoby, na bocznym stoliku, stwierdzał, iż tego rodzaju stylowo hinduski sposób rozkoszowania się paleniem nie odpowiada indologowi.

W pokoju nie było z pozoru nikogo. Wchodzący zrazu nie zobaczyli dwu istot żywych, tu przebywających. W jednym kącie, gdzie musiał kiedyś być wąż, albo szczur, węszył Garuda. Pani jego przebywała też widocznie niedaleko. Leżała w istocie na niskiej ławie bambusowej z głową utopioną w olbrzymim foljancie. Dzieło to, najbardziej pogardzone przez uczonego, coś jak czandala całej biblioteki, którego rozmiary przyniosłyby zaszczyt każdemu szkolarzowi, był to słownik gwary hindostańskiej. Amandzie nie przyświecał, coprawda, cel naukowy. Pochwyciła



trzy, czy cztery słowa z rozmowy Czandry Singha z zausznikiem i sądziła, że, poznawszy ich znaczenie, wpadnie na ważny trop. Ale wysiłki jej zostały dotąd daremne i inaczej być nie mogło. Nie wiedziała bowiem, że szukać ich trzeba w haniebniejszym jeszcze dziele, w słowniku ramassi, tajnego dialektu thagów, który, co prawda, nie przewędrował jeszcze z biblijoteki ministra do pracowni profesora.

Wejście ojca nie wyrwało dziewczyny z zamyślenia, a skoczyła dopiero jak oparzona, słysząc, że ojciec przeprasza ekscelencję za nieład w pokoju panujący.

Spiesznie przyglądała włosy, wypęzłe ze starannej fryzury, poprawiła suknię, która przyswoiła sobie nienależyte fałdy, i spojrzała z bezsilną skruchą na podejrzany cień, zdobiący z przodu białą jedwabną bluzkę. Była w pełnej gali, gotowa na wizytę u rani. Ubrała się już dawno, ale słysząc od służebnej, że Edmund rozmawia z ministrem, a więc widzieć się z nią nie może, chciała spożytkować godzinę na schwytanie jedynej może sposobności poznania treści podejrzanых słów. Nie była dla niej przeszkodą toaleta, bo w każdym razie postanowiła przestrzec Edmunda jeszcze przed wyjazdem do pałacu. Delikatna suknia nie nadawała się, za prawdę, do studjów w pokoju ojca, a pozycja, zajmowana przez ostatni kwadrans, nie była stylowo zgodna z jej powierzchownością, ani też korzystną dla tejże. Przy temperamencie Amandy tego rodzaju konflikty pomiędzy strojem, a zachowaniem nie były rzadkością, chociaż, uświadomiwszy to sobie (co nie zawsze miało miejsce), odczuwała „straszny“ wstyd. Dziś był podwójny powód do tego, bo właśnie minister orientalny musiał ją tak zastać.

Twarz, zaróżowiona już pozycją i wysiłkiem szukania, pokraśniała bardziej jeszcze od zakłopotania i daleką była od jednostajnej bladeści wschodniej, gdy składała dostojnikowi głęboki ukłon. Czuła, że ten, jak ojciec mawiał „wielbiciel rani“, musi ją uznać za „strasznie“ brzydką. Nie było tego jednak jakos widać, albo może stary dworak udawał tak dobrze, bo wszystko świadczyło przeciwnie, iż mu się bardzo podoba młoda Niemka z tem swoim zakłopotaniem. Kala Rama, traktujący Amandę zawsze życzliwie, dziś specjalnie serdecznie uściskał jej dłoń i zaręczył, że cieśzy się, iż tak dobrze znosi klimat Indyj. Potem przebaczył łaskawie profesorowi nieład pracowni i oświadczył, że nie przybywa tu w charakterze ministra ale ucznia.

— Ach! Cóżto za cud! — spytała Amanda, patrząc na przepiękną rzeźbioną szkatułkę z kości słoniowej, którą służący Kala Ramy postawił na stole.

— Nie dziw, że pytasz! — powiedział rozradowany indolog — A jednak to cudo jest jeno osłoną zewnętrzną czegoś nierównie cenniejszego. Ekscelencja podarował mi rękopis, prastarą legendę, wyjętą z kroniki własnego rodu.

— Oby tylko nie rozczarował pana, profesorze sahibie, ten rękopis! — zauważył minister, podając mu kluczyk i uśmiechając się swawolnie.

Uczony otwarł drżącą dłonią szkatułkę. Rękopis nie był, jak się spodziewał, sporządzony na liściu palmowym, ale na mocnym listowym, angielskim papierze i napisany został z wielką cierpliwością, nieślychanie poprawnie... po angielsku.

— Ależ, ekscelencjo, wszakże to pański charakter!

— Przyznaję się do winy! W istocie sam spisałem tę prastarą tradycję rodową po angielsku, dla wprawy,

w wolnych godzinach, ale nie "wymyśliłem niczego," nie dodałem niczego, czegoby nie zawierały stare odpisy. Samo tylko ujęcie rzeczy zbliża się do ducha zachodu.

— Ależ to jest jeszcze bardziej interesujące! Rękopis, ba, nawet utwór duchowy Kala Ramy! Któż się może poszczycić takim darem? O, jakże mam waszej ekscelencji podziękować za tak wysokie odznaczenie? — paplał profesor, nie mogąc ukryć w zupełności rozczarowania z powodu tego *qui pro quo*.

— Za całą podziękę, proszę jeno o pobłażliwość, zarówno pana, profesorze, jak i drogą memsahib, która jest, zda mi się, surowszym jeszcze sędzią.

Amanda spuściła ze wstydem oczy pod przekornym spojrzeniem ojca.

— Ach! Można by pomyśleć, że ekscelencja sły-  
szał jak niedawno urągałaś poezjom sir Edmunda! —  
powiedział córce, potem zaś dodał: — O ile znam gust  
mej córki, to utwór ekscelencji nie wywoła chyba przy-  
gany z jej strony.

— W takim razie radbym zaraz uczynić próbę  
i odczytać państwu pewien ustęp... — rzekł Kala  
Rama, biorąc pierwszy arkusz rękopisu.

Ojciec i córka podziękowali z radością za tę nie-  
spodzianą propozycję i pełni zaciekawienia zajęli miej-  
sca na bambusowej ławie. Amanda miała nietylko  
literackie powody do zainteresowania. Uczuła instynk-  
tem, że Kala Rama nie ulega jeno chętcie popisania  
się własnym utworem, ale ma w tem pewien cel i chce  
jak najprędzej zapoznać oboje z treścią rękopisu.

Rozparty wygodnie w bambusowym fotelu, jął  
Kala Rama czytać pełnym, czystym głosem spisaną  
przez się legendę o kamieniu węzowym.

---

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

### Wężowy kamień. Ustęp pierwszy.

**W** półtora wieku po nirwanie doskonałego męża, panował w kraju naszym, gdzie już zaczęła podówczas rozkwitać nauka Buddy, młody, sprawiedliwy książę, imieniem Narada. Był przywiązany do nauki, słuchał słów mistrza i ochraniał zakon. Podobnie jak wielki władca, cesarz Asoka, który niedługo po nim zjednoczył całe Indje pod swem berłem, nie znał szlachetniejszego zajęcia, niż dbanie o dobro wszystkich.

Ale świat ten nie jest widownią pokoju, to też nawet ten łagodny, spokojny książę uczuł się zmuszonym do prowadzenia długiej, krwawej wojny.

Mieszkańcy północnej części państwa, w kraju pagórkowatym, przytykającym do Himalajów, wystawiani byli na ciągle napady dzikich plemion leśnych, wówczas jeszcze nieposkromionych. „Czarni“ ci, żyjący jak małpy na drzewach i jak węże po jaskiniach, porywali naszym ludziom bydło, nadewszystko jednak dzieci i zabijali je na ofiarę szkaradnym bożkom swoim.

Pewnego chłodnego popołudnia król zażywał wyczasu w pałacowym parku. Wraz z wodzem swoim Mahimsasą leżał w cieniu olbrzymiej figi o stu pniach i słuchał nabożnej, a uczonej zakonnicy, Isidasi, recy-

tującej jedną z mów mistrza. Zbożne zajęcie przerwało jednak niedługo wejście ubogo przyodzianej kobiety, która, wiodąc za ręce dwoje dzieci, stanęła przed królem i padła mu do nóg. Z poleceniu Narady wolny był doń przystęp każdemu, kto przychodził z prośbą.

— Dostojny królu! — zawołała — Weź pod opiekę tych dwoje dzieci. Dużą odbyłam drogę, by je umieścić bezpiecznie. Przybywam z północnych okręgów i proszę o pomoc dla tych malców, którym jednego brata porwali dzicy małpoludzie i zabili na ofiarę bożkowi, a tyś panie temu nie przeszkodził.

Tak zuchwałe słowa, zawierające nawet naganę, przeraziły dworaków, ale król kazał opowiedzieć wszystko kobiecie, która zalana łzami zdała sprawę z wielkiego napadu „czarnych,” pomordowaniu mieszkańców, zabranii bydła i spaleni całej wsi. Prócz jej syna, skradli oni też dużo innych dzieci.

Narada porwał się za włosy, rozdarł szaty i zawołał:

— O biada mi! Jakiegoż się dopuściłem grzechu, że w państwie mojem możliwe są takie okropności, a ja jestem bezsilny!

— Czemuż, o królu posiadasz więcej ziemi niżli możesz obronić? — powiedziała kobieta, której ból odjął wszelki wzgląd na to, co się godzi.

Zaszemrały groźne pomruki dworzan, a wódz zawołał:

— Kobieto! Jak śmiesz w ten sposób mówić do swego władcy?

— Mahimsaso! Nie gniewaj się, proszę, na tę kobietę! Gani mnie ona słusznie, jak czuję teraz. To też słuchajcie wszyscy mego ślubowania: Nie będę słuchał zbawczych słów mistrza, które właśnie przerwało

wejście tej biedaczki, dopóki nie przywrócę na północy spokoju, jaki panuje u innych granic i, pokonawszy czarnych, nie zabezpieczę życia i mienia wszystkich mych poddanych.

Złożywszy to uroczyste ślubowanie, rozkazał jednemu z dworzan zająć się kobietą i jej dziećmi, a potem polecił jednemu z wodzów przysposobić wszystko do wyprawy wojennej, na której czele sam chciał stanąć, powierzając staremu wodzowi swemu Mahimsasie zarządzanie państwem w czasie swej nieobecności.

Mahimsasa skłonił się głęboko i rzekł:

— Racz, ulubieńcze bogów, królu mój i panie, wysłać przeciw tym rabusiom mnie, sługę swego.

— O nie, drogi Mahimsaso! — odparł Narada — Liczysz już siedmdziesiąt lat i należy ci się zasłużony dobrze spoczynek.

— Racz wysłuchać mnie, o królu! — prosił starzec nagłaco — Byłem sługą twego ojca i wygrałem z dwadzieścia wojen. Ale pewny jestem, że ta właśnie będzie jedną z najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych, a to z powodu braku dróg po skalistych przepaściach i lasach oraz dzikości mieszkańców tych okolic. Dobry król, którego życie jest drogie, nie powinien go narażać, zły może to natomiast uczynić, gdyż niewiele kraj wraz z nim traci. Cóż dopiero, kiedy jak tu, król jest osobą niemożliwą do zastąpienia. Gdyby, nie daj Bóg, coś się złego zdarzyło tobie, o panie, na tron wstąpi brat twój przyrodni, książę Ajatasattu. Wszyscy znamy uporny i popędliwy charakter jego, przezco byłby wprawdzie zdatnym do boju, ale musiałby przedtem nauczyć się słuchać przełożonych i władać sobą. Osiadłszy zaś na tronie, stałby się nieszczęściem całego kraju, przeciwnie jak ty, o królu, który jesteś jego bło-

gosławieństwem. To też, ulubieńcze bogów, panie mój i królu, racz wspomnieć dobro swych poddanych i wysłać mnie, Mahimsasę, sługę swego, sam zaś zostać w stolicy i nadzorować wszystkie cztery stany.

Szmer pochwalny dworaków poparł tę mądrą prośbę.

Narada dał się przekonać, że obowiązek władcy nakazuje mu zostać, a staremu wodzowi zdać losy wojny, i usłuchał, choć z ciężkiem sercem.

Wojownicy spieszyli radośnie pod chorągiew Mahimsasy, której nie spodziewali się już ujrzeć w polu, i w kilka dni po wyrzeczeniu tych słów przez króla po dolinach i jarach górskich sunęły rzesze mężnych, które się z nich miały wyłonić po długim dopiero czasie i straszliwie zmałałe.

Owi czarni mieszkańcy jaskiń skalnych nie przypisywali sobie, jak Arjowie, pochodzenia boskiego, ale przyznawali sami, że się wywodzą od małp, a potwierdzały to dowodnie zarówno ich rysy twarzy jak i długie, żylaste ramiona. Napinali wielki łuk palcem stopy, a strzały ich przenikały na wylot słonia. Na wojnie używali też strzał, zaopatrzonych miast kolcem, półksiężycowatym ostrzem, które odcinało przeciwnikom głowy, albo ramiona, zaś podczas ataku wydawali taki wrzask, że płoszyli z początku najstarsze nawet słonie. Nie stawali nigdy do boju, jeno walczyli z zasadzki i stawiali wytrwały opór w wąwozach, zamkniętych przedtem kłocami drzewa i złomami skalnymi, skąd często strącali ogromne głazy na naszych wojowników. Nie byli tedy bohaterami, ale na terenie rodzimym tak groźnymi przeciwnikami, że prześcigali najsłynniejszych bohaterów.

Mahimsasa czynił w tych warunkach powolne jeno, ale stałe postępy i dotarł nakoniec do stolicy czarnych,

położonej w kotlinie niezbyt szerokiej. Miasto było oparte o ściany skalne, a z przodu chronił je mur wyższy niż wzrost człowieka. Tutaj stawił nieprzyjaciel zacięty opór, a po zwaleniu muru bronił się krok za krokiem pomiędzy kamiennymi chatami.

Zachodziło już słońce za pałające chmury, skłębione groźnie ponad wąwozem górskim, gdy ostatecznie przyparto czarnoskórych do kąta pod prostopadłymi murami skał.

Tutaj ujrzeni nasi wojownicy coś niezwykłego. W miejscu, ku któremu spędzono czarnych, znajdowała się ciemna grotta, ponad nią sterczał potężny, wyższy jeszcze od niej blok piaskowca, wykuty prostacko w kształt tygryziej głowy, tak że jaskinia tworzyła otwartą paszczę, a kanciasty ornament sklepienia naśladował zęby. Kły porobiono ze stalaktytów, добыtych z głębi jaskini. Małpoludzie spędzeni tu wyglądali jakby mieli zostać wszyscy łupem olbrzymiego tygrysa o krwawej paszczęce.

W tej chwili powstał sędziwy Mahimsasa z polyskliwego howdahu na grzbiecie swego słonia, który go nosił w stu bitwach, a tak był pokiereszowany bliźniami od strzał i mieczów, jak stara jedla uderzeniami pioruna, i głosem donośnym, przygłuszającym szczęk oręża, okrzyki bojowe i pieśń śmierci czarnoskórych, obwieścił łaskę tym wszystkim, którzy rzucą broń i przysięgną posłuszeństwo królowi Naradzie. Pewna część nieprzyjaciół usłuchała, ale większość walczyła do ostatniego tchu, ginąc pod wyszczerzonymi kłami tygrysa. Żaden nie śmiał szukać schrony w jaskini, mieszczącej największą świętość ludu, bóstwo, do którego zbliżać się mógł jeno kapłan z ofiarą. Ale on leżał już także jako ofiara przeszyta strzałą, tuż przed paszczką tygrysa.



Teraz rozważył mądry Mahimsasa w sercu swoim, że zajęcie i zburzenie miasta niewiele zaszkodzi tak dzikiemu szczepowi, o ile zostanie nieuszkodzonym posąg bóstwa, któremu składają hołdy. W takim razie wszyscy, rozsypani jeszcze po lasach i grotach skalnych, napadający dotąd na jego placówki i przecinający łączność wojsk, uważaliby się za niepokonanych. Jeśliby zaś posłyszeli, że zniszczało ich bóstwo, natenczas złożyliby hołd zwycięzcy.

Dlatego też powtórnie podniósł głos i oznajmił, że zamierza wejść do tygryziej paszczy i roztrzaskać maczugą wojenną posąg bóstwa czarnoskórnych. Skończywszy, kazał uklęknąć słoniowi i zszedł na ziemię.

Na tę wieść ożyły oblicza czarnych, jeńcy, patrzący tępo i ponuro, posłali sobie tajemniczy uśmiech, a kornający unieśli głowy i zazgrzytali ohydnie zębami z uciechy. Z pod tygryskiej paszczy zabrzmiał głuchy, chrapliwy śmiech kapłana, który zamarł w rżeniu skonu, ale wrócił echem szatańskim od wnętrza góry.

Pobledli najdzielniejsi nawet wojownicy, a starszyzna obstępiała umiłowanego wodza, tłumacząc, że czyha tam nań zasadzka, o czem dowodnie świadczy radość wrogów. Błagali, by wziął z sobą przynajmniej zastęp najlepszych wojowników, a najgoręcej prosił o prawo towarzyszenia młody brat przyrodni króla, książę Ajatasattu, nie mogąc wytrzymać, by nie wziąć udziału w tak rzadkiej przygodzie. Nikt nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo zagraża w głębi pieczary, czy jest natury ludzkiej, czy szatańskiej, ale wszyscy przekonani byli, że to coś straszego.

Ale Machimsasa odmówił. Trudno rozstrzygnąć, czy mu podszeptała mądrość, że uczyni dużo większe wrażenie na dzikich jeśli sam, jako wódz naczelny, roz-

trzaska posąg, czy go też pociągnęła żądza sławy, po-  
nętna dla mędrca nawet.

Mężny starzec wkroczył sam jeden w paszczę,  
która zaraz zwężała się w gardziel. Wąski chodnik,  
wykuty jeno na rozmiary mężczyzny, wiódł prostą  
linją w głąb góry, to też zachodzące słońce oświetlało  
mu drogę, łamiąc się na połyskliwych kryształach  
i drogich kamieniach, wyrastających ze ścian, niby  
grzyby z ziemi. Mając słońce za sobą, dotarł daleko,  
a w chwili, gdy miało mu nie dopisać, stanął w skle-  
pionej grocie.

Ściany wyłożone były rozlicznymi klejnotami,  
ze stropu spływały stalaktyty krystalicznej czystości,  
niby sztuczne wisiory, a podłoga była wygładzona i tak  
dobrze odbijała promienie słońca, jakby komnata znaj-  
dowała się na powierzchni ziemi. Ale prócz słońca do-  
chodziło tu inne jeszcze, zielonkawe światło od strony  
skośnego chodnika, połączonego z tą halą.

Dokładnie pośrodku stał mały ołtarz, z wielką  
cysterną jaspisową, czerwono i żółto prążkowaną.  
W dnie jej tkwił wielki diament, który, zda się, wchłaniał  
i promieniował z powrotem całe światło. W ten  
sposób wgłębienie cysterny wypełniał połyskliwy fluid,  
a wewnątrz leżała czaszka, prawdopodobnie dziecięca,  
a tak pusta, jakby jej zawartość została łakomie  
wyskana.

Machimsasa westchnął:

— Poto więc kradną nasze dzieci! Tutaj je pro-  
wadzą! Zaprawdę, widzę, że cała wyprawa na nic, jeśli  
powtarzać się będzie nadal ta uczta.

Sędziwy wódz przesunął palcem po kłindze mie-  
cza, potem zaś podostrzył ją na gładkim brzegu cy-

sterny, przyczem posłużyła mu wielce odrobina śluzu, przywarta do obramienia.

W chwili, gdy ruszyć miał w dalszą drogę, pośliznął się i, spojrzawszy na dół, dostrzegł na lustrzano-gładkiej podłodze śluzowaty pas, biegnący od stóp ołtarza w głąb skośnego chodnika.

Czoło Machimsasy okryły zmarszczki zadumy.

Wiedział już teraz, jaką postać ma złowrogie bóstwo tej świątyni.

Ujął w lewicę nagi miecz, obrócony ostrzem w górę, tak, by go przerzucić szybko do prawej, w której dzierzył maczugę, i wkroczył w chodnik, na końcu którego drgało zielonkawe światełko.

Chodnik był tak niski, że rosły wódz musiał iść nieco pochylony. Końca widać nie było, ale musiał być w pobliżu. Machimsasa uświadamiał sobie, że ta część drogi jest najniebezpieczniejsza, a każda napaść musiałaby go położyć trupem. To też kroczył tak szybko, jak tylko pozwalała na to pochylona pozycja, oraz ostrożność konieczna w drodze po śluzowatym pasie, biegnącym pośrodku. Na odgłos jego kroków zaczęło coś syczeć z przerwami, sucho, a jadowicie.

Nagle stanął u wyjścia i zobaczył węża. Siedział z podniesioną głową, gotowy do skoku, pod przeciwległą ścianą celi na podwyższeniu, rzecz można, na kupie diamentów. Miał średnią wielkość pytona, ale rozpostarty kaptur, obrzeżony wiankiem rubinów, świadczył, że jest to kobra, którego potężne dwa jadowite zęby, podobne kłom dzika, świeciły zdala.

Pośrodku czoła miał on wielki żółty klejnot, wysyłający jaśnienie, a światło to, odbite od niezliczo-

nych kryształów i diamentów i rozproszone wielokrotnie przepajało wnętrze celi półblaskiem.

Nie tracąc chwili, wskoczył Mahimsasa do celi i cisnął maczugę, która trafiła kobrę w lewą stronę głowy, roztrzaskując jeden z jadowitych zębów. Wódz uskoczył w prawo i w chwili, kiedy wąż uderzył nań niezręcznie i chwiejnie skutkiem otrzymanego ciosu, głowa, pozbawiona z tej strony jadowitego zęba, pchnęła go tylko trochę w bok. Zanim gad mógł skrócić kark, by go dosięgnąć prawym zębem, miecz Mahimsasy odrąbał mu głowę tuż pod kapturem. Mimo to reszta ciała usiłowała, obyczajem węzów, oplątać mu nogi i powalić o ziem. Byłoby to nastąpiło niezawodnie, gdyby miał słabsze mięśnie.

W odciętej głowie było jeszcze dużo życia. Podskakiwała ona przy pomocy ruchliwego kaptura po podłodze i, spozierając płomiennymi oczyma na walkę, czyhała snadź na chwilę sposobną, by utopić w stopie wojownika jadowity ząb, a potem zrósć się z odwłokiem. Parskając i sycząc, widziała, jak Mahimsasa tnie jeden po drugim splot cielska i jak te kawałki skaczą po ziemi, daremnie chcąc się połączyć z sobą.

— Musiał to być — powiada stary kronikarz — zaiste, widok wspaniały. Ta głowa, oświetlająca czołem celę pełną diamentów, a pośród niej sędziwy bohater, otoczony bezsilnie drgającymi szczątkami pytona, o twarzy bezbrodej, jakby ze spiżu wykutej. Zaiste twarz to sannyasina, ale ożywiona spojrzeniem władcem, godnem męża rady i czynu, o orlim nosie, co przypomina niebiańskiego gryfa Garudę. O, szczęśliwy to zaiste mąż, któremu danem było położyć koniec straszliwemu obrządkowi. W tej jaskini był on jedyną od praczasów chyba, czcigodną istotą ludzką.

Trudno opisać, jak radośnie powitano go, gdy wyszedł.

Tłum, zebrany przed wejściem do paszczy tygryziej, czekał na Mahimsasę z niepokojem i zaciekawieniem wielkiem. Trwoga wojowników naszych wzrastała, aż doszła do głośnych skarg i pytań, zaś wrogowie nie mogli ukryć radości. Ściemniło się, księżę Ajatasattu zażądał pochodni, by wkroczyć do jaskini i ocalić, lub pomścić wodza, zadowolony potrosze, że weźmie udział w przygodzie.

W tej chwili dostrzeżono w głębi ciemnej paszczy żółtawe światełko, a gdy podeszło bliżej i rozpostarło swój blask u wnijścia, poznano rosłego Mahimsasę i spostrzeżono, że światłość bije od diamentu przy-mocowanego do przepaski czoła.

Z uniesieniem przypadli doń wojownicy, brali za ręce i obejmowali jego kolana, zaś żołnierze krzyczeli rozgłośnie z radości, budząc liczne echa. Rozbrojeni wrogowie wskazywali nań i wołali, lub mruczeli: — Ma kamień węzowy... to mąż nieśmiertelny... pan kamienia węzowego... władca świata!

Tarzali się na brzuchach, liżąc jego stopy.

W ten sposób składali hołd naszemu wielkiemu Mahimsasie czarni potomkowie małp i rodacy tygrysów.

Zwali go „władcą świata,“ on zaś chciał być jeno sługą króla Narady. Dla niego to poskromił dziki lud, który, jak słusznie przewidział, odtąd nie stawiał wcale oporu. W nagrodę, po powrocie zasypyany został zaszczytami i podarkami, ale najwyższej cenił sobie życzliwość króla swego, który nietylko go pytał zawsze o radę w ważnych sprawach państwa, ale zwierzał mu się też z prywatnych rzeczy i czerpał pełną dłońią

z jego doświadczenia. Najchętniej przebywali obaj pod potężnym figowcem, słuchając recytowanych przez pobożną i uczoną Isidasi mów mistrza, a często też w trudniejszych punktach nauki mądry Mahimsasa dawał niezwykle trafne wyjaśnienia.

Dokonawszy zadania życia, radby był czcigodny starzec oddać się praktykom religijnym, zamieniając białą odzież pana domu, na żółty płaszcz mnicha. Ale od tego kroku powstrzymywał go wzgląd na wierną służbę królowi, oraz trwające dotąd uroki życia.

Mahimsasa stracił przed laty żonę, która go nie obdarzyła potomstwem, to też wspaniały pałac wydawałby mu się pustym, gdyby nie rozbrzmiewał w nim często ptaszęcy głosik dziecka.

Dzieckiem tem była Amara, córka jego znacznie młodszego brata, Baku. Mimo, że z kasty był wojownikiem, poświęcił się sztuce, został wielkim bu-downiczym i rzeźbiarzem. Miał już z pięćdziesiąt lat, gdy mu żona powiła córeczkę jedyną, bo zaraz potem zmarła. Było to dziecko najpiękniejsze pod słońcem. Złociste kędziory otaczały różową twarzyczkę. Było to zamię zwycięstwa rasy aryjskiej, prześwietlającej przez wieki niezliczone, od czasu, kiedy nasi wedyccy pradziadowie wkroczyli w te dziedziny. Dużo krwi czarnej przesiąkło do rasy z wszystkich stron i domieszka ta pozbawiła nas w znacznej mierze bohaterstwa. Uśmiech jej był jak błysk słońca przez jesienne chmury, a kogo objęła drobnymi ramionami, nie wiedział czy śmiać się z radości, czy ronić łzy smutku, tyle uczucia promieniowało od tej istoty.

Była też rozkoszą oczu i serca ojca, a bardziej może jeszcze stryja. O niej to myślał sędziwy wojownik, stojąc w hali podziemnej, rozświetlonej zachodem

i lśnieniem klejnotów, i ostrząc miecz na ramie cysterny jaspisowej. Była mu genjuszem wszystkich pomordowanych tu dzieci, podobnie kochanych przez krewnych. To też chociaż go radowały wielce zaszczyty i podarki króla i całego ludu, otrzymane za powrotem, to najmilszym był wianek z kwiatów, który mu zarzuciła na szyję Amara w chwili, gdy ją podniósł i całował na powitanie. Dziecko składało mu niejako podziękę dzieci-ofiar za pomstę i za ocalenie życia dzieci nienarodzonych jeszcze.

Mahimsasa pieścił Amarę, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

Wychowywał ukochaną bratanicę jak najtroskliwiej i strzegł jej baczenie, a to tem bardziej, że doznawał pewnej, nieokreślonej trwogi w chwilach, kiedy dziewczynka, siedząca na jego kolanach, spoglądała pożądliwie na kamień węzowy u turbanu i wyciągała doń rączki, tak że musiał go jej dawać do zabawy. W takich chwilach czuł, że ogarnia go cień paszczy tygrysa i nie mógł się opędzić myśli, jakoby ukochanemu dziecku, w młodocianym jeszcze wieku zagrażało jakieś wielkie niebezpieczeństwo. To też postanowił być stróżem i opiekunem Amary, zwłaszcza, że uznał ojca jej za nieodpowiedniego człowieka. Podziwiał twory artystyczne brata, ale nie uszły też jego bacznosci wady artysty, jakie zazwyczaj obciążają adeptów sztuki, nie pozwalając im osiągnąć istotnej, wewnętrznej wielkości. Pomijając już próżność, artysta roztapia się w dziele swoim i, patrząc ciągle, nie spostrzega wielu rzeczy, w ten sposób zaniedbując obowiązki swoje. Jeśli je nawet dostrzega, to pod kątem nadziei, lub w cieniu obawy, to też do końca życia zostaje dzieckiem i nie dorasta na

męża. Zdarzają się wyjątki, ale Baku nie był wyjątkiem.

Taki sąd wydał Mahimsasa, obserwując po-  
błaźliwie, ale bystro brata swego i postanowił zastą-  
pić ojca dorastającej dziewczynce, która mu odpła-  
cała z nawiązką miłość jego.

Mahimsasa umiał sobie tedy dawać radę za-  
równo na wojnie, jak i czasu pokoju, znajdując zawsze  
pole działania dla serca i umysłu. Inaczej było z księ-  
ciem Ajatasattu. Daremnie pragnął Narada skiero-  
wać umysł młodego, bardzo uzdolnionego brata przy-  
rodniego na własne, umiłowane studia nad tem co  
wieczyste, daremne też były jego wysiłki, by zająć go  
pokojową działalnością w państwie. Nawet nadzieja  
objęcia dowództwa wojsk po sędziwym wojowniku,  
do czego się wielce nadawał, nie mogła pogodzić nie-  
cierpliwego, żądnego czynu człowieka z odległym  
celem w sposób stały i systematyczny. Z wielką ra-  
dością przyjął Ajatasattu wieść o wybuchu wojny  
pomiędzy dwoma władcami sąsiednimi i wbrew prze-  
strogom Narady oddał się na usługi słabszemu, któ-  
rego sprawa nie była przytem słuszna, mniemając,  
że w ten sposób osiągnie najprędzej sławę. Przybył  
też istotnie i pozostał na dworze sprzymierzeńca, z po-  
wodu, jakoby, wydatniejszych łowów w tych stronach,  
a właściwie dlatego, by uniknąć oczu Narady, bacznie  
obserwujących jego postęпки. Niedługo potem, gdy  
potężny król Jawańczyków \*) zalał niezliczonymi woj-  
skami Pendżab, Ajatasattu co prędzej pospieszył z po-  
mocą władcy tego kraju, Porusowi, wziął udział w nie-  
szczęśliwej bitwie nad brzegami Jehlamu i od tej pory

---

\*) Jawańczyków, to znaczy, greckich Jończyków — Alek-  
sander Wielki.



sluch o nim zaginął. Brat oplakiwał go i czcił jego pamięć jako bohatera, poległego w walce z barbarzyńcami.

Tymczasem Narada pojął żonę, pewną księżniczkę z nad Gangesu, słynnej urody, którą nazywano: Mahamaja, to znaczy: wielka złuda. Jeśli bowiem nasz świat zmysłowy jest jeno złudą, to największą złudą, najbardziej uroczym niejako haftem na zasłonie Mai jest właśnie miłość zmysłowa, wcielona, zda się, w tę właśnie kobietę. Dlatego zwano ją Mahamają i nikt, z wyjątkiem Mahimsasy, na całym dworze nie był wolny od oszołomienia czarem jej piękności. Jeden tylko sędziwy wódz wytykał to i owo, ale wiadomo, najmędrszy nawet nie jest bez ułomności, a przytem korciło starca, że wszyscy wielbią Mahamaję, nie bacząc jego Amary, tak różnej od królowej, jak dzień od nocy. Amara wyrosła na śliczną dziewczęcę. Stary dumiał z goryczą nad tem, że wszyscy do znudzenia wysławiają kształty tamtej demonicznej kobiety, a nie dostrzegają uroku niebiańskiego postaci Amary, przytem zaś wziął wielce za złe bratu, że kształty królowej zaklął w jedną z rzeźb swoich.

Mahamaja zapalała śmiertelną nienawiścią do słynnego i mężnego człowieka, który nietylko nie był wrażliwy na jej piękność, ale ważył się przeczyć temu, i na którym spelzły wszystkie wysiłki pozyskania go dla siebie, najmniejszy zaś z tych wysiłków uczyniłby z każdego mężczyzny najpodleglejszego służalca królowej. Wpływowi starca przypisywała również fakt, że miast coraz to bardziej gustować w przynęcie pieśczoł, mąż ochłódl znacznie po roku pożycia. Przepuszczenia królowej były po części uzasadnione. Choć bowiem Machimsasa nigdy słowem nie wyraził

żału z powodu wyboru króla, to Narada zanadto nawykł do starego przyjaciela, by nie miał czytać w jego myślach i stąd powstała zaródź zniechęcenia do żony, którą już poznał nawskroś.

Zresztą Mahamaja nigdy nie kochała męża, a od początku odczuła dysharmonję duchową między nim a sobą. Gorzki to był jednak dla dumnej, nawykłej do hołdów kobiety napój, gdy spostrzegła, że początkowa namiętność męża gaśnie nieodwołalnie, a wskrzesić jej nie mogą ani powaby piękności, jakie otrzymała w darze od natury, ani sztuczki i sposobiki, wyuczone od ayach, biegłej w wiedzy miłosnej.\*)

Nimbavati, siostra mleczna, którą z ojczyzny swej zabrała, musiała cierpliwie słuchać wybuchów rozpacz i wysilać umysł dla wyszukania jakiejś pociechy, czy nadziei, gdyż inaczej dostojna siostra mleczna dokuczala jej strasznie.

Nieraz w takich wypadkach wspominała Nimbavati, że wszystko jest zapewne karą ze strony Lakszmi\*\*), rozgniewanej za to, że w tym roku zaniedbała urządzić uroczystości lamp.

Uroczystość ta odbywała się jak następuje:

W okolicach nadgangesowych, skąd pochodziła Mahamaja, udawały się pewnych księżycowych nocy dziewczęta i młode kobiety nad świętą rzekę, lub któryś z jej dopływów, z glinianemi lampkami kształtu łódki, opatrzonemi w płonący knot. Lampki te składały na wodzie. Jeśli nie rozbijały się, nie utknęły na piasku, lub w porostach, nie zostały stłuczone przez wir, ale płynęły spokojnie z falą, rzucając połyski, niby wiejące chorągiewki, znaczyło to, że bogini przyjęła

---

\*) Ayah — piastunka.

\*\*) Małżonka Wisznu, bogini szczęścia.

laskawie hołd i posiadaczka takiej lampki może liczyć na spełnienie pragnień, jakie żywi w sercu.

— Ach, daleko jesteśmy od świętej Gangi! — wzdychała Mahamaja — A nawet żadna z rzek tego nieszczęsnego kraju nie wpada do niej!

— Nic na to nie poradzimy! — podsunęła praktyczna siostra mleczna, chcąc jeno wyrwać swą panią z rozpaczny — Lakszmi nie weźmie nam za złe tego, co nie jest naszą winą, ale winnyśmy uczynić wszystko, co możemy. U stóp góry pałacowej płynie rzeka, dość obfita w wodę teraz właśnie, w deszczowej porze roku, a niezbyt rwąca. Tam puścimy na fale nasze lampki za parę dni, podczas pełni księżyca. Jest to właśnie pierwsza pełnia jesieni, przeto trudno o lepsze warunki. Jeśli lampki nasze dopłyną szczęśliwie do jeziora to zaświta nam nadzieja, moje zaś pragnienia dotyczą jeno twego szczęścia, o pani moja.

Mahamaya objęła i uściskała Nimbavati.

— Droga siostró! — zawołała — Jesteś mą zbawicielką! Ale jakże się tam dostaniemy? Za nic nie puszczą nas samych. Jeśli zaś, jak wiesz, obecność jednego już mężczyzny niweczy całe znaczenie ofiary, to cóż mówić o zgrai trabantów i strażników!

— Już ja to załatwię sama! Strażnik wejścia do cenany \*) sprzyja mi wielce, a chociaż nie znam jeszcze strażnika, pilnującego furtki ogrodowej, to mam dość czasu, by mu zawrócić głowę. Wmówię weń, że chcę nauczyć jedną z twych służebnic pewnej gry ojczyściej, mogącej się odbywać tylko we dwie. Czyżby miał tak twarde serce, by mi w tem przeszkadzał? Jeśli cię tylko nie weźmie za przebranego mężczyznę; nie zabroni nam pewnie iść razem nad rzekę.

\*) Cenana — kobiece komnaty.

Tak mówiła Nimbavati z chytrą lekkomyślnością, właściwą wszystkim kobietom od czasów Kryszny i Radhy, a Mahamaja nazwała mleczną siostrę po-  
nownie swą zbawicielką.

Wszystko poszło, jak to sobie umyśliła Nimbavati. Najbliższej nocy księżycowej stanęły siostry mleczne pośród lesistej doliny, przeciętej małą rzeczką, zmierzającą ku odległemu o kilkaset kroków zaledwo jezioru. Powierzchnia jeziora przebłyskała poprzez gałęzie i krzewy, a bliżej pędziła woda szybkim nurtem, połyskując w księżycu, lub zapadając w cienie, idące od skał.

Zrzuciły okrycia, gotowe do obrzędu. Wonne, muślinowe szaty, srebrno-szare i pozłociste, spadające od paska szytego perłami do stóp w złotych obrączkach, nie mogły im przekadzać w niczem. Stały, trzymając płonące spokojnie lampki w prawej dłoni, lewą zaś dzierżąc pręt, przeznaczony do kierowania tych glinianych łódek.

Za moment obie lampki tańczyły na wodzie, płynąc z prądem. Mahamaja i Nimbavati szły ich śladem, to biegnąc po łące, to skacząc z kamienia na kamień, lub nawet brodząc po wodzie, to śmiejąc się, to znów złorzeczając, lub też rzucając okrzyki trwogi, gdy któraś lampka, porwana wirem, kręciła się groźnie. Ile razy wywiodły świetlistą łódkę z niebezpiecznej sytuacji i skierowały na pełny prąd, wybuchały śmiechem, a ciągle trwały w napięciu większem jeszcze od igrających dzieci. Wszakże szło o szczęście.

Trwało to przez czas pewien i już zobaczyły ujście rzeki w jezioro, nagle jednak koryto rozpołowiło się, odchylając w prawo wąskie ramię, to szybko i rwąco, to zwolna płynącej po piasku wody. Wokół rosły krzewy,

pochylając nisko gałęzie. W tę to właśnie niebezpieczną stronę pomknęła lampka Mahamai, gdy przeciwnie lampka siostry mlecznej pozęgłowała prosto, głównym korytem, a Nimbavati pospieszyła za nią oczywiście.

Z trwogą i trudem holowała Mahamaja dalej świetlisty stateczek, aż nagle zjawiała się szatańska przeszkoda w postaci zwisającej gałęzi. Lampka stanęła, a właścicielka, skoczywszy na kamień, dosięgła jej prętem, ale uwolnić nie była w stanie. Chciała już wejść w wodę, gdy nagle nastąpiło coś, niby cud.

Z gęstego cienia tamaryndy wyskoczyła lśniąca postać, w kilku susach dotarła do lampki, odczepiła ją, złożyła ostrożnie na fali i płonący statek pomknął żywo z prądem.

Mahamaja zapomniała całkiem o śledzeniu swej lampki szczęścia, oszołomiona widokiem niespodziewanym.

Przed sobą miała mężczyznę w zbroi... ale w jakiejże to zbroi?

Ile razy widziała Mahamaja wojownika w zbroi, miała wrażenie, że jest to ślimak o ludzkiej twarzy, tkwiący w metalowej skorupie, który na rozkaz władzy zabija, albo daje się zabić. Ta zaś zbroja obciskała elastycznie od ramion, aż do stóp całego rycerza tak, że widna była poprzez nią gra jego mięśni. Od lędźwi splywały mu wiotkie rzemienie, a kotłująca wkoło kolan woda poruszała nimi, jakby igrały z nim białe ręce nimf. Nawet lśniący hełm zdawał się obdarzony życiem i jeżył grzebień, jakby chciał przyczynić wzrostu wojownikowi, oraz wysuwał naprzód przyłbicę, by oczy jego lepiej świeciły w ciemności, nie przystaniając jednak kędzierzawej brody i pełnych, widnych w świetle księżycy warg.

Takie przed nią stało zjawisko, rycerz, mężczyzna, nie ziemski wprawdzie, ale tak życiem kipiący, że nawet martwa i sztywna zbroja przeniknioną niem była.

Z ujmującym uśmiechem, pełnym uniesienia ruchem, zwrócił się rycerz ku królowej i rzekł:

— Jesteś pewnie apsarą,\*) o uroczą, pięknobrewa, a zesłaś z nieba, by igrać po ziemi. Albowiem o tej porze córki ludzkie śpią, leżąc na łóżach swoich.

Mahamaja nie była w stanie mówić.

— Czyż przeszkodziłem ci w zabawie, chcąc pomóc? Cóż czyniłaś z tą lampką? Czy miała ci przynieść szczęście?

— Przyniosła mi je już!

Mahamaja wyszeptala ledwo dosłyszalnie te słowa i zamknęła oczy, by zawrzeć niejako w duszy ten obraz.

Potem uczuła, że się chwieje.

I zaraz objęły ją silne męskie ramiona, unoszące ze światła księżycowego w głęboki, przepojony wonią cień...

Nazajutrz Mahamaja, otoczona świętą kobietą, przyglądała się w podwórzu sztukmistrzowi, pokazującemu jej tresowane ptactwo. Królowa patrzyła z zaciekawieniem jak gołębie, posłuszne rozkazom swego pana, bez zarzutu wykonywały jego rozkazy. Rozparta na ławie, rozmawiała z Nimbavati, która pochylona nad nią, słuchała pochwał oddawanych bohaterowi nocnej przegody.

— Czy nie powiedział ci, o królowo, kim jest i skąd przybywa? — spytała Nimbavati.

— O ty naiwna dziewczyno! — zawołała — Nie potrzebował mi tego mówić. Był to Rama, Kryszna,

---

\*) Apsara — nimfa niebiańska.

sam Wisznu! \*) Któż inny mógłby wyglądać tak wspaniale, tak piękną posiadać zbroję? Kiedyż go znowu zobacze? Droga Nimbavati, musisz znaleźć sposób, bym mogła tej nocy pójść nad rzekę, bo pewna jestem, że czekać mnie będzie na tem samym miejscu.

— To zgoła niepotrzebne! — powiedziała chytra siostra mleczna — Jeśli to był Wisznu, a któżby mógł powątpiewać, ... to wystarczy, królowo, jeśli spędzisz tę noc na górnej terasie pałacu, wzorem owej królowny, którą nawiedził Wisznu w postaci tkacza, jak to wiesz dobrze.

— Nie, nie słyszałem o tem! — odparła królowa, — Jakże się to stało?

Czerpała ze złotej czarki ziarnka ryżu dla gołębi, które, zażywając właśnie odpoczynku, krzątały się wokół niej, a jednocześnie nadsluchiwała z uśmiechem opowiadania Nimbavati.

— Tkaczów — prawila — zakochał się w królownie i marniał z tęsknoty i rozpacz. Miał atoli przyjaciela cieśłę, mistrza w swym zawodzie i on obiecał mu pomoc. Cieśła ów wiedział, że królowna sypia podczas gorących nocy na terasie pałacu, gdzie nikt dotrzeć nie może. Sporządził tedy statek powietrzny, nadając mu postać Garudy, orla niebiańskiego, wierzchowca Wisznu. Statek był tak urządzony, że można go było poruszać, zatrzymywać i kierować nim zapomocą ruchomego klinu. Tkacz dosiadł rzekomego Garudy, przybrany wspaniale, z tarczą na ramieniu, diademem na głowie i pojechał w nocy na terasę do królowny, którą też odrazu poślubił obyczajem gandharwów\*\*), to znaczy nie pytając rodziców, bez kapłana, hymnu wedyckiego, ni

\*) Rama i Kryszna były to wcielenia Wisznu.

\*\*) Gandharwowie — genjusze niebiańscy.

ofiary. Gdy się potem rozgłosiło, że królową odwiedza nocą kochanek, rodzice zaczęli jej pilnować, ale widząc postać boga nadpływającą powietrzem, uczuli radość wielką i dumni byli z zaszczytu, jaki spłynął na ich ród.

— Widzisz tedy, królowo, — dodała Nimbavati, — że Wisznu ma zwyczaj w ten sposób odwiedzać swą wybrankę. Jakżeby inaczej cieśli wpaść mogło coś takiego do głowy? Jeśli ci się wczoraj objawił w skromniejszej postaci, to jedynie dlatego, by cię nie przerazić i nie narazić na śmierć, co stałoby się niewątpliwie, gdybyś go ujrzała w całym majestacie, jadącego na Garudzie. Tobie atoli przystoi okazać, żeś go poznała, i dlatego musisz koniecznie spędzić tę noc na tarasie pałacu, czekając nań.

Mahamaja objęła ją, uściskała namiętnie i nazwała najmędrszą z wszystkich sióstr mlecznych świata. Zaraz też objawiła swym damom, że skutkiem duszności w komnacie zeszłej nocy spać nie mogła i rozkazała przysposobić sobie leże na górnej tarasie pałacu. Wyniesiono tam łóżko z kości słoniowej, potem królowa zmieniła je na łożo z drzewa santalowego, oraz najdokładniej wymieniła, ile i jakich chce poduszek, kolder, dywanów, stoliczków, podnóżków, oraz innych przedmiotów, a wszystko to rozkazała urządzić jak najprędzej, jakby w ten sposób pożądała przyspieszyć nadejście upragnionej nocy.

Uspokojona w ten sposób, kazała sobie pokazać kilka jeszcze sztuczek z gołębiami i chwaliła łaskawie mistrza. Ale zaraz przestała na to zwracać uwagę i dręczyła uszy Nimbavati, rozwodząc się nad swem szczęściem, że jest małżonką Wisznu. Przytem odsłoniła jedną pierś i obejrzała znak w kształcie perły,



jaki pozostawiły tam na pamiątkę zęby kochanka. Na ten widok z ócz jej spłynęły z tęsknoty łzy, których potoku wstrzymać nie była w stanie. Oświadczyła też, że nie wytrzyma do nocy, a jeśli kochanek nie zlituje się i nie przybędzie prędzej, by jej dodać sił, niechybnie zemdleje.

Posłuszna Nimbavati nie zaniedbała utwierdzić ją w nadziei, że tak się stanie.

— Otrzymamy zaraz znak! — powiedziała — Jeśli gołębie białe polecą najwyżej, to ujrzysz go rychło, królowo, jeśli atoli sine je wyprzedzą, to musisz czekać aż do nocy.

W tej chwili wszedł dozorca cenany i oświadczył, że król prosi, by małżonka zjawiła się zaraz w sali przyjąć.

Nimbavati pobladła na popiół i przeklęła wszystkie pływające lampki Lakszmi. Pewna była, że królowi doniesiono o spotkaniu nocnem, ona zaś jako główna winowajczyni zostanie rzucona w worku do jeziora.

Ale Mahamaja była spokojna. Wiedziała, że chociaż Wisznu mógł przylecieć na swym Garudzie na podwórze, by ją wzmocnić, to jednak w sali przyjąć spodziewać go się trudno. Odeszła, zapewniając, że niebawem wróci.

— Oo... — zawołała zawracając — białe gołębie uleciały najwyżej, przeto znak jest pomyślny!

W sali przyjąć zastała cały dwór, a obok tronu stał rycerz w złocistej zbroi.

Mahamaja przystanęła w progu, ledwo zdolna powstrzymać lekki okrzyk.

Narada zaś ujął dłoń nieznajomego i podprowadził go do żony.

— Powitaj, o Mahamajo, — rzekł — twego szwagra, Ajatusattu, który wraca do nas, jakby z grobu.

Ajatasattu odniósł istotnie w strasznej bitwie nad Jehlamem dużo ran, ale uszedł szczęśliwie, wraz z ranym również Porusem. Gdy Porus składać miał hołd zwycięzcy, Ajatasattu pojechał z nim do obozu Aleksandra. Młody, awanturniczny książe został olśniony nieznanym, nowym światem, nowymi ludźmi, odmienną, a także jak sądził, wykwinniejszą kulturą, obcowaniem z wytrawnymi wojownikami, którzy tyle zaznali w obcych krajach, towarzystwem jasnowłosych, pięknych dam, złożonych snadź ze złota i kości słoniowej, a nadewszystko samą osobistością zdobywcy świata. Nie mógł się wyrwać, a to tem więcej, że został niezadługo ulubieńcem Aleksandra. Chciał on być w Indjach Hindusem, ale napływający do obozu ludzie byli to sami jeno mieszkańcy okolicy Indusu i Pendżabu. Z Indyj właściwych przybył sam jeno Ajatasattu, syn królewski, podczas gdy resztę stanowili wojownicy kast niższych jak n. p. wslawiony później Czandragupta. Jeden był jeno książe krwi, który opowiadał najcudowniejsze rzeczy, jakie sam widział, o grotach przez węże chronionych, pełnych skarbów, i mnóstwie innych rzeczy, a także zaręczał Aleksandrowi, że będzie przez Hindusów czczony, jako awatar Wisznu i odrodzony Rama.

Niestety, zdobywca świata nie uległ tak wabnym pokusom, ale usłuchał przedłożeń swych wódzów i wobec coraz to głośniejszego pomruku żołnierzy zawrócił ku Persji, a Ajatasattu wędrował przez lat kilka po małych dworach książęcych okolic Indusu i południowego Pendżabu w nadziei, że w tych burzliwych czasach zdoła gdzieś pochwycić władzę i stwo-

rzyć niezawisłe państwo. Na każdym dworze istniało stronnictwo narodowe i jońskie, Ajatasattu zawsze stawał po stronie Jończyków, chcąc przy ich pomocy zwyciężyć. Raz odkryto spisek z samego początku, innym znów razem wszystko szło pomyślnie, aż do rozstrzygającej chwili podczas wieczornej uroczystości, w ogrodach pałacowych, jednak w rozpacznej walce zwyciężyli stronnicy rządu, Ajatasattu zbiegł, ratując życie i widząc, że mu się tu jakoś nie powodzi, bez zbaczania gdziekolwiek wrócił pieszo do ojczyzny.

Późnym wieczorem dotarł do skalistego wyżu ponad stolicą. Nie znając dobrze okolicy, a słysząc szmer rzeki sądził, że idąc jej brzegiem, dojdzie do celu. Zrazu szło mu trudno, potem jednak, gdy wszedł księżyc, z wielką radością znalazł się wreszcie nad jeziorem. Wyczerpany spoczął w cieniu tamaryndy i już miał zasnąć, gdy go doszły śmiechy dziewcząt. Otrzeźwiawszy, przypadł do ziemi, niby myśliwy, czyhający na łup, gotów chwycić za włosy przygodę miłosną, gdyby tak padło. Jak wiemy, szczęście go nie zawiodło.

Narada przyjął brata bardzo serdecznie i dla nagrodzenia rozczarowań obdarzył sowicie, albowiem Ajatasattu posiadał jeno zbroję, dar Aleksandra, w której uciekł z owej nocnej potyczki i potem objawił się Mahamai jako istota z innych światów.

Ta cudzołożna miłość, pobłogosławiona przez Lakszmi, trwała w ukryciu, ale kwitła bujnie, niby jadowity, gorący cień trującej rośliny. Mahamaja nic sobie nie robiła z tego, że jej kochankiem nie był Wisznu. Nie mógł on jeździć, coprawda na orle, ... a szkoda, bo byłoby to bardzo wygodne przy schadzках na teraśmie... za to jednak Nimbavati musiała wynajdy-

wać najróżniejsze okazje spotkań tajemnych. Czyniła to nader zręcznie, to też nie podejrzywano niczego, mimo że pożądliva niecierpliwość królowej, która gotowa była porzucić wszelką ostrożność, nie ułatwiała mlecznej siostrze zadania.

Ale rozkosze miłości nie mogły wypełnić serca porywczego księcia. Czemużby nie miał ziścić w ojczyźnie planów, snutych w dalekich krajach? Okoliczności sprzyjały mu nawet bardziej, jak to niebawem poznał. Nie było tu wprawdzie na dworze stronnictwa jońskiego, ale sama królowa, jako niewolnica jego, gotowa była dostarczyć wszelkich środków. Posiadała nieograniczoną władzę nad mężczyznami, tak że mogła im nawet kazać służyć swemu zdeklarowanemu kochankowi. Dalej bramini palali wielką nienawiścią ku Naradzie, z powodu, iż popierał wyłącznie zakon Buddy, a w szczególności zakonnice pod wodzą Isidasi. Z wściekłością patrzyli na malejące ciągle dochody z ofiar i bali się, że niebawem utracą cały prastary wpływ i znaczenie. Także i wojsko nie czuło zadowolenia, bo nie było nadziei na wojnę, a król budował jeno kanały i szpitale. Żołnierze pienili się, jak ogniste konie przed zaporą. Ajatasattu wszedł w styczność z niezadowolonymi, a przyboczny kapłan jego, fanatyczny i chytry Bharadvaja zacieśniał niezmordowanie te węzły.

Ambicja i nadzieja księcia wzrosły jeszcze na wieść, że jego dawny towarzysz i współzawodnik na dworze Aleksandra, Czandragupta, zdołał pochwycić władzę w Patalaputrze, jednym z księstw wschodnich, i to w sposób podobny, jaki jego samego zawiódł kilka razy. Znając Czandraguptę wiedział, że nie poprzestanie na tem, ale zaraz wciągnie w wojnę sąsiadów.

Życzył mu nawet powodzenia, bo miał nadzieję na spotkanie z nim i pewny był, że taki sudras oprzeć mu się nie zdoła. Wszystkie tedy zdobycze Czandragupty musiałyby mu wpaść w ręce, a któż wie... może całe Indje zdoła zjednoczyć pod swem berłem.

Ajatasattu upajał się tego rodzaju ambitnemi nadziejami, które rozbudził w nim pewnie duch wielkiego zdobywcy świata.

Jedna jeno zaporą dzieliła go od ziszczenia tych zamiarów, mianowicie Mahimsasa.

Spoglądający dziś na księcia jako przyszłego wodza, żołnierze od tego starca nauczyli się wojennego rzemiosła, pod jego sztandarem zdobywając rany i łupy. Nawykli spełniać ślepo najblahsze jego rozkazy, a nawet śledzić bacznie każde drgnienie brwi. Można było zaręczyć, że dopóki głos jego rozbrzmiewa i oczy rzucają spojrzenia, żaden z żołnierzy nie podniesie ręki do czynu sprzecznego z jego wolą. Ajatasattu rozmyślał tedy dniem i nocą nad sposobami usunięcia sędziwego wodza. Daremną okazała się namowa, by brat wysłał go w jakiejś ważnej misji na obcy dwór, bo król oświadczył, że starzec musi zażyć spoczynku. Pozostawała więc tylko droga gwałtu i księżę nie cofnąłby się na pewno przed tym środkiem.

Niestety, i tu stała na zawadzie przeszkoda niezmożona. Mahimsasę chronił, jak niegdyś Aswathamana z Machabaraty, kamień węzowy. Wprawdzie Aswathaman miał swój kamień osadzony wprost w skórze czoła, podobnie jak ów król kobrów, Mahimsasy tkwił jeno w złotej przepasce, nie opuszczał jednak ni na chwilę starca, czyniąc go odpornym na cięcie i pchnięcie, jakby był kolumną spiżową, a także nie-

wrażliwym na truciznę, nawet w jadle zadaną, bo tajemna moc diamentu przepajała nawskroś zetknięte z nim ciało.

---

Kala Rama złożył na stole rękopis i rzekł: — Wiedzicież tedy, państwo, jakie cudowne właściwości przypisywano w onych czasach kamieniowi węzowemu. Ale obawiam się, że utracił on je w znacznej części, podobnie jak blask jego jest jeno resztką dawnej świetności. Inaczej cieszyłoby mnie bardzo, że mogę zapatrzeć w tak dzielny amulet przyjaciela naszego sir Trewelyena, który jak sądzę, uda się w kraj tak dziki.

— Sir Trewelyan? W kraj dziki? — spytała zdumiona Amanda i spojrzała na ministra z wyrazem przerażenia, którego zrazu opanować nie mogła. Był to wyraz nader wymowny i Kala Rama wywołał go nawet może umyślnie nagłem i obliczonym zakończeniem frazesu.

— A prawda, — rzekł profesor — córka moja nie wie o tem.

— Ma ruszyć do Afganistanu, — objaśnił minister — rząd angielski wysyła go w tajnej misji do Kabulu.

Zaczął tłumaczyć sytuację polityczną i swe poglądy z tak wielką skrupulatnością, jakgdyby rozmawiał z wytrawnym dyplomatą, a nie młodą dziewczyną. Coprawda, nie było chyba dyplomaty, któryby słuchał z większem napięciem słów sędziwego dostojnika.

---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

### Niebezpieczne ścieżki.

**N**a miłość boską, cóż to ma znaczyć, Edmundzie! — zawołał wzburzony Artur, gdy zapadły drzwi za Kala Ramą — Czy naprawdę nie wiesz, kto spowodował zamach?

— Mam, być może małe podejrzenie, ale...

Edmund odrzucił wstecz głowę i uczynił gest, jakby odsuwał na bok jakiś drobiazg.

Nie odwracał oczu od otwartej szkatułki na stole, w której leżał, na podściółce z białego jedwabiu kamień węzowy, „lśniąc, błyszcząc i promieniejąc, jak po ozdrowieniu ze śmierci,” tylko... wydało mu się... nie jak prosta, dobra dusza, jeno bardziej tajemniczo i dwuznacznie w tem podwójnem, zielonem i złotawem lśnieniu.

— To jest dużo większą, dziwniejszą, a może i groźniejszą jeszcze zagadką! — powiedział — Cóż oznacza, że Kala Rama daje mi kamień węzowy? Jak sobie wytłumaczyć całe jego zachowanie? Czy rozumiesz choć trochę?

Artur wzruszył ramionami.

— Któż pojmie Kala Ramę? — rzekł — Jest to, jak sam powiedziałeś, wyjątek.

— Czyżby nas przejrzał? Oto pytanie! Może jest na naszym tropie?

— Wątpię.

— A to tajne pismo, które znał...

— Właśnie to świadczy... zaskoczony był jak my i z pewnością dostało się do koperty bez jego wiedzy.

— W istocie, był zaskoczony. Ale skądże może znać autora? A także, czemuż mu tak zależy na mym wyjeździe?

— Najprościej dlatego, że uznaje racje wuja i że jadąc do Afganistanu, musisz te okolice opuścić.

— To nie wiele objaśnia! — powiedział Edmund w zamyśleniu, potrząsając głową — Wspomnij, że powiedział, iż nie wiąże mnie z Radżputaną nic ważnego i spojrział tak znacząco...

— Przypuśćmy, że obawia się miłości pomiędzy tobą a rani. Ostatnie jego słowa wskazują na to wyraźnie... powiedział że niejeden radża mógłby tego pozazdrościć thagowi!

Edmund potwierdził.

— Możliwe. Ale chyba nie podejrzewa nic gorszego...

Edmund jął chodzić po pokoju, jak czyni ktoś niezadowolony z samego siebie.

— Tak, czy owak byłem bardzo nieostrożny! Trzeba było udać, że mi ta misja afgańska bardzo na rękę i że w istocie nie mam tu nic ważnego do czynienia.

Potrząsając głową, stanął znowu nad szkatułką i zatonał oczyma w przedziwnie lśniącem kamieniu.

— Nie chciałem przyjąć tego daru, — zaczął jakby do siebie — ale gdym się wzbraniał, usłyszałem, jakby jego głosem wypowiedziane słowa: jesteś pan zbyt



delikatny, by przyjąć mój dar, ale nie dość delikatny, by mi zabrać wszystko, co posiadam. Nie chcesz przyjąć ode mnie diamentu, ale chcesz zniweczyć całe dzieło mego życia, współ z głupimi braminami chcesz wzniecić bunt, naruszyć prawo gościnności i pochwycić w ręce władzę naczelną.

— Sądzę, że był to głos sumienia.

Edmund wybuchnął krótkim śmiechem, przeorał oburącz bujne, czarne włosy i zaczesał je na kark.

— Słusznie. Tak zwiemy tę europejską chorobę dziedziczną. O, zaprawdę, jestem za mało jeszcze Azjata. Ani mi w głowie dotąd posyłać do więzienia, jak to uczynili szlachetni przodkowi z „głupim Henrykiem,” przezacnego Nawinę Pala Dhyan Singha. Ani włos mu z głowy nie spadnie, pojedzie tylko palić swe opjum w okolicę, gdzie mu będzie równie wesoło. Zaraz po zamachu, Jang Kafur przewiezie go przez granicę.

— Widziałeś się tedy z nim? — spytał żywo Artur.

— Tak... tam, przy świątynce. Wziął odpowiedzialność za życie radży, a ufam mu, bo go znam z niezliczonych polowań na odyńce. Przytem kocha Nawinę Singha.

— I zdradza go.

— Ano tak. Wściekły jest na rządy Kala Ramy, zwłaszcza niecierpi jego nowatorstw. Zacny staruch jest gorącym czcicielem Kryszny i zostaje pod wpływem braminów. Zwłaszcza boi się, że żona nie wstąpi na jego stos pogrzebny i nie zanieśie jego duszy do swargi, to jest raju, dokąd trudnoby mu było dojść samemu, gdyż ma to i owo na sumieniu. Przytem wierzy, że ja, posiadający w żyłach krew słońca, mam większe

prawo do tronu, niż obecny radża, potomek awanturnika, sudrasa.

Artur spojrział na kuzyna nieco drwiąco.

— Uwierzysz jeszcze wkońcu, że obejmujesz jeno własne dziedzictwo...

— Tak sądzi wielu...

— Którzy mają w tem swój interes.

— Ja w pierwszej linji, a więc...

— Dawniej, coprawda, nic przykładałeś takiej wagi do rodowodów!

— To prawda. Wraz z Shelleyem i Byronem tragizowałem i drwiłem rymami na temat arystokratów i szlacheckich przesądów. Wyznaję także, że mało mi imponują owe dębowe drzewa rodowe, których korzenie tkwią pod Hastings. Co innego atoli wielotysiącletni pień rodowodu tutejszego, a jeśli „krew, to przedziwny sok,“ jak powiada goethowski Mefisto, to tem więcej powiedzieć to można o krwi boskiej! — dodał żartobliwie — Czuję się późnym potomkiem Ramy.

— W każdym razie winienesz wdzięczność niedocenionemu wielokrotnie Warenowi Hastingsowi, gdyż przezeń to dzielny pułkownik Trewelyan dostał się w tę dziką okolicę, gdzie poślubił begumę.\*)

— I to ku straszliwej pasji swej całej, wielce ortodoksyjnej rodziny! Niech Bóg da niebo staremu dziadkowi. Widzę go dziś, z brunatną twarzą, oraz srebrnymi brwiami i wąsem, jak się śmiał radośnie, gdy posadziwszy mnie konno na swym kolanie, wołał: — Trzymaj się ostro w siodle, Ed! Jedziemy z Radżputanami na dzika! W istocie winniśmy wdzięczność Warrenowi Hastings.

---

\*) Beguma — hinduska księżniczka królewskiego rodu.

— Winniśmy? — zawołał Artur pytającym wielce tonem i zapatrzył się ponuro w przestrzeń.

— O ile wiem i ty siedzisz w łódce wiozącej Cezara i jego szczęście.

— Niestety... a jednak...

— Cóż znaczy: Niestety, a jednak? Chłopcze, nie bądźże półmężczyzną jeno, który chce i nie chce jednocześnie.

— Tego nie chciałem, zaprawdę, nie! Czy sądzisz, że wsiadłem na łódź poszukiwacza przygód, by podzielić łup jego.

— Albo, mówiąc jaśniej, z ochoty do samych przygód, co na twojem miejscu uczyniłbym także. Czemuż inaczej? Czyż cię namawiałem, albo zmuszałem? Wciągnąłem cię w sprawę wówczas, kiedy to było jeno miłosne marzenie...

— O, jakże inaczej wyglądało wszystko wówczas, kiedyś mi się zwierzył pewnego wieczora na werandzie, paląc cygaro... Czyż mogłem przeczuwać, że aż do tego dojdzie? Cóż to było, ... nic nad przelotne spojrzenie.

— O tak, to jeno com pochwycił przy uchyleniu zasłony... spojrzenie... moment! Ale starczyło tego! Zda się, noc miłosna spojrziała na mnie oczyma gwiazd... o nie... więcej jeszcze... noc praświatów przeszłości, z której wstaje brząsk przyszłych dni, co niweczy poświęcę ognia, półświatle terażniejszości w którym żyłem dotąd... tego doznałem wówczas.

— Był to głos krwi, — rzucił niemal niedbale Artur, — tej mianowicie kropli krwi hinduskiej, jaka płynie w twych żyłach.

— Tak, to był jej zew, — odparł Edmund, rozpie-  
rając się w fotelu — wiem to i czuję. W ten sam sposób

trafiła ongiś serce przodka mego kwiecista strzała boga miłości, wysłana przez pięknobrewą córkę radży. Spojrzenie to dało mi życie, mnie, którym wówczas śnił jeszcze w bezkresach tego, co nie zrodzone i nieświadome... Zaprawdę, teraz oto przepaja mnie ono życiem, a raczej więcej nad to, bliźniaczą rzeczą życia, miłością, o jakiej na leniwym zachodzie nie wie nikt, i żądzą władzy, znanej jeno wschodowi.

— Ach gdybyż się skończyło jeno na pierwszym! — zawołał Artur, wstając porywczo — I byłoby dość złego w uwiedzeniu żony dobrego księcia, który ci użycza gościnności. Niestety, ten chytry bramin przejrzał cię nawskroś i z miłości tej wysnuł splot intryg, z których musi wyniknąć zbrodnia...

— Zbrodnia? — Czyż cię razi to słowo...!

— To słowo? — spytał Artur i podszedł do Edmunda z groźną niemal miną. — Wszakże przed niepełną godziną powiedziałeś sam, że Kala Rama pracą całego życia podniósł ten kraj... czy może drwiłeś tylko?

— O nie, nie... dokazał wielu rzeczy, przyznaję.

— Nazwisko Kala Ramy znane jest nie tylko w Indjach, zarówno rząd angielski, jak i każdy wykształcony Anglik...

Kuzyn przerwał mu swawolnym, chłopcym śmiechem:

— Otóż to właśnie najlepsze z wszystkiego! Myślę, lord Pembroke zostanie rażony udarem, gdy się dowie, że miał jechać do Afganistanu, zrzuciłem z władzy wielkiego Kala Ramę, którego za jego zasługi dla kultury miano niedługo podać do orderu Podwiązki.

— Zrzucisz go, a nie spadnie mu przytem włos z głowy? — spytał Artur wstrząsającym tonem.

— Oczywiście, że nie! — odparł Edmund poważnie.

— Łatwo to powiedzieć! — rzekł Artur — Ale w jaki sposób zapobiegiesz temu? Czy sądzisz, że taki Kala Rama zniesie wszystko spokojnie?

— Nie będzie niczego znosił, a właśnie piecza nad jego bezpieczeństwem stanowi twą arcy pokojową rolę.

— Moją rolę? Więc ja mam uwięzić Kala Ramę?

— Strzec go masz, drogi kuzynku!

— Niechże i tak będzie, to mimo wszystko...

— O nie! Będiesz go naprawdę i skutecznie strzegł. Umyślnie nawet upatrzyłem właśnie ciebie i oto w najlepszej wierze oświadczam, że oddasz mi wielką przysługę... Wyznaję, że gdyby ministra miało spotkać coś poważnego... ale pocóż o tem myśleć, nic się nie stanie wobec poczynionych kroków. Chodźże, Arturze, siądź tu i posłuchaj mnie.

Trochę opornie zajął Artur miejsce w fotelu, który Edmund przysunął tak do swego, by nie podnosić głosu.

— Gdy jutro wieczór ściemni się dobrze... zresztą nie... przedtem objaśnię wszystkie punkty planu po kolei, byś miał cały obraz. Jang Kafur, z którym porozumiałem się w istocie przy ruinie świątyni, stanie jutro wieczór na czele pięciuset lanc u pewnej bramy parku pałacowego.

— Przy której?

Edmund klepnął go z uśmiechem, poufale po ramieniu.

— Dobrze pytasz, współwinowajco! To właśnie najtrudniej przeniknąć. Niewiadomo przy której bra-

mie obejmie straż jeden z naszych sprzymierzeńców, a to rozstrzygnie dopiero ostatnia chwila. Wprawdzie Navina Singh nie jest podejrzliwy, gdyż go uspokoiło w pełni opium, natomiast jednak wielką ostrożnością odznaczają się stare pałacowe zwyczaje hinduskie, które władają rutynicznie. O jedenastej godzinie dowiemy się tego od rani, a Jang Kafur zarządzi jeszcze na czas, co trzeba. Ogień sztuczny będzie sygnałem zaczęcia zarazem dla tłumu, który wpadnie do parku, jak i spiskowych, wewnątrz działających. Stosownie do programu festynowego, po różnych przedstawieniach i tańcach w parku, radża przyjmie mnie na górnej tarasie pawilonu pawiego. Dostanę się doń schodami o wielu stopniach i kondygnacjach, które znasz ze słyhu. W chwili gdy tam stanę, powita mnie ogień sztuczny, a jego rakiety i snopy skier zapalą nasze miny. Lance Janga Kafura wmaszerują do wnętrza, przyjaciele nasi otoczą radzę...

— Dla jego ochrony... — rzucił drwiąco Artur.

— Słusznie... i awantura gotowa.

— Będziecie musieli wziąć również w obronę Kala Ramę. Oświadczył sam, że weźmie udział w festynie.

— W tym momencie nie będzie go już w parku, ty zaś zaczniesz działać. Wiesz, że wykończono już niemal nowy gmach szkoły, którą Kala Rama ma podarować miastu, a ludność niezbyt życzliwie na nią spoziera. Nie wiesz jednak, jak w dniach ostatnich bramini podburzali tłumy, właśnie przeciw tej szkole. Dzieci mają się tam uczyć pogardy bogów i rodziców, deptania nogami wszystkich starych obyczajów, mówienia obcemi językami, a zaniedbywania ojczystego, słowem różnych okropności, wymyślonych przez tych klechów. Wraz z zapadnięciem nocy tłum podpali ten

gmach, pożar dostrzegą wszyscy w parku, zaś Kala Rama, zaręczam, jak tu obaj zbrodniarze siedzimy, pospieszy na miejsce katastrofy, zażegnać ją swym autorytetem. Tam będziesz ty, wraz z gronem naszych najdzielniejszych ludzi, ochronisz go przed fanatyzmem tłumu i sprowadzisz tu, by mógł sobie spokojnie czytać w pracowni profesora, a tymczasem rozegra się w parku setna któraś tam, hinduska rewolucja pałacowa, o niebardzo, miejmy nadzieję krwawym przebiegu. Jeśli ci tedy idzie wyłącznie o Kala Ramę...

— O, nie, nietylko o niego! — zawołał Artur, który, zerwawszy się i odtrąciwszy fotel, jął biegać wzburzony po komnacie — Nietylko o to mi idzie! Cała rzecz, choćby ją obracać nie wiem jak, jest zła.

— Cóż znaczą te słowa w ostatniej chwili? Jeśli masz tak wrażliwe sumienie, to czemuż działałeś wraz ze mną dotąd? Nie szło ci wyłącznie o mnie chyba. W takich razach, jak powiadają marynarze: Każdy działa za siebie, a djabeł za wszystkich!

— O ile nie stanie się wedle przysłowia szkockiego: Każdy za siebie, a djabeł niech porwie ostatniego.

— Tak nie bywa, o ile ma się serce na właściwym miejscu. Sądziłem dotąd, że tak jest z tobą. Dziś atoli, widzę, serce twoje spada w spodnie i to w ostatnim momencie.

Ostatnie słowa podziałały na młodego Szkota tak silnie, że krew mu buchnęła do twarzy i odpłynęła zaraz. Bładł i czerwieniał stojąc przed kuzynem i dyszał ciężko przez chwilę, zanim mógł przemówić:

— Działalem z tobą dlatego właśnie, że mam serce, gdzie trzeba, a z tego samego też powodu nienawidzę sprawy, w której musiałem wziąć udział. Tak sprawy stoją. Co za grosz to i za dukata... sprawdziło

się na mnie tutaj. Musiałem zostać nietylko współwiedzącym, ale i współwinnym, lub odjechać stąd. A w tym ostatnim razie musiałbym opuścić Amandę i zostawić ją pośród tego całego niebezpieczeństwa.

Edmund złożył usta i gwizdnął zlekka na znak, że pojął teraz sytuację i że go to zaskoczyło.

— Ona cię tedy oczarowała? Jej to zawdzięczam? Wyznaję szczerze, przykroby mi było nie mieć przy boku wiernego Szkota, wobec otaczającej mnie ze wsząd zdrady. Tak, tak, jest to urocza dziewczyna i warta, by dla niej poświęcić trochę sumienia.

— Tak? O ile wiem, nie zwróciłeś na nią niemal uwagi, mimo, że ją znasz dłużej ode mnie.

— Owszem, zwróciłem, a gdybym tego nie uczynił wcześniej, to dziś musiałem dokonać takiego odkrycia.

Artur zaniepokoił się.

— Dziś? Jakto?

— Kiedym niedawno stanął nagle na werandzie, a wyjście wrzeszczeli jeden przez drugiego, nie mogła powstrzymać okrzyku radości. Pochlebilo mi to, gdyż widzę, że ją potrochu mój los obchodzi.

Artur zagryzł wargi.

— Szczęście to dla mnie, — powiedział nieco drwiąco — że niedługo będziesz mi już groźnym rywalem. Biorąc rani, nie możesz mi zabrać Amandy.

— Aa... co do tego... w Indiach można sobie pozwolić na wszystko.

— Edmundzie!

Musiał się cofnąć o krok przed błyskawicą szarych oczu i wściekłym wyrazem zaciśniętych warg kuzyna. Potem zaśmiał się nerwowo.

-- Ależ, człowieku! -- powiedział -- Nie bierz sprawy tak tragicznie. Nie myślę ci wchodzić w drogę.



Tylko nie paraduj mi tu konwenansami, jakbyśmy byli na Groevenor Square. Bierzże sobie germańską dziewicę, gdy ja zdobędę swą rani.

— Jeszcze jej nie zdobyłeś, Edmundzie! I niewiadomo, czy zdobędziesz! — rzekł Artur a z oczu błysła mu radość i jakaś nowa nadzieja — Widziałeś ją, o ile wiem, kilka jeno razy, zamieniliście spojrzenia, coprawda, ogniste, jak to bywa na wschodzie, poszeptaliście z sobą, zuchwałemi pewnie słowy, ale na tem koniec. Kobieta cenany może pobaraszkować z cudzoziemcem, ale daleko jeszcze do tego, o co tu idzie. Któż ci zaręczy, że nie dozna strachu w chwili decydującej i cała rzecz nie pójdzie wniwecz? Wszakże wszystko od niej przecież zawisło. Gdybyś ją posiadał, upoił do szału, uczynił swą niewolnicą, to co innego, ale nie jest jeszcze twoją...

— Nie! — zawołał Edmund, wstając z rozbłysłymi oczyma — Nie, Arturze, porzuć tę nadzieję! Uczyni to, co zechcę.

Artur spojrział nań z niedowierzaniem.

— Uczyni? Wszak festyn zapowiedziano już na jutro...

— Tak! Ale pomiędzy dziś, a jutrem leży noc księżycowa, noc hinduska i to nie pierwsza lepsza. Czandra Singh przyniósł mi wieść. Tej nocy, w miejscu, gdzie ruiny sterczą z płytkich wód nieznanej zatoki, pójdzie rani wedle prastarego obyczaju, gdy pełnia zaświeci na niebie, jeno w towarzystwie swej ayach, złożyć ofiarę Lakszmi, w postaci płonącej lampy. Jest to napoły poetyczny obrzęd, napoły zaś igraszka. Dar płonącej lampy nie będzie daremny, wierzaj mi, bogini spełni życzenie swej czcicielki.

Artur błdził oczyma po ziemi, nie dojrzał tedy triumfalnego spojrzenia kuzyna. Czuł, że ostatnia nadzieja gaśnie wobec niezłomnej energii Edmunda, który postawi na swoim.

Nagle jedno skojarzenie pojęć otwarło mu nowe widoki.

— Czandra Singh zwierzył ci ową tajemnicę? — spytał.

— Tak. Podczas łowów. Przyniósł mi tę wieść od arcykapłana, którego zadaniem jest pilnować, by podobne ofiary odnosiły skutek.

— Powiadają przecież, że sam Czandra Singh kocha królowę.

— Ano być może, nie miał zbyt wesołej miny, chociaż udawał zadowolenie. Bramin jednak trzyma go w pazurach, a jest on zabobonny, niby stara baba.

— Edmundzie! To on posłał thagów na zasadzkę.

— Domyśliłeś się i ty, widzę. Kto wie, jest on może nawet sam thagiem, wraz ze swym zacnym zausznikiem Pertabem. Dałbym się za to powiesić, choć nie zadusić. Ale nie mówmy o tej drobnostce.

— Sam nie uważałeś tego za drobnostkę, dając romal Kala Ramie.

— Ach! Urządziłem niezłą sztuczkę! Przypuśćmy, że ma on lekkie podejrzenie przeciw mnie, to cóż lepszego nad ten romal, w celu zmylenia tropu? /szakże czciciele Kali to jego najzjadlejsi wrogowie, a mnie chcą sprzątnąć. Czy więc mogę podjąć coś przeciw ministrowi, czyż mogę trzymać z jego nieprzyjaciółmi? Nic mi nie mogło lepiej usłużyć, niż ci thagowie.

Artur osłupiał. Żył przez chwilę nadzieję, że ten skrytobójczy zamach najbliższych sprzymierzeńców, rozdzieli z nimi Edmunda, oraz odwiedzie od wykonania

planu, który nawet w razie powodzenia otoczyć go musiał śmiertelnymi niebezpieczeństwami zdrady. Omylił się, ale mimo potępienia, musiał podziwiać nieustraszoną i nieugiętą wolę kuzyna, głównie zaś przedziwną elastyczność umysłu, przez którą nawet zamach, grożący życiu, błyskawicznie obrócił na swą korzyść i uczynił jednym ze środków do celu.

Edmund przeniknął te myśli i poklepał go ze śmiechem po ramieniu.

— Nie, nie Arturze! Nie dam się niczem odstraszyć. Przaswoilem sobie hasło Tippo sahiba. Lepiej przeżyć dwa lata jako tygrys, niżli dwieście jako baran. A teraz skomponuj mi słodziutki list odmowny do naszego drogiego wujaszka Archibalda. Jeź też ten klejnot — dodał przymykając wieczko srebrnej szkatułki — i schowaj go do kasy żelaznej, nie chcę by się na mnie dalej gapił.

---

## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

### Otello i Desdemona.

**W** chwili, gdy Artur opuścił pokój, maska jakby spadła z twarzy Edmunda. Znikł wyraz napiętej energii i szaleńczego rozmachu, oraz radosnej wiary w zwycięstwo. Zostawszy sam, osunął się w fotel i jął niedbale i mechanicznie przewracać papiery na stole.

Wziął w rękę mały liścik o znanym sobie widać charakterze, gdyż twarz mu oblał smętny uśmiech, jakby go ogarnęła nagle fala wspomnień młodocianych.

Trzymał jeszcze list nie otwarty, gdy weszła do pokoju Amanda. Powitał ją zwykłym uśmiechem grzeczności, który jednak nabrał ciepła, gdy skupił spojrzenie w jasnych, zdecydowanych rysach dziewczyny. Może też rozmowa z Arturem uświadomiła mu wyraziściej jej zainteresowanie sobą i podniosła urok postaci.

Rzucił list i wstał, lecz ona nie zrozumiała tego gestu.

— Może panu przeszkadzam, sir Trewelyanie, ale nie chciałabym pana wystraszać. Szukam pana właśnie, a widząc kuzyna pańskiego w drodze do kiosku, nabrałam nadziei pomówienia sam na sam.

— Bardzo mi miło, że pani raczyła to uczynić! — rzekł uprzejmie.

W tej chwili dostrzegł na stole prostokąt zielonego safjanu, tomik swych poezyj, które jej dał do czytania dnia poprzedniego.

— Ach! — pomyślał — pewnie chce mi wyrazić podziw z powodu mego „Skarbu pirata.“ Któreż serce dziewczęce mogłoby się mu oprzeć? Stoi biedaczka zakłopotana, nie wiedząc co mówić.

— Usiądźmyż tedy, łaskawa pani! — poprosił, chcąc złamać lody.

Ale Amanda stała dalej, potrząsając głową.

— Mam powiedzieć coś nader pilnego. Muszę pana przestrzec.

— Przestrzec?

Rozmowa nie miała tedy celów literackich i tak miłych, jak sądził.

— Sir Trewelyanie, — zaczęła — muszę spytać.

Umilkła i ciemny rumieniec oblał jej twarz, po chwili jednak podjęła mężnie:

— Muszę spytać, czyś pan czem nie ściągnął na siebie nienawiści Radźputanina, Czandry Singha.

Edmund drgnął wyraźnie na te słowa. Nie padło jednak z ust jego bezpośrednie zaprzeczenie, na co żywiła skrycie nadzieję Amanda. Przeciwnie, chociaż nie wyznał, poznała teraz, że o nienawiści tej wie dobrze. A przeto byli współzawodnikami o względy rani!

Serce jej zabiło i osłabła tak, że musiała przyjąć podany sobie fotel.

— O ile wiem, — powiedziała — Czandra Singh żywi ku panu śmiertelną nienawiść, a nawet więcej powiem, oto dziś właśnie dybał na pańskie życie.

— Tak? — zawołał Edmund — Pozwolę sobie spytać, z czego pani to wnosi?

— Trudno mi właśnie podać fakty. Oskarżenie jest ciężkie, należałoby je uzasadnić, a ja mam tylko zanotowane spojrzenia i miny, które dla mnie starczą, ale nie dla innych. Widzi pan tedy, ile mnie kosztuje mówić o tem. Ileż złego sprawiłabym myląc się. A mimo wszystko wiem, że się nie mylę. Pamiętam źle tajoną radość Radżputanina, gdy pana nie zastał w domu, krzykliwe zapewnienia, że niema żadnego niebezpieczeństwa, oraz gdyś pan stanął nagle na werandzie spojrzenie zawodu i wściekłości, jakie zamienił z zausznikiem swym, niemal ułomnym dzikusiem.

— Pertabem?

— Tak nazwał go pan Steel. Zda mi się, jakobyś słyszała ich rozmowę o przygotowanej zasadzce, której pan uniknąłeś, nie spostrzegłszy jej nawet.

— Aż po ostatni punkt wnioski pani są zupełnie uzasadnione — odparł spokojnie — i przynoszą zaszczyt bystrości pani.

— Aż po ostatni punkt? — spytała Amanda i spojrzała nań, pytając z wpółotwartymi ustami.

— Tak, łaskawa pani — potwierdził — i jestem pani wdzięczny, co więcej, bardzo obowiązany, żeś spostrzeżeń swych nie zataiła lekliwie, a także, jak sędzę, nikomu nie zwierzyła.

Amanda potrząsnęła głową.

— Proszę, niech to między nami zostanie, a odpłacę pani równą monetą. Dałaś mi pani pewność, tu, gdzie dotąd podejrzewałem jeno, a rzecz to dla mnie wagi ogromnej. Zasadzka owa dała mi się dobrze we znaki.

Opowiedział całe zajście, nieco jeno dramatyczniej może, niżli ministrowi, do czego go usposobiło zapewne odmienne audytorjum.

Amanda siedziała z opartem o stół ramieniem, z którego zsunął się biały, szeroki rękaw. Było ogozrzałe, o pięknych, dziecięcych niemal linjach i przechodziło przegubem nieznacznie w dłoń. Oparła na niej podbródek i siedziała zasluchana, nie spuszczać oczu z opowiadającego. Usta jej pytały o więcej jeszcze, a dyszenie piersi świadczyło, z jakim napięciem śledzi przebieg niebezpiecznego wydarzenia.

W kole bajronowsko-szelejowskim nadano Edmundowi, pośród innych, także przydomek Otella, który lubił, a którego nigdy bardziej niż w tej chwili godniejszym się nie okazał. Amanda przypominała zupełnie Desdemonę, chwytającą łakomie w ucho opowieść Otella o niebezpiecznych przejściach, grożących mu o mały włos śmiercią.

Czyż i dalej miało się dzieć jak w tekście?

Ona kochała mnie, bom zwalczył grozę,

Ja ją, za litość jaką czuła.

O miłości mowy nie było, przynajmniej z jego strony, bo interesowała go tylko wybitnie.

Z nią sprawa się miała, co prawda, inaczej.

Dlaczegożby nie mogło dojść do zakochania? Natura nie uczyniła Edmunda wzorem skromności i wiedział dobrze, jaki wywiera wpływ przyciągający na pleć piękną, a słabą.

— Ten nieznajomy uratował panu życie! — rzekła, gdy skończył, a w głosie jej drgało wyraźne wzburzenie — Któż to mógł być?

— Nie wiem. Ale na pewno wędrowny jogis, którego mieli za świętego. Domyślałem się, kto tkwi poza tą bandą, teraz atoli mam pewność. Czemże mam się odwdziżyć pani, droga panno Amando?

Ujął, mówiąc to, jej dłoń i ucałował.

— Czem? — odparła — Ostrożnością, by przyjaciele pańscy nie musieli drżeć o pańskie bezpieczeństwo.

— Teraz jestem uzbrojony! Dzięki czujności pani, przekona się Czandra Singh, że lepiej nie urządzać mi tego rodzaju niespodzianek.

Amanda wstała.

Edmund był niezadowolony z tak rychłego końca rozmowy. Zainteresowanie obudzone słowami Artura wzrosło jeszcze wobec bystrości i rozumu, jaki okazała Amanda niespodzianie, a głównie przez świadomość, że dba o niego, z czem się zdradziła. Nie chciał jej puścić. Nagle spostrzegł znowu swe poezje. Zapewne, pomyślał, pragnie pomówić o nich i dać wyraz swego podziwu, a tylko nie śmie przeskoczyć na ten nowy temat. Uznał, że ma obowiązek rycerskości dopomożenia jej w tem.

— Widzę tu — rzekł — tom mych poezyj, które dałem pani do czytania. Pochlebiam sobie, że skróciły pani trochę nudy. Czy się pani spodobały?

— Cóż zależeć może na mojem zdaniu? — powiedziała wymijająco, na czem się jednak nie poznał Edmund całkiem.

— Pochwała z ust kobiety, to najwyższa dla poetów nagroda.

Rysy Amandy oblał uśmiech pustoty, gdy rzekła:

— Pewnyś pan zatem pochwały?

Edmund drgnął, ale odparł z ukłonem, pełnym galanterji:

— Nawet przygana z takich ust byłaby mi miłą.

— Jeśli tak, to powiem, że wolę samego Byrona.

Edmund zagryzł wargi. Nie był przygotowany na coś takiego. Potem jednak odrzucił głowę wła-



ściwym sobie ruchem, który tak lubiła, i powiedział:

— Nie wstydzę się brać sobie za wzór nieśmiertelnego przyjaciela mego.

— Czyż koniecznie w poezji? Wszakże on zakończył życie wielkim czynem.

— Cenisz pani wyżej czyny? A więc, jak pani wiadomo, współdziałałem w tym czynie, a słowa pani wzbudzają bolesne wspomnienia ostatnich chwil, przeżytych razem.

— Przykro mi, że otworzyła nieuleczalną ranę. Nie miałam tego zamiaru — powiedziała ze szczerem współczuciem.

— Wiem to i udowodnię, opowiadając o godzinie rozstania naszego. Z nikim o tem dotąd nie rozmawiałem. Siedzieliśmy przy flaszcze czarnego wina, na pokładzie doskonałego bregu „Herkules“, który nas przeniósł z Genui na wybrzeża Grecji. Statek zarzucił kotwicę u skalistego przylądka Kefalonji. Na tle księżycowego nieba widniała sylweta górską Itaki, z nacięciem pośrodku, niby kamienny heksametr, wyłoniony z fal. Miałem jechać nazajutrz do Morei, osobiście zbadać stosunki. — Jeśli sprawy przyjmą charakter farsy — rzekł Byron — to przybędzie materjału do „Don Juana“, jeśli będą miały przebieg heroiczny, otrzymasz nową pieśń „Childe Harolda“. — Kto wie, — odparłem — czy gdy się spotkamy znowu, Grecja nie będzie wolna, a ty jej królem! — Gdyby żył, ręczę, że takby się stało. Byron wybuchnął śmiechem i rzekł: — Jeśli tak, na Jowisza, to powinienś wskrzesić swą krew radzowską i poszukać sobie korony w Indjach. Zasiadłszy na tronach, porzucimy obaj rymowanie! Któżby kuł wiersze, mogąc pano-

wać? – Rozstaliśmy się, ja ruszyłem do Morei, a stamtąd do Aten...

— Gdzieś pan sobie urządził harem, by jak Turek...

Urwała, przerażona słowami, których powstrzymać nie zdołała, oraz ich gorzką ironją, będącą mu istnym ciosem.

Odstąpił o krok, a ciemną twarz zalał mu nagły rumieniec.

— Skąd to pani wie? – spytał i dodał ochryplym z wściekłości głosem: – Czy może Artur?...

— Wiem to od pana samego, zamieściłeś pan tę wiadomość w przypisku.

— Prawda! Zapomniałem! — rzekł ze śmiechem i dorzucił — Pewnie przypisek ów spodobał się pani mniej jeszcze, niż wiersze?

— Nie mogłam go, oczywiście, podziwiać.

— Zresztą bardzo niedługo potem zamknąłem harem i nie spałem na różach, broniąc przez ośm miesięcy wraz z przyjacielem Odyseuszem jednej z grot Parnasu przed Turkami.\*) Nie pisywałem też wówczas wierszy. Ta zła nawyczka opanowała mnie później dopiero.

— A teraz? — spytała Amanda, patrząc nań przenikliwie.

Na pełne wargi Edmunda wybiegł uśmiech, którego nie zrozumiała, ale który jej się nie spodobał wcale.

— Teraz? Teraz nadchodzi pono znowu pora czynu, chociaż Grecja nie wzywa.

— Wzywa pana ojczyzna.

---

\*) Odyseusz, przywódca grecki, zamordowany w Atenach przez wydział obrony państwa.

— Mnie?

— Tak powiada Kala Rama.

— Ach, idzie o misję afganistańską? Zapomniałem docna. W porównaniu z oswobodzeniem Grecji, czyn ten wygląda dość jałowo!

— Ale moment dany domaga się go.

— Niech się domaga od innego.

— Jeśli jednak właśnie pan jest najodpowiedniejszym człowiekiem.

Edmund rzucił opornie głową.

— Ja mam być odpowiednim człowiekiem dla kramarskiej polityki angielskich lordów? Mam im służyć?

— Nie im, ale wyższym celom. Kala Rama powiada, że jest to moment, który na długo zadecyduje o kulturze centralnej Azji. Twierdzi, że w razie powodzenia pańskiej misji zażegnaneby zostały spory graniczne, może wielkie wojny, nie popłynęłaby krew, a skutków na przyszłość nie dałoby się wprost zmierzyć. Wyjaśnił to mnie i ojcu, a któż te sprawy zna lepiej, niż on. Oświadczył, że byłby to czyn, zgoła niewspółmierny ze sławą swą i niebezpieczeństwami, a człowiek dokonywujący go zasłużyłby się całej ludzkości.

— Miał nadzieję, że ja to podejmę?

— Był niemal pewny i chyba miał słusność. Sądzę, że jeśli można służyć ludzkości, szerzyć dobro i zapobiegać okrucieństwom, to choćby się nie osiągnęło sławy, samo uczucie podniosłego szczęścia dostateczną stanowi nagrodę.

— Przyznaje atoli, że niebezpieczeństwa są bardzo wielkie?

Amanda odwróciła głowę z niechęcią.

— Drwisz pan ze mnie i słusznie, gdyż nie mam prawa tak mówić.

— Ależ wcale nie drwię, łaskawa pani!

— Pocoż wspominać o niebezpieczeństwach, skoro pana nie mogą one powstrzymać!

Ten naiwny wykrzyk zaufania pochlebił Edmudowi w równym stopniu, jak go dotknął ujemny sąd o poezjach.

— Musi pani być bardzo odważną, panno Eichstädt, mówiąc tak lekceważąco o niebezpieczeństwach. Zresztą wiem to oddawna. W sytuacji, gdzie każda kobieta straciłaby zmysły, pani zachowałaś stanowczość, jeśli już nie spokój.

Anna potrząsnęła głową.

Zdarzenie, przypomniane przez Edmunda, a wzmiankowane też przez Artura, wyryło się w jej pamięci, bo posiadało aż nadto jaskrawizn i grozy. Ale sięgło ono głębszych, niżli pamięć warstw duszy. Ten moment straszliwy, jakiego nie zna wiele dziewcząt, było to wspólne przeżycie dwojga ludzi, którzy potem nie mogą już być całkiem obcy sobie i posiadają ten łącznik na zawsze.

Tak ujmowała rzecz Amanda przynajmniej i zmieszalo ją to, że Edmund przytacza właśnie owo przeżycie na świadectwo.

Zaprzeczyła głową.

— Nie jestem odważna! — odparła poprostu — Jestem kobietą.

— Sądzi pani, że mężczyźni są odważni?

— Nie wszyscy, ale pan, tak!

— A Artur...

— Kuzyn pański? Ano...

Spojrzała nań zakłopotana tem niespodzianem zapytaniem.

— Jadąc tam, radbym go wziąć, czy przyznaje mu pani tyle, co mnie odwagi?

Milczała przez chwilę, zesunąwszy linje brwi, i rozważała problem.

— Może nie ma on tyle przedsiębiorczości w czynie, ale w każdym razie dość odwagi, by kroczyć pańskim śladem.

— Naprawdę, tak pani sądzi?

— O widzi pan! — zawołała z radosnym błyskiem oczu — Pojedziesz pan tam! Już nawet zapadło postanowienie! Jakże się ucieszy poczciwy Kala Rama!

Edmund chciał zaprotestować przeciw tak pospieszemu wyciągnięciu wniosków, ale na czas jeszcze pospieszył skorzystać ze sposobności, by zatrzeć zbyt szorstką odmowę, na jaką sobie pozwolił wobec ministra.

— O nie, panno Amando! — powiedział — Nie powziąłem wcale stanowczej decyzji. Proszę mu jeno powiedzieć, że się namyśla.

— Niezawodnie, uczynię to! — przyrzekła i dodała — Ale teraz muszę się spieszyć, rani oczekuje mnie.

---

## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

### Stare dzieje.

**E**dmund wiódł za nią spojrzeniem aż do progu i patrzył dalej na zamknięte drzwi.

— To dziwne — pomyślał — że dziś dopiero odkryłem tę dziewczynę, mimo wielomiesięcznego pobytu pod jednym dachem, jeśli pominę już podróż morską i rzeczną. Cóż za temperament, jak żywy płomień zapalu, idealizmu, a co za upór przytem! Śliczna jest, piękna nawet, gdy mówi. Czyż byłem ślepy? Nie, olśniony jeno w czasach ostatnich. Mój królewski nenufar, pływający w oddali po bezdennych wodach, przykuł tak mój wzrok, że nie dostrzegłem hiacentu, w trawie, tuż u stóp moich.

Dziś właśnie się to stało w rozmowie z Arturem! Biedaczek, nie wiadomo, czy powącha ten kwiat. Jakoś nie zwraca nań uwagi! Ten głęboki oddech ulgi i napół stłumiony okrzyk, gdym wrócił... Ach, wiem teraz, że marła ze strachu o mnie... A jakież cienie przerażenia migwały po jej twarzy podczas opowiadania... Jakże jej z tem było pięknie...!

Edmund odnalazł, jak sądził, przyczynę wrażenia, jakie na nim wywarła nagle Amanda, ale patrząc głębiej, dostrzegłby pomyłkę. Miał dość samopoczucia, by

wiedzieć, że z natury rzeczy musiał rozplómić to małe serduszko niemieckiego dziewczęcia, z którym spotykał się co dnia i przeżył straszliwe chwile grozy. Człowiek, z jego stanowiskiem i doświadczeniem życiowym, roześmiałby się z politowaniem, gdyby ktoś twierdził inaczej. Rzeczy oczywiste nie dziwią. Natomiast zastanowiło go, że Amanda nie czuła się zaszczyconą pytaniem o zdanie co do jego poezyj i miał wybąknąć parę niewyraźnych komplementów, jakie wprost narzucał, przeciwnie zraniła go w miejsce najczulsze. Te delikatne, ale zgoła nie w łuk amora wykrojone wargi nie tylko drżąc przestrzegły go przed niebezpieczeństwem, ale skurczone drwiąco, rzuciły mu zjadliwy niemal, epigramatyczny sarkazm, te jasno brunatne oczy nie tylko straciły blask z trwogi wobec grozy jego przeżycia, ale śmiały się też zeń, sypiąc skry...

Była to nowość, a kolec ten tkwił głęboko i drażnił, chociaż nie chciał przyznać, i to właśnie stanowiło istotny powód, dlaczego uległ wpływowi tej dziewczyny, nie mogąc jej wyrugować z myśli.

Jak zawsze zamknął oczy, by lepiej utrwalić obraz.

Zobaczył ją, jak ostrzegłszy go, chciała odejść, lecz została, wstrzymana jego pytaniem. Była smukła, ale zwięzła, silna budowa świadczyła, że pochodzi z mocnego pnia. Zwłaszcza plecy, ni w nikły trójkąt opadające, ni sterczące kątami czworoboku, miały krągłość harmonijną i prosiły wprost, by je objąć, właśnie na wysokości ramienia Edmunda, który zresztą dawniej wolał kobiety roślejsze. Bardzo niewiele wzięła przy-sadkowatości po ojcu. Musiała być podobna do zmarłej wcześniej matki, a Edmund rad był, nie wiedzieć dla

czego, iż matka ta pochodziła ze starej szlachty niemieckiej. Twarz dziewczyny była rasowa, typu kwadratowego, jaki panuje na pograniczu europejsko-azjatyckiem, ale posiadała zaokrąglenie wykwintne, przeduchowione, oraz krótki podbródek, co bardzo dogadzało Edmundowi, którego nudziła długa szczęka dolna angielskiej lady.

Ponad wszystko atoli zdumiewały go jej oczy, których przedtem nie dostrzegał.

— Jakże nie konwencjonalne są te oczy! — powiedział sobie — Jako dogmat utrwaliło się, że oczy kobiety winny leżeć pod łukiem brwi, zarysowanych jedną linią, jak to było u Haidey i Gulnary. To samo widywałem u mych Greczynek, a także, nieco tylko grubiej nakreślone u mojej rani. Tu zaś jeno dwie pauzy domyślników rozdzielone wyraźnie... i o dziwo, teraz przyszło mi właśnie, że domyślniki owe kryją w istocie myśli...

Zaś oczy same! Nie wielkie, ale jakże błyszczą i są oliwkowo-brunatne, niby t. zw. „zielone“ oczy Hiszpanek. Choć nie, niech djabli biorą tamte oczy! Południówki nie mają nigdy owej żywej przejrzystości, co przypomina strumień płynący w leśnym cieniu. A ten wyraz, gdy mówiła o bezinteresownej zasłudze dla ludzkości... Cóż mi to przypomina? Ha... można oszaleć... niesposób schwycić podobieństwa i dać mu miana, gdyż zaraz ucieka z progu świadomości i przepada... Podobieństwo? Czyż tak? Nie, to raczej identyczność rzeczy różnych. Skądże nadleciało to wyrażenie? Acha! Profesor użył go, gdyśmy kiedyś rozmawiali o wędrówce dusz, jest to formuła reinkarnacji: to samo w innej postaci. Zgoda, ale cóż tu było pierwszą postacią? Skąd znam wyraz tych oczu?



— Niech djabli biorą zresztą łażenie po gęstwie wspomnień i polowanie na widziadło podobieństwa. Jestem niby Lyzander wodzony za nos przez Buka.

Niecierpliwie pochwycił list, który trzymał właśnie w rękę, gdy weszła. Koperta nosiła stempel londyński, ale list nie zawiódł go do mglistej metropolii nadta-mizańskiej, jeno do słonecznego miasta nad Arnem, gdzie przeżył niezapomniane dni młodości, w towarzystwie dwu nieśmiertelnych wieszczów, do uroczej, cichej, opuszczonej, pełnej smętku i piękna Pizy.

List pisała wdowa po jednym z owych wielkich poetów, Mary Wollestoneraft-Shelley. Ileż razy otrzymywał bilety, kreślone tym samym wyrazistym, a zarazem powabnym charakterem, zawierające jeno kilka słów: — Zobaczmy się więc dziś... — albo — Proszę przybyć dziś wieczór! — Słów mało, ale jakież ożywcze wrażenia duchowe, niewielu śmiertelnym dostępne! Genjalna rozmowa z dwudziesto-dziewięcioletnim wówczas chłopcem, w którym wcielił się duch poezji, porównać było można chyba z improwizacjami owych niezrównanych mistrzów tonu, których gotowe, wykończone dzieła nie dają wyobrażenia o całej potędze talentu.

Ujrzawszy to pismo, miał wrażenie, że słyszy skwir jaskółek, polatujących wieczorami nad miastem, a tak licznych jak nigdzie chyba, i odczuł chłodny wiew Arna, przelewającego swe żółte fale pod łukami mostu, na którym stał, mając poza sobą skąpane w promieniach zachodu Lungarno Mediceo z pałacem Lanfranchich, o fasadzie ożywionej duchem Michała Anioła. Miał znów w uszach echo kutej żelazem bramy, odczuwał chłód ponurego przedsionka i słyszał perlące się słowa Byrona, który w stylu „*devilmaycare*“ swego „Don

Juana“ igrał niby piłką z wszystkim na świecie i całym światem, by go potem zostawić, niezadowolonego z siebie samego i swego poety-przyjaciela nawet. Było to już poza nim, a jednak radby był, niby zwolniony żak szkolny krzyczeć z radości i pobiec do Casa Frasi, gdzie w przytulnym, jasnym mieszkaniu Shelleya oczekiwała inna znów atmosfera, gdzie kwitły uczucia i jaśniała dobroć serca, to właśnie co wyklinał „pielgrzym“ w ponurym pałacu, jako proste złudzenie. Widział przed sobą małą, przeduchowioną głowę boskiego poety i jasnowłosą uroczą postać Mary, która budziła cichym urokiem marzenia w jego nieokiełznanem sercu do tego stopnia, iż oświadczył jej się, coprawda, poto jeno, by dostać odpowiedź, że nie zamieni nigdy nazwiska Shelleya na inne.

Na widok tych wyrazów zawrócił myślą w złotą przeszłość młodzieńczą, tak bliską, a tak daleką zarazem, jakby leżała w dziedzinie innego życia, jakby odrodził się w Indjach, a patrzył w Italję. O jakże niezmiernie bogatem wydało mu się tamto życie! Pełne było poezji, miłości, przyjaźni, zapału, marzeń o szczytnych celach ludzkości, walce duchów światła z ciemnością o prawdę i wolność... tak, była to młodość! Przez chwilę omal nie załkał, położywszy głowę na stole, w kadencji żalosej strofy, deklamowanej pod portykiem wspaniale ponurego pałacu, przez przyjaciela „pielgrzyma“:

*O, nigdy już, o, nigdy już, zaiste  
Nie spadnie rosa na biedne serce moje ..*

— Nie! — zawołał, otrząsając się z niechęcią —  
Cóż wart konspirator sentymentalny! Dobra sprawa!  
Zobaczmyż co słyhać z tą biedną Mary.

Niedobrze się wiodło biednej Mary, ale dzielna,  
strogo doświadczana kobieta w kilku jeno słowach

dawała znać o smutnem życiu swoim i biedzie, w której ją grążył nienawistny teść. To, co dalej wyczytał, zawróciło go z powrotem na ścieżkę marzeń, z której dopiero co zбочył z wysiłkiem.

— Twój list ostatni, drogi Tre, mieści zdanie, przypominające mi żywo nasze czasy pizańskie, najszczęśliwsze może w życiu mojem. Piszesz: — Ponieważ jesteśmy biedni, przeto dziedziczymy po bogaczach i mamy prawo ich grabić i wyzyskiwać na wszelkie sposoby. — Otóż ten paradoks zaliczam do najlepszych z pośród wszystkich, jakimi nas zadziwiłeś. Shelley'a oburzyła zrazu ta moralność korsarska, potem śmiał się, a Byron był zachwycony — Na Jowisza! — krzyknął — Ten korsarz, to gorszy jeszcze ode mnie drab, dla niego bowiem nawet pieniądz nie jest święty! — Ale nie miał racji, wówczas bowiem dużo jeszcze było dla ciebie świętych rzeczy, które wywoływały u niego jeno wzruszenie ramion, albo dowcip. Wspominając o twem ówczesnem życiu pośród dwu poetów, sędzę, że Shelley był twym dobrym duchem, a Byron często złym. Znać było po tobie później, że ten dobry cię opuścił, znać też było to samo na nas wszystkich. Pustka zapanowała w naszym kole, gdy się nad nim zawarły fale śródziemnomorskie! Musimy jednak zważyć, że od nas jedynie zależy, czy nas opuścił naprawdę, ty zaś, drogi przyjacielu, jesteś napiętnowany raz na zawsze jako jego własność. Wielu wzięłoby to za bluźnierstwo, tylko nie ty. Święci nosili czasem chrystusowe stygmaty, a ty właśnie odniosłeś taki stygmat, ratując ze stosu nietknięte jeszcze serce Shelley'a, *cor cordium*.\*) Ścisła-

\*) *Cor cordium* — serce serc — napis taki umieściła Mary na grobie Shelleya.

jąc po raz ostatni twą dłoń uczulam dawną oparzeliznę i powiedziałam sobie: Ten przynajmniej nie może się sprzeniewierzyć, nie może złamać wiary swemu boskiemu poecie i prorokowi, albo duchowi jego...

Edmund opuścił z westchnieniem list na kolana i spojrzał bezwiednie na wielką akwarelę, wiszącą na tylnej ścianie pokoju. Płaskie, piaszczyste wybrzeże, nieprzejrzany, gęsty las pinjowy na tle sinych gór, wznoszących tu i owdzie połyskliwe, śnieżne szczyty. Pośrodku, na pierwszym planie płonął stos, otoczony przez kilku ludzi, w głębi, na modrych falach mały dwuzagłowiec. Był to przeciętny utwór, bardzo widocznie poprawnego w szczegółach dyletanta, ale ciepła, niemal upalna światłość, bijąca z zewnątrz, nadawała mu cechę wielkiej prawdy, a stos, przy trzeźwym świetle dziennem będący jeno kupką czerwono-żółtych plam, zdawał się płonąć z trzaskiem, jak wówczas, kiedyto Leigh Hunt wylał na zarzewie kiełich wina, Byron deklamował nad popiołami bratapoety homeryckie wiersze, a on sam bez wahania naraził rękę, by wyrwać z płomieni, jakby cudem, nieknięte jeszcze, święte jego serce.

— Dochować mu wiary... nie sprzeniewierzyć się jego duchowi... — jęknął zcicha, niezdolny oderwać oczu od tej sceny.

Gdy za chwilę wrócił do listu, spostrzegł z ulgą, że ciąg dalszy stanowiła lekka gawęda jeno! Znalazł tu miejskie plotki i nowinki z londyńskiego high lifu. Kapitan i żona jego zrujnowali się w Paryżu i muszą teraz żyć skromnie w północnej Anglii. Mr. R. S. zaleca się do pani Bulwer, pan Bulwer jest zazdrosny, a całe miasto o tem gada. Ale Mr. Bulwer udaje po-błażliwego wobec swej żony, która istotnie prześciga

pięknością wszystkie kobiety. Duma on teraz nad romansem mistycznym i zazdrości ci pobytu w krainie tajemnic. Może też coś takiego piszesz? Pamiętasz, co ci powiedział raz, w Casa Frasi Shelley, wysłuchawszy kilku twych wierszy? Spytał, czemu naśladujesz Byrona. — Bo łatwiejsze od twoich! — odparłeś — Pócoż wogóle naśladować? — rzekł — Poco pisać poezje? Widziałeś kawał świata, mógłbyś więc stworzyć romans.

Rozbłysło mu nagle światło.

Poco naśladować Byrona? Te słowa Shelleya były identyczne ze słowami Amandy. I czyliż było to jedyne podobieństwo? Wszakże cała jej postać przypominała mu właśnie Shelleya, a choć nie mógł chwycić tej rzeczy, czuł znane sobie dobrze tło w całym jej zachowaniu i słowach. Była zupełnie jak jego dobry genjusz Shelley, propagujący jakąś rzecz szczytną i świętą. Oczy Amandy nie posiadały tej sarniej wielkości i głębi jak oczy poety, ale spozierały z tą samą prostotą i uczciwością, a w tonie głosu brzmiał tenże sam dzwonny akord uniesienia: — Sądzę, że jeśli można służyć ludzkości, szerzyć dobro i zapobiegać okrucieństwu, to choćby się nie osiągnęło sławy, samo uczucie podniosłego szczęścia dostateczną stanowi nagrodę! Któż mu mógł rzec takie słowa, jeśli nie sam Shelley? — Na Boga! — zawołał wzburzony — Ta dziewczyna ma słuszość! Czyż poto byłem przyjacielem dwu największych poetów świata, by snuć myśli poety przeciętnego, nieudolnego może nawet? — Wziął ze stołu zielony tomik, otworzył naoslep, przeczytał parę linii i odrzucił z obrzydzeniem.

Tak, Amanda miała słuszość, nie chcąc wierszy, ale czynu. Stanie się to, ale o jakież czyn idzie? Czyżby i tu miała rację? Nie wiedziała nic o czynie, jaki za-

mierzał, ale sąd jej nie podlegał wątpliwości. Inny czyn propagowała z zapalem. Czyżby miała rację? Nie chciał i nie mógł tego przyznać.

Przez wzburzony umysł jego przewaliła się nawałnica klątw na państwo, niweczące każdy indywidualny wysiłek, gaszące każdą skrę genialności. Wymyślał zwłaszcza Albionowi, kroczącemu od dni Pitta na czele wstecznictwa, który wyganiał swych najlepszych synów, a gardził największymi poetami. W poetycznych i retorycznych zwrotach angielskiej epoki romantycznej, zsyłał górę złorzeczeń na egoizm swej ojczyzny, obłudę i kramarstwo polityczne, a wreszcie spytał:

— Czyż mam służyć tej polityce? Młoda, nie znająca wszystkiego dziewczyna mogła to przypuścić, ja nie!

Postanowił, przeciwnie, owemu trującemu wyziwowi stanąć wbrew i zmieść go niby burza, rozniecić ognisko żywego ducha, by go pochłonęło zanim, zniweczy wszystko co piękne, poetyczne i wzniosłe. Tego właśnie jąc się chciał, siadłszy tu mocno w siodle. Czemuż ten mały kraik pod jego dłoń nie miał zapoczątkować odrodzenia całych Indyj? W połączeniu z wojowniczymi sikhami północy, których Kala Rama porównywał ze stalowymi rycerzami Kromwela, mógłby stworzyć potęgę, zdolną wypędzić wszystkich kramarzy kompanji indyjskiej, zaciężne wojska obce i wreszcie oswobodzić ten piękny kraj...

Był człowiekiem po temu. Związany ściśle z Indjami przez swą radżowską krew, wyposażony z drugiej strony w dziedzictwo królewskie energii zachodu...

Upajał swą wyobraźnię heroicznymi wizjami przyszłości i maskował tem niepiękny fakt podstępnej zdrady. Cóż w takim kraju oznacza właściwie tak

zwana zdrada? Wszakże tutaj, wśród niezliczonych rewolucyj pałacowych całe dynastje książąt wstępowały na tron po trupach ojców, mrących w podziemiach, oraz mordowanych braci! Tak dobrze oszukał sam siebie, że nie dostrzegł, iż ten polityczno-bohaterski zwrot, nastąpił dopiero na skutek rozmowy z Amandą, a dotychczas całe przedsięwzięcie było mu jeno romantyczną awanturką. Mniej jeszcze uświadamiał sobie, że, zacząwszy od przeklęcia państwa, skończył na nowem państwie, cprawda, z sobą samym na tronie.

Z marzeń tych zbudziła go dzika, wojownicza muzyka. Był to wieczorny *naubut* warty pałacowej. Kilku żołnierzy waliło pałkami co siły w miedziane kotły i dęło w rogi, królewskie *sakarah*, zawiadamiając poddanych, że i tego jeszcze wieczora królował będzie w swym pałacu Jego Mość Maharadża Nawina Pała Dhyan Singh, dokąd wróci niebawem z któregoś z pobliskich zameczków myśliwskich.

Jeszcze ten wieczór i następny... a potem? Czyż *naubut* zawiadomi wówczas o obecności Nawiny Dhyan Singha, czy może nowego radży?

Edmund ujrzał przed sobą mało imponującą postać Dhyan Singha upantoflowaną i uszłafroczoną błogo, o twarzy, mimo silnego zarostu, zniewieściałej, podobnej rysom Czandry Singha, tylko niklejszej znacznie. Opjum wyzarło głębokie piętno na tym tuzinkowym władcy, podobnym do mnóstwa innych „rządzących“, albo wegetujących na emeryturze. Nie był ani gorszy, ani lepszy od nich, miał tę jeno negatywną zaletę, że pozwalał rządzić innym, mądrzejszym od siebie. Edmunda rozśmieszyła niemal myśl, by mu ktoś wziął za złe odsunięcie na bok takiego cienia władcy i zajęcie jego miejsca, a to w celu pokazania

zdzumionym Hindusom, co znaczy prawdziwy mężczyzna na tronie.

Po chwili umilkły wojownicze tony pałek i rogów.

Podniecony autosugestją, zerwał się Edmund i zawołał, zwrócony do portretu Byrona, jakby do żywej osoby:

— Tak, stary przyjacielu, Jerzy Gordonie Noelu Byronie! Często bywałeś prorokiem zarówno jak poetą, a zaprawdę, nigdy nie posiadałeś większego jasnowidztwa, niż onej nocy na pokładzie „Herkulesa“ pod Kefalonją. Przysięgam na rysy twe, które patrzą na mnie z tego portretu, że wezmę sobie mą hinduską koronę!

Zaledwo wymówił te słowa, cień jakiś przysłonił podniosły jego nastrój, a zimny dreszcz przejął gorące jego przed momentem od uniesienia serce.

— Co? Nie osiągnę jej? Śmiejesz się drwiąco? Potrząsaszesz nawet głową? Czyżbyś nie był jasnowidzem?

Doznał wrażenia, że nie jest sam. Czyżby to sprawiło złudzenie życia tryskającego z portretu, na który padała szerzoga wieczorna, tak że twarz występowała z ram...?

A może też...?

Edmund uczynił obrót i zatoczył się kilka kroków wstecz.





## ROZDZIAŁ TRZYNASTEY.

### logis.

**W**ysoka postać odcinała się fioletowo od jasnego tła.

Szafranowe i szkarłatne blaski, stopione w jarzącą poświatę rozetlily taką jaskrawizną światła, że oko chwyciło ledwo zarys stojącego człowieka. Był to Hindus. Promienie jaśni oblewały szaty jego i wysoki turban.

Łatwo zrozumieć, że podniecony przygodą Edmund zachował dotąd w nerwach echo tego, co przeżył, i w pierwszej chwili wziął przybyłego i jałby z pod ziemi wyrosłego Hindusa za thaga, który mu zarzuci na szyję święty romał i zdławi nawet krzyk śmierci.

Zaraz jednak poznał ze wstydem, że odwiedziny te stoją wprawdzie w związku z przygodą, ale w innym, niż przypuszczał bezwiednie.

Wysoki turban znikł na moment odsłaniając linję ramion, rozległo się głębokim tonem wyrzeczone: salam sahib i nie było już dla Edmunda wątpliwości, że przed nim stoi jego zbawca.

— Witam... witam! — odparł z grzecznym ukłonem — Proszę wejść i przebaczyć, że w pierwszej chwili doznałem tak silnego wrażenia. Ale jest ono

natury radosnej. Ponieważ zmieniłeś pan pierwotny zamiar i zbliżyłeś się do miasta, racz przyjąć gościnyę w mym domu.

— Dziękuję, sahibie, — odparł życzliwie przybyły — ale odwykłem już zdawna od domu.

— Jesteś pan wędrowcem, a może nawet pokutnikiem?

— Któż nie jest pokutnikiem, któż nie jest wędrowcem? Jesteśmy wszyscy pielgrzymami zaświatów i w tem nasza pokuta.

— Uchylasz się pan mądrymi słowy od odpowiedzi. Przebacz tedy natrętne pytanie, ale radbym wiedzieć komu zawdzięczam życie.

— Bratu swemu.

— Ach, wszyscy jesteśmy braćmi! Tak przynajmniej powiadają chrześcijanie i postępują jak owa pierwsza para braci. Zachowaj pan przeto przysługę tajemnicy i racz powiedzieć, czem mogę służyć...

— Nie po przysługę przybyłem, ale poto, by panu usłużyć.

Edmund zaśmiał się wesoło.

— Ano, jeśli o to idzie, sądzę, że mam dosyć służby.

— Niewiadomo, sahibie.

— Przytem mam już dla pana tak wielkie zobowiązanie...

— Bardzo nieznaczny jest dług pański.

— Jakto? Czyżbym przecenił niebezpieczeństwo?

— Uratowałem panu tylko życie, sahibie...

— Sądzę, że i to coś warte! — zaśmiał się —

Wiem, coprawda, że wy, Hindusi nisko cenicie życie... Jest wam jeno cierpieniem... ale ja...

— Przebacz, sahibie, nie o to mi idzie. Wyobraź pan sobie, że jesteś tak bogatym, iż możesz cały teren

Indyj pokryć złotemi monetami. Złodziej schyla się po jedną z nich, a brat pański przeszkadza tej kradzieży. Czyż należy mu się wielka podzięka? Mniej jeszcze winienesz mi wdzięczności, sahibie, dotąd.

— Dotąd... powiadasz pan? Czyż później będę miał większe zobowiązania?

— Tak, jeśli panu pokażę, co umiem, i jeśli zrozumiesz.

Edmund patrzył nań przez chwilę badawczo.

— Jesteś pan, o ile rozumiem, jogisem i posiadasz magiczną siłę, czyniącą cuda.

— Ach, te wasze cuda... — odparł lekceważąco.

— Muszę w to wierzyć, bo sam widok twój wówczas, o nieznamy, wprowadził mnie w przecucie czegoś niezwyčajnego. Widziałem dużo sztuk jogisów. Jeden wywiódł z ziarnka, które ja sam włożyłem w ziemię, wielkie drzewo mangowe, tak że zakwitło i dało owoce, które jadłem. Inny, żegnając mnie, uniósł się na stopę nad ziemię. Ale takich sztuk nie oczekuję od pana.

— I to słusznie.

Edmund odstąpił parę kroków i wskazał na portret Byrcna, ożywiony ostatniem blaskiem dnia.

— Spójrz pan na ten portret. To wizerunek człowieka, który zmarł przed dziesięciu laty, a świat rozbrzmiewa dziś jego sławą. Był on jednym z owych duchów płomiennych, nad których stosem grzeją sobie ręce dalsze pokolenia przez wieki. Kto widział to płonienie i brał w niem udział, kto zaznał żaru owych skier, świecących teraz niby gwiazdy na firmamencie ludzkości, ten wie, co znaczy żyć. Znam to. Był mym przyjacielem. Siadywaliśmy często nocami i rozmawiali o życiu, śmierci, o ciemnych rozłogach poza-

śmiertnych, oraz o tem czy ktoś może wrócić z wieścią, co się tam dzieje. Jógisie! Czy mógłbyś mi go sprowadzić tak, bym ujrzał te znane, drogie rysy i usłyszał głos?

Edmund patrzył na nieznanego bez tchu, czekając jego odpowiedzi. Nie zdawał się on zgoła zdziwiony tem żądaniem, ale odparł spokojnie, nawet z pewną przymieszką wesołości.

— Szkoda, że nie zapragnąłeś, sahibie, ujrzeć swego drugiego przyjaciela, którego serce wyrwałś z żaru stosu, nad brzegiem błękitnego morza...

Edmund odskoczył i zawołał, patrząc z przestraszeniem na dziwnego Hindusa.

— Masz pan na myśli Shelleya? Skądże pan wiesz?

— Poznałem znak oparzelizny na dłoni, którą mi pan podałeś. Trudniej byłoby mi, coprawda, pokazać go panu, gdyż mniej było na nim skaz ziemi. Postać lorda Byrona może ukazać panu każdy, kto się zajmuje podrzędniemi sztuczkami nekromancji.

— Podrzędne sztuczki nekromancji? — zawołał wzburzony wielce Edmund — Czy kpisz ze mnie, człowiecze? Podrzędne sztuczki? Od tysiącleci zamierzonych, stoi do dziś dnia ludzkość nad niesięzną przepaścią, kryjącą w sobie wszystko, czy pustą, niewiadomo... Natrzęsa się z wiary, a oplakuje wątpliwości swe... Ach, gdybyż choć błysk, czy echo, dźwięk czy pogłos własnego westchnienia... coś, po czem poznać można, że tam coś istnieje... Niedosć by za to było wszystkich skarbów świata!

Podniecenie Anglika w obliczu spraw zaświatowych, apelujące niejako doń i poruszające współdźwięczną strunę, nie oddziało jednak na dziwnego

gościa. Odpowiedział nader spokojnie, tonem smutnym niemal:

— O, tak! Niewiedza odradza się ustawicznie i, sięgając poza krąg powszedniej codzienności, tonie pośród ciemni, szerszej nieco. Niższe pierwiastki ludzkiej natury, jeszcze nie spopielone, kryjące dotąd resztkę życia, węgle, zażegniete mdłym żarem i przeduchowione otepiałym umysłem czarownika, jak przezmysłowiony, krwiożerczy wampir... oto takim pustym szematem byłby panu, sahibie, przyjaciel pański, lord Byron!... A nawet i to byłby jeszcze wysłannik wieczności, zaś Byron to jeno niezwykły człowiek... Przyślę panu, sahibie, tybetańską czerwoną czapkę, ona spełni czego żądasz i to za niską cenę.

Edmund nie dał sobie łatwo imponować. Teraz jednak wobec własnego, jak czuł, wysokiego wlotu na szczyty ideału został skarcony i to zaimponowało mu niezaprzeczalnie. Słyszał już o czerwonych czapkach, używanych przez nekromantów tybetańskich, prastarej sekty lamów, i ich sztuczkach, to też dotknęło go pełne politowania lekceważenie w ostatnich słowach Hindusa.

Oczy Edmunda przywykły do patrzenia na gościa, stojącego pod światło, które zresztą właśnie znacznie przygasło, mógł teraz przeto dostrzec jego rysy, zwłaszcza wielkie, głębokie oczy, w rozmowie z indologiem porównywane z blaskiem węzowego kamienia. Spojrzenie to przenikało mu przez mózg, serce i nerki, wstrząsało całą jego istotą i niewoliło mózg. Bezwiednie wspomniął słynny wiersz Coleridga w „Pieśniach staro marynarza“:

„Zniewolił go połyskiem oczu.“

Czyżby ten przybysz nie proszony miał także swą historję do opowiedzenia i to równie straszną jak ta, którą w wierszu owym usłyszał stary marynarz od weselnego gościa? I czyżby jak tam, on sam, Edmund, musiał potem iść w świat szeroki, jako „mąż smutny i mędrszy o wiele?“

Pytania te drżały w głębi jego duszy i po chwili dopiero zdołał spytać niepewnym głosem:

— Mówisz pan z takim politowaniem o wielkich tajemniczych sprawach... człowiecze, na Boga, mów, cóż tedy potrafisz sam?

— Chciałeś ujrzeć, sahibie, przyjaciela... czyż jest on ci bliższy, niż twe własne ja? Czemuż nie zażadasz pan zobaczyć samego siebie?

Bezwiednie odwrócił się Edmund niecò w bok. W tej chwili niczego mniej nie mógł pragnąć, niż uchylenia zasłón własnej duszy. Ale mógł jeno poruszyć ciałem, oczu nie był w stanie oderwać od spojrzenia nieznanego.

„Zniewolił go połyskiem oczu.“

— Samego siebie? — rzekł wymuszonym, żartobliwym tonem — Wszakże na to dość zwierciadła?

— Zapewne, jeśli idzie o lustro, zrobione przez rzemieślnika. Czyliż jednak nie masz pan chęci, sahibie, spojrzeć w bezmierne, powiększające zwierciadło bohaterskiej przeszłości? Tam ujrziałbyś pan, że jesteś tem, czem cię uczyniła przeszłość.

Edmund nie czynił już wysiłków oderwania oczu od Hindusa. Zbudziło się w nim nowe zainteresowanie, uczył palącą żądzę w głębi duszy.

— Jeśli pana dobrze rozumiem, — rzekł porywczo — to jesteś w możności...

— Uchylić zasłony, co kryje życie minione.

— I mówisz pan to tak spokojnie, jak ja twierdząc, że zgaszę świecę kulą pistoletu na trzydzieści kroków.

— Czyżbym inaczej był do tego zdolny?

— Jeśli tak, to żądaj ode mnie, czego chcesz w zamian za odkrycie wielkiej tajemnicy, albo lepiej jeszcze za możliwość ponownego przeżycia tak, bym bezwzględnie odczuł żywot mój miniony i poznał, że jestem dziś, czem byłem, wbrew czasowi... Za to dam wszystko, czego zażadasz...

Wzburzony ogromnie, przystąpił z podniesionemi rękami do Hindusa, który jednak uczynił gest uspakajający.

— Żądam cierpliwości, aż do właściwej godziny... Tymczasem, do widzenia!

Zwrócił się do odejścia.

— Powiedz mi pan jeszcze tylko, — zawołał Edmund — czy to nasze spotkanie w dżungli było sprawą przypadku?

— Tak pan zwiesz to, sahibie, nie ja...

— Czemuż jednak odszedłeś pan wówczas ode mnie i nie wróciłeś?

— Wówczas nie poznałem pana jeszcze, sahibie.

— W międzyczasie nie widziałeś mnie przecież!

— Widziałem pana dobrze.

— Gdzie?

— Tam, gdzie będziesz, gdy godzina nadejdzie.

Hindus wszedł na werandę i zamierzał zstąpić po stopniach, gdy Edmund krzyknął za nim:

— Cóż mi wskaże jednak, że godzina ta nadeszła?

Stojący na górnym stopniu Hindus uczynił pół obrotu, przeszył Edmunda raz jeszcze spojrzeniem i rzekł jasnym, pełnym głosem:

— Ręka Opatrzności...

---

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

### Trzy czaple krzyki.

**G**rom walący w próg domu nie mógłby bardziej ogłuszyć Edmunda, niż te dwa słowa.

— Cóż to znaczy? Wie o napisie w liście! Sam go dokonał... coż to znaczy? Czyż wie wszystko? Ile wie? Muszę z nim pomówić!

Skoczył zdecydowany ku drzwiom i wpadł na Artura.

Ten pilny młodzieniec pracował w kiosku, nad brzegiem jeziora stojącym, gdzie o tej porze przebywała Amanda. Wyjątkowo nie było jej tu, co odczuł jako wielki zawód serca, który jednak wyszedł na korzyść robocie, jakiej miał dokonać. Sporządził tedy szkic listu do lorda Pembroke i był z tej dyplomatycznej pracy *faute de mieux* wielce zadowolony. Z arkuszem zapisanym w rękę pospieszył przez ogród, by dzieło swe przedłożyć kuzynowi i przełożonemu. Mimo, że mrok utrudniał już czytanie, wstępował na werandę zagłębiając się w niektóre, szczególnie zwięźle skomponowane frazesy. Nagle spostrzegł w górze schodów roślą, białą odzianą postać. Odchodzący obrócił się zaraz plecami, ale Artur nie mógł odeń oderwać oczu. Białą odziany człowiek, wyraźnie Hin-



duś, spojrzął za siebie, jakby chciał zobaczyć, czy kto za nim nie idzie, a Artur skamieniał w bezruchu na najwyższym stopniu, podobnie jak kuzyn w pokoju.

Ale za moment skoczył na werandę i wpadł w progę tak gwałtownie na Edmunda, że odskoczyli obaj wstecz.

— Edmundzie! — zawołał przerażony Artur.

— Cóż Arturze? Czyś zobaczył ducha?

— Ten nieznajomy... — bąknął Artur.

— I cóż?

Artur chwycił kurczowo jego ramię.

— Czy z tobą mówił?

— Oczywiście. Ale puść mnie, muszę go dogonić.

Na pożegnanie rzekł mi słowa...

— Wyrzecz się tego, Edmundzie!

— Wyrzecz się... czego?

— Tego całego planu.

— Chybaś oszalał! Cóż to znaczy?

— Jedź, mówię ci, do Afganistanu! Gra twoja tutaj skończona.

— Pst!

Edmund podniósł dłoń, nadśluchając krzyku ptaka, dochodzącego z oddali.

— Moja gra skończona, mówisz? — rzekł — Teraz się właśnie dopiero rozpoczyna!... Posłuchaj sam...

— To krzyk czapli...

— Tak... a teraz drugi... trzeci...

— I cóż?

— To znak. Czólno na mnie czeka.

— Jakie czólno?

— Przysłane przez arcykapłana, by mnie zawieść do ruin, gdzie rani...

— Nie jedź tam, Edmundzie, jeszcze czas na ratunek!

Chciał przytrzymać kuzyna za kaftan. Ale Edmund wyrwał się i zbiegł po schodach, widocznie, wobec nadziei przygody miłosnej, zapominając zupełnie o nieznanym, którego chciał doścignąć przed chwilą.

Inaczej jednak myślał Artur.

— O, Boże! — zawołał — Leci oślep w przepaść... Muszę go dopędzić... muszę przekonać!

Wypadł do ogrodu, krzycząc:

— Edmundzie! Edmundzie!

KSIĘGA DRUGA.

PRZED TRZECIEM  
ZAWYĆCIEM SZAKAŁA.

I oto zbudził się nareszcie  
ze snu życia.

*Shelley.*

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

### Ozdoba pałacu.

**U** wschodniego skraju ogrodu, w małej zatoczce utworzonej przez skalisty przylądek, czekało na Amandę czółno Edmunda z kilku ludźmi załogi.

Starczyło kilku minut wiosłowania, by dotrzeć do przeciwległej ściany skalnej. Góra pałacowa tworzyła tu wystający załom, dzielący wąską południową zatokę z miastem hinduskim na wybrzeżu, od pełnego morza.

Na samej niemal krawędzi załomu, przysutego teraz fioletową mgłą, widniała w rdzawej skale, niezbyt ponętna, wielka, grotowata brama, ponad wodą rzucona. Po przeciwnej stronie, tam gdzie stał dziś bungalow, istniał dawniej obronny przyczółek, będący w tych czasach wojowniczych bramą wypadową w kierunku pustyni. Pomędzy ową bramą wodną, a portem, dziś wyjątkowo otwarto, codzienną dawniej komunikację, normalnie zaś nie istniała teraz wcale.

Jedyną towarzyszką Amandy była służąca, jeszcze z czasów życia matki przebywająca w ich domu. Bez wahania ruszyła ze swym dobrym panem i drogą panią do gorących Indyj, chociaż wedle jej pojęć znaczyło to tyle, co droga do piekła. Jeśli atoli pań-

stwu wpadnie do głowy wycieczka w czeluść szatańską, to czyż może się temu opierać wierna służąca? Barbara Schwitzgäbele poleciła swą duszę wszystkim świętym, spakowała tłumoki i udała się pomiędzy pogan. Było to tem większą jej zasługą, że jak uważała, nietylko sam uczony profesor, ale i panienka, to heretycy nie protestanccy nawet, ale wprost poganie, a przeto dusza jej narażoną jest na wielki szwank. Wątpliwości te nie skłoniły jej do pozostania w domu.

Siedziała teraz obok Amandy w czólnie. Była to Szwabka, nieokreślonego wieku, o czerwonych, lśniących, twardych jak jabłka policzkach i krągłych, jagodowatych oczach, które widziały wszystko, nie dziwiąc się niczemu. Od opuszczenia rodzimego zagonu, gotowa była na wszystko i nie imponowało jej nic. Jechała teraz jak do stajni krówskiej, nic sobie nie robiąc z tego, że stanie przed obliczem hinduskiej księżniczki i dotrze w głąb cenany, za coby zapłaciła grube pieniądze niejedna dama, wyższego jeszcze znaczenia i stanowiska, niż jej panienka.

Siedziała, milcząc obok Amandy, zamilkłej również z wzruszenia i ciekawości. Nie pochwalała tego, ale skoro panienka postanowiła włożyć w paszcz tygrysa głowę, tak pięknie zresztą ufryzowaną przez wierną służącą, to Barbara Schwitzgäbele nie poto przyjechała do Indyj, by salwować swoją. Zresztą ufała Najśw. Pannie Marji i wszystkim świętym.

Wielka krata, zamykająca zawsze brame wodną, była dziś podciągnięta w górę. Czekano na gości. Powitał je salamem w pas dozorca cenany, który wyglądał jakby dopiero wyskoczył z łóżka, miał na głowie jasiek, owinięty był kwiecistą kołdrą, a na nogi wdział

pantofle swej żony. U stóp stromych schodów, gi-  
nących w ciemku, czekało ośmiu tragarzy z dwoma  
lektykami.

To zarządzenie nie znalazło łaski w oczach Basi,  
a gdy Amanda chciała wsiąść do jednej z nich, po-  
wstrzymała ją i zawiadomiła nieco zdumionych Hin-  
dusów w najczystszyim dialekcie szwabskim, iż wraz  
ze swą panią chadzała nieraz w Schwarzwaldzie po  
stromszych nierównie wertepach i ani jej w głowie  
dać się nosić w pudle małpom niechrzczonym poto,  
by je obie rzuciły na dół i rechotały potem  
z uciechy...

Nim skończyła, zwałistą jej osobę pochwyciły  
dwie pary brunatnych ramion i za moment siedziała  
w pudle. Amanda wskoczyła ze śmiechem w drugie  
i zaczęła się szybka jazda w górę. Niechrzczonym  
małpom plama ta niezbyt widać ciążyła, bo istotnie  
niby małpy darły się wzwyż, wydając okrzyki, jakby  
wracały do skalistego gniazda swego po pomyślnych  
łowach. Bez trudu unosiły zdobycz. Tragarze zmie-  
niali się co kilka minut, nie przerywając niemal po-  
chodu. Kurytarz był ciemny, czasem tylko tryskało  
przez wąskie szczeliny, coś niby sztaba złota, lub błę-  
kitny grot, z czego wywnioskowała Amanda, że schody  
muszą iść wnętrzem skały, przytykającej do morza  
od strony południowej zatoki.

Nagle zabłysło światło dzienne i lektyki stanęły  
w wnętrznym podwórzu pałacowem. Po lewej  
widniało jeno niebo ponad wysokim murem, na prawo  
była brama, wiodąca w drugi podwórzec, połyskująca  
bronzami i szlifowanym kamieniem. Ledwo spojrzeć  
przelotnie mogła na nią jednak Amanda, bo u stopnia  
lektyki czekał w otwartych drzwiach dozorca cenany,

w jaśku na głowie, kwiecistej koldrze i damskich pantoflach, kłaniając się w pas i zapraszając do wejścia.

Amanda pojąć nie mogła, w jaki sposób tak niewygodnie ubrany mógł wyprzedzić półnagich tragarzy. Był to oczywiście inny osobnik, ale wyglądał jak bliźniak pierwszego.

Dość długi, półciemny kurytarz zaprowadził gości do drzwi, które się same rozwarły, ukazując trzeciego bliźniaka, wybijającego pokłony.

Weszły do pustej komnaty. W przeciwległej ścianie widniał ostrołukowy otwór drzwi, zasłonięty portjerą bambusową. Czarne palce rozsunęły jej szeszczące pasma, wystawiła małpią, pomarszczoną twarzyczkę stara, chuda, pochylona, żółto ubrana kobieta i skinęła, by podeszły bliżej.

Wnętrze przybytku cenany nie była to kapiąca wschodnim przepychem hala z tysiąca i jednej nocy. Puste ściany były wybielone, ale biel owa nigdzie na biel nie wyglądała. W mistycznej owej powłoce żyły wizje barw wszelakich, jakby rodzących się wciąż z bieli. Amanda знаła już te przedziwne refleksy z hinduskich świątyń i mahometańskich meczetów, to niezrównane jaśnienie półcienia. Światło przenikało tu przez kilka szerokich płyt marmurowych, deseniowanych nawskroś, a dochodziło z galerji, opatrzonej takiemż oknami, wychodzącemi na małe podwórko. Przelfiltrowane w tak dziwny sposób światło słońca zatraciło całą swą rzeczywistość i czyniło wszystko, na co padło, nierzeczywistem.

W jednym kącie przycupnęło na ziemi około tuzina dziewcząt, podobnych bratkom olbrzymim na grządce, a żółto ubrana babina, która wprowadziła



Amandę i stała teraz obok grządki, zdała się hinduską Circe, sprawczynią tego czaru.

Najmniej rzeczywistą jednak była z pozoru sama rani, wyciągnięta na niskim, płótnem obciążonym leżaku.

„Ozdoba pałacu“ tak wyglądała. Przedewszystkiem oczy miała wielkie, migdałowego kształtu, głęboko czarne, niemal bez białka, nakryte nieprzerwanym łukiem brwi ciemnych jak włosy, a na płaszczyźnie czoła było ledwie miejsce na grono ciężkich rubinów. W lewym nozdrzu połyskał jaskrawo brylant. Wargi rani były krótkie, faliste i mocno czerwone. Wszystko to tkwiło w oliwkowej barwy owalu twarzy, która wychyliła się ciekawie ku Amandzie ze zwojów osłon tęczowych. Potem, z tej samej gęstwy wymknęło lśniące bransoletami ramię, zakończone kończystemi palcami, o paznokciach barwionych henną. Na widok wężowego ruchu tej ręki wyciągniętej do pocałunku Amanda uczuła dreszcz wstrętu.

Czy istota owa była w istocie kobietą? Może była to jeno zaczarowana przez żółtą staruszkę w kształt kobiety żmija, ... lamia?

Amandzie przemknął przez myśl ulubiony wiersz Edmunda, „Lamia“ Keatsa, opiewający kobietę-węża. Zmusiła się, by dotknąć ustami tych palców i usiąść na taburecie, a nie uciec z krzykiem pod wpływem wrażenia.

Spojrzała na wierną Basię i to jej dodało sił. Służąca stała opodal obojętna na otoczenie, jakby była w sędzie rodziców.

Trzymała oburącz płaski, owinięty jedwabiem przedmiot, przeświadczona, że całym jej i jedynym zadaniem jest nie zgubić go.

To przypomniało Amandzie, co czynić należy na początek.

Skinęła na służącą, wzięła z jej rąk przedmiot i, dobywszy pięknie szlifowane zwierciadło ręczne, podała je rani, z kilku wyuczonymi na pamięć słowami w narzeczu hindustani.

„Ozdoba pałacu“ przejrzała się w niem zaraz i wyraziła swe zadowolenie.

— Ayah! — zawołała.

Stara czarownica opuściła na chwilę grządkę bratków-dziewcząt, wzięła ze stołu złocisty welon muślinowy, delikatny, jakby go tkwały pająki dla królowej elfów, i podała swej pani, która go wręczyła Amandzie.

Obejrzawszy z należytem uznaniem dar, Amanda złożyła go w ręce Basi.

Ważna ceremonja wymiany podarków została tedy szczęśliwie ukończona, a wszystko nabrało teraz większej rzeczywistości.

Chociaż było to jeno migotanie rzeczy realnych poprzez fantastyczne, bo rozmowa prowadzona przez tłumaczkę, lichy znającą język angielski, ujawniła przepastne głębie ignorancji i zabobonu, chaotycznej fantazji i nudnej trzeźwości. Z osłupieniem słuchała tego wszystkiego Amanda, w którą rani wmuszała słodczye pożerane przez się chciwie. Coraz to bardziej ujawniała się pustka duchowa kobiety wschodu, która godzinami słucha jeno bajek, lub recytowania wierszy bohaterskich przy brzęku gitary. Pozatem zdolna jest jeno do leżenia na niskiej otomanie, wdychiwania aromatycznego dymu nargilu, żucia betelu, kręcenia gałeczek z opjum, polykania ich i zasypiania wśród upojnych marzeń tego środka „podniecającego.“

Nie chcąc ciągle tylko odpowiadać, zadała Amanda niezręczne pytanie, które kazało przypuszczać, że „ozdoba pałacu“ umie czytać i pisać.

Na to odparła zdumiona królowa: — Czyż jestem bajaderą? — a z grządkki dziewcząt doleciał stłumiony chichot. Wybuchał on i tak raz po raz, przy akompaniamencie szelestu jedwabnych szat, oraz silnej woni piżma i kamfory, płynącej to żywszą, to słabszą falą. Od podwórza szedł monotonny szmer fontanny i gruchanie gołębi, które chwilami nabierało takiej intensywności, że wprawiało w drżenie duszne powietrze.

Zadawanie pytań okazało się tedy sprawą nie łatwą, a było zresztą zbyt ciężkie. Rani posiadała nieprzebrane zasoby ciekawości, interesowała ją zwłaszcza osoba „wielkiego sahiba,“ o którym Amanda nie mogła jej dość naopowiadać. Szło o to, kiedy wstaje, co najchętniej jada, czy żuje betel, czy pali i co, czy naprawdę umie na pięćdziesiąt kroków wystrzelić piędz z palców służącego, głównie zaś chciała rani koniecznie wiedzieć, czego pojąć nie mogła Amanda, czy mruga<sup>o</sup> powiekami. Wiedziała ona z „Nala i Damajanti,“ że bogowie tego nie czynią, a zawiadomiła swego gościa, iż „wielki sahib“ jest bogiem, mianowicie wcielonym na nowo Ramem. Sekret ten zwierzył rani pod przysięgą dochowania go pewien kapłan. Rani nie była, co prawda, tak dalece biegła w teologii, by wiedzieć, czy bogowie wcieleni w postać ludzką mrugają powiekami, czy też nie, wyraziła jednak pogląd, że choćby nawet mrugał, nie świadczyłoby to przeciw jego boskości, gdyż potwierdzają tę boskość bohaterские czyny, jakich dokonał. Wypędził sultana Turków z kraju Jończyków. Jest tam królem, ale osadziwszy zastępcę, przybył wypędzić Franków z Indyj, albowiem

sam jest Hindusem, wnukiem begumy. Ale bohater ten jest przytem największym od czasów Valmiki poetą świata. Napisał poemat, długi jak Ramajana, „*Sayd-ha-roidonszu-hang*,” który umieją na pamięć wszyscy Frankowie.

Wysoce zdumiona Amanda dowiedziała się, do jak legendarnych kształtów doszła złączona z Byronem postać sir Edmunda w tej dusznej atmosferze cenany, ale nie uznała za stosowne objaśniać sprawy swej gospodyni.

„Ozdoba pałacu“ porzuciła zresztą zaraz sama utrudzający teren literacki i zadała zdumiewające pytanie, do której klasy mężczyzn zaliczyć można, zdaniem memsahib, „wielkiego sahiba.“ Lekko zarumieniona Amanda wyznała, że nie rozumie dobrze tego niedyskretnego zresztą dość pytania, a rani oświadczyła, że nie idzie jej o podział na: najlepszych, średnich i marnych, co do zalet umysłu, jeno pyta, czy zaliczyć go można do: zajęcy, gazel, byków, lub ogierów.

Z grządkki dziewcząt zaszeleściły szept i śmiechy, a wzmogły się jeszcze, gdy Amanda wyznała powtórnie, iż nie rozumie i tak sformułowanego pytania.

— Wszakże w ten sposób dzieli się mężczyzn wedle temperamentu, ... pod względem miłości... — poddała rani — Naprzykład, zajac jest delikatny w słowach, dobrotliwy, ma drobne członki, posiada skarb wszelkich doskonałości i miłuje prawdę... Taki jest zajac... a można dodać jeszcze inne oznaki... Jakże dzielicie mężczyzn w Frankistanie?

Śmiechy w kątku przeszły w stłumione gulgotanie, a jedwab szat szemrał teraz jawnie.

Amandę oblały płomienie. Zdawało jej się, że zemdleje w tej atmosferze cenany, przesyconej parami piżma, santalowca i jaśminu. Bezwstyd wschodu

napełnił ją odrazą, tem więcej, że nie miała o nim pojęcia. Zjawił się przed nią nagle tak mglisty, a konkretny jednocześnie, jak wąż młodemu mungowi, który po raz pierwszy śledzi gada błyszczącymi oczkami i węszy za wrogiem. Z ogromnym wysiłkiem zebrawszy się w sobie, oświadczyła z pogardliwym uśmiechem, że we Frankistanie nikt mężczyźni nie dzieli.

— Czegóż się tedy uczycie wy, dziewczęta frankistańskie, od waszych ayah i w szkołach, których macie pono co niemiarą?

Amanda uczuła, że musi zapanować nad sytuacją, zwłaszcza wobec coraz to jawniejszych oznak drwin ze strony dziewcząt.

— Czego się uczymy?

Bez długiego namysłu rzuciła jedyny frazes sanskrycki, jaki jej wpadł do głowy, wiersz zacytowany raz w książce ojca, którego harmonijne dźwięki utkwiły w pamięci, a treść porwała:

— *Jatra vatra bhavat trishna samsaram vidhi tatra vai.*

Wrażenie było równie silne, jak niespodziewane.

Rani padła wznak na leże, wyciągnęła prawe ramię przeciw Amandzie, a lewą ręką zaczęła ciągnąć palce prawej, aż trzeszczały w stawach. Był to prastary, niezawodny środek przeciw złemu spojrzeniu i tym podobnym czarom. Jednocześnie jak przerażone dziecko, zaczęła wołać ayah, a grządka dziewcząt została zmieciona w kąt, niby kupka suchych liści pod mur, skąd uciec nie mogą.

Ayah przyskoczyła, stanęła pomiędzy Amandą a swą panią, rozczapierzyła szpony, jakby je wbić chciała w szyję dziewczyny, i lunęła potokiem jadowitych słów, których sens było łatwo zrozumieć.

Twierdziła, że z memsahib będzie źle, a co najmniej zostanie wbitą na pal, jeśli „ozdoba pałacu“ zachoruje skutkiem jej czarów. Barbara Schwitzgäbele podjęła wyzwanie. Jednym skokiem stanęła obok swej pani i podsunęła sękatą pięść szwabską pod małpi pysk więdźmy, gotowa bić co sił. W ten sposób ochroniona, mogła się Amanda sycić zemstą. Nie zwracając najmniejszej uwagi na pazury żółtej baby, wybuchnęła głośnym śmiechem i spytała w narzeczu hindustani:

— Czegóż się uczyicie wy, dziewczęta hinduskie, jeśli nie znacie nawet tyle sanskrytu?

— Uczymy się tego, co nam potrzebne! — odrzekła niechętnie rani z podejrzliwym spojrzeniem.

Zachowanie Amandy, nie znamionujące nic straszliwego, ukoilo nieco umysły. Rani zaczęła szybko parlamentować ze swą ayah. Nie wierzyła, by Amanda mówiła sanskrytem. Był to wszak język prastary, święta mumja języka, wiodąca jeno na ustach braminów, nietoperzy tajny żywot w hałach świątynnych... mowa to kapłanów i czarowników!

Rani zażądała dosłownego przekładu i otrzymała go niezwłocznie.

„Gdziekolwiek, o wiedźcież wszyscy, namiętność wstaje,  
Tam jest, zaprawdę, jeno złudy świat.“

— Tej oto mądrości uczą się nasze dziewczęta! — dorzuciła Amanda, podnosząc dumnie czoło.

Wiersz spodobał się rani widocznie tak jak i jej samej. W czarnych, migdałowatych oczach, przesłoniionych ciężką brwią, zamigotał płomyk.

— Powtórz to raz jeszcze, memsahib! — poprosiła.

Amanda powtórzyła wiersz naprzód po sanskrycku, potem po angielsku, a tłumaczka przełożyła go na gwara hindustańską.

— Cudowny! — zawołała rani — Słuchajcież, dziewczęta! Każę to umieścić w kiosku, pięknymi, wielkimi, sanskryckimi literami, w górze ponad kolumnadą, wzorem cesarza Mogoła, który umieścił również dotąd zachowany, słynny napis w Delhi na ścianie Diwan-i-khasu, wyłożony klejnotami na marmurze. Brzmi on: „Jeśli jest gdzieś raj na świecie, to tu, to tu, to tu!“ Mój napis będzie taki: „Jeśli samsara jest tam, gdzie namiętność trwa, to tu, to tu, to tu!“

Rani wypowiedziała, a raczej wyśpiewała te słowa z przerażną wprost namiętnością, przy słowie „tu“ wskazując na swą pierś i cisnąc ją, jakby z obawy, by nie rozsadziła swego mieszkania. Dyszała ciężko, rozwierając karminowe usta, oczy jej płonęły gorączką, a pośród klejnotów na czole zamajaczyły krople potu.

Amanda patrzyła z zainteresowaniem i odrazą jednocześnie na tę kobietę, będącą ucieleśnieniem *trishny*, żądzы życia, rozkoszy, siły, posiadania, pochłonięcia, wyssania. Była to najwspanialsza zjawą pragnienia wszystkiego, co pragnienie podsyca, a nie gasi...

Rani mruknęła parę słów, uczyniła gest i zaraz jakby oderwane wiatrem, uleciały z dziewczęcej grządki dwa kwiaty. Dwoje hinduskich dziewcząt wzięło z drugiego kąta sali instrumenty muzyczne, długoszyjną gitarę i bębenek ręczny, i przykucnęło u stóp władczyni.

— Memsahib, — rzekła ayah do Amandy — dałaś „ozdobie pałacu“ piękny wiersz, to też dostaniesz podarek wzajemny, radźputańską piosenkę. Memsahib, „ozdoba pałacu“ zaśpiewa ci ją sama.

Po odniesionem zwycięstwie Amanda chciała być grzeczną, przeto oświadczyła, że na wieść o takim zaszczycie puchnie jej wątroba jak gąbka od wody.

W istocie spodziewała się większego zaszczytu, niż przyjemności, bo ucho jej, nawykłe do Szuberta i Beethovena, nie mogło uznać za muzykę brzdąkaniny, jaką rozpoczęły już dziewczęta.

Preludjowanie trwało kilka minut i oto zwołna, dziwny jakiś nastrój ogarnął zmysły i duszę Amandy. Nie mogła oczu oderwać od bębenka. Miał kształt klepsydry, muzyczka ujęła go pośrodku i uderzała w obie, różnie nastrojone skóry palcami, lub przegubem drugiej ręki. Czasem potrząsała instrumentem, a wówczas długie frendzle, obciążone kulkami, lub węzłami, dobywały ze skór dziwne, niesamowite tony, coś niby tętent kopyt pędzącego hufca duchów. Były tam przyćmione pogłosy kotłów i dźwięki, wyczarowujące, pospołu z monotonnym pobrzękiem niskiej struny gitary, nastrój głębokiej, nocnej ciszy i niesiężnej dali.

Wreszcie zaczęła śpiewać rani.

Miała głos chropawy i zgoła nie szkolony, ale o tonacji dość miłej. Przytem ekspresja była żywa, porywająca, namiętna, zwłaszcza pod koniec strof, które modulowała dalej bez słowa, nucąc dziko, marząco, napoły z łkaniem, napoły śmiechem, to pokrzykując boleśnie, to wzdychając przeciągle z przerwami, co zostawiało dość czasu tłumacze na szeptanie angielskiego przekładu.

Pieśń brzmiała w przybliżeniu tak:

Zbójnik Jugurt pędzi w cwał przez pola,  
Żonę radzy mocno w siodle trzyma,  
Za nim pościg ze skowytem dąży,  
Hej, w pustynię! Hejże ha, w pustynię!  
Nagle rumak potknął się o głazy,  
Błysły miecze w księżycu poświacie,  
Poległ Jugurt na kamieniu Szywy...  
Tam, w pustyni, ... w dalekiej pustyni.



Żona radży miecz mu wzięła z dłoni,

Odrąbała swoją rękę białą...

— Nieścież ojcu dar ten! — zawołała —

— Dar od córki z pustyni dalekiej!

I znów błysło ostrze jasnej stali,

Odrąbała sobie nogę rani...

— Dajcież dar ten ostatni mężowi,

Dar ostatni z pustyni, od żony!

Potem zwłoki kochanka objęła,

Pościg zemknął, ucichły tętent...

A pustynię przeniknął rozłogą

Śmiech hieny i skowyt szakala...

Śpiew rani zamarł w rzęzeniu bezsłowem, ucichło niesamowite bębnienie finału, a Amanda siedziała dalej bez ruchu. Miała wrażenie, że ją porwała burza i poniosła kędyś, daleko. Milczenie ciążyło jej z każdą minutą bardziej, a coraz trudniej było przerwać je. Wkońcu, wstydząc się szczerze, nie znalazła lepszego wyjścia nad zapytanie o szczegóły radżputańskiej kroniki.

— Któż to był Jugurt i kiedy żył?

Rani wzruszyła ramionami.

— Któż wie? Był rozbójnikiem, który porwał żonę radży i pozostał nim pewnie dotąd... — dodała z niewzruszoną u Hindusów wiarą w żywot pozagrobowy i fatalizm przeznaczenia.

Wybuchowa energia, cechująca rani, znalazłszy sobie ujście, ustąpiła miejsca tem głębszej orientalnej prostracji. Jedna jeno ręka jej snuła się żywo niby kobra, polująca na muchy, porywała z jaspisowej czarki ziarnka kardamomu i niosła do ust, które je wchłaniały chciwie. Nagle rani pochylila się i wetknęła własnoręcznie między wargi Amandy kilka takich ziarenek, co było oznaką niezwyklej łaskawości. Całe

jej ciało wilo się przytem pod wonnemi osłonami tak falisto i ponętne, że nawet niedoświadczona Amanda musiała przeczuć cały wdzięk i piękno tych kształtów. Jednocześnie atoli przejęła ją tak intensywna trwoga przed wężową naturą tej kobiety, że wstała i zakończyła szybko wizytę, nie dbając, czy przez nagłe odejście nie narusza dotkliwie pałacowej etykiety Radżputany.

---

## ROZDZIAŁ DRUGI.

### Zachody słońca.

Gdy Amanda wróciła do bungalowu, objęła ją znana zdawna już szczególna cisza hinduskiego domu, którego cała obsługa żyje poza nim. Z drugiego końca kurytarza słyszała dokładnie głosy ojca i Kala Ramy, wiodących zapewne jakąś naukową dysputę. Nie poszła jednak do nich, czując potrzebę samotności, po drażniącej wielce bytności u rani.

Miała, coprawda, dla ministra wieść od Edmunda, ale wiedziała, że jeśli nie domknie drzwi swoich, to posłyszcy, gdy będzie wychodził.

Weszła tedy do swego pokoiku naprzeciw pracowni i siadłszy przy oknie, spojrzała poprzez ogród i jezioro na pałac radży. Królował na czerwonej skale, pociętej cieniami, niby kolumnami z brązu, a ponad nim płynęły różowe, złotem brzeżone, wieczorne chmurki. Od trzech już miesięcy siadywała Amanda u tego samego okna, wpatrzona w widok, znany dobrze, a jednak obcy. Nie mogła sobie nigdy zdać sprawy, czy jest on zwiastunem wesela, czy grozy.

Dziś wiedziała.

Powiedziała ojcu, iż pałac ten wygląda wieczorem, jakby chciał mówić, czy śpiewać o swych dziejach

z czasów bohaterskich. Teraz mówił, ale o czem innym. Z wież biegły radosne okrzyki, szepty płynęły z blanków, pawilonów, wykuszów, wzdłuż taras snuły się słowa i zbiegały ku niej po schodach, a wszystkie głosiły jedną, bolesną, straszliwą wieść:

— Tam mieszka ta, którą on kocha!

Nie wiedziała, czy od strony narożnej komnaty, przysłonionej rżniętym marmurem, spojierają ku bungalowowi oczy, mówiące:

— Tam mieszka ten, którego kocham!

Znała od dziś te oczy pod łukiem czarnych brwi, ujrzała przed sobą czerń ogromnych źrenic i doznała gwałtownego, bezrozumnego wstrząsu odrazy.

Czyż podobna, by Edmunda łączyła miłość z tą istotą? Rani była piękna, inaczej piękna niż Amanda. Może właśnie styl tej piękności pociągał go, albowiem sam miał w żyłach krew tej samej rasy?

Nie wykluczone zresztą, że się myliła, że brała za fakt to, co było jeno prawdopodobieństwem... Wszakże nienawiść śmiertelna Radżputanina do Anglika mogła mieć źródło inne, polityczną intrygę! Chwyciła się tej nadziei i spojrzała znów trwożnie ku marmurowej kracie, gdzie czuła oczy rani, przepojone zło-wrogą, łakomą żądzą.

Trudno było jednak teraz dojrzeć wykusz cenany, cały pałac jarzył się, niby jeden blok węgla, zgasły ponad nim różowe tony, płonęła jeno purpura i jaskrawizna pomarańczowa o krystalicznej czystości tonu.

Amanda wspomniała inny zachód słońca, ujrzała inny pałac, rozploniony słońcem, zarysowany jaskrawo na wieczornem niebie, i w myśli jej stanął moment, w którym wzięło początek to wszystko, co teraz tak

już daleko posunięte, dążyło ku niewiadomo jakim, przedziwnym celom...

Działo się to przed rokiem, w Heidelbergu. Spędziła tam kilka miesięcy z ojcem, który miał na miejscowej wszechnicy objąć profesurę. Siedziała przy otwartym oknie i spoglądała poprzez Nekar w stronę zamku i miasta. Widok był piękny, wdzięczny, pociągający i miły, choć nieco mdły w porównaniu z tem ostrem, metalicznym jarzeniem wschodu, przepajającym wszystko i wżerającym się w mózg. Wówczas nie sądziła, coprawda, by istniało coś piękniejszego. W ogrodzie zaścielały trawniki pożółkłe liście kasztanów, a aromatyczny wiew, płynący falą mieszał się z wonią ciemnych róż, stojących przed nią w wysokim flakonie na stoliczku od robót. Róże te przyniósł jej pewien student, dołączając krótki wierszyk, który nie mówił wprawdzie o miłości, ale tak o niej wymownie milczał, jak wypada, kiedy sprawy nie dojrzały jeszcze do formalnych oświadczeń. Wiersz był śliczny, podobnie jak autor, i Amanda rozważała w ośmnastoletnim sercu swoim, czy jest to miłość i czy, gdy kiedyś poda mu dłoń, pójdą przez całe życie razem. Myśli te napełniły jej serce słodkim niepokojem, który zdawał się je potwierdzać.

Nagle nadszedł ojciec z otwartym listem w rękę.

— Amando! — zawołał — Czy miałabyś ochotę jechać do Indyj?

Do Indyj? Słowo to nie było jej pustem jeno terminem, geograficznym pojęciem, jak dla większości niemieckich dziewcząt, bo ojciec rozmawiał z nią o wszystkim, co go interesowało, a nawet zaczął ją uczyć alfabetu sanskryckiego, z zamiarem uczynienia z niej kiedyś swej pomocnicy. Mimo to Indje dalekie były od

wszystkiego do czego nawykła, a zwłaszcza od młodzińca, który jej dał różę i wiersz.

Ojciec usiadł tuż przy niej i ją tłumaczył. List otrzymał od ministra Kala Ramy. Wszakże znała Kala Ramę?

Oczywiście. Pojęcia nie miała o ministrach własnej ojczyzny, ale nasłuchiwała się opowiadań ojca o tym ministrze północno-hinduskiego państewka i jego zaślugach. Kala Rama zawiadomił ojca, że istnieje mnóstwo napisów skalnych, zarówno w jego państwie jak i krajach ościennych, które radby należycie utrwalić i przetłumaczyć. Pozatem szło o uzupełnienie i uporządkowanie zbioru rękopisów, który sam zainicjował, a także o częściowe udostępnienie ich uczonym zachodu. W tym to celu chciał sprowadzić profesora Eichstädta na lat kilka do siebie. Donosił jednocześnie, że na wypadek zgody nadarza się korzystna sposobność podróży. Pewien młody Anglik, sir Edmund Trewelyan, zamierza jechać do Indyj i to właśnie do kraiku, z którym go łączą stosunki rodzinne, albowiem jest wnukiem miejscowej księżniczki krwi, która swego czasu nie była w stanie oprzeć się urokowi cudzoziemskiego, angielskiego pułkownika. Jest to młodszy syn wielkiego kornwalijskiego rodu i ma niespełna lat czterdzieści, mimo niezmiernie awanturycznej przeszłości. W ostatnich latach życia lorda Byróna, był jego nieodstępnym towarzyszem. Sir Trewelyan pojedzie bregiem, stojącym na kotwicy w Southampton, i jest dość czasu by połączyć się z nim.

Amanda zauważyła, że ojciec ciałem i duszą jedzie już do Indyj, westchnęła tedy ciężko pod adresem dawcy róż i wiersza i zapewniła ojca, że nie marzy o niczem bardziej uroczem nad pobyt w starym, świętym kraju Wed.

W miesiąc potem byli w Southampton i zastali breg czekający pomyślnego wiatru. Profesor Eichstädt złożył wizytę sir Trewelyanowi i oświadczył córce, że jest to mężczyzna interesującej powierzchowności i ujmującego, chociaż swobodnego zachowania. Zaraz nazajutrz rozpięto żagle, a słońce wytoczyło się na niebo, niby ognista kula w chwili, kiedy mówili wybrzeżom Anglii: — Bywaj mi zdrowy, kraju kochany, już nikt nie w mglistej powłoce... — Amanda oczekiwała, że sir Trewelyan oddeklamuje przy tej sposobności, stojąc na pokładzie „Pożegnanie Childe Harolda“ swego przyjaciela Byrona, ale doznała zawodu. Sir Trewelyan dostał się w jakiś sposób na pokład, ale nie było go widać przez całe dni i tygodnie. Amandę korciło to, bardziej jeszcze atoli gniewało angielskie ladys szczupłego grona podróżnych, chociaż nie miały, jak ona, zamieszkać z nim pod jednym dachem, w małym, hinduskiem miasteczku. Zainteresowanie, jakie w nich budził, opierało się jeno na mętnych pogłoskach o awanturniczem życiu i przyjaźni z wielkim poetą, a mimo to były wściekle.

Pewnego burzliwego wieczora, na wysokości wysp Kanaryjskich, Amanda wychyliła się na pokład, nie mogąc wytrzymać w kabinie, gdzie ją trzymała niepogoda. Nie doznawała wcale przypadłości morskiej choroby. Było to widać dziwne zrządzenie losu, który rządzi tą chorobą jak wszystkim innem, a właśnie teraz rzucił innych podróżnych na łożę boleści. W pobliżu nie znajdował się żaden z oficerów, gdyż inaczej odesłałby ją niezawodnie na dół.

Pierwszy to raz ujrzała tropikalny zachód słońca, którego urok podniosła jeszcze burza, pierwszy też raz miała przed oczyma Atlantyk w całym majestacie.

Ogarnięta wspaniałością widoku, poddała się wrażeniu z całym zapalem młodej, czystej duszy.

Góra chmur w którą zapadało słońce, przypominała wulkan miotający olbrzymie snopy iskier, które przelśniewały całe niebo, zapalały obłoki i lały potoki płonącej lawy w morze. Okryte białymi grzywami pagórki fal chwiały się, migocząc ogniem i rażąc krwistym fioletem rozwartych u ich stóp otchłani.

Amanda radowała się i biła jak dziecko oklaski, ile razy fala przysła, rozbita o bok statku, rzucając wysoko tęczę barw.

Nagle posłyszała trzeszczenie schodów pod czyimś krokiem za sobą i już miała spojrzeć, by zobaczyć niepożądanego intruza, mącącego jej samotność, gdy jednocześnie uwagę jej zwróciła przedziwna rzecz. Szła ku niej nieopisanej piękności, przejrzysta, szmaragdowa ściana, migocąca złotem, a urok był tak wielki, że zapominając o niebezpieczeństwie, mimo woli wyciągnęła do zjawiska ręce. W tejże chwili uczuła, że jest pośród oceanu, a jednocześnie w jakichś silnych objęciach ludzkich.

Po chwili, która trwała dla niej jednak bardzo długo, puścił ją ocean, ale ludzkie ramiona trzymały dalej. Oszołomiona i wstrząśnięta, nie widziała nic, przed oczyma miała jeno purpurowe płomyki, ale usłyszała tuż nad uchem jakiś dźwięczny śmiech.

— Aj! Cóżto za zuchwała damulka, co oklaskuje grę fal i chce objąć w uścisk Atlantyka cały! Nie, nie zostań pani lepiej w objęciach wytrawnego marynarza. — Acha... jeszcze jedna fala...

Tym razem nie była to jednak spoista ściana, ale kaskada piany, która jej zbryzgała szyję i policzki, a chlusnęła z trzaskiem o pokład i okno poziome.



— Statek płynie pod kątem do wiatru, za chwilę nadejdzie nowa ściana. Nie może pani tu zostać.

Amanda uwolniła się tymczasem z objęć i postąpiła kilka kroków, ale padła bezradnie na poręcz schodów.

— Nie... nie poradzi sobie pani sama... Proszę pozwolić!

Uczuła że ją bierze na ręce i znosi na dół. Za chwilę siedziała bezpiecznie na sofie w salonie. Przed nią stał wysmukły mężczyzna w płaszczu, ociekającym wodą. Z pod szkockiej czapki wyzierały kędziory czarnych włosów, spryskane pianą i spływały na ramiona. Wielkie jego, oryentalne oczy śmiały się wraz z pełnymi wargami i lśniaco-białymi zębami. Ciemna, niemal maurytańska, powabna twarz promieniowała dziką, a zarazem jowialną radością.

— Powiniennem się pani właściwie przedstawić! — rzekł — Jestem Edmund Trewelyan, a nazwisko moje nie jest pani chyba obce.

Amanda chciała również dopełnić prezentacji, ale nie mogła otworzyć ust.

Zauważył to sir Trewelyan.

— Nie potrzeba... niech się pani nie wysila. Wiem, wiem... mała Europejka, po salonowemu mówiąc, miss Amanda Eichstädt. Ano, skończyliśmy tedy towarzyską ceremonję. Mam nadzieję, że spotkamy się w spokojniejszych warunkach.

Zadzwoił i rzekł do wchodzącej pokojówki:

— Proszę, niech panienka położy miss Eichstädt do łóżka. Zapoznała się ona zbyt blisko z Atlantykiem. Trzeba ją dobrze przykryć i dać filiżankę mocnej herbaty z łyżeczką dobrego rumu. Dobranoc, miss Eichstädt!...

Rozpoczęta w ten sposób znajomość nie miała narazie dalszego ciągu. Sir Trewelyan trzymał się w ukryciu, chociaż z czasem mogły zaspokoić swą ciekawość angielskie ladys i misses, zazdroszczące niemieckiej „Fräulein“ przygody, o której opowiedziała im ile mogła pokojówka.

Amanda spędzała dużo czasu na pokładzie, nie mogąc się nasycić cudami tropikalnego morza. Godzinami obserwowała rybitwy, ulatujące stadami z fal na odległość setek stóp i zapadające w macierzysty element. Przy spokojnym morzu podziwiała zwłaszcza „portugalski okręt wojenny,“ prześliczną, małą meduzę, która wzniosłszy się na powierzchnię, rozpinając delikatny żagiel o różowo-pomarańczowo-błękitnych tonach i płynęła z niepojętą szybkością po skądierzawionej powiewem płaszczyźnie wód.

Zwłaszcza nie opuszczała żadnego zachodu słońca i właśnie jeden z nich, jakoś w dwa tygodnie potem, spowodował drugie spotkanie, w okolicznościach bardziej romantycznych, oraz odpowiedniejszych dla osobistości i sławy nowego znajomego Amandy.

Wyraźniej, niż kiedykolwiek stało przed nią wspomnienie tego drugiego spotkania dziś, kiedy patrzyła na pałac radży, coraz to ciemniejszym objęty żarem, pośród którego przemykały plamy czerni.

Bezwiednie ujęła pamiętnik, leżący stale na stoliczku od robót przy oknie.

Odnalazła miejsce zapisane notatkami o latających rybach, lśniących meduzach i innych cudach morza i wzruszona stanęła na słowach, przy których odłożyła pióro i wyszła z kabiny, by nie stracić zachodu słońca.

Noc poprzednia była dość burzliwa, a morze było rozkołysane, to też nie zdziwiło ją, że niema na pokładzie żadnej z kobiet, natomiast wszyscy przedstawiciele rodu męskiego wylegli, ale widocznie nie dla podziwiania zachodu. Przeciwnie, zebrani na tylnym pokładzie, obrócenii plecami do majestatycznej, zsuwającej się w morze kuli świetlnej, patrzyli w kierunku wschodnim, na przedmiot oświecony jaskrawo promieniami słońca.

Jakiś statek dążył skosem, wprost ku nim i oddalony był teraz najwyżej o pół mili morskiej po lewej stronie. Wielkie jego, ostro wydęte żagle lśniły pomarańczową barwą, ster polyskujący w słońcu metalicznie pryskał pianą, a pas teźże piany pełzył przez wodę aż do brzegu, jakby go wysłał przodem na pościg nieznany żaglowiec.

Widok ten przykuwał wzrok.

Amanda zatoneła spojrzeniem w zjawisku i drgnęła na dźwięk znajomego głosu.

— Co? Znowu na pokładzie nasza mała panielka? Ma pani, widać, manję chodzenia po wierzchu, w chwili, gdy wszystko co kobiece, siedzi schowane w kajutach.

— Dziś morze dość spokojne — odparła — a nawięklam już do tej lekkiej kołysanki. Cóż to za statek?

— To brygantyna.

— Może ten sam, który od dni kilku widać było, na wschodzie, jako mały punkt na widnokręgu?

— Ho, ho! — zaśmiał się sir Edmund — Czyści pani, widzę, nieźle szkła swych latarni! Tak, tak, są w porządku. Zaręczam, to ten sam, a w dodatku doskonały pływak.

— Nieprawdaż? Jakaż radością przejmuję widok jak tańczy po falach.

— Istotnie. Ale najlepsi tancerze nie zawsze są najlepszymi ludźmi. Jest to prawda, którą pani mogą potwierdzić fakty, zwłaszcza w tych okolicach. Sądzę, że pani już dość napatrzyła się temu tańcowi i radzę usilnie zejść do kajuty.

Tu przerwał mu kapitan.

— Hm... sir Trewelyanie, co pan sądzisz o niej? (miał zapewne na myśli nadpływającą brygantynę, nie zaś Amandę). Nikt na statku lepiej się na tem od pana nie zna.

— Wielki to zaszczyt, kapitanie. Wedle mego skromnego zdania: Gotuj broń!

— Jeśli mam inny pogląd, to niech mi od tej chwili stanie kością w gardle każdy łyk grogu! — zawołał kapitan.

Zwołał zaraz na pokład sygnałem piszczalki całą załogę, przemówił krótko na znany temat, że „Anglik za nic nie podda się nikomu,“ potem wydał lapidarne rozkazy i wszyscy pospieszyli na posterunki, krzyknąwszy przedtem: hurra!

Pasażerowie męscy wrywali sobie broń rozdawaną na pomoście komendanta, były to stare strzelby, pistolety, oseeki i topory. Wszędzie widać było słuszną postać Edmunda i słycać jego donośny, śmiały głos. Kapitan powierzył mu organizację tej obrony pomocniczej, nader potrzebnej w tej chwili statkowi kupieckiemu. Obecność sir Edmunda była prawdziwą otuchą dla bojaźliwych, gdyż wszyscy widzieli, iż człowiek ten znalazł się właśnie w swoim żywiole i niczego osobiście bardziej nad walkę nie pragnie. Amanda czuła, że przy nim strachu nie zazna, ale oddaliwszy się bodaj trochę, nie zdolną będzie do niczego. Drżała więc, by jej nie odesłano do salonu, gdzie oczywiście

wszystkie damy ogarnął ze strachu szal histeryczny. Wiedziała, że ojciec tkwi po uszy w sanskryckiej książce, od której wstać nie chciał, gdy go wzywała na oglądanie zachodu.

Kuliła się przeto jak mogła poza sternikiem, który ją zasłaniał szerokimi barami. Wkońcu jednak spostrzegł ją mr. Watson, młody oficer marynarki, zalecający się do niej wytrwale, który tym razem jednak niezbyt rad był ze spotkania. Poprosił, by zeszła do salonu. Ale widać, nie chcąc pominąć sposobności palnięcia komplementu, lub chcąc rzecz w żart obrócić, zaręczył, że nie może jej zostawić na pokładzie, albowiem jest jeszcze jasno, a gdyby piraci ją zobaczyli, doszłoby zapewne do walki o nią, tymczasem należy unikać tej ostateczności.

— Ho, ho! Mr. Watson, a to co? — na ugalonowane ramię oficera spadła ciężko dłoń sir Edmunda — Dajesz pan, widzę, fałszywe sygnały? Nie masz pan skrupułów, gdy idzie o komplement, lub nie znasz gustu tych dżentelmenów, dozorców haremowych. Jeśli o tem jeno mowa, możesz pan spokojnie zostawić na pokładzie pannę Eichstädt, natomiast trzymaj pan na dole miss Smith, bo gdyby ona ukazała swe wdzięki, mogłoby dojść do tego, o czemś pan wspomniał.

Amanda patrzyła uparcie na groźny statek. Choć sytuacja nie uprawniała do wesołości i żart był dość prostacki, musiała się uśmiechnąć. Miss Smith była potężną, brytyjską dziewczyną, wypasioną na wyspiarskim wikcie, i nie szczędziła swych wdzięków, zwłaszcza dla sir Trewelyana.

— Miss Smith, — rzekł lekarz okrętowy, spojrzawszy przez poziome okno w pokładzie — jest dobrze

zabezpieczona, leży bowiem na sofie z twarzą w poduszkach.

— Może zanosi do Ałłacha modły, by ją uczynił sultanką, ale sędzę, zniweczymy jej, nader zresztą uzasadnione nadzieje.

Najmniej nawet doświadczony człowiek musiał spostrzec wyższość żeglarską brygantyny nad bregiem. Statek nieprzyjacielski igrał sobie, to płynąc równolegle, to odpływając, to znów sunąc wprost do ataku. Czasem dosiogał bregu na rzut kamieniem z lewej, lub prawej strony. Słońce stało nisko, ale oświecało mimo mknących chmur jasno pokład brygantyny, który, widny w niejednym manewrze pod silnie nachylonym kątem, wydawał się pustym. Widać było jeno na tylnym pokładzie olbrzymiego murzyna z długim sterowniczym wiosłem w rękach. Ta pustka czyniła wprost niesamowite wrażenie, a zgrabny stateczek zdawał się magiczną kierowany siłą, bez ludzkiej pomocy.

Kapitan spytał przez tubę, ale na trzykrotny okrzyk nie dostał odpowiedzi. Zagroził, że strzeli, jeśli nie dostanie sygnału. Na to wyskoczył jakiś człowiek z wiosłem w ręku i jął ryczeć dość długo, a niezrozumiale, co było zresztą jego zamiarem. Za moment brygantyna stanęła, miast się jednak oddalić, wykonała obrót na sterze niby bąk.

— Chce nam pokazać prawy bok, a potem wziąć od tyłu! — zawołał Edmund.

— Znam ten stary figiel! — odparł z uśmiechem kapitan i rzucił szybko kilka rozkazów.

Breg wykonał mały obrot, mniej, coprawda, zgrabny od przeciwnika, ale zapobiegający niebezpiecznej pozycji prostopadłej. Za chwilę obaj przeciwnicy płynęli znowu równolegle, bardziej nieco ku

zachodowi, ale mieli teraz brygantynę po lewej stronie i wzięto jej pozycję od tyłu, co, jak Amanda słyszała od wszystkich, było wielką korzyścią. W istocie, niej przyjaciel przestał manewrować tak śmiało. Kapitan zawołał ponownie i znowu wyskoczył, jak sprężyną rzucony, człowiek z wiosłem, rycząc niezrozumiale. Zaraz potem zawróciła brygantyna i odplynęła z wiatrem na zachód, niknąc w gęstniejącym już mroku.

Breg przyjął z powrotem pierwotny kurs, od którego zбочył o kilka linii na zachód. Podróżnych ogarnęła weselszy nastrój. Patrząc z bliska na brygantynę, nabrali przekonania, że tak mały stateczek nie może być niebezpieczny. Z załogi widziano dwu jeno ludzi, przeto osądzono, iż musi być bardzo nieliczna, i śmiano się z napastników, którzy uciekli, przekonani, że nic nie skorzystają.

Z otworu kajuty wyjrzały twarze kilku starszych mężczyzn i paru kobiet, ale zawrócił wychodzących marynarz, stojący na posterunku w drzwiach. Ta okoliczność, oraz rozmowa, prowadzona szeptem na boku pomiędzy kapitanem a Edmundem, napełniła Amandę przekonaniem, że nie jest tak dobrze, jak wszyscy sądzą.

W tej chwili trwożnej wątpliwości, uspokoił ją powrót Edmunda, który, stanąwszy obok sternika, tłumaczył mu nieznacznie polecenia kapitana. Amandzie wydało się, że przelotna znajomość z sir Edmundem starczy, by ją uprawnić do pytania go o prawdziwą sytuację, przystąpiła też doń.

— A, pani jeszcze tu, panno Eichstädt? — zdziwił się — Sądziłem, że pani zeszła zawiadomić ojca o pomyślnem zakończeniu awantury.

— Czyż zakończona? Zdaje mi się, że oni wrócą!  
— powiedziała.

— Tak pani sądzi? Hm... Widać, jest pani mądrzejsza od innych. Powiem przeto, że zdaniem mojem sprawa może jeszcze przybrać groźny obrót. Kapitan dobrze uczynił, zamykając lunety dział, by nieprzyjaciel nie spostrzegł, jak mało mamy zębów w szczękach. Sądzę, że ich zobaczymy niedługo, ale mogę się mylić.

To rzekłszy, jął badać zamek swego sztucea.

Ostatnie słowa odwiodły ją od zamiaru powiedzenia ojcu i Barbarze, jak sprawy stoją. Ojciec pewnie siedział dotąd z nosem w książce, a Barbara, powziąwszy najłżejszą obawę, za nic na świecie nie zgodziłaby się odstąpić krokiem swej panienki. Pocóż ich tedy, może całkiem zbytecznie, niepokoić?

Breg był teraz sam jeden na pełnem morzu. Księżyc wszedł, ale od wschodu nadpływała mgła, przeto światło jego było przyćmione. Po lewej stronie leżała też na wodzie ławica oparu, natomiast ku zachodowi, gdzie znikła brygantyna, daleko i szeroko patrzeć można było, a na morzu nie majaczył żaden statek.

Minęło półgodziny.

Amanda postanowiła zajrzeć, co robi ojciec i Barbara, nie była wszakże przymuszona mówić im wszystkiego.

— Żagle rozwiń! — zagrzmiało od fokmasztu.

Okręt, zda się, drgnął, a Amandę, przenikło to wstrząśnienie od stóp do głowy. Spojrzała na Edmunda, wyzierającego na lewo.

Z leżącego tuż na wodzie oparu wynurzyła się brygantyna, niedalej jak na strzał armatni.



Zapomniała o przestrzeżeniu ojca, zapomniała o wszystkim wogóle. Zupełnie bezmyślnie patrzyła na sunący wprost na nich statek straszliwy, teraz w mglistem świetle księżycy widziadlany, podobny do statku latającego Holendra.

Na całym pokładzie zapanował gorączkowy ruch, Edmund biegł tu i tam, zachęcając, przypominając polecenia i wydając nowe.

Amanda stała nieporuszona, patrząc na brygantynę, płynącą jak poprzód równolegle do bregu. Była tak blisko, że możnaby rozmawiać, ale sygnalizowanie nie miało już teraz celu. O ile się dało dojrzeć przy niepewnem świetle, pokład napastniczego statku był dalej pusty. Sam jeno sternik-olbrzym sterczał, niby demoniczna jakaś istota lub pochylał się ruchem giganta, manewrując długim wiosłem.

— Weź pani to, na wszelki wypadek!

Był to głos Edmunda. Od sekundy czuła jego obecność, teraz dotknęła jakiegoś chłodnego przedmiotu, na którym się instynktownie zamknęła jej dłoń. Był to pistolet.

Spojrzała i napotkała oczy Edmunda czarne, połyskliwe, a teraz ożywione dziwnie łagodnym, pełnym zatroskania wyrazem.

— Tylko w ostateczności! — dodał — Nie bezpośrednio po napaści... dopiero gdy wezmą nad nami górę tu, na pokładzie... zaatakują z lewej... dopiero gdy nas zwyciężą... rozumie pani? Ale wówczas nie trzeba się namyślać... odciągnąć kurek, lufa do skroni i nacisnąć...

— Ależ mój ojciec!

— Wszyscy mężczyźni pójdą pod nóż, to nie potrwa długo... Co innego kobiety... pani jesteś

zabezpieczona, o ile nie zbraknie odwagi, a wiem, że nie. Zdaje mi się, przyznamy słuszność Manfredowi, który powiedział: To nie tak trudna rzecz umierać!

Przejęła ją duma, że oto o niej myśli i o nią troszczy się jeno ten mocarny człowiek i spodziewa się po niej odwagi czynu. Ta myśl zajęła całą jej duszę.

Chociaż właściwie nie mogła tak postąpić. Umrzeć dobrowolnie, na to zgoda, tylko nie w ten sposób. Musiała odnaleźć ojca i Barbarę... postanowiła, że skoczą razem w morze i porwała się iść do nich.

Taka była jej wyraźna wola, ale nie mogła porużyć nogi. Stała przykuta widokiem statku.

Brygantyna odsunęła się od bregu, stanęła i wykonała obrót na sterze, ten sam podstępny manewr.

Zagrzmiała komenda kapitana, warknęło koło sternicze, załomotały łańcuchy steru, skrzypnęły reje, żagle jęły szarpać się i łopotać... Ale ponownie rozbrzmiała komenda, zmieszana z klątwami i tupaniem nóg. Przez pokład przemknęła, odczuta przez wszystkich, fala niepokoju... Coś się zepsuło... manewr niewykonalny! Amanda spostrzegła, jak brygantyna kryje się coraz to bardziej za rufę bregu i wspomniała słowa Edmunda, że chcą ich wziąć z tyłu. Za moment mógł spaść na pokład deszcz pocisków.

Spojrzała nań jakby błagała o ratunek.

Miał przy policzku kolbę sztucca.

Mignął blask oślepiający, sucho trzasnął strzał.

Jednocześnie zachwiało się cielsko u steru brygantyny stojącego olbrzyma. Potężne wiosło wykonało ruch, jakby szukało ręki swego pana, żagle trzasnęły dziko o reje.

Na całym pokładzie bregu, od rufy do dzioba rozległ się okrzyk radości.

Brygantyna została w tyle, jak rozbitek, jak czarna plama na lśniącym pasie wody.

Niedługo zapanował wróg nad swym statkiem. Rozpostarto wszystkie żagle i brygantyna pochyłona naprzód, z dziobem okrytym pianą, rzuciła się na breg, niby chart, chcący wbić zęby w bok uciekającego jelenia. Ale breg przeszedł tymczasem na prawo i okazała się słuszność ogólnego zapatrywania, że sir Edmund mistrzowskim strzałem uratował wszystko. Brygantyna płynęła przez czas jakiś równolegle, potem skrzyła w bok i odplynęła z wiatrem na zachód.

W tej chwili cała tarcz księżycy wynurzyła się na czysty pas nieba.

Amanda wydała mimowoli okrzyk zgrozy, a za nim posypały się inne.

Nagle rozbłysłe jasne światło księżycy oblało pokład, oddalonej ledwo o rzut kamieniem brygantyny, zapchanej ludźmi. Cisnęli się na pomoście, obsiedli parapety, oblepili reje i maszty, wisieli w wantach, słowem wyglądało wszystko razem, jak przewrócony ul. Widać było nawet białe zęby, łyskające wśród czarnych twarzy.

— Tak, panno Eichstädt, — powiedział Edmund — może pani teraz donieść znajomym, że pani widziała piratów, a co najlepsze, że pani ocalała. Nie śmieliby się tak przed nami zdradzić, gdyby mieli zamiar wracać.

Nagła świadomość, że minęło niebezpieczeństwo, które teraz dopiero w całej pełni ujrzała przed sobą, wstrząsnęło zbyt silnie nerwami Amandy. Pistolet wypadł z jej zwiotczalej dłoni i załaskotał po pokładzie. Uczuła, że ją podtrzymuje silne ramię.

— Panie Watson! — rzekł Edmund — Racz pan sprowadzić miss Eichstädt do kajuty! Kapitan ma

mi coś powiedzieć. A pociesz pan też przy okazji miss Smith, bo pewnie żałuje swego sułtanstwa, które poszło *ad undas*.

Ten żart marynarski, było to ostatnie wspomnienie Amandy z tego wieczora.

Nie uczyniła potem nigdy aluzji do owej przygody w rozmowie z Edmundem, dziś atoli dowiedziała się od Artura Steela, że kuzyn jego mówił o tem i chwalił jej męstwo. Jej męstwo? Sądziła przeciwnie, że odegrała bardzo marną rolę. Ale mało tego, sam Edmund słowem i spojrzeniem wyraził podziw dla jej odwagi...

Sir Trewelyan, jako zbawca statku, stał się od tego wieczora najpopularniejszym człowiekiem na pokładzie, ale to go wcale nie radowało, zaś podniesione do żaru uwielbienie kobiet nie uczyniło go bardziej towarzyskim. Nie jadał razem z wszystkimi, bo nad wszystko nie znosił table d'hôte, a nieregularności i obchodzenia się byle czem w jedzeniu nauczyło go obcowanie z dwu wielkimi poetami, Byronem i Shelleyem. Pośród dam rozpowszechniła się przezto legenda, że nie może patrzeć na jedzące damy, bo to razi jego pogląd na ich eteryczność. Absurd ten podnosiła mis Smith pod niebiosy, żałowała atoli z głębi serca, że tak jest.

Edmund trzymał się zdala od podróżnych, jadał w menaży oficerskiej, ale jawił się też przed masztem i za zezwoleniem kapitana, z którym żył w wielkiej przyjaźni, częstował rumem marynarzy wolnych od służby.

Było go raczej słyhać niż widać. Ile razy Amanda marzyła na pokładzie, zatopiona w kontemplację niezrównanej, podzwrotnikowej nocy, dolatały ją śpiewki popijających u głównego masztu. Przewodził nieszko-

lony, wysoki, ale miły baryton, a chór marynarzy ryczał przeraźliwie. Ulubiona piosnka ich posiadała ciągle wracający refren, trudny do oddania, a nad wszystko drogi tym spragnionym wiecznie duszom, który wyrażał, że piętnastu śmiazków, na śmierć nawet gotowych, jedzie w starem pudle, a każdy dzierży flachę rumu.

Wytrwały w zalotach porucznik Watson wyjaśnił Amandzie przy sposobności, że pieśń ta odpowiednia jest raczej dla „wesołego Rogera“ niż „błękitnego Piotrusia.“ Wyznała z uśmiechem, że nie ma przyjemności znać żadnego z tych dżentlemenów, a Watson objaśnił, iż ostatnie wyrażenie oznacza brytyjską flagę, zaś pierwsze, to dobrotliwa nazwa czarnej flagi piratów.

— Chyba nie masz pan na myśli, panie Watson, — zażartowała Amanda — by sir Trewelyan był ongiś piratem?

— Hm, któż wie, czem był! — rzekł marynarz, wzruszając sceptycznie ramionami — Zeszłego wieku żył w Jorku pewien arcybiskup, o którym powiadano, że w młodości był Bukanem.\*) Mogę zaręczyć, że sir Trewelyan nie zostanie arcybiskupem Jorku, ale nie przysięgłbym, czy w młodości nie podróżował pod znakiem „wesołego Rogera.“

Trudno powiedzieć, czemu Amanda wzięła za złe to powiedzenie młodemu oficerowi, od tej jednak pory traktowała go nader ozięble.

Długa, trzymiesięczna podróż morska zbliżała się teraz do końca. Minęli zatokę bengalską, zostawiając ją na zachód, i przepłynęli obok wybrzeży Orissy. Pewnego wieczora o zachodzie słońca, posłyszała

---

\*) Bukanie — związek rozbójników morskich na zachodnio-indyjskich wodach.

Amanda, wychodząc właśnie na pokład, wołanie Edmunda i zauważyła, że ją przyzywa gestem.

— Proszę, chodźże pani, panno Eichstädt! Należy powitać Indje, krainę bogów nieznanych.

— Zawołam ojca.

— Nie, nie, spiesz się pani! Poślemy po ojca stewartę.

Na dziobie statku zebrała się grupka podróżnych, a wszyscy patrzyli ku zachodowi. Oparto o burt wielką lunetę i spoglądano pożądliwie w pewien punkt.

Breg, lawirując teraz, podpłynął do wybrzeża na niespełna milę morską. Była to straszliwie pusta równia, obrzeżona białą pianą fal. Za kilka minut miał statek przejść tę linię i oddalić się ponownie od lądu. Stąd pośpiech Edmunda.

— Właśnie chciałem posyłać po panią! Proszę spojrzeć w lunetę!

Nawet bez pomocy szkieł dostrzegła Amanda potężne, a dziwne budowle. Przez lunetę, którą dla niej ustawił Edmund, ujrzała z wielką dokładnością obraz niezapomniany.

Brzeg wzniesiony był nieznacznie jeno ponad wąski pas piany. Tu i owdzie stały nieliczne, cienkie palmy, podobne olbrzymim dźbłom kiściastej trawy. Na dalszym planie widniały wielkie kompleksy budynków. Nad dość rozległy gaj wznosiły się dwie piramidy, ale wysoko ponad nie sterczały dwie kopułkowate wieże, podobne olbrzymim ogórkom, przeciętym w jednej trzeciej długości i postawionym na płaszczyźnie przekroju. Widok to był dziwaczny, nie pozbawiony jednak powabu uroczystego, oraz dzikiego jednocześnie piękna, tem więcej, że słońce oblewało właśnie blaskiem jedną z szerokich piramid i najwyższą, bo

najbliżej stojącą wieżę. Różana poświata osnuwała miękko płaszczyznę kopuły i kreśliła złote pasy na stopniach piramidy. Tu i owdzie wylaniały się kolosalne rzeźby ciemną purpurą z pośród aksamitu fioletowych cieni, gdzieniegdzie ozłoczone pasem światła, lub płonące rozpryskiem jęgo na zębatym wyskoku. Długie pasy cienia leżały na gaju, a tam, gdzie nie sięgały drzew, błyszcząły liście i konary, jakby były z brązu, zaś powietrze, pełne złotego pyłu, tworzyło niby glorię nad całym obrazem.

— Cóż to jest? — spytała Amanda z oczyma przy szkle — Czy to ruiny?

— O, nie! Te kamienie żyją. Mamy przed sobą jedną z największych świętości świata. To Jagger-nauth... może pani słyszała?

Słyszała o niem istotnie. Stało się symbolem przysłowiowym dla religijnego fanatyzmu, pełnego poświęcenia i dzikości wprost fantastycznej. Patrzyła z głębokiem, niemal nabożnem skupieniem i dreszczem na czarne piramidy i wieżyce, sterczące z gaju, tonące w powodzi staczającej się poza nie tarczy słońca, oraz niesięzną dal czerwonej pustyni i brzeżący ją pas pienistego oceanu.

— To co pani ma przed oczyma, panno Eichstädt, to w istocie ziemia święta! — powiedział porucznik Watson — Zeszłego roku pojechałem w czasie krótkiego urlopu z Kalkuty, by zwiedzić tę świątynię i zaręczam, niema w tem przesady, że drogi na przestrzeni całych mil obrzeżone są kośćmi pielgrzymów. Z całego terytorjum Indyj wloką się tu ludzie bliscy śmierci i konają pośród drogi, zapatrzeni ekstatycznie w te wieżyce, szczęśliwi, że ujrzeć je jeszcze mogli za życia. I dlatego to nawet, owe białe czaszki i kości nie czynią smutnego

wrażenia. Nic bowiem pewniejsze nad to, że ludzie ci giną przeświadczeni najzupełniej o szczęśliwym życiu poza grobem.

— Straszego doznają rozczarowania, budząc się w piekle, giną jak Łazarz, a czeka ich los bogacza biblijnego! — zawołał gładko wygolony jegomość, którego na ćwierć mili, oczywiście angielskiej, czuć było protestanckim „reverendem.“ — Czyż nie uznajesz pan tego widoku za smutny? Czyż nie jest to straszliwym dowodem, do jakiego szalu doprowadzić może zabobon człowieka, nie oświeconego blaskiem ewangelji? Cóż pan powiesz o szatańskich iście procesjach, podczas których setki fanatycznych wielbicieli giną pod kołami wozu bożka, w ten sposób bluźniąc, przez samobójstwo, stwórcy swemu?

Profesor Eichstädt wyszedł na pokład i objął tymczasem przelotnym spojrzeniem, przy pomocy Amandy świątynie, zanim statek oddalił się od wybrzeża, co właśnie teraz nastąpiło. Ukończywszy kontemplację, stanął gotowy do boju przed świecznikiem Kościoła i oświadczył mu, że wszystko to są bajki piastunek, a orgje ofiarnicze w Jaggernaut polegają na oszczerstwie, lub ordynarnem nieporozumieniu. Bóstwo czczone tu jest właśnie w swej życiodajnej formie, jako Wisznu, tak że owe dzikie praktyki są zasadniczo wykluczone. Wsparł go też smukły mężczyzna z sumiastym wąsem, pułkownik kawalerji, wracający z urlopu z Anglji. Powiedział, że stwierdzono, iż od lat trzynastu nie zaszedł tego rodzaju wypadek, a poszczególne fakty śmierci przypisać można poprostu ogromnemu natłokowi pielgrzymów.

Zgromiony w ten sposób reverend przybrał niezmiernie urzędową minę, odął górną wargę do podwójnej



długości i oświadczył, że tak czy owak, te i tym podobne zwyczaje zostaną niebawem wyteńpione w tym obskurnym kraju zapomocą światła ewangelji i dobroczynnej działalności cywilizacyjnej Anglików.

— Ach, schowajże się pan z pańską działalnością cywilizacyjną! — zawołał, nie bacząc na respekt Edmund — Cóżby zostało po pańskich Anglikach w tym obskurnym kraju, gdyby ich jutro wygnano gdzie pieprz rośnie? Co najwyżej gościniec z Kalkuty do Benares, o ile już skończony... no i piramida pustych flaszek z piwa.

To zuchwale twierdzenie przyjęto raczej potrząsaniem głów i śmieszkami, niż oburzeniem. Pastor natomiast zamilkł jak trusia.

— No, no, sir Trewelyanie! — zawołał kapitan, który tymczasem podszedł do towarzystwa — Przesadza pan trochę! Ale i tak, lepiej zostawić po sobie piramidę pustych flaszek, niż głów ludzkich, co czynili dawniejsi zdobywcy Indyj, oczywiście o ile jest coś wewnątrz bawelny, którą osnuto owe wieści.

— Nie wiem, czybym nie wołał tej drugiej! — powiedział Edmund — Jest bardziej dekoratywna i nadaje się przynajmniej do poematu.

Wszystkich rozśmieszyło to zapatrywanie.

Tymczasem jego wielebność zebrał siły i spytał z surową miną Edmunda, czy i tego nie uważa za wielkie dobrodziejstwo, że zakazano już w posiadłościach czysto angielskich, a niebawem zniknie z całych Indyj i świata, bezbożny, szatański zwyczaj, wymyślony przez ten bałwochwalczy lud, mianowicie sati?

Edmund odpowiedział trochę wymijająco, że co do tego istnieć mogą rozmaite poglądy, a nikt tak bardzo właśnie nie obstawał za utrzymaniem tego zwyczaju,

jak same kobiety hinduskie, w pierwszej chyba linii zainteresowane i kompetentne.

Przez to otwarto generalną dyskusję nad obrzędem sati, która przybrała niebawem charakter wielce ożywiony, a nawet burzliwy. Przed pięciu zaledwo laty przeprowadził gubernator Bentinck, przy silnej opozycji z wszystkich stron, zakaz sati w Bengalu, mocą którego każdy, biorący czynny udział w tym obrzędzie, miał być winnym morderstwa. Nawet i wśród tego szczupłego grona były zdania podzielone i podczas, gdy jedni wynosili pod niebiosy lorda Bentincka, jako największego dobroczyńcę ludzkości, drudzy powątpiewali, czy usprawiedliwionym jest taki humanitarny zamach na religijno-etyczne poglądy jednego z najstarszych ludów kultury.

Profesor Eichstädt wyjaśnił zaciekawionym słuchaczom, że sati sięga w najodleglejsze wieki, ale nie znajduje potwierdzenia w dokumentach z czasów wedyckich, a raczej zostało ono oszukańczo wprowadzone do świętych tekstów, przez braminów, zapomocą dodania haczyka do jednej z liter sanskrytu i w ten sposób dopiero otrzymało sankcję religijną. Ale i tak obrzęd ów nie był obowiązujący, jeno dość częsty, zaś w starożytności posiadał wyłącznie cechę heroicznego wyjątku. Właśnie tę oto, bohaterską wierność wielbią niektórzy równie jak dawniej, inni zaś nie chcą o niej słyszeć. Podobno też jednym z motywów ma być nader smutne życie hinduskiej wdowy, oraz prośby rodziny, na którą splywa chluba takiego uczynku, w połączeniu z zabobonnemi obietnicami i pogrózkami braminów. W chwili kiedy biedna istota daje swe przyzwolenie, znajduje się w stanie szału opjumowego, a podczas samego obrzędu jest, jak wiadomo, najzupełniej odrętwiała przez narkotyk.

Jedynym niemal mężczyzną, nie biorącym udziału w sporze, był pułkownik. Gdy nastąpiła chwila ciszy, odchrząknął i powiedział, że ponieważ sam jeno z pośród wszystkich obecnych był świadkiem obrzędu sati, przeto może zechcą posłuchać jego opowiadania i zapoznać się z odniesionymi wrażeniami.

Jednogłośnie wyrażono pragnienie, by rzecz opowiedział z wszelkimi szczegółami i otoczono zwartem kołem pułkownika, który zaczął w te słowa:

— Przed trzema laty, przebywałem wraz z kilku kolegami w północnem, na pół niezawisłem państewku Cutch, gdzieśmy odpoczywali na urlopie wakacyjnym po nudach służbowych i, jak to czynią zazwyczaj oficerowie indyjscy, polowali na tygrysy. Niedługo po przybyciu doszła nas wieść, że pewna hinduska wdowa wyraziła życzenie wstąpienia, obyczajem sati, na stos pogrzebny swego poprzedniego dnia zmarłego męża. Ułożyliśmy, że się przekonamy, czy ofiara ta nastąpi całkiem dobrowolnie, bez podstępu lub przemocy z czyjejś strony, bo w takim razie, bez względu na niebezpieczeństwo, nawet z użyciem broni, przeszkodzimy obrzędowi. Poszliśmy dość wcześnie na miejsce, zapelnione już tłumami widzów. Niedługo potem zobaczyliśmy samą wdowę, w otoczeniu braminów i członków rodziny, za nią zaś niesiono zwłoki męża.

Była to niezwykle piękna kobieta, lat około trzydziestu, i miała wspaniały strój. Widzowie zasypali ją oznakami hołdu dla jej cnót i rzucali kwiaty, a kobiety podchodziły, by dotknąć jej szat. Patrzyła z takim spokojem na budowanie stosu, że obojętność ta wzbudziła przypuszczenie działania opjum. Dwu z nas, Europejczyków, byli to lekarze wojskowi, przystąpiło

do niej blisko, ale doszli do wniosku, że nie użyto ani opjum, ani żadnego innego środka oszalamiającego.

Sam zwróciłem się do wdowy i spytałem, czy spełnia ofiarę dobrowolnie, oraz zaręczyłem, że jeśli czuje najłżejszą niechęć dotrzymania ślubu, dam jej ochronę imieniem rządu brytyjskiego, tak co do życia jak i mienia. Odpowiedziała spokojnie, z bohaterską powagą: Umieram dobrowolnie. Oddajcie mi małżonka, a żyć będę dalej.

Podczas dalszego obrzędu próbowaliśmy przedstawień i prośb najgorętszych, by się cofnęła, ale wszystko spелzło na niczem. Nie wiem, czy wielu z męczenników chrześcijańskich wstępowało na stos z taką odwagą i taką dobrą wolą jak ta wątła kobieta. Otoczona braminami, okrążyła siedem razy stos, odmawiając modlitwy, sypiąc na ziemię ryż i skrapiając obecnych wodą, mającą zmazywać winy. Zdjęła potem klejnoty i rozdała krewnym, każdemu mówiąc jakieś słowo otuchy. Bramin podał jej zapaloną pochodnię. Z nią weszła w drzwi stosu i usiadła pośrodku, poczem obniesiono siedm razy wokolo stosu ciało męża i złożono je na jej kolanach. Teraz założono wejście cierniami i trawą, ale my, Anglicy uparliśmy się, by to uczyniono tak powierzchownie, iżby nie stanowiło żadnej zapory kobiecie wraze chęci ucieczki z płonącego więzienia. Przekonaliśmy się, że starczy siły dziecka dla odrzucenia przeszkody i zawiadomiliśmy kobietę, że stos nie jest zamknięty, w nadziei spowodowania ucieczki, w ostatniej bodaj chwili. Nastąpiła głęboka cisza, a po chwili dym ulatujący ze szczytu stosu uwiadomił wszystkich o zapaleniu go pochodnią. Zaraz potem uderzyły w górę płomienie, a nic zgoła, najłżejszy nawet okrzyk, ni jęk najslabszy nie zdradził, jakoby płonęło coś więcej nad ciało zmarłego.

Opowiadanie to, ożywione drobnymi szczegółami, dostępnymi jeno świadkowi naocznemu, gestami wywołanemi wspomnieniem, oraz tonacją głosu i wyrazem twarzy, wywarłoby wrażenie wszędzie. Tutaj, w tem otoczeniu podziałało wstrząsająco. W górze błyszczało niebo wieczorne gwiazdami, których nie przyćmiewał wschodzący księżyc, u dołu morze, którego fale, uderzające głucho o boki statku, niosły na sobie w podskokach owe lśnienia przestworów, w dali zaś, za pasem piany tajemniczy kraj, część świata oddzielna, Indje, przepełnione niesłychanemi sprzecznościami, głębokimi misterjami, prastarą wiedzą, zanurzone w mgłę, objęte ciszą nocy, milczeniem, dosłyszalnym dla wszystkich, może nawet dla samego pastora. Dolatywał, zda się, stamtąd głos: O cudzoziemcy, przemykający u mych wybrzeży, skądże wam śmiałość taka, że rękami niedołącznemi wstrząsacie podwaliny mych prastarych zwyczajów, a posiadając od wczora dopiero zdolność myślenia, zasiadacie na sąd i wyroki ferujecie na mnie?

Długo trwało milczenie, będące dla pułkownika najlepszą podzięką i uznaniem. Przerwał je w końcu Edmund słowami:

— Słyszeliśmy tu głos faktów. Mężczyźni europejscy nieraz już wydawali swój sąd o tej sprawie, znamy też zapatrywanie kobiet hinduskich. Teraz radziłybyśmy się dowiedzieć zdania europejskich kobiet.

Obecne damy angielskie pospieszyły zaraz, po pryśnięciu czaru, objawić swe poglądy i zachęcane pomrukiem pastora oświadczyły zgodnie, że samobójstwo to straszny grzech, wyraźnie zakazany przez samego Boga i dlatego sympatyzować nie mogą z danym obrzędem. Jedyne wyjątek stanowiła niedoszła sułtanka, miss Smith, która, patrząc omdlewająco na

Edmunda, zdawała się mówić, że z rozkoszą usmarzyłaby swe obfite ciało na stosie małżonka takiego jak on. Niewdzięczny Edmund objaśnił to potem w ten sposób, że owa miss tak bardzo pożąda męża wogóle, iż przyjąłaby nawet ryzyko śmierci na stosie.

— Brytanja przemówiła, cóż powie Germanja?

Amanda doznała bardzo przykrego uczucia, czując zmieszanie, jakie w niej wywołało ostatnie pytanie Edmunda, po którem uwaga wszystkich na niej spoczęła. Była przytem w niejasnej sytuacji. Cała dysputa przybrała charakter walki pomiędzy przedstawicielem Kościoła, a byronistą. Grupowano się wedle sympatji, lub tego za co uchodzić chciano, pod sztandarem jednego, lub drugiego, a teraz właśnie została Amanda wezwana przez jednego z wodzów, jako ostatnia kombatantka, do zajęcia stanowiska. Pastor, który kilka razy poróżnił się już z ojcem, był jej od samego początku wielce niesympatyczny, a wrażenie spotęgowało się jeszcze tego wieczora. Z drugiej strony nie mogła aprobować zachowania Edmunda. Zabawianie tego, dość mieszanego towarzystwa zachwałami paradoksami, oraz podniecanie niemi do sporu, nie było chyba przystojną dlań rolą, a zwłaszcza tej nocy, w tym nastroju, pod pierwszym wrażeniem obcego, potężnego świata, ku któremu zdążali.

— Nie wiem, — zaczęła, jękając się trochę i szukając słów — czy wypada, by Germanja przemawiała memi nieudolnemi ustami. Ale sądzę, że jeśli czyn tego rodzaju wypływa z czystej miłości, bez motywu smutnego życia wdowiego, jeśli nieszczęsna wdowa kładzie się na stosie obdł małżonka, nie mając siły opuścić go, nie mogąc bezeń żyć, a mając nadzieję wspólnego, szczęśliwego obcowania poza grobem, to

nie pojmuję, jakby taka wierność ogromna mogła budzić inne uczucia, jak bezwzględnego szacunku i podziwu.

Jego wielebność, pan pastor założył dostojnym gestem ręce na plecy i jął spacerować po pokładzie, jakby chciał odejść możliwie daleko od osoby, wyrażającej tak haniebne poglądy.

Ten sukces uradował serce Amandy bardziej może jeszcze, niż głośna, natychmiastowa aprobatą Edmunda.

— Te słowa heroiczne, godne dziewicy szylerskiej, a mądre, niby Porcji Szekspira!

— Niekoniecznie Porcji, gdyż uwzględnić należy i drugą stronę rzeczy! — powiedziała Amanda ze swawolnem rozbłyskiem oczu, który budził zawsze niemal w tym, ku któremu był skierowany, zaciekawienie i chęć posłyszenia dalszego ciągu.

To też i Edmund spytał żywo:

— Jakaż to druga strona, dostojna Porcjo?

— O ile słyszałam, żaden dotąd wdowiec hinduski nie dał się spalić na pogrzebnym stosie swej żony, a wyznaję szczerze, że brak mi bardzo tego uzupełnienia.

Odpowiedź ta wywołała tak żywe i głośne echo, że nawet pastor podszedł szybko, by usłyszeć co zaśzło. Kapitan był tak zachwycony, że, klepiąc olbrzymiemi łapami Edmunda po plecach, spytał, czy old boy potrafi przebić ten atut.

Old boy nie był istotnie w stanie dokazać tej sztuki i rad był bardzo, że w tej chwili uwagę wszystkich ściągnął sygnał, donoszący o statku, z prawej strony nadjeżdżającym.

— Niechże Bóg go oślepi! — zawołał kapitan — Czy ten cymbał zwarzował? Wszakże z tej strony nie może być żadnego statku!

— Za pozwoleniem, panie kapitanie! — powiedział porucznik Watson — Marynarz wziął pewnie za okręt czarną pagodę w pobliżu Karnaku i trzeba mu to policzyć za okoliczność łagodzącą, iż nie pierwszy popełnił tę omyłkę.

Okazało się, że tak było istotnie. Niedługo dostrzeżono poza pasem piany czarny przedmiot, ludzko podobny do okrętu w pełnym przystroju żagli. Tym razem nie była to jak Jaggernaut świątynia żywa, ale czcigodna ruina, będąca jednym z najciekawszych zabytków architektonicznych Indyj. Podobny do wieży budynek główny dawno zniszczał, został jeno kubicznego kształtu portyk z dachem piramidalnym, wzniesiony około stu trzydziestu stóp ponad ziemię. Porucznik Watson, który zwiedził i tę świątynię, wracając z Jaggernaut, opisał ją na ogólne życzenie. Powiedział, że bloki czarnego marmuru, z których świątynię zbudowano, posiadają tak olbrzymie rozmiary, iż trudno pojąć, jaka siła ludzka mogła umieścić je tu gdzie są, zaś pokrywają je rzeźby subtelne i mistrzowsko wykonane, jakie napotkać można jeno w wielkiej świątyni Buddy, na Jawie...

Taki był pierwszy hinduski wieczór Amandy, wryty niezatarcie w jej pamięci, oddzielony od innych, obramiony dwoma potężnymi symbolami Indyj, świątynią w Jaggernaut i czarną pagodą. Ale w głębi jej świadomości błyszczała niby gwiazda dumna myśl, że oto rzuciła zuchwałemu Edmudowi rękawicę, której podjąć nie śmiał. Wiedziała z pełną ścisłością, że nie uznaje za równoważnik życia mężczyzny i ko-



biety. Bez wątpienia oddałby natychmiast swe życie za kobietę i żądałby tego samego od każdego mężczyzny. Ale dlatego jeno, że mężczyźni przystoi rycerskość i pogarda śmierci. W gruncie serca jednak godził się na miarę oceny, tak naiwnie wyrażoną w jednostronnym kulcie sati. Zarazem też odczuła, iż zawstydził się, uświadomiwszy to sobie, i nie śmiał wyjawić wobec niej tego czysto orjentalnego poglądu ...

Ale zaraz nowy obraz wstąpił w ten szereg wspomnień, by go zakończyć.

Zachód słońca w Benares.

Zachód w Jaggernauth, było to jeno pierwsze pozdrowienie Indyj, a dopiero zachód, w świętem mieście, nad świętą rzeką stanowił potwierdzenie ostateczne, że się znalazła naprawdę pośród prastarego kraju cudów.

Ale pomiędzy Jaggernauth a Benares leżała Kalkuta i tu wystąpił czynnik nowy, w tak ruchliwym nagle życiu Amandy.

Pobył w Kalkucie stanowił małą oazę pomiędzy trzymiesięczną podróżą morską, a równie długą drogą w górę Gangesu do Cawnpore, gdzie znikła cywilizacja i trzeba było jechać dalej, pomалу wozem dwukolnym, ciągnionym przez bawoły. W tem mieście „pałaców“, niesympatycznem ani Amandzie, ani jej ojcu, przyłączył się do towarzystwa kuzyn sir Trevelyana, około dwudziestopięcioletni Artur Steel. Zajmował podrzędne stanowisko w Towarzystwie Wschodnio-indyjskiem, więc chętnie ruszył z kuzynem, jako jego sekretarz, co nie było funkcją wyczerpującą, ani też, coprawda, bardzo intratną. Ale zależało mu głównie na poznaniu kraju i ludzi, by w ten sposób uzyskać kwalifikacje na później. Otwartem i serdecznem po-

postępowaniem zaskarbił on sobie zaraz sympatię Amandy, zaś serce indologa podbił zainteresowaniem dla wszystkiego co hinduskie. Niestety, spostrzegł profesor niebawem, że nie częsta skłonność Anglików, w Indiach przebywających, była mocno zabobonna u młodego Szkota. Artur wstąpił do pewnego tajnego stowarzyszenia teozoficznego i chciał w nie wciągnąć profesora. Na szczęście zbrakło na to czasu, bo należało spieszyć ku zachodowi, nim nastaną upały.

Podróż po Hugli i Gangesie pod wodę odbywała się przy pomocy małej flotylli budger, stanowczo „pogańskiej“ powierzchowności, zdaniem Basi, która z ciężkiem jeno sercem zdecydowała powierzyć swą osobę jednej z takich łodzi. Amanda przyrównała ją do odwrotnego trójmasztowca. Dwie trzecie pokładu przeznaczone są dla użytku podróżnych, a cała ta przestrzeń tworzy jedną kajutę, podzieloną na dwie części, z których tylna stanowi sypialnię. Przed nią znajduje się weranda z dachem, nakrywającym tylną część statku i tutaj przebywają w czasie pogody i miernego upału chwilowi posiadacze tych wspaniałości, nie licząc oczywiście sternika, kręcącego ogromne koło. W przedniej, otwartej części statku mieszczą się majtkowie, pomagający niezdarnemi wiosłami czworobocznym żaglom w windowaniu statku pod wodę. Sami wiosłarze nie dokazaliby tego, to też podczas ciszy, lub przeciwnego wiatru, przywiązują linę do masztu głównego i cała załoga, w liczbie około tuzina, krocząc brzegiem, dobywa wszystkich sił, ciągnąc pomaleńku ciężką łódź.

Każda budgera posiada też trabanta swego, to jest czółno kuchenne, a raczej tratwę, zbitą z kilku

grubych belek, z chatką z sitowia, którą popycha naprzód kilku czarnych obdartusów.

Edmund i Artur jechali przodem, drugą budgerę zajęła Amanda z Basią, zaś profesor i jego biblioteka sunęli, w trzeciej, a na koniec służba w czwartej, zamykała korowód. Pogoda sprzyjała niemal stale. Amanda spędzała cały czas na werandzie kajuty i próbowała, zwłaszcza podczas holowania, notować w szkicowniku fragmenty krajobrazu. Na każdym zakręcie rzeki jawiła się nowa scenerja, ożywiona stromemi skałami, powabnymi pagórkami, lub grupami potężnych drzew. Często natrafiali na kopulasty grobowiec, ruinę świątyni, lub chaty wiejskie. Gdy przebyli Hugli i zabrały ich fale matki Gangi, niosąc szerokiem korytem, przybierającym chwilami rozmiary jeziora, ze skalistemi wyspami, zdobnemi w świątynie, wszystko wówczas wyolbrzymiało wokół. Po wsiach nastąpiły miasta ze schodami pobrzeżnemi ghatami \*), portykami, pośród których jaskrawiły się suknie Bengalów, dalej z kopułami, minaretami, wysokimi bramami i potężnemi naprawdę murami z granitu. Zapadli w chaos pałaców i chat, w mieszaninę dziwną, fantastyczną zgoła i bardzo malowniczą.

To też, mimo jednostajności, podróż nie nudziła nigdy Amandy, zwłaszcza, że kontemplacyjny żywot dzienny kończył się towarzyskiem zebraniem na pokładzie pierwszej budgeri, gdzie Edmund zapraszał co wieczór wszystkich na pogawędkę i szklanek sorbetu.

Rozmowy takie były zazwyczaj ożywione, urozmaicone i pouczające. Profesor nie zaniedbywał dostarczać najsmakowitszych kąsków ze spiżarni swej

\*) Ghat — basen kąpielowy ze wspianiami schodami, piękny architekuralnie zabytek kultury hinduskiej.

wiedzy. Behar i stare Magadha, którego granicą północną płynęli, dało mnóstwo materiału do przypomnienia wielkich tradycji buddystycznych, oraz historycznych dygresyj, rzucających światło wieków na dobę obecną. Gdy mijali Patnę, profesor musiał oczywiście nakreślić obraz świetności starej Pataliputry, stolicy wielkiego, szlachetnego cesarza Asoki, którą podziwiał Grek Megasthenes, a w siedmset niemal lat później, pielgrzym chiński Fa-hien, który w niej zastał jeszcze tłumy żółto odzianych mnichów Buddy, pstro przybrane rzesze i nieskończone procesje obrazów. Mieli przed sobą resztki onej świetności, a gmachy i przedmieścia ciągnęły się trzy mile wzdłuż południowego brzegu Gangesu, malownicze wprawdzie, ale dające wrażenie, że Pataliputra, podobnie jak Benares, zbudowane ongiś ze złota, tytułem kary za grzechy przemienione zostało z czasem w kamień, wapno, glinę i błoto. Miasto przypominało w tym skromnym stanie raczej starą, czcigodną Pataligamę, gdzie Budda zaszedł po raz ostatni czasu swej wędrówki i przez całą noc dawał uczniom nauki religijne. Tam też, wedle legendarnego uzupełnienia, miał pono, oświecony przez legje bóstw, wyprorokować swemu ulubieńcowi, Anandzie, jak świetna przyszłość czeka to miasto.

Artur Steel zgromadził przez ciąg trzechletniej służby dużo wiadomości o życiu Hindusów, częścią z własnych obserwacyj, częścią biorąc je od wiarygodnych świadków, a szczegóły te dobywano z niego chętnie, co miało miejsce z początku zwłaszcza, kiedy był jeszcze nieśmiały. Amanda zwłaszcza nabrała rychło wprawy takiej, że, chwyciwszy niepozorny koniec nitki, ciągnęła póty, aż się z tego utworzyła piękna tkanina. Młody Szkot spostrzegał często, że zeń taki

sam dobry tkacz jak z jego bohaterskiego kuzyna. Tkanina Artura była rzeczywista, w to nikt nie wątpił, natomiast desenie i arabeski Edmunda nasuwały zawsze wątpliwości, albowiem marynarska przeszłość jego (podobnie niebezpieczna dla prawdy jak myśliwstwo) oraz współzycie z poetami (nieszczęśliwi to krzewiciele prawdy) nasuwały przypuszczenie, że wytwory jego warsztatu błyszczą bardziej jedwabście, niż wypadało.

Ten ostatni przyczynek do ogólnej konwersacji nie stał w żadnym związku z nieznanym krajem cudów, przez który jechali, ale mimo to ochotnie bywał przyjmowany, zwłaszcza przez Amandę. Słuchając opowiadań Edmunda o Byronie, Shelleyu i Keatsie doznawała wrażenia, że blednie ponad nią gwieździste niebo Indyj, odbite w falach świętej rzeki, przyćmione blaskiem potrójnej gwiazdy poezji angielskiej, który promieniował z tego oto siedzącego przed nią człowieka, dla którego wspomnienia te... i one wyłącznie... były święte.

Właśnie onego wieczora, kiedy spodziewano się ujrzeć nakoniec przed zapadnięciem nocy Benares, całe towarzystwo siedziało na tylnym pokładzie pierwszej budgery.

Cały dzień poprzedni spędzili w stacji wojskowej w Ghazipurze, gdzie stał garnizonem pewien major, przyjaciel Edmunda z lat młodocianych. Edmund wyruszył z nim i kilku jeszcze oficerami na dziki, zaś Artur, mimo że był dobrym myśliwym, wolał dotrzymywać towarzystwa Amandzie i jej ojcu. Jako urzędnik Towarzystwa Wschodnio-indyjskiego znalazł trochę jego dzieje, musiał tedy udawać historyka i wygłosił, nie bez jąkania, pod pomnikiem markiza

Cornwallisa wykład o panowaniu i czynach wojennych pierwszego gubernatora generalnego, pochodzącego z arystokracji angielskiej. Doznał przytem opozycji ze strony męskiej części audytorjum, bowiem uniesiony zapalem, nazwał profesor Eichstädt wszystkie zdobycze Anglików w Indjach napadami rozbójniczymi, zapominając całkiem, że bez nich nigdyby nie dotarł do tej ziemi obiecanej. To też Amanda musiała mu w dwójnasób dodawać otuchy, podziwiając, wcale nie godne podziwu mauzoleum markiza. Dziwiło ją, czemu każdy hinduski pomnik posiada styl i charakter, a wszelkie budowle Anglików są ich całkiem pozbawione. Wkońcu przyznał sam Artur, że przez cały ciąg podróży nie napotkał równie odpychającego, jak ten, pomnika.

Od niepamiętnych czasów słyneło Ghazipore różami, które zaopatrywały wszystkie cenany Indyj w wodę różaną. Wieczorny powiew niósł od nieogarnionych rozlogów kwietnych pól przecudną woń, jaką wdychali, chodząc przed mauzoleum i słuchając muzyki wojskowej, która uczciła przybycie niemieckich gości odegraniem kilku fragmentów z „Zaczarowanego fletu,” oraz kilku wiedeńskich walców, przy dźwiękach których tańczono już w czasie kongresu.

Przy tej to sposobności zadała sobie Amanda pytanie, czy przypadkiem nie okazała zbyt wielkiego zainteresowania dla bohaterskich czynów markiza Cornwallisa, i postanowiła być ostrożniejszą wobec młodego Szkota, w słowach, spojrzeniach, a nawet gestach i minach. Nie łatwo było dojść Amandzie do tego rodzaju pytania, gdyż zgoła nie zaliczała się do dziewcząt, żywiących pewnością, iż niebezpieczeństwo zagraża niechybnie każdemu młodzieńcowi, który stanie

w polu widzenia ich oczu. Przeciwnie, wiedziała, że profil jej nie posiada wcale greckich linii nosa i czoła, i *en face* nie dysponuje jajowatą buzią Madonny, to też zadecydowała, iż nie jest piękną i nie przypuszczała, by się miał w niej zakochać od pierwszego wejrzenia jakiś młody człowiek. Tak rozstrzygła mimo heidelberskiego studenta z różami i wierszami, którego przypomniała jej tutaj woń zapelniająca powietrze. Może siedzi sobie oto w piękny wieczór, w gospodzie nad uroczym Nekarem, pijąc wino, wspominając ją, a nawet pisząc wiersze. Może jej szuka „na skrzydłach pieśni“ nad Gangesem. Istotnie przydarzył tu się ten przykry fakt zakochania, ale rzecz tak nieprawdopodobna nie nastąpi, jak sądziła, po raz drugi. Z drugiej strony, cóż dziwnego, że podczas wielomiesięcznej, jednostajnej podróży statkiem, gdzie była jedyną przedstawicielką płci pięknej, młodzieńcem owdlańdło lekkie upojenie zachwytu. Nie była to zgoła czarodziejska sztuczka i nie będzie miała wcale wielkiego znaczenia.

Coprawda, niepokojącym był symptom, że wolał ją, niż dzika nawet. Podziwu godną okazał też zrzęczość, urządzając wszystko tak, że musiała z nim razem jechać dogcartem.

Z uwagi na liczne zakręty rzeki kazano flotylli płynąć dalej przez cały dzień, naznaczając punkt spotkania, gdzie mieli w nocy wsiąść na statki. Oficerowie użyli ochotnie na ten cel powozu dwukonnego i małego, jednokonnego dogcartu. W tym tedy wehikule znalazła się Amanda wraz z powożącym Arturem. Sytuacja była wcale miła, gdyż lepiej było jechać lekkim wózkiem o wysokim siedzeniu, niż w głębokim powozie. Rozkosznie powiewał chłodny wietrzyk,

księżyc słał światłość po bezbrzeżnej równi z rozsia-  
nianymi grupami wielkich drzew, ruinami świątyń,  
urozmaiconej ponętnymi wgórzami. Natomiast mu-  
siała ciągle, do czego nie nawykła, baczyć, by sytuacja  
nie stała się zbyt romantyczną i to jej psuło w znacznej  
mierze przyjemność. Odetchnęła nawet z ulgą, uj-  
rzawszy srebrzysty zakręt rzeki z kilku czarnymi  
punktami statków. Nie zaszło nic groźniejszego nad to,  
że jej kilka razy powtórzył, iż choćby żył sto lat, nocy  
tej nie zapomni, a także urok jej uniesie z sobą w ży-  
cie przyszłe. Słuchała tego i jakoś nie mogła złożyć  
słów tego nokturnu na karb samej jeno przyrody.

I oto stali teraz na podwyższeniu pokładu pierw-  
szej budgery swej flotylli, czekając ukazania się  
świętego miasta. Ciekawość nie dotknęła samej jeno,  
niewzruszonej Barbary, która mimowoli po raz pierwszy  
i ostatni mogła powtórzyć za wielkim myślicielem  
Indyj, że mędrcomi wszystko jedno, czy umrze w Be-  
nares, czy w psiej budzie. Dosięła ona nawet wyż-  
szych jeszcze sfer obojętności, gdyż było jej wszystko  
jedno, którą z tych dwu rzeczy zobaczy.

Zobaczyła jednak Benares.

A raczej zobaczyli je inni.

Za moment mieli przed sobą święte miasto, roz-  
toczone amfiteatralnie na wysokiem wzgórzu, odbite  
w nurtach świętej rzeki.

Rzeźwa mgła cienia nakryła fioletowym welonem  
rzędy schodów i portyki ghatów, a z tej tkaniny snuły  
się w górę kłębuszki dymu, wzlatujące od pobrzeżnych  
miejsc palenia zwłok, gdzie tliły stosy. Żłocisty pół-  
cień oblewał falą wprost mistyczną mieszaninę sku-  
pionych obok siebie, nad i pod sobą, świątyń. Miasto,  
z nich się jeno, jakby, składało. Dachy tarasowate



o licznych stopniach, piramidy, krągłe kopuły, wyciągnięte wzwyż, grupy kopuł szerniały od starości, barwy kości słoniowej, krwisto-czerwone, usiane gwiazdami i złociste, wszystko to mieszało się z sobą, a ponad całym tym niepojętym chaosem królował w majestacie pokoju i dostojenstwa, jak ongiś potęga mogolska nad rozproszonym hinduizmem, meczet Avran-graba, o czystych kształtach arabskich, który dopiero nadawał całemu obrazowi stanowczo orjentalną cechę i wyciskał na niem piętno poezji tysiąca i jednej nocy. Wznosił polyskliwe kopuły i nazbyt niemal śmigły minarety w niebo nocne, kędy tańczyły duchy wszystkich róż, jakie wydała od niepamiętnych czasów Ghazipore, w postaci doskonalszej, zaziemskiej, wcielonej na nowo w inne, wyższe życie.

— Pewny być musiałem, że jest to rzecz godna widzenia, skoro słaby, bardzo jeno słaby zarys tych wspaniałości skłonił mnie do przybycia tutaj! — powiedział Edmund.

— Zbiera mnie ochota — rzekł profesor — spytać wraz z hinduskiemi zwierzętami baśniowemi: Jak się to stało?

— O, wcale nie baśniowo, drogi profesorze, przeciwnie w bardzo prosty sposób. Chciałem jechać do Ameryki, by zobaczyć co porabia tam gnębiona w Europie wolność. Pewnego dnia, w Londynie poszedłem pożegnać jednego z przyjaciół. Czekając nań w salonie, przerzucałem kartki jakiegoś ilustrowanego opisu podróży. Pierwsza rycina, jaką ujrzałem, był to barwny widok Benaresu. Doznałem niesłychanego wrażenia... Sądzę, że dotknięty zostałem w miejsce, gdzie mnie muśnięto pędzlem smołowym \*) i oto

---

\*) Pędzel smołowy — *a touch of the torbrush* — oznacza w Indjach Anglika o przymieszce krwi hinduskiej.

rezultat... stoję przed panem, nie zaś w Ameryce.

— Można to nazwać rzeczą prostą! — powiedział Artur, — Ja jednak widzę w tem zrządzenie losu, za które nie mogę być dość wdzięcznym.

— To mi dopiero prawdziwie rycerskie słowa, od których serce rośnie! — zawołał jak najnaturalniejszym tonem Edmund, klepiąc Artura po plecach — Przybycie moje nie dało ci wcale świetnych korzyści materialnych, mój chłopcze, to też wszystko coś rzekł, odnieść muszę do własnej jeno osoby.

Drwiny były tak wyraźne, że Artur uczuł potrzebę oświadczyć dla przyzwoitości, iż miał dość służby biurowej w Kalkucie i pragnął poznać kraj i ludzi. Przybycie Edmunda dało mu tę sposobność, przeto było mu to prawdziwem błogosławieństwem, nawet bez względu na uczucia rodzinne.

Jakby i tego jeszcze nie dość było, młody Szkot, dokonawszy tego nader przejrzystego, a jak zazwyczaj u blondynów niezdarnego wybiegu, musiał się jeszcze zarumienić po uszy i w dodatku rzucić Amandzie spojrzenie przebłagalne, tak wymowne, że z radością zatoneła w podziwianiu miasta i jęła zadawać ojcu różne pytania.

Nie było już wątpliwości, że idzie o coś więcej, niż elementarne ćwiczenia młodzieńczego serca, spowodowane monotonią podróży i kierowane brakiem wyboru. Pewnem też było, że chłopcu temu ufać można i że jest pewny jak metal, od którego wziął nazwisko. To też przed Amandą stanęło pytanie nieodporne, czy mogłaby kiedyś odwzajemnić uczucie, promieniujące ku niej z tych stalowo błękitnych, zazwyczaj chłodnych oczu.

Wówczas, widząc tonące w rozkosznej, niebo i wodę oblewającej, różowej poświacie święte Benares, nie umiała dać odpowiedzi.

Dziś, zapatrzona w ponury, groźny pałac radży, wiedziała, że musi zaprzeczyć. Nigdy pokochać nie zdoła tego dzielnego, młodego Szkota. Serce oddała innemu.

Tak nagle uświadomiona możliwość, że Edmund kochać może inną kobietę, a jednocześnie nagły strach o jego życie wzburzyły aż do dna jej duszę, a rzecz skryta najgłębiej wyszła na jaw. Znajomość z tą drugą i odniesione wrażenie wzmogły przez ostrą gorycz swą świadomość miłości do jaśni najwyższej, niemożliwej niemal do zniesienia.

Kochała Edmunda, to nie ulegało żadnej wątpliwości.

O, jakże odmiennem było to bezwzględne samowyznanie od trwoźnego pytania w Heidelbergu? Brakło też jednak dziś owego słodkiego niepokoju i ożywczej, radosnej nadziei. Wszystko było tu grozą, rozczarowaniem, rezygnacją i rozpaczą.

A jednak nie zamieniłaby tego na tamto. Niezdolną była żałować, że opuściła urocze miasteczko nad Nekarem i wstąpiła na pokład angielskiego bregu. Niezdolną była pragnąć czegokolwiek... Czegóż bo... niczego pożądać nie mogła, jeno trwać z chwili na chwilę...

Cóż jej zapowiadała przyszłość? Co było najbliższe? A raczej, czy zaszło coś w czasie ostatnim, coby dawało widoki? Czula, że się coś stało dziś dopiero, że przybyła jakaś rzecz nowa... Przycisnęła palce do skroni, walcząc o skupienie myśli.

Acha! Tak... to to właśnie! Misja Edmunda do Afganistanu!

Gdyby ją przyjął, misja ta oddaliłaby go jednak i od niej samej. Na jak długo? Na zawsze może? Tak, na zawsze. Kala Rama nie ukrywał, że związane z tem niebezpieczeństwo osobiste jest bardzo wielkie. Poza tem żyła dotąd w całych Indjach północnych, które nieraz wyludniali, sława Afganów, uważanych za lud najbardziej zdradziecki, najskłonniejszy do mordu i rabunku z pośród wszystkich ludów świata. Wiedziała o tem dobrze.

A jednak doradzała mu to sama, wysiliła całą swą, nieznaczną zresztą zdolność przekonywania słowem, spojrzeniem i miną, by obudzić w nim przekonanie, że jest jego obowiązkiem jechać do Afganistanu. Jakże mogła to uczynić? A gdyby słowa jej przeważyły, jak ostatni ciężarek, szalę? Gdybyż to ona właśnie wysłała go na śmierć?

Zakryła twarz rękami, a drzenie ogarnęło jej ciało. Potem podniosła głowę stanowczym gestem.

— Lepszy lew afgański, — pomyślała — niż indyjska żmija.

---

## ROZDZIAŁ TRZECI.

### Warsztat Karmy.

Pałac radży znikł tymczasem całkiem niemal w ciemności. Tylko wielki, kanciasty cień wskazywał mieszkanie żmii indyjskiej. Skryta w tym cieniu czyhała, zaciętsza jeszcze i jadowitsza.

Przerażone grozą przyszłości, myśli Amandy cofnęły się same w przeszłość. Zrazu w najbliższą. Krocząc od jednego do drugiego ogniwa, poznały cały łańcuch żelaznej konieczności, sięgający w terażniejszość.

Uświadomiła sobie, że jest pośród tego mnóstwo rzeczy przypadkowych, które inaczej obrócone dałyby zgoła odmienne wyniki. Gdyby jedno jeno ogniwo zatrzymało pierwotny kierunek, dziś wyglądałoby wszystko inaczej.

Ojciec chciał się zrazu poświęcić filozofji, a tylko korzystne widoki uniwersyteckie, istniejące wówczas dla sanskrytologa, skłoniły go do rzucenia się z całym rozmachem na młode studjum sanskrytu, z którym oczkował jeno dotąd, ze względu na jego nową filozoficzną treść.

Sir Edmund chciał jechać do Ameryki, ale widok Benaresu podziałał nań tak, że postanowił miast tam

udać się do Indyj. Kala Rama napisał już list do jednego z profesorów angielskich, gdy nagle dostał dziennik z artykułem profesora Eichstädta, w którym znalazł coś tak ciekawego, że postanowił wezwać i użyć do swych celów niemieckiego uczonego.

Widocznie ma rację Schiller w Wallensteinie, mówiąc: — Przypadek nie istnieje!

Jeśli atoli żaden z owych wahających się ciągle szczegółów nie szedł drogą przypadku, to jakież miały wspólny cel? Bo wszakże szukały się wzajem i znalazły, w celu utworzenia jednolitej tkaniny! Cóż za sens miała owa tkanina, nad którą również i sama pracowała i w której była nicią? Czy dobrotliwa Opatrzność, jak uczono w szkole, wszystko to wiedzie do najlepszego wyniku? Czy może sprawiła to karma, przedwieczne prawo moralne, o jakim mówi wiedza kraju, który zaczął myśleć na długo przed Europą? A może wszystko polega jeno na ruchu własnym czynów naszych?

Ojciec sądzi, że obrał studjum sanskrytu dla chleba, ale może jest to jeno pozór dla jego umysłu, a obrał tę gałąź wiedzy na skutek wewnętrznego pociągu ku temu językowi... którym mówił ongiś może, jako rodowitym?

Przypomniała sobie, że Plato nazywa wszelką naukę przypominaniem. Ojciec często wyjaśniał jej całą doniosłość tego twierdzenia. Wiedziała też, że była to jedna z najulubieńszych idei Shelleya. W pamięci miała żywo ów wieczór na Gangesie, kiedy to Edmund opowiadał o swym ekscentrycznym przyjacielu i dziecku. Przez cały dzień czytali Platona, to znaczy Shelley tłumaczył mu, bo odrobina greczyzny Edmunda szybko mu uleciała z głowy. Potem wyszli

wieczorem na Lung-Arno zażyć przechadzki. Przechodząc jeden z marmurowych mostów, spotkali kobietę z dzieckiem na ramieniu. Shelley porwał dziecko i trzymał je przed sobą, a biedna matka drżała, pewna, że ten inglese z rozwichrzonym włosom to warjat, który chce dziecko rzucić w wodę. Dlatego trzymała kurczowo koszulkę malca. — Może wasz bambino powie nam coś o praegzystencji, signoro? — spytał Shelley — Nie umie mówić, panie! — odparła — O, tak tylko sądzi, ale powiedziałby na pewno! — Ma ledwo kilka tygodni! — tłumaczyła biedna matka — Właśnie dlatego! — oświadczył poeta i oddał jej dziecko. Potem zawołał z komiczną pasją. — Do rozpaczy może doprowadzić człowieka upór tych niemowląt! Przy sięgam, że przed kilku tygodniami smarkacz ten wiedział mnóstwo rzeczy, niezmiernie dla nas cennych, których atoli nie dowiemy się nigdy.

Oswoiła się tak dalece z tą myślą, że ją stosowała często. Pewnego wieczora mówiono dużo o Szekspirze, Amanda uczyniła uwagę, że rozległą skalę jego talentu, dziwną zwłaszcza w Anglii, objaśnićby można przyjmując, iż był istotą, mającą dużo rozmaitych żyć poza sobą. Potrzebował sobie jeno przypomnieć, a zaraz wiedział z własnego doświadczenia jak myślą i działają: wojownik, kupiec, kłown, Desdemona, Falstaf, Prospero, czy Kaliban. Teraz przyszło jej na myśl... aż się uśmiechnęła... że może ojciec jej ongiś wykuwał sam te napisy skalne, które dziś odczytuje tak biegle.

Inna jeszcze uderzyła ją strona tego wyboru ojca. Łatwiej byłoby dlań uganiać po rozłogach filozofji, gdyby został człowiekiem społecznie niezawisłym. Nie posiadał nic prawie, a był zakochany, a nawet potajemnie zaręczony z dziewczyną pochodzenia szlache-

kiego, ale z rodu biednego i dumnego, który wielkie roił nadzieje na bogate zameżcie pięknej jedynaczki. Musiał co prędzej zdobyć stanowisko. August Wilhelm Schlegel, którego słuchał w Bonn i który się nim żywo interesował, dał mu jak najlepsze poparcie na drogę indologii. To zadecydowało. Żelazną pracowitością i takiemże zdrowiem obdarzony, dokonał cudu. W ciągu lat paru miał profesurę i żonę. Jeśli istnieje zaś coś nie zewnętrznego i nie przypadkowego w życiu mężczyzny, to w pierwszej linii gorąca miłość dla pewnej kobiety. A w miłości tej tkwiła już ona sama, z wszystkimi cechami osobniczymi, określonymi zdolnościami, upodobaniami i ograniczeniami, zupełna i skończona!

Dalej, przypadkiem było z pozoru postanowienie Edmunda pojechania do Indyj, miast Ameryki. Ale sam zaznaczył, że skłoniła go rycina w dziele ilustrowanem, co nie byłoby oddziało tak silnie, gdyby nie miał krwi hinduskiej w żyłach. Wyglądało to całkiem racjonalnie i żaden, najzatatwardzialszy empiryk, ni przyrodnik nie miałby tu nic do zarzucenia. Była to może jeno zewnętrzna osłona? Czyż nie mógł działać tajny związek przyczynowy ledwo uchwytny? Przyszedł na świat jako syn awanturniczego Anglika i hinduskiej begumy dlatego właśnie może, że osad jego czynów minionych takich właśnie potrzebował warunków inkarnacji, takiej właśnie mieszaniny wschodu i zachodu. Musiało się widać połączyć wschodnie marzycielstwo i cygańska, koczownicza fantastyka z twardą i gwałtowną energją zachodu rasy saksońskiej, z silną przymieszką celtyckiej, bo samo już „Tre“ jego nazwiska świadczyło, że pochodzi z Kornwalijczyków.



A teraz Kala Rama, który zaprosił ojca do odczytywania napisów skalnych!

Tutaj zaczynało się dopiero dla Amandy właściwe misterjum. Cóż za dziwne zachodziło podobieństwo pomiędzy nim, a dalekim przodkiem w starożytności, Mahimsasą! Nawet jej słowa własne, jakich użyła po pierwszej bytności ministra w ich domu, odnalazły się u starego kronikarza: Kala Rama, powiedziała, wygląda raczej na sanjassina, niż wojownika. Przyrodnik wytłumaczyłby to może inaczej, dla przenikliwych jednak oczu Amandy, w osobie Kala Ramy tkwiły korzenie rzeczy dzisiejszych, a sięgały najbardziej zamierzchłej starożytności. Czy może w onych przepastnych głębiach, włókna indologa i Hindusa były splecione w jedno? Może jakieś wyrażenie, czy zwrot stylu, zwłaszcza tam, gdzie „styl to człowiek“ zbudziły w ministrze jakieś mgliste wspomnienia i niechwytnie sympatje, przezco zdecydował się na Niemca, miast bliższego znacznie Anglika?

Amanda zamyśliła się nad tem zuchwałem pytaniem i nagle przemknęło jej, że artykuł ów nie wpadł ni stąd, ni zowąd w ręce Kala Ramy, ale został mu wręczony przez przyjaciela, którego sam zwał swym duchowym przewodnikiem, swym guru. Któż mógł być tą wybitną osobistością, która w tym wypadku zainteresowała tak decydująco? Ileż kryć się tu mogło nowych, tajemniczych związków!

Jakiegokolwiek były to zresztą czynniki, faktem jest, że działały wspólnie i tkwały nieustannie.

Czego dokonywały i co tkwały?

Amanda posłała pytające spojrzenie w ciemną noc.

Ogromny masyw pałacu stopił się już z nocą, a gdzie stoi, poznać można było jeno po braku gwiazd, które słoń.

Amanda spróbowała uzupełnić z pamięci przeciętą konstelację, nagle... uczynił się wkoło niej jasny dzień. Stała pod dzielnicą hinduską miasta, gdzie często obserwowała tkaczki, zajęte robotą. Tuż przed sobą ujrziała prymitywny warsztat tkacki, to jest długi szereg skośnie w ziemi tkwiących łądyg tygryziej trawy, pośród których wiła się długa osnowa. Po obu stronach chodziły tam i z powrotem Hinduski, wiatr odchyłał im na bok spódnice i rozwiewał zasłony, zaś piękne jak bronz, lśniące ręce przesuwały tam i z powrotem czółenka zatknięte na długie kije. Śpiewały przy pracy dziką, melancholijną pieśń. Była to ballada o Jugurcie, przytłumiana czasem głuchym rykiem garbatych bawolic, szukających skąpo rozsypanej strawy, po ziemi, zasnutej okruchami cegieł. Widywała to nieraz, tylko tkaczki zazwyczaj paplały przy robocie, miast śpiewać. Amanda zbierała właśnie swe nieliczne hindustańskie wyrazy, by je spytać, czy Jugurt jest ciągle jeszcze rozbójnikiem porywającym królowe, gdy nagle obie pracownice znikły.

Ale pas tkaniny miała ciągle dalej przed sobą, po prawej, po lewej, w górze i na dole, wypełniał całą przestrzeń i, zda się, sięgał gwiazd, ... albowiem była teraz znowu noc, ale jasna, prześlniona cudownymi barwami tej tkaniny, nieskończonej i żywej. Amanda była sama wpleciona w nią i miała postać jednej z niezliczonych nitek osnowy, które nie potrzebowały ludzkiej ręki, bo były ruchliwe, niby węże. Przedziwnym obdarzona instynktem, każda szukała swej drogi i znalazła ją tak, że jawiła się zawsze, nieomylnie na wła-

ściwem miejscu przepięknego deseni. Amanda była nie tylko samoczynną nitką żywej tkaniny, ale znajdowała się jednocześnie poza nią (mimo, że była ona wszędzie) stała przed nią jak spostrzegające oko, ogarniała całość deseni, oraz bliższe i dalsze jego obrazy. Widziała się ponadto Amandą, zalaną falą na angielskim brzegu w objęciach Edmunda, sobą w towarzystwie na budgerze pod Benares, dalej sobą, słuchającą wraz z ojcem czytania Kala Ramy i wreszcie sobą samą w cenanie, w momencie słuchania śpiewu rani. Prócz tego widziała się Amanda Amara, ścisnącą przez wracającego Mahimsasę, Amara siedzącą jako mała dziewczynka przed wspaniałą kopulastą świątynią, otoczoną wysokimi drzewami i mnóstwo jeszcze widziała postaci Amandy-Amary.

Istota jej rozpadła się na działającą i obserwowaną, była nitką, która, biegnąc poprzez inne, współpracowała nad tworzeniem deseni, a nieco dalej wetkana była w inne obrazy. Poznała też inne współnitki, działające razem, a więc szarą — ojca, czerwoną — Edmunda, czarną — rani, srebrną — Kala Ramę, i błękitną — Artura. Właśnie chciała go spytać skąd przybywa, gdyż w tym szeregu obrazów niema wetkanej błękitnej nitki, gdy nagle uwagę jej zajęła wspaniała nić złota, która skrzyżowała się z jej drogą, jakby dawała wszystkim innym nitkom wskazówkę, decydującą o całym deseni. Połyskiwała też świetnie na różnych miejscach, wpleciona w dużo obrazów, a jasność ogarnęła całą tkaninę, gdy nić złota mistrzowska splotła się z nicią srebrną i gdy razem ruszyły drogą nową, śmiałą, decydującą.

Im usilniej pracowała Amanda nad wydobyciem z tkaniny rzeczy nowych i niespodziewanych, tem

więcej dobywała sił, by stać zewnątrz i patrzeć na to, co powstaje.

Dojrzała teraz, jak pośrodku dywanu tworzy się przez współpracę wszystkich nitek obraz twarzy ludzkiej i staje coraz to wyraźniejszy. Było to oblicze męskie, o wyrazie niesłychanej słodyczy, połączonej z zaziemskim spokojem, przypominające najlepsze obrazy Buddy, a twarzy tej nadawała ciemna, pośrodku nieco rozdzielona broda, zarazem niejaki podobieństwo do Chrystusa. Wschód tedy i zachód łączył się tu niejako, by stworzyć idealny obraz świętego nadczłowieczeństwa.

Powieki były spuszczone, jak na portretach zatopionego w kontemplacji Buddy. Zwolna jednak uchyliły się, a raczej zaczęło je prześwieślać spojrzenie, którego moc tajemną tak żywo odczuła, że nagle znikło senne rozdwojenie, jak gdyby dwie części jej istoty musiały skupić się z sobą, by wytrzymać mocarną potęgę tego spojrzenia.

Ujrzała znowu ramę okna, krzewy, drzewa ogrodu i gwiazdy ponad ich koronami.

Ale twarz trwała dalej.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### Pozdrowienie mistrza.

**W** odległości niespełna dziesięciu kroków od okna stał pod niskim, liściastem drzewem Hindus i patrzył na nią uporczywie.

Gdy nań spojrziała, przyszedł jej bezwiednie na myśl Kala Rama. Nieznajomy miał jego właśnie wzrost, ale twarze ich różniły się znacznie. Nie wiadomo więc, czemu o nim pomyślała. Najpodobniejsze jeszcze były ich oczy, ale nieznajomy miał oczy większe i połyskliwsze, niż minister, i spojrzenie jego przenikało ją nawskroś.

Opanowało ją dziwne wrażenie, mianowicie uczuła, że wszystkie te myśli o tkaninie, które snuła dopiero co, nie powstały w głębi jej duszy, ale zostały jej przysłane z zewnątrz, poddane przez tego właśnie Hindusa z błyszczącymi oczyma.

Stąd też, nie przeraziło ją nagle jego zjawienie. Przeniknął ją już i przysposobił na swój widok.

Kimże był? Czy może nowym czynnikiem, nową interwenującą siłą? Czowała, że tak jest w istocie i że to siła dobra. Cóż atoli zdziała? Czy zaczął już może działać?

Wszakże jest to Hindus, zbawca Edmunda, jogis, którego bali się nawet mordercy...

Radaby była zapytać, ale nie śmiała. Jednocześnie miała wrażenie, że zadała pytanie i wróciła do niej odpowiedź potakująca.

Zapragnęła podziękować mu. Ale może usłyszał już tę podziękę?

Trwali przed sobą w milczeniu, nie spuszczać z siebie oczu. Słowa nie latały tam i z powrotem. Jeśli nawet rozmawiali, to był to prąd głębiny, nie tykający powierzchni świadomości, po której pływają słowa i myśli. Tak, rozmawiali niezawodnie. Skądżeby się wziął inaczej spokój jej ducha, szarpanego przed chwilą jeszcze tak srodze?

Doznała jednak lekkiego rozczarowania, gdy odszedł, nie wyrzekłszy słowa, skinąwszy jej głową i pozdrowszy gestem błogosławienia nieledwo.

Rozczarowaną była, albowiem czekała na coś, co ma się stać zaraz, a on poszedł.

Ale nie daleko. Po kilku krokach przystanął i obrócił się ku niej.

— Czy droga memsahib zechce zanieść pozdrowienie Kala Ramie? — spytał.

Amanda uśmiechnęła się.

— Chętnie zaniosę to pozdrowienie, jeśli czcigodny nieznajomy raczy mi je powierzyć! — powiedziała.

— Memsahib zechce powiedzieć: Guru pozdrowia swego chełę. Przed trzecim skowytem szakala oczekuje guru chełę na miejscu, gdzie przeżyli ongiś najstraszniejszą godzinę życia.

— Powtórzę pozdrowienie dosłownie, o nieznajomy.

— Dziękuję pani. Dobranoc memsahib!

Uczył ten sam gest głową i dłonią, a potem znikł w gęstwie ogrodu.

Amanda patrzyła za nim w zadumie.

Było to drugie już zlecenie dla Kala Ramy. Postanowiła nie zwlekać.

Wstała już, chcąc iść do pracowni ojca, gdy nagle zastanowił ją głos, dolatujący z ciemności, i przykuł do miejsca. Nie wiedziała, czemu się tak stało, gdyż był to jeno krzyk czapli z nad brzegu jeziora. Zapragnęła wiedzieć, czy się powtórzy.

I w istocie zabrzmiał ponownie, a Amanda stała z bijącym sercem, nadśluchując.

Po raz trzeci wrzasła czapla.

Amanda zbladła, drgnęła całym ciałem i padła w fotel. Nie usłyszała już okrzyku: — Edmundzie! Edmundzie! — który bezpośrednio potem zabrzmiał tuż pod jej niemal oknem. Również nie słyszała otwierania drzwi pracowni, kroków ojca i Kala Ramy w kurytarzu i ich głośnej rozmowy.

Minister pożegnał profesora Eichstäda i poprosił go, by pozdrowił serdecznie córkę.

Nagle zauważyli, że Garuda, który wraz z nimi opuścił pracownię, wśliznął się teraz do pokoju Amandy przez przyparte jeno drzwi i natychmiast zaczął żałośnie skowycić i lamentować. Weszli i zastali Amandę siedzącą przy oknie i zemdloną.

Ojciec przeraził się strasznie.

— O, mój Boże! Mówiłeś pan, ekscelencjo, że córka moja znosi doskonale klimat Indyj, a tymczasem widzę, że jednak...

Kala Rama chwycił zaraz dzban z wodą i skropił, ciepłym zresztą dość płynem, twarz zemdlonej córki

biednego indologa, któremu już się wydawało, że będzie zmuszony odesłać ją do Europy.

— Sądzę, drogi przyjacielu, — pocieszał go — że omdlenie to ma powód nie tyle klimatyczny, ile raczej duchowy, o czym się zresztą zaraz przekonamy!

W istocie, Amanda otwarła oczy i spojrzała wokoło zdumiona. Nie wiedziała nic o swem omdleniu, gdyby nie troskliwe pytanie ojca, jak się czuje i skąd się to wzięło. Pytał też, czy ją coś wzruszyło. Słowa te, poparte kilku spokojnymi uwagami ministra, przypomniały jej rychło wszystkie, drobne wydarzenia.

— Doznałam nagłego przestrchu, zgola nierozumnego i, rzecz można, nieuzasadnionego. Usłyszałam trzy krótkie krzyki czapli, jeden po drugim. Przy drugim dziwnego doznałam wrażenia, zaś przy trzecim... jak panowie widzicie... zemdlalam.

Profesor patrzył bezradnie na ministra. Zdarzenie to niczego mu nie wyjaśniało. Pewny był, że w ten sposób zaczyna się choroba, wywołana zabójczym klimatem.

— Dziwna rzecz! — powiedział Kala Rama — Nic więc, jak trzy krzyki czapli od jeziora?

— Tak, zdaje mi się, od jeziora, a jednocześnie tak dalekie, jakby były echem prastarych czasów i wieków. Nie, nie zdołam wyrazić, czego doznałam!

Kala Rama skinął w zamyśleniu głową.

— Zaprawdę — rzekł — przypuszczałbym, że pani czytała ciąg dalszy rękopisu o węzowym kamieniu, gdybym nie widział sam, jak go ojciec zamknął w szkatułkę, dotąd stojącą na stole.

— O ile pana dobrze rozumiem, ekscelencjo, — powiedział profesor — to w owej legendzie jest mowa o takich trzech krzykach czapli.



— Tak! A stało się to w okolicznościach tak dalece niesamowitych, że gdyby córka pańska знаła ten ustęp legendy, rozumiałbym w pełni, iż musiałaby doznać wstrząsu, nawet przy pełnem zdrowiu ciała i ducha.

— Zaciekawiasz mnie pan, ekscelencjo! — powiedziała Amanda — A więc i tam jest mowa o trzykrotnym okrzyku czapli?

— Tak. Ale nie był to głos ptaka, jeno z góry umówione hasło.

— Może i tu było to hasło. Wydaje mi się, że tak być musi. Dziwne byłoby to powtórzenie się drobnego, przypadkowego szczegółu, na tem samem miejscu, po upływie całych tysiącleci! — zauważyła i oparłszy brodę na dłoni, zapatrzyła się w ciemność.

— Jesteśmy w starych Indjach, gdzie wszystko powraca! — rzucił na pół żartem profesor, bardzo niezadowolony, że córka w tym stanie zdrowia popada w zadumę, mogącą pogorszyć sprawę.

Milczeli przez chwilę wszyscy troje. Amanda przetarła dłonią czoło i, spoglądając na ministra, zaczęła:

— Ach prawda! Byłabym zapomniała! Mam dla pana, ekscelencjo, dwa zlecenia.

Ten europejski tytuł, zestawiony z ostatnimi słowami Hindusa i pozdrowieniem od niego, jako guru, wydał jej się dziwnym, ale należało zachować etykietę.

— Ciekaw jestem bardzo, droga memsahib! — odparł Kala Rama.

— Pierwsze pozdrowienie pochodzi od sir Treweljana, który mnie też prosił, bym pana zawiadomiła, że rozważy dokładnie projekt misji afganistańskiej.

— Bardzo się cieszę tą wieścią, a bardziej jeszcze tem, że mi ją przez panią przesyła. Jest mi to gwarancją, że namysł jego da pomyślne wyniki.

Ni ojciec, ni córka nie wiedzieli, co ma Kala Rama przez to na myśli, pewni byli jednak, że zna dobrze znaczenie słów swoich.

— Drugie polecenie otrzymałam od nieznanego mi Hindusa, który zjawił się nagle pod mojem oknem. Prosił, bym panu powiedziała, ekscelenjo: — Guru pozdrawia swego chełę. Przed trzecim skowyttem szakała oczekuje guru chełę na miejscu, gdzie przeżyli ongiś najstraszniejszą godzinę życia!

Profesor przeraził się i przeniósł z córki spojrzenie na ministra. Mimo wszystkich dziwów hinduskich wydało mu się wprost niesłychanem, by jakiś człowiek nieznanany zwał uczniem swym i wzywał do siebie jako mistrz siedemdziesięcioletniego, tak wysoko postawionego dostojnika państwa. Sądził, że córka dała się wziąć na jakiś niestosowny żart, a w mniemaniu tem utwierdził się posłyszawszy, że wedle jej oceny człowiek ten liczyć mógł około lat czterdziestu.

Profesora ogarnął strach, że czcigodny protektor poczuje może urazę z powodu tej drugiej wieści.

Stało się jednak wprost przeciwnie. Kala Rama wysłuchał najpoważniej w świecie słów Amandy, gdy umilkła, pochylił głowę, jakby przyjmował w pokorze rozkaz przełożonego, a w oczach i na ustach miał najpiękniejszy i najgorętszy uśmiech w chwili, gdy odpowiedział:

— Jesteś pani, droga memsahib, w istocie posłanką dobrej wieści!

Potem, ku niezmiernemu zdumieniu Amandy ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

Za chwilę stał przy oknie i długo, w milczeniu patrzył w ciemność.

Ponad pałacem jał szarzeń perłowy blask, tak że wieże i kopuły występowały coraz wyraźniej.

— Dzień był upalny — rzekł wkońcu Kala Rama, zwracając się do obojga — noc da zato ochłodę i orzeźwi. Właśnie wschodzi księżyc, a dziś mamy pełnię. Czyżby nie było dobrze noc tę poświęcić na przejażdżkę po wodzie?

Ojciec i córka przyjęli z radosnem zdumieniem ten niespodziany projekt.

— Zaprawdę, trudno o coś ponętniejszego! — zawołał profesor — Zwłaszcza, że o ile dobrze rozumiałem, wasza ekscelencja zamierzasz nas zaszczyścić swem towarzystwem, lub nawet pokierować wycieczką.

— To właśnie zamierzam, — odparł minister — o ile córka pańska przyszła na tyle do siebie, że zechce nam towarzyszyć.

Amanda oświadczyła, że jest zdrowa, i przejawiała ochotę jechać z Kalą Ramą na sam choćby koniec świata. Zawsze marzyła o tem, by zaznać rozkoszy spędzenia nocy w otoczeniu przyrody hinduskiej.

— Przeczuwam zresztą, — dodała — że wasza ekscelencja ma coś określonego na myśli, co nam chce pokazać.

— Ach, cóż to za mądrą córeczkę masz, drogi profesorze! — zaśmiał się Kala Rama — W istocie mam coś takiego. Poza skałą pałacową znajduje się zatoka, w którą wpada kilku ramionami niewielka rzeczka. W miejscu ujścia stoją prastare ruiny, których państwo nie widzieliście dotąd.

— Nie byliśmy tam, ekscelencjo! Przypominam sobie, że mi o tem mówiono, ale byłem zainteresowanym czem innym, pilniejszym.

— Oczywiście. Sądę jednak, że ruiny te pociągną pana i pańską córkę teraz czemś więcej jeszcze ponad krajobrazowe powaby. A więc zgoda, gondola moja czeka pod ogrodem, zamówiłem ją bowiem, chcąc wracać dla ochłody drogą wodną do domu. Ale wieść, jaką właśnie otrzymałem, wzywa mnie gdzieindziej, to jest ku tym ruinom. Sporo jeszcze czasu do ostatniej godziny nocy i obejrzymy dokładnie wszystko. Potem państwo wróćcie gondolą, której już potrzebowal nie będę.

Profesor dał wyraz nader etykietalnej, chociaż zbytecznej obawie, że ekscelencja naraża się może na jakąś fatygę, którą to obawę dał sobie zresztą łatwo wyperswadować, natomiast Amanda, zachwycona myślą wycieczki, otwarła zaraz szufladę komody i dobiła szal, oraz jedwabną chustkę na głowę, chcąc je zabrać na wypadek, gdyby późną nocą miało być zbyt chłodno.

— W ten sposób jedna rzecz dobra pociąga za sobą drugą! — rzekł Kala Rama — Owa pomyslna dla mnie wieść przyniesie też i państwu coś pięknego. Trudno doprawdy lepiej zakończyć dzień, w którym wniknęliście państwo po części w mą kronikę rodzinną, jak zwiedzeniem tych ruin, będących resztką pałacu, wystawionego przez księcia Ajatasattu w miejscu, gdzie po raz pierwszy spotkał Mahamaję. Dwa gmachy te wystawił słynny Baku i swego czasu zaliczano je do najlepszych jego dzieł.

— Ależ to niesłychanie ciekawe! — zawołał profesor — Słyszysz, Amando? Są to arcydzieła wielkiego Baku, z którym zapoznało nas już pióro czcigodnego przyjaciela naszego. Pomyśl tylko!

Amanda myślała w istocie.

— Na tem miejscu spędzili Kala Rama i ten dziwny nieznajomy najstraszniejszą godzinę swego życia. Czy działo się to w życiu obecnem, czy minionem? Czy wychylili ten kielich goryczy pośród ruin dawnej świetności, czy też może w czasie, kiedy pałace stały jeszcze wspaniałe, jak wyszły z ręki Baku? Czyż dowiem się tego kiedyś? A może kamienie te dziś przemówią?

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

---

### Dom matki Kali i dom Kala Ramy.

**P**rofesor Eichstädt, Amanda i Kala Rama wyszli do ogrodu i zaraz ogarnął ich niezrównany czar indyjskiej nocy.

Powiew wiatru niósł storakie wonie kwiatów i krzewów, a balsamiczna ta fala muskała ich jak aksamit po czołach i policzkach. Choćby Amanda odczuwała dotąd jeszcze nieco wyczerpania po niedawnem omdleniu, to musiało ono zniknąć, w chwili, gdy nadpłynął ku niej od strony rozlewnej płaszczyny jeziora ożywczy, ukojny wiew.

Gondola ministra czekała w tym samym małym porcie, z którego Amanda ruszyła przed paru godzinami do pałacu radży, i kołysała się u stóp stromego, skalnego przylądka, daleko wsuniętego w wodę, który osłaniał miejsce lądowania.

Położone obok wzgórze uwieńczone było grupą drzew pipalowych, przypominających topole. Ocieśniały one kiosk, wsparty na rzeźbionych, drewnianych filarach, nakryty niską kopułą, zarysowaną teraz powabnie na tle nocnego nieba. Przypominał on świątynkę hinduską, jakich dużo w Radżputanie, a które szczęśliwym instynktem stawiają tam w najbardziej ma-

lowniczym punkcie krajobrazu. Widać stamtąd było dużą połąć jeziora aż po góry, po drugiej stronie wąską zatokę, rozszerzoną na końcu i otoczoną amfiteatralnie domami dzielnicy ludowej, zaś stroma góra pałacowa, naprzeciwko niej, sterczała wśród wody ostro zakreślona, niby dziób okrętu.

Ten kiosk był ulubionym przybytkiem Amandy. Tu marzyła, popołudniu zwłaszcza, z książką w rękę, zapatrzona najczęściej w miasto, osłonięte w połowie fioletowym cieniem zamku, podczas gdy druga połowa lśniła od światła. Nędzne domy z gliny o lichej, wapiennej wyprawie, popołudniowe słońce indyjskie przybierało z tej oddali zwłaszcza, w magiczną szatę złota, róż i pereł. Groźne i wabne było to miasto hinduskie, rojne nieznanem życiem, pełne istot, o których Europejczyk nie wie nic, a jeno sięga ku nim przeczuciem. O tej godzinie, najbardziej ożywionego ruchu w Indjach dolatywał stamtąd do kiosku pod bungalowem nikły odgłos tego życia w postaci szmeru, złożonego z bezliku tonów, na które to tło wybijały się szczegóły, jak przeciągłe wołanie wodziarzy, chropawy wrzask poganiaczy wielbłądów, dźwięki gongów, lub dzwonów świątynnych. Wszystko to było tak egzotyczne i dziwne, że odrywała ciągle oczy od książki, spozierając ku tej części miasta.

Domy tłoczyły się nad brzegiem jeziora, brodziły w niem nawet grubemi słupami, dumały, patrząc z pod sklepistych bram, zerkały tysiącami ocz okiennych, wpierały w wodę wykusze, zazierały sobie wzajem ponad ramiona i głowy tarasami, kioskami, wieżyczkami i małemi, niby kretowiny kopułkami, tak że wszystkie zdawało się ożywiać pragnienie dostrzeżenia połysku wody. Tu i owdzie tłum ten rozpychały ghaty

o szerokich schodach, pełne ruchliwych krokusów, których błękitne, czerwone i żółte płomyki błyszczwały w wodzie, mieszając się z jaskrawem odzieniem zażywających kąpiele. W lewo, gdzie było miejsce palenia zwłok, dymiły w cieniu stosy, wysyłając w górę ciemne spirale, rozplywające się w jaśń obłoczną, zupełnie jak to widziała onej nocy pod Benares i tak samo jak bywało od tysiącleci dzień w dzień. Była to nieustanna objata ziemi dla nieba, wieczysta ofiara tego świata, świata innemu składana.

Ale inne jeszcze ofiary żywe składano tu nieprzezniknionym zaświatom, i to nietylko niebiosom.

Po prawej, obok południowego ghatu stała na wkraczającej w jezioro baszcie mała, bogato zdobna świątynka o kilku, bardzo wysokich, zrosłych z sobą kopułach, czerwono malowanych i usianych złocistymi gwiazdami. O ile smukły i kończysty był jej dach, o tyle małe rozmiary samej czworobocznej budowli, tak że wyglądała jak przepyszna, olbrzymia latarnia. Oddawano tu cześć straszliwej Kali. Stercząc wysoko w powietrze i kąpiąc w wodach jeziora przepyszne, lśniące rzeźby kamiennej architektury, uwieńczona purpurową tiarą, świątynia ta królowała nad miastem jako żywy symbol wszystkiego co w tajemniczych Indjach najdziwniejsze, najbardziej demoniczne i najokropniejsze. Wabiła i odpychała jednocześnie.

Amanda wiedziała dobrze, jaką ohydę kryła ta budowla pod swą malowniczą, elegancką nieledwie postacią zewnętrzną. Rzuciła raz spojrzenie z przed-sionka we wnek, gdzie widniał wśród ciemni odrazę i strach wzbudzający, brązowy posąg bogini. Naszyjnik z czaszek zwisał jej na goły brzuch. Rozdy-mające kaptur kobry wieńczyły jej, w bok zwróconą



głowę, przezco oczy jej, z żółtych kamieni zrobione, zezowały szatańsko ku widzowi, a przeraźnie okrutny uśmiech wykrzywił pełne, świeżo krwią pokryte wargi.

Stary, szkaradny kapłan powiedział jej ojcu, że bogini patrzyła początkowo wprost. Było to w dawnych, bogobojnych czasach, kiedy codziennie u jej stóp ścinano człowiekowi głowę. Od kiedy jednak ludzi zastąpiono marną kozą, zwróciła głowę pogardliwie w bok, a chociaż czasem dostaje w dniu święta swego setki czarnych kóz i dużo wołów, nie dała się dotąd przebłagać. Dopiero, gdyby wróciły dawne, należne jej ofiary w ludziach, możnaby żywić nadzieję, że Kali sprostuje głowę i spojrzy łaskawie i mile na swych czcicieli, a szczęście i radość zapanują w całym kraju. Amanda wyszła co prędzej na wolne powietrze z pod niesamowitego cienia kolumnady, gdyż odczuła magnetyczny wpływ tego potwornego utworu fantazji, czczonego przez tysiące z uniesieniem, a syconego codziennie krwią, który tam królował w mroku niesamowitym.

Ile razy odtąd spojrziała zdala na krwawą grupę kopuł, przychodziły jej zawsze na myśl biedne koźlątko, mrące tam codziennie, by dać krew, do której zdawna przywykły wargi bogini. Nie obdarzyła ich nawet spojrzeniem, spragniona cenniejszej strawy. Amanda nigdy nie była sama obecną przy ofierze, ale opowiadał jej o tem Artur. Szkaradni, czarno odziani kapłani ciągną śliczną, czarną kózkę przed posąg. Trzymają ją, a jeden zakłada sznur na rogi. Obok zwierzęcia kładą nóż ordynarny, krzywy, stary i poszczerbiony na twardszych kręgach. Posypują ostrze owego noża i głowę ofiary ryżem i skrapiają wodą

z Gangesu. Koza beczy trwoźnie, a głos jej tętni echem żalosem, wśród załamów świątyni, kolumn i kurytarzy drgającym długo i niesamowicie. Jeden z kapłanów podnosi miecz, krzywa klinga miga w powietrzu, a odcięta główka zwierzęcia, nie dotknawszy ziemi, zapomocą sznura dostaje się do cysterny. Kapłan ofiarniczy stawia ciężką stopę swą na drgających jeszcze zwłokach ofiary, a krew tryska i bulgocze. Ów odgłos tętni w uszach obecnych, tak iż się zdaje, jakby całą świątynię zalewała krew. Podniecona fantazja każe wierzyć, że szatańska bogini z bronzu wybuchła teraz złym, chrypliwym śmiechem, który milknie pogardliwie w chwili, kiedy jej przynoszą cysternę z głową ofiary i zapada czerwona zasłona w tym celu, by ukryć przed oczyma profanów święty obrządek... zwilżenia ciepłą krwią brązowych warg. Uczestnik tego widowiska wybiega, przez cały dzień czuje nudności, oraz doznaje zabobonnego strachu, jakoby przez udział w ofierze popadł w moc straszliwego demona, który wydaje się podczas obrzędu rzeczywistszym od samej rzeczywistości...

Wszystko to widziała, słyszała i odczuwała Amanda, patrząc teraz na czerwoną kopułę. Niesposób było spojrzeć na miasto hinduskie, ni wspomnieć o niem nawet, nie uprzytomniając sobie niezwłocznie tego znaku, tego widomego symbolu przewagi krwi czarnej. Tem chętniej spoglądała w stronę budynku, który w innym punkcie również panował nad miastem. Był to pałac rodowy Kala Ramy.

Posiadał rozmiary ogromne, a strukturę monumentalną i prostą. Wyglądał jak jeden, zamknięty w sobie blok kamienny, poszerzony u dołu dla lepszego oparcia, po czterech rogach wzmocniony czworo-

bocznymi, podobnymi do wież wysokimi, z których jeden, mianowicie zachodni rzucał na mur frontowy, lśniący pomarańczowo, swój przejrzysty, fioletowy cień. Te narożne wieżycy nie przekraczały linii murów, a ponad nie wznosiły się tylko dwa, podobne do naklejonych w górze gwiazdek, kopułami przykryte wykusze. Na całej płaszczyźnie widniało tylko kilka, nieregularnie rozmieszczonych, wąskich szpar świetlnych, ale u dołu, cały front, od wieży do wieży stanowiła jedna hala arkadowa. Cały gmach zdawał się tedy składać z dwu różnych, monumentalnych pięter.

Wyż, na którym stał gmach, zajmował miejsce pośrednie, pomiędzy miastem, a górą zamkową. Mur miejski dotykał z jednej strony tarasy drugiego piętra, z drugiej zaś kończył się poza pałacem radży.

Silny, obronny, od cokółu do szczytu z jednego kamienia jakby wykuty, stał ten przybytek wojowniczego rodu, dziś osiedle potężnego ministra, jak przystało, pomiędzy ludem a władcą.

Patrząc na jego majestatyczny spokój i dostojność, myślała Amanda zawsze o właścicielu, czcigodnym Kala Ramie, protektorze ojca. Dziś atoli, gdy będzie siedziała, marząc w kiosku, posłyszyna bohaterskie imię wielkiego wodza Mahimsasy, w dźwięku rogów głoszone z wszystkich wież. Wyobrazi sobie, że żyje tam uroczna Amara. Jej to głos ptaszęcy budził echa w hali arkadowej, radując serce bohatera. Z tych to, jaskółczych gniazd u góry spoglądała, chcąc dojrzeć sztandary wojsk stryja, pośród tamtego oto, jasnobrunatnego łańcucha wzgórz, oraz błyskotanie lanc jego świty. Stało się to dnia jednego, a wówczas zbiegła na dół po kwiatki na wianek, który potem zwieńczył ukochaną jego głowę.

— Wyobrażasz to sobie istotnie pięknie, drogie dziecko, — powiedział jej ojciec — ale takie lokalizowanie jest niedopuszczalne z powodu, że gmach ten nie może sięgać tak odległych czasów.

— Czemużby nie? Jest tak silnie zbudowany, że mógł przetrzymać tysiąclecia.

Spojrzała na ministra w nadziei poparcia, ale Kala Rama wstrząsnął z uśmiechem głową.

— Ma pani rację, memsahib Amando! — powiedział — Budowla ta, zda się, urągać czasowi jak piramidy, ale faktycznie ojciec pani powiedział prawdę i potwierdzam, że dom ten powstał dopiero w połowie XVII. wieku. Wybudował go ten sam mój przodek, który zginął skutkiem zdrady wielkiego Mogola, co się przechowało dotąd w przywileju naszym pozdrowiania lewą ręką.

Amanda musiała się ukorzyć przed tym autorytetem, wyraziła jednak przypuszczenie, że nowy gmach powstał na miejscu starego, gdyż jest to jego miejsce właściwe, pomiędzy miastem, a pałacem radży, podobnie jak minister, pomiędzy ludem a władzą. Tutaj musiał niezawodnie mieszkać stary Mahimsasa, a pałac jego mogła naśladować tradycja, zwłaszcza, że hale arkadowe i wykusze znane były w Indjach od niepamiętnych czasów. Oświadczyła wkońcu, że mimo wszystko w gmachu tym widzi wcielenie dawnego.

— Trudno coś temu zarzucić, memsahib, — rzekł Kala Rama — a nawet, zdaniem mojem, znalazła pani szczęśliwą formę dla uprawiania swych marzeń o przeszłości, we właściwem świetle oglądanej. Dziś, coprawda, w tym oto wykuszu nie mieszka istota urocza, jeno ja sam, sługa twój, memsahib. Tam

przesiaduję wieczorami, i nieraz wstając z nad książek, spoglądam na miasto z tego okna, lub wychodzę na płaski dach, gdzie czuję się tak dalekim od wszystkiego, co ziemskie, jakby nie istniało nic prócz usianej gwiazdami przestrzeni.

— Cóż za godne zazdrości, co za dostojne miejsce pobytu! — mruknął profesor.

— A więc to pańska lampa, ekscelencjo, tyle razy mrugała ku mnie, niby gwiazda? Dobrze, że wiem. Odtąd światło jej będzie mi tem miłsze.

— Jakto, memsahib? O tak późnej porze chodzisz pani na miejsce od domu odległe? Sądzę, że nie sama?

— Nie całkiem sama, ekscelencjo! — odparła — Biorę z sobą mego Garudę. Zanim go dostałam od pana Steela, ze strachu przed kobraami za nic na świecie nie odważyłabym się na to.

Jęła wychwalać małe stworzonko, które i teraz biegło przed nimi po drodze, zaglądając w trawę i węszyło, pełniąc gorliwie swe policyjne obowiązki.

Amanda nie zapomniała też o dzisiejszym jego bohaterskim czynie. Opowiedziała o kamieniu węzowym, tem skromnem, powszedniem wydaniu słynnego klejnotu Kala Ramy, wytrzęsionym przez zwyciężcę z okularnika. Zakończyła relacją o nocnej przygodzie Artura.

Kala Rama skinął głową, uśmiechając się życzliwie.

— O tak, memsahib Amando — powiedział — i ja to obserwowałem kilka razy. Wygląda zupełnie jakby kobra modlił się do kamyka. A jednak gad myśli jeno o jedzeniu. Kamyczek, pewien rodzaj krzemionki, fosforyzuje i świeci słabo, podobnie jak

samica robaczka świętojańskiego. Światło przynęca robaki, a kobra chwyta je.

— Pewny byłem, — zawołał uradowany profesor — że musi istnieć jakieś rozsądne objaśnienie tego zjawiska!

— Tak? — odparła z niechęcią Amanda — Dla mnie nie jest ono wcale rozsądne! Tak pięknie było myśleć, że pewne, lepiej rozwinięte kobry noszą z sobą fetysze i odprawiają nocą modły. Strach mój, wydaje się mniej zrozumiałym, gdy pomyślę, że moi przysięgli wrogowie są tak dalece rozwinięci duchowo, iż posiadają coś w rodzaju religji. Jeśli naprzykład taki kobra prosi Kali, by jego kaptur rozdymał się straszliwiej... to wówczas prędzej wolno mi sobie pozwolić na ten głupi strach.

— Chyba to cię powinno pocieszać, że zuchwały bez granic sir Trewelyan odczuwa ten sam, nieprzezwyciężony strach.

— Sir Trewelyan? — spytał Kala Rama, przystając ze zdumienia i patrząc na swych towarzyszy wielkimi oczyma.

— Tak, ekscelencjo! — odparła Amanda — Mr. Steel opowiadał nam dziś, że kuzyn jego nie mógł się zdobyć na to, by patrzeć na sztuczki poskramiacza węzów i mimo całego wysiłku woli, musiał dać za wygraną. — To silniejsze ode mnie! — powiedział.

— Dziwne! Nader dziwne! — mruknął Kala Rama.

Amanda radaby była zapytać, co sądzi stary Hindus o tym, z pozoru przypadkowym zbiegu okoliczności, który niepokoił i jej umysł jako dziwna zagadka o głębokiem może znaczeniu. Ale nie śmiała przerywać milczenia Kala Ramy, który kroczył bez słowa. Nie

śmiała, chociaż to właśnie milczenie utwierdzało ją w przeczuciach, że w tym małym punkcie tkwi coś bardzo dla niej ważnego.

Po kilku już krokach doszli do celu, to jest przystani ogrodowej, u podnóża wzgórzka z kioskiem.

Zanim zstąpili po stopniach, Kala Rama stanął i poprzedni, życzliwy uśmiech ożywił na nowo oczy jego i usta.

— Bardzo mi przykro, droga memsahib, — powiedział — żem pani zgotował rozczarowanie swem trzeźwym objaśnieniem sprawy. Ale jeśli sięgniemy głębiej, to różnica nie okaże się może tak wielką. Czegożto, sądzi pani, szuka człowiek u swego fetysza, bożka, obrazu świętego, czy nawet samego Boga, modląc się doń codziennie? Proszę wierzyć, największa liczba ludzi prosi go o to samo, czego kobra chce od kamienia i co otrzymuje, to znaczy o pożywienie.

— Szczera prawda, ekscelencjo! — zawołał profesor — Dużo goręcej wymawiają ludzie słowa: chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... niżli słowa dostojniejsze i bardziej religijne: święć się imię twoje!

— Drogi profesorze sahibie, dodajmyż, że w tem życiu inaczej być nawet nie może. Nie żądamy nazbyt wiele ani od biednych ludzi, ani od kobrów. Przytem, panno Amando — dodał — nie wiemy wcale, czy wobec pomocnej wielce siły świetlnej kamienia nie budzą się w nich mgliste uczucia, podobne do odruchów duszy dzikusa, który prosi swego fetysza o szczęście na łowach... A teraz...

Zstąpił po schodach i rzekł z oryentalnym ukłonem, wskazując przybijającą barękę.

— Czy mogę prosić mych drogich gości, którzy mi są ojcem i matką, pochodnię wiedzy i ozdobę ko-

biecego rodu, by dostojne osobistości swe powierzyć raczyli tej marnej, nędznej łodzi swego, zawsze do usług gotowego niewolnika i sługi?

Humor Kala Ramy, trawestującego w ten sposób zwykłą, gadatliwą przesadę wschodu, posiadał właściwy mu, serdeczny charakter. Umiał on spojrzeniem i tonem głosu podkreślić, że używa swej orientalnej przewagi, by w przesadnej z pozoru formie rzecz co należy. Wszakże istotnie uważał uroczą dziewczynę za ozdobę kobiecego rodu, a ojca jej za pochodnię wiedzy i pragnął im z całych sił, które były niemałe, służyć i pomagać.

Barka ministra mogła być nazwana nędzną łodzią, tylko ze względu na ceremonjał etykiety wschodniej. Oczom Europejczyków wydała się tylko nieco za ciężką i przypomniała im budgery gangesowe. Dziób jej ostry, podobny do dzioba olbrzymiego ptaka morskiego, sterczał ponad wodą, niżej atoli niż bardzo wysoka rufa, gdzie tkwił nieruchomy jak posąg, z drągami sterowym w ramionach, średniego wzrostu, pięknie zbudowany Hindus, którego nagie członki połyskały jak bronz w świetle księżyca. Biały turban i takiegoż koloru płótno na biodrach stanowiło także i dla sześciu wiosłarzy powabną, a praktyczną liberję. Gołą głowę ukazywać księżycowi, znaczyło to tyle w ich przekonaniu co dobrowolnie narażać się na pomieszczenie zmysłów. Stali oni parami na przodzie barki, a każdy dzierzył krótkie, szerokie, szufłowate wiosło. Byli gotowi do odjazdu.

Siedzenie, wyłożone haftowanymi poduszkami i perskimi dywanami, znajdowało się pośrodku barki nieco w tył cofnięte, jak w weneckiej gondoli. Kala Rama zmusił gości swych, by zajęli miejsce honorowe,



to znaczy rodzaj sofy biegnącej przez całą szerokość łodzi z oparciem od tyłu, skąd najwygodniej było pa-  
trzeć podczas jazdy, sam zaś „wziął niski stołeczek  
i usiadł z boku“ jak czytamy często w buddyjskich su-  
trach, który to zwrot pochlebiał wielce profesorowi,  
dumnemu stąd, iż ten hinduski magnat traktuje go  
jako „męża doskonałego.“

Nie tak łatwo poszło z umieszczeniem pleców  
i koców, przyniesionych przez troskliwą służącą. Kala  
Rama rad był temu, bowiem nigdy przewidzieć nie  
można godziny powrotu, ani czy nad ranem nie będzie  
chłodno na wodzie. Barbara była obladowana jak  
wielbłąd, gdyż nie chciała przyjąć żadnej pomocy ze  
strony licznej hinduskiej służby, a i teraz ani jej było  
w głowie powierzać tym czarnym kosztownych, przez  
nią samą zakupionych i aż tu z Heidelbergu przyta-  
szczonych rzeczy. Daremnie wyciągali ręce, daremnie  
prosili chórem: — daj ayah, daj ayah! — Im głośniej  
wołali, tem mocniej ścisnęła dzielna Szwabka swój  
skarb i tem energiczniej potrząsała krągłą głową,  
o twardych, błyszczących jak jabłka policzkach.

— Ajahujcież mi co wlezie, nagie pogany! — mó-  
wiła im — Mam wam dać te śliczne koce, byście je  
ochlapali wodą? Nic z tego! Czarne małpy z kopy-  
ściami w pazurach... Ładne mi to wiosłowanie...  
ani słowa!

Barbara była wprawdzie okazem czysto kontynen-  
talnym, ale napatrzyła się po drodze w Bremie i Anglii  
wioślarzom i dumna była z tego, że ją na wiosłowanie  
nikt nie weźmie.

— Tak samo wiosłują u nas smarkacze, żeglujący  
w beczce po stawie wiejskim! — rzuciła na do-  
bitek.

Zacna, ale gruboskórna dziewczyna nie ustąpiła, dopóki nie zostało wszystko zapakowane na rufie łodzi, gdzie paść nie mogła kropla wody. Profesor był niezadowolony, bo musiał stać podczas tej operacji, przez co znacznie ucierpiało dostojeństwo jego tronu, u stóp, którego siedział minister.

Łódź pomknęła tak szybko, że Barbara musiałaby przyznać mimo wszystko pewną zręczność czarnym małpom z kopyściami, ale wierna dziewczyna zajęta była teraz czemś nierównie ważniejszym. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzyła niezadowolona i zatroskana za odjeżdżającym państwem swoim. Mniej ją dziwiło, że takie młode, niedoświadczone stworzenie, jak Amanda, która prócz szkaradnych kobrów, nie lękała się niczego, mogła zaufać hordzie czarnych Hindusów i pojechać z nimi. Ale mędrszą powinna była chyba być szpakowata głowa profesora i takby się też stało, gdyby nie siedział z nosem w starych książkach, ale rozejrzał się trochę po świecie. Stary, przyzwoicie ubrany hinduski jegomość, którego zowią „ministrem,“ wyglądał, przyznać należy, prawie na porządnego katolika, ale murzyn zostanie zawsze murzynem, a Indjanin Indjaninem. Tak nazywała Szwabka z uporem i słusznie zresztą, z językowych względów, mieszkańców Indyj. Dziwiło ją tylko zrazu potrochu, że nie mieli oni twarzy czerwonych, (bo jak słyszała, a nawet czytała, Indjanie są „czerwono-skórzy“) ale brunatne i czarne. Z tego rozdźwięku między tem, czego się nauczyła, a doświadczyła, wysnuła Barbara wniosek, że nie można ufać „książkom z historjami,“ a tylko doświadczenie własne ma jakąś wartość.

Może być, że Amanda przeczuła, iż pocziwa służąca potrzebuje otuchy, bo w tej chwili właśnie za-

częła powiewać chustką. Barbara nie omieszkała odpowiedzieć tem samem, ale miał podnieść jej ducha, czule pożegnanie wycisnęło jej łzy. Chlipała teraz, dumając rozpacznie, czy zobaczy jeszcze kiedyś w życiu ukochaną panienkę swoją i dobrego pana.

Barbara nie czytywała pism angielskich. Wdzięczną była Bogu Ojcu, Zbawicielowi i wszystkim świętym, że języka tego nie zna, ale powietrze rozbrzmiewało w tych dniach na całym obszarze Indyj straszmem imieniem thagów. W Indjach angielskich padały co dnia hekatomby ofiar i skrzypiały szubienice. Starczyło więc aż nadto, by ten twardy mózg szwabski przerazić i napelnić Barbarę odrazą do lądowych i wodnych przejazdów przy księżycu w towarzystwie „Indjan.“

Niewiadomo, coby powiedziała, dowiedziawszy się, że jej to samej, Barbarze Schwitzgäbele z Echterdingen, odmierzał, wczoraj dopiero, najprawdziwszy thag muślin w bazarze, a także, że bliska jej sercu Amanda zetknie się z tym samym, krwiożerczym sługą Kali, zanim jeszcze barka zniknie z oczu wiernej Szwabki.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

### Sługa bogini Kali.

**W**zgórze z kioskiem przesunęło się w bok, jak kulisy, gdy barka ruszyła naprzód. Na tylnym planie błyszczało miasto tysiącami światełek, rzucając pas złotej freńdźli na lśniący atlas jeziora. Dolatywały do jadących wszystkie, znamienne odgłosy miasta, a więc lekkomyślne brzękanie strun banjo, smętny, rozręskniony wiew fletów trzciniowych, napastliwy huk tamtamu i niezmordowany stuk małego, podobnego do klepsydry bębenka ręcznego, będącego symbolem gorączką ogarniętego pulsowania serca. Chwilami dźwięki te tonęły w skowycie i szczekaniu psów parjasów, co toczyły walki na pustej przestrzeni pomiędzy miastem, a bungalowem. Czasem jęknął dzwon, raz i drugi, niby padająca kropla dźwięku, a szklista powierzchnia wody niosła go ślizgiem aż do łodzi.

Amanda wiedziała, z jakiego świętego naczynia pada ta kropla. Za każdym razem spoglądała na stary, czarny dzwon z brązu, zwisający na grubych łańcuchach z niskiej kopuły, wprost nad kamienną statuą Nandi, świętego byka Szywy. Przypomniała sobie żywo, jak stary, mrukliwy kapłan uderzał młotkiem w jego brzeg, ile razy ktoś składał ofiarę, skła-

niając jednocześnie głowę przed ponurym majestatem małżonki Szywy, samejże Kali, która miała taką minę, jakby rada była wznowić prastary sport swój, polegający na polykaniu wrogich demonów i rozgryzaniu w zębach ich wozów wojennych. Działo się to jednak dawno już, tysiąc razy tysiące lat temu, przed całą kalpą. Potem, ale i to już tonęło w pomroce tysiącleci, musiała, w braku demonów, poprzestać na ludziach. W czasach nowszych dostawała jeno koźlę, a któż wie, czy i tego jej zbraknąć nie miało w czasach, kiedy jak dziś, ośmielano się najwierniejszych jej czcicieli wieszać gromadami całami... Narazie roilo się jeszcze od zwolenników i ciągle rozbrzmiewał dzwon ofiarniczy, raz po raz, raz po raz, rzucając nocą po wodzie szydercze słowa wrogom i bluźniercom bogini.

O tej godzinie tonęła zazwyczaj świątynia w mroku, tak lubym swemu bożyszczu, dziś jednak punkciki świetlne wyznaczały pociągłe, łukowe linje kopuły. Przystrój ten nie był zresztą jedynym znakiem niezwykłego ożywienia i ruchu, panującego w przybytku Kali. Na dole, wzdłuż wybrzeża posuwały się liczne światelka ruchem wolnym, zorientowanym w dwu kierunkach, ku czarnej masie pod kopułami i od niej wstecz. Stamtąd płynęło też pewnie wołanie, czy śpiew, powtarzający się bez końca, ze śmiertelną wprost monotonią. Była to dzika kadenca trzech słów, z których Amanda pochwycić zdołała jeno środkowe, to jest: Kali.

— Cóż to oni śpiewają nieustannie?

— Powtarzają: *Jai Kali ma!*... Zwycięstwo matki Kali!... Wie pani, co to znaczy?

Amanda i profesor spojrzeli pytająco i zdziwili się wzruszeniu, z jakim minister odpowiedział.

— Słyszeliście państwo może o dżumie, która porywa mnóstwo ofiar w Gwaljorze?

— Tak, ekscelencjo... — bąknął profesor, widocznie niemile dotknięty.

— Czyha ona ciągle w dzielnicy hinduskiej, chociaż pochlebiam sobie, że niebezpieczeństwo znacznie zmalało u nas, skutkiem mych zarządzeń sanitarnych.

— To nie ulega wątpliwości! Angielskie dzienniki stwierdziły to dokładnie! — pospieszył profesor zapewnić swego protektora, a może także siebie samego, bo po tych pełnych otuchy słowach przybrał zaraz odważniejszą minę.

— Jak wspomiałem, w Gwaljorze występuje ona od kilku tygodni ostrzej... stąd ta procesja. Ale jaki ma cel... zdaniem pani?

— Celem jej musi być błaganie bogini, by oszczędziła miasta... — powiedziała Amanda.

— W tym samym celu odbywają się we Włoszech procesje ku czci Matki Boskiej... Chociaż, oczywiście nie chciałbym zestawiać razem dwu tych bogiń.

Kala Rama potrząsnął głową z uśmiechem nieco sarkastycznym.

— Jesteś, profesorze sahibie, pochodnią wiedzy, a Indje wedyckie, aryjskie, którym Budda głosił naukę, leżą niby rozwarta księga przed panem. Ale nie przeniknąłeś pan Indyj późniejszych, Hindostanu, który wchłonał krew czarną. Drogi tego kraju nie są drogami pańskimi, niestety. O nie, procesja ta nie ma na celu odwrócenia zarazy od miasta, przeciwnie idzie o sprowadzenie jej tu.

— Sprowadzenie tu? — krzyknął profesor i skoczył na siedzeniu, jakby to wołanie czciocieli przybranej łańcuchem czaszek Kali niosło, śmiertelne tchnienie

zarazy. Amanda uczuła również dreszcz w całym ciele.

— Tak! — podjął Kala Rama — Błagają boginię, by wylała czarę swego gniewu na głowy nieprzyjaciół, na śmiałków, co usuwają krwawe obrzędy zabobonu, ograniczają palenie wdów, ścigają thagów i działają dla dobra duchowego i zdrowia ludu, błagają, by położyła trupem każdego uczestnika tej pracy, aż do najmity, który niesie kamień na budowę szkoły, czy szpitala. Nie strach im nawet, że oni sami, wierni czciciele bogów paść muszą ofiarą. Muszę im przyznać, że samiby chętnie i z radością poginęli, żeby tylko dławiąca ręka bogini wydusiła jednocześnie wrogów, a tchem ostatnim jeszcze wołaliby: *Jai Kali ma!*

Mówił z goryczą, jakiej obronić się nie może wielki, szlachetny człowiek, choćby miał serce opancerzone najszczytniejszą filozofją rezygnacji, gdy widzi, że wysiłki jego w znacznej mierze paraliżuje zaślepienie współczesnych mu ludzi, lub że praca jego wydaje nikłe jeno i karłowate plony.

Po tym wybuchu nastąpiło ogólne milczenie, wypełnione jeno odgłosami miasta i nieustannem wołaniem do Kali.

Amandzie było bardzo przykro, że jej nierozważne pytanie wywołało u czcigodnego starca słowa, którychby pewnie nie wyrzekł z własnej inicjatywy i teraz żałował może nawet zbyt wielkiej otwartości swojej. Powolna instynktowi kobiecemu chciała przerwać milczenie w sposób taki, by nieznacznie zmienić temat, lub przynajmniej podkreślić, że to zamierza uczynić. Znalazła już, jak sądziła, odpowiednią drogę i chciała na nią właśnie wkroczyć, gdy zauważyła zdumiona, że Kala Rama nadśluchuje pilnie, pochyliwszy na bok głowę.

Rzucił krótki, cichy rozkaz, a sześciu wioślarzy zaprzestało natychmiast pracować. Barka sunęła jeszcze przez chwilę, ale wnet umilkł szum wody przy sterze.

Zjawił się nowy ton. Jako podkład dzikiego naszczekiwania psów parjasów brzmiał teraz stale, miękko, niby dzwonienie. Przypominał żaby-dzwonnice, o których słyszała Amanda.

Spojrzenie na Kala Ramę przekonało ją jednak, że idzie o coś ważniejszego. Minister nie słuchał już, ale śledził bacznie przeciwległy brzeg.

Oglądane z kręgu cienia zamkowej góry, w którym się teraz znaleźli, świeciło wybrzeże pomiędzy miastem a bungalowem, niby płaszczyzna śnieżna. Widać było najdokładniej całą przestrzeń aż do miejsca, gdzie się nieregularną linią zaczynało miasto i gdzie Amanda rozpoznała falistą linię, opuszczonych teraz warsztatów tkackich, które tak niedawno były ośrodkiem tej wizji sennej, wizji zapomnianej już, a teraz wznowionej częściowo jeno i mgliście. Cienie kilku drzew i nierówności terenu leżały czarne i nieruchome.

Jeden atoli z nich ruszał się.

Biegł jakby niesiony burzą od miasta w stronę bungalowu, a raczej, jak teraz rozróżniała, ku miejscu, pomiędzy jednym a drugim, gdzie się spłaszczało wybrzeże, strome, choć niezbyt wysokie w pobliżu miasta.

Psy parjasów ucichły, jakby je rozproszono, ów zaś, towarzyszący im ton zabrzmiał teraz silnie, wyzywająco i Amanda poznała go. Po raz pierwszy doszedł ją, gdy zwiedzali wspólnie stajnie radży. Było to szczekanie psa śledczego. Uciekał mężczyzna biało odziany i dlatego widoczny jeno jako cień. Pies go ścigał.



Patrząca z zapartym oddechem Amanda wstała, mimo że z miejsca swego widzieć mogła wszystko równie dobrze. Minister i wiosłarze wypatrywali też w zawody oczy, a tylko krótkowzroczny profesor nie odczuwał tego, co wszyscy, wzburzenia. Ani przyjacielowi, ani córce nie przyszło do głowy powiedzieć mu, co ich tak zajęło.

— Cóżto? Czy widzicie coś szczególnego? — spytał trochę niecierpliwie.

— Człowiek jakiś ucieka z miasta... ściga go pies... wszakże słyszysz szczekanie, ojcze. To pies gończy... o Boże... jeśli go złapie!...

Cień przemknął poza brzeg.

Plusnęło cicho... pierścienie wyblęsy na wodzie, a srebrne ostrze trójkąta posuwało się szybko po szklistej powierzchni.

— Uciekł... wiesz, ojcze... plynie w naszą stronę... Ach, pies!

Znowu plusło głośniej, ciężej, nowe kręgi poplątały się z poprzednimi i drugie lśniące ostrze pomknęło za pierwszym.

Stali oddaleni o dwadzieścia może węzłów od stromej ściany skalnej, opodal ostrego kantu, jakim występowała z jeziora. Łódź nie drgnęła nawet z miejsca od chwili, kiedy Kala Rama dał rozkaz wiosłarzom. Patrząca nieustannie na pościg, Amanda zauważyła, że łódź plynie. Nie zdziwiło jej to, było bowiem zupełnie zrozumiałe, że dążyli na pomoc pływającemu. Miast tego jednak barka zdążyła zwolna ku skale, obracając się tak, że wysoka rufa coraz to bardziej zwrócona była ku ściganemu, a Amanda musiała obracać głowę, by go nie stracić z oczu.

Zdziwiona tym niepojętym manewrem, spojrzała na Kala Ramę i zobaczyła, że odwija swój turban, a wiosłarze i sternik nic już nie mają na głowach. Ojciec pochylił się w tej chwili, a Kala Rama dotknął jego ramienia i poprosił szeptem, by zdjął swój słomkowy kapelusz.

Barka kryła się widocznie i nie chciała jasną plamą zwracać uwagi.

Amanda miała zamiar wykonać obrót, celem zobaczenia pływaka, ale Kala Rama umyślił ją widać zająć czem innym, gdyż podał jej w tej chwili wyjęty z turbanu żółty, w kształcie szpilki oprawiony klejnot swój i poprosił, by go schowała. Trudno było wedle pojęć hinduskich o magnes silniejszy dla duszy młodej kobiety nad ten rzadki, drogi kamień, zwłaszcza że Amanda była w mniemaniu, iż trzyma w ręce ów słynny kamień węzowy, o którego pochodzeniu słyszała dopiero co.

Ale szło tu o ludzkie życie i uwaga dziewczyny nie została odwrócona przez to powierzenie klejnotu. Odległość pomiędzy dwoma trójkątami wzrosła, widocznie tedy człowiek był lepszym pływakiem. Nie wiadomo było, czy zamierza wylądować na brzegu przeciwległym, czy opłynąć skałę i próbować szczęścia gdzieś, na przytykającej do wody górze zamkowej, gdzie mógł z łatwością znaleźć miejsce dla psa niedostępnego.

Drugie przypuszczenie było prawdopodobniejsze, bo nie tylko przez dłuższe płnięcie odnosił korzyść co do odległości, ale ponadto wylądowawszy na wybrzeżu zatoki, nie byłby w stanie ujść psu. Pies nie był zresztą jedynym jego prześladowcą, a cały brzeg roił się od Hindusów. Wielu skoczyło w wodę, kon-

tynując pościg, inni biegali po wybrzeżu, zagrzewając płynących, lub z wyższych punktów terenu wskazując im kierunek ucieczki. Najgorliwsi pobiegli na wzgórze, w ogrodzie bungalowu, jakby chcieli wziąć szturmem kiosk, ulubione miejsce Amandy, skąd w istocie mogli najdłużej śledzić zbiega, o ileby wypłynął z zatoki.

Że tam zdąża, nie było już wątpliwości, gdyż sterował w lewo od nich, ku stromej skale. Barka pokazywała mu stale wzniesiony tył swój, spływający najzupełniej z barwą i kształtem załomów skalnych, a jednocześnie sunęła również zwolna, ku narożu skały. Żadna łódź europejska, najlepszej konstrukcji nie byłaby zdolną do takiego ruchu pół wstecz, pół w bok, a był on tak niewypowiedzianie chytry, zacięty i zło-wrogi, iż Amanda straciła dech, pewna, że lada chwila krzyknie z trwogi.

Spojrzenie, rzucone na Kala Ramę, starczyło jednak na stłumienie tej chętki. Siedział wychylony poza burtę łodzi z rozbłysłymi oczyma, zagryzionymi wargami, a każdy fałd jego twarzy sztywny był, jakby wykuty z kamienia. Nieostrzegalnemi ruchami prawej dłoni kierował swymi ludźmi, którzy wpili czarne, połyskliwe oczy w swego pana, nie spuszczać ich ni na ułamek sekundy. Wzburzona dziwnie dziewczyna ledwie mogła rozpoznać starego przyjaciela, który z nią przed chwilą dopiero gwarzył tak swobodnie. Wydawał się teraz protoplastą swym, Mahimsasą, na jakiejś niebezpiecznej wyprawie przeciw czarnoskórym.

Pływak znalazł się teraz w odległości najwyżej dwunastu węzłów od łodzi. Spojrzenie utkwił nieruchomo w ostry kant skały, poza którym miał słuszną nadzieję znaleźć ocalenie. Gładkie, naoliwione włosy,

których nie czepiła się ni kropla wody, lśniły stalowo, a zrzucił turban i kumurbund \*) by mniej być widocznym ścigającym. Ile razy przy nawrocie rąk głowa i ramiona podnosiły się nad wodę, Amanda dostrzegła dość wyraźnie twarz z czołem zmarszczonem od wysiłku, wysuniętą naprzód dolną wargą i krótką, mokrą brodą, zlepioną, zwisającą w kształcie klinu.

Miała wrażenie, że zna tę twarz, to znowu wydała jej się w swej dzikiej brzydocie zgoła obcą.

Kala Rama podniósł rękę.

Barka skręciła w lewo i runęła szpiczastym dziobem, jak aligator, na pływaka, który natychmiast znikł pod wodą.

Kala Rama krzyknął słowo, a pięciu z pośród sześciu wiosłarzy skoczyło i znikło we wzburzonych falach. Minister zrzucił faldzisty płaszcz i przyodziany jeno w prosty kaftan, chwycił wiosło i manewrował nim z taką pewnością, jakby przez całe życie był żeglarzem.

Tu i owdzie wyzierała głowa i znikła z powrotem. Sternik, widzący wszystko z wysokiego stanowiska swego, dawał wskazówki pływakom. Wyglądało to, jakby wił się w wodzie potwór morski o ciele splecionem z olbrzymich węży, opatrzonej kilku głowami, niby indyjskie bożyszczce. Dwanaście węzłów przed i z boku barki, poza kręgiem cienia skały, drgał, pienił wodę i rzucał kaskady kłęb ludzkich ciał.

W mgnieniu oka podpłynęła doń barka. Podtrzymywane i popychane przez pływaków, ciągnięte przez ministra i resztę załogi, znalazło się wkrótce w łodzi martwe z pozoru, półnagie ciało, które natych-

---

\*) Kumurbund, długi kawał bawełnianej tkaniny, którym okrywają całe ciało Hindusi.

miast związane sznurami wszerz i wzdłuż. Światło księżycy oblało zmartwiałe rysy opadłej wstecz głowy.

Amanda poznała teraz kogo jej przypominał. Musiał to być Mool Roy, bogaty handlarz muślinem z bazaru.

Tak sądziła, ale zaraz straciła pewność. Twarz leżącego nabrała życia, rysy ściągnął szatański wyraz, a stalowe oczy cisnęły tak dziwne i niesamowite spojrzenie w bok, że drgnęła i cofnęła się przerażona.

Uderzenie w kark odebrało więźniowi świadomość na chwilę tylko. Pierwszy ruch przekonał go, że więzy są silne, pierwsze spojrzenie padło na rozwartą, ziejącą żarem paszczę psa policyjnego, wciągniętego przez sternika do łodzi, który drżał z radości, stojąc nad upolowaną zwierzyną. Ogarnięty nagle rezygnacją oryentalną, Hindus leżał teraz spokojny i z pozoru obojętny na dnie statku, od czasu do czasu tylko padało stalowe spojrzenie z kątów oczu, niby błysk noża.

Był to w istocie Mool Roy.

Barka mknęła szybko w stronę miasta.

Ale nagle, na słowo wyrzeczone przez sternika, wstrzymał Kala Rama wiosłarzy.

Od przodu posłyszano plusk wiosel i zobaczono dużą łódź, zbliżającą się szybko.

W kilka minut oba statki przyparły do siebie bokami. Była to łódź policyjna, w którą przeniesiono związanego bez trudu. Pies ruszył za nim, zdecydowany nie spuścić łupu z oka.

Sekretarz ministra, stojąc na dziobie policyjnej łodzi, zdał sprawę, przezco Kala Rama znalazł rozwiązanie zagadki, która go drażniła, a nawet niepokoiła, mianowicie jak mogli w ciągu tak krótkiego czasu wrócić.

Przez przypadek raczej, niż z umysłu, dał sekretarz powąchać psu romał zaraz po wyjeździe, nie czekając, aż przybędą na miejsce, zaś pies nie chciał iść dalej, ale z pyskiem przy ziemi skreślił w prawo i ruszył z taką pewnością i energją, że ciągnął za sobą swego dozorcę. Nie ulegało wątpliwości, iż wpadł niespodzianie na trop dusiciela. Wielkim łukiem zawiódł ich pies z powrotem bramą wschodnią do miasta, z którego wyszli północną. Pociemniało już. O tej porze ulice były zawsze zatłoczone, dziś zaś uroczystość Kali i spodziewana procesja tak dalece zatamowała ruch, że powstało istne hurriburi... jak to trafnie określa hindostański wyraz. Nie troszcząc się tem wcale, biegł pies przez uliczki i podwórza i niebawem zauważono, że zmierza do świątyni Kali. W miarę zbliżania się do kroczącej zwolna procesji rósł ścisk. Zniecierpliwiony powstała przez to zwłoką jął pies szczekać swym głębokim, znanym głosem, wśród uczestników procesji powstał nagle niepokój, zaś pies parł naprzód z taką gwałtownością, że go musiano puścić. Daremnie jednak usiłował przełamać szeregi niosących lampjony, którzy noga przy nodze kroczyli, stanowiąc mur nieprzebity. Na przedstawienia sekretarza i urzędników policji posypały się słowa fanatyczne. Wołano, że dość już było ograniczeń praw Kali, której gniew najwidoczniej spada na kraj, odgrażano się, że zostanie pomszczone to błuźniercze pogwałcenie procesji, krzyczano, by się wrogowie mieli na bacności, wreszcie rozbrzmiały głośnie przekleństwa, i wymyślenia pod adresem ministra. Musiano się ugiąć i za przykładem psa okrążyć procesję, co trwało dla ludzi dłużej niżli dla zwierzęcia. Znalazłszy się po drugiej stronie szeregów, mądry pies zawrócił i znalazł trop zbiega, który atoli skutkiem zwłoki

zdolał tak dalece wyprzedzić pościg, że dotarł do niskiego brzegu, skoczył w wodę i popróbował ocalić się w ten sposób, czego by zresztą dokazał, gdyby nie został schwytany przez samego ministra.

Minister zadowolony był widocznie z roli swej w dramacie, bo na wąskie jego wargi wypłynął uśmiech i potakując głową, słuchał końca sprawozdania. Pochwalil zachowanie sekretarza i jego ludzi, dał krótkie zlecenie jak należy postąpić z jeńcem w zmienionych okolicznościach, do którego ghatu przybić, którą drogą iść do pałacu, by uniknąć zbiegowiska, a wkońcu nie zapomniał też zalecić, by nagrodzono obfitą i dobrą strawą dzielnego psa, który uczynił, co tylko mógł.

Gorączkowa bieganina i krzyki ścigających ustały. Ujrzano, jak wracają do miasta wzdłuż brzegu, od strony którego ponownie popłynęła fala dźwięków, brząkanie banjo, huk tamtamów, niecierpliwe, ustawiczne tykotanie małego bębenka ręcznego, przede wszystkim zaś, powtarzany ciągle, fanatyczny okrzyk uczestników procesji, niosących tysiączne lampjony w stronę świątyni i z powrotem.

— Jai Kali ma! Jai Kali ma!

Barka z więźniem odpłynęła, a Kala Rama spojrział wyzywająco i wesoło w stronę miasta i powiedział:

— Zwycięstwo matki Kali nie zostanie jednak zniszczone przez tego jej wielbiciela.

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

### Kamienie mówią.

Cóż uczynił biedny Mool Roy tak złego? — spytała Amanda, gdy barka pomknęła znów w drogę, przerwaną na tak długo, tempem przyspieszonym, by wyrównać zwłokę.

Kala Rama, owijający właśnie wokół głowy długi, biały muślin, spojrział zdumiony.

— Poznała go pani?

— O tak, ekscelencjo! Zrazu miałam wątpliwości, ale wkońcu poznałam go dobrze.

Podala ministrowi powierzony sobie klejnot, dotąd trzymany kurczowo w rękę. Miał wetknąć go w gotowy już teraz zawój, pochylił się Kala Rama i przymocował go do brunatnego, koronkowego welonu, który Amanda zarzuciła na głowę. Zaczął się też zaraz rozwódzić nad tem, że brylant teraz dopiero znalazł swe właściwe miejsce, i wzywał profesora na świadka.

Uczony śledził dotąd spojrzeniem odpływającą łódź policyjną i rozbłyśniętymi światłami miasto, które teraz dopiero stracił z oczu, gdy wypłynęli z zatoki na pełne jezioro. Dumał nad tem, co zaszło, rozkoszując się tym epizodem, który postanowił włączyć do zamierzonej



książki pod tytułem „Wspomnienia z Indyj,” nowelistycznej niemal rekreacji po poważnych dziełach źródłowych. Chciał napisać, że dnia poprzedniego prowadził z kupcem, Mool Royem w bazarze rozmowę głęboką, religijno-filozoficzną i dać dla kontrastu fakt zaszły rzeczywiście. Owo zestawienie wydało mu się nad wyraz szczęśliwe, niemal genialne i był napoly nieprzytomny w chwili, gdy minister wyrwał go z myśli, każąc podziwiać żółty diament na czole córki.

— Przedziwny! — pomyślał uczony, bąkając jakąś aprobatę, trochę niezadowolony z przerwania toku myśli, nader subtelnego, jak sądził. — Przedziwny... pod pewnym względem, gdy idzie o klejnoty, ci Hindusi, a nawet najwybitniejsi ich przedstawiciele są jak dzieci.

Amanda doznała ponownie wrażenia, że Kala Rama chce przez ten kamień zwrócić na co innego jej myśli i znowu przeszkodziło temu silne zainteresowanie ludzkie.

— Czegóż się dopuścił takiego biedny Mool Roy, by go szcuć psami? — spytała po odpowiedniej pauzie.

— Kto? — zawołał ojciec — Mool Roy? Chyba, sądzę, nie mój czcigodny przyjaciel z bazaru?

Kala Rama skinął uśmiechnięty dobrotliwie i ironicznie zarazem. Zauważył już, że profesor ma zwyczaj nazywać przyjacielem każdego, z kim zamienił kilka słów. Powodem tego było, że Karol Eichstädt przypuszczał u każdego, z góry, przez naiwne *tat tvam asi* \*) to samo pełne życzliwości usposobienie, które było jego cechą. Wobec smutnych stosunków tego świata, musiały ciągle następować nieporozumienia, jak i tu z „przyjacielem Mool Royem.” Najśmieszniejsze

\*) *Tat tvam asi* (to jesteś ty) „wielkie słowa“ Hindusów wyrażające zasadniczą identyczność wszystkich żywych istot.

było atoli, że uczony znał tak dobrze otaczający go świat... teoretycznie, ... że mógłby wygłosić na ten temat wspaniały odczyt, szpikowany cytatami „najmędrszych ludzi wszystkich czasów.“

Z tego to powodu śmiał się minister.

— Więc i pan kupowałeś u niego? — zauważył niedbałym tonem, kontrastującym wielce z gorączkowym pytaniem profesora i dodał: — Tak, miał on najlepsze musliny. Ten, którym sobie owinąłem głowę, wzięty został również u niego i można się nim pochłubić. Ale już mi nie sprzeda nic... Memsahib Amanda... chciała pani wiedzieć, czego się dopuścił Mool Roy? Uprawiał *thagi* przez całe życie i dziś jeszcze, po raz ostatni to uczynił.

Amanda zbladła, a profesor skoczył, jakby go ukąsił szerszeń.

— Ekscelencjo! — zawołał — Na Boga! Nie twierdzi pan chyba, by człowiek ten był w stosunkach z potworami, których zbrodnie zapełniają obecnie wszystkie dzienniki!

— O, twierdzenie moje sięga znacznie dalej...

— Niepodobieństwo, ekscelencjo! Rzecz musi polegać na nieporozumieniu! Mool Roy, to, jak mi mówiono, jeden z najbogatszych ludzi w mieście!

— Był nim w istocie. Ale musiałbym się wielce mylić, gdyby bogactwo swe czerpał z towarów własnych, nie zaś z cudzych, a podczas jego ciągłych podróży kupieckich, które zdawna miałem w podejrzeniu, księżycowe noce musiały przynosić największe zyski.

— Nie mogę uwierzyć, ekscelencjo! — protestował profesor — Zaszła na pewno omyłka co do osoby. Wczoraj jeszcze byłem z Amandą i ayach w bazarze po różne rzeczy, potrzebne na jutrzejszą uroczystość.

Mool Roy poczęstował nas sorbetem i miałem z nim długą rozmowę o najgłębszych kwestjach filozofii indyjskiej. Żał mi, coprawda, wielce, że Mool Roy, podobnie jak tyłu współczesnych Hindusów, nie wyznaje wysoce idealistycznych poglądów Sankary i podziela popularne zapatrywania teistyczne oraz posiada dość prostackie wyobrażenie ludowe o wędrówce dusz, mimo wszystko jednak jest to człowiek wielce wykształcony, a nawet uczony, powiedziałbym też głęboko religijny i zna Wedy...

— Niewątpliwie był takim, drogi profesorze sahibie, i cieszy mnie, że się panu udało na czas jeszcze przeprowadzić tak głęboką rozmowę, z tak wybitnym thagiem. Zostanie to panu zapewne na całe życie interesującym wspomnieniem.

Profesor westchnął głęboko i skulił się. Słowa indyjskiego przyjaciela były zbyt ściśle, by dopuszczać wątpliwości i teraz to dopiero poznał całą doniosłość powiedzenia Kala Ramy, że kraj hinduski, który wchłonał tyle krwi czarnej, jest dlań zamkniętą księgą. Miast pięknego, literackiego zestawienia rozmowy, toczonej z Mool Royem, i dzisiejszego zdarzenia, dostrzegł zgoła inne, realne, bardzo drażliwe, zgoła niemożliwe do użycia. Kontrast był stanowczo zbyt drastyczny.

Zacny profesor zafrasował się, jak to czyni każdy autor, w chwili, gdy najgłębsze jego pomysły brutalizm faktów prześciga i zbija z drogi.

Zgoła inne myśli oładnęły Amandę.

Ni na chwilę nie wątpiła, że istnieje ścisły związek pomiędzy przygodą Edmunda w górach, a ostatniem zdarzeniem. Nie rozumiała oczywiście sprawozdania sekretarza, ale z ruchów rąk, którymi wskazywał ku

górom, poznała wyraźnie, że tam szukano z pomocą psa śladów thaga, który zgubił romał i że znaleziono w istocie. Nie czuła litości dla potwora, który chciał zadusić skrytobójczo jej ukochanego i miał niezawodnie tuziny morderstw na sumieniu. Mimo to jednak krążyła koło niego wciąż myślą. Wyrażenie Kala Ramy: — Zwycięstwo matki Kali nie zostanie jednak zniszczone przez tego jej czciciela! — oraz spokojne słowa: — Już mi nie sprzeda nic... — dostatecznie wyraźnie określały los schwytanego thaga.

Amanda знаła na tyle Indje, że wiedziała, iż prędko pójdzie wszystko. Nie będzie tu obrońcy, któryby przedstawiał winnego jako ofiarę manji religijnej i obciążenia dziedzicznego. Niewiele było miejsca dla fantazji w resztkę doczesnego żywota Mool Roya.

Prawdopodobnie to gwałtowne zaciśnięcie perspektywy, wspólnie z oświadczeniem ojca, że Mool Roy hołduje naiwnym, ludowym poglądom na wędrówkę dusz, skłoniło Amandę do zapytania, czy wedle nauki buddystów człowiek taki odrodzi się w postaci dzikiego, krwiożerczego zwierzęcia, zaś Garuda (śpiący właśnie na jej kolanach, który na dźwięk swego imienia warknął zcicha) może przyjdzie na świat jako dzielny obrońca ojczyzny.

— Tak wprost nie uczą, memsahib, — odparł Kala Rama z poważnym uśmiechem — ale nie tylko buddyści, jeno wszyscy Hindusi wierzyli od niepamiętnych czasów, że śmierć każdej istoty jest to jeno przejście w nowe życie, a rodzaj tego życia zależy wyłącznie od rodzaju życia dotychczasowego. Wszyscy jesteśmy tacy, jak na to zasługujemy, a każda istota zajmuje miejsce, na którym sama stanęła.

— Wypowiada to niezrównanie prastara upani-  
szada Brihadaranjakam — wtrącił profesor — Wedle tego  
co czyni, wedle tego jak żyje, wedle tego urodzony  
będzie. Kto pełnił dobre czyny, będzie narodzony  
jako dobry, kto złe, jako zły. Wedle wiedzy swej  
czyni, a wedle czynów dzieje mu się. Podobnie prze-  
piękna jest przypowieść o gąsienicy. Jak gąsienica,  
doszedłszy do końca liścia, zaczyna drugi od szypułki  
i przenosi się sama nań, podobnie czyni dusza, otrzą-  
snąwszy ciało i zbywszy przelotnie niewiedzy, chwytą  
nowy początek rzeczy i przenosi się nań!

Nagle zjawienie się aksjomatu indyjskiej filo-  
zofji religijnej zbudziło indologa w sposób zbawienny  
z ponurych wstrząsań autorskich. Z zapalem jał  
wykładać o metempsychozie. Od Hindusów prze-  
szedł na Pitagorejczyków i Platoników, stąd na Traków  
i druidów, złożył przelotną wizytę Eddzie, przeskoczył  
do murzynów nowogwinejskich i przez Polinezję wró-  
cił do Indyj. Tu dotknął zlekka wątpliwych śladów  
w Rigwedzie, przebiegł pędem dziewiczy ostęp bra-  
man, zatonął w subtelnej dystynkcji Sankary po-  
między wiedzą exo- a esoteryczną i jał balansować  
na ostrzu buddystycznej scholastyki. Że jednak w tym  
punkcie wykład przemienił się w dysputę z Kala Ramą,  
przeto poleciał prędko do Niemiec, gdzie nie było  
obawy przeszkód. Zaczny profesor miał tę, ludzką  
zresztą wadę, że pasjami lubił słuchać własnego głosu.  
Zmuszony podczas pełnej przygód wycieczki do mil-  
czenia, wynagradzał to sobie teraz potrochu.

— Przychodzi mi właśnie na myśl, że idee te  
nie powstają w umysłach fantastów w guście np. Jean  
Paula, dla któregoby odpowiadały, ale przeciwnie, w u-  
mysłach trzeźwych i krytycznych. I tak zbudował

nasz wspaniały Lessing na tej zasadzie całe swe dzieło p. t.: „Wychowanie rodzaju ludzkiego.“ Podobnie ścisły, trzeźwy Lichtenberg nie może się wyzbyć myśli, że żył już raz na świecie i włącza to w swój idealistyczny system. Coprawda, arcykrytyk Kant, tak przesadnie ostrożny, jeśli idzie o hipotezy, nie włączył tej idei w swoją syntezę wiedzy, ale synteza ta zakłada właśnie z góry ową ideję. To jeno ujęcie myśli o życiu pośmiertnym, z pośród wszystkich odpowiada jego rozróżnieniu pomiędzy charakterem pojęciowym, a empirycznym, a trudnoby chyba zrozumieć, czemu taki, pozaczasowy charakter pojęciowy miałby raz jeden tylko jawić się na ziemi, skoro znajduje oczywiście zawsze warunki po temu.

Barka mknęła wzdłuż góry zamkowej, której czerwone ściany o kilka węzłów oddalone, tak stromo sterczały z wody, że Amanda nie mogła wyjść z podziwu, iż Mool Roy spodziewał się tu wylądować. Cień góry leżał czarno na wodzie, niby metalowej płycie, a że zasłaniał jadącym księżyc, przeto rozjarzyły im się tem więcej gwiazdy, co dostrzegł teraz nawet krótkowzroczny, ale zato pełen entuzjazmu profesor. Mnóstwo drobniejszych gwiazd słońca księżyc blaskiem, ale gorzały zato tem jaskrawiej większe, i sina łąka nieba zasypana była złoto-srebrnym kwieciami.

— Ile razy spojrzę na niebo, — zawołał profesor — zawsze żał mi, że go nie widział nasz Kant. Wystarczył mu blebszy dużo firmament Królewca, by stworzyć owo przepyszne zdanie na końcu „Kritik der praktischen Vernunft.“ Znasz je, Amando, oczywiście, gdyż słyszałaś nieraz: Dwie rzeczy przepelniają zwłaszcza cię i podziwem, tem większym, im częściej się je rozważa, mianowicie gwiazdziste niebo

nad nami i prawo moralne w duszach naszych! — Dodać możemy z naszego stanowiska, że obie te rzeczy to jeno zewnętrzna i wewnętrzna strona jednej i tej samej. Mechaniczny porządek fizycznego świata, imponujący nam na niebie, musi być w gruncie identyczny z prawem moralnem. Wy Hindusi określicie działalność tego prawa moralnego nie, jak my, jurystycznie, jako wyrok boskiego sędziego, ale naturalistycznie, to jest jako ślepo, a jasnowidząco jednocześnie pełniące się prawo natury. Pod „świętem mianem“ adrastei „nieunikalnej“ uznaje Plotyn tę samą, ścisłą sprawiedliwość, którą wy, Hindusi ściślej jeszcze i trafniej określicie jako „karmę“, to znaczy poprostu sam czyn. Czcigodny mój przyjaciel zajmuje wysokie stanowisko swoje, regenta szlchetnego państwa i ludu, nie bardziej dowolnie i przypadkowo, niż swe stanowisko na niebie tamta wielka gwiazda, zda się planeta Brihaspati, czyli po naszymu Jowisz.

— Tak jest — zgodził się Kala Rama — A wasi astronomowie twierdzą, że mu towarzyszy ośm księżyców. Nieraz, chodząc po moim płaskim dachu, rozmyślałem jak jasne muszą być jowiszowe noce.

— Wtrącę tu nader odpowiednią uwagę, eksce-lencjo! Kant powiedział: — Któż wie, czy te księżyce Jowisza nie będą nam kiedyś przyświecać? — I oto mamy już u niego wędrówkę dusz. Obojętne jest miejsce odrodzenia, a także wy Hindusi głosicie o różnych, coraz to świetniejszych sferach nieba, co zupełnie odpowiada poglądom Kanta. Na zasadzie ważkich dowodów sądzi on, że w miarę odległości od słońc materja wszechświatowa ciał niebieskich jest coraz rzadsza i istoty je ludniące coraz bardziej uduchowione. Tak dojdziemy do wielkiej doskona-

łości. Ale i te wspaniałe widoki nie starczą duchowi giganta, to też odwraca się wkońcu od nich i, przebijając się niejako przez cały świat zjawisk, otwiera przed nami podwoje królestwa zgoła innego, bez przestrzeni i czasu, które nosimy w sobie.

— Samsara i nirwana! — powiedział Kala Rama.

— Słusznie, czcigodny przyjacielu! Jest tu paralela zupełna.

— Wracamy do tego, na cośmy się już raz zgodzili, drogi profesorze, mianowicie, że światłość wschodu i zachodu zaczyna się łączyć. To com usłyszał jest tem ciekawsze, że wątpię, by nasza nauka hinduska oddziałać mogła na tego filozofa, którego nazwisko wcale nie jest dlań odpowiednie.\*)

— Stwierdzono, że nie oddziałała, ekscelencjo! Za czasów Kanta Europa nie wiedziała nic niemal o Indjach prawdziwych i właściwej ich fizjonomji. Są to więc dzieła intuicji, wyłonione z głębi ludzkiego ducha, dobywające się samorzutnie w różnych miejscach i czasach.

Ananda zauważyła z niejakim rozczarowaniem, że rozmowa odlatuje coraz bardziej w przestrzeń, a nawet zaświaty, zaś temat pierwotny, tak interesujący, gotów zaginać. Korzystając z pauzy, podkreśliła, że przy całym uroku nauki o reinkarnacji jedno nie zaspokaja jej pragnień, mianowicie niemożność przenoszenia wspomnień z życia w życie, coby wiązało wszystkie egzystencje w zespół osobniczy.

— Nie pierwszą to, zda mi się, drogie dziecko, jesteś osobą, co podnosi ten zarzut. Nie było prze-

---

\*) *Cant* znaczy — obłuda, zwłaszcza kościelna. Gra słów jest tu tem zrozumialsza, że nazwisko Kanta pisano zrazu, jako szkockie przez *c*.



ciwnie nikogo, ktoby go nie podnosił — odpowiedział ojciec — a jednak mędrzec prawdziwy powinienby go pominąć. Nie wiadomo, czy świadomość taka sprzyjałaby zadaniom życiowym człowieka, a nawet zdaje mi się, nie potrzeba wielkiego rozumu by pojąć, że w wysokim stopniu otamowywałyby naszą wolną wolę i odbierałaby nam świeżość i bezpośredniość, tak niezbędne dla życia, co się zowie.

— Być może, że tak jest, atoli bez tego mostu wspomnień trudno mi jakoś uznać się za tę samą osobę.

— Droga Amando! — rzekł z pewną niecierpliwością uczony, który nie znosił, by rozmowa zawracała do spraw już załatwionych. — Jest to fałszywa ostateczność jeśli się powiada: jestem inną osobą, a równie fałszywą ostatecznością jest mówić: jestem tą samą osobą!... taką dał odpowiedzieć Budda, pytającym go o to.

Amanda wstrząsnęła głową, na znak, że jej to nie zaspakaja.

— Przyznajmyż córce pańskiej, że problem identyczności osobistej to rzecz nader trudna i zawiślana! — rzekł z uśmiechem Kala Rama — Przytem, w tem nawet życiu nie łatwo określić, na czem polega identyczność osobnicza... Oswoiliśmy się z nią do tego stopnia, że pytanie o nią wydaje się zrazu całkiem zbyteczne. Im jednak głębiej schodzimy, tem większe wstają trudności. Ciało nasze zmienia się ustawicznie, duch również. Pod jakim względem starzec jest tym samym, którym był jako dziecko? Chce się pani, memsahib, trzymać wspomnień, niby silnego sznura, na który jest wszystko nanizane. Ileż atoli szczegółów życia zatraciła pani całkiem, a przecież trudno zaprzeczyć, że były to przeżycia pani.

— Tylko wówczas, gdybyś mi je pan... przypomniał...! — odparła Amanda, przechylając na bok głowę i spoglądając na ministra przekornie.

Obaj mężczyźni roześmiali się zcicha, uradowani bystrem opanowaniem dowodu przez mądrą dziewczynę.

— Bardzo chytrze odpowiedziałas, Amando! — rzekł ojciec — Ale nie wyśliźniesz się nam. Przypuśćmy, że dwu godnych pełnego zaufania świadków znalazłoby, iż uczyniłaś coś, czego niema już w twej pamięci, to musiałabyś zgodzić się, iż jesteś tą samą osobą.

— Byłabym zmuszona!

— Córka pańska uległa dowodowi, ale nie została przekonana, więc cóż nam z tego, profesorze sahibie. Sądzę, lepiej zgódźmy się na jej żądanie. W zręcznym żarciku swoim wyraziłaś pani, memsahib, że choćby przeżyty szczegół życia przepadł dla pamięci, to zachowuje zdolność odzycia dla niej i wejścia w skład łańcucha. Inaczej identyczność nie miałaby żadnego znaczenia. Któż zaręczy nam jednak, czy stać się to nie może równie dobrze z całym minionym życiem, całkiem z pozoru zapomnianem? Urodzenie zabrało nam wspomnienie o tem, zresztą z korzyścią życia bieżącego, jak słusznie podkreślił ojciec... Czemużby wobec tego śmierć nie miała nam przywrócić tego wspomnienia?

— Przepyszna myśl! — zawołał profesor — Byłoby to właśnie owo „przelotne zrzucenie niewiedzy“, o czem mówi upaniszada, owego poznania zmysłowego, w miejsce którego wstąpiłaby świadomość wyższego typu. Podobnie ktoś, budzący się ze snu, uświadamia sobie swe istotne życie, nikle wspominając jednocześnie inne, poprzednie sprawy, czyli sen. To właśnie musi

stanowić ową „niespodziankę i zaskoczenie,“ które wedle starego Heraklita czeka człowieka po śmierci.

— Ciesz się mnie, profesorze, żeś pan tej myśli nie odrzucił jako zbyt fantastycznej! — powiedział Kala Rama — Jako Hindus nie mogę zatrzymać się przy niej i przystoi mi dodać, że z pośród wszystkich ludów kultury, my, Hindusi, sięgnęliśmy najgłębiej w tę kwestję, a także poczyniliśmy doświadczenia na tem polu. Od niepamiętnych czasów wierzyliśmy i wiedzieli, że pewne wybitne jednostki, o rozwiniętych w pełni siłach duchowych, zwłaszcza święci, pamiętają swój żywot poprzedni, lub cały szereg tych żywotów.

— Czy spotkałeś pan, ekscelencjo, takiego człowieka? Przepraszam za pytanie!

Amanda pożałowała tego pytania, którego stłumić nie mogła, a Kala Rama zawahał się z odpowiedzią.

— Tak, jednego takiego człowieka znam!

— To jego guru, który ze mną mówił i wezwał go do ruin przed trzecim skowytom szakala!... — pomyślała Amanda.

Profesor myślał też o tym tajemniczym człowieku, przesyłającym pozdrowienie. Byle jeno nie był to jakiś oszust, jogis, chcący zażartować z Kala Ramy.

— Lepiej jednak pomińmy takie wyjątkowe fakty — ciągnął dalej Kala Rama — a możemy sobie na to pozwolić, gdyż i w życiu normalnem nie brak nam mglistych wspomnień o rzeczach poprzedzających. Czyli tylko nasza hinduska poezja przedstawia nagły rozbłysk miłości chłopaka ku dziewczynie, przedtem nieznannej rzekomo? Wszelka poezja określa to jako odnalezienie. A czyż nie wie dzie od tego heroicznego punktu szczytowego mnóstwo stopni do wszystkich, naszych sympatyj i antypatyj? To samo przebija

w nieodpornych popędach, w uzdolnieniach, a zwłaszcza w twórczości genialnej. Pójdę dalej i powiem, że każdy człowiek, gdyby jeno zadał sobie trud pilnego szukania, odkryłby mnóstwo drobnych właściwości i odrębności, które posiada wyłącznie, a które powracają ciągle, dalej znalazłby sięgające dzieciństwa obrazy i wspomnienia, oraz odruchy, nie mogące mieć wszystkie razem zaczątków w bieżącym życiu.

— Sądzę, czcigodny przyjacielu, — rzekł profesor — że twierdzenie to jest nieco zbyt śmiałe, przynajmniej w części końcowej, gdzie ekscelencja wspominasz wprost o wspomnieniach wzrokowych, nie powstałych z wrażeń po urodzeniu. Ja przynajmniej wyznaję, nie mogę odkryć w sobie śladów takiego pobytu na ziemi.

— Nie? Doprawdy nie? — spytał Kala Rama z uśmiechem — Proszę, spójrz pan jeno dobrze w siebie!

— I owszem, oddam się autokontemplacji.

— Tylko nie zapomnij, profesorze, podwinąć nóg i oddychać głęboko i regularnie! — zażartował Kala Rama.

— Wszystko się stanie wedle starej recepty jogisów: Wybierz miejsce bez dźwięku, przytem siądź jak należy, ściągnij członki niby żółw, napełń zwolna ciało oddechem, aż do serca i zwolna wydechnij go z powrotem, a w ten sposób najlepiej ci będzie spozierać w siebie.

— Ja nie potrzebuję tak kłopotliwych przygotowań! — powiedziała Amanda — Słowa waszej ekscelencji budzą we mnie jeden z takich obrazów wzrokowych, o którym dawno nie myślałam. Siega najmłodszych lat, a wydaje mi się, jakbym go zawsze miała w sobie. Nie umiałam sobie jednak nigdy wyjaśnić,

jak powstał. Czasem sądziłam, że go wysniła, ale trudno odgadnąć i tak, skądby się taka fantazja wzięła we śnie dziecka?

— Nie mówiłaś mi o tem nigdy? Czy może zapomniałem?

— O nie, ojcie, nie wspominałam ci nigdy, nie rozmawiałam zresztą o tem z nikim dotąd, a to dlatego, że chociaż jak dawno pamiętam, było mi to istotnem przeżyciem, to z drugiej strony posiada cechy snu, a raczej czegoś stanowczo nierzeczywistego.

— Zaciekawiasz mnie wielce! — rzekł ojciec.

Kala Rama milczał, ale pochylony nieco spoglądał z taką uwagą i skupieniem, że niezawodnie zainteresowanie jego nie było mniejsze od ciekawości profesora.

Amanda sponsowała. Dwa domysłiki jej oczu zbliżyły się, a na czole powstały zmarszczki! Widocznie znaczną musiała pokonać trudność, zanim zdołała pochwycić mgliste wspomnienie i znaleźć w dodatku słowa na jego określenie.

— Stoję... czy siedzę... nie wiem dobrze, przed dziwną kopułą, niezbyt wielką, zda się, ale piękną bardzo. Dolna część z kamienia... widzę parę schodów i w tej części jest wnęk ze złocistą, siedzącą figurą. Ale siedzi inaczej niż ludzie, których widywałam siedząco. Teraz powiedziałabym, że jest to posążek Bramy, albo Buddy. Kopuła, cała złota, błyszczy jak słońce, bo światło słońca splywa z ciemno-błękitnego nieba. Pamiętam, że ilem razy to wspomniała, dziwiłam się, jak słońce może być tak jaskrawe. Teraz wiem, że to możliwe. Jest to plac otwarty, ale za kopułą stoją wysokie drzewa. Nie drgnie gałązka, cisza zupełna, bezgłośna, uroczysta... takie dziwne jakieś oczekiwanie wszędzie... ale tego już opisać nie jestem w stanie!

— I już koniec? — spytał ojciec.

— Tak, koniec.

— Zda mi się nawet, dosyć! — zauważył Kala Rama, kiwając w zamyśleniu głową.

— Dodam jeszcze — powiedziała płochliwie — że na wszystkim był jakiś ton barwny, niemożliwy do oddania słowami, coś odrębnego zupełnie, na co nie patrzyłam nigdy, temi oto, mojemu oczyma.

— Chyba we śnie! — zakończył ojciec — Jestem w tym wypadku za hipotezą snu. Jako malec łąziłaś ciągle po mojej pracowni i wtykałaś nos we wszystkie książki. Musiałaś tedy w jakimś ilustrowanym dziele ujrzeć stupę buddyjską, bo budowla opisana przez ciebie to stupa, a sen zmienił ten obraz wzrokowy w przeżycie.

Tłumaczenie było wcale prawdopodobne, ale nie zadowoliło ani Amandy, ani Kala Ramy.

Milczeli oboje.

Nie byli już teraz na jeziorze. Statek skręcił na północnym załomie góry zamkowej, w głęboką zatokę, odpowiadającą położeniem zatoce, nad którą leżało miasto. Ograniczona porośniętymi dzanglami brzegami, po trzeciej stronie miała ta zatoka za granicę górę zamkową, spadającą terasami. Były to terasy parkowe, słynne w całych Indjach, a Kala Rama zwrócił na nie uwagę gości. Nie znali ich jeszcze i dopiero jutrzejszy wieczór miał ukazać oczom Europejczyków te cuda istne starohinduskiej architektury ogrodowej i to w okolicznościach nader pomyślnych, bo ożywione urokami festynu orjentalnego.

Na końcu zatoki, skała wstawała nagle z gęstwy; jak słoń idący do kąpieli, poza nią leżała zatoka najgłębsza, stworzona zdało się przez deltowate ujście

rzeki. Pośród sieci żyłek wodnych sterczały z krzaków rozpadłe, ochwaszczone budowle. Pniakowate słupy wznosiły się w powietrze, a pomiędzy filigranową, ruchliwą koronką drzew spoczywała na ziemi ciężka, szeroka kopuła.

Barka przybiła do wygodnej przystani, utworzonej przez kilka stojących w wodzie kolumn, oraz kawał posadzki marmurowej.

Bogato ornamentowane, a nawet przeładowane rzeźbą słupy marmurowe stały nieregularnie rozrzucone, lub leżały na taflach posadzki, jakby para bogów zabawiała się tu, w zamierzchłych czasach, arcabami i wstała niezadowolona od gry.

Kala Rama przeprowadził gości spiesznie, niecierpliwie nieledwo przez tę ruinę, nie zwracając wcale uwagi na indologa, który to chciał obejrzeć bliżej jakąś piękną boginię, to znów baczniej przyjrzeć się jakiemuś kapitelowi, u stóp jego leżącemu. Powtarzał: — Potem, potem, drogi profesorze! — i szedł naprzód. Wkońcu przekroczyli dość dobrze zachowany przedsionek i wyszli pomiędzy ostatnimi jego kolumnami, po kilku schodach, na otwarty plac.

Otaczały go wysokie drzewa, w nieregularnych odstępach rosnące, oraz niskie krzaki. O sto ledwo kroków widniała budowla jakaś, przypominająca świątynię o prostych nader linjach. Na niskim, kwadratowym cokole schodów stał cylindryczny budynek, pościęty poziomo, bogato ornamentowanymi warstwami i zwieńczony precudnie zarysowaną kopułą. Mimo, że księżyc świecił jasno, z tej odległości widoczne, prastare dzieło sztuki nie nosiło śladów zniszczenia. Tylko przy wnękach pośrodku budynku rozpadły się częściowo kamienie i świeciły szczerbato w kilku miejscach.

— Zachwycające! — powiedział indolog — Teraz rozumiem, dlaczego, o czcigodny przyjacielu i protektorze, ciągnąłeś nas tak szybko przez ruiny. Ruin nie brak w Indjach, zniszczonych kolumnad jest tu kilka tysięcy... ale taka stupa! Tak, Amando, właśnie tę świątynię opisałeś nam. Jest nawet wnęk, wprawdzie pusty i dziwne żeś go odgadła. Nie pamiętam, bym widział coś podobnego na rysunku stupy. Jest to naprawdę perła! Cóż za profilowanie, jakież wdzięk linji. To coś jedyne w swoim rodzaju.

Pędzony archeologicznym zapalem, pospieszył profesor w kierunku stupy.

Towarzysze jego zostali chwilę na miejscu.

Amanda stała bez ruchu, dysząc ciężko, z zamkniętymi oczyma, jakby miała przed sobą widmo. Tak trwała w bezruchu długo i dopiero po odejściu ojca, napały bezwiednie dotknęła ramienia Kala Ramy.

Hindus patrzył już na nią bacznie i uśmiechał się łagodnie, a porozumiewawczo.

— Tak, memsahib, — powiedział — Ojciec pani ma rację, to jest właśnie stupa przez panią opisana.

Amanda potwierdziła skinieniem.

Otrzymała już odpowiedź na pytanie, które sobie, pełna przeczuc, zadała, w chwili wyjazdu na nocną wycieczkę.

Kamienie przemówiły.



---

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

### „Wielki brat.“

**W**wielkim był kłopotcie Artur, gdy wybiegł za Edmundem, wołając głośno. Nie wiedział w jakim ten poszedł kierunku. *The compounds* \*) nie zdradziły niczego. Nazwany tak, po anglo-indyjsku, ogród był cichy, milczący, tajemniczy. Artur pomyślał, że kuzyn pobiegł w stronę portu przy wzgórzu i kiosku. Biegąc tam, zauważył jednak niezwykle ruch pośród gęstwy bambusów po lewej stronie, oddalonych znacznie, których kiście wstrząsało coś gwałtownie. Niewiele myśląc, pobiegł tam. Edmund ruszył na wyprawę tajemną, czołno wysłał arcykapłan Kryszny, musiało tedy przybić w miejscu skrytem. Bogowie i kapłani lubią tajemnicę!

Ta część ogrodu była mu zgoła nieznana. Stały tu chaty służby, więc jak przystało Anglikowi, czującym wzdrganie do wszystkiego co tuziemcze... z wyjątkiem lupu myśliwskiego... Artur nie raczył nigdy zajrzeć do tej minjaturowej wioski.

Dopadł bambusów, zobaczył, że jedna cienka witka jest wdeptana w ziemię, rzucił się zadyszany w wąską ścieżynę, która po kilku krokach zaczęła opadać stromo, i dostrzegł błyskotanie wody, poprzez za-

---

\*) *The compounds* — miejsce ogrodzone, wyrażenie anglo-indyjskie na określenie ogrodu.

rośla. Zdziwiony, że jezioro tak blisko, wypadł na wolną przestrzeń i znalazł się nad małą zatoką. Tuż przed nim stało u brzegu czółno, w tej chwili właśnie mające odbić od brzegu. Dał potężnego susa i znalazł się w niem, poczem siadł, ciężko dysząc, naprzeciw Edmunda, który niezadowolonym raczej, niż powitalnym spojrzeniem stwierdził obecność swego sekretarza. Artur nie spodziewał się zresztą gorętszego przyjęcia.

Czterej, nadzy aż do bioder wiosłarze stali w przedniej części statku i pędzili go bezgłośnie, a silnymi uderzeniami wiosel. Nie mogli oni chyba posiadać znajomości języków obcych, ale wysłał ich arcykapłan, przeto obaj Anglicy instynktownie czuli potrzebę ostrożności i nie mówili o sprawach piekących, że zaś o czem innem mówić nie mogli, przeto milczeli.

Siedzieli pogrążeni w myślach, a czółno sunęło lotem strzały wskos jeziora, z wyraźnym zamiarem dostania się co prędzej w ochronny krąg cienia góry zamkowej. Nie poprzestając na tem, dotarło do samej niemal skały, potem zaś, obróciwszy nos ku północy, pospieszyło wzdłuż piaskowcowego muru, który zwieszał się nad jadącymi czasem, niby olbrzymi wykusz nad ulicą.

Edmund spozierał teraz drwiąco na kuzyna, składał usta i gwizdał znaną piosenkę:

*Now we'r in for it, damme what folly boys.  
To be downhearted, yo ho!*

Wkońcu znudzeni milczeniem zaczęli rozmawiać o kwestjach bieżących. Rozstrząsali pytanie, żali prawdą jest, iż pułk sepojów w Nuserabadzie zbuntował się, wystrzelał oficerów i przeszedł do wrogiego radży Judporu. Edmund oświadczył, że choćby to

nawet było bajką, to niebawem wybuchnie gdzieindziej powstanie, radował się tem i prorokował rychły upadek panowania angielskiego w Indjach. Gdy się z tego powodu dostatecznie poróżnili, wyszła na tapet kwestja, czy księżniczka Wiktorja obejmie kiedyś tron i czy ten fakt będzie błogosławieństwem Anglii. Artur bronił po rycersku tego punktu widzenia w nadziei, że Edmund, nie mający wogóle za nic kobiet, oświadczy się przeciw temu objęciu tronu. Ale cynicznie usposobiony kuzynek doszedł jeno do wniosku, że cała różnica polegać będzie w takim razie na zmianie słów hymnu narodowego. Miał: *God save the king*, będzie się śpiewało: *God save the queen*. Zresztą jedno i drugie śpiewają fałszywie, zwłaszcza Szkoci.

Ta strzała partowska zdruzgotała patrijotyczny zapal Artura, który był nader lichym śpiewakiem, zaś Edmund zakończył rozmowę, wracając do własnej produkcji wokalne:

*Now we' r in for it...!*

Znajdowali się w istocie *in for it*, a cel ich jazdy nie mógł być już odległy. Okrążywszy górę zamkową, skręcili w zatokę północną. I tu jechali skryci w cień wysokiego brzegu. Nad nimi rosła srebrna poświata, rokując bliski wschód księżyca. Koniec zatoki widniał już poprzez gałęzie drzew, na niebie rysowały się kolumny i ruiny świątyni i migotała sieć żyłek wodnych, wśród ciemnych krzaków.

Edmund przestał gwizdać.

Czólno minęło na prawo ruiny i, nie korzystając z wygodnej przystani pośród kolumn, pomknęło wąską drogą wodną, pośród dzungli i, kryjąc się w gęstwą roślinności, stanęło po kilku minutach. Obaj Anglicy wyskoczyli i ruszyli w głąb. Edmund kroczył przodem, aż do

wolnej polanki, tak oddalonej od czółna, że nikt z załogi nie mógł słyszeć rozmowy.

Tu zwrócił się z pytającą miną do kuzyna, który zaraz zaczął:

— Nie mogłem ci przeszkodzić wejść do czółna, mogłem jeno wskoczyć sam, potem należało milczeć, dopóki otaczali nas pacholcy bramińscy.

— Dobrześ uczynił, milcząc. Ale cóż mi masz do powiedzenia tu, gdzie mówiąc otwarcie, nie potrzebuję cię wcale?

— Potrzebujesz mnie teraz właśnie, Edmundzie, i musisz wysłuchać! Powiedziałem ci już, że po rozmowie zwłaszcza z tym Hindusem gra twoja tu skończona!

Edmund zaśmiał się.

— Czy sądzisz, żem wypaplał swą tajemnicę?

— Słowami... oczywiście nie. Ale choć zamknięta w głębi serca, widoczną dlań tak była, jak robak w flaconie z kwiatami.

— Dlań... powiadasz? Któżto? Czy znasz go? Artur spuścił oczy i potrząsnął głową.

— Czy go znam? — rzekł dziwnie pokornie.

Edmund tupnął niecierpliwie.

— Nie rozdziobuj mych słów! Czy wiesz coś przynajmniej o tym człowieku? Któż on jest?

— Zwiemy go „wielkim bratem.“

— Któżto... my? Pewnie towarzystwo okultystyczne w Kalkucie, gdzie mnie chciałeś wciągnąć? Artur potwierdził.

— Zaliczacie go do swych członków?

— O nie! To znaczy, jest to jeden z trzech adeptów, którzy byli łaskawi zostać naszymi mistrzami i raczą udzielać nam z krynicy niewyczerpanej wiedzy

swej tyle, ile jesteśmy w stanie pojąć, w obecnym punkcie rozwoju naszego.

Edmund doznał na te słowa silnego wrażenia. Milczał przez chwilę i patrzył zachmurzony przed się.

— Czyś pewny swego? Wszakże możesz się mylić! Czyś go często widywał?

— Dotąd nigdy. A i teraz nie wiem, czym go widział w cielesnej postaci.

— O ile mi się zdaje, był aż nadto cielesny! — zauważył Edmund.

Artur potrząsnął z powątpiewaniem głową.

— Nie powiem tak. Rzadko, bardzo rzadko opuszczają swą pustelnię ci wielcy adepci. Niema dla nich większej przykrości nad wychodzenie poza obrzeżony lodami pas tybetańskich szczytów Himalai i zstępowanie w niską atmosferę ludzkiego życia, przepojoną złością, magnetycznymi prądami. Dla celów obcowania z osobami wtajemniczonemi naszego świata, wystarczają im myśli, które przenoszą bez słowa, a które nie robią sobie nic z wszelkich ograniczeń przestrzennych. Często natomiast wydzielają z siebie ciało astralne, sobowtóra eterycznego, obdarzonego mową, wolą i rozumem i w tej postaci jawią się nam.

— Brzmi to nader mistycznie! Czyś go sam widział kiedy w tej postaci?

— O, niegodny tego jestem! Gdybym stał tak wysoko, bym zasługiwał na ową łaskę, nie mógłbym, zaprawdę, wplątywać się w twoje grzeszne przedsięwzięcie.

— Mówisz ciągle zagadkami. Jakżeś go więc mógł poznać?

— W naszej sali posiedzeń wisi jego portret. Nie został on sporządzony zapomocą pędzla i farb, ale

niejako wczarowany w papier... jakby magicznym sposobem odbicie jego zostało przymocowane do materjalnego podłoża. Adeptci znają dużo niedosiężnych nam sił przyrody i potrafią, podobnie jak rysy swoje, również i myśli osadzać, czyli precypitować. Nawet w zamknięte listy...

Słowa młodego Szkota były Edmundowi, jakby błyskawicą uświadomienia.

— Boże wielki! — zawołał — Ten napis w liście wuja Archibalda...! Tak, on go zamieścił, — dodał po chwili — sam uczynił aluzję do tego faktu.

— Widzisz tedy, że nic z twych planów!

— Tak sądzisz? Nie znasz mnie chyba.

— Wiem, coprawda, że jesteś szaleńczo zuchwały, ale nie pozbawiony zmysłów. Trzeba być warjatem, by stawać do walki z takim przeciwnikiem.

— A skądże wiesz wogóle, że to mój przeciwnik? W ślepotcie swej kwalifikujesz mój śmiały czyn jako „grzech“, a adept sam jest ci świętym z katechizmu. Mnie się zaś przedstawia jako mocarny człowiek, który, jak powiadają bramini, stoi poza złem i dobrem.

— To są sofizmaty! — odparł Artur żywo — Wiesz to sam, czujesz w głębi serca, żeś natrafił na przeciwnika.

— Ano może! — zawołał Edmund — A nawet tem lepiej! Oświadczam, że plan mój byłby mi jeszcze ponętniejszy, gdyby stanęli do walki ze mną wszyscy czarownicy Indyj i Tybetu. Piękna jest brzemienne burzą, tropikalna noc miłości hinduskiej, a piękniejszym jeszcze od niej dzień władania, z tiarą maharadży na czole. Ponad to wszystko, zaprawdę, wyżej stawiam ów półmrok tajemniczy, który mnie otacza magją niewysłowionych misterjów prastarych! Dlatego to na-

wet wierzę ci, że ów nieznajomy to adept najwyższej, tajemnej wiedzy... wierzę, bo tak chcę! Stanać do boju z taką potęgą, to coś niesłychanego... to coś dla mnie!

— Tracisz zmysły!

— O, słuch mam doskonały. I ty musisz słyszeć głosy? To rani ze swoją ayah, osobą równie usłużną, jak piastunka Julji. Dlatego też bywaj zdrow...

Artur chwycił go za rękaw.

— Czas jeszcze, Edmundzie! Otrzymałeś przestrożę jak rzadko kto w świecie. Niech sobie rani i jej piastunka robią głupstwa! Wracaj co prędzej do czółna i każ tym czterem drabom bramińskim, by cię odwieźli do domu całą siłą wiosel. Wówczas cała ta komedja skończy się sama przez się. Pojedziesz do Afganistanu...

— I poślubię twoją Amandę, potem zaś będę żył, jak nudny cymbał, za którego mnie, widzę, masz... Nie... nie, przeznaczenie moje jest inne!

Nie potrzebował się już wrywać. Na dźwięk imienia Amandy opadła ręka kuzyna, a Edmund znikł w gęstwie dżungli, spiesząc w kierunku, skąd dochodził szmer i pomruk wody.

---

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

### Pływająca lampa Lakszmi.

**A**rtur nie patrzył za nim. Wzruszył ramionami i siadł ciężko na obalonym pniu drzewa. Uczynił, co nakazywał obowiązek, ostrzegł kuzyna w sposób tak gorący, jak tylko mógł, zużył całą siłę wymowy... sumienie miał czyste. Teraz jednak, choćby mógł, nie wstrzymywałby już Edmunda.

Był nawet rad, że mu się to nie powiodło. Edmund pospieszył do Hinduski, ... niechże ją sobie tedy bierze. Ostatnie słowa przypomniały Arturowi nader groźnie ową przykrą sytuację, w której się znalazł, gdy Edmund zbyt gorąco wielbił powaby Amandy.

Owo przykre uczucie, ten strach przed współzawodnictwem Edmunda nie był zresztą świeżej daty. W czasach ostatnich, podczas pobytu tutaj, przycichł nieco, ale nękał go dotkliwie przez cały ciąg podróży rzeką, a nawet jeszcze w Kalkucie, mimo że Edmund nie uczynił nic, coby go usprawiedliwiało.

Zacny, młody Szkot uświadamiał sobie, że człowiek typu Edmunda może, a nawet musi robić wrażenie na młodej dziewczynie i podniecać jej fantazję. Oczywiście, gdyby miał pewność uczucia Amandy dla siebie, nicby sobie nie robił z wszystkich donżuańskich



zalet kuzyna. Jednak nietylko nie wiedział, czy posiadał serce ukochanej, ale znajdował się właśnie w stadium, kiedyto jeden uśmiech wybranki serca podnosi młodzieńca w niebo, lub chłodne spojrzenie jej w piekło graży. W takich okolicznościach, obecność niebezpiecznego dla kobiet mężczyzny jest czemś w rodzaju polatania osy nad otwartą raną. Udręczony kochanek wietrzy kielkującą skłonność dziewczyny dla rywala, tam nawet, gdzie jej wcale niema. W istocie zauważył Artur w zachowaniu Amandy niejedną szczegół, który brał za zainteresowanie się osobą Edmunda, ale jednocześnie żywił nadzieję, iż jest to jeno wytwór jego strachu i nic więcej.

Dlatego też z radością przyjął wieść, że kuzyn rzucił się na łeb na szyję w awanturkę miłosną z rani. Coprawda, rzecz ta pociągnęła i jego samego na bystre fale i to dalej, niż zrazu przypuszczał, ale z obecnego punktu widzenia rzeczy nie żałował tego. Na wypadek, gdyby w sercu Amandy tliło nawet dla awanturnika coś w rodzaju uczucia, to przygoda ta musiała jej otworzyć oczy. Jutro miało wyjść na jaw szalone przedsięwzięcie jego. Niewiadomo, czy się powiedzie... zapewne nie... w każdym jednak razie musiało spowodować przełom i to korzystny, jego własnej, miłosnej sprawy. Udział swój w tym potępienia godnym czynie ... uważał go teraz za wielce zły, a sądził, że i w oczach Amandy takim będzie... udział swój mógł doskonale usprawiedliwić względami miłości dla niej.

Postanowił tylko jedno, mianowicie, że nie przyjmie wcale jutro wyznaczonej sobie obrony Kala Ramy, natomiast przez cały wieczór nie odstąpi na krok Amandy. Uczuł, że ją to wyłącznie chronić winien.

Uspokojony nieco, a raczej podniesiony na duchu tem rozważaniem, zerwał się „syn kraju tysiąca jezior“ i, krocząc szybko przez leśną polanę, zanucił głośno i, jak to słusznie przewidział Edmund, całkiem fałszywie:

*Confound their politics!  
Frustrate their knawish tricks!  
God save the queen!*

Pod słowem queen... królowa... nie rozumiał, ani awanturniczej władczyni małego państewka hinduskiego, ani przyszłej, domniemanej królowej swego kraju, za którą stoczył niedawno bój, ale jedynie królowę własnego serca, której obronę postanowił podjąć teraz, rzucając wszelką politykę i pałacowe intryki.

Księżyc w pełni stał teraz nad czubami drzew, miotając złocistą poświatę. Artur poszedł bezwiednie w stronę jeziora, ale zatopiony w marzeniach i kółkany nadzieją, nie zważał dokąd zmierza.

Nagle stanął tuż pod ruinami.

Wkroczył pomiędzy najgęstsze kolumny, gdzie tu i owdzie widniały szczątki murów. Po chwili doleciał go z miejsca, okrytego nieprzeniknionym cieniem odgłos przypominający węszenie munga. Oczywiście, w takich zakątkach chętnie gnieźdzą się węże, ... ale skąd się wziął ichneumon? Zwierzątko wypelzło z ciemnego kąta na posadzkę marmurową, jasno oświeconą. Złotawy pas sierści przez pół ciała czynił je niezmiernie podobnem do Garudy. W istocie, był to Garuda! Zakomlił z radości, że spotkał znajomego, podskoczył doń parę razy, potem obszedł go wokół, podniósłszy ogon, i jął ocierać puchate futro o nogi, jak łaszący się kot.

Serce Artura zabiło, jak to czynić musi serce zakochanego, gdy pozna w czarowną noc księżycową, że... ona tu jest! Nie przyszło mu wcale do głowy, iż przyjdzie nader trudno wyjaśnić jej swą obecność tutaj, że wzbudzi podejrzenie w chwili, gdy go należało za wszelką cenę unikać, że jako spiskowiec powinien raczej niezwłocznie wracać do czółna i wariować wraz z czterema posiepakami bramińskimi, aż do powrotu swego pana i mistrza ze schadzki miłosnej. Nic podobnego nie pomyślał, wiedział tylko, że idzie ... do niej... i pozostało mu tyle jeno przytomności, by szukać drogi.

A drogę wskazywał już Garuda.

Szedł za ruchliwym stworzonkiem, mijając kolumny, i, wstąpiwszy na szerokie stopnie, ujrzał w odległości stu kroków kopułę świątyni, dostrzeżoną już przedtem z czółna. Usłyszał też głosy. Zobaczył również ludzi. Przodem szła... ona sama, za nią ojciec, na końcu zaś biało ubrany mężczyzna, Hindus... Kala Rama, we własnej osobie.

W chwilę potem stanął u boku ukochanej.

— Pan Steel! — zawołała — Co za niespodzianka! Skądżeś się pan tu wziął?

— Chciałem zwiedzić te ruiny... Trzeba na nie patrzeć przy księżycu, chcąc odnieść pełne wrażenie. Wczoraj wieczór, jak pani wie, nie mogłem, jutro festyn, a nie mogłem wytrzymać dłużej.

Nikt go nie dręczył przykreimi pytaniami, ale czuł, że patrzą nań jedne błyszczące oczy dość podejrzliwie. Tymczasem profesor jał się z nim droczyć. Twierdził, że „drogi przyjaciel“ wiedzie żywot awanturniczy, wczoraj polował nocą na węże, dziś zwiedza ruiny, a noc jutrzejszą ma już zajętą... ej... ej! Wytworzył sobie

zaraz własną hipotezę odnośnie do zamilowania młodego Szkota do ruin i to właśnie dzisiejszej nocy objawionego, a wcale rad był z rezultatu. Wszak sam był też młodym. Znamy to... niema złej drogi do swojej niebogi!

Artur czuł, że się czerwieni, to też niezwłocznie jął nucić hymn pochwalny ku czci prastarej ruiny. Okrągła budowla, oparta na trzech dość wysokich stopniach, zwieńczona była kulistą niemal kopułą. Całość miała około trzydziestu stóp wysokości. Dolną część budowli otaczał fryz z postaciami zwierząt i liści, przerywany dziś szerokimi lukami, a kopuła musiała też ongiś posiadać bogatą przyozdobę ornamentalną, jak o tem świadczyły resztki. Pośrodku widniało kilka nisz, jedna zaś z nich, pośrodku stopni, była większa od innych. Znajdowała się wprost schodów pałacu.

— Ta duża nisza, drogi przyjacielu, — zaczął profesor — mieściła, jak nam to właśnie powiedział ekscelencja, piękny brązowy posąg Buddy w postawie siedzącej, w innych zaś były umieszczone mniejsze posąжки buddystycznych świętych. Jakaż szkoda, że z nich nic nie zostało! Te szczątki bowiem, które oglądamy, świadczą wymownie o wielkim talencie rzeźbiarza. Niepojęte, że nawet posąg główny, wyobrażający Budę, mógł tak zniknąć bez śladu!

— Zawdzięczamy to niezawodnie przyjaciom pańskim, braminom! — rzekł Kala Rama — W istocie nieodżałowana szkoda tego posągu, bo miał być prawdziwym dziełem sztuki i pięknie musiał wyglądać w niszy. Budda przedstawiony był tu w postaci siedzącej pod figowcem. Srebrne gałęzie i liście drzewa stanowiły tło, a kwiaty, ułożone z klejnotów, zaścielały ziemię, której dotykał palcami ręki lewej.

Amanda potwierdziła skinieniem, jak gdyby słowa te przypomniały jej widzianą rzecz. Rzeczywiście uświadomiła sobie teraz, że posąg oglądany w niszy odpowiada dokładnie temu opisowi. Nie była jednak pewna, czy nie unosi jej przytem fantazja.

— Musiało to być coś istotnie czarującego! — zawołał profesor — Cóż za błogosławione czasy dla artysty, który mógł arcydzieło takie umieścić tutaj.

— To prawda! — rzekł Kala Rama — Był to czas piękny i dostojny, ale także czas wielkiej ruchliwości. Nietylko bowiem pracowano nad budową pałacu Ajatasattu, ale również w gaju zakonnim wznosił król jednocześnie nową, obszerną wiharę, czyli halę na zebrania. Była ona z drzewa tylko, ale posiadała bogate ornamenty. Ta grupa drzew mangowych, to podobno pozostałość z gaju zakonnim. Widzimy tedy, że obie budowle leżały blisko siebie. Artysta przychodził tu codziennie, pilnując i kierując robotami, a Amara towarzyszyła mu zawsze. W ten sposób książę Ajatasattu miał często sposobność widzieć ją i podziwiać, to też niebawem rozgorzał ku niej miłością.

— Czyż jednocześnie kochał też królowę? — spytała Amanda.

— Kochał ją też, choć w inny sposób! — odparł Kala Rama — W każdym razie stosunki ich nie uległy zmianie. Miłość owa zresztą, będąca już i tak występkiem, stała się potem jeszcze naganniejszą przeto, że Ajatasattu nie pozostał wiernym królowej, ale wkrótce zakochał się w innej. Chociaż dodać muszę, że książę udowodnił przez ten błąd swój, iż jest lepszym, niż się być wydaje. Jest to z pozoru sprzeczność, ale trudno.

— Rozumiem, zdaje mi się, co wasza ekscelencja ma na myśli! — powiedziała Amanda — Oto, Ajata-

sattu miał, przy całej swej dzikości i okrucieństwie, drugą, czystsza i jaśniejszą duszę, którą właśnie pokochał Amarę.

— Zupełna racja, memsahib! — odparł Kala Rama — Tak właśnie myślałem. Ale cóż państwo powiecie... oto Amara odwzajemniła to uczucie i pokochała gorąco księcia. Musimy tedy przypuścić, że obok duszy czystej i pięknej miała drugą, mętną i dziką, podatną na urok okrucieństwa i tą go pokochała.

— Trudno to przypuścić! — zawołał profesor — Obraz ten nie odpowiada zresztą temu, czegośmy się dowiedzieli o Amarze.

— Cóż powie nasza droga memsahib? — spytał Kala Rama z tak badawczym spojrzeniem, że rumieniec oblał Amandę. — Sądzę, że dowiemy się tego najlepiej od pani, jeśli zechcesz, panno Amando, wejść w położenie Amary i odczuć niejako wszystkie drgnienia jej duszy.

— Zdaje mi się, — odrzekła po krótkim wahaniu — że każdy z nas posiada dwie dusze i że dzikie, gwałtowne pierwiastki natury Ajatasattu mogły wyrzucić złowróbnny czar na młodą dziewczynę, potomkinię starego rodu wojowników oraz córkę artysty, który jej przekazał, obok całej subtelności, również zamiłowanie dla rzeczy niezwykłych, bowiem nie zaliczał się pewnie do tych, którzy „ściągają trwożnie podczas burzy żagle“ \*). Są to siły, które można użyć dla rzeczy złych, jak również dla dobrych i sądzą, że Amara wytłumaczyła je sobie w sposób lepszy niż należało. Czyżby jednak głównym powodem nie była okoliczność, że miłość, która, jak to zawsze mówimy z żalem, za-

---

\*) Adonais Shelleya.

ślepią, również czyni ludzi jasnowidzącymi? Być może, dostrzegła Amara tem jasnowidzeniem pierwiastki jasne i piękne w duszy Ajatasattu? A jeśli tak, to musiała sobie złożyć ślub i wziąć za zadanie wydobycie ich na jaw i wyzwolenie z pod przemocy zła...

Kala Rama skinął głową z wielkiem, serdecznem uznaniem, zanim jednak mógł zabrać głos, uprzedził go Artur. Młody człowiek wpatrzył się w Amandę z wielkiem, trwożnem napięciem oczekiwania w chwili, kiedy przedłożono jej ten problem psychologiczny i okoliczność ta wzmogła jeszcze jej zmieszanie. W miarę, jak wyjawiała swe poglądy, zasępił się coraz to bardziej.

— Nie znam — powiedział zmienionym nieco głosem — osobistości, o których tu mowa. Ale z tego, com usłyszał, wnoszę, że dziewczyna ta zaplątała się w niebezpieczną sieć. Jeśli w istocie złożyła taki ślub, to powiem wraz z mądrą królową z Hamleta: — Dama ta, sądzę, obiecuje zbyt wiele!

— Nie mów tego, sahibie, z taką pewnością! — odparł Kala Rama — Mądrość świata myli się często, rozstrzygając do czego zdolna jest miłość, wiara, lub zapał. W każdym razie poprzestać musimy na podwójnem wyjaśnieniu panny Amandy, gdyż jest najtrafniejsze. Teraz pora nam obejrzeć także pałac księcia, z którego niestety nie zostało tyle co z tej budowli, prostej i zwartej w sobie.

Poszli do pałacu, którego front, jak to pokazał Kala Rama, zwrócony był ku stupie. W rzeczywistości rzecz miała się jednak wprost przeciwnie. Gdy król Narada zobaczył, że przyrodni brat jego wznosi tu swój pałac, obrał to właśnie miejsce dla stupy, którą miał dawno zamiar zbudować, a to w nadziei, że widok

wspaniałego posągu Buddy oddziała kojąco i budującą na jego umysł. Jednocześnie miała świątynka ta stanowić przygotowanie do wniścia w święty gaj zakonnicy i tworzyć, tuż przed nim, małą stacyjkę modlitewną.

Zwiedzili rychło kilka komnat pałacu, których ślady można było jeszcze odnaleźć. Gdy doszli do drugiej, obszernej hali, o stojących dotąd szeregach kolumn, Kala Rama zwrócił ich uwagę na niskie podjum, przeznaczone na taniec bajader podczas uroczystych przyjęć, co zresztą, jak dodał, odbyło się raz tylko.

Stanęli z powrotem w małej przystani, gdzie czekała gondola ministra, przywiązana do słupa.

— W czasach owych — powiedział Kala Rama — woda nie dosięgała tego miejsca i kawałek, niezbyt szeroki zresztą, ogrodu dzielił je od brzegu jeziora.

— To jest bardziej malownicze! — wtrącił Artur. Widok był w istocie przepiękny.

Po lewej stronie sterczała stromo z wody góra zamkowa, kładąc na nią ciemną plamę. Od strony lądu opadała terasami. Wprost ponad jej zwieńczonym wieżycami szczytem stał księżyc, a odbicie jego na dole wyglądało jak wielkie oko, mrugające czasem przy ruchu fal, tak że życie wstępowało w bożki i nimfy, stojące w zagłębieniach kolumn, lub wychylające się z bogatych kapiteli. Poza sobą mieli szeregi kolumn, głęboko żłobkowanych i pociętych poprzecznymi pasami. Stały w wodzie, po części strzaskane, lub wznosząc w puste powietrze, nie dźwigające dziś architrawów kapitele. Niektóre nakryte były belkowaniem, w dali widniała grupa, zwieńczona szczątkiem kopuły, w której, niby pióropusz w hełmie, tkwiła kępa wy-



sokiej trawy, a wokoło wiły się dołem, niby zwoje szat, lłany, łodygi, liście i przedziwne kwiaty.

Dalej w lewo, na łące, już poza obrębem ruiny stało kilka potężnych bananów, będących resztką prastarego lasu, ciemne ich korony, podpierane setkami przypieńków, rozpościerały się coraz to dalej, zaś korzenie powietrzne zwisały zewsząd, kołysząc się niby wężę. Po prawej stała grupa magnolij, wyciągających jak żebraki niezliczone, białe ręce konarów w stronę jeziora. Jeszcze dalej fałowały niby rzeka, rozłogi dżungli, zaś tu i owdzie skośna palma wychylała długą, strusią, ciekawą szyję. Poza tem wszystkiem majaczyły widmowo zarysy gór, podobne zwałom perłowej masy, wtopionej na skraju widnokregu w tę samą srebrzystą poświatę, która wchłaniała w siebie powierzchnię wody.

Ciepłe powietrze przesycala woń magnolij i gorzki zapach migdałowców, oraz niezliczonych nenufarów, pływających na wodzie, sterczących z niej i ślących wokół rzeźwe tchnienie. Od czasu do czasu przerywało ciszę melancholijne pohukiwanie sowy, z dali zaś dolatał chrypliwy szczek pantery.

— Patrzcież państwo! — zawołała Amanda, wskazując na lewo, gdzie pośród zwieszonych aż do wody gałęzi kwitnącego krzewu połyskiwało światelko, które sunęło powoli rzeką, nim dotarło wreszcie do jeziora.

— To błędny ogień! — powiedział profesor — Nie widziałem go dotąd, ale sądziłem, że się porusza znacznie prędzej, skacze i baraszkuje, jak owe niegrzeczne ogniki z bajki goethowskiej, zagrażające łodzi przevoźnika. Widocznie uspokoiły się i one w tym kraju cichej medytacji.

— To nie błędny ogień, ojczy, to pływająca lampka Lakszmi!

Krótkowzroczny profesor, który widział jeno sunący bezpośrednio po wodzie płomyk, potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Unosi cię fantazja, Amando! — powiedział — Byłaby to zaprawdę niezwykła łaska przypadku, byśmy rzecz taką mogli zobaczyć dzisiaj właśnie.

— Córka pańska ma rację! — odparł Kala Rama — Mamy przed sobą rzeczywiście taką lampkę, złożoną przez jakąś dziewczynę Lakszmi w ofierze.

— Ach cóż za dziw! — rzekł profesor — Więc nietylko danem nam jest dziś oglądać scenerję owej przeducownej baśni, ale również sam ów prastary, baśniowy obrzęd. Jest to możliwe w Indjach jeno, gdzie nietylko wszystko powraca, ale trwa bez końca.

— Gdzież jest jednak dziewczyna? — spytał Kala Rama — Powinnaby biec za lampką, klaskać w dłonie i skakać po brzegu z radości, że bogini przyjmuje jej ofiarę i niezawodnie wysłucha modłów.

— O nie... nie, ekscelencjo! Lepiej, że tak nie jest! Mamy kompletną ilustrację. Wszakże i Mahamaja nie czyniła tego, ale, porzuciwszy swą lampkę, została w ciemności... i to nie sama.

Uwaga ta dziwnie trochę brzmiała w ustach czci-godnego profesora. Na obronę jego przypomnieć należy, że mówił on o wydarzeniu z przed dwu tysięcy lat przeszło, a patyna wieków pokrywała przystojnie nagość faktu. Widocznie miłostki starożytności miały ten jeno przyzwoity cel, by profesor Eichstädt i koledzy jego mogli je dowolnie krytykować, ogłaszać drukiem, komentować i zaopatrywać w adnotacje.

Artur patrzył osłupiałym wzrokiem na płynące czółenka świetne. Obecność Amandy i przeduczny kraj-obraz księżycowy zatarły mu w pamięci okoliczności,

w jakich tu przybył, a teraz dopiero przypomniało mu je to ciche, lśniące zjawisko.

Czuł na sobie spojrzenie Amandy, spojrzenie, które zawsze tak chętnie odwzajemniał. Teraz atoli spuścił oczy, mrużąc coś o starych hinduskich obrzędach. Oczy Amandy prześwietlały go nawskroś, czytając w myślach jego. Czyż przeczuwała coś, czy domyślała się tajemnicy lampki?

Nie wiedział, że historia przeszłości dała jej w rękę klucz.

Gdy nabrał znowu odwagi by spojrzeć na nią, przerażała go jej bladość. Stała oparta bezsilnie o kolumnę, a dreszcz wstrząsał nią od stóp do głowy.

— Mój Boże! — zawołał — Co pani jest? Przeziębła się pani widocznie. Od wody idzie chłód. Zaraz przyniosę szal!

Pobiegł co żywo w stronę barki.

Amanda oderwała z wysiłkiem oczy od światelka, które stało teraz bez ruchu na wodzie, z płomykiem wzniesionym prosto w górę i w dół.

— Zaciekawiał mnie pan wielce, ekscelencjo, tem, com niedawno usłyszał o trzech okrzykach czapli! — powiedział profesor — Czyż nie będzie to zbyt śmiałość, jeśli poproszę o opowiedzenie nam czegoś o tem, tu, na miejscu?

— Jeśli tem państwu sprawię przyjemność, — odparł Kala Rama uprzejmie — to najchętniej podejmę dalszy ciąg legendy.

Przyniesiono koce i pledy, tak starannie upakowane przez Barbarę w tyle barki, że jednak tu, gdzie stali, nie było miejsca na swobodną pogawędkę, przeto wrócili na front pałacu, gdzie stopnie stupy stanowiły

zapraszający do spoczynku szereg niskich ławek. Pokryto je pledami i wszyscy siedli wygodnie.

Kala Rama zajął stopień najwyższy i oparł się o pień kolumny. Powodowany delikatnością, zaoferował obok siebie miejsce Arturowi, nie chcąc, by się czuł tolerowanym jeno intruzem, a młody Szkot przyjął zaproszenie tem chętniej, że w ten sposób miał wprost przed sobą Amandę. Oblewało ją pełne światło, w którym przedziwnie połyskiwał w jej włosach żółtawy klejnot, który Artur teraz dopiero zauważył i z nie-  
małą rozpoznał przykrością.

Garuda zwinął się w kłębek u jej stóp i, nastawiwszy szpiczaste uszka, łowił, zda się, chciwie dalszy ciąg opowiadania o owym, straszliwie wielkim kamieniu węzowym.

— Pan Steel nie słyszał, niestety, początku! — zauważyła Amanda.

— Wejdzie odrazu *in medias res!* — powiedział profesor — Rychło się zorientuje.

— I ja tak sądzę! — rzekł Kala Rama — Tem więcej, że wszystko, com państwu dotąd przeczytał, to właściwie dopiero wstęp.

---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

---

### Kamień wężowy. Ustęp drugi.

**K**iedy ukończono budowę pałacu, którego szczątki mamy przed sobą — podjął Kala Rama — urządził książę Ajatasattu wielką uroczystość i wydał ucztę pamiątkową, na którą zaprosił wszystkich swych przyjaciół, przedewszystkiem zaś dwór królewski. Po między zaproszonymi był oczywiście również brat twórcy budynku, stary wódz Mahimsasa.

Zagradzał on ciągle jeszcze księciu drogę do jego ambitnych planów. Ajatasattu nie wyrzekł ich się wcale, chociaż zaczął już powątpiewać w powodzenie i coraz to bardziej godził się z myślą, iż musi czekać aż śmierć wystąpi w roli sprzymierzeńca i pochwyci starca, usuwając go z jego drogi. Ale sprawa przedstawiała się beznadziejnie. Zawsze wstrzeźliwy, a nawet surowy dla siebie, Mahimsasa żył teraz, od lat dziesiątków jak asceta, nie dając chorobie przystępu przez żadne niedomaganie i zdawało się, że osiągnie wedycki wiek normalny lat stu. Gdyby nie obecność wodza, uroczysty obchód nadawał się wybornie do wykonania planu.

Przez całą noc, bezsenny Ajatasattu roztrząsał te myśli, potem zaś wstąpił na te schody, celem zoba-

czenia, czy na niebie niema chmury, która by przeszkodziła w kończących się już przygotowaniach. Nagle spostrzegł koło stupy dziwną postać, która skulona, trwożna chodziła tam i z powrotem, śledząc coś i myszkując. Był to czarny niemal całkiem mężczyzna, przyodziany jeno czerwoną osłoną bioder. Głowę chroniły mu dostatecznie przed słońcem kudłate włosy, zwisające aż na małe, świecące oczy, tak że zdawał się nie mieć czoła. Nos jego był wgnieciony, wargi nabrzmałe, a wystającą dolną szczękę porastała rzadka broda. W jednym nozdrzu tkwił wielki, żelazny pierścień, jakby go ktoś miał wziąć na sznur, celem sprzedania na targu. — Nie dużobym dał za niego! — zaśmiał się Ajatasattu — Chociaż, któż wie? — dodał w myśli, zstępując i podchodząc do niego. Pociągało go i zaciekawiało coś dziwnego w tym człowieku. Podobnie rzecz się miała z czarnym przybyszem. Zatoczył wkoło księcia łuk, jak dziki zwierz, który nie wie, czy uciekać, czy skoczyć na łup.

Książę wykonał władczy gest, wzywając by się zbliżył.

— Czegóż tu szukasz, czarny psie?

Czarny mężczyzna wyszczerzył wilcze zęby napoły chytrze, napoły trwożnie, pogładził trzymany pod pachą koszyk, złożył niski ukłon i powiedział:

— Radżanag... kobra... tańczyć, panie!

Ajatasattu wezwał go skinieniem ręki, by pokazał swe sztuczki.

Czarny człowiek usiadł zaraz w kucki na ziemi, odkrył koszyk, pełen dużych, zielonych liści i jał wygrywać przejmującą dreszczem, monotonną melodję na małej, z trzciny i dyni zrobionej piszczałce, rzucając od czasu do czasu przenikliwe tony fletowe. Liście

poruszyły się i z kosza wyrzła naprzód głowa węża, potem zaś całe ciało wypełzło, zaczęło wic się po ziemi, wreszcie wąż uniósł odwłok w górę i rozpostart kaptur.

Ajatasattu skoczył bezwiednie wstecz. Nie widział jeszcze tak olbrzymiego kobry. Był on doskonale wytresowany. Grajek odejmował raz po raz prawą dłoń od fletu i klaskał palcami tuż przy głowie gadu, który lypał rozdwojonym językiem i próbował chwycić palce swego pana, ukazując wielkie, jadowite zęby. Grajek powtarzał: — To tylko igraszki... dobry nag... łagodny jak piesek!

Książę tupnął niecierpliwie.

— Dość głupstw, drabie jeden. Przestań trąbić i posłuchaj mnie!

Poskramiacz odłożył natychmiast piszczalę, kazał posłusznemu wężowi wleźć w koszyk i przymknął starannie wieko.

— Nie jesteś tym, za kogo się podajesz! Nie jesteś sztukmistrzem! Skąd przybywasz? — rzekł książę i spojrział groźnie.

Poskramiacz wskazał ku zachodowi.

— Stamtąd... o panie... gdzie zachodzi słońce... zdaleka!

— Kłamiesz! Tam, na zachodzie są siedziby arjów, tam mieszkają szczepy szlachetne, białoskóre, szlachetnej krwi, pochodzące od bogów. Ty zaś, psie czarny, jesteś potomkiem małp i z północy przychodzisz.

Poskramiacz wstrząsnął głową.

— Nie... nie... stamtąd, gdzie słońce...

— Milcz! — przerwał mu książę — Wywodzisz się z czcicieli wężów, mieszkających w jaskiniach skalnych. Nie przecz! Znam dobrze chrapliwe, gardłowe

dźwięki twojej mowy. Wiem także, dlaczego się tu wa-  
łęszasz!

— Radżanag pokazać... panie! — rzekł czarny —  
Ja gram, on tańczy. Obydwom nam daje pożywienie  
mądry radżanag...

— Zadrżnij, wisielcze! — krzyknął książę — Śmierć  
cię czeka, jeśli skłamiesz raz jeszcze!

— Drżę, o panie! Patrz jak drżę! — rzekł po-  
skramiacz i rzeczywiście, dreszcz jął wstrząsać jego  
ciałem.

— Masz słuszny powód ku temu! — odparł lodo-  
wato.

— Wiem, wiem — jęknął czarny — Tyś silny,  
jam słaby.

— Chłuba całego naszego kraju, sędziwy bohater,  
zwycięzca w stu bitwach, który jeszcze powiedzie  
wojsko w bój, jeśliby napadł nieprzyjaciel, czcigodny  
Mahimsasa...

Czarny wykonał bezwiednie gest dzikiego zwie-  
rzęcia, jakgdyby imię to było dlań przynętą.

— Znasz to imię? — spytał nagle książę ostrym  
głosem.

— Ja? Nie... Memsasa... nie słyszeć nigdy!

— A więc posłuchaj teraz i zapisz sobie je w pa-  
mięci. Imię Mahimsasy znać winien każdy członek  
waszego szczepu. Mahimsasa właśnie pokonał przed  
dziesięciu laty czasnoskórych, mieszkających w ja-  
skiniach czcicieli węzów i zmusił do uległości. Wtar-  
gnął do ich największej świątyni i zabił boga-węża,  
który pożerał codziennie dziecko, składane mu w o-  
fierze. Wyjął też z jego łuskowej głowy klejnot, oświe-  
cający grootę świątynną, i do dziś dnia nosi w naczolku  
cudotwórczy kamień, który go chroni przeciw strza-



łom, miezom, włóczniom, a także przeciw ukąszeniu węża...

— Nie przeciw ukąszeniu radżanaga! — syknął z wściekłością czarny.

Ajatasattu roześmiał się w głos.

— Byłem tego pewny! — zawołał.

Ale poskramiacz zapadł na nowo w głupawą otępiałość i mruczał, odwróciwszy oczy:

— Nie wiem... myślę tylko... Radżanag wielka trucizna... jad nad jady... nie wiem... nikt nie jest bezpieczny...

— Milcz, nikczemny psie! — wrzasnął nań książe — Zdradziłeś się! Zapóźno na wykręty! Jakto... nie wiesz?... Wiesz doskonale, skoro polujesz tu na kamień węzowy ze swym radżanagiem. Po niego przyszedłeś umyślnie!

Słowa te podziałały druzgocząco na czarnego poskramiacza. Podniósł się na kolana, wyciągnął w niebo ręce i padając na ziemię, uderzył przed księciem czołem.

— O, panie, daruj mi życie! — zawołał — Łaski, o panie, bowiem wiesz wszystko! Daruj mi tylko życie... Chranquinchru, nie biedak... o... pośród swoich, nie żelazny pierścień, ale złoty w nosie... Chranquinchru pokaże ci, gdzie są skarby... niezmierne skarby, strzeżone przez węże... Klejnoty jak jaja wielkie...

Książę przerwał mu gestem władczym.

— Daruję ci życie, jeśli wyznasz wszystko! Ale nie staraj się oszukiwać mnie.

Poskramiacz zaczął mówić, zrazu głosem trwożnym, podkreślanym gestami poddańczymi, pełzającymi, potem jednak z namiętnością coraz to większą, dochodzącą do demonicznych wybuchów triumfu. Po-

rwany szaleem i nadzieją, znajdował i wiązał z łatwością słowa, zrazu rozpierzchle i trudne do wymówienia, bowiem udawał tylko głupotę i nieumiejętność wysłowienia.

— Oszukiwać ciebie, o panie? Któżby to mógł? Wiesz wszystko! Widziałeś, o panie, radżanag łaskawy, potulny jak piesek! Dziecko z nim igrać może przy mej muzyce. Ale mądry wąż widzi w ciemności połyskujący kamień, który ongiś ojciec jego, bóg węzów, nosił jak oko w czole, królując w mrocznej świątyni skalnej. Radżanag ukąsi człowieka posiadającego ten klejnot, a nie uratują go wszystkie zioła Indyj, wszyscy czarodzieje, nie uratuje go nawet zaklęcie Garudy, które znają wasi kapłani! Nic nie ocali człowieka, którego radżanag ukąsić zechce!

Wyrzuciwszy te słowa, dzikus zapadł z powrotem w otępiałość zwierzęcą i nikczemną.

Ajatasattu patrzył nań przez chwilę przenikliwie.

— Prawdę rzekłeś! Służ mi wiernie, a otrzymasz kamień węzowy.

Podziękował mu straszliwy wrzask dzikusa.

— Dostaniesz kamień, masz moje słowo. Ale, gdybyś się poważył na najmniejszy krok bez mego rozkazu, to lepiejby ci...

Dzikus wznosił w niebo ręce, jakby przysięgał. Potem gdy Ajatasattu milczał, ujął jego prawą nogę, położył głowę na ziemi i przycisnął sobie stopę księcia do karku.

— Chranquinchru, wielki wódz swego plemienia... Chranquinchru twój niewolnik!

— Bądźże nim z wszystkich sił, a nie pożałujesz. Teraz jednak schowaj się, gdzie chcesz, a umiesz to zrobić jak wąż. Wsłiznij do dziury, jakby cię pochło-

nęła ziemia, ale zjaw się natychmiast, gdy zabrzmiał trzykrotny okrzyk czapli.

Czarny skrzyżował na piersiach ręce i dotknął czołem ziemi na znak posłuszeństwa.

W tej chwili zobaczył Ajatasattu zakonnicę, nadchodzącą powolnym krokiem od strony mangowego gaju, widniejącego poza kopułą stupy.

— Zakonnica! — mruknął do siebie — Dobrze i ona mi się przyda. Kto poluje na różnaitą zwierzynę, potrzebuje różnych psów, gończych na dziki, chartów na gazy.

Uczynił władczy gest ku poskramiaczowi — Precz mi z oczu, czarny psie!

Poskramiacz chwycił co żywo koszyk i uciekł z chęnością zwierzęcia.

— A teraz trzeba wziąć na przynętę tę żółtą sukę! — mruknął, zwracając się do nadchodzącej.

Zakonnica stanęła cicha, skromna, z opuszczonymi powiekami na stopniu pałacu. Smukłe jej kształty okrywał płaszcz koloru łososiowego, a także twarz ujęta była sztywno w ramę z takiejże samej materji. W prawej dłoni trzymała pustą miseczkę żebraczą.

Księżę przybrał uśmiech grzeczny, pełen szacunku, podszedł i skłonił się nisko.

— Niechże będą błogosławione kroki twe, o czci-godna Isidasi, które cię zawiodły dziś, z prózną miseczką w progi moje. Niechże będą błogosławione wielce! Racz nie iść dalej, bogobojna siostrze! Pozwól, że własnoręcznie napełnię po brzegi twą miseczkę, a w ten sposób, dostarczając ci środków żywności na dzień dzisiejszy, stanę się sam uczestnikiem twego świętobliwego żywotu.

Isidasi pochyliła w podzięce głowę.

Książę wszedł szybko po stopniach do hali i zawołał, by służba przyniosła co najprzedniejsze potrawy. Potem zwrócił się ponownie do zakonnicy.

— Dzisiaj, o najdostojniejsza, wydaję ucztę w mym domu, którego budowa właśnie ukończoną została. Pragnę, by spłynęło na jego mury błogosławieństwo i umyśliłem wprowadzić pod skromny dach mój wybór najszlachetniejszych ludzi. Dostojny brat mój wraz z małżonką zaszczyca mnie swą obecnością. Przybędzie także wódz nasz niedościgniony, wielki Mahimsasa, który szczerze sprzyja waszemu zakonowi. Obiecał również zjawić się Baku, mistrz wielki, który wystawił mi ten dom i dokonał arcydzieła przedziwnego, a świętego (tu wskazał stupę), zaś z nim przybędzie twa ulubienica, siostró, ulubienica wszystkich zresztą, uroczą Amara. Gdybyś, czcigodna Isidasi, raczyła wziąć udział w obchodzie, byłoby to prawdziwem błogosławieństwem dla mego domu, a wszystkim sprawiłoby radość, zwłaszcza Amarze, która cię czci jak matkę. Czułaby się ona zresztą nieswojo bez ciebie, bowiem niema w domu moim, niestety, małżonki. Czyż mogę spodziewać się tej wielkiej łaski?

Isidasi skinęła powtórnie głową w milczeniu, na znak zgody.

Książę złożył ręce na piersi i skłonił się w podzięce.

— Dzięki ci, o najczcigodniejsza! Ośmielony tą łaską, proszę o zezwolenie na ofiarowanie mat do skończonej już, jak słyszałem, nowej hali sióstr zakonnych w mangowym gaju. Jest to wprawdzie dar zbyt mały, ale wartość daru stanowi, u was pono, dobra chęć dającego... O, gdybyś, siostró czcigodna, czytać mogła w sercu mojem...

Isidasi podniosła nagle od ziemi oczy i spojrzawszy na księcia, przerwała mu.

— Czytam w niem! — rzekła.

Niespodziewana ta przerwa wprawiła księcia w zdumienie, a spojrzenie zakonnicy jęło mu wyraźnie dokuczać. Mimo to odparł z wymuszonym nieco uśmiechem:

— Wierzę w to i nie wątpię wcale, bowiem jesteś mądra, o Isidasi.

— Tak oto rzekł Budda, mąż doskonały:... Wskazałem wam, o uczniowie moi, ścieżki, któremi chodząc, poznacie samą treść serca drugich istot, serce szlachetne ujrzycie szlachetnem, nikczemne nikczemnem, nienawistne nienawistnem, a wreszcie serce wolne jako wolne. W ten sposób widzę serca i rodzaj serc. Czyliż mam ci wyjawić serce twoje?

— Wyjaw, o znawczyni serc! — odparł książę — Dzięki ci za to, bowiem nie zna człowiek wnętrza swego.

— Myślisz niezawodnie... oto ta zakonnica, stojąca przede mną tak przystojnie, to obludnica, niemasz albowiem świętobliwego żywota, czystości i zjednoczenia dusz. Wszystko to jeno obluda. Możeby ją teraz ująć zręcznemi słówkami i hojnemi dary, oraz skłonić do popierania mej sprawy miłosnej u Amary, by fałszywą mową obmotała biedne, nabożne dziecko i wpędziła mi je w ramiona. Zaprawdę, na stręczycielkę dobrą jest Isidasi!

Książę odskoczył przerażony.

— Co powiadasz, o święta? Wystawiasz mnie, widzę, na próbę?

— Czy mam ci rzec więcej? Może o królowej, do której ci stręczycielki nie potrzeba?

— Milcz! — zawołał ksiązę — Nawet żartując w ten sposób, posuwasz się za daleko.

— O, twoje żarty, ksiązę, zwłaszcza przy uczcie, zdolne są posunąć się jeszcze znacznie dalej.

Słowa te, podkreślone znaczącą intonacją i przenikliwym spojrzeniem, uderzyły z taką mocą, że Ajatasattu drgnął wyraźnie.

— Czyż mam ci również coś powiedzieć o tej właśnie uczcie? — spytała zakonnica gromkim głosem, podchodząc bliżej.

Ajatasattu zbladł.

— Cóż ona wiedzieć może o mych planach podczas uroczystości? — pomyślał — Nic o nich nie wspomniałem nikomu, a w mej własnej głowie nawet nie dojrzały jeszcze. Ma ona pewnie na myśli uroczystość dworską w Pendźabie, gdzie zamach spełził na niczem. Zebrzące zakonnice dowiadują się od wędrownych braci i siostr o wszystkim, w najzapadlejszym kącie... niech zaraza porwie przeklętych plotkarzy!

Ale zaraz otrzymał sprostowanie.

— Czy mam ci mówić o zamierzonej uroczystości i twych planach?

— Moje plany? Nie mam żadnych planów! Marzy ci się coś!

— O nie... to tobie się marzą złe sny. Więc nie mów o uczcie z tymi, co żyją trzeźwo, i nie zapraszaj ich, gdyż własny twój, głos mówiący słodkie słowa, zdradza cię i oznajmia, że napełniasz misy, knując jednocześnie zdradę.

W tej właśnie chwili, gdy wymawiała te słowa groźnym tonem, z władczyimi gestami, a ksiązę stał błądy i zmieszany, ukazało się na schodach pałacu kilkunastu służby ze złotymi misami w ramionach.

Ajatasattu skinął na nich i jął napelniać zebraczą miseczkę Isidasi.

— Powiedziałaś, zda mi się, o czcigodna, że napelniam misy, knując jednocześnie zdradę? Nie jest to zaprawdę trafne odnośnie do twojej miseczki. Co do innych zaś to, wyznaję, radbym ich dziś wieczór zdradzić i wydać w szpony nieubłaganej rozkoszy zmysłów. Lecz tyś zbyt dostojna, do ciebie nie przywiera zło, jak woda nie czepia się płatków lotosu. Dlatego też wybieram dla ciebie bez obawy najpyszniejszy kąsek. To co dla innych byłoby słodką tylko trucizną, wzmagającą jeno żar gorączki... tobie, zaiste, szkodzić nie może.

Isidasi spojrzała nań z powagą.

— Nikomu zaszkodzić nie możesz, o bezrozumny człowieku, jeno samemu sobie, a pomoc ci może tylko własna dłoń.

Wygłosiwszy te, pełne znaczenia słowa, obróciła się Isidasi i wróciła wolnym krokiem do mangowego gaju zakonnic.

Ajatasattu stał jeszcze na tem samym miejscu, zapatrzony w ziemię, gdy nagle ujrzał, że wychodzi jego własny kapłan domowy Bharadvaja z hali pałacu i zstępuje ze schodów.

— Książę! — zawołał — Czy słyszałeś już? — zawołał zanim jeszcze stanął przy Ajutasattu.

Ajatasattu spojrzał z roztargnieniem w górę.

— Cóż tam nowego tak cię podnieca? Sądziłem, że kapłanowi przystoi powaga i spokój, mimo wszystkich przemian świata złud.

— Tam gdzie zbrodnia dotyczy bogów, nie może kapłan myśleć o sobie.

Ajatasattu uśmiechnął się drwiąco:

— Nie słyszałem dotąd, by kapłan przestał myśleć o sobie, przeto widocznie zbrodnie ludzkie nie imają się bogów. Ale mów, co się stało?

— Brat twój...

— Narada? Cóż tam nowego? — spytał zainteresowany nagle.

— Powiadają, rzecz trudną do wiary. Coprawda, te lyse mnichy Buddy przywołyły go do niejednego już głupstwa, gdyby jednak potwierdziła się głoszona wieść...

— Cóż to za wieść, do stu tysięcy demonów! — krzyknął książę, tupiąc z niecierpliwości.

W tej chwili rozbrzmiał tuż przy nich głuchy warkot bębna. Nadpłynął nagle i zbił się wokół stupy tłum dzieci, młodych ludzi, członków najniższych kast, rzemieślników i wyrobników dziennych.

— Dowiemy się zaraz, czy było to kłamstwo, lub przesada! — rzekł Bharadvaja — Mam nadzieję, że usta moje zostaną zwolnione od oskarżania brata twego, o panie, o zbrodnię co woła pomsty do tronu Indry.

Wstąpił z powrotem na schody, by lepiej objąć spojrzeniem zbiegowisko, a książę stał w miejscu bez ruchu.

Do stupy przystąpili i stanęli przed nią herold królewski, dwaj dobosze i dwaj trębacze. Po chwili uciął wielki bęben, a herold ogłosił donośnie, co następuje: Zważcież na słowa najmiłościwszego króla Narady! Mistrz dostojny, wielki Budda zaleca miśdziejście dla wszelkiej istoty, co żyje i cierpi. Przeto od dziś dnia zabroniono w całym państwie zabijania zwierząt domowych. Także dla ołtarza ważnym jest ten zakaz. Czcijcie bogów bezkrwawo!



Zawarczały bębny, zatętniły rogi, a herold odszedł, otoczony rozpetanym tłumem, by dalej głosić rozkaz królewski.

Bharadvaja przystąpił do księcia.

— Czy slyszales, mój synu? — spytał, udając spokój.

— Wszakże mam jeszcze uszy.

— Ale brak ci już, zaprawdę, serca, — rzucił szybko bramini — jeśli możesz spokojnie słuchać jak brat twój zakazuje świętych obrzędów ofiarniczych.

— I to ku wielkiej, jak spostrzegłem, radości prostego ludu! — zauważył drwiąco, z zamiarem podjudzenia bramini, który też wybuchnął.

— Niechże zaraza wydusi tę hołotę! — zawołał, spluwając wzgardliwie. — O, wierzę, wierzę, że im się musi podobać hasło: Czcijcie bogów bezkrwawo! Nie będzie już potrzeby kupować na ofiarę pięknych wołów, czy baranów, a parę kwiatków, rzuconych kacer-skemu bożyszczu, nic nie kosztuje. Nikt oczywiście nie myśli dziś, ile wszyscy stracą, gdy rozgniewany Indra spuści na kraj głód, pomór bydła, a zarazem powódź i inne klęski?

— Należy to wyjaśnić ludowi, kapłanie!

— Księżę... zostanie to spełnione.

— I to natychmiast! — nalegał Ajatasattu — Ten rozkaz doskonale nam pomoże w pomnożeniu liczby sprzymierzeńców naszych i doda im energii. Niechże się raduje hołota, nie wiedząca i tak co to mięso... Bramini, z których kapie tłuszcz ofiar, i wojownicy, potrzebujący dla zachowania sił mięsa i szpiku wołów, ... poznają dobrze z kim się mają łączyć.

— Wiedzą to i dziś, niema ich potrzeby przekonywać. Niezadowolenie wzrasta ciągle. Ale nic nam

z tego, dopóki stoi wiernie przy tronie sędziwy wódz. Wiesz przecież, książę, że bez niego, a zwłaszcza przeciw niemu, żaden wojownik nie ruszy ręką. Dawno już powiedziałeś mi, jako zdołasz chytrą usunąć go stąd. Spryt twój okazał się atoli zbyt słabym, jak widzę.

— Więc jedyną troską jest ci Mahimsasa? — spytał Ajatasattu.

— A jakaż jest inna?

— W takim razie bądź dobrej myśli, braminie!

— Co masz za zamiary, książę? Pamiętaj, bezpieczny on jest... nie zapomnij o węzowym kamieniu!...

— Chroni go on ludzi, ale nie od zwierząt i rzeczy martwych.

— Ach, tem nie władamy teraz! — westchnął bramin — Władzę taką posiadali przodkowie, w czasach zamierzchłych czarownik miotał pioruny, złe spojrzenie ascety dotykało śmiertelną chorobą, a jego wyciągnięte ramię walilo skalę na głowę winowajcy. Tak ongiś było. Ale w obecnych czasach upadku wiary, nawet najpobożniejszym siły takiej brak.

— A więc i tobie nawet? — spytał Ajatasattu z gryzącą drwiną, która jednak spelzła po grubej skórze kapłana. Nie zrozumiawszy pytania, potrząsnął kapłan domowy księcia, poważnie głową.

— I mnie także! — zawołał. — O, książę, nic sobie nie robię z formulek kapłańskich i magicznych sztuczek braminów. Bogowie sami nie dowierzają nam. Musimy się okazać dopiero godnymi ich pomocy.

Ajatasattu wzruszył ramionami.

— Wprawdzie nie jestem sam bezbożnikiem, ale wiem, co czynić trzeba. Czy poświęciłeś mój dom jak należy, tak by był gotowy na przyjęcie królewskiej pary?

— Jest poświęcony, — odparł kapłan — ale pragnę, by jego belkowanie zapadło się w chwili, gdy próg przekroczy Mahimsasa. Zda mi się, że goście jadą już nawet! — dodał, spojrzawszy przez ramię.

— Jakto? Tak wcześnie? — zawołał książę.

Nie zauważyli w podnieceniu, że droga wiodąca od najbliższej bramy pałacowego parku, zarośla się od wspaniałych, kroczących zwolna słoni. Były to okazy wspaniałe, przybrane na głowach w perłami połyskujące czepce, nakryte złocistymi, niecąciami iskry czaprakami, zaś w górze, ponad nimi, falowały barwne parasole, podobne do wielkich kwiatów.

— To cały dwór! — zawiadomił Bharadvaja księcia, który z jakiegoś powodu sam nie patrzył, ale podszedł do stupy — Trzeci słoń, to „Chmura piorunowa,” stary słoń bojowy Mahimsasy. W howdahu widzę obok wodza także mistrza Baku.

— Czyż niema tam również córki jego, Amary? — spytał książę przez ramię — Jest to stanowczo najlepsze z dzieł jego.

— Tak... dostrzegam i ją teraz.

— Nie patrz w tamtą stronę! — poradził mu Ajatasattu, przybierając postawę zamodlonego przed posągiem Buddy we wnętrzu stupy — Przed tem oto dziełem pochylam się. To jej się spodoba, a zmyli innych. Dostrzegli nas już i musimy unikać podejrzeń. Udaj więc teraz, że mi czynisz gwałtowne wymówki, ale słuchaj mnie.

— Słucham, książę.

Ajatasattu podniósł rękę, jakby rozpoczynał modlitwę do Buddy, a jednocześnie rzekł donośnie i spokojnie:

— Tej nocy umrze, podczas uczy, Mahimsasa.

— Książę! — zawołał przerażony bramin, odskakując wstecz.

— Doskonale, tylko krzycz głośniej! — rzekł Ajatasattu.

Napomnienie było zbyt cenne. Niespodziana zapowiedź nabawiła go wielkiego strachu. Oto książę, zachęcany przezeń ciągle do energicznego działania, podjął nieostrożnie jakiś desperacki krok, który wszystkich pograży. Wyciągnął błagalnie dłoń do Ajatasattu.

— Ależ zaklinam cię, książę, nie imaj się gwałtu...

— Przypadek... czysty przypadek! — odparł łagodnie — Nikt nas nie posądzi, nikt podejrzewać nie będzie. Postaraj się jednak, by wszyscy nasi sprzymierzeńcy przybyli tutaj dziś i byli gotowi.

— Uczynię to, — odparł nieco uspokojony bramin — ale...

— Nie zapominajże o połajankach! — zwrócił mu uwagę książę — Ale nie chcę wcale, by poległ brat mój, niechże sobie odejdzie wolno... niema potrzeby bać się zbrojnej zemsty z jego strony.

Bramin odparł z prostackim śmiechem:

— Szatą niech mu będzie żółty płaszcz mnicha buddyjskiego, a bezdomność ojczyzną i państwem.

— A to dla zbawienia jego duszy. Jakaż mi winien wdzięczność? Odtąd może żyć wyłącznie tym ideałem. Zdemuję mu z ramion brzemień korony i żony niewiernej. Wielki Buddo, przyjmijże łaskawie pielgrzyma, którego ci posyłam, mnie zaś zapisz to na zasługę, żem go w ten sposób uwolnił z pęt ziemi.

Rozmawiali z pozorów, klóćąc się, a słonie tymczasem utworzyły jedną linię frontu i przyklekły jednocześnie na rozkaz poganiaczy, poczem jadący wysiedli z howdahów.

Amara, nie spuszcza jąca dotąd oczu z księcia i kapłana, chciała zaraz podejść do stupy, ale nagle uczuła pociągnięcie za suknię. Nie pozwolił jej odejść słon, nazwany tak trafnie „zwierzęciem z ręką“ przez wedyckich przodków naszych, a Mahimsasa, wychodzący właśnie z howdahu elastycznie, rzekł ze śmiechem:

— Ach! Cóż to zajęło tak żywo drogą naszą Amarę, iż zapomina o zwykłym kąsku dla „Chmury piorunowej.“

Zarumieniona dobyte dwa wielkie, przysposobione naprzód banany i okupila się tym datkiem.

Można było teraz słyszeć dokładnie słowa, rzucone gromowo iście w księcia, przez rozwścieklonego bramina, któremu Ajatasattu pokazywał wciąż plecy.

— Ja jednak... Bharadvaya... ja... kapłan, strząsam pył ze stóp mych, książę, i nie przekrocze nigdy tego progu. Odstępcu, co składasz cześć bożyszczu fałszywemu, poszukaj sobie innego kapłana dla swych wspaniałych hal i rozległych podwórz, kędy się snują teraz łysi, żółto odziani asceci. Bharadvaya miota klątwę na ciebie i dom twój!

— O mężu doskonały! — zawołał książę, wyciągając złożone ręce ku posągowi — Naucz mnie słuchać w pokorze słów takich!

Amara wskazała ich wodzowi.

— Spójrz jeno, stryju! Popatrzże, ojcze! — dodała, zwrócona ku nadchodzącemu ojcu, — Dumny książę stoi nabożnie przed dziełem rąk twoich i znosi w pokorze serca popędliwe słowa rozgniewanego człowieka.

— W istocie! Przedziwny to widok! — przyznał Mahimsasa.

Bramin zwrócił się w chwili odejścia raz jeszcze do księcia i wykrzyknął grożąc pięścią:

— Przeklinam cię i dom twój! — potem zaś dodał, zwrócony do króla Narady — I ciebie również, który zabraniasz czci bogów i ciebie również niech dotknie ich gniew!

— Niechże mnie dotknie, — odparł z łagodnym spokojem — jeśli są to demony krwiożercze, jeśli zaś są bogami naprawdę, to mnie pokochają, a przestaną też nienawidzić was braminów, gdyż odtąd nie będziecie zabijali codziennie niewinnych istot po świątyniach, im na hańbę, a sobie na ztratę.

Potem, nie zważając na pogróżki bramina, podążył król Narada ku bratu i uściskał go serdecznie.

— Niechże błogosławioną będzie godzina, o bracie drogi, w której zastają cię na modlitwie przed posągiem męża doskonałego!

— Panie mój i bracie! — odparł Ajatasattu — kiedyś rozkazał zbudować tę świątynię tak blisko domu mego, poszedłeś, zaprawdę, za natchnieniem mądrości przedwiecznej. Na widok mistrzowskiego dzieła Baku, dusza moja, wpatrzona w to boskie oblicze, stopniała jak lód w promieniach słońca i przepoiła się pragnieniem spokoju w niem widocznego.

Król uśmiechnął się do mistrza i rzekł:

— Zawsze mówiłem, że to dzieło cudowne i w samej rzeczy sprawiło cud.

— Uczyniła to chyba pobożność, kierująca ręką moją, o panie! — odparł artysta.

Mahamaja ogarnęła posąg Buddy spojrzeniem powierzchownem, zwykłym u wielkich tego świata, protegujących artystów. Potem, tonem nieco przekornym, który Baku, pełen podziwu dla pięknej kobiety, wziął zresztą za dobrą monetę, powiedziała:

— Posąg jest dobry i nie żał mi, że wydałam na złocone i klejnoty cały tegoroczny dochód mój z dwu wsi.

Ajatasattu, chwycił dłoń królowej i pochyłony szepnął przypochlebnie:

— Stąd płynie czar!

Potem rzekł, zwrócony do Baku:

— Racz, o mistrzu objaśnić mnie, nowonawróconego, co kierowało tobą, gdyś tu w tak niezrównany sposób przedstawił męża doskonałego?

— Szlachetny książe! — odparł Baku — Podejmując zadanie, pomyślałem sobie, że niesposób mi uczynić lepiej, niż spytać mej nabożnej córki, jakby najgodniej chciała mieć przedstawionym swego pana i zbawcę.

— Dobrze uczyniłeś! — rzekł Ajatasattu i zwrócił się zaraz do Amary — Niechże tedy powie nam córeczka mistrza, jaką odpowiedź dała ojcu.

Dziewczyna zapłonila się mocno, ale Mahimsasa pogładził ją zlekka po włosach i zalecił, by spełniła życzenie księcia.

— Książe ma słuszość, — powiedział — z twoich ust wyjdzie to najpowabniej.

— Wiesz, o wuju — zaczęła Amara, czerpiąc otuchę w tem, że opowiada niejako samemu jeno wujowi, — wiesz dobrze, jak rada byłam zawsze słuchać opowiadacza itak o minionych żywotach Buddy. Choćby to były nawet baśni dla ludu, jak powiadają zakonnice, to wierzyłam w nie święcie i ze wzruszeniem myślałam o tem, jak żyjąc jako zwierzę w lesie, uniesiony miłością ofiarną, położył życie za ocalenie towarzyszy. Poprosiłam tedy ojca, by przedstawił męża doskonałego w chwili, gdy siedząc pod drzewem *bo*,

walcząc onej strasznej nocy z demonem Marą, wzywa ziemię na świadectwo swych dobrych czynów w minionych żywotach.

— A więc — szepnął Ajatasattu — płaszcz, to dar królowej, zaś dusza posągu, to dzieło twoje.

— Księżę, — powiedziała przerażona i zmieszana, — nie mówże tak! Cóż znaczy dusza grzesznej istoty...

— Nie grzesznej, ale słabej, zda mi się! — odparł — Drżysz cała, ręka twa zimna, a oczy płoną...

Baku przystąpił na te słowa i spojrział na córkę z wielkim smutkiem.

— Nie wiem doprawdy — rzekł — co w dniach ostatnich stało się córce mojej. Zagraża jej widać trawiąca gorączka.

— Tak... prawda, ona jest w istocie chora! — westchnął, potrząsając głową Mahimsasa — Bardzo się tem martwię.

— O, to nic! — odparła wymijająco Amara.

Ale księżę oświadczył, że brać tego lekko nie można, gdyż zdrowie Amary jest wszystkim wielce drogie, przeto dziś jeszcze pośle swego przybocznego lekarza.

— Nie dziwi mnie wcale, — zauważyła królowa — że słaba ta roślinka ginie w atmosferze brzemiennej burzą, od której cierpią nawet natury silne! — Potem dodała, zwrócona do księcia, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie — Czyż nie sądzisz, drogi szwagrze, jakoby Indra gotował się właśnie zgromadzić na niebie chmury, cisnąć gromy piorunów i orzeźwić rodzajnym deszczem ziemię?

Odpowiadając takim samym spojrzeniem, rzekł księżę:

— Kapłani, umiejący tłumaczyć takie znaki, oczekują właśnie przelomu.



Potem oddawszy ukłon królowi, zaprosił go, by wszedł do pałacu.

— Nie teraz jeszcze, drogi bracie! — odparł Narada — Zbyt wczesnie na to. Pierwej radzibyśmy pójść do gaju zakonnicy, obejrzyć nową halę zborną, zbudowaną tak misternie przez naszego Baku. Korzystajmyż z czasu.

— Nie czuję się dobrze, — powiedziała królowa — dzień zbyt upalny. Wolę przeczekać do wieczora w ogrodowym pawilonie, gdzie wodotryski dają orzeźwienie. Innym razem, mistrzu drogi — dodała, zwrócona łaskawie do Baku — obejrzę dzieło twoje.

— Zanim nadejdzie owa błogosławiona pora przyjęcia drogich gości moich, muszę zakrzętnąć się żywo koło godnych ich przygotowań uroczystości.

Pożegnawszy się grzecznie, Ajatasattu wszedł do pałacu, gdzie służba opuszczała właśnie zasłony, przeszkadzające, by żar południa nie przenikał zbyt do wnętrza. Król poszedł do gaju mangowego wraz z wodzem, mistrzem, córką jego i najbliższą świtą swoją.

Odesłano niepotrzebne już słonie, bo król zamierzał przebyć w gaju aż do chłodnej, wieczornej pory.

Mahamaja została z Nimbavati i kobietami swemi, ale odesłała je też niebawem pod pozorem, że mają w samotności i skupieniu modlić się przed posągiem męża doskonałego o zbawienie dusz swoich. Dodała, że czuje, iż nachodzi ją również trąwiąca gorączka.

Nimbavati wiedziała dobrze co to za gorączka i chciała koniecznie zostać przy swej pani, albowiem drżała na myśl, że ta pod naporem tęsknoty uczyni coś nieostrożnego, a krok taki może być fatalnym. Ale daremnie prosiła i musiała wkońcu odejść na wyraźny rozkaz.

Zostawszy sama, ujawniła Mahamaja wyrazem twarzy i gestami wewnętrzną, trawiącą ją niepokój. Szybko rzuciła wkoło oczyma, chcąc zbadać, czy ktoś nie śledzi, potem zaś zerwała się z marmurowej ławy, gdzie siedziała pod drzewem solowem, podeszła żywo do pałacu, przystanąła, cisnąc bijące gwałtownie serce, zbliżyła się do stopni, wyteżyła słuch, spojrziała znowu wokoło, postąpiła, cofnęła się i wydała okrzyk radości na widok Ajatasattu, wychodzącego z pośród zasłon. Przystąpił do niej szybko, czyniąc gesty uspakajające.

— Na cóż się ważysz, Mahamajo? Pomyśl...

— Chory waży się zawsze szukać lekarza! — powiedziała — Czyż nie widzisz, człowieku oziębły, jak drzę cała? Czyż masz sumienie patrzeć na wypłakane oczy moje z powodu, żeś mnie opuścił? Przez całe dwa dni, może trzy nawet... nie wiem już, ani razu, zdaleka nawet, nie widziałam cię. I mam być wobec tego zdrowa?

Wyrzucając te namiętne słowa i czyniąc gwałtowne gesty, przylgnęła doń.

— Nie sądź, ukochana, bym równie jak ty, nie tęsknił! — próbował ją koić, ale słowa te dołały jeno oliwi do ognia.

— Więc tęskniłeś także? Nie sąż to jeno puste słowa, dla uspokojenia? Czyż spędzałeś bezsennie noce, wijąc się po łożu, patrząc na znak paznokcia mego na ramieniu, który zrobiłam, przeczuwając ostatniej nocy, że grozi nam rozłąka? Powiedz, ukochany, że tak było!

— Nie, Mahamajo! — odparł chłodno Ajatasattu — Jestem mężczyzną, nie marzę o znakach paznokci,

ale zadają rany tym, którzy mi stoją w drodze. To też unikałem ciebie...

— Unikałeś mnie? — krzyknęła namiętnie podejrzliwa kobieta — Sam to wyznajesz? A ja nie-szczęсна żywiłam nadzieję... biada mi!

— Unikałem ciebie w istocie, albowiem każda godzina, a zwłaszcza tajne noce potrzebne mi były dla celów naszej miłości, dla zbudowania jej przybytku, gdzieby mogła żyć po królewsku, miast włóczyć się jak złodziej. Czyż nie zrozumiałaś, com mówił przedtem o znakach w powietrzu? Wszakże sama pytałaś o to?

Zmieszana Mahamaja przetarła dłonią czoło.

— Znaki w powietrzu? Tak, tak, już o tem zapomniałam. Zapominam wszystko, tracę zmysły. Powiedz, czym dobrze zrozumiała? Czy zerwiesz rozmodlonemu mężowi memu diadem z głowy?

— Tak i to dziś jeszcze w nocy.

— Pamiętaj o Mahimsasie!

— Już postanowiony los jego!

— To wielka gra! — mruknęła, drżąc.

— Wielka, ale ją wygram, bo wygrać muszę! Dlatego też musimy przez kilka godzin jeszcze żyć pod przymusem i dawać baczenie. Potem miłość nasza zrzuci dumnie zasłonę i będziemy w oczach całego świata królewską parą, władcami kraju.

Mahamaja padła oszołomiona na ławę.

— Dziś w nocy? Za parę godzin, — szeptała — będę twoją na zawsze? Pojąć tego nie mogę. Myśl ta dech mi zapiera.

— Opanuj się! Bądź silna! — zaklinał książe. Ale ona patrzyła przed się rozmarzona i szeptała półgłosem, blademi, drżącemi wargami:

— Jawnie, w blaskach słońca... żyć będzie to, co dotąd wychylało się jeno trwoźnie na lśnienie gwiazd, co tliło w ciemku bezgłośnie jak sen... miłość nasza zabyłśnie własnem światłem, ale czy zostanie nadal tem czem jest? Czy ci zostanę wówczas również kochanką, gdy wszystko będzie wolno, po ślubie... Czy będzie cię wabiło łoże wysokie, na złotych stopniach wzniesione, rzezane z kości słoniowej, nakryte purpurą, pachnące santalem, oświetlone lekko lampą srebrną i owiane falą harfianych tonów... czy będzie miało dla ciebie ten sam urok co zaciszna altanka, przepojona wonią jaśminu, rozświetlona migotliwym brzaskiem gwiazd, wpadającym poprzez wilgotne od rosy liście, owo skryte gniazdko kradzionej miłości, kędy trwa echo szczęsnego szeptu, gorących pocałunków i westchnień głębokich niesytej nigdy tęsknoty?... Ach gdy o tem myślę...

Głowa jej opadła na poręcz lawy, a krople potu zabłysły pośród pereł zdobiących czoło. Pierś jej falowała, oczy zasłoniły powieki i zdawała się być bliską omdlenia.

Ajatasattu pochylił się nad nią, usiłując uspokoić ją serdecznemi słowami i ostrożną pieśczętą.

— Cóż mi tam jaśmin i santal i purpura, gdy jeno mam ciebie i objąć mogę twe boskie ciało...

Mahamaja chwyciła jego ramię, jak tonący chwytając się wybawcy.

— Prawdę mówisz... Czy tak jest w istocie?

— Jakże nawet pytać możesz, ukochana?

Słowa te miały ją upewnić, ale przez podejrzliwość pojęła je jakby były wymijające.

— Czy i Amarze szepczesz tak przychlebnie? — spytała.

— Tylko przez ostrożność. Byłoby podejrzanem, gdybym się okazywał chłodnym wobec pięknej dziewczyny.

Królowa skoczyła jakby ukłuta przez osę.

— Uważasz ją za piękną, tę laleczkę?

— O nie... ja nie! Jakżebym mógł, porównując ją z tobą... ale...

Mahamaja przerwała gwałtownie:

— Widziałam, jak zbladła, jak zadrżała pod twym dotknięciem. Gdyby się ośmieliła... gdybyś ty...

— Co ci się zdaje? Co ci jest? — spytał.

Królowa zarzuciła mu ramiona na szyję, wydając dziki okrzyk.

— Ach, zabij mnie raczej natychmiast, Ajatasattu!

— Uspokójże się, Mahamajo, nie bądźże tak...

Słowa zamarły na ustach księcia. Tuż pod pałacem stała Amara. Z wyraźnym wysiłkiem stała oparta o filar i nie zdołała powstrzymać cichego okrzyku na nagły widok pary zakochanych.

Ajatasattu opanował się prędko i skinął na nią żywo.

— Chodźże, Amaro! — zawołał — Pomóż mi! Królowa straciła zmysły i omdlała.

Mahamaja zerwała się wielkim wysiłkiem.

— To był jeno lekki atak! — powiedziała z chłodnym uśmiechem. — Ta biedaczka niewiele mi zdoła pomóc, gdyż słabsza jeszcze dużo pono niż ja, a... — dorzuciła złośliwie — cierpi zda mi się na tę samą chorobę.

Ku wielkiemu zdumieniu Mahamai, Amara padła jej w tej, chwili do nóg i rzekła:

— O królowo! Ty jedna możesz mi pomóc i uleczyć mnie!

— Uleczyć? Ja, ciebie?...

— Racz wstawić się do ojca, by mi zezwolił wstąpić do świętego zakonu Buddy!

— Do zakonu? — zawołał przerażony Ajatasattu.

Mahamaja patrzyła podejrzliwie i ponuro na kłęczącą z opuszczonemi oczyma dziewczynę, potem zaś roześmiała się ze wzgardą.

— Czy to możliwe? Tego więc pożąda serce twoje? A ojciec nie chce zezwolić?

— Ach, nie śmiałam go do tej pory prosić, wiedząc, jaką mu to sprawi boleść. Ale żyć nie mogę dłużej w tym świecie grzechu i śmierci. Słyszałaś wszakże, o pani, obawy ojca mego i stryja o me zdrowie, podkopane trawiącą gorączką.

— Jakto? — roześmiała się drwiąco królowa — Czyż ową gorączkę wywołaćby miała tęsknota za żółtą opończę zakonniczy?

— Jest to tęsknota za zbawieniem i za pokojem serca, których w świecie znaleźć niesposób. Nabożne słowa świętej Isidasi zbudziły me serce z mglistego snu zmysłów. Wskazały mi drogę ku wielkiemu celowi, ku wyniszczeniu złudy. Odtąd schnę z tęsknoty, o pani, jak ten, kto raz usłyszał niebiańską muzykę, a musi znosić straszliwe fałsze wszelakich tonów tej ziemi!

— Nie będziesz tęskniła dłużej! — rzekła Mahamaja, gładząc jej łaskawie policzek — Nabierz otuchy, dziecko, wraz z księciem oboje poprosimy ojca twego i to zaraz dziś, przy uczcie...

— O nie... nie... niezwłocznie!

— Niezwłocznie? — spytała zdziwiona królowa.

— Tak! Właśnie pora i miejsce po temu, gdyż król przysłał mnie tutaj. Kazał prosić, byś, królowo,

raczyła udać się doń i udzielić rad odnośnie do nowej hali zbornej. Tylko kobieta, powiedział, zdolna jest osądzić, co należy podjąć jeszcze dla wygody sióstr zakonnych. Poprosiłam, by mnie zlecił to wezwanie, a król przysłał swą własną lektykę, by ci oszczędzić trudu.

— A więc muszę się zdecydować! — odparła Mahamaja, a na znak Amary przynieśli strojni służący pozłocistą lektykę.

— Do widzenia, na uczcie, mój książę! — powiedziała królowa, dodając zcicha: — Źle oceniłam tę naiwną gąskę! — potem siadła wygodnie w lektyce, a służący unieśli ją zaraz.

Amara chciała iść także, ale Ajatasattu zastąpił jej drogę, czyniąc gest błagalny i groźny zarazem, tak że stanęła niepewna i zmieszana.

— Ledwo zdołałem się opanować! — zawołał — Ty zakonnicą?

— Jeśli tylko ojciec zezwoli! — powiedziała nieśmiało.

— Ale ja zabraniam! — krzyknął gwałtownie.

— Zabraniasz?

— Czyż mam cię oglądać ogoloną i odzianą w zgrzebny, żółty lachman, którego prostackie fałdy nie dozwolą nawet przeczuwać młodocianych kształtów twoich? Czyż masz stać tu, u mego progu z opuszczonymi oczyma i wyciągniętą głupio miseczką żebraczą, na resztki jadła przeznaczoną?

Amara uśmiechnęła się łagodnie.

— Nie pozwoliłbyś mi iść dalej o głódzie, a ta moja żebranina byłaby zasługą dla samego ciebie.

Ajatasattu zaśmiał się dziko.

— Czyż mam może sam napelnić twą miseczkę, jak to uczyniłem przed chwilą Isidasi.

— Czemużby nie?

— Czemużby nie? Na boga o kwiecistych strzałach! Czemużby raczej nie napelnić jej perlistem, mocnym winem, nie przytknąć do ust twych, aż się śmiać zaczęją upojone, zedrzeć łachman z twych ramion i rzucić naga, piękną na łożę, jako ofiarę dla Kamy, władcy światów?...

Amara cofnęła się drżąca, ale pełna dostojeństwa, przerywając dziki wylew uczuć wzburzonego Ajata-sattu karcącym okrzykiem:

— Mój książę!

— Tak... twój jestem! Czy rozumiesz, coś rzekła? Czyżeś ślepa, albo może miłość moja...

Amara przerwała mu surowo:

— Milcz! Dziwi mnie, jak śmiesz mówić o swej miłości mnie...

— Ciebie jedyną kocham! — zawołał.

— Mnie... — ciągnęła dalej — która przed chwilą widziałam, jak obejmowałeś inną kobietę? I to jaką? Żonę własnego brata? O, nie sądz, żem tak naiwna, by wierzyć w jej omdlenie!

— Nie? — odparł nieco drwiąco — A jednak jesteś dość naiwna, by sama niemal omdleć na widok królowej w mych objęciach.

— W istocie masz słuszność, zwąc mnie naiwną. Ale była to ostatnia słabość moja. Już wolną jestem teraz od wszelakich marzeń dziewczęcych na zawsze, już nie zadrzę od dzikiego wiewu skrzydeł demonów pożądania, nie zadrzę nigdy!...

— Słuchaj mnie, Amaro! — powiedział podchodząc z tak błagalnym spojrzeniem, że oprzeć się



nie mogła — Mahamaja prześladowuje mnie w istocie swą miłością. Upoiła mnie, wyznaję, słodką trucizną rozkoszy i oczarowała, ale serce nie pozostało puste i zupełnie wyjałowione, boleśnie stęsknione i uaniełone, doszło do poznania tej szczytnej kobiecości, która promienieje, pełna obietnic, z rysów twych czystych, Amaro! O, najdroższa, nie odwracaj się ode mnie, bądź mem zbawieniem!

— Stanę ci się tem, wskazując drogę, którą pójdę sama, drogę do pokoju i wygładzenia wszelakiej złudy zmysłów.

— Moje i twoje stopy za młode są, by nią kroczyć!

— O, nie, książę. Nie należy cenić nisko trzech rzeczy, powiedział mistrz: młodego zapala, młodego węża i młodego ascety. Nigdy nie można zbyt wcześnie wstąpić na drogę zbawienia.

— Nigdy zbyt wcześnie? A jakże się wyrzekniesz tego, czego nie znasz, o lotosoka dziewczyno? Niechże te złote włosy twe zwiędną, zanim padną od nożyc. Na pokutę zawsze czas, teraz zaś ciało twe, podobne kwiatu, woła o miłość i rozkosz!

— Ciało, to uciecha głupca, to przystrojony grób... powiada mistrz, a rozkosz nazwali mędracy przynętą śmierci.

— Poznaj ją naprzód! — zawołał książę, a oczy mu rozbłysły zwycięsko — Naucz się, jak smakuje owa potrawa, która bogów syci nieśmiertelnością. Przekonaj się, dziewczyno, do czego zdolny jestem, gdy kocham i chcę uszczęśliwić wymarzoną kochankę. Złoto włosów twoich rozelśni się diamentami, niby pole zboża po burzy, najrzadszy muślin odległej Katumbari okryje cud twego ciała, spoczywać będziesz w wonnej fali pyłu santalowego, nic nie będzie dla

ciebie zbyt drogie, ni niesiężne! Jeśli ziemię uznasz za szorstką, każe ją spolerować, jeśli zbyt twardą ci będzie, wyściele ją kobiercami, jeśli ci dokuczy żar słońca, rozpostre żółty parasol królewski \*) nad twoją głową...

Amara uczyniła władczy gest.

— Dość tego! — zawołała — Tracisz rozum pod wpływem dzikiej żądzы swojej.

— Bądź moją! — błagał — Cokolwiekbyś osiąść chciała...

— Chociażbyś mógł osiągnąć wszystko, mnie nie osiągniesz, kusicielu. Jak dziecko, chcesz chodzić po tem, co nie jest dla ludzkich stóp, księżycu chcesz dla zabawki i latać pragniesz ponad Himalaje, człowieku milujący córkę mistrza!

Nie zważając na bolesny jego okrzyk, ani na to że ją przytrzymał za suknię, odeszła szybko.

Księżę patrzył za nią oszłomiony. Potem radosny, promienny uśmiech okrasil jego usta.

— Jakaż dumna, zimna i pożądana godna! — pomyślał — Jeśli ją poprzód kochał, to jakże nazwę ów płomień, który roznieciła zachowaniem swoim? Jak wędrowiec porzuca letnią, pełną kurzu wodę, by wdarłszy się na stromą skałę ugasić pragnienie krystaliczną, lodowatą wodą źródła, tak ja... porzucam cię, o Mahamajo, by zdobyć Amarę!

Tak rozmyślając, śledził białą postać, widną daleko jeszcze w ciemnej alei, wiodącej do domu Mahimsasy, gdzie mieszkała wraz z ojcem. Nagle zabrzmiał w stronie gaju mangowego wielogłosy chór, którym siostry wielbiły mistrza i błogosławiony pokój kon-

---

\*) Żółty parasol, hinduska oznaka władzy królewskiej.

templacyjnego, wolnego od dzikich namiętności żywota, a tony pieśni szły czyste jak uczucia, ich źródłem będące.

Miał jednak sprowadzić spokój w duszę Ajata-sattu, podnieciły namiętność jego do ostatecznych granic dzikości i szału demonicznego.

— Śpiewajcież sobie! — powiedział — Przyjmujcie ją w swe grono! Zostanie zakonnicą... przewidziała to trafnie. Czeka mnie grzech największy, porwanie zakonnicy! Któż mi zabroni, gdy zostanę władcą kraju? Jestem nim już niemal! Ale ją posiąć to za prawdę coś więcej, niż zdobyć koronę!

Powiedziawszy to, wrócił szybko do pałacu, by skończyć przygotowania do zdradzieckiej biesiady.

Plac przed pałacem opustoszał, żyć się tu zdawał jeno Budda z brązu, zasluchany z nieziemskim uśmiechem w dolatujący od gaju śpiew. Dopiero gdy cień kopuły jął coraz to dłuższe przybierać kształty, coś zajaśniało w półcieniu pni mangowych, jakby pełził legendarny wąż złoty.

Nadciągała procesja zakonnicek.

Szły jedna za drugą ze spuszczonej oczyma, w rękach niosąc feston kwietny, wieniec, lub bukiet. Okrążyły stupę, strojąc jej stopnie kwieciami, a przytem śpiewały:

Pieśń nasza płynie jak wiatru wiew,  
Świętej miłości rzuca siew.

Skłońcie się, wiatry, weźcie ją.  
Jako te fale, co wciąż mkną.

Niech mędrzec, który prawdy chce,  
Jej pozdrowieniem cieszy się.

Potem podeszła Isidasi w towarzystwie dwu siostr do niszy i złożyła na wystającym ornamencie posągu

wspaniałą girlandę z czerwonych, białych i błękitnych lotosów. Pochyliwszy się nisko, wyrecytowała:

— Cześć ci, o mistrzu wszechlitosny, zwycięzco bólu, najwyższy bohaterze, któryś nam wskazał ścieżkę i rozwarł furte, wiodącą poza obręb tego świata złud!

— Furta poza obręb świata złud! — wyszemrały stojące kręgiem wkoło niej zakonnice.

A Isidasi mówiła śpiewnie:

— Jak porost leśny, albo ljany, tak krzewi się rozkosz i namiętność buja. Wśród dziczy tej żyją głupcy, rodząc się ciągle, bez końca, nakształt małp.

Lecz jako orzeł wśród czystych przestworzy bujając, duch wolny żywie człowieka, który zdobył wygaśnięcie złudy.

Strach i nadzieja spelzły na niczem, została jeno słodka wiedza, że oto kończy ostatni żywot w ciele i nie powróci w nowy byt.

— I nie powróci w nowy byt! — powtórzyły siostry radośnie chórem.

Tony te nie przebrzmiały jeszcze, gdy weszła w krąg zakonnice Amara, pozbawiona wszelkich ozdób, okryta żółtą opończą, coprawda, jedwabną, gdyż w pośpiechu nie znalazła innego, gorszego materiału. Niosła piękną girlandę kwiatów. Podeszła do niszy i złożyła dar swój na wystającym gzysie podstawy brązowego posągu. Potem wzniosła złożone ręce, mówiąc:

— I moje usta niechajże się uczą pozdrowienia świętego! I moje nogi niechajże wstępują w ślad twój!

Dziś, jako dziewczyna świecka zdobię po raz ostatni twój posąg. Jutro już będę siostrą zakonną, wolną od złudy i męki.

Gdy Amara skończyła, chwyciła ją za rękę Isidasi i spojrzała wzruszona, głęboko w oczy.

— Czyż naprawdę chcesz, Amaro, wstąpić do naszego klasztoru? — spytała — Czy chcesz opuścić ognisko domowe i zamienić szatę białą na żółtą?

— Tak, Isidasi! — odparła spokojnie.

— Cóż ci otworzyło oczy? Czy własna niedola, czy widok nędzy świata?

— Cierpienie było mi lekarstwem. Serce me rozplomieniła miłość. Ale człowiek, będący mi bóstwem, zatonął w namiętności, opętany przez nikczemną kobietę. Rozkosz więc uznałam za nędzę, a cierpienie głębokie dało mi prawdę i postanowienie.

— Czy ojciec zezwala?

— Królowa i księżę wstawią się, więc chyba nie odmówi.

— Witamy cię tedy serdecznie w naszym gronie!

— Witamy! Witamy! — zaszemrało w szeregach siostr.

— Zaczekam tu na powrót ojca, który pokazuje królowi halę dla was zbudowaną, na wieczorne zebrania. O, gdybym jak najrychlej mogła wziąć w nich udział!

— Tak, zaczekaj tu drogie dziecko, usiądź w postawie lotosowej, skup myśli, opanuj zmysły i rozważaj znikomość wszystkiego, pamiętna wielkich słów mistrza:

— Przemija wszystko, co się stało,  
Przechodzi jako echo burz,  
Szczęśliwy, komu się udało  
Nie widzieć żadnych różnic już!

Isidasi zeszła po stopniach, a wraz z nią zakonnice w długim szeregu, dalej nucąc pieśń:

— Osnujcież drogie mistrza czolo  
I wielką prawdę nieście w koło.

Jest miejsce ciche, kędy on  
Na zjawy wszelkiej patrzy skon.  
Tam, poza śmierci patrząc cieśń,  
Słucha jak płynie wieków pieśń.

Zostawszy sama, usiadła Amara na najwyższym stopniu, podwinęła nogi i złożyła na podolku ręce, jak to czyniły zakonnice, czasu kontemplacji. Ale za moment zbudził ją okrzyk czapli jeden i drugi.

— Czapla woła! — powiedziała sobie — O jakże lubię tego ptaka o pysznym czubie i barwnej piersi! Spojrzała wokół i zaraz krzyk trzeci ją doleciał.

Tem pilniej się rozglądając, ujrzała wylażącą z gestwy postać straszna, demonowi podobną, o zjeżonym włosie, wyszczerzonych, wilczych zębach i zadartym nosie, w którym tkwił pierścień żelazny.

Porwana strachem, skoczyła do ucieczki w stronę przeciwną owej maskary, ale nagle spostrzegła nadchodzącego stamtąd księcia Ajatasattu. Skamieniała na myśl, że ją ujrzy i zacznie ścigać.

Jeszcze krok, a będzie za późno. Drżąc rozglądała się za kryjówką.

Stupa była otoczona, jak wiemy wnękami na pomieszczenie posągów świętych, ale nie wszystkie były jeszcze zajęte. Właśnie tuż ponad sobą miała Amara wolną niszę. Powzięła szybko decyzję, stanęła na wyskołu rzeźby, chwyciła hak, przeznaczony na zawieszanie wieńców i uniosła się lekko w górę. Siadłszy w rytualnej postawie, otoczona złocistą szatą, przypominała w istocie posąg bronzowy, świeżo wyszły z rąk mistrza. Za to wziął ją widocznie poskromiciel węzów i książe. Obaj okrążyli świątynkę, dla zbadania, czy ich ktoś nie śledzi i, rzuciwszy niedbałe spojrzenie na posągi, spotkali się tuż u jej stóp...

---

## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

### Bliźniacze kamienie.

**K**ala Rama przerwał, na widok młodego Szkota, który wyciągnął ku niemu dłoń lewą, prawą wskazując na Amandę.

Jak każdy zakochany, Artur nie spuszczał oczu z twarzy Amandy. Słuchał, ale w pierwszej linii śledził w jej rysach refleksy opowiadania, które chwytala chciwie, bez tchu z ust starca, głoszącego je w barwny, orientalny sposób. Gdy wspomniał o urządzeniu stupy, Artur spojrział tam, a wracając oczyma ku Amandzie, dostrzegł w niej wielką zmianę.

Twarz była bez wyrazu, rozwarła szeroko oczy patrzyły wprost nań, nic atoli nie widząc.

Amanda nie zauważyła przerwy, ani też zerwania się trzech mężczyzn i dopiero, gdy ją objął ojciec, zasypując pytaniami, przyszła do siebie, przetarła dłonią czoło i spojrziała w oczy Kala Ramy, który, pochylony nad nią niby troskliwy lekarz, zdawał się śledzić nowy jakiś, ważny symptom.

— Nie spałam, ani na chwilę nie zasnęłam! — powiedziała zarumieniona przypuszczeniem, że mógł tak sądzić. — Słyszałam wszystko do końca, jak padły trzy okrzyki czapli i Amara siadła w niszy.

— Czy słyszała pani również, jak księżę i poskromiciel obeszli stupę wokoło? — spytał Artur.

— Czym słyszała? Ja to widziałam! — zawołała.

— Dziecko drogie! Jesteś zmęczona i podniecona! — rzekł profesor i, potrząsając głową, jął żałować nieostrożności, z jaką zabrał córkę na nocną wycieczkę.

— Nie sądzę, byśmy mieli powód do żalu. Troszczyć się równie jak pan, profesorze sahibie, zdrowiem córki pańskiej, choć może, jako ojciec nie uwierzysz. Co prawda, najlepiej będzie teraz, jeśli państwo pojedziecie mą barką do domu, by panna Amanda odpoczęła. Zalecę mym ludziom, by wiosłowali co sił.

— Ach, ekscelencjo! — powiedziała zaniepokojona — Pocóż mają się wiosłarze wysilać z mego powodu?

— Bardzo to pięknie, że pani o tem pamięta, uzasadniając w ten sposób nazwę, jaką ci biedacy dali pani. *Madr mihrban*... matka miłosierdzia, ... tak panią zowią. Nic im to nie zaszkodzi, a ręczę, uczynią to chętnie dla pani. Zapewne nie wie pani, ale kochamy panią wszyscy, nawet ci nadzy parjasi. Słyszałem przed chwilą, jak skuleni w czólnie uradzali, że obca memsahib jest to prawdopodobnie dobra wróżka *madr mihrban*. Musimy tedy czuwać nad nią wszyscy. Chodźże, drogie dziecko! Wszak prawda, nie czuje się pani słabą?

— Jestem całkiem zdrowa! — odparła, chwytając rękę, którą jej podał z uśmiechem Kala Rama, zachęcając do powstania.

Ale drżały pod nią kolana, to też przyjęła z wdzięcznością krzepkie ramię Artura.

Radby był ją zanieść do barki, jak to uczynił na bregu Edmund. Kuzyn opowiedział mu to ze śmiechem w Kalkucie. Jakże go teraz nienawidził! Jakże



podobnym był do nikczemnego, zakochanego w Amarze księcia? Czyż nie był to wprost okrzyk Edmunda, powtórzony przez Ajatasattu: — Któż mi zabroni, gdy będę władcą kraju? — Ale czyż Edmund zostanie w istocie władcą?

— Cóż to panu, panie Steel? — spytała Amanda, czując, że nagle drgnął.

— Przepraszam! Myślałem tylko o tym... jakże się zwał... Ajatasattu!

Amanda spojrzała nań pokryjому, badawczo i roześmiała się z przymusem.

— Widać nie zmadrzałem, — zawołał — od chwili, gdy jako chłopiec zerwałem się w teatrze, ostrzegając uczciwego człowieka przed nikczemnikiem.

Doszli do przystani, barka wymknęła z kryjówki pośród kolumn, zaśniła woda w miesięcznej poświacie, a blask jej padł na klejnot we włosach Amandy.

Artur zauważył go dawno. Chociaż krwią własną okupiłby wszystkie ozdoby świata i dał jej, klejnot ten raził go wielce i gdy teraz błysnął tak żywo, twarz jego zasępiła się.

— Ach! Kala Rama dał pani ten kamień? — rzekł mrukliwie.

— Dał? — zaśmiała się — O nie, nie daje nikt takich skarbów.

— Niewiadomo. Kala Rama nabrał tego upodobania. Dziś popołudniu darował Edmondowi węzowy kamień.

— Węzowy kamień? A ja sądziłam, że go mam na sobie.

— O nie, to inny, to kamień bliźniaczy. Pokazywał go nam także. Kamienie te stanowią zdawien-dawna parę, zda mi się.

— Tak, stanowią parę! — powiedziała — Mahimsa znalazł oba w tygryskiej grocie. Ten tkwił na dnie jaspisowej cysterny, tamten zaś w czole kobry... tak mówi przynajmniej legenda... właśnie ten świetniejszy dał Edmundowi... dodała nie bacząc, że po raz pierwszy mówi po imieniu o sir Trewelyanie.

Ale Artur zauważył to dobrze.

Amanda patrzyła na szczęście po lśniącej wodzie, tak że nie dostrzegła, iż krew zbiegła mu z policzków i stał blady jak widmo obok niej, mrużąc drżącymi usty:

— Jest własnością Edmunda, podobnie jak ten byłby własnością pani, gdybyś go zechciała przyjąć.

Amanda wspomniała, że Kala Rama powiedział w pracowni ojca, podczas czytania, iż o ileby ów kamień zachował dawną moc, byłby to niezrównany dla sir Trewelyana amulet przeciwko dzikim Afganistanu. Uwaga ta uleciała jej, gdyż sama misja napelniła ją poważnymi myślami. Teraz jednak wydało się znaczącem, że Kala Rama dał jej i jemu te dwa bliźniacze kamienie, stanowiące parę od wieków.

Roześmiała się jednak z tego i teraz, jak to czyni dziewczyna, chociaż śmiech ten nie był zupełnie szczerzy. Nie patrząc bowiem na Artura, czuła, że duszą jego miota burza.

— Cóż pan myśli, panie Steel? — powiedziała swobodnie. — Przyjąć taki podarek? Jest to wszakże jeno kaprys ekscelencji. Chciał zobaczyć, jak się kamień wyda w mych włosach. Dobrze zresztą, żeś mi pan przypomniał, proszę, racz wyjąć diament z koronki, bym go mogła zwrócić jego ekscelencji.

Nie mogła rycerza swego poprosić o milszą dlań przysługę. Same dotknięcie jej jedwabistych włosów

musiało go przejąć dreszczem rozkoszy, ponadto zaś miał wrażenie, że rozplątuje na nowo węzeł, łączący ukochaną z kuzynem, a dopełniając tej funkcji garderobianej poczerwieniał tak, jak był przedtem blady.

Amanda przystąpiła do Kala Ramy, dającego zlecenia wioślarzom, i podziękowawszy mu za powierzenie na tak długo klejnotu, wpięła go drżącymi palcami w jego turban. Nie wzbraniał się starzec, zaręczając tylko, że diament utraci teraz niewątpliwie resztki swej mocy świetlnej z rozpaczy, że doznał takiej degradacji.

W chwilę potem stał Kala Rama sam, w przystani, pośród kolumn, dając ręką odjeżdżającym znaki pożegnania: — Szczęśliwej drogi!

Patrzył za nimi długo, aż barka znikła w srebrnej poświacie i dłużej jeszcze. Myśl szła za nimi, tam gdzie wzrok nie sięgał. Obrócił się wkońcu i spojrział na kolumnadę i stupę. Księżyc stał już dość nisko, sam plac i podstawa świątyni, oraz schody zaległ już cień. Ale właśnie u samego rąbka świetlanego pasa lśniło coś, niby biały tulipan. Był to turban Hindusa, stojącego pod stupą.

---

## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

### W znaku rosnącego księżyca.

**D**ziecko moje, czy śpisz? Już późno! Ozdobo pałacu... słuchaj!

Słów tych, zda się, nie wyszeptały ludzkie usta, ale wyszemrały je liście, rosą okryte.

Rani uniosła ciężko głowę i wyteżyła słuch.

Z wielkiej oddali płynęło coś, jakby pomruk gniewny burzy, ale grzmot nie szedł od góry, jeno słał się jakby dołem, po trawie.

— Dobrze, ayah... już idę.

Pochylona szeptała w ciemń i gęstwą listowia, nuciła kołysankę, mówiła pieśczośliwie, jak matka dziecku.

— Zbudź się, o dziku mój! Słuchaj wybuchów gniewu głodnego tygrysa, co wraca bez lupu do legowiska... Wszystkie zwierzęta dżungli wiedzą, że noc się kończy, a niedługo szakal zawyje po raz trzeci. Tygrys wraca do jaskini, dzik mój wracać też musi do domostwa swego. Nie daj się zaskoczyć w powrotnej drodze, zbyt jasnej, zbyt gorącej gwieździe dnia! Nie jadłeś serca munga, pieczonego z owocami koraki i tumbi, uświęconego prawdziwemi formułami czarowników, których już zapomnieli przekłęci, leniwi

braminowie, dlatego też nie jesteś niewidzialny, mój dziku, wrogim szpiegom twoim. Lubią Radźputanie lowy na dzika... rączy są ich konie, ostre oszczepy... strzeż się ich! Lwu braminów, powiedz zaś sam, com śpiewała: — Tam gdzie białe gołębie krążą... tam gdzie krążą gołębie białe! — Mądry jest lew braminów i wszystko zrozumie... A teraz pędź przez dżungle, brodź przez wodę, pływ jeziorem, mój dziku! Svaha... ohm... svaha!

— Czemu zwiesz mnie swym dzikiem? — spytał zaspany głos z ciemni listowia.

— Wszakże nim jesteś! Gdyś cię prosiła, byś mnie naznaczył za swoją ukąszeniem, jakżeto naznaczyłeś ramię moje? Nie był to „naszyjnik z klejnotów,“ ni „rozdarta chmura,“ ni „noga pawia,“ o nie! Był to „ząb dzika“... nim mnie naznaczyłeś, o panie! Wychowany zdala od świętej ziemi Indyj, nie znając naszej mowy, zwyczajów, obyczajów, ni postaci, mimo to z głębi jestestwa swego, wywiodłeś swój znak. Albowiem jesteś, o panie, dzik, jesteś Ram, nowonarodzony Ram, dla mej rozkoszy i zbawienia wszystkich na świat zjawiony! O, kapłani musieli mi wyznać wszystko. Tak, jesteś Ram i Ram był sam świetlisty Wisznu, a Wisznu był boskim dzikiem, który wyniósł świat z przesyconego zarodzą bagna wód przedwiecznych, tak że ziemia wisiała, niby kłęb korzeni u jego złotego kła. Podobnie ty, o panie, wyczarowałaś dla mnie nowy świat nieznanych rozkoszy i cierpień, a przez ukąszenie swe przeobstwiłaś to ciało moje, dotąd zwłokom podobne, i przepoiliś najwyższą miłością.

Edmund słuchał rozmarzony i czuł jakby nim kołysała fala dźwięków, płynąca od prawieczy. Nie

rani, to nie Hinduska, ale mówiły doń same prastare Indje, śpiewały mu fragmenty hymnów, zabłąkane refreny, przedziwne sentencje, mistyczne hasła, rytualne i zagadkowe słowa, których zapomniane dawno znaczenie tkwiło korzeniami w pramitach jego rasy.

Nagle uczuł, że rani unosi jego ramię. Przesunęła męską sieć mięśni, w pas światła, padający poprzez liście, i wycisnęła ostrym jak pazur kotki paznokciem na białej skórze znak rosnącego księżyca. Był niewielki, niby stempel na drobnej monecie.

Potem podjęła:

— Jako jest to znak rosnącego księżyca, nie zaś malejącego, tak miłość twa rosnać ma, nie maleć!

Jako jest księżyc stróżem tajemnic, lubiącym tajemnicę, tak niech to spotkanie nasze pozostanie ludziom ukryte!

Jako księżyc rośnie, przez blask wznoszących się od ziemi dusz, tak niech wstępują dusze nasze do zaziemskiej, miłosnej szczęśliwości!

Jako jest księżyc panem ciał leczniczych, tak niechże miłość nasza zdrowieje ciągle, miast podlegać chorobie.

Jako jest księżyc panem wód i ciągnie je ku sobie nieodpornie, tak niechże krew w żyłach twoich wre z pożądania, gdy spojrzysz na ten znak.

Jako powraca księżyc, chociaż ginie, tak wracaj ciągle w me ramiona.

Om!... om!... om!

Przycisnęła usta do znaku i jęła ssać, aż uczuł piekący ból, potem puściła jego ramię. Liście zaszemrały zcicha, ale szumiały długo, jakby pełzał niemi wąż.

Edmund leżał z zamkniętymi oczyma. Wydawało mu się, że przemarzył dziwny, potworny sen i zaraz jawa zastanie go we własnym łóżku w Londynie.

Przetarł dłonią czoło, podniósł ramię pod jaskrawy promień światła i ujrzał coś, jak półkrąg malej monety, był to znak rosnącego księżyca.

---

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

### Adepci.

Dwu stało teraz ludzi w przystani, pośród kolumn, skąd Kala Rama słał odpływającym przyjaciółom pozdrowienie swe i błogosławieństwo... dwu Hindusów, Kala Rama i nieznany jogis, zwany „wielkim bratem.“

Stali obok siebie milcząc, guru i chela.

Patrzyli na czółno, które wymknęło z poza rozkwitłego krzaku z prawej strony i szybowało spieszenie po matowo lśniącej powierzchni jeziora, niedostrzegalnym już śladem płonącej lampki Lakszmi. W przedniej części stali czterej czarni wiosłarze, z tyłu zaś siedział rozparty Europejczyk. Silnie rozkołysane wiosłami fale pluskały aż u kamiennych fliz podłogi.

Wkońcu rzekł Kala Rama:

— Nie płynąłby tam, ale spoczywał w przyspobionym już grobie na wzgórzu, pod świątynią Kryszny, gdybyś go nie napotkał przypadkiem, o mistrzu.

— Przypadkiem?

— Wiesz, o mistrzu, co mam na myśli.

Brat skłonił głowę.

— To prawda. Nie wiedziałem, co ma nastąpić. Chciałem ci się ukazać dopiero o świtaniu, zaś po-



obiedzie i wieczór spędzić w świątyni, gdzie kilka razy spoczywał i rozmyślał bardzo mile. Snują mi się myśli tam, w tym miejscu odpowiednim dla roztrząsań i spokojnej kontemplacji. Ujrzałem w pobliżu Europejczyka, otoczonego thagami, i ocalałem go. Wiesz przecież, że przyswoilem sobie ich zbójcecki język, jak i innych podobnych kilka, tak że rozpędziłem bez trudu bandę.

— Czy poznałeś wówczas człowieka ocalałego?

— Nie jeszcze. Ale odniosłem wrażenie, że drogi nasze nie po raz pierwszy się skrzyżowały podczas długiej wędrówki ziemskiej. Usiadłem tedy i uczyniłem to, co i ty niebawem będziesz mógł uczynić, zapadłem w ten rodzaj kontemplacji, o którym powiedziano: Jeśli asceta chce ujrzeć swe różnorakie żywoty, z wszystkimi znakami szczególnymi i całym ich związkiem wzajemnym, niech idzie w samotność i patrzy w siebie. Ten sposób przypomniałem sobie nasze spotkanie, na tem właśnie miejscu. Tędy to, o Kala Ramo, będąc jeszcze królem Naradą, szedłem z nim, jako księciem Ajatasattu, pewnego pogodnego popołudnia, odesławszy słonie, które nas przywiozły, po tych samych złomach skalnych, wśród gęstwy kaprowych i mirtowych krzaków, ku nieskończonej jeszcze wówczas świątyni Kryszny, którą mój przyrodni brat zbudował tu, zapewne w celu pozyskania zwolenników w gronie czcicieli Kryszny, w mojem państwie. Wówczas nie żywiłem wcale podejrzeń, ale upatrywałem w tem przejaw rodowej pobożności. Wolałbym był oczywiście, by świątynia ta poświęconą była czystej nauce Buddy, ale chciałem go uradować swem współzainteresowaniem, a także uprzytomniłem sobie, jak wiele prawdziwego poznania mieści

kult Krysny należycie ujęty, zwłaszcza w precudnej i głębokiej Bhagavatgicie.

— Kto upatruje we wszystkich stworzeniach najwyższego Boga, który nie mija, gdy one przemijają, ten widzi jasno i, spostrzegając wszędy swą własną istotę, nie będzie szkodził sobie samemu, przez samego siebie. W ten sposób pójdzie drogą najwyższą! — cytował Kala Rama.

— Nie jest to, coprawda, droga wedle nas najwyższa, ale tylko „droga do brahmanu,“ jak powiada mąż doskonały. Opowiedziałem mu to, siedząc u portyku o cichym wieczorze. Zapomocą różnych sentencyj z Gity ukazałem mu, jak winniśmy we wszystkim, co żyje i cierpi, odnajdywać siebie, pamiętni wielkich słów upaniszad *tat twam asi* \*). W umyśle takim nie może powstać nienawiść, ale rozwijać się musi coraz to bardziej ogarniające wszystko miłosierdzie. Jak widzisz tedy, tłum myśli, ludniących tę świątynkę, wywodzi się z czasów dawniejszych jeszcze, niżli te, które sobie uświadamiam obecnie.

— Sądzę, o mistrzu — rzekł Kala Rama po chwilowem zamyśleniu — że po tej kontemplacji nie trudno ci przyszło przeniknąć czyny i zamiary tego cudzoziemca, czyli raczej tego znanego nam, reinkarnowanego Ajatasattu?

Brat potwierdził skinieniem.

— Sam napad thagów pouczył mnie, że zbłądził na bardzo niebezpieczne ścieżki, bowiem nie mogli go ścigać dla pieniędzy. Jąłem zaraz podejrzewać zemstę lub zawiść i odtwarzanie się spraw przeminionych dawno. Przyszła mi na myśl intryga z królową,

---

\*) To jesteś ty.

a także coś groźniejszego jeszcze i to ostatnie potwierdziła moja rozmowa, jaką z nim miałem w bungalowie.

— Rozmawiałeś z nim, mistrzu?

— Tak i przy tej sposobności przesłałem ci pozdrowienie.

— Domyśliłem się, że nie poto jeno byłeś w bungalowie i doznałem uspokojenia, tem więcej, że miałem już pisemny znak od ciebie.

— Był to strzał alarmowy, w celu zatrzymania człowieka ogarniętego szałem, który go mógł przywieść do opamiętania. Stanać, namyślić się, to pierwszy krok do zawrócenia ze złej drogi, o Kala Rama! Gdym tak trwał w zatroskaniu nim i jego zamiarami, kierując nań spojrzenie, ujrzałem jak siedzi w pokoju od strony ogrodu, wraz z dwoma przyjaciółmi, z listem w ręku i rzuciłem zaraz te słowa na zapisaną w polowie stronnice.

— Ręka Opatrzności! — rzekł Kala Rama — Ostrzeżenie nie mogło znaleźć w istocie lepszego miejsca!

— Rzecz główna nie w tem, gdzie było, ale że się znalazło w porę. Spostrzegłem rządową pieczęć na kopercie i przeczułem, że go dokądś wzywają. Miejsce dość obojętne, w każdym razie wszystko lepsze, niż gdyby tu pozostał. Każdy drogowskaz był tu, jak oni mówią, ręką Opatrzności, lub co najmniej ręką jego narodu.

— Zupełnie słusznie odgadłeś, mistrzu, i nie mogłeś utrafić szczęśliwiej! — rzekł Kala Rama i opowiedział szczegółowo o misji afgańskiej, powierzonej Edmundowi przez rząd angielski.

Wielki brat skinął głową zamyślony.

— Masz słuszność. Przypadek podał nam tu dłoń pomocną. W istocie rzadko zdarza się coś ważnego

bez tego tajemniczego czynnika. Nie wolno nam, co-  
prawda, czekać nań beczynnie, ale mędrzec zachowa  
dlań zawsze pole działania i coś zaryzykuje. Jakaż  
przestrzeń dzieli zatargi Dosta Mahometa i Shah  
Shui, oraz rywalizację Rosji i Anglii o centralną Azję,  
od wydarzeń, rozegranych na małym indyjskim dworze  
w czasach Aleksandra i Czandraguptów! A jednak  
dwie te rzeczy splatają się w jedno pasmo, które włą-  
czone w deseń tkaniny nadaje jej nową barwę. Barwa  
ta oddziaływać już zaczyna na wyobraźnię naszego  
bohatera i pociąga go bezwiednie raczej ku afgańskim  
niż tutejszym przygodom. Ale wydaje mu się inaczej,  
gdyż to pierwsze jest nowością, zaś drugie rzeczą pra-  
stara występującą z siłą fatalizmu. Czuje on tę siłę,  
ale nie wie, że fatalizm leży w tem, iż musi zadecydo-  
wać, nie zaś w tem jak zadecyduje. Może popełnić  
zbrodnię, ale może również sam, dobrowolnie odstąpić  
od niej...

— Czyż w tem ostatniem leży jego wolna wola? —  
spytał Kala Rama, szukając oczyma spojrzenia mistrza.

Wielk brat skinął potakująco i uśmiechnął się  
dobrotliwie.

— Tak możemy powiedzieć zasadniczo słusznie,  
choć jest to misterjum nawet dla najwyżej rozwinię-  
tego rozumu ludzkiego. W każdym razie, żadne zda-  
rzenie zewnętrzne nie może go zwolnić od konieczności  
decyzji. Nie dokazała tego, jak widzieliśmy, nawet  
dobrowolna ofiara Amary. Gdyby thagom się po-  
wiodło, czyn nie nastąpiłby wprawdzie, ale zostałby  
jeno wstrzymany, gdyż będąc przepojony niejako wy-  
obrażeniem tego czynu i kierowany tą sugestją, byłby  
zebrał wolę do takiego wcielenia ponownego, któreby  
mu dało najlepsze warunki dopięcia celu. Jest to, o ile

wiem, w zupełnej zgodzie z wiekuistemi prawami karmy, a przynajmniej z tem, co o nich sądzić mogę z ograniczonego mego punktu widzenia.

Wielki brat zamilkł, a Kala Rama siedział zadumany, zmarszczywszy brwi, jak człowiek, który wiąże rzeczy rozpierzchłe i bada sprawy trudne. Wkońcu rzekł:

— Teraz rozumiem, dlaczego tak opornie występować mi przyszło przeciw niemu środkami władzy i czemu zwlekałem, z uszczerbkiem obowiązku nawet. Wstrzymywał mnie głos wewnętrzny, ale coraz trudniej było mi, a zwłaszcza dziś rano. Szedłem omackiem, walcząc z sobą i nie mogąc trafić na rzecz właściwą.

— Była to walka ministra z adeptem!

— Nagle przyszła z Anglii wieść o tej misji afgańskiej i była mi promykiem nadziei. Gdybyż ją tylko przyjął... pomyślałem. Ujrzawszy w liście twe słowa, mistrzu, doznałem rozjaśnienia, uczułem, że nie jestem sam, ale ręka mistrza ujęła czólenko warsztatu losu.

— Ach, mój drogi Kala Ramo, — powiedział wielki brat tonem wesołym, nawet swobodnym — tak brać tego dosłownie niesposób. W każdym jednak razie dziwnemby było, by dwaj adepci, jak my, nie zdołali rozwikłać tego węzła gordyjskiego w sposób inny, niż to uczynił przyjaciel Ajatasattu, Aleksander. To, co on zrobił, zapobiega wprawdzie złemu, ale nie wszczyna niczego dobrego.

Kala Rama spojrział mu w oczy z radosną otuchą.

— Mówiłeś, mistrzu, o czynie Amary. Obyśmy jutro zebrali owoce jego!

— Tak się stanie, albowiem widziałem również, jak wiesz, i Amandę. Zdumiony byłem, że ten głuptak, mając obok siebie tę dziewczynę, może tonąć w dusznej

atmosferze miłości takiej rani. Ale tem większe będzie wrażenie, jakie odniesie, gdy, zbudzony z marzeń zmysłowych, otworzy oczy i ujrzy ją.

— Objaśniłem ją już potrosze! — rzekł Kala Rama — Przepojona jest tem, co uważa za starą legendę... a może coś więcej odczuwa jeszcze, albowiem zaczyna się budzić. Urocza to istota i w dziecięcej swej naiwności bliska wielce prawdziwej wiedzy!

— Jakżeby ta, która ongiś nosiła imię Amary, mogła jawić się w kształcie niższym? Podobnie Mahimsasa musiał przyjść na świat jako ty sam i stać się tak wielkim jak jesteś dotąd, a rozwój twój pójdzie teraz nierównie szybciej i swobodniej jeszcze.

— Czy sądzisz, mistrzu, że mógłbym już teraz... mimo panujących stosunków...?

— Kala Ramo, uczyn jak zamierzałeś i jakieśmy to ułożyli. Dom twój zabezpieczony, brataniec wtajemniczony we wszystko i zdolny przejąć interesy. Nie patrz tedy wstecz, mój drogi, ale złóż spokojnie w me ręce tę tak drobną rzecz.

— Zdejmujesz ciężkie brzemię z ramion mych, mistrzu! Niezmiernie cieszę się nadzieją swobody. Osiągnąłem już, wedle pojęć zachodnich wiek zgrzybiały i rzec mogę śmiało: nie byłem leniwy. Ale znużyła mnie walka, czyli raczej radbym rozpocząć walkę inną, szczytniejszą!

— Słusznie, mój chela! — rzekł wielki brat — Tak też powiedziała szlachetna, mądra Isidasi, gdyśmy się po raz ostatni spotkali na poświęceniu tej hali: Nie pokój, królu... nie, ale walka nowa, gdyż wojownik jeno zwycięża!

— Tak! — rzekł Kala Rama, głęboko zamyślony — Tak mówiła Isidasi! A cóż powiada teraz?

- Teraz milczy.
- Którędyż kroczy?
- Spoczywa.
- A my?

Wielki brat położył dłoń na ramieniu przyjaciela i ucznia i rzekł:

- Jeszcze moment, a spoczniemy i my.

Kala Rama objął spojrzeniem firmament czarny teraz, a rozgwieżdżony w całym przepychu tropikalnym, po zejściu księżyca, westchnął i rzekł:

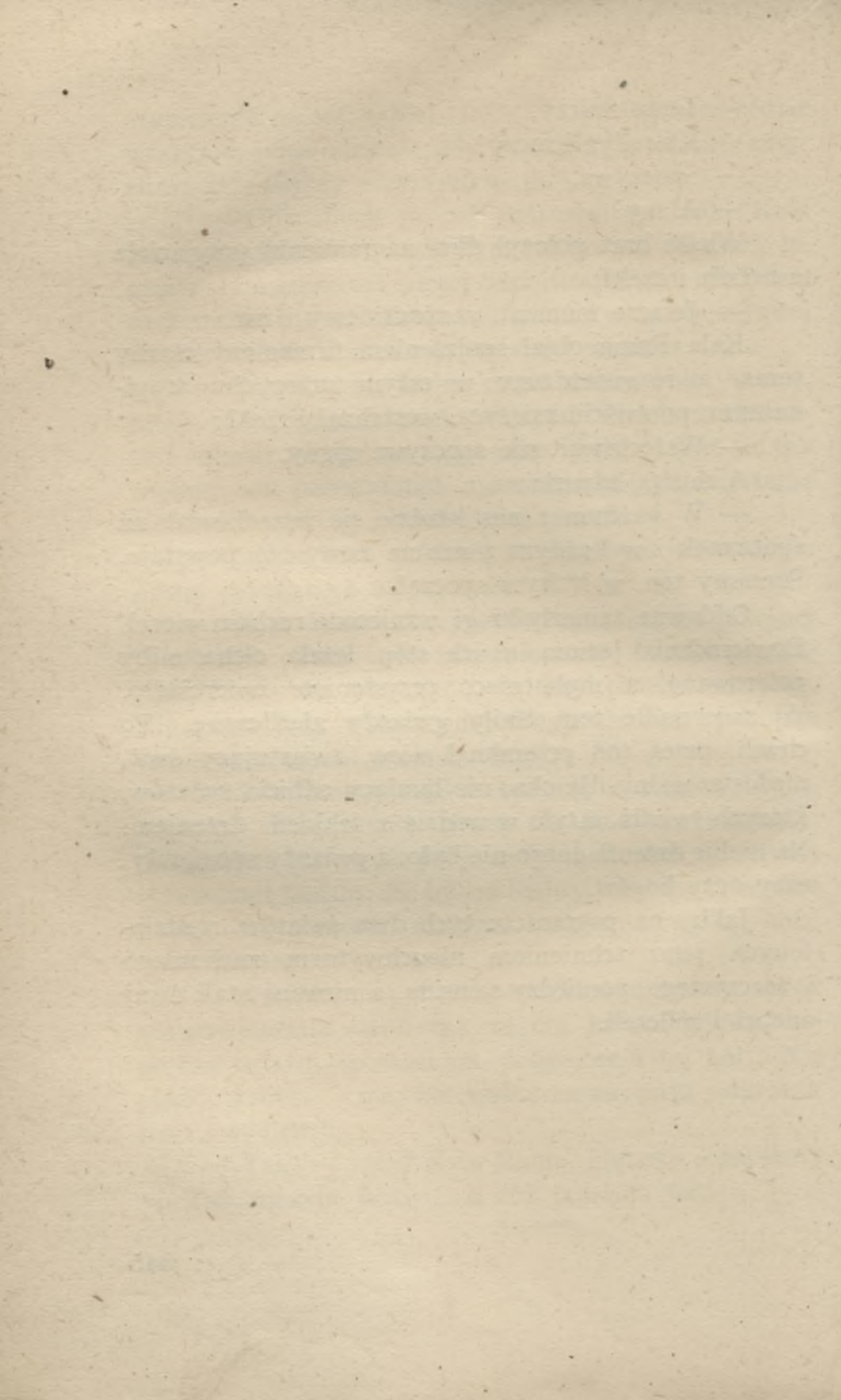
- Wszechświat nie spoczywa nigdy.

A mistrz odparł:

— W każdym z nas kładzie się wszechświat na spoczynek i w każdym z nas na nowy bój powstaje. Szczęsny ten, w którym spoczął.

Oddawna zamarły kręgi, wzniecone ruchem wioseł. Powierzchnia jeziora u ich stóp leżała cicha, niby polerowane, a mgłą nieco przysłonięte zwierciadło. W zwierciadle tem lśniły gwiazdy niezliczone. Po chwili, przez toń przemknął wiew, zwiastujący świt, niedostrzegalny dla oka, nie łamiący odbicia światów, których światło mżyło w wodzie z lekkim drżeniem. Na niebie drżenia onego nie było, a gwiazdy spozierały, niby oczy bogów.

Jakby na pograniczu tych dwu światów, rozdzielonych jeno tchnieniem nieuchwytnem ruchomego i wieczystego, pomiędzy samsarą, a nirwaną stali dwaj adepci i milczeli.





KSIĘGA TRZECIA.

ZASŁONA SPADA.

Ten stary świat mieć musi jakiś  
sens, zaiste.

*Byron.*

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

---

### W kiosku ogrodowym.

Amanda siedziała w kiosku ogrodowym. Obok niej stała na wykładanym stolyczku szkatułka z kości słoniowej. Była otwarta, a kartki rękopisu trzymała Amanda w ręku.

Wstała późno, nie czując znużenia fizycznego, natomiast jakiś niesamowity niepokój i strach. Przewszystkiem jednak miała wrażenie, jakoby za wszelką cenę powinna dowiedzieć się wszystkiego o Amarze i losach Ajatasattu. Niestety, spostrzegła, że ubiegł ją ojciec i jął czytać rękopis Kala Ramy. Dałby go jej z ochotą, gdyby poprosiła, ale ogarnął ją wstyd, czy też inne może uczucie, i nie zdradziła, jak gorąco pragnie poznać te prastare wydarzenia. Czuli, że nawet z ojcem o tem mówić nie może, i pocieszała się nadzieją, iż uczony krótki jeno czas poświęci lekturze tak lekkiej.

Tym razem, ku rozczarowaniu Amandy, było wyjątkowo inaczej. Kiedy nakoniec, po raz dziesiąty zajrzawszy do pracowni, ujrzała głowę indologa, zagrzebaną w liściach palmowych i słownikach, chwyciła z rozbójniczą iście zręcznością cenną szkatułkę i uciekła z nią do schroniska, upatrzonego z góry, gdyż jej

pokój zagarnęła dla siebie Barbara i w pocie czoła doprowadzała go do straszliwego wprost porządku.

Dobrze wyszła na zamianie. W małym, ze wszech stron otwartym, w jezioro niemal wsuniętym kiosku rzeźwiej było, niż gdzieindziej tego, niezbyt zresztą dusznego dnia. Chłodny wiew szedł od strony, skąd płynął rzadko jeno i łamał się na cyplu ogrodu, gdzie wzgórze opadało stromo w wodę. Kędzierzawił nawet powierzchnię, a lekkie fale pluskały mile, choć monotonnie o brzeg. Migotały rozprysnięte promienie słońca niby małe, łyskliwe płomyki, a bambusowa portjera, szumiała zleka.

Cichemu uderzaniu fal towarzyszył poszept liści drzew pipalowych, słońjących kiosk firanką cienia, odgłos, który buddysta tak chętnie bierze za akompaniament medytacji. Bowiem pipal, czyli ficus religiosa, albo słynne drzewo *bo*, to drzewo, pod którym ongiś Budda osiągnął zbawienie, a jego nieustanny szmer symbolizuje mnichowi fałę stawania się i przemijania, z jakiej wypłynął mistrz, którego naśladować winien. W ten sposób nieukojna samsara miesza swe tony z nirwaną, pogłębiając jej ciszę. Córce uczonego indologa fakt ten, oczywiście, tajnym nie był, a przeto lubiła marzyć przy tym szumie, miłym nawet bez wszelkich symbolów. Obok szumu pipalów dolatywało jeszcze gruchanie czule, przeciągłe gołębia *cinnamum*, siedzącego na obrębie niskiej kopuły i wyglądającego na brunatną kulkę. Ckliwy głos ptaka zjednał mu angielskie miano: *do you love too* (czy kochasz wzajem?)

Amanda przybyła dziś na swe ulubione miejsce kilka godzin wcześniej niż zwykle. Miasto było dość ciche jeszcze, brzęczało jeno niby ul, po ghatach migwały nieliczne tylko barwne punkty, front pałacu Kala Ramy,

wąskim nakryty pasem cienia, nie był ani tak fioletowy, ani pomarańczowy jak zazwyczaj. Natomiast druga budowla znamienna miasta dawała silniejsze wrażenie, świątynia Kali krwawsza się wydała i wspalnialsza, bowiem z racji wczorajszego obchodu powleczono jej kopułę świeżą purpurą i odzłożono na nowo gwiazdki.

Amanda pobieżnie spojrziała dziś jeno na miasto, bowiem do przebrania się na festyn dworski miała ledwo półtorej godziny, a Barbara nakładła jej w uszy, jak ważną jest ta operacja i jak wcześniej trzeba ją zacząć.

Gorączkowo przerzuciła tekst rękopisu, zawierający to, co wczoraj usłyszała, i wreszcie odnalazła miejsce właściwe. Tak, to tu... Amara uniosła się lekko w górę, siadła w pustej niszy, a księżę i straszny poskromiciel okrążyli stupę, chcąc się przekonać, czy nikt nie widzi. Potem stanęli u jej stóp, pewni, że mają nad sobą posąg święty. Cóż dalej...?

Amanda zatoneła w czytaniu o losach Amary, przy szmerze tajemniczym wieczyście drżących liści świętych drzew, tym samym, który ongiś towarzyszył jawieniu się prawd zbawienia w umyśle męża doskonałego, oraz przerywanem chwilami gruchaniu gołąbka, który pytał nieustannie: *do you love too...* czy kochasz mnie wzajem?

---

## ROZDZIAŁ DRUGI.

---

### Kamień wężowy. Ustęp trzeci.

**N**o i cóż, psie czarny? — spytał ksiązę surowo.  
— Panie! — zawołał, padając przed nim poskromiciel — Chranquinchru jest twym niewolnikiem!

— Idź natychmiast do pałacu i zastukaj do bramy południowej! — rozkazał ksiązę — Odźwierny cię wpuści. Dziś wieczór pokażesz mym gościom radżanaga, tańczącego przy fletni. Wódz...

— Mahimsasa! — syknął poskromiciel.

— Będzie siedział w pierwszym rzędzie! — potwierdził Ajatasattu — Każę pogasić pochodnie, pod pozorem że ślepią węża. Gdy się zrobi ciemno, kamień w jego opasce na czole zacznie świecić.

Poskromiciel zerwał się napoły i, patrząc na księcia jarzącymi oczyma, zawołał:

— I radżanag zagryzie go na śmierć! Ale jeśli Chranquinchru zostanie schwytyany?...

— W tej chwili będę już panem kraju i przysięgam ci na bogów moich i twoich, że wrócisz cało z kamieniem do siebie.

Poskromiciel padł przed nim plackiem i ucałował mu stopę.

— Radżanag to twój niewolnik! Chranquinchru twój niewolnik, panie!

— Dobrze! Spiesz się!

Poskromiciel porwał koszyk i, stąpając ostrożnym krokiem dzikiego psa, znikł w pałacu.

Księżę postąpił ku stopniom wejścia głównego, gdy nagle szelest poza nim wstrzymał jego kroki. Amara zeskoczyła z niszy i, stając przed nim, wpiła weń osłupiałe spojrzenie. Bezwiednie rzucił oczyma na pustą teraz niszę, w której, jak pamiętał, był posąg przed chwilą.

Zrozumiał wszystko.

— Amaro, tyś słyszała! — zawołał.

— Biada mi! Czegóż to wysłuchać musiałem. Żądza zmysłów pociągnęła cię już do strasznego występku, a teraz zawiść i blask korony wtrącają cię na samo dno piekła! Mord i to jaki mord! Chcesz zabić starca, kochanego, czczonego przez wszystkich i to własnego gościa?

— Czynię to niechętnie i nie z nienawiści! — odparł, unikając jej wzroku — Muszę go usunąć, gdyż mi zawadza.

— Nie tobie, jeno zamierzonej zbrodni, która i tak dość czarna, olbrzymieje jeszcze przez ten nikczemny, krwawy czyn. Pomyśl, nieszczęsny, co bierzesz na siebie! Pomyśl i zadrżnij, ... bo sam, w przyszłym życiu zginiesz z rąk zdrajcy i ginął będziesz po wielokroć, aż odpokutujesz zbrodnię.

— Tobie zdaje się to strasznie, ale mnie nie!

— Tobie nie? — spytała, nie rozumiejąc.

— Oczywiście nie, bowiem chcę żyć, chcę żyć po wiele razy, a więc muszę dużo razy umierać. Cóż stąd, że padnę z rąk zdrajcy? Przeciwnie, wolę to, niż długą chorobę.

— Zślepięćże, miejże litość nad samym sobą!  
— Jęła błagać — Życ po wiele razy, to straszna rzecz, ciągle trzeba grzeszyć, siać ziarno grzechu, zbierać plon zła i siać go bez końca... czyż możesz znieść myśl taką?

— Czy mogę znieść? — spytał zuchwale — Podobna mi się ona wielce.

— Nie czyn grzesznych żartów! — napominała.

— Źle mówię! Zachwyca mnie ta myśl. Cierń bólu podnieca jeno rozkosz! Cóż mi z bezbolesnej, monotonnej błogości? Czyż można kochać życie takie?

— Przeto nie kochaj życia, gdyż nie zasługuje na miłość.

— Jesteś niewinną dziewczyną, Amaro, i nie wiesz, co znaczy miłość. Słyszałaś pewnie o znaku paznokcia, którym się ranią kochankowie, o znaku Kamy, piętnującym młode ciało jako własność boga miłości, jak malowany znak na czole piętnuje sługi Szywy.

Szybkim gestem obnażył swe lewe ramię, poszarpane głębokimi bliznami.

— A więc spójrz tu, Amaro! Czy widzisz znamię, głęboko wcięte, podczas płomiennego uścisku, jakim mnie napiętnowało życie.

Spojrzała przerażona i bezwiednie zasłoniła oczy.

— Bogowie litościwi, cóż za rana! To straszne!

— Poszedłem sam w dżunglę stawić czoło królowi puszczy. Tygrys skoczył na mnie z przeraźliwym rykiem. Skóra jego leży teraz przed mem łóżem. Te znaki nosił będę aż do śmierci.

— A potem?

— Potem niech się spełnią prawa karmy. Być może, okryty pręgowatą skórą, przepojony upojną siłą, będę śmigał po gąszczach lasu, strasząc wszystko, co



żyje. Może nadejdzie myśliwy, książę, jakim dziś sam jestem, bo któż inny śmiałby to uczynić? Ponownie zawrze walka! Ale skończy się śmiercią strzelea, gdyż ja urodzony jestem na zwycięzcę.

— O biada ci! — zawołała — Jakże głęboko tkwisz w matni żądy życia i jak niesłuchanie długą będzie droga cierpień twoich!

— Nieskończoną będzie, jak żądza ma nieskończona! — zawołał radośnie Ajatasattu — Niechże sobie marzą o wieczystym pokoju dusze znużone, jam dość silny, by żyć. Dajcież mi, o bogowie, żywot pełen rozkoszy i cierpienia, grzech mi dajcie, który wieczyście rodzi życie! Nie strach mi niebezpieczeństw, ni śmierci, ale nie wyrzeknę się władzy, której już sięgam ręką.

— Musisz to uczynić! — powiedziała stanowczo.

— Muszę? — spytał.

— Tak. Gdyż bogowie, których wzywasz bluźnierczo, sprawili, że zwierzyć mi musiałeś straszną tajemnicę.

— To prawda! — odparł ponuro — I gdybyś była inną dziewczyną, nie żyłabyś już i nie mogła mi tego przypominać. Ale nie bój się...

— Nie boję się o siebie, jeno o ciebie, gdyż grzech na grzech gromadzisz.

— Powiedziałem, że cię kocham. Jeśli wątpiłaś, masz tu dowód. Oto żyjesz, bo zabić cię nie jestem w stanie.

— Bogowie wybrali mnie, bym ci była przeszkodą i zbawieniem.

— Mądrze to uczynili! — odparł z goryczą, patrząc w ziemię, a im bardziej ponurym się stawał, tem radośniejszą nadzieją błyszcząły oczy Amary.

Nagle księżę odrzucił głowę i zaśmiał się dziko.

— Nie raduj się przedwcześnie! Jeszczem wolny!  
— zawołał, dobywając miecza.

— Czemuż patrzysz tak dziko i miecza dobywasz?  
— spytała.

— By rozciąć węzeł, który mi los źle splątał w niepomysłnej godzinie urodzin. Ciebie zabić, wprawdzie, nie mogę, ale mogę zabić siebie.

Amara odskoczyła przerażona.

— Zabić siebie?

— Raczej wolę zginąć, niż odstąpić nikczemnie od sprawy skończonej niemal.

— Nie, nie! — lamentowała — To się stać nie może!

— Jeśli tego pragniesz, przysiąż mi, że zachowasz tajemnicę na dnie serca i nie ostrzeżesz w żaden sposób Mahimsasy.

— Jakże mogłabym to poprzysiąc? Czegóż żądasz ode mnie?

— Niczego już nie żądam! Czyż drzę? Czyż błagam cię o życie? Ale wszystko w twem ręku, dziewczyno, zginę, lub przysięgniesz!

— Nie błagaj... tak! Ja natomiast błagam cię! — zawołała Amara, padając przed nim na kolana — O Ajatasattu, patrz, klęczę przed tobą! Wysłuchaj mnie! Miej litość nad samym sobą, nie bądź swym katem na długie wieki!

— Wstańże, Amaro! Jakże możesz tak nadaremnie dręczyć się z mego powodu?

— O, nie nadaremnie! Nie mów tak!

— Dla mnie, najgorszego z ludzi!

— Nie jesteś takim, o Ajatasattu! Poznaj siebie samego! Uwierz w siebie, jak ja to czynię!

Kocha mnie, pomyślał, za nic nie zezwoli na śmierć moją. Potem oparł ostrze miecza o pierś i zawołał do zropaczonej dziewczyny:

— Przysięgnij, albo...

Amara spojrzała nań z przerażeniem wielkiem, a w myśli jej kotłowało. Jeśli nie przysięgnie, ukochany spełni pogrózkę, jeśli zaś przysięgnie... nie, nie, to niemożliwe! Czyż żaden z bogów nie pospieszy jej z ratunkiem?

Nagle wskazał księżę lśniący posąg w stupie i rzekł:

— Przysięż na męża doskonałego, na Buddę, którego ojciec twój wyobraził pod drzewem *bo*, owej strasznej nocy walki, kiedy brał ziemię za świadectwo swych dobrych czynów.

Gdy Amara usłyszała te słowa, przemknęła jej nagle myśl przeraźna i zalsniła tak wyraziście na twarzy, że księżę spojrzał na nią zmieszany i dziwnie wzburzony.

Zaś Amara, patrząc na pogodnie i nieziemsko spokojne oblicze posągu, pomyślała:

— Samego Buddę mam brać na świadectwo, jego, który w tylu żywotach poświęcał się za innych, a jeszcze nawet jako zwierz leśny legł za towarzyszy...

— Cóż ona postanowi? — myślał księżę — Jest błada jak śmierć, a jednak oczy jej lśnią nadludzkim blaskiem...

Po chwili zwróciła się Amara do księcia gestem zdecydowanym i rzekła:

— Dobrze, Ajatasattu! Biorę męża doskonałego na świadectwo mej przysięgi. Niechże nie doznam błogosławionych łask jego świętej nauki, ni w tem, ni w przyszłym życiu, niechże niewyzwolona błąkam się wieczyście przez żywoty, jeśli złamię przysięgę!

Bezwiednie cofnął się i wyciągnął przecząco ramię.  
— Cóż za straszliwa przysięga! — zawołał.

— Wydaje ci się straszliwą? A jednak powiedziałeś, że chcesz żyć ciągle!

— Ja tak... ja jestem silny, — odparł zmieszany nieco, — ja dużo zniosę... ale ty... nie wiem, dreszcz uczułem, słuchając ciebie.

— Dochowam przysięgi!

— Nie, nie dochowasz! Cóż uczyniłaś, Amaro? Jedną stopą stałaś już w krainie błogosławionych... zaprawdę, do tego zdolna miłość jeno! Nie przecz! — zawołał radośnie — To jasne! — przyciągnął do siebie namiętnie drżącą dziewczynę i dodał: — Teraz nie wstąpisz już do zakonu, teraz jesteś moja!

— Aż do śmierci! — szepnęła drżącymi ustami.

— Tak, jednak przedtem czeka nas życie, które ci osłodzi miłość moja i uświetni, kładąc do stóp wszystko, co dać może władza... Ale czas krótki, a dużo mam jeszcze załatwić. Żegnaj mi tedy, jedyna!

Wycisnął gorący pocałunek na jej ustach i szybko wszedł do pałacu.

Amara zakryła twarz dłońmi i nie spostrzegła nadchodzącej od strony mangowego gaju Isidasi. Gdy wreszcie spojrzała wokół, zakonnica stała tuż przy niej, obejmując ją wzrokiem zatroskanym i badawczym.

— O matko! — zawołała pełna wstydu — Cóż myślisz o mnie! Nie potępiajże surowo nieszczęsnej!

— Nie potępiam, ale chcę zrozumieć! — odparła spokojnie zakonnica.

— Nie zrozumiesz mnie! Teraz przynajmniej zrozumieć nie możesz, a ja nieszczęsna powiedzieć ci nie mogę! Jakże chwiejnym, niby trzcina na wietrze wydawać ci się musi serce moje!

— Wśród burzy niejeden strzaskał się okręt.  
Serce twe nie waha się, ale także nie szuka pokoju.

— Jesteś znawczynią serc, — powiedziała, łkając Amara — widzisz sama przeto, że wstąpić do zakonu nie mogę. Świat mnie wstrzymuje, ale nie rozkosz życia, wierzaj mi! Nie targa mną tęsknota, nie wabi nadzieja... o bogowie! Wszakże nie życiu oddana teraz jestem!

— Jeśli oddałaś się śmierci, to również i życiu, którego śmierć jest bramą.

— Wiem to, wiem! — westchnęła Amara — Ciemną śmierci bramą wchodzimy w życie nowe i tam wabi nadzieja. Ale, zaprawdę, mnie ona nie wabi! Ach, czemuż nie mogę otworzyć ci serca mego, by spłynęło jak potok górski w toń jeziora, czemuż przynajmniej błogosławieństwa twego za amulet wziąć nie jestem w stanie? Straszniejszą od śmierci jest pieczęć, jaką sobie zamknęłam usta. Muszę tedy iść sama straszną drogą.

— A jednak nie sama jedna! — powiedziała Isidasi z powagą i smutkiem.

Amara spojrziała zdumiona.

— Cóż masz na myśli? Sądzisz, że on mnie namówił?

— Nie sądzę, przestałam już sądzić. To jedno wiem jednak, że nie mądrze postąpiłam, dając ci poprzednio pewną sentencję dla kontemplacji.

— Czemużto?

— Winnam była wybrać inną, a mianowicie tę: Nie poświęcaj nigdy własnego zbawienia dla zbawienia cudzego, choćby to było szczytnym czynem.

Amara cofnęła się o krok zmieszana.

— Cudzego?

— Tak rzekłam, gdyż tak jest.

— Co masz na myśli? Jakżebym mogła poświęcać zbawienie własne?

— Bacz, by się tak nie stało!

— O nie, nie! Czyż bowiem nie słyszałam opowieści? Gdy pan nasz i mistrz, siedząc pod drzewem *bo*, osiągnął oświecenie, odnosząc zwycięstwo, przystąpił doń demon Mara, zły kusiciel i rzekł: Niechże teraz mąż doskonały wstąpi w nirwanę, teraz bowiem jest czas po temu! — Ale mistrz odparł: — Porzuć nadzieję, duchu zły, albowiem poznałem cię. Nie wejdziesz w najwyższą bramę, zanim nie pozyskam słuchaczy słowa mego, mądrych i cnotliwych, którzyby głosili naukę światu. Nie wejdziesz do nirwany, o duchu ciemności, dopóki udręczonej ludzkości nie zostanie dana nauka zbawienia Buddy i otwartą nie będzie brama wieczności! Natenczas zadrżał z radosnego oczekiwania wszechświat, od najgłębszych korzeni piekielnych, aż po rozkwitłe pąki niebiańskie Brahmy. Powstał bowiem zbawiciel świata, najdoskonalszy Budda, który, ocalając siebie, wszystkich ocalił.

— Ocalił się, nabył tej błogiej świadomości, nie tknął jednak, z miłosierdzia dla istot wszystkich, najwyższego owocu, który posiadał tak, że go już nie mógł utracić.

— Tak... z miłosierdzia! — powtórzyła zamyślona Amara.

Isidasi położyła jej dłoń na ramieniu, gestem łagodnym i ostrzegawczym.

— Drogie dziecko moje, bacz pilnie, by nie uwiodło cię chytrze przywiązanie do życia, przebrane w tak pobożną szatę, i nie pociągnęło wstecz ze ścieżki zbawienia, oplątując głębszą jeszcze złudą. Świętym przejęta

strachem sposób zbawienie sercu swemu. Kto przenika z drżeniem nieskończoność czekających go cierpień, ten ma dość do roboty około własnego zbawienia. Gdy należy jeszcze dokonać rzeczy najbliższych, nie pora ogarniać dali.

— Zaiste zadrżało moje serce, — odparła Amara — ale nie z obawy o siebie samą tylko. Zadrżało dziś, jak nigdy jeszcze.

Cofnęła się, wyciągnęła ku zakonnicy splecione ręce i spytała nagle:

— Ach Isidasi, czy kochałaś kiedy w życiu?

— Kochałam to co znikome, a miłość ta znikła, jak przedmiot jej. Również miłość, łącząca nas z wszystkimi istotami cierpiącymi, przemija, jako te istoty przemijać muszą, bowiem wszystko przemija. Jedno jest tylko trwałe i niewzruszalne, mianowicie wtopienie wszelkiej złudy w nirwanę.

Amara wstrząsnęła smutnie głową.

— Przyganiaasz mi, gdyż chcę porzucić prostą drogę do celu, na którą już wstąpiłam, sądząc, że ją opuścić powinnam.

Isidasi patrzyła przez chwilę na dziewczynę z rozwągą i zadumą, potem zaś rzekła:

— Dziecko moje, posłuchaj. Ślad stóp twoich sięga daleko niezmiernie, ginąc nawet dla oka ducha w mgłę pryncypalnego. Droga, jaką masz przebyć, również ściele się w bezmiary falowania światów niezliczonych. Poza i przed tobą, nieskończoność. Ja uszłam taki kawał, że miałam czas nasycić się wędrówką i teraz, poznawszy jej daremność, uciekam z nieskończoności co prędzej na łono wieczności. Możesz atoli powiedzieć sobie: Ponieważ mam przed sobą nieskończoność, pocóż mam się spieszyć i przez zbyt zuchwały skok nad-

wyryżyc nogę, tak że nie będę mogła iść dalej? Przeto chcę kroczyć zwolna i raczej nałożyć trochę drogi, niż narażać się przez zbyt ni pośpiech. Jedno i drugie jest prawdą. Każdy sam musi wybierać. Jeśli mnie jednak spytasz o radę...

— Nie spytam, matko! — przerwała Amara — Nie mogę już pytać o radę... przebac, ale muszę czynić, com postanowiła.

— Słusznie postąpisz. Kroczyć pewnie do celu, bez względu na kierunek, nie trać go jeno z oczu, zachowaj przytomność ducha, nie marz i nie krąż po manowcach, a nie upadniesz. Myślałam — dodała z głębokim westchnieniem — że razem będziemy pielgrzymowały, że będę cię ochraniała i doświadczeniem własnym ułatwiała twe, młodociane kroki. Myślałam, że siedząc o rzeźwym wieczorze u stóp szemrzącego drzewa *bo*, zstępować będziemy razem w głęboką toń nauki mistrza, kędy znajduje pobożny pielgrzym przedsmak wieczności. Tak myślałam, a było to marzenie, jak widzę. Mniejsza z tem. Zbudzona zeń, widzę, że odchodzisz własną drogą i znikniesz mi niebawem z oczu w gęstwach lasu, gdzie śledzić cię będę jeno mogła przecuciem i zaufaniem nieznającym granic.

Amara padła łkając na jej łono.

— O matko! Wierna miłość twoja roztapia duszę moją, zlodowaciała strachem. Pozwól mi płakać na piersi swojej.

— Płacz, dziecko, a ja nie powstydzę się też połączyć łez mych z twojami. Takie łzy umacniają, nie słabiają... pozatem czuję, że płaczemy po raz ostatni razem.

— Jesteś mi więcej niż matką, — westchnęła Amara — albowiem jasnym twym słowem prawdy za-



wdzięczam me urodzenie duchowe, urodzenie na życie, nie zaś, jak tamto, na śmierć. O jakżem ci wdzięczna za to, że ukochane słowa twe nie zwracają się dziś do mnie z surową przyganą, że mnie nie odpychasz, czego się bałam, ale miłośnie dajesz mi dobre słowa na drogę. Nie pójdę przeto sama. A teraz... proszę, umocnij mnie błogosławieństwem swoim!

— Uczynię to, gdyż mogę! — odparła Isidasi i, kładąc dłoń na głowie dziewczyny, dodała: — Błogosławię cię imieniem mistrza doskonałego, imieniem nauki i imieniem zakonu naszego! Idź więc, ukochana córko moja, tam, kędy wiedzie cię duch twój, miej otuchę, rzucaj posiew czynów swoich i zbieraj plony ich. Pamiętaj, że nie ginie w czasie i przestrzeni żaden dobry czyn żyjącej istoty!

Isidasi odeszła zwolna aleją, będącą przedłużeniem drogi, wiodącej od miasta ku brzegowi jeziora, gdzie miała dokonać czynu miłosierdzia w jednej z nędznych chat rybackich, przed przybyciem na uroczystość, której teraz bała się podwójnie. Korzystając z odwiedzin króla w nowej wiharze, najusilniej ostrzegęła go przed zdradą, ale było to daremne, jak zresztą wiedziała zgóry, znając usposobienie Narady. Powiedział, że przystoi mu raczej zginąć przez zdradę, niż podejrzeniem uczynić krzywdę bratu. Nie miała namacalnych dowodów dla uzasadnienia podejrzenia, które było dla niej wprost pewnikiem. Ale polegało ono jeno na intuicji, obudzonej przychlebnymi słowami Ajatasattu, zapraszającego ją na ucztę. Pewna była, że człowiek ten knuje zdradę (i dlatego nawet przyjęła zaproszenie), ale nie mogła przekonać króla, iż nie krzywdzi brata podejrzeniem. Dołączyła się do tego sprawa z Amarą. Odstąpiła od chęci zostania zakonnicą, ale

nie w celu połączenia się z księciem, nie w celu życia. Cóż to mogło znaczyć? Cóż to była za pieczęć, nad śmierć straszliwsza, którą zamknęła usta swoje? Trudno było łączyć szlachetną dziewczynę ze zdradą i zbrodnią, mimo to jednak przeczuwała tu Isidasi związek i to straszniejszy, niż mogły ogarnąć jej myśli. I tutaj zaś była skazana na niemoc zupełną.

Szła tedy z ciężkiem sercem, tak smutna jak nigdy i jak nie przystało być właściwie zakonnicy Buddy, mającej opinię świętej.

Amara patrzyła za nią, umocniona jej słowami, a śmiertelnie smutna zarazem.

Słońce zeszło już nisko, a fioletowe cienie pni drzewnych leżały regularnymi pasami na pozłoconej promieniami drodze. Wydawało się Amarze, że zakonnica wstępuje na nieskończenie długą drabinę, która ją od niej oddala na zawsze. Zadumana, nie spostrzegła orszaku dworskiego, nadchodzącego od strony gaju mangowego zakonnicy, i złożyła parze królewskiej ukłon dopiero, gdy byli blisko, a Mahamaja rzekła jej łaskawie:

— Duszo marzycielska, nabierz otuchy i nie patrz tak tęsknie za zakonnicy. Możesz iść jej śladem. Życzenie twoje spełnione, wyrobiłam ci zezwolenie.

— Dziękuję serdecznie, o królowo... — odparła zmieszana Amara i urwała, jakby szukając daremnie słów.

— No i cóż? — spytała zdumiona Mahamaja.

Ale ojciec jej, wyraźnie wzruszony, objął tymczasem córkę i powiedział:

— Drogie moje, jedyne dziecko! Daleki jestem od stawiania wbrew zbawieniu twojej duszy. Zostanę bardzo samotny, ale jeśli serce twoje tak bardzo pożąda tego...

— Nie ojcze, ... — przerwała mu Amara — powzięłam inną decyzję.

— Co powiadasz? — zawołał Baku — Czyż dobrze słyszę? Zostaniesz tedy dalej ze mną? Nie odejdiesz?

Radość ojca dotknęła Amarę boleśnie, a gdy wyrzekł powtórne słowa: Nie odejdiesz?... omal nie wybuchnęła płaczem. Po chwili odparła wymijająco i z wahaniem:

— Nie wstąpię już do zakonu sióstr.

Upojony radością ojciec przycisnął ją do piersi i ucałował.

— Błogosławię ci i dziękuję, dobra jesteś, Amaro! Jednym słowem przywracasz mi szczęście.

Amara wysunęła się jednak zaraz z objęć ojca i powiedziała rozpacznie, z błagalnym gestem:

— Nie mówże tego, ojcze drogi, nie mów tego!

— Czemuż nie? — spytał, a zwrócony do króla i wodza, dodał — Córnka moja nie odejdzie, ale zostanie w rodzicielskim domu.

— Ach ojcze, — powiedziała — czyż obecność moja może cię tak uszczęśliwiać? Masz swoją sztukę, ona ci starczy za wszystko i nigdy nie opuści.

— Tak, tak, mam ją, drogie dziecko, ale to sroga i kapryśna wielce władczyni, sprawia wiele troski i często odwraca się od nas starych ku młodszym. Tyś mi zaś jeno radość dawała. Nie będzie ci też brak nabożnych sióstr, bo wszakże bywają ciągle u nas. Od dziś, codziennie gotować każę ryż dla stu zakonnic.

Mahamaja, stojąca opodal, zmierzyła Amarę ponurem spojrzeniem i rzekła podejrzliwie:

— Był tu książę Ajatasattu! Może jemu to przypisać należy tę zmianę planów twych, Amaro?

— Książę... o, nie — wyjąłła Amara — skądżeby?

Była widocznie bardzo zmieszana. Chcąc jej do-  
pomóc, spytał król Narada:

— Gdyby on tego dokazał, winniibyśmy mu  
wszyscy podziękę, albowiem już taka słabość ludzka,  
że chociaż wiemy, jako zbawienie leży w wyrzeczeniu  
się, to jednak, ile razy ktoś z bliskich osób wstępuje  
na tę drogę, uczuwamy żal, miast radości.

— Sądzę, o królu, — rzekł Mahimsasa, — że chociaż  
nasza Amara pozostanie w domu, nie zrzuci białych  
szat i będzie żyła wedle swej woli, to osiągnie cel swój,  
czyli zbawienie duszy, krocząc jeno powolniej, ale nie-  
ustannie, tą samą ścieżką.

— To prawda, wodzu! — przyznał król, kiwając  
życzliwie głową i uśmiechając się.

— Słońce zachodzi już, — powiedziała Maha-  
maja — a brat twój czeka naszego przybycia.

— Ano, to nie dajmyż mu powodu do niecierpli-  
wości! — odparł małżonek.

Para królewska odeszła wraz ze świtą do pałacu,  
a dwaj bracia zostali z Amarą na placu przed stupą.

— Nie pójdziesz chyba na ucztę, moje dziecko?  
— spytał Baku.

— Pójdę, ojczy drogi. Proszę cię, powiedz słu-  
żebnym, by mi przysposobiły co najpiękniejsze szaty  
i najcenniejsze klejnoty. Idź przodem, ojczy, ja zaś  
muszę pomówić o czemś jeszcze ze stryjcem.

— Ze mną? — spytał radośnie zdumiony.

— Tak, to sekret.

— Zapewne żart jakiś! — domyślał się Baku —  
Jakże zmieniona jesteś od chwili, droga Amaro!

Amara słyszała zaledwo, co mówi. Stała opodal  
zatopiona w myślach, zaś Baku ją szeptem rozmawiać  
z Mahimsasą.

— To miłość, wierz mi! Chce się spodobać księciu i żąda najpiękniejszych szat.

— Jakto? Księciu? — rzekł boleśnie dotknięty.

Baku potwierdził rozpromieniony.

— O, dawnom to już spostrzegł, a zdaje mi się, że Ajatasattu również... sądząc po zachowaniu jego... hm, któż wie, może droga, karmą przepisana, zawiedzie ją nie do klasztoru, ale do niedaleko odeń stojącego pałacu?

— Niechże ją od tego chronią bogowie! — zawołał przerażony wielce Mahimsasa i dodał, marszcząc czoło i potrząsając głową: — Księżę zdawna mi się nie podoba, a gdy pomyślę, że mógłby zostać mężem naszej drogiej Amary...

— To prawda! — przyznał Baku — Nie przeczę, ... księżę ma w sobie coś... dzikiego... coś że tak rzekę... niesamowitego i różni się wielce od brata, łagodnego, zamilowanego w sztuce Narady, którego niech strzegą bogowie. Ale często bywa również wspaniałomyślny, a jeśli go kocha Amara, nie może być człowiekiem złym. Przytem nawrócił się właśnie i został wyznawcą prawdziwej nauki.

— Prawda... i to nader szybko się nawrócił! — zauważył podejrzliwie Mahimsasa.

— Tak to bywa u ludzi, jak on popędliwych! — uspakajał go Baku. — My, artyści, znamy się na tem! — potem dodał nieco pyszałkowato, wskazując posąg Buddy w niszy stupy. — Sam powiedział, że widok tego posągu obudził w nim lepszą stronę natury. O, cóż to dla mnie za podniosła świadomość, jakież nieoceniony dowód, iż dokonałem istotnie pięknego dzieła... a może też dowód...

Mahimsasa położył dłoń na ramieniu brata i rzekł, przerywając pełne nadziei słowa:

— Posąg jest w istocie piękny, ale nie czyń zeń drogowskazu, bacząc, by próżność nie spaczyła twego sądu, tam gdzie idzie o dobro jedynej córki twojej.

— Masz zapewne słuszną! — odparł Baku po krótkim namyśle — Zawsze prześcigałaś mnie rozsądkiem i wiekiem, bracie mój. Pamiętny twej przestrogi baczył będę na Amarę z otwartymi oczyma, albowiem miłość śni, a sny te niezawsze są prorocze! — potem zwrócił się do córki, mówiąc — Dobrze, drogie dziecko, spełnię twe życzenie i zastaniesz wszystko przysposobione! — to rzekłszy odszedł.

— Cóż mi masz tedy powiedzieć, Amaro? — spytał wódz, gdy zostali sami.

— Powiedz, stryju, naprzód, czyś naprawdę zadowolony, że nie wstąpiłam do klasztoru?

— Tak. Martwiła mnie ta myśl. Król słusznie powiedział, jesteśmy wszyscy nierozsądni.

— Radbyś zatem pewnie zrobić mi dziś przyjemność.

— Z całego serca.

— Zdawna pragnęłam — powiedziała nieśmiało — nosić kamień, który masz u przepaski na czole.

— Kamień węzowy?

— Tak, kamień świecący w ciemności — a właśnie przy dzisiejszej uczcie chciałabym go mieć.

Stary wódz przerwał jej z uśmiechem:

— Zaprawdę, łatwiej przewidzieć atak poczwórnych szeregów nieprzyjacielskiego wojska, niż zmianę upodobań dziewczyny, która raz chce golić sobie włosy, to znów pragnie w nie wpleść najdrogocenniejszy klejnot.

Amara odpowiedziała również uśmiechem i, gładząc brodę stryja, rzekła:

— Zaprawdę, łatwiej takiemu, jak mój, bohater-skiemu stryjowi przepędzić na cztery wiatry poczwórne szeregi wojsk nieprzyjacielskich, razem z piechotą, jazdą, wozami i słońmi, niż odrzucić tę małą prośbę swej bratanicy!

— Jak ty umiesz pochlebiać? — zaśmiał się Mahimsasa — Mała prośba? Czy wiesz, dziecko, że kamień ten nie opuścił mnie na chwilę, od kiedy go zabrałem królowi węzów, z ciemnej groty skalnej.

— Wyolbrzymiasz, stryju, doniosłość mej prośby, by uczynić tem większym swój dar, a przecież to jeno pożyczka! — żartowała Amanda — Powinienbyś się wstydzić swego skąpstwa.

— Bądź cierpliwą, dziecko! Będziesz miała dziś wieczór ten klejnot.

— O dziękuję ci, stryju! — zawołała, obejmując go porywczo.

— Czy nie jestem dobrym stryjem?

— Nie będziesz, zaprawdę, narzekał na mą niewdzięczność. Ale trzeba, byś wpiął do opaski inny kamień. Czy nie masz podobnego klejnotu, któryby mógł zmylić bacność obecnych na uczcie?

— Mam właśnie taki kamień! Chowam go w skrytce skarbcza i nikt o nim nie wie. Podobny jest ludzaco do kamienia węzowego i pochodzi z tejże samej groty. Wprawiony był w dno jaspisowej cysterny, misy ofiarnej, w którą, jak ci mówiłem, wkładano czaszki dzieci na żer dla króla węzów. Po zabiciu gadu rozbiłem tę misę żelazną maczugą, a kamień potoczył mi się do stóp. Zabrałem go, gdyż był do tamtego bardzo podobny i mógł posiadać własności ochronne przeciw

broni i truciznie. Przekonałem się, że świeci słabo, ale tem skrzętniej ukryłem go, bo mógł mi służyć na wypadek zgubienia, lub skradzenia pierwszego kamienia. Na świecie tym, drogie dziecko, nie ocenia się rzeczy wedle ich wewnętrznych wartości, ale głupcy sądzą jeno z pozorów. Wśród ciemnej nocy wydałoby się, oczywiście, wszystko, bo kamień bliźniaczy posiada blask nader słaby.

— Okaże się tedy, — zawołała triumfalnie Amanda, — kto z nas posiada kamień cudotwórczy!

— Ciesz się to, swawolnico? — roześmiał się Mahimsasa — Ale nie bądź tak pewną siebie! Podczas uroczystości będzie tyle lamp i pochodni, że o ciemności niema mowy. Jednak chodźmy już, gdyż możemy się spóźnić.

W tej chwili zabrzmiał od strony gaju chóralny śpiew zakonnic. Amara słuchała, drżąc i tuląc się do stryja.

— Nie, nie, — powiedziała — zostanę jeszcze dla odprawienia modłów przed posągiem Buddy. Spójrz, jak błyszczy w ostatnich promieniach słońca, i posłuchaj tego śpiewu. Ach, drogi stryju, mam wrażenie, że zakonnice wzywają mnie, skazaną na zagładę siostrę swoją! Jakże się boję... jak mi smutno...

— Cóż ci to, dziecko? Skądże miałabyś być skazana na zagładę?

— Drogi, kochany stryju, proszę, zostaw mnie samą! Serce me topnieje od zaziemskiego cierpienia!

— Ulżyj mu tedy modlitwą! Odchodzę już, a w domu zastaniesz klejnot, wraz z szatami swemi.

— O tak! Nie zapomnij i nie zamień przez pomyłkę klejnotów! Bardzobym się gniewała!



Mahimsasa pochylił głowę do oczu Amary i rzekł:

— Spójrz sama! U góry, z lewej strony posiada prawdziwy kamień małą szczerbę od cięcia miecza, którym odrąbałem głowę kobry. Czyś już pewna?

— O, serce me pełne jest wdzięczności i miłości dla ciebie, stryju! Pocałuj mnie, jak to czyniłeś nieraz dawniej, gdy dzieckiem siadywałam na twych kolanach... czy pamiętasz? Wówczas, na usilne prośby dawałeś mi do zabawy swą opaskę czołową z kamieniem.

Na te słowa doznał stary wódz strasznego przecucia i zjawił mu się cień przerażonej tygryziej groty. Ile razy bowiem igrała Amara z kamieniem, czuł, że zagraża jej jakieś wielkie niebezpieczeństwo.

— Niechże cię chronią moce niebieskie! — rzekł, całując ją serdecznie i kładąc dłoń na jej głowie.

Mahimsasa poszedł potem żywo aleją ku pałacowi swemu, ale rychło przystanął i obejrzał się wstecz. Ze łzami w oczach zobaczył Amandę, stojącą u posągu Buddy, okrytą jedwabnym, powłóczystym płaszczem, który lśnił złoto w słońcu. Kiedy tak patrzył, promienie otoczyły jej postać glorią świętości. Wzruszony, stary wódz szepnął do siebie:

Pół-dziecko jeszcze, jako święta oto stoi,  
To słońko jest starości mojej.

Potem odszedł, stąpając ciężko.

Amara, zasluchana w śpiew, stała nieruchomo, szepcąc bezwiednie, w ślad krystalicznie czystego hymnu:

— Z za mętnych fal czarnego śmierci morza  
Płynie ta pieśń, jak wieść zaświatów boża.

Westchnęła ciężko, załamała ręce, klękła pod posągiem Buddy, a uczucia jej popłynęły falą żarliwej modlitwy.

— O mężu, który, jeszcze żyw, rozkoszyś sięgł nirwany,  
Na świat ten biedny nasz spojrzaleś litościwie,  
Od niebaś wrócił bram, by głosić prawdy wiary,  
Ty dzisiaj spojrzeć racz na biedne serce moje.  
Ocalić pragnąc go, omijam port bezpieczny,  
Nie płynę z falą dusz brzemienia wolnych ziemi,  
Ze szczęśnych zbaczam dróg i ster mej wątłej łódki  
Kieruję mężnie tam, gdzie śmierci głębie zieją.  
Litośnie na mnie spójrz i żal mój zważ, o Panie,  
Niech serce jego dziś od grzechu się odwróci,  
Niech będzie wolna dziś od szału jego dusza,  
Lecz nie bierz, nie bierz mnie tam, gdzie jest pokój wielki,  
Gdyż nie sięgłby mnie tam i został sam na ziemi!  
A raczej krocmyż wraz, przez długie wcieleń wieki,  
Przez cierni pelen świat i, walcząc razem krwawo,  
Oczyszczeń ciągłych tok spełniajmy razem tu...  
Aż kiedyś stanem tam, gdzie rozkosz wielka żywie  
A czysta, święta jaśń ogarnie wkońcu nas.

---

## ROZDZIAŁ TRZECI.

### Amanda bierze jeńca.

**K**artki rękopisu wypadły z rąk Amandy i złożyła bezwiednie dłonie do wspólnej z Amarą modlitwy, do prośby, będącej wyrazem jej własnych pragnień.

Tak było w istocie. Modlitwę ową odczuła, jak wspólne koryto niosące falę wzruszeń dusz, jednej i drugiej. Modlitwa ta, której starzy Hindusi przypisywali moc cudotwórczą, była nicią, łączącą je wraz, poprzez niezmierne oddale czasu, dawała jakąś dziwną, nieomylną pewność tożsamości, a to w czasie i przestrzeni jednej, oraz tych samych, a tak różnych jednocześnie warunkach życia.

Były te same, a inne, dla Amandy inne zgoła i straszne. Amara mogła działać. Jakże mogła atoli wystąpić czynnie Amanda? Amarze dawało zdolność działania to, że wiedziała wszystko. Cóż zaś wiedziała ona? Krążyła w ciemku omackiem. Wykraczało, cò-prawda, poza proste przypuszczenie to, że Edmund spotkał się wczoraj nocą z rani, pod pozorem lampki Lakszmi, podobnie jak swego czasu Ajatasattu z królową. Wyczytała jasno potwierdzenie w niedyplomatycznym zachowaniu Artura, w chwili kiedy zajaśniało płynące światelko. Czyż atoli nie był to jeno wpływ sugestji z czasów dawnych, gdy sądziła, że Edmund

zamierza pozbawić władzy radzę i Kala Ramę. Dwa jeno momenty potwierdzały podejrzenie. Po pierwsze, tajna rozmowa Edmunda z Czandrą Singhiem, świadcząca o wspólnym jakimś planie, jaka miała miejsce w bungalowie. Powtóre zaś, własne słowa Edmunda, w których przytaczał napoly żartobliwe wezwanie Byrona, by jechał do Indyj po koronę, należną potomkowi radżów. Mówiąc to, miał w orientalnych oczach swych jakby błysk diamentów radżowskich, a w kątach jego ust był taki wyraz, jakby chciał zapewnić: — O, to się rychło stać może! — Jakże nikle były atoli owe przejawy pod kątem widzenia trzeźwego rozsądku, bez przymieszki fantazji?

Siedząc tak zatopiona w dumaniach, posłyszała nagle szybkie kroki. Rozchyliła ręką pasma bambusowej firanki i wyjrzała. Artur wynurzył się z gęstwy ogrodu i zmierzał wprost do kiosku. W pierwszej chwili odczuła to, co każda dziewczyna, zaskoczona w samotni przez człowieka kochającego, którego lubi, lecz nie kocha, a ciągle musi trzymać na wodzy jego miłosne oświadczyzny. Ale uspokoił ją co do tego wyraz jego twarzy. Był tak wzburzony, że błysła jej możliwość zdobycia żeń czegoś, z czemby się, jak wczoraj, zdradził bezwiednie.

Zdołała ledwo zebrać i zamknąć kartki rękopisu, zanim wszedł.

— Przepraszam za napaść, — powiedział — ale szukałem pani wszędzie i przyszło mi na myśl, że tutaj panią zastanę. Mam wielką prośbę! Błagam, by pani nie szła dziś wieczór na festyn dworski!

Amanda osłupiała ze zdumienia. Cóż to mogło znaczyć? Czyż natrafiła na drogę poznania, poszukiwaną właśnie?

— Czemuż to żądasz pan, panie Steel, bym się wyrzekła tej przyjemności? — spytała — Iluminacja staroindyjskiego parku królewskiego... to musi być coś niesłychanego! Jakiż powód?

Kręcił w rękach swój kapelusz panamski.

— Obawiam się o panią! — powiedział — Uroczystość orientalna, to nie jest rzecz dla kobiet. Może tam zdarzyć się niejedno, ścisk będzie wielki, padną salwy, jakiś muszkiet może być nabity ostro.

— Nie jesteś pan szczery, panie Steel.

Dla człowieka szczerego jest sprawą podwójni, przykrą, gdy zostanie schwytany na nieszczerocie zwłaszcza jeśli czyni to kobieta kochana.

Artur splonął rumieńcem, ale stawiał czoło jej podejrzliwemu spojrzeniu.

— Nigdy nie byłem szczerzy, panno Eichstädt, i nigdy nie powiedziałem wyraźniej, że powoduje mną bezpieczeństwo pani. To powód jedyne, a jeśli pani nie wierzy...

— O, wierzę panu, o ile idzie o mnie. Nie mogę jeno zgodzić się na to, by powodem obawy miał być taki ogólny charakter uroczystości orientalnych. Motywem pańskiego żądania musi być specjalny, a znany panu charakter dzisiejszej właśnie uroczystości.

— Nie rozumiem doprawdy... — bąknął Artur, czując z rozpaczą, że czerwienieje coraz to bardziej, a jednocześnie wiedząc, jak w nocy, z racji pływającej lampki, iż Amanda przeczuwa coś, choć trudno mu było zgadnąć, jak się to stało.

— Nie rozumiesz pan? — rzekła z powątpiewaniem — Szkoda, że nie znasz pan początku wczorajszego opowiadania Kala Ramy. Otóż mowa tam pokrótce o spisku, jaki zorganizował Ajatasattu na pew-

nym, małym dworze pendżabskim, celem pochwycenia władzy. Stało się właśnie podczas takiej, jak dzisiejsza, nocnej uroczystości. Ale wierni radzy wzięli górę, a księżę ledwo uszedł z życiem. W tego rodzaju obchodach istotnie damom uczestniczyć nie wypada, przyznaję to w zupełności.

Zmieszanie i milczenie młodzieńca było aż nadto wymowne. Nie śmiał patrzeć w oczy Amandzie, która skorzystała też niezwłocznie z odniesionego zwycięstwa.

— Wiesz pan doskonale, że będzie to właśnie an logiczna uroczystość. Powiem teraz panu, co wiem, a skąd się dowiedziałam, to rzecz obojętna. Sir Trewelyan kocha rani i posiada jej wzajemność. Ma też na dworze stronników, niezadowolonych z reform Kala Ramy. Bramini podają go nawet za wcielenie Ramy. Wczorajszej nocy spotkał się z rani w ruinach, podczas ofiary pływającej lampki, i uradzili zapewne, że mina wybuchnie podczas festynu. Nie rozumiem tylko, jak mógłś pan wziąć w tem udział i żał mi pana bardzo.

Potem dodała z nagłym wybuchem humoru, którym się posługiwała w najtrudniejszych momentach:

— Patrząc na pana, wspominam słowa Moliera: *mais que diable allait-il faire dans cette galère?*

Artur podniósł głowę i spojrzał na nią dobroduszenie.

— O panno Amando, jeśli o to idzie, czemu... — urwał zagryzając usta.

— Cóż pan chciałeś powiedzieć? Proszę o ciąg dalszy! — rzekła z gryzącą ironją.

Ale Artur stał w milczeniu, nie śmiejąc podnieść oczu.

— Proszę o pańską szpadę! Jesteś pan moim jeńcem! — zawołała.

Żartowała i musiała przybrać ten ton, by nie wybuchnąć płaczem. Aż dotąd żywiła nadzieję, że Artur

znajdzie jakieś objaśnienie, które wszystkie obawy przemieni w grę wyobraźni. Teraz atoli, potwierdził zamierzaną zbrodnię Edmunda tak, jakby to uczynił w wyraźnych słowach. Stało się tedy jak myślała... smutny, zaiste, odniosła triumf. Ale wiedziała nakoniec i stanęła przed zadaniem czynu. Był to, coprawda, czyn mały, w porównaniu z heroicznem poświęceniem Amary, ale nic innego uczynić nie mogła.

— Jako jeniec mój — powiedziała — musisz pan pójść ze mną, niezwłocznie do Kala Ramy. Należy go przestrzec.

Artur zatoczył się niemal pod naporem radości. Nie kochała Edmunda, jak się tego obawiał! Jakżeby go inaczej mogła wydawać w ręce przeciwników? A może nie uświadamiała sobie skutków tego kroku?

— Edmund znienawidzi panią! — wybuchnął bezwiednie i zaraz pożałował tych słów.

Amanda zbladła. To więc była ofiara, ofiara serca. Amara oddała niejako ciało swe, jak małżonka na stosie ukochanego męża, ona zaś musiała wyrwać własne serce z piersi i cisnąć je na stos ofiarny sprawiedliwości, a potem żyć dalej bez serca, bez słońca w chłodzie i mrokach. Jakże proste było, z pozoru niebohater-skie, a nawet niskie, nikczemne zdradzenie kogoś i wydanie na łup. Jeśli się jednak kocha człowieka zdradzonego, cóż za straszny to czyn!

— Czy mnie znienawidzi, czy nie, — powiedziała stanowczo — muszę zapobiec zbrodni i ostrzec Kala Ramę. Niema chwili czasu do stracenia i dlatego musi mi pan towarzyszyć. Najkrótsza droga wiedzie wpoprzek zatoki, ku miejskiej przystani, skąd kilka jeno minut drogi mamy do pałacu ministra. Musimy wsiąść tu w czółno, a sama wiosłować nie potrafię.

Artur spostrzegł w okamgnieniu, w jak fatalnem świetle stanie, towarzysząc Amandzie, a odmawiając, podkreśliłby jeno swe mimowolne wyznanie. Z drugiej strony, spełniając jej życzenie, mógł osiągnąć to, czego chciał, mianowicie, by nie poszła na festyn. W ten sposób, jak wiedział, uniknie niebezpieczeństwa. Mogło ją jeno spotkać coś w drodze, gdyż pospólstwo, mające za parę godzin podpalić budynek szkolny, było tak rozjątrzone przez braminów, że każde pojawienie się Europejczyka było zdolne doprowadzić do wybuchu nienawiści. Tem więcej właśnie, nie mógł opuścić Amandy, przeto powiedział:

— Dobrze, jadę z panią.

Włożyła szerokoskrzydlny kapelusz i zadecydowała:

— Chodźmyż tedy!

W tej chwili usłyszeli od strony bungalowu wołanie: Panno Amando! Panno Amando!

— To moja służąca! — powiedziała — Uciekajmy co prędzej!

Ale było już za późno.

Zaledwo wyszedł z kiosku Artur, zapytała go Barbara, czy nie widział Amandy. Mimo, że zaprzeczył, niegrzeczna Szwabka wpadła do kiosku i rozchyliła onergicznie bambusową firankę, którą zwała lekceważąco tingel tanglem.

— Pewna byłam, że panienka tu siedzi! — zawołała — Dzięki Bogu, znalazłam na koniec. Czas najwyższy ubierać się!

— Jakto? Na festyn? Czy już tak późno?

— Czy późno? Wszakże za domem czekają już przysłane z dworu słonie. Dziękuję Opatrzności, że nie muszę wlaźć na takie bydlę. Czekają, coprawda, bardzo cierpliwie, ale za godzinę muszą ruszyć, a nie



jest to wcale za dużo czasu na przyzwoite ubranie. Te czarne bestje winny zobaczyć, jak wygląda w paradnym stroju uczciwa chrześcijanka! Cóż znaczą wisiorki diamentowe ich żujących betel kobiet... dużo tego, ale...

— O, wielkość moich również nie może się z tamtymi równać! — przerwała Amanda ze śmiechem potok wymowy garderobianej.

Barbara wzięła się pod boki i spojrzała ze skrytym uśmiechem na swą panią.

— Tak panienka sądzi? — spytała — To chyba panienka nie wie, co przywiozły słonie... w podarku od tego wysokiego pana, który tu był wczoraj.

— Od ministra Kala Ramy?

— Tak, zwą go tutaj ministrem! — potwierdziła Barbara, parskając wzgardliwie -- O, wiem ja, jak wygląda prawdziwy minister, i nie pozwolę się wodzić za nos temu poganinowi. Musi być, coprawda, bogaty, i hojny wielce. Pomagałam panu profesorowi otwierać pakiet i cóż tam było... ha? Oto taki wielki, żółty diament... to podarek... ma go panienka wpiąć we włosy, idąc na festyn. Powiada, że się wczoraj przekonał, jak panience w nim do twarzy... tak napisał... pan profesor czytał mi list.

Artur nie umiał po niemiecku, przeto Amanda przetłumaczyła mu zdumiewającą wieść Barbary.

Artur otworzył ze zdumienia oczy i potrząsnął głową.

— Czyż nie miałem racji? — powiedział — Coś go napadło. W ciągu dwu dni rozdarował dwie fortuny.

Zagadka finansowa była, mimo wszystko, najtrudniejszą do rozwiązania dla dzielnego Szkota.

Amanda zmarszczyła w zadumie brwi:

— Idź, idź, Barbaro! — powiedziała — Zaraz przyjdę do domu.

Barbara wstrząsnęła z niedowierzaniem głową i przez chwilę spoglądała to na jedno, to na drugie.

— O ile panienka znowu nie zapomni, że czas upływa! Tak to bywa zawsze z młodymi!

Niechętnie opuszczała tę parę. Jak ewangelja jasnym było, że ten młodzik zakochany jest w jej pani po uszy. Miała dużo do zarzucenia temu Anglikowi, nie umiejącemu nawet po niemiecku, przyznać jednak musiała, że wygląda przynajmniej jak uczciwy chrześcijanin, i nie ma tak murzyńskiej gęby, jak ich gospodarz, którego się nawet mocno bała. Ciągłe ją trapił strach, by ten sir Edmund nie sprzątnął jej z przed nosa panienki. Ale nie rada była oddawać również swego skarbu młodzikowi, który, jak wiedziała dobrze, był bez grosza.

— Tak, tak! Młodym pstro w głowie! — zartowała Amanda — Ale nie bój się, Barbaro, tym razem nie spóźnię się ani o minutę!

— Czy to ma być prawda? — spytała uparta Szwabka.

— Wygląda na prawdę! — odparła zniecierpliwiona trochę — Idźże, Barbaro, prędko przysposobić wszystko.

Na tak wyraźny rozkaz swej pani, Barbara odeszła co prędzej.

— A teraz do czólna! — zawołał Artur.

— Nie, nie, rozmyśliłam się! — powiedziała Amanda — Jest później, niż sądziłam, i brak już czasu na wykonanie planu. Możemy nie zastać Kala Ramy w pałacu, a cóż pocniemy w takim razie? Niesposób iść, jak jesteśmy na festyn, bo gdyby nas nawet wpu-

szczono, powzięto by podejrzenie. Nie, musimy wdziac strój uroczysty i iść wszyscy razem.

— Ależ, panno Amando... błagam... niech pani nie idzie na ten festyn! — zawołał Artur zrozpaczony, że wraca to, czego się obawiał i co uważał już za usunięte.

— Muszę! Tam tylko spotkam na pewno Kala Ramę, a konieczność podziękowania mu za podarek da mi sposobność dociśnięcia się doń. Skorzystam z tego, by go zawiadomić o tej ważnej sprawie.

Wybiegła z kiosku, ale Artur przytrzymał ją za ramię.

— Nie... nie! — powiedziała — Znasz mnie pan na tyle chyba, by wiedzieć, że gdy coś postanowię...

— Ależ spełnię wszystko, czego pani żąda, jeśli tylko zechcesz pani pozostać bezpiecznie w domu. Oddam Kala Ramie list pani...

Potrząsnęła głową.

— Nie... dziękuję...

— Poświęcam pani własny honor, gdyż jest to rzecz gorsza, niż jechać z panią do ministra! Ale czynię to chętnie, byle panią uchronić...

Amanda uściśnęła wzruszona dłoń jego.

— Dziękuję panu... dziękuję z głębi serca! — powiedziała — Ale przyjąć nie mogę...

— O, może pani... musi nawet!

— Nie mogę. List nie wystarczy. Muszę koniecznie pomówić z Kala Ramą osobiście! Muszę...

Westchnąwszy ciężko, puścił Artur małą, miękką rączkę, której uścisk przejął go przed chwilą ciepłem od stóp do głowy, i poszedł w milczeniu za Amanda, w stronę bungalowu.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

---

### **Bramin — lew i Radżputanin — tygrys.**

**W**ydłużyły się cienie drzew, stały dłuższe i bardziej purpurowe, liście lśniły mocniej, a z kielichów kwiatnych biła upojniejsza woń. W obrzeżonych marmurem stawach i kanałach, pełnych nenufarów, czerniała woda. Kamienie błyszcząły złoto, drzemały na balustradach zwoje listnych festonów, pięły się po schodach, oplatały filary kiosków i zwieńczały szeregi ław, amfiteatralnie ustawionych a przeladowanych mozolnie i drobiazgowo rznietą ornamentacją. Wszystko było stare, nadwężone i napoły zwietrzałe, jak zawsze w Indjach, gdzie nie konserwuje się niczego. W prastarej części królewskiego parku nie stało już miejsca na nowe budowle.

Przed jednym z amfiteatrów, wciętym w podstawę terasy, widniały dwie grupy czekających ludzi, oddzielone wyraźnie od siebie, szerokim portykiem wiodącym dookoła, przypominającym arenę, oraz aleją wysokich kasztanów. Po prawej stali bramini z obnażonemi głowami, w białe płaszcze odziani, po lewej zaś wojownicy w jaskrawych, radżputańskich szatach, zielonych turbanach, połyskujących przystrojach z klejnotów i powiewnych piórach.

Uzbrojeni byli od stóp do głów, pod pozorem dania obcemu sahibowi obrazu staro-radźputańskiego stroju rycerskiego. Widać tu było włócznie, tarcze, flinty arabskie, krzywe, sadzone kamieniami miecze, migotliwe naszyjniki, srebrem wykładane pancerze, a miejscami nagoleniki skórzane, o złotych guzach. Ale zarówno pod względem wspaniałości, jak i wojennego uzbrojenia górował nad wszystkimi dowódca gwardji Czandra Singh. Od szyi do końca stóp okrywała go siatkowa zbroja o przedziwnie drobnych oczkach, przepasana jeno karmazynową szarfą i przysłonięta białą, faldzistą, podobną do albańskiej, spódniczką, którą to, czysto radźputańską część składową odzieży miało na sobie także wielu jego towarzyszy. Potrójny sznur surowych niemal klejnotów ozdobił i chronił jednocześnie szyję jego, a wielka, tygrysia broda, wyczesana i upomadowana była tak, że każdy włos tkwił niby żołnierz w szeregu.

Naprzeciw niego stał na czele braminów arcykapłan Govind Narayan. Bramin-lew, jak go nazwała rani, nie przynosił wstydu imieniowi swemu. Olbrzymia, gęsta lwia grzywa, spadała mu na uszy, łącząc się z wielką brodą, nie spływającą patryjarchalnie na piersi, ale uciętą równo pod podbródkiem. Szerokie jego czoło szpecił znak Wisznu, to jest trzy pionowe kreski, w środku czerwona, a dwie boczne białe, połączone u spodu łukiem o krótkim trzonku. Wyglądało, jakby miał na nasadzie nosa trójramienny stroik do instrumentów. Ten znany symbol trzech kroków Wisznu nadawałby nawet dobroduszej twarzy wygląd straszny, tu zaś miał w sobie jakąś szatańską cechę i czynił oblicze żadnego władcy kapłana wprost demonicznym. Chmura gniewu leżała na tem czole w chwili, gdy Go-

vind Narayan postąpił ku lewej grupie i władczym gestem wezwał do siebie Czandrę Singha.

Czandra Singh nie zaraz usłuchał rozkazu. Obok niego stał zausznik Pertab, jeszcze bardziej, o ile można było, wojowniczo przybrany, obyczajem osób nikłych i koślawych, nadrabiających strojem. Niezdarna jego figurka tkwiła w łuskowym pancerzu, zaś na głowie miał wielki hełm staro-afgańskiej roboty, kryjący jego naoliwione, przycięte za uszami włosy, tak że wydał się Amandzie potem, gdy go ujrzała, teatralnym, zbyt ciemno uszminowanym Ryszardem III. I on też uczynił krok, chcąc towarzyszyć swemu panu w groźnej chwili, ale gdy dostrzegł drgnienie stroika na czole arcykapłana, cofnął się szybko do pierwszych szeregów Radźputan, jakby usłyszał energiczne: Precz! Z trwogą, zuchwalstwem i mrukliwą służalczością jednocześnie podszedł Czandra Singh do arcykapłana, oddał głęboki ukłon i dotknął czoła końcami palców.

— O, Ram... Ram! — szepnął prastarym obyczajem radźputańskim, pozdrawiając przedstawiciela Kryszny — Cześć i uwielbienie najczcigodniejszemu, ukochanemu przez Krysznę, świętemu, w niebie zrodzonemu, wzrokiem słońca obdarzonemu... Cześć! Cześć!

— Tak... cześć... cześć... łatwo to mrużyć pod wąsem jak twój! — odparł bramin drwiąco, głosem, w którym brzmiał tajony gniew — Sądzisz pewnie, Radźputanie, że Kryszna to kawałek pomalowanego drzewa, obwieszzonego klejnotami i zawiniętego w złoty brokat, który na żarty obnosimy po krużgankach i kąpiemy w świętym stawie?

— Jakże możesz tak żartować, o czcigodny! — rzekł Czandra Singh, odwracając napoly błagalnie

trwożne oczy w stronę gdzie, jak sądził, stoi jego poplecznik i doradca.

— Dobądźno własnego języka, kłamco jeden, — roześmiał się Govind Narayan — a zostaw gładko-ustego szakala pośród wilków. Mów, co masz na swoją obronę, ale pamiętaj, że nie żartuję, jak się o tem przekonasz zaraz!

— Jakże możesz, o boski mężu, podnosić przeciw mnie niesłuszne oskarżenie? Wszakże jestem powolnym sługą Kryszny, składał obfite ofiary w dni uroczyste, służę wiernie jego braminom, a przedewszystkiem ucieleśnionemu Krysznie, urodzonemu w niebie, ansie, widomej, żywej części bóstwa, dostojnemu Govindowi Narayanowi.

— Więc zwiesz to wierną służbą, gdy każesz swym thagom dusić skrytobójczo, bez mej wiedzy, człowieka, na którym oparłem wszystkie plany swoje?

Zbladły wargi Czandry Singha pod barwiczką, jaką je umazał.

— Na nic się zapierać! — podjął rozgniewany kapłan — Mniejsza skąd się dowiedziałem. Mool Roy nie zdradził niczego i nie zdradzi, już bowiem odpokutował niebaczną zgubę swego romału. Teraz przyjaciele jego rzucą się na nas z podwójną wściekłością, nie przebierając w środkach... Widzisz, że wiem wszystko!

— Wiesz i widzisz wszystko, o boski mężu! Żywy Kryszna słusznie się na mnie gniewa, niechże atoli będzie sprawiedliwym w gniewie swoim. Niech zważy, że próba, na jaką wystawił Czandrę Singha, była zbyt okrutna. Jego świętobliwość kazała mi zawiadomić sahiba, że miał się spotkać sam na sam z rani, w dżungli

wczoraj nocą. Było to nad siły moje! Niechże zważy dostojny mąż, że on sam przyobiegał mi rani.

— Ach! — zaśmiał się bramin tak, że Czandra Singh zadrżał — Zachciewa ci się tej kobiety? O, cóżby się stało, gdybym przy ołtarzu jedną zgłoskę tekstu wymówił inaczej... ha? Kryszna, wiekuisty oblubieniec, dałby ci zgoła inną małżonkę.

— Nie chcę innej... nie chcę za nic, chcę jeno rani! Choćby tamta była apsarą, wolę tę kobietę!

— O, mój drogi, oblubienica, o której mówię, nie da się tak łatwo odprawić z kwitkiem. Jest bladolica, nie strojna, krok ma chwiejny, cichy głos, a przytula się mocno do ukochanego... to choroba władców... to suchoty!

Czandra Singh odskoczył. Potężnem jego ciałem wstrząsał dreszcz, a pot, zmieszany z barwiczką, ściekał mu po czole i policzkach.

— Taka drobnostka przeraża cię, mężny rycerzu? — drwił bramin — I czemuż to? Utraciwszy zdrowie, kroczy człowiek nabożny ku śmierci wyzwoleńczej. Grzesznik, coprawda, który stawia zuchwale wbrew bogom, wstępuje po śmierci na straszną ścieżkę piekielną. Strażnicy piekieł chwytają go, stawiają na głowie i rzucają do rozpalonego pieca topnego, gdzie się rozgotowuje na pienistą miazgę. Powiedz mi sam, Czandro Singhu, czy nie tak dzieje się wrogom Kryszny?

— Dajże pokój, arcykapłanie! — wyszeptał wstrząśnięty do głębi — Nie jestem wcale wrogiem Kryszny!... Żałuję swego czynu! Dałem się porwać namiętności... ale błagam teraz przebaczenia! Będę służył bogu i jego ansie wiernie, aż do śmierci. Ale nie przyspieszaj mego skonu, a raczej oddal go ode mnie. Przysięgam, będę zawsze służył, baczny na każde skinienie!...



— Ano, więc już tym razem uwzględnię twą skruchę i dam ci...

— Daj mi tylko rani! — zawołał Czandra Singh, łyskając dziko oczyma — Jeślibyś nie dotrzymał... wszak i bogowie muszą również dotrzymywać przyrzeczeń... gdybyś nie dotrzymał... ach... powtarzam... muszę mieć tę gazelooką... gdybyś...

Nie mógł już dobyć słowa z piersi, jął dyszeć tylko i harczeć, jak zwierz.

Bramin-lew i Radźputa-tygrys stali naprzeciw siebie groźni i straszni. Ale Govind Narayan pomyślał, że nie można smagać dłużej Czandry Singha bez niebezpieczeństwa, rzekł przeto łagodnie:

— Drogi synu! Dałem ci zlecenie do sahiba celem wystawienia cię na próbę. Nie wytrzymałeś jej. Możliwe, że była zbyt surowa dla ciebie, może wprost nad ludzkie siły.

— O tak! Była nad ludzkie siły! Tego nie wytrzyma człowiek z krwi i kości!

— Przebaczam tedy twój błąd. Dostaniesz, drogi synu, swoją rani. Zważ jednak, że chciałeś wczoraj zamordować sahiba, który jest moim taranem i narzędziem. Skoro tylko spełni on swe zadanie, a my, bramini, odzyskamy należną nam władzę, wówczas będziesz mógł go zabić... będziesz to nawet musiał uczynić. Tylko ani na godzinę przed moim rozkazem... rozumiesz. Nagrodą będzie ci rani. Ale gdybyś się poważyl uczynić to na własną rękę, wówczas...

Fanfary trąb i dudnienie kotłów obwieścily w tej chwili przybycie gości.

Czandra Singh ucałował rękę arcykapłana, patrząc nań poddańczo, i cofnął się w szeregi Radźputan.

W głębi, widna była cienista aleja cyprysowa, wiodąca od wbudowanego w cokół tarasy amfiteatru do bramy parku, w kształcie pagody, polyskującej pośród drzew lśnieniem polerowanych kamieni, niby fontanna.

Tą to aleją właśnie zbliżali się goście europejscy. Na czele kroczył sir Edmund z Amandą. Ubrany był w strój Hindusa, zwieńczony kamieniem węzowym, w zielonym turbanie, który był aż nazbyt wyraźną kropką nad *i*. Wyglądał przepysznie. Towarzyszka jego, nie ustępująca mu zresztą w niczem, była ubrana po europejsku. Miała suknię gustowną, skrojoną wedle mody napoleońskiej, tylko nie tak wysoko podpasaną, jak toaleta, w której matka jej oczarowała, swego czasu, ojca. Skutek był przedziwny, bowiem wiodła za sobą dwa zakrwawione serca. Ojciec tonął w żalosnem rozpamiętywaniu szczęsnych chwil miłości młodocianej, zaś Artur szedł oszołomiony, znieść nie mogąc omal widoku ukochanej przy boku kuzyna. Mężczyźni drugiej pary nie mieli w sobie nic azjatyckiego. Obciśnięty w swój *evening dress* Artur dobre czynił wrażenie, natomiast frak profesora Eichstädta wołał głośno, że wcale nie przystają krótkoszyjnej osoby znakomitego indologa. Sytuacji nie ratował wcale nałożony zuchwale na głowę hełm cywilizacji, czyli klak, które to nakrycie czaszki Artur niósł dyskretnie pod pachą. Uczynił to, by nie wyglądać w oczach Amandy mniej stylowo jeszcze, niż wypadło z konieczności.

Zółty diament był jedyną rzeczą orientalną u Amandy, ale stylu dopełniał jej towarzysz drugi. Z podniesionym ogonem, świadomy dostojęstwa swego jako członka świty, kroczył Garuda, z pozoru tem jeno zajęty, by dotrzymać kroku swej pani. Mimo to jednak,

z całym napięciem ciekawości śledził rozjarzonymi oczyma każdą rzecz podejrzaną, bowiem nie ręczył za nic, gdyby padło przejść do czynu.

Garuda nie został właściwie zaproszony osobiście, gdy jednak Amanda znalazła się w howdahu, a słoń, przepyszny wierzchowiec ze stajen Kala Ramy, powstał z klęczącej pozycji, Garuda jął pisać, skomleć i szczeleć, potem zaś skakać po nodze słonia, tak że szlachetne zwierzę odczuło niepokój. Mądry słoń chwycił malca w trąbę, podniósł, nie zważając na wrzaski, i złożył w howdahu.

W ten sposób dostał się Garuda na festyn królewski.

Służba domowa Sir Edmunda zamykała pochód.

Inny orszak zbliżył się tymczasem aleją poprzeczną, wiodącą dość stromym stokiem ku parkowi. Nie było tam domieszki europeizmu. Błyszczał jedwab różnobarwny, perły i diamenty en masse, a na czele kroczył Kala Rama w haftowanym złotem, purpurowym kaptanie, obszywanym bogato klejnotami, oraz w naszyjniku z brylantów, błyszczących jak słońce. Jego dostojność duchowa ministra mogła sprawić, że w oczach Europejczyków nie wydał się w tym stroju humorystyczną postacią. Wielu jego kolegów uległo temu. Dygnitarze dworu radży, obsypani mnóstwem drogich kamieni, pośledniej zresztą wartości, przedstawiali się dość marnie, a jedwab ich jaskrawych szat nosił ślady zużycia.

Europejczycy nadeszli pierwsi. Czandra Singh powitał sahiba, podkreślając, że obecnością swoją i sławą wznawia dawny blask zmarłego dziś napoły parku królewskiego. Potem arcykapłan wygłosił również kwiecistą mowę do profesora Eichstäda,

twierdząc, że jest ponad wszelką wątpliwość jednym z owych prastarych rishi \*) odrodzonym w zepsutych czasach naszych celem zdobycia na powierzchnię zapadłej w gruz wiedzy Hindusów.

Edmund podziękował krótko, natomiast profesor wygłosił wielką, paradną mowę w klasycznym sanskrycie, której nikt nie zrozumiał. Przedstawiono mu po kolei wszystkich braminów, a profesor wytrzymał mężnie tę próbę ogniową, zwracając się do każdego z kilku słowami. Wreszcie przyprowadzono mu staroego panditę, „męża wielkiego, znawcę Wed.“ Wielki był istotnie wzrostem, zaś znawstwo Wed polegało na wyuczeniu się na pamięć dużych fragmentów, których jednak głębokiej treści nie ogarniał wcale. Mimo to, rozczarowany innymi, profesor wdzięczny był za spotkanie tego kolegi.

Kala Rama przybył już tymczasem wraz ze swą wspaniałą żoną i powitał cudzoziemców imieniem króla, przed amfiteatrem. Oświadczył, że władca pragnie przede wszystkim przedstawić gościom kilka staro-radźputańskich gier, w tym oto, dawnym amfiteatrze, gdzie ongiś walczyli wręcz ludzie i tygrysy.

Potem przedstawił Kala Rama dostojników. Cisnęli się pochopnie do sir Edmunda, a każdy chciał go zagarnąć wyłącznie dla siebie. Naczelnym wódz armji obiecywał mu generalny przegląd wojsk z atakiem radźputańskiej jazdy, czego nie oglądał dotąd żaden Frank, skarbnik wabił go nadzieją, że zobaczy klejnoty państwowe, niedostępne dotąd żadnemu dostojnikowi europejskiemu, a wreszcie wielki koniuszy zaprosił sir Edmunda na zwiedzenie stadniny królewskiej w pu-

---

\*) Rishi — święci, nadludzy autorowie Wed.

styni. Każdy z osobna ręczył, że on jeden posiada pełne zaufanie władcy i tylko przezeń można coś uzyskać na dworze, przyczem przestrzegał gorąco przed każdym innym wogóle, zaś specjalnie przed osobnikiem, z którym dopiero co Edmund mówić przestał. Godzili się wszyscy w jednym, mianowicie w usilnem przestrzeganiu przed Kala Ramą, którego znaczenie zresztą, jak powiadali, przecenianem bywa wielce.

Dygnitarze ci kierowali się zwyczajną, orientalną polityką dworską, która nakazuje jednać sobie „na wszelki wypadek“ życzliwość nowego ulubieńca władcy. Niektórzy łączyli z tem konkretniejsze cele. Zwracali Edmundowi uwagę, że nie należy sądzić wedle zewnętrznych pozorów świetności, gdyż wszystkie dwory w Indjach zubożały znacznie, urzędy nie przynoszą tyle co dawniej i możnaby przytoczyć i wymienić dużo osób... nazwiska zbyt cenne... które chętnie ofiarowałyby swe usługi za skromny, lub mniej skromny datek.

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### Naucz.

Amanda znalazła tymczasem stosowny moment dla podziękowania Kala Ramie za książęcy iście podarek. Całując go w rękę, szepnęła:

— Muszę pomówić na osobności z waszą eksce-lencją. Sprawa jest niesłychanie ważna i nie cierpi zwłoki.

— Zaraz po przedstawieniu zaprowadzę panią, droga memsahib, na miejsce, gdzie nam nikt nie przeszkodzi.

— Jeśli tylko nie będzie za późno... — powiedziała.

— O, niema obawy, rzecz potrwa krótko.

Rzekłszy to, zaprowadził Amandę na honorowe miejsce w pierwszym rzędzie, a po drugiej stronie swej posadził sir Edmunda. Zebrani tu dostojnicy ustąpili przed nimi tak, że tylko część tych miejsc została zajęta.

W tej chwili weszli na małą arenę z przeciwległych końców dwaj okryci szalami Hindusi, każdy zaś miał capa z głową owiniętą w chustę. Natychmiast powstał zgielk, zaczęto klaskać palcami i wyciągać ręce, jakgdyby wszyscy grali w morę. Robiono zakłady. Odkryto

głowy capów, a zwierzęta rzuciły się na siebie bez chwili namysłu. Zderzenie nastąpiło na środku areny i to z takim łoskotem, że Amanda wydała okrzyk, pewna śmierci obu zwierząt, które legną z roztrzaskanemi czaszkami. Ale odskoczyły, niby dwie kule bilardowe i ponownie uderzyły w siebie z łomotem wielkim, bez innego jak poprzód rezultatu.

Edmund śmiał się wesoło i powiedział, że nie jest zazdrośnikiem, atoli zazdrości dziś tym capom, które nie wiedzą wcale, co to ból głowy. Profesor wyraził własny pogląd naukowy. Oświadczył, że wie teraz, czemu starożytni dawali swym taranom kształt i nazwę barana.

Po trzeciem zderzeniu odprowadzono walczące zwierzęta na gest Kala Ramy. Stało się to wyraźnie wbrew ich woli, ale ku wielkiej uldze Amandy, która, jak minister zauważył, nie gustowała wcale w tego rodzaju radźputańskich widowiskach.

— Widzę, — powiedział, — że pani nie znajduje upodobania w tych naszych ludowych igrzyskach. Byłem tego pewny zresztą z góry i dlatego nawet kazałem usunąć z programu walkę przepiórek, któraby właściwie nastąpić miała.

— Walka przepiórek, ekscelencjo? Czyż te małe ptaszyny miałyby walczyć z sobą?

— Nie słyszałaś, widzę, droga memsahib, o tym prastarym, ulubionym naszym sporcie...

— O, jakże okrutni bywają ludzie i nikczemni! — zawołała — Biedne przepióreczki, te nadobne ptaszyny, wołające po polach naszych „pójdźcie żać!“ Jakże świeży jest ich głos, przypomina plusk bijącego źródła. Z wielką radością słucham zawsze wyrazu muzycznego, jaki na to wołanie znalazł nasz słynny

Beethoven, gorący miłośnik przepiórek. To szkaradnie szcuć na siebie małe ptaszki w celu dogodzenia swej żądy gry i czynić zakłady o ich życie.

— Nie bronię tego złego obyczaju przed słusznym oburzeniem pani — odparł sędziwy minister z łagodnym uśmiechem — Chociaż przepiórki są z natury wojownicze, nie wypada człowiekowi rozwijać w nich sztucznie tych instynktów dla zaspokojenia swej namiętności. Cieszy mnie też, że przewidując to, usunąłem tę rzecz z programu. Chcąc atoli dać pani rekompensatę, poleciłem rozszerzyć inne widowisko, odpowiednie całkiem dla wrażliwej duszy kobiecej, którym to sportem zajmuje się ohotnie nasza rani.

Szczera twarz Amandy nabrała wyrazu, świadczącego dowodnie, że nie obiecuje sobie po umiłowanym sporcie królowej nic lepszego, nad oglądane już widowisko *radźputańskie*.

Rozczarowani uczestnicy zakładów o barany hałasujący przez chwilę, umilkli rychło na widok białego płótna, jakim zasłano arenę celem przysposobienia nauczcu. Zaraz też weszły dwie *nauczni*, owiane wonnym, delikatnym muślinem, połyskujące klejnotami i złotymi obręczami. Złożyły salam przed ministrem i cudzoziemcami, dały znak trzem, skulonym w głębi areny muzykantom, podniosły ramiona i zaintonowały pieśń popularną, z takim temperamentem, że odrazu zyskały uznanie słuchaczy. Amandę zabolaly przy pierwszych taktach uszy. Głosy śpiewaczek były wrzaskliwe i często nieharmonizowały z sobą, powtarzała się ciągle ta sama kadenca, a tam-tam bił monotonnie i głupio wprost. Natomiast taniec ilustrujący tę muzykę był pełen wdzięku i wyrazu. Tancerki poruszały się zrazu łagodnie, z wyrazem lu-



bości, a rozwijając i zawijając swe bodury z barwnego muślinu, ukazywały i kryły z powrotem swe piękne, posągowe kształty. Ale muzyka rosła i mocniała, a wraz z tem, w ruchach naucznych zajaśniał wyraz tęsknoty, nadziei, obawy, zazdrości i nienawiści naprzemian. Ruchy i muzyka stawały się coraz to gwałtowniejsze, a dziewczęta wyczarowywały przed widzami to obraz płomiennej miłości, to beznadziejnej rozpacz, widocznie oddając treść tekstu ludowej balady.

Słów nie rozumiała Amanda, ale nie odczuwała tego braku. Przestały ją też razić egzotyczne gamy, interwale, rytmy i barwy tonów. Krytyka ustąpiła wobec bezpośredniości przeżycia. Własna to jej wszakże miłość, przeczuwana i łagodna z początku, o gasnącej teraz nadziei i kamiennej, beznadziejnej twarzy meduzy, była w tym tańcu. Prócz własnej duszy ujrziała też Amanda w jaśniejszych zarysach duszę innych ludzi. Dzikie okrzyki żądy, błagalno-władcze spojrzenia i gwałtowne wyciąganie ręki do złudnych majaków, była to namiętność rani dla Edmunda, zaś ferment niepokoju i burza fantastycznych zachceń, wirem wciągająca w głąb swoją całą jego istotę, to przecież wyraźnie treść duszy sir Trewelyana. Obok tego uświadomiła sobie z bezlitosną jasnością jak prosty, skromny, jak bardzo pozbawiony nagrody jest ten młody Szkot, okok niej siedzący. Amanda pojmowała dokładnie też uczucia tego młodzieńca, z dalekiej pochodzącego północy. Wyrażał je może taniec tych dwu Hindusek, a może też umysł jej stał się jasnowidzącym i takiego doznał rozwinięcia, że czytała w spojrzeniu Artura, które coraz częściej biegło ku niej, w miarę jak go roznudzał monotonny balet.

W rozterce własnych i cudzych uczuć siedziała Amanda napoly jeno przytomna, tymczasem zaś obie nauczni, zasypane lawiną oznak podziwu, padły wy-czerpane w ramiona nadbiegłych dozorczyń. Zawinięto je w wielkie chusty, poczem chwiejnym krokiem wyszły z areny. Muzykanci byli również zmęczeni, przy końcu grali już jak pijani, teraz zaś legli w kupce zadyszani.

Nagle popłynęła przez tłum fala wzburzenia, a z ust do ust jęło przelatać imię: Punna! Punna!

Punna była to najślynniejsza nauczni Indyj całych, oczekiwana spadkobierczyni Alfiny, „Katalani Wschodu,“ a bardziej od Alfiny wzięta z powodu swej młodzieńczej świeżości. Stroje dwu poprzednich tancerek były to szmaty teatralne w porównaniu z jej garderobą, którą oceniano na cztery tysiące funtów szterlingów. Znaczną część tej sumy reprezentował sam pierścień w jej nozdrzu, miotający biały promień brylantu i zielony szmaragdu. Cała jednak ta wspa-niałość znikła, gdy zobaczono kształty jej ciała, nie bujne, jak zazwyczaj u tancerek orjentalnych, ale smukłe i delikatne. Ramiona, dłonie i przeguby rąk posiadały linje niezmiernie szlachetne, a urocza twarzyczka o dziecięcych oczach była wzruszająco łagodna i dobrotliwa. Śpiewane przez nią pieśni były również łagodne, melancholijne, różne zasadniczo od produkowanych przez poprzedniczki, i posiadały melodję przystępniejszą dla europejskiego ucha. Amandę po-ciągnęła zwłaszcza ostatnia, a Kala Rama szepnął, że pochodzi z dawnych bardzo czasów. Zdała jej się znajomą i szukała w pamięci, pewna, że zasłyszała ją chyba w dzieciństwie. Nagle jednak uświadomiła sobie, że wspomnienie nosi nader bliską datę. Pół-

głośny refren melodji ballady o Jugurcie, śpiewanej przez rani, stanowił podkład tej pieśni. W interpretacji Punny nabrał on cech melancholijnych, łagodnych, pełnych niemal otuchy, podczas gdy rani podkreślała dzikie, pustynne obrazy samej pieśni, będące w zgodzie z jej usposobieniem.

Amanda nie rozumiała słów pieśni, ale wyobraziła sobie, że tak śpiewać mogłaby para ludzi, którzy się spotkali po długiej rozłące, albo poznali po długim niedostrzeganiu wzajemnem. To jej mówiły tony. Spojrzawszy na Edmunda, spostrzegła zdumiona, że słucha z podobnem wzruszeniem i odczuwa coś pokrewnego, to samo nawet może. Oczy mu błyszczały wilgotnie, ale przemógł łzy, natomiast łza Amandy wystąpiła poza powieki i spłynęła po policzku właśnie w chwili, kiedy spojrzeli na siebie wzajem.

— Drogo nas kosztowało sprowadzenie Punny z Delhi, — rzekł zcicha Kala Rama — ale nie przybyła ona daremnie i nie pożałuje podróży. Łzę tę zamienię dla niej w perłę.

Artur spozierał zdumiony to na kuzyna, to Amandę, nie wiedząc, czem ich wzrusza to nudne skowytanie. Wystarczało mu, że patrzył na ukochaną, bardziej jeszcze zresztą urocą ze łzami w oczach. Rozpaczał jeno, że jej nie może pocieszyć. Całą nadzieję, jakiego takiego zainteresowania, przywiązywał do występu linoskoczków.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

### Tam gdzie krążą białe gołębie.

**O**rganizator programu festynowego trafnie zastoso-  
wał kontrasty.

Po nastrojowym nauczcu nastąpiła rubaszna, wesoła scena błazeńska. Spotkało się nibyto dwu przyjaciół, handlarzy końmi, ale popadli oni rychło w sprzeczkę o doskonałość swego żywego towaru. Zahuczala burza czysto-indyjskich wyzwisk, zużyli cały, specjalny ich słownik i brali się już do pięści, gdy nagle padli sobie w ramiona, popili ostro i opuścili scenę ręka w rękę, przy niesłychanych wybuchach uznania i śmiechu ze strony widzów.

Potem wystąpił akrobata, który przeraził Amandę karkołomnymi sztuczkami, tak że odetchnęła z ulgą, gdy odszedł wraz ze swą długą żerdzią, służącą do utrzymania równowagi. Następnie ukazał się na arenie dziwny człowiek, sądząc po cerze Malajczyk, przybrany w koronę z piór i takąż spódniczkę, ... prawdziwy papageno. W ręku miał długą, cienką, białą laskę. Za nim wnieśli trzej chłopcy trzy koszyki bambusowe, które postawili na ziemi.

Kala Rama pochylił się ku sir Edmundowi i powiedział:

— Poprzednia produkcja wydała się panu, szlachetny sahibie, mimo swej doskonałości blahą... nieprawdą... teraz atoli otrzymasz pan zadośćuczynienie. Jest to coś szczególnego i warto poświęcić uwagę przez kwadrans rzeczy, której nigdzie nie ujrzysz pan w tak skończonej formie. Instruktor gołębi królowej pokaże nam, co umie sam i jego podwładni.

Edmund drgnął. Wszakże rani przysłała mu przez bramina-lwa wiadomość: Tam, gdzie krążą białe gołębie.

Otwarto pierwszy koszyk i wyleciało zeń około dwudziestu gołębi koloru miedzi. Ku wielkiemu zdziwieniu europejskich gości ptaki słuchały ślepo głosu i laseczki papagena, latając to kolisto, to w długich elipsach, albo też zataczając kunsztowne pętlice. Unosiły się w górę, to znów opadały niemal na głowy zachwyconych widzów, a ani jeden nie zepsuł porządku.

Na gest mistrza otwarto kosz drogi i w powietrzu zawirowało drugie, równie liczne stado sinych, niby łupek, gołębi. Skutkiem rozmachu lotu zmieszały się z poprzednimi i nastął chaos, niemożliwy, rzecz można, do opanowania. Ale kilka gardłowych dźwięków papagena i ruchów czarodziejskiej laseczki wywołały zupełną zmianę. Ptaki przestały polatać bezcelowo, zaczęły szukać się i unikać, tak że za moment krążyły nad areną dwa stada oddzielnie, sine przodem, a miedziane za niem.

Ledwo zapanował wzorowy ład, załopotano w powietrzu stado białe i wszystko ogarnęło znów zamieszanie. Około siedemdziesięciu gołębi utworzyło obraz kalejdoskopowy, ale i teraz udało się papagenowi sformować je w trzy, odrębne grupy, na jego skinienie wykonywujące rozmaite obroty w powietrzu. Potem białe,

uszykowane do boju runęły szeregiem na brunatne, przełamały linię skrzydlatej falangi, zawróciły wstecz i rozproszyły drugim atakiem nieprzyjaciela. Siwe stanęły do boju ze zwycięzcami, potem zaś na hasło papagena utworzyły wraz z brunatnymi dwie oddzielne, a zwarte grupy, wznosząc się i opadając naprzemian pionowo, niby dwa wiadra w studni, której cembrowinę stanowiło koło białych gołębi. Po chwili okrzyk mistrza i machnięcie laski sprowadził wszystkie na płaszczyznę. Zdało się, że nad areną powiewa potężna, trójbarwna punka,\*) unoszona i opuszczana regularnym oddechem, wydająca rzeźwe tchnienie, szmerzącego bicia maleńkich skrzydełek.

Lekki pomruk zachwytu nagrodził papagena.

Nagle machnął trzy razy laską i krzyknął trzykrotnie przenikliwym głosem, a trzy stada gołębi strzełyły w górę i każde ruszyło w swoim kierunku, jakby uciekło na zawsze. Białe poleciały ponad aleją cyprysową, potem zaś jęły zataczać koła nad kopułą bramy parku. Oblane słońcem tworzyły wokół budowli ruchliwą, różową chmurę, która to gasła, to ponsowała za każdym zwrotem skrzydeł, wykonywanym jednocześnie.

Edmundowi zabrzmiał w uszach śpiewny głos rani: Tam, gdzie krążą białe gołębie... gdzie krążą białe gołębie...

Wiedział, że skryty tam gdzieś Jang Kafur i jego pięciuset wojowników śledzą z napięciem lot gołębi, by pójść ich śladem, wpaść do spokojnego parku i wprowadzić go jako władcę do pałacu radzowskiego, który

---

\*) Wielki wachlarz pod stropem pokoju, poruszany zwolna, dla ochłody powietrza.

tuż za nim wznosił w niebo swe zdobne blankami bastjony i wieże.

Nie śmiał omal spojrzeć w oczy Kala Ramie, gdy minister spytał, czy mu się podobają sztuczki gołębi. Miał wrażenie, iż stary mąż stanu czyta w jego oczach i widzi, że dalekim jest od podziwiania sztuczek, jak to czyniła Amanda, która, zapominając niechęci dla wszystkiego, co miało styczność z rani, radowała się jak dziecko, klaszcząc w dłonie.

Poszukał oczyma arcykapłana i Czandry Singha. Sądził, że spokojnie i z pogardą nawet dla tak kobiecej rozrywki patrzą na ewolucje ptaków. Ale przeciwnie, byli bardziej od innych podnieceni, pokazywali rękami i nawoływali się poprzez arenę, jak przystało prawdziwym Hindusom w takich okolicznościach. Pewnie robili zakłady, które stado wróci pierwsze, gdyż na widok nadlatujących ptaków ciemnych, podczas kiedy białe zrywały się dopiero z kopuły wieży, uczynił Czandra Singh gest niechęci, jak ktoś co przegrywa i to grubą stawkę.

— Na Jowisza! — pomyślał Edmund — Ci Hindusi wyprzedzili nas w istocie bardzo!

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

### Napis króla Narady.

**G**dy gołębie wróciły i jęły dziobać obficie po arenie rozrzucone ziarna, wstał Kala Rama na znak, że widowisko skończone.

Zawiadomił sir Edmunda, że pan jego, radża, przyjmie gości za godzinę w pawim pawilonie, na najwyższej terasie, zwanej terasą Gandharwów, a poprosił też, by tymczasem obejrzał tę część parku pod przewodnictwem Czandry Singha. Profesorowi dodano do boku uczonego, indyjskiego kolegę, z którym mu było najlepiej.

— Ja sam zaofiaruję swe towarzystwo pannie Amandzie, która mnie zaszczyliła przyjęciem żółtego diamentu, bliźniaczego klejnotu pańskiego kamienia węzowego. Pokażę jej też osobliwość pewną, która szczególnie ją właśnie zainteresować może.

Edmund skorzystał ze sposobności i rzekł z głębokim ukłonem:

— Z wielkiem zadowoleniem i pociechą widzę, ekscelencjo, że nie mnie to jedynemu rozdajesz pan klejnoty bezcenne, ale dzielę ten zaszczyt z damą, nierównie ode mnie godniejszą. Mimo to jednak uważam kamień węzowy jeno za depozyt, który z rąk waszej ekscelencji otrzymałem, aby zbyt ubogo nie



wyglądać w tem obsypanem kosztownościami towarzystwie. Zaraz po obchodzie zwróćę go też z podziękowaniem.

— Pomówiśmy o tem jeszcze, szlachetny sahibie, — odparł Kala Rama — a jeśli osądzisz, że zwracanie mi kamienia ma jeszcze wogóle sens jakiś, to nie będę się dłużej wzbraniał. Mimo to przypuszczam, że w chwili tej przyznasz mi rację i weźmiesz klejnot za dar, nie zaś pożyczkę.

Edmund nie wiedział co ma odpowiedzieć na te, zdaniem jego, zgoła bezmyślne słowa. Trudno mu było pojąć, by coś go mogło skłonić wbrew woli do przyjęcia podarku. Kala Rama nie spodziewał się widocznie odpowiedzi i, skracając zakłopotanie sahiba, pożegnał go jak zawsze uroczyście i serdecznie. Po chwili odszedł wraz z Amandą.

Wszyscy wiedzieli, że jest ulubienicą sędziwego ministra, oraz że podarował jej, z racji dzisiejszej uroczystości, swój słynny klejnot. To też widok wspólnej ich przechadzki nie obudził podejrzeń, ni większego wrażenia, a o zaniepokojeniu nie było nawet mowy.

Po obu stronach areny widniały szerokie schody, wiodące na pierwszą terasę. Kala Rama wstąpił na lewe, zwane schodami Garudy. Dziesięć stopni, ozdobionych z frontu falistym ornamentem, pilnowały po obu stronach posągi Garudy, potężne, z twardego piaskowca ciosane gryfy, o olbrzymich dziobach i podobnych płaszczom skrzydłach, a każdy z nich deptał wijącego się w skonie węża.

Żywy, a inaczej wyglądający Garuda skakał pomiędzy niemi niebacznie, upatrując jeno w szczelinach stopni podejrzanej dziury, sposobnej na gniazdo swego śmiertelnego wroga.

Pierwszą terasę słoń światła gęstota cień. Promienie słońca muskały, jeno pierwsze stopnie schodów, wiodących wzwyż ku terasie następnej, zwanej „terasą nagów“, czyli węży. Posiadała ciężką balustradę, rzeźbioną w postaci demonów wodnych, a kręte ich nogi i okaleczale torsy jarzyły się w słońcu. Poniżej jej, w najgłębszym cieniu nęcił oświetlony kiosk i tu zaprowadził Kala Rama dziewczynę.

Była to mała, krągła budowla, oparta na kolumnach, których rozłożyste kapitele dotykały się niemal wzajem. Kopuła posiadała ów styl hinduski, który wytrzymuje napór licznych wieków, a ulega jeno niszczyielskim wpływom tropikalnej roślinności. Tu jednak nie było śladu rozpadu, widocznie ktoś czuwał i chronił budynek. Pośród kolumn stały ławki, a nad nimi błyszczaly jasne lampki. Pośrodku zobaczyła Amanda mniejszą budowlę i poznała odrazu, że jest to najdokładniejsza minjatura stupy Baku, jeno miast nisz snuł się wokół, kilku pasami napis, z ornamentowanych, sanskryckich liter ułożony.

Kala Rama usiadł, wskazał miejsce Amandzie i chwycił jej dłoń.

— A teraz, drogie dziecko, — powiedział — zechciej mi powiedzieć otwarcie, szczerze, jak ojcu, co masz pani na sercu.

Uścisnęła dłoń starca bez słowa, wdzięczna za słowa pełne otuchy, której potrzebowała w istocie.

— Muszę przestrzec waszą ekscelencję przed spiskiem, na czele którego stoi sir Edmund Trewelyan, a udział ma także Czandra Singh. Idzie o usunięcie radży i pana samego, a osadzenie na tronie sir Edmunda, którego kocha rani. Podczas dzisiejszej właśnie uroczystości ma nastąpić rozstrzygnięcie. Za-

klinam, nie wątp, ekscelencjo, w me słowa, ale działaj co prędzej. Niema minuty do stracenia.

— A jednak zaryzykuję parę minut, droga memsahib! — odparł — Dziękuję bardzo za wieść, ale muszę spytać, skąd ją pani ma.

— Boję się, że wasza ekscelencja weźmie to jeno za wybryk mej fantazji! — zawołała z żalem — Chociaż nie, posiadam bowiem pełne niemal wyznanie pana Steela.

Opowiedziała szczegółowo rozmowę z Arturem i dodała, że miała zamiar jechać czólnem do jego pałacu, później atoli zdecydowała donieść mu o tem w czasie uroczystości. Wkońcu wyraziła obawę, czy nie za późno już.

— O nie, mamy czas! — uspokoił ją — Słusznie uczyniłaś, memsahib, nie zastałabyś mnie bowiem o tym czasie w domu. Postąpiłaś pani roztropnie i lojalnie, a przytem nader zręcznie chwyciłaś młodego Szkota w sieć własnych jego słów.

— Przebacz mu, ekscelencjo, i nie karz go! — prosiła — Nie miał złej woli, nie chciał też własnych korzyści, ni bogactw, a jeno uległ namowom swego kuzyna. Źle pojęte uczucie solidarności uwiodło go.

— Sądzę, że można go traktować pobłażliwie i przyznać wszelkie okoliczności łagodzące! — przyznał — Cóż jednak sądzić o sir Edmundzie? Trudno znaleźć dlań jakieś usprawiedliwienie, a cała zbrodnia zdrady spoczywa na jego barkach.

Amanda wstała, w milczeniu słuchając surowych słów ministra, który jednak nie miał wcale groźnego wyrazu twarzy. Potem padła na ławę i objęła rękami jego kolana.

— Łaski dla niego... Kala Ramo... choćby z powodu, żem się zdobyła na to doniesienie...

Brakło jej głosu, nagłe łkanie wstrząsnęło całym ciałem, pochyliła głowę na łono starego Hindusa i jęła płakać, jakby jej miało pęknąć serce.

Nie była to już osoba wnosząca prośbę do ministra, ale córka, skarżąca się ojcu. Te urywane słowa i ten płacz wyjawily całą tajemnicę młodego, a tak ciężko doświadczonego serca dziewczyny.

Czyniąc tę ofiarę, sądziła, że odtąd pozostanie w beznadziejnej głuszy męczeństwa, ale Kala Rama dostrzegł tu zaczątki nowego życia. Amanda nie widziała jego twarzy, jednak przejął ją dziwny prąd nerwowej mocy, tryskający jakby z palców starca, gładzących ją zlekka po włosach. Niedługo ustało łkanie i płacz, a doznała zupełnego niemal ukojenia.

— Wyplakałaś się już, droga memsahib? — powiedział — Było to potrzebne, ale teraz nie wolno już! Spełniłaś swój obowiązek, a teraz złóż wszystko w me ręce z pełnym zaufaniem.

— O tak, z pełnym zaufaniem! Jakże mam podziękować!

— Niema o podzięce mowy. Doprowadzisz i mnie, czuję, do łez, a czyż wypada płakać starcowi i ministrowi w dodatku? Prawda, że nie? Tedy nie wspominaj o podzięce. Nierównie większa wdzięczność należy się pani ode mnie. O jakże pięknie biorę tej godziny rozbrat z życiem, jak błogą mi uczyniłaś chwilę zakończenia ziemskiej wędrówki!

— Rozbrat z życiem? — zawołała przerażona — Wszakże wasza ekscelencja jesteście jeszcze silny i zdrowy! Nic nie zagraża...

— Nic, nic... ot, mówię niejasno... nie to miałem na myśli. Widzisz, drogie dziecko, jak mnie rozhartowały twe łzy. Czyś pani już spokojna?

— O tak! Spokojniejsza jestem nawet, niżbym mieć mogła słuszny powód, mimo łaskawości pańskiej, mimo, że wiem, iż nie użyjesz stryczka i topora.

— Oczywiście, nie użyję. Zresztą nie nastąpi to, czego się obawiasz, droga memsahib. Chociaż przypuszczenia te są w pełni uzasadnione, sprawy pójdą inaczej... Ale porzućmy teraz nieznośne interesy państwowe, — dodał łagodnie i wesoło — proszę, zapomnij pani o nich całkiem. Mam jeno kilka minut czasu, gdyż radża czeka na mnie. Skorzystam z tego, by pani pokazać rzecz, z powodu której tu przybyliśmy właśnie.

Dotknął cokółu małej stupy pośrodku kiosku.

— Czy zauważyłaś pani tę budowlę w budowlu? — spytał.

— O tak! — odparła — Poznałam zaraz tę minjaturę stupy Baku, oglądanej wczoraj przy księżycu.

— W istocie jest to jej minjatura, tylko miast nisz, posiada kilkuwierszowy napis wokoło. Proszę, racz pani obejrzeć go przy świetle lamp, które kazałem umyślnie zaświecić, gdyż zapomnianoby pewnie, mimo całej iluminacji, o tym zakątku, który wybrałem dla pani na zaciszne schronienie aż do czasu, kiedy przybędzie tu ojciec, by zabrać cię, droga memsahib, na tarasę Ghandarwów, gdzie pan mój przyjmie gości. Stary pandit nie omieszka pokazać mu tej pięknej budowli, to też przywiódłbym tu panią, nawet bez życzenia rozmowy sam na sam.

— Otaczasz mnie, ekscelencjo, ojcowską wprost opieką! — powiedziała, patrząc nań z wzruszeniem.

— Czemużby miało być inaczej? A teraz odczytajmy napis.

Kala Rama wstał i, wiodąc Amandę za rękę, obszedł z nią małą stupę, odcyfrowując piękne, stare, sanskryckie znaki. Uległy one w niektórych miejscach zniszczeniu, ale zostały wyraźnie odświeżone, niedawno, dłutem. Ślady takiej restauracji widniały zwłaszcza na zdaniu końcowem.

Napis brzmiał:

— Król Narada polecił rzeźbiarzowi Baku zbudować na tem ulubionem swem miejscu tę oto stupę, która mieści popioły Amary, córki Baku, i brata króla Narady, Ajatasattu, połączonych w zgonie. Oby w innym, ziemskim żywocie szczęśliwsza gwiazda przyświecała ich miłości.

Kala Rama zauważył wrażenie, jakie uczyniły te słowa na Amandzie, która ledwo mogła zapanować nad sobą.

Dotknął jej ramienia, a ona doznała zaraz ukojenia, dłoń jego i głos napelniły ją przedziwną otuchą.

— Oby spełniło się w istocie pragnienie zmarłego dawno władcy, który własnoręcznie rzezał te znaki. Wedle tradycji bowiem, Baku, kończąc napis, został opanowany takim bólem, że zemdlął, a potem zachorował ciężko i zmarł. Przykro było królowi powierzać komuś obojętnemu dokończenia napisu, przeto wziął młot i dłuto i po kilkutygodniowej pracy wykuł sam brakujące znaki, które w istocie nie wypadły tak ostro i pięknie jak początkowe, kute ręką mistrza. Musiano je też niedawno odświeżyć. Przeczytała je pani, tedy praca króla Narady nie była daremną, a musiałbym się bardzo mylić, gdyby dzieło to nie sięgało skutkami daleko poza czas jego błogosławionego panowania. Istotna treść życia osobistego, tkwiąca w najdrobniejszej rzeczy, trwalsza jest od wysiłków politycznych,

a nawet własnych czynów człowieka. To też, sędzę, pragnienie króla Narady ziści się po dwu tysiącach lat przeszło, albo dało już nawet może zamierzony wynik.

Amanda odpowiedziała jeno smutnem wstrząśnieniem głowy.

Ale starzec nie dał się tem wcale odwieść od swego zapatrywania i dodał tonem zaufania.:

— Jeszcze nie nadszedł koniec wszelkich dni, nie skończył się nawet dzień dzisiejszy!

Po chwili rzekł znowu:

— Kazałem, za zezwoleniem króla, otworzyć tę stupę i znalazłem wewnątrz urnę z brązu, mieszczącą, jak polecił uczynić Narada, popioły obojga połączonych kochanków.

— Umarli tedy oboje razem... połączeni zostali w skonie? — spytała — O, jakież zazdrości godny los! Nie czytałam o tem jeszcze, ekscelencjo, chociaż pragnęłam tego i pragnę. Ojciec czytał przez czas długi rękopis, potem zaś, gdym go dostała w ręce, przerwać musiałam na modlitwie Amary. Nadszedł pan Steel i miałam z nim wiadomą, ważną rozmowę, potem zaś trzeba się było co prędzej ubierać na festyn. Ale tak bardzo chciałam poznać los tych dwojga ludzi, że wzięłam koniec rękopisu z sobą, w nadziei, iż znajdę tu pół godzinki na czytanie, w jakimś spokojnym zakątku.

— Bardzo trafne było to przypuszczenie. Zostawię panią z całym zaufaniem tutaj, wiedząc żeś bezpieczna, droga memsahib, i że jesteś zagłębia w lekturze.

Amanda dobyte z za gorsu kartki manuskryptu, z pewnem zakłopotaniem i oblała się przytem żywym rumieńcem.

— Sądziłem, — powiedział uśmiechniony zlekka starzec — że, wkładając ten rękopis do starej, dobytej z głębi skarbca szkatułki, dałem mu najgodniejsze umieszczenie, tymczasem widzę, żeś pani znalazła dlań nierównie lepsze miejsce.

Pełna skruchy, Amanda jąła wygladzać troskliwie załamania cennego utworu, powstałe przez tak mało bibliotekarski schowek, ale Kala Rama uspokoił ją:

— To nic... to nic. Sama pani przekona się kiedyś, że nikt chyba nie zarzuci tego rodzaju śladów przechowania, gdy mu powiedzą: Kartki te miała za gorsem panna Amanda onego pamiętnego wieczora, kiedy właśnie... Ano, zobaczymy, co nam przyniesie ten wieczór. Ja nie żywię żadnych obaw i proszę, by pani również przestała się lękać. A teraz muszę iść co prędzej... ale zobaczymy się raz jeszcze.

— Jeszcze raz? — spytała zdumiona.

— Tak, jeszcze raz! — odparł, skinął jej głową i odszedł.



---

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

### Bez przeszłości.

**A**mandę zastanowiło to: jeszcze raz w połączeniu ze słowami Kala Ramy na temat rozstania się z życiem, i byłaby się niepokoiła długo, gdyby nie to, że Artur wyszedł nagle z cienia pomarańczowego gaju, jeszcze zanim ucichły lekkie kroki Hindusa.

— Co powiedział? — spytał bez tchu, wchodząc do kiosku. Pytał porywczo, ale w istocie wcale nie był ciekawy. Na plan drugi zeszło dłoń teraz, co przedsięwzięcie minister i w co obróci się cały ten spisek. Upajała go myśl, że oto zaplątany jest w prywatny spisek z ukochaną i ma prawo być tu, w tym schronisku, z nią, sam na sam bez zarzutu napastliwości.

Amanda odparła ze swobodnym, wesołym uśmiechem.

— Kala Rama wiedział już o wszystkim, takie przynajmniej odniosłam wrażenie, gdyż nie powiedział tego wyraźnie. Nie zaskoczyły go moje słowa i nie przeraziły. Uspokoił mnie, mówiąc, że nic nie zagraża i że wszystkim przebaczy. Opowiedziałam mu, jak pana schwytałam i jak pan chciałeś jechać ze mną do pałacu. Wstawiłam się też za panem, przedstawiając,

że uległeś namowie kuzyna i oto — dodała żartobliwie — oznajmiam panu zupełną amnestją ministra.

— Bardzo mi to miłe, jak wszystko co pochodzi od pani, — powiedział — ale nie bardzo zasługiwałbym na ową amnestję, gdybym w istocie uległ był jeno namowom Edmunda. Liczyłem na lepsze usprawiedliwienie niż to, które pani podała. Wszakże wspomniałem w kiosku, iż mógłbym nader łatwo wytłumaczyć, czemu wsiadłem na tę galeryę, która mocno przypomina brygantynę piracką.

— Przypominam sobie rzeczywiście. Ale obecnie, rzecz to zbytuczna całkiem.

Dziewczynę ogarnął widoczny niepokój. Bezwiednie cofnęła się nawet na ławce, jakby nie chciała być zbyt blisko młodzieńca, który spostrzegł ten ruch i doznał ukłucia w sercu.

— Czy pani sądzi, że mi mniej zależy na opinii pani, niż wyroku, czy przebaczeniu Kala Ramy? — spytał.

— O, nie... nie, tego nie miałam na myśli. Chciałam jeno powiedzieć, że będzie dość czasu na wyjaśnienia, bo przecież nie po raz ostatni widzimy się dzisiaj...

— Oczywiście! Broń Boże!

— Otóż powinien pan wykorzystać tę chwilę, by obejrzeć mnóstwo nader ciekawych rzeczy. Ja tu zostanę, Kala Rama prosił mnie o to wyraźnie, pan atoli zrobisz dobrze, jeśli rozejrzysz się po tym przeducnym parku.

— Czyż widok kilku starych kamieni może mi dać zadośćuczynienie za niemożność korzystania z towarzystwa pani?

— Ależ pan jesteś potrzebny gdzieindziej!

— Nie, nie jestem potrzebny! — powiedział z triumfem — Dziś mam jeno zadanie czuwania nad panią. Edmund wyznaczył mi inną zgoła rolę, ale ponieważ musiałbym zostać poza parkiem, przeto odmówiłem, chcąc się oddać wyłącznie bezpieczeństwu pani.

— Bardzo to ładnie z pańskiej strony, panie Steel, i jestem wdzięczna, ale nie zagraża teraz już nic... mnie przynajmniej nic się stać nie może, jeśli tu zostanę na ustroniu...

— Ach, panno Amando, proszę mnie nie odprawiać! Proszę wysłuchać przynajmniej. Wszakże przede wszystkim zależy mi na opinji pani, przeto ani przez minutę dłużej niż konieczne nie chcę być w jej oczach człowiekiem słabym i bez zasad. Takby zaś było, gdybym brał udział w awanturze pod wpływem namowy Edmunda. Nie mogłem się z tego oczyścić przed rozmową pani z Kala Ramą, teraz jednak muszę to uczynić. Edmund wtajemniczył mnie we wszystko dawno, od samego początku, kiedy szło jeno o romantyczną przygodę pod wpływem orjentalnych oczu rani, które ujrzał przelotnie przy uchyleniu zasłony...

— Uchylenie zasłony... — szepnęła Amanda i spojrzała w ciemń gaju pomarańczowego, wygwieżdżoną punkcikami kwiatów, od których szło tchnienie parnej woni.

— Wówczas nie myślał on wcale o rewolucji pałacowej. Ale nieprzewyciężone niemal trudności tej miłości przemieniły zachciankę chwilową w nieodporną namiętność, z czego skorzystał żądny władzy bramin, chcący go użyć za taran polityczny. Arcykapłan ogłosił Edmunda potomkiem Ramy i urządził całą zbrodniczą intrygę. W tych warunkach stanąłem przed dylematem. Musiałem współdziałać, albo wy-

jechać, to znaczy zostawić tu panią bez obrony, w wielkiem niebezpieczeństwie. Czyż mogłem to uczynić... proszę, powiedz pani sama? Nie może pani potępiać mego zachowania, a Kala Rama również. Powiedział, wszakże wczoraj dopiero, że wszyscy winniśmy czuwać nad panią. Jeśli to czuje stary Hindus, to cóż dopiero ja...?

Amanda spostrzegła, że nadszedł moment, którego się obawiała, i że żadna jej ostrożność nie odsunie go już, przeto powzięła decyzję stanowczą, jak zawsze w chwilach trudnych. Spojrzała nań śmiało i powiedziała dobitnie:

— Nie, panie Steel, nie mów pan tego, bo nie rozumiesz! Uczucie Kala Ramy dla mnie jest głębsze niżli pańskie!

Artur skoczył z ławki.

— Jakże możesz mi pani robić tę krzywdę! — zawołał — Czyż zasłużyłem na to, by porównywać miłość moją z życzliwością tego starca i uznawać ją w dodatku za głębszą? Nie ma pani pojęcia, jak panią kocham i to od pierwszego wejrzenia... coraz to bardziej... głębiej...

Zbrakło mu głosu i urwał, nie śmiejąc patrzeć na nią. Oczy jego spoczęły na leżącej na marmurze ławki ręce Amandy, krągłej, miękkiej o łagodnym przegubie, zbrunatniałej w ciepłym tonie od słońca, przez którą to barwę przeświecały błękitne żyłki na powiększonej niejako ręce dziecka.

Zasepił się. Czyż mała ta, zwięzła ręka, świadcząca nawet bez hiromancji o dobroci i wierności, spocznie kiedyś w jego dłoni, czyż otoczy jego szyję?

Wydało mu się to wielkiem, niemożliwem wprost szczęściem, za moment pewny był znowu, że tak być

musi. Czyż urocza ta dziewczyna ma sama iść przez życie? A jeśli nie sama, to z kim? Oczywiście nie z Edmundem! Z kimże innym tedy? Wszakże sam jeno był przy niej dla czuwania i opieki!

Czuł, że i ona odwróciła oczy, a potem spojrziała nań, zaczynając mówić. Ale głos jej miał tak smutne brzmienie, że stracił całą otuchę.

— Możliwe, że nie mam pojęcia o sile pańskiego uczucia, — powiedziała — ale oddawna już wiem, że pan wierzy, iż mnie kocha z całego serca.

— Wierzę? — odparł ponuro, z wyrzutem.

— Tak, bowiem mam przekonanie, że jesteś pan przeznaczony innej i inna panu.

Artur potrząsnął głową.

— Ja przeznaczyłem siebie dla pani!

— Tego nie może uczynić nikt! To wielka omyłka! Nie przeznaczamy się sobie, nastąpiło to już w przedwieczu. Mam to niezłomne przekonanie. Nie sądz pan, że nie doceniam pańskiego daru. Gdybym mogła wybierać, musiałabym wybrać pana jako młodzieńca, na którego wierności budować można śmiało życie.

— Ach, Amando! — zawołał wzburzony i chciał pochwycić jej dłoń, tę dłoń dziecięcą, która go tak pociągała. Ale cofnęła się i wstała, czyniąc gest napoły proszący, na poły wzbraniający.

— Drogi przyjacielu, bo na zawsze pozostaniesz pan mym przyjacielem — powiedziała — stać się to niestety nie może i nie wolno nawet, by się stało. Miałam słuszność, twierdząc, że mimo gwałtowności namiętnego uczucia pańskiego dla mnie, uczucie tego szlachetnego starca jest głębsze, albowiem głębiej tkwi. Słyszałeś pan, co nam opowiadał wczoraj w ruinach. Czyż nie dostrzegasz pan wszędzie tajemnych związków?

Wiem, że tak jest. Wczoraj wiodłeś mnie pan do czółna, nagle zakipiała w panu złość na... Ajatasattu... powiedziałeś pan. Ale była to jeno połowiczna prawda. Szło o Ajatasattu-Edmunda. I nie jest to jedyne utożsamienie, jakies pan uczynił. Czy nie wpadło panu nic... nic co może dotyczyć pana i mnie? Gdzież pan... tam... byłeś?

Artur tupnął mimowoli.

— Nie było mnie... tam! — odparł z rezygnacją i zuchwalstwem zarazem, jak obwiniony, który nie może zaprzeczyć obciążającemu go faktowi, a jednocześnie nie chce przyznać całej jego doniosłości.

Amanda dotknęła jego ramienia i spojrzała mu szczerze, głęboko w oczy.

— Nie powiedział pan należycie tego: nie było mnie tam! Dosłyszałam w tonie odpowiedzi, jak myśl ta zaniepokoiła i rozczarowała pana, albowiem wiesz pan teraz, co oznacza. Nie mamy wspólnej przeszłości, to też i przyszłości wspólnej mieć nie możemy. Dostałeś się pan jak zabląkana gwiazda w obcy układ astralny, ale odnajdziesz kiedyś swój własny. Teraz wszystko jasne... nieprawdaż? Wszakże znanem jest panu to, co wiedzą wszyscy w tym kraju i dalej, ku wschodowi, mianowicie, że prawdziwa i nieodporna miłość to jeno odnalezienie się, to jeno ciąg dalszy związków z minionych bytowań na ziemi.

— Gdyby tak było nawet, — zawołał — to skądże pani wie, że nie spotkaliśmy się już w jednym z wielu, wielu tysięcy okresów życia przedwiecznego. Jakże można mówić, że nie mamy wspólnej przeszłości? O, Amando, zawierz miłości mojej i wystaw mnie na próbę, a ona ujawni naszą wspólną przeszłość i to lepszą nierównie...

Amanda przerwała mu, potrząsając smutnie głową.

— Nie wiem, czy tak jest, czy inaczej, ale wszystko daremne. We mnie żyje teraz jeno Amara, jakżebym zresztą mogła zapomnieć o tem tu, w tem właśnie miejscu? O, nie wiesz pan nawet jakie obrałeś, a raczej jakie znalazłeś miejsce na wyznanie mi swojej miłości i prośbę o wzajemność. Mamy oto przed sobą urnę z popiołami Amary i Ajatasattu.

Artura objął lodowaty dreszcz i cofnął się od małej stupy, na kopule której bezwiednie trzymał przed chwilą rękę.

Ale zaraz odparł to chwilowe wrażenie z całą mocą.

— O, nie, Amando! — zawołał — Nie dam się uczynić niewolnikiem zmarłego człowieka i pani tego czynić nie powinnaś! Nie wolno pani oplatywać wkoło siebie złowrogiej sieci ulud, z której wyjścia niema. Ujmij pani dłoń moją, a wywiode cię z cieni przeszłości na jasne światło nowego dnia. Wszystko zależy od nas samych, a to co nas krępuje, to jeno wierzienia mgliste.

— Od nas samych, powiadasz pan? — przerwała mu. — Nie wierzysz pan w to zgoła. Bądźże, proszę, uczciwy, a przytem miłosierny dla siebie i mnie! Nie utrudniaj pan nam obojgu sprawy... ach i bez tego ciężko żyć, zaprawdę!

Padła na ławkę, zakrywając twarz dłońmi. Uczynił gest, jakby chciał podejść, ale Amanda wyciągnęła przeciw niemu rękę, ruchem tak stanowczym, że młodzieniec ujął jeno tę dłoń nieśmiało, pochylił się nad nią i ucałował rycersko niebieskie żyłki, prześwietlające przez ogorzałą skórę. Był to pocałunek pożegnalny, a dusza Artura szepnęła szczerze:

— *God bless you!*

---

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

---

### Amanda widzi istnego Chranquinchru.

Przez długą chwilę nie mogła się Amanda otrząsnąć z przykrego uczucia, wywołanego bólem, jaki zadała sercu zacnego, a oddanego sobie młodzieńca. Zwolna zbierała rozpierzchłe myśli.

Prosiła go o miłosierdzie dla obojga, a sama postąpiła okrutnie. Była okrutną dla niego, choć nie zasłużył na to, a także dla siebie samej. Odtrąciła wybawczą rękę przyjaciela, bez nadziei, a nawet możliwości uchwycenia ręki drugiej, której groziła zatura w zamęcie chwili najbliższej. Niedosiężną była jej ta druga, obojętna całkiem dłoń, a jednocześnie ukształtowana dla jej uścisku, z którą skuwał ją pierścień silniejszy nad obrączkę ślubną, bo pierścień odrodzeń prawiecznych.

I dlatego musiała to uczynić właśnie.

Odczuwszy spokój, płynący z tego przymusu, wzięła do rąk rękopis Kala Ramy. Wszakże ten stary mędrzec przyznał jej słuszność. Równie jasno jak sama, a może jaśniej nawet pojął przymus jej miłości i dostrzegł ponadto w tym musie... możliwość, ujrzał życie tam, gdzie ona widziała jeno śmierć.



Nie mogła jednak, nie śmiała oddać się tej nadziei. Mogła jeno usłuchać jego rady i uczyniła to.

Zdała wszystko na zrzączenie losu i zatoneła w czytaniu o zdarzeniach przeszłości, tak bardzo ją obchodzących.

---

Noc nadeszła — czytała — i jęła patrzeć mnóstwem gwiazdnych oczu na plac przed stupą, na którym błyszczwały pośród kolumn rozliczne światła. Celem podniesienia jeszcze jego rzęsiwości, kilku sług zawieszalo srebrne lampy, na przeciwległych drzewach parku. Inni ustawiali półkołem krzesła, tak by goście zwróceni plecami do stupy mieli przed sobą oświetlony plac, zamknięty gęstwą królewskiego ogrodu. Z wnętrza palacu płynęły teraz cudne akordy muzyki. Były to dźwięki lutni i fletów podkreślane uderzeniami bębnów, podobne fali źródlanej, co skacze po omszałych kamieniach, zaś szczęk obręczy i jęk dzwonek przypominał szmer liśtowania i kwiatów nad potokiem.

Dwaj służący skończyli właśnie z lampami i słuchali rozpromienieni.

— To bajadery!

— Czy ze świątyni Kryszny?

— Tak! Widziałem, jak jechały. Jest ich siedem, mają liczną świtę dziewcząt, a każda nosi na szyi, pierśsiach i biodrach całą fortunę w brylantach!

— Szkoda, że nie można widzieć ich w tańcu! — westchnął młodszy — Podobno jest to rozkosz niebiańska.

— Wiem jak tego dokazać! — odparł starszy — Manga przy narożniku palacu ma konar, z którego można przy pewnej zręczności skoczyć na dach.

— Dalejże! — zawołał młodszy porywczo.

Wchodzili już obaj w ogród, gdy z gęstwy wyszedł trzeci sługa z wielkim, glinianym dzbanem i zawołał trwoźnie:

— Gdzieżto idziecie?

— Chcemy wejść na dach, — powiedział szeptem młodszy — by przez otwory powietrzne zajrzeć do sali, gdzie tańczą bajadery.

— Jakże zdołacie wejść na dach? — spytał przybyły.

— Z jednej mangi można skoczyć tam! — poinformował starszy.

— Chodź z nami! — wezwał go młodszy.

Przybyły postawił przed sobą dzban i chwycił towarzyszy trwoźnie za ramiona.

— Nie, nie chodźcie do ogrodu!

— Dlaczegożto? Sam przecież wracasz stamtąd.

— Czerpałem wodę z jeziora i widziałem wszędzie, po krzakach i wśród drzew straszne postaci.

— Czy ludzkie? — spytał starszy sługa.

— Tak sędzę. Szczekała też broń. Gdziem zaś nie widział nikogo, tam szeptało coś głucho. Ogarnięty wielkim strachem zacząłem biec, gdy mijałem drzewo mangowe, świsnął koło mnie oszczep i utkwiał w pniu.

— To straszne! — zawołał starszy.

— Trzeba o tem donieść naszemu panu! — oświadczył młodszy.

— To prawda! — przyznał nosiwoda — Tak sam pomyślałem.

Tymczasem skończyli swe zajęcie ustawiający krzesła, podeszli i usłyszeli koniec opowiadania. Jeden, koślawy od starości mężczyzna podniósł ostrzegawczo dłoń i potrząsnął karcąco łysą, brodatą głową.

— Głupioś pomyślał, mój synu! Paplanina nie daje nigdy korzyści. Czy sądzisz, że widziałeś i slyszaleś ludzi żywych?

— A kogóżby innego?

— Demony widziałeś! — rzekł starzec z tajemniczym gestem, od którego wszyscy skulili się trwożnie. Rozśmielony odniesionym sukcesem, podjął starzec na nowo — Czyż miasto nasze leży tak blisko granicy, by nieprzyjaciele mogli wtargnąć niepostrzeżenie, albo czy słyszał tu kto o rozbójnikach tak zuchwałych, by napadać park księżęcy?

Słudzy spojrzeli po sobie stropieni, a szmer uznania nagrodził bystrość starca.

Podniósłszy głos, mówił dalej triumfująco:

— Jakżeby mogli ludzie skryć się we mgle, po nocy w parku?

— To prawda! — przyznał starszy i młodszy sługa. Ale nosiwoda, który odniósł wrażenie, że skryte postaci były to istoty ludzkie, spytał zuchwale, czemu by miały obsadzać park demony.

— Żółtodzióbie! — krzyknął starzec gniewnie — Pytasz czemu? Oto oczywiście dlatego, że nas bogowie przestali ochraniać. Król zakazał od dziś składać ofiar.

— Jakto? Król zakazał ofiar? — spytało kilku z przerażeniami minami.

— To prawda! — potwierdził młodszy — Zakazano w całym państwie ofiarowywania bydła. Sam słyszałem, jak głosił to herold publiczny, pod tą oto stupą.

— I ja, i ja!... — zawołało kilku z grupy.

— Sprawa w istocie przykra! — przyznał starszy sługa.

— Przykra? — zawołał nosiwoda — To sprawa groźna, straszna! Teraz widzę, że mogły to być demony.

Starzec zaśmiał się złośliwie.

— Mogły być demony... powiadasz...? Nie wątpiwie pełen jest ogród i park demonów. Ale to jeszcze nic, przyjdzie coś gorszego! Słyszałem kapłana, który przepowiadał głód i morową zarazę!

Jał teraz głosić wieści okropne, porażonej strachem służbie, a słuchali go wszyscy prócz młodzika zaintrygowanego bajaderami, który nadsluchiwał dźwięków muzyki.

Wewnątrz, w przewiewnej, wysokiej sali liczne i świetne towarzystwo poilo się rozkosznym widokiem tańczących bajader.

Ajatasattu stał poza wzniesionem nad podłogę siedzeniem królewskiej pary i tłumaczył szczegóły tańca, wyobrażającego wymownymi gestami miłość Kryszny i Radhy. Pastuszki krążą wokół boskiego młodzieńca, a każda usiłuje go pociągnąć swemi wdziękami. On atoli szuka swej Radhy, która odeń ucieka i odpędza go z kapryśnym uporem. Potem siedząc zosobna, smucą się oboje, zaś siostra mlęczna Radhy krąży pomiędzy poróżnionymi. Podaje kwiat polny Radhdzie, która go oblewa łzami i całuje. Daje się przebłagać, a szczęsny Kryszna spieszy w jej ramiona.

— Otóż widzimy i słyszymy to, co nam śpiewa poeta w tych słowach:

Wdzięcznie brzęczały obrączki  
I dzwonki u kostek Radhy,  
A także dzwonki u paska,  
Gdy szła z wahaniem niejakiem

Krokiem gazeli do gaju, co szumi,  
Do gaju ukochanego.  
Serce mu falą wezbrało, jak morze,  
Przelśnione jaśnią księżycą w jesieni,  
Lzy przysłoniły spojrzenie,  
Zaś od niej uciekła z pospiechem  
Nimfa błękitnych, łyskliwych wód,  
Co mieszka wśród fal ich głębi,  
Uroczy, ponętny wstyd.  
Uciekła, spłoszona zagnała  
Kryszny pocałunkami...

W tej chwili donośniej rozbrzmiała muzyka, pasterki rozradowane szczęściem kochanków, zatańczyły wkoło nich skoczniej, a Ajatasattu, skorzystawszy z tego, wymknął się z sali.

Szybkim krokiem przebiegł galerję i wszedł do małego, całkiem pustego pokoju, gdzie na kamiennej podłodze siedział w kucki Chranquinchru, mając obok siebie zamknięty koszyk, a dobywając z drugiego, otwartego, garściami owoce, które chciwie pożerał.

— Porzuć jedzenie, czarnoskórcze! Weź piszczalkę i pokaż mi raz jeszcze taniec twego radżanaga.

Czarnuch wykonał niezwłocznie rozkaz. Zabrzmiała piszczałka i niebawem kołysał się rozpostarty kaptur nad spiralnemi, miedzianemi zwojami węzowego cielska.

Ajatasattu wołał nań po imieniu, klaskał palcami i wyciągał doń rękę bez obawy, mimo że wąż sięgał ku niej, jakby żartem.

---

W tem miejscu przerwana została lektura Amandy.

Przekonawszy się, że wszystko w porządku, w małej świątynce, legł zwinięty w kłębek Garuda spokojnie na ławie, obok swej pani. Teraz skoczył na równe nogi,

szczeknął i zawył ze złością i stanął, podniósłszy ogon, na najwyższym stopniu terasy.

Amanda spojrzała w stronę, gdzie tkwiły jarzące oczy zwierzątka.

Zobaczyła nieznanego z poprzedniego wieczora, guru Kala Ramy.

Widać, stanął w przechodzie i patrzył na nią przez chwilę. Teraz pozdrowił ją tym samym co poprzód, napół błogosławiącym gestem głowy i ręki i poszedł dalej bez szmeru.

Amanda spuściła ponownie oczy na papier, ale znowu wrzasnął dziko i zawył Garuda, tak że spojrziała i tym razem przejął ją lodowy zamróz przestraszu.

Śladem jogisa skradał się człowiek, przypominający całkiem Chranquinchru z legendy. Czarny, nagi aż do opaski biodrowej, miał twarz zwierzęcą, pierścien w nozdrzu, zaś pod pachą mały koszyk takiego kształtu, jakiego używają poskramiacze węzów...

Cóż to miało znaczyć? Wspomniała, że gdy opuściła wraz z ministrem arenę, wpadło jej w oczy kilku kuglarzy, którzy przybyli tu, widocznie w nadziei zarobienia czegoś z okazji festynu, tedy ów poskramiacz musiał się do nich zaliczać. Czemuż atoli szedł śladem jogisa? Co się tu działo?

Zrozumiała teraz wzburzenie Garudy. Zwierzątko zwietryło węża i opanowała je demoniczna żądza polowania.

— Cicho bądź, Garuda! Zostań tu! — nakazała mu, wracając do czytania, a Garuda ucichł i został. Był to jednak, znany z dynamiki spokój ciała, na które działają jednocześnie dwie sprzeczne siły. Spokój tego ciała nie jest zazdrości godzien, tak też było z Ga-

rudą. Nigdy, żaden bohater tragedji nie cierpiał takiej rozterki obowiązku i skłonności. Tuż przed nim przesunął się wąż, miał on jeszcze w nozdrzach ostry odór wroga, rozdzierający fałę pomarańczowej woni, niby uderzenie surmy, wpadające w rzępolenie gitar. Ale niestety, ten kobra nie wił się po trawie, ale leżał zwinięty w koszyku, niesionym przez człowieka, nie był przeto zwierzyzną wolną, dziką, jeno jak on sam zwierzęciem domowem, tańczącym po jarmarkach przy fletni swego pana, któremu służył, jak on swej pani. Pani zaś powiedziała: cicho bądź i zostań, przeto został.

Mimo jednak tego rozkazu i owej nietykalności, chronionego przez człowieka kobry, był to jednak kobra. Słabo już odczuwał Garuda w nosie jego odór, ale zato tem silniej pokusę w sercu. W miarę zanikania wrażeń węchowych rosła pokusa. Tutaj, na górze nic już czuć nie było, dałoby się jednak zwietrzyć trop na dole... jeszcze przez chwilę, potem wszystko na nic... Odór zanikł, ale pokusa wzięła górę. Powiedział sobie, że spróbuje tylko, czy na śladach coś czuć... co najwyżej przekona się, dokąd poszedł człowiek z węzem...

Amanda przewróciła kartkę rękopisu i, spojrzawszy bezwiednie, nie zobaczyła Garudy.

Znikł cicho, jak Hindus, czy wyrzut sumienia.

Amanda poprzestała na stwierdzeniu nieobecności ichneumona, zbyt ją bowiem zajmowały zmierzające do katastrofy losy osób, do których wcieleń późniejszych się zaliczała, by mieć dla niewinnego Garudy coś ponad błysk myśli przepojonej wyrzutem.

Czytała, nie wiedząc jak długo, gdy znowu przyszło jej wrażenie z zewnątrz, przedziwnie wplecione

w przeżycia duchowe, czerpane z rękopisu, tak że wzięła je za uludę zmysłów, wywołaną przez lekturę.

Właśnie doszła do opisu, jak goście Ajatasattu zasiedli na placu przed pałacem... tutaj pewnie, gdzie ongiś przeżyli Kala Rama i jego guru najstraszliwsze chwile życia... para królewska zajęła miejsca pośrodku, Mahimsasa siadł po lewej, a Amara po prawej, naprzeciwko niego, tak że oba diamenty z jaskini pozdrowiały się wzajem promieniami. Chranquinchru kucnął właśnie na dywanie, odkrył koszyk i przyłożył do ust piszczalną...

Ach... w istocie,... z oddali nadpłynęły charakterystyczne, chromatyczne tony fletni poskramiacza. Wiły się, pelzały, rosły, cichły i wiły ponownie w górę, tworząc melodię monotonną, a przerażną jednocześnie.

Zdrętwiała od strachu, nadsluchiwała Amanda i otrzeźwiła ją dopiero myśl, że poskramiacz musiał znaleźć amatora swych sztuczek i produkuje się przed nim.

Zaraz potem błysło jej, jakoby skądś znała tę melodię, ale nie mogła rozstrzygnąć kwestji, gdyż zbyt przemożnie pociągały ją zdarzenia końcowe uczty Ajatasattu, które, mimo że jeno czytane, nabrały, w czarodziejskim kręgu melodji poskramiacza, siły przeżyć osobistych i realnych.



---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

---

### Szlak wyżynny wędrownych gęsi.

**K**lnąc wszystko, siebie, los swój, czy karmę, kuzyna, życie, wogóle wszystko z wyjątkiem tej właśnie jeno, która była sprawczynią cierpienia... szedł Artur przez gaj pomarańczowy. Zatrzymał się u drzew ostatnich, jakby nie chciał opuszczać tego świętego dlań jeszcze kręgu i jakby go raził teraz obcy zgoła, odarty z dostojeństwa, świat.

Z jakąż nadzieją wszedł tu! Amanda wiedziała o cudzołożnej miłości Edmunda i rani, a także całą intrygę korsarskiej natury kuzyna miała przed sobą bez obsłonek. Nie mógł wątpić, że się odeń odwróci ze wstrętem, nikt, komu danem było przelotnie choćby czytać w jej sercu. Także wcale nie należało uważać za pewnik, jakoby to serce żywiło jakieś głębsze dla Edmunda uczucie. Dowód wystarczający, a negatywny stanowił fakt wyjawienia zamysłów Edmunda ministrowi. Mimo wysokiego poczucia sprawiedliwości nie uczyniłaby tego chyba Amanda, kochając go. Pojęcia Artura nie sięgały do wyżyn ofiary z miłości, przez miłość właśnie poniesionej. Sądził tedy, że chociaż może, czarująca i pełna rozmachu osobowość Edmunda przez czas pewien wiodła fan-

tazję Amandy po niebezpiecznych ścieżkach, to jednak teraz ma otwarte oczy na rzeczywistość, która podobać jej się nie może.

Głos wewnętrzny szeptał mu, że gdyby tak nawet było, winien zostawić jej czas i nie narzucać swego uczucia w tej chwili, ale niecierpliwość młodzieńcza przypomniała mu, iż winien oczyścić się w jej oczach z zarzutów, jakie nań spadły skutkiem współudziału w zbrodniczym spisku. Wyjaśniając to, wyznawał jednocześnie miłość swoją i dostrzegł w tem zespoleniu niezamierzonym coś opatrnościowego.

Snując takie myśli, szedł tu, a oto w tej chwili stał u wyjścia, jako odepchnięty, *homo novus*, bez przeszłości, bez znanych przodków, którzyby mu umożliwiali dostęp do tak arystokratycznego towarzystwa.

Największą goryczą przejmował go ten brak przeszłości, albowiem to właśnie odbierało wszelkie szanse, czyniło każdą walkę z góry przegraną, beznadziejnie i druzgotało wszelki wysilek martwą bryłą konieczności przyrodzonej.

To też gorzkie myśli przepajały umysł Artura, a można je było określić najlepiej warjantem popularnego określenia: *uncommonly bord on a fellow*, cóż za okrutny niezwykle towarzysz!

Przybyłem tutaj oto ja, pochodzący ze Szkocji, gdzie jasnowidzenie jest rzeczą codzienną, gdzie w dodatku, w rodzinie mojej wiele osób posiadało zdolności mistyczne, przybyłem do Indyj, kraju cudów, wstąpiłem do tajnego stowarzyszenia, uprawiającego mistykę, a jednak, z wyjątkiem owego napisu w liście, nie napotkałem niczego mistycznego. Tak się stało... a oto teraz, na najprostszej drodze wpadłem w toń misteryj i gdy idzie o miłość mą, o szczęście życia, zostałem par-

jasem, któremu powiadają: nie było cię tam! Nie masz nic wspólnego z ukochaną kobietą! Gdybym przynajmniej nie wierzył, uznałbym to za słuszną karę, ale wierzę we wszystko, pragnę mieć z nią wspólną przeszłość i radbym, by miłość moja posiadała wstecz i wprzód owo tajemnicze przedłużenie... Mimo to jestem wyrzutkiem... o, zaprawdę... cóż to za okrutny niezwykle towarzysz!

Spojrzał za siebie i dostrzegł poprzez cienkie, czarne pnie, kiosk oświetlony złotawym blaskiem, zaś pomiędzy kolumnami białą postać, z glorią nad ciemnowłosą głową, pochyloną ku rękopisowi. Zatonęła w innym, mistycznym świetle, zostawiając go w trzeźwej, codziennej pustyni, w której, mimo całej jej fantastyczności, nie było co robić.

Zwróciwszy się wreszcie w świat zewnętrzny, spostrzegł na niebie, w dali, dziwny, czerwony blask. Wziął to zrazu za wschód księżyca, ale niezwłocznie przypomniał sobie wszystkie, otaczające go niebezpieczeństwa, fantastyczne ewentualności i wrócił do chwili bieżącej, tak pełnej niespodzianek.

Gmach szkoły stał w płomieniach.

Cóż teraz nastąpi?

Doznał ulgi wobec nadchodzących wydarzeń zewnętrznych, które go wyrwały z dumań o miłosnym zawodzie i uczuł żywe zainteresowanie, a jednocześnie nawet żal, że może nie powiedzie się wszystko, bowiem słowa Amandy brzmiały zbyt uspakajająco. Pożądał teraz gorąco walki, rzezi, w tym parku orientalnym, gdzie mógłby położyć życie, będące ciężarem wzgardzonemu kochankowi. Pozatem ciekaw był niezmiernie, co właściwie nastąpi i jaki będzie tok sprawy. Pod

tem wrażeniem przyspieszył kroku i niebawem stanął na wolnej przestrzeni, skąd mógł coś zobaczyć.

Dostrzegł już stąd kilka osób, patrzących na pożar, a wstąpiwszy na platformę, ogarnął wzrokiem znaczną część ogrodu. Nie widział jeno miasta i samego płonącego budynku, bo zasłaniała go jedna z baszt pałacu, zarysowana teraz czarnym, zębatym wykresem na różowej lunie.

Przybył tu właśnie arcykapłan, wraz z Czandrą Singhiem dla śledzenia pożaru. Rozmawiali obaj z towarzyszem Czandry Singha, którego Artur zauważył wczoraj pośród uczestników polowania, a który podszedł do nich przed chwilą dopiero. Zgodzili się na zapatrywanie, że pożar musieli zauważyć już wszyscy w parku, a minister podążył już zapewne na miejsce wypadku. Przybyły potwierdził, iż go niema na terasie Ghandarwów, gdzie powinien był się znajdować obok króla, w pawim pawilonie. Wynikało stąd rzeczywiście, iż opuścił park.

— Jesteś tu, widzę, Arturze! — zawołał w tej chwili Edmund — Widzisz, jak wszystko idzie prawidłowo! Właściwie powinienbyś być tam! — dodał twardo, wskazując pożar, gniewny, że kuzyn wylamuje się z pod jego autorytetu i samowolnie zmienia funkcje, narzucone mu przez pana i władcę. Teraz, w momencie rozstrzygającym, doznał Edmund silnych wyrzutów sumienia, z powodu wystawienia na niebezpieczeństwo europejskich gości. Kilka razy zasięgał co do nich zdania arcykapłana, ale bramin oświadczył, iż stary, głupi pandita „wielki znawca Wed“ tak się boi prochu i białej broni, że nie zaprowadzi profesora w miejsce, gdzie będą użyte. Tem więcej zatroskał się o Amandę i czynił sobie gorzkie wyrzuty, że pod ja-

kimś pozorem nie przeszkodził jej przybyć na festyn. Zły był też na zakochanego w niej kuzyna, który tego samego nie uczynił, aż wreszcie ukoła go myśl, że Artur jest przynajmniej u jej boku, jako najlepszy obrońca. To też zdziwiło go nadejście młodzieńca, a osłupiał niemal na spokojną odpowiedź jego:

— Mogę tam jeszcze pójść.

— Jakto? — spytał — Wszakże oddałeś się wyłącznie na usługi swej damy. Dziwi mnie nawet, że odszedłeś od niej tak daleko.

— O, panna Amanda jest zupełnie bezpieczna. Sam Kala Rama wynalazł jej zaciszne, odległe schronienie. Gdym ją opuścił przed chwilą, siedziała i czytała spokojnie.

Edmund rzucił mu krótkie, ostre spojrzenie, ale Artur nie próbował go nawet wytrzymać.

— Ten postrzeleniec oświadczył się niezawodnie i dostał kosza! — pomyślał Edmund, zgoła nie po kuzynowsku, i przejęło go to wprost irracjonalną, głęboką, porywczą radością.

— Mogę tam iść, jeśli sądzisz, że jestem potrzebny — rzekł Artur.

Nie wierzył już, by Kala Rama podążyć miał na miejsce pożaru, ale zachował ten fakt i jego uzasadnienie dla siebie samego. Groziło w istocie wielkie niebezpieczeństwo ze strony szalejącego tłumu Europejczykowi, któryby chciał interwenjować. Artur mógł zostać zmuszonym do użycia pistoletu, że zaś chciał wystąpić jeno po stronie ładu i porządku, tam właśnie była jedyna sposobność walki. Czuł, że w parku nie dojdzie do starcia tej nocy. Gorzał żądzą boju i niebezpieczeństw...

Widok ognia zakłopotał Edmunda co do bezpieczeństwa ministra, to też przyjął z radością propozycję kuzyna. Porozumieli się odnośnie do drogi najbliższej, a Edmund spytał o to Czandrę Singha.

— Jakto! Młody sahib chce wyjść z parku? To niemożliwe!

— Dlaczego? Wszakże może to uczynić bez trudności bramą, gdzie krążyły białe gołębie, i gdzie czuwają nasi sprzymierzeńcy.

— Niepodobna! Niech sahib raczy spytać arcykapłana.

Wysłuchawszy pytania, potrząsł bramin lwią grzywą i rzekł:

— Niepodobna... niepodobna! Nikt już wyjść, ni wejść nie może. Gdyby tak łatwą była komunikacja ze światem zewnętrznym, rani nie potrzebowałyby puszczać swych gołębi.

Temu spostrzeżeniu nie dało się nic zarzucić.

Zniechęcony Edmund wbił oczy w ziemię. Autorytet kapłana, stający tak ostro wbrew jego woli, dał mu odczuć całą chwiejność własnego stanowiska. Przytem uświadomił sobie... przez tę konieczność ulegnięcia... jak bardzo obcym jest i jak przeto zależnym od ludzi, obeznanymi ze zwyczajami i obyczajami kraju, którego władcą miał zostać za chwilę.

W tej chwili nadszedł, zstępując niezdarnie ze schodów, koślawy człowiek, którego pancerz, i uzbrojenie ściągało uwagę, mimo mroku. Wynurzył się z kwitnących krzewów, zarastających przestrzeń pomiędzy terasą wyższą, a platformą, i kroczył pospiesznie. Czynił wrażenie śmieszne, ale gdy podszedł, napięcie rysów jego kanciastej twarzy zwiastowało, że niesie wieść wagi niezwyklej.

— Ram... Ram... — wyrzucił zadyszany, podnosząc drżącą rękę do okrytego hełmem czoła.

— Cóż tam nowego, Pertabie? — spytał Czandra Singh — Czy wiesz na pewno, że Kala Rama opuścił park?

— Wiem, że niema go na górze, przy królu.

— To wiemy i my! — przerwał szorstko arcykapłan człowiekowi, który mógł być jeno szakalem w towarzystwie bramina-lwa i Radżputanina-tygrysa. — Czy widział kto, jak wychodził z parku?

— O ile wiem, to nie, o niebiański mężu! — odparł szakal ze służalczym ukłonem — Ale obiega pogłoska...

— Pogłoska? — zawołali wszyscy i zbliżyli się nerwowo, jak to bywa nawet u dzielnych ludzi, związanych tajemem, a niebezpiecznem przedsięwzięciem. Nawet zubożniały Artur podszedł z zaciekawieniem.

— Cóż to za pogłoska? Mów prędko!

— Powiadają, o najczcigodniejszy anso bóstwa, — rzekł Pertab, zwrócony do arcykapłana, tak jakby wieść mogła być złożona w jego tylko święte uszy — powiadają, że Kala Rama odszedł wyżynnym szlakiem wędrownych gęsi!

Wiadomość wywarła na trzech Hindusach wrażenie tak silne, jak się spodziewał Pertab. Spoglądali po sobie oniemiałi. Ale Edmund odczuł ponownie swą obcość i nieindyjskość, wyłączając go i tu od zrozumienia rzeczy, zaśmiał się tedy z niezadowoleniem i rzekł:

— Macie tu, widzę, poetyczne nazwy ulic. Ale radbym wiedzieć, dokąd ta właśnie prowadził!

— Szlak wyżynny wędrownych gęsi, o szlachetny sahibie, — odparł Pertab — wiecie tam, skąd niema powrotu.

— Wyśmienite określenie! — zawołał znany głos, na który obejrzeni się wszyscy.

Był to profesor, wywabiony przez swego uczonego przewodnika na to miejsce, skąd można było widzieć pożar. Dostał się tu z dolnej części parku schodami podobnymi do tych, jakimi zszedł z terasy Pertab, i dyszał ze zmęczenia, ale zapomniał natychmiast o pożarze, pod wpływem radości, że znajduje jeszcze owo stare, klasyczne wyrażenie w żywych ustach ludu.

— Wyśmienite określenie! — powtórzył — Wszakże napisano: ...ów szlak parahamsów (gęsi wędrownych) jest trudnym do odnalezienia w świecie i nie wielu nim chadza. Jeśli ktoś nań atoli wstąpi, ten trwa w czystości swej, staje się człowiekiem Wed i jak mówią mędrcy... wielkim mężem! Wszak prawda, drogi przyjacielu? — zwrócił się do pandity, który był na tem polu raczej towarzyszem, niż przewodnikiem uczonego.

„Wielki znawca Wed“ dyszał, kaszłał, potakiwał i uśmiechał się wielce głupkowato. Profesor zapomniał całkiem, że, zaczawszy mówić po angielsku ze względu na Edmunda, w tym samym języku spytał panditę, który nie wiedział zgola, czemu potakuje.

— Trzeba panu wiedzieć, — ciągnął dalej profesor — że gęś wędrowna, to prastary symbol wędrującej duszy. Parahamsą zowie się pielgrzym, o którym czytamy w upanisadzie: Porzuca żonę, przyjaciela, dzieci, krewnych, włosy, sznur ofiarniczy, studjum Wed i wszelkie czyny. Zrzeka się świata, bierze nabiodrze, kij i derkę, dbając tyle o życie własne, by móc wspomagać innych.

Tym razem powtórzył te słowa po sanskrycku, dla pandity, i spytał:



— Wszakże dobrze zacytowałem, drogi przyjacielu, ustęp z upaniszady parahamsów?

— Jakżeby mógł źle cytować jurny byk uczoności, orzący ostrym lemieszem zachodu rolę wiedzy wschodniej? — rzekł w odpowiedzi pandita, kuląc się z uprzejmości.

— Ach, cóż to za szaleństwo! — zawołał Edmund — Chyba nie chcecie wmówić we mnie, że jego eksce-lencja Kala Rama został mnichem żebrzącym.

— Kala Rama? — spytał zmieszany profesor, spoglądając na wszystkich — Czyż o nim mowa?

— O nim samym, o najczcigodniejszy, najslyniejszy sloniu mądrości i zapładniaczu wiedzy! — odparł szakal, wobec tego, że lew i tygrys nie raczyli zwracać uwagi na odrodzonego riszi, ale rozmawiali z sobą żywo.

— Wedle pogłoski krążącej złożył Kala Rama w ręce króla wszystkie urzędy i dostojęstwa, oraz ruszył, jako prosty sanijassin, szlakiem wyżynnym wędrownych gesi.

— Czyż to możliwe? — zawołał profesor — Niechby mi teraz ktoś chciał mówić, że niema już starych Indyj! Potężny, słynny Kala Rama został parahamsą! Nie zna czci, ni przygany, pochwały, ni ofiarnej formuły, ale żyje z dnia na dzień, jak żebrak. Niema domu, żyje, nie zajmując się złotem, ni niczem podobnem...

Potrząsnął głową zadumany. Potem nagle spostrzegł pożar, który go tu zwabił, ale o którym całkiem dla parahamsy zapomniał. Spytał, co to znaczy, a szakal wyjaśnił, iż w ten sposób zaczyna się iluminacja miasta. Uczony wyraził pogląd, iż jest to raczej pożar, a szakal wyjaśnił, przy pełnym szacunku dla trafności

sądów słonia wiedzy, że nie ma on należytego wyobrażenia o wspaniałości indyjskiej iluminacji. Przyobiegał mu też, że zaraz cały park odzieje się w czarowną, świetlną szatę.

Tymczasem bramin-lew skinał na pandite i zbeształ go za przyprowadzenie tu tego ryczącego głośno, sanskryckiego byka, przybyłego z pastwisk zachodu, który nic tu nie ma do roboty. Potem zalecił mu, by nie stał, mrużąc jak wół pociągowy, targany za ogon przez poganiacza, ale by wplątał co prędzej profesora-sahiba w dyskusję nad jakimś starym napisem, tak by zapomniał o znakach niebieskich, w guście pożaru. Rozkazał mu też stanowczo, by trzymał dbającego bardzo o swe życie profesora zdala od miejsc niebezpiecznych, poczem dodał od siebie, iż świat nie straciłby wiele, w wypadku zablakania się jakiejś kuli w czoło tego byczka wiedzy, który przeżuwa palmowe liście rękopisów.

Otrzymawszy tak metaforyczną instrukcję, porwał wielki znawca Wed w szpony profesora i uprowadził co prędzej.

Arturowi nie dogadzało towarzystwo współspiskowców, przyłączył się więc do nich z uwagi, że miał dlań pewną wartość profesor, jako ojciec ukochanej, a na zawsze już straconej, a także w zamiarze trzymania obu uczonych jak najdłużej zdala od grobowca Amary i Ajatasattu. Wiedział, że Amanda chce mieć spokój i samotność, a była to jedyna przysługa, jaką jej mógł teraz wyświadczyć.

— Czy Kala Rama odszedł na miejsce pożaru, czy udał się na wędrowną, to rzecz obojętna — powiedział arcykapłan — w każdym razie wolna przed panem, sahibie, droga do tronu!

Rzekłszy to, ruszył przodem w ciemną głąb parku. Niebawem wyszli na mały, krągły plac. Ławy marmurowe zapraszały do siedzenia, a szerokie schody wiodły stąd na drugą terasę, terasę nagów. Na dole i pośrodku nich stało na straży sześć demonów, których okaleczalnych, skłębionych członków nie można było dostrzec wyraźnie w półmroku.

Arcykapłan wskazał schody i pożegnał Edmunda ukłonem i gestem błogosławienia, co powtórzyli obaj jego towarzysze, poczem Hindusi znikli, w cieniach alei platanowej.

---

## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

### Przed schodami demonów.

**E**dmund padł ciężko na marmurową ławę. Stał więc bezpośrednio przed celem. Miał jeno poczekać, na oświetlenie parku, będące hasłem, wejść po tych i jeszcze paru innych podobnych schodach, niezbyt skutecznie chronionych przez potwory. Gdy stanie na szczycie, reszta przyjdzie sama. Zaiste, dość łatwe zadanie.

Zbyt łatwem wydało mu się nawet teraz. Wolalby zwały przeszkód i walkę osobistą, zuchwałą, wymagającą niezmiernego wysiłku, u stopni radzowskiego tronu.

Wobec tej nieoporności doznał uczucia pustki. Królewski majestat, po który sięgał, stał mu się nagle nikłym i beztreściwym. Jeno pozory nieosięgalności zwabiły go do awanturniczego skoku przez tę przepaść. A teraz? Czyż wart był coś tron tak łatwy do objęcia?

Nie rozumował nad tą kwestją, coprawda, ale odczuł ją w nagłym zobojętnieniu i niechętnym opadzie sił.

Nie myślał nad tem, ale dumal o wielkiej duszy Kala Ramy, co odleciała wyżynnym szlakiem wędrownych gęsi.

Była to jeno pogłoska, ale wiedział, że wieści prawdę. Z tego to właśnie powodu podarował mu

Kala Rama, oraz Amandzie dwa klejnoty... dwie fortuny. Rozdawał wszystko, czynił się wolnym. Taki był sens istotny słów jego w arenie, kiedy powiedział, że pozna, iż nie może mu zwracać klejnotu. Podobne znaczenie miało jego powiedzenie wczorajsze, iż jest bogaty, ale wkrótce zostanie tak bogatym, iż trudno to będzie pojąć. Tą niepojętą pełnią posiadania było zupełne wyrzeczenie się!

Jakże człowiek ten patrzeć nań teraz musi i z jak słusznem prawem z wyżyn swego lotu! Wszakże plamił ręce chwytaniem tego, czem on wzgardził, co odrzucił jako balast niepotrzebny. O jakże nikczemną jest żądza posiadania, a jak dostojną rezygnacja!

Zresztą, mniejsza czy nikczemne, czy dostojne to wszystko było, jedna rzecz ubodła go osobiście, mianowicie, że dał sobie zaimponować i dał się drugiemu człowiekowi zbić z tropu. Cóż go obchodził Kala Rama, sanijassin? Jako minister, mógł go obchodzić, gdyż stanowił niebezpieczeństwo, jako sanijassin, nie istniał dlań wcale!

Samo dzieło Kala Ramy przedstawiało dlań pewną wartość, bo miał je wszakże dalej prowadzić... Więcej niż to nawet! Wprawdzie Kala Rama dokonał rzeczy wielkich, ale on, jako radża, miał rozleglejsze plany. Czemużby to małe, plemienne państewko nie miało stanowić ośrodka regeneracji całych Indyj?

Z całym wysiłkiem woli jął snuć tę myśl, która go wczoraj porwała, przed przybyciem jogisa, a to w celu odpedzenia odrazy do roli uzurpatora, jaką podjął. Upajał się z rozmysłem temi wizjami przyszłości, by wpoić w siebie wiarę, że jeno dla tego celu czyni krok setny, nie zaś jak inni z powodu, iż uczynili już poprzednio dziewięćdziesiąt dziewięć.

I postawił na swoim.

Ale przyszło mu to z trudem i gdy tylko przestał wywierać nacisk na swe myśli, cofnęły się wstecz i zapadły. Nagle zauważył, że czyni wysiłki pochwylenia jakiejś melodji, owiewającej go kapryśnie. Doszedłszy do tego, że mógł ją zanucić, jął szukać usilnie, skąd się wzięła, dotarł w poszukiwaniach aż do lat młodocianych i dziecięcych, do kornwalijskich chat wieśniaczych, do greckich grot skalnych, a wkońcu uświadomił sobie nagle, że jest to pieśń śpiewana przed chwilą przez Punnę.

Skądże jednak pieśń Punny wzięła tę moc, jaką opanowała umysł jego? Nucąc ją, doznawał i teraz jakiegoś niewysłowionego smutku i przygnębienia. Drgnęły mu kąty ócz, bo oto ujrzał przed sobą uroczą twarz Amandy, patrzącej nań, by poznać, czy czuje to co ona, wyraźnie dostrzegał blask jej oczu, blask nadmierny, wilgotny i tę łzę, która stoczyła się po jej policzku.

Mruknął energiczną klątwę... *damn her eyes!* Jakimże prawem ta dziewczyna czyni zeń mazgaja? I to właśnie teraz, kiedy ma coś lepszego do roboty, niż nucić głupią piosnkę i płakać wraz z młodą panną! Wszakże otwarły się przed nim szanse, jakie jednemu na milion ludzi wpadają w ręce. Władza jest władzą, a złoto królewskość, to nie szych!

Dumając i marząc, pochylił Edmund głowę. Gdy ją teraz podniósł, ujrzał, że istotnie otoczony jest blaskiem.

Zdało się, że na park spadł deszcz gwiazd świetnego, wschodniego firmamentu. Korony drzew błyszczwały, jakby nowe konstelacje zjawily się na nich. Aleje, terasy, krzewy, stawy lotosowe, wszystko pałało jaśnią.

Gdzie jeno spojrział, miał pod sobą, nad sobą, z przodu i z tyłu niezliczone światła, migające wśród drzew. Długie, równoległe linje, pasy, krzyżujące się, świetlne łuki, zakręty, woluty pojedyncze i wielokrotne, zygzaki, wspinające się po terasach, aż wysoko na wieże, kopuły blanki, wykusze, balkony, arkady i kioski. Wszystko wysadzone było jasnemi punktami, rywalizowało z linjami konstelacji nieba, tworząc coś, czego niesposób było oczekiwać na ziemi.

Gwiazdy nieba i ziemi... była jednak pomiędzy niemi różnica. Niebieskie drżały migotem, ziemskie świeciły spokojnie i nieruchomo. Przed Edmundem, tam gdzie być musiała balustrada pierwszej terasy, widniało coś, jak szereg trabantów na straży i tylko końce ich połyskliwych lanc mógł dostrzec. Liście palm, ciemniejące na tem morzu światła, były jak z brązu wykute, a przejrzyste listowie akacyj, po prawej stronie stojących, srebrno-białe na ciemno-fioletowem tle nieba, przypominało koronkową rzeźbę w marmurze, jaką wykonać mógł jeno pracowity Hindus z czasów Mogoła.

U stóp jego, w dolnej części ogrodu, gdzie leżała arena, otoczona teraz kręgami światła, połyskała część lotosowego stawu. Kwiaty płonęły jak lampki, zapalały się w jego oczach długimi szeregami. Szerokie liście odbijały tę jaśń jak reflektory. Po chwili dostrzegł też siatkę fliz marmurowych, oraz małe, wąskie mostki, na których zmieścić się mogła jeno bosa stopa dziewczęca. W istocie biegały tam, z podźwięciem obrączek, niby akompanjamentem do żartobliwych słów i przekornych okrzyków. Ale głosy dziewczęce i brzęki oddalały się szybko. Każdy dosięgalny lotos dostał swą lampkę... potem dźwiękło jeszcze raz i drugi, zadrgał tłumiony śmiech i zapadła cisza.

Cisza bezgłówna i pałająca... spokój wokół tak głęboki i uroczysty, że niepokoił.

Wszystko czekało.

Na cóż to?

Na niego.

Dalejże więc! Dalej na schody demonów, czekające nań w powodzi światła. Każdy z potworów miał kilka pochodni, stosownie do liczby ramion, jakie mu zostawił niszczący czas, z pośród ośmiu pierwotnych, otrzymanych z hojności fantazji artystycznej. Światła płonęły nieruchomo, jakby wykute z twardego materiału i oświecały uroczyście zmartwiały, zastygły grymas szatańskich twarzy potworów.

Schody pały tak oślepiająco, że Edmund był już na nich, zanim spostrzegł dwie ludzkie postaci, nieruchome, co prawda, jak posągi, tak że można je było wziąć za kamienne ornamenty. Na stopniu najniższym, pod lewym demonem siedział w kucki czarnoskóry człowiek z koszykiem na kolanach, pod prawym stał oparty o poręcz jogis.

Edmund cofnął się bezwiednie. Zupełnie zapomniał o tym jogisie. Czyżby stanowił przeszkodę? Czyżby potężniej bronił wstępu od tych trzymających pochodnie, kamiennych demonów? Wspomniał słowa Artura: Czujesz dobrze, że to przeciwnik!

Jogis, niewiadomo, przeciwnik czy przyjaciel, skłonił się i pozdrowił znanym Edmundowi, czystym głosem:

— Salam, sahibiel!

— Salam, jogi... szukasz mnie może?

— Czekam na pana. Wszakże przyobiecałem pokazać, co umiem.

— Teraz? — zawołał zdumiony Edmund.

— Nadeszła pora.



— Czy ci ją ukazała ręka Opatrzności?

Jogi skinął potwierdzająco.

— A więc jest to zły wskaźnik czasu! — rzekł drwiąco — Czy nie wiesz, że czeka na mnie król?

— Nikt ci, sahibie, nie wzbroni iść.

— Hm... niewiadomo, co nastąpi, jeśli poddam się twemu eksperymentowi. Czyż nie przyszło ci, mężu czcigodny, na myśl, że nie mam na to czasu?

— Niepotrzebny mi czas.

— Jakto? Nie potrzeba czasu, by mi dać przeżyć cały, dawny byt ziemski?

— Dość ostatniej godziny tego bytu.

— Ależ nie mam właśnie tej godziny wolnej.

— Nie potrzeba godziny. Starczy paru minut na przygotowania, pozatem nic, sahibie. Koran, zła zresztą książka, czczona niestety jako święta przez mych rodaków, zawiera mądrą legendę. Archaniół Gabrjel zabiera proroka z łoża i unosi w niebo, gdzie po całych dniach wiedzie rozmowy z archaniołami. W chwili jednak, kiedy się znalazł z powrotem w łożu, spostrzegł, że nie wyciekła jeszcze woda z dzbanka, który przewrócił stopą, wstając. Taka jest miara czasu na tej płaszczyźnie poznania, gdzie przeżyjesz, sahibie, dawny byt swój.

Zacisnąwszy zęby i zmarszczywszy czoło, stał Edmund, nie wiedząc co uczynić. Jeśli ten dziwny człowiek był jego przeciwnikiem i przeniknął go... a czuł że go przeniknął... to przystając, wydałby się bezwolnie w jego ręce. Jogis niezawodnie wprawi go w hipnozę i chwyci najnaiwniej w pułapkę. Myśląc o tem, miał jednak dziwną jakąś pewność, że tak nie jest. Mimo całego, tajemniczego postępowania jogisa i jego fascynujących oczu, czuł Edmund dobrze, że nie

kryje się za tem zdrada. Wiedział teraz w głębi swej istoty, iż nie ma wyboru, że chce poznać owo misterjum. Nadcześnik ten nie był pyszałkiem. Czyż miał utracić sposobność spojrzenia poza tę zaslonę, poza „ten malowany welon, zwany życiem?“ \*) Nie, zaprawdę, lepiej postradać dziesięć radzostw!

— Gotów jestem, jogisie! — powiedział, siadając na najbliższej ławce.

Czarnoskóry skoczył na skinienie Hindusa, przypadł znów do ziemi parę kroków od Edmunda, otworzył koszyk i przyłożył do ust trzymaną w ręku pieszczalkę, z trzciny i odcinka dyni zrobioną.

— Cóż to? — zawołał zrywając się Edmund — Ach, prawda, nie mogłeś wiedzieć, że nie znoszę widoku poskramiacza węzów. Próbowałem przemóc się przed paru dniami, pod wrażeniem kpín mego kuzyna, ale nie mogłem, uczułem mdłości... czuję je i teraz.

— Uczyń wysilek, sahibie! Tym razem powiedz się. Weź pan w rękę kamień węzowy, jaki masz u turbanu.

— I na cóż te drobiazgi, te dziecinne głupstwa? — zawołał zniecierpliwiony.

Z wielkiem rozczarowaniem doznał wrażenia szarlatanerii.

Ale jogis uśmiechnął się spokojnie i rzekł:

— Oczywiście byłyby zbyt cenne, gdybyś był, sahibie, jogisem. Wówczas mógłbyś zapomocą świadomej, jasnej woli wyzwolić się z oparu zmysłów, z przed oczu usunąć rzeczy widzialne, a z uszu wyłączyć dźwięki świata i w ten sposób cały organizm poddać...

---

\*) Ulubione wyrażenie Shelleya.

Edmund wstrząsnął niechętnie głową, zerwał turban i, zmiąwszy zieloną, miękką materję, wpatrzył się w żółtawy klejnot.

— Już dobrze, jogisie! — rzekł — Patrzę na kamień.

— Kamień ten chłonał wraz z tobą dłużej, niż przez dwadzieścia stuleci słońce Indyj i teraz rozbłyśnie niem dla ciebie! — powiedział jogis.

Poskramiacz zaczął grać. Była to charakterystyczna, chromatyczna, wijąca się, pełzająca melodia, wznosiła się w górę, rozpościerała, to znów przypadała ku ziemi, wnikając w samą siebie.

Edmund słuchał. Miał wrażenie czegoś niesamowitego, strasznego, czegoś, co oplątało jego serce, tak że zaledwo odczuł niewielki przestrah na widok głowy węża, wylażącego z koszyka.

— Czy słyszysz, sahibie? Czy znasz te tony?

— Tak... zdaje mi się... Wszakże to pieśń Punny... Chociaż nie... podobna tylko... jak gąsienica do motyla...

Nie mylił się. Była to melodia pierwotna, zrodzona w zamierzchłych czasach przez strach demonów i trwożną cześć dla przyrody, a wydała ją krew czarna, w najdzikszych skurczach swoich... był to istny troglodyta melodji.

Wiodła żywot jaskiniowy, liturgiczny, w kulcie węzów, czczonych przez dzikich ludzi, zanim po raz pierwszy doszła tutaj uszu Ajatasattu. Odtąd przechowywali ją wiernie w kaście poskramiacze, w górach, i pozostała tak podobną do siebie, jak podobnym był oto ten czarny człowiek do dawnego Chranquinchru. Ale odrośle jej doznały na równinach półbarbarzyńskiego kraju rozmaitych odmian, z których najwybit-

niejszemi były pieśń Punny i refren ballady o Jugurcie. Tą drogą okrężną trafiła już do Amandy i Edmunda, tak że wydała się obojgu obcą i znaną jednocześnie.

— Tak... tak... znam tę melodię — mruczał Edmund — słyszałem ją... ale musiało to być dawno... bardzo dawno...

— Tak, sahibie. Słyszałeś tę melodię niezmiernie dawno... to pewne. Nie zapominaj jednak o kamieniu węzowym... Czy świeci?

Czy świecił? Jakieś niesamowite życie świetlne zdało się drgać w nim i słało promienie przenikające w głąb Edmunda, dobywając się do dna tajni.

Kobra wstał... rozpostarł kaptur... chwiał się w obie strony...

— Czy widzisz kobrę, sahibie?

— Tak, widzę.

— I teraz jeszcze?

— Nie, już nie. Nie mogę oderwać oczu od kamienia... ślepi mnie... rzuca tysiączne, różnobarwne promienie... krzyżują się... splatają... tkają różnolity, żywy welon...

— To zasłona Mai! — powiedział spokojnie jogis — Uchyle ją!

Edmund uczuł na czole dotknięcie dłoni jogisa.

Purpurowa ciemń opadła powoli i uniosła się znowu, niby mrugnięcie olbrzymiego oka.

Edmund ujrzał znowu kobrę i poskramiacza, którego granie napelniało bez ustanku jego uszy.

Stanął tuż przed płaszącym kobrą, pochylił się, wyciągnął rękę, zaklaskał palcami, uczuł w dotknięciu luskowatą głowę węża... i nie doznał żadnego strachu, ni odrazy.

Stał się księciem Ajatasattu.

---

## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

### Kamień węzowy. Ustęp czwarty.

Ajatasattu rozprostował się i skinął na Chranquinchru, który odjął od ust puszczalną i błysnął w uśmiechu wilczymi zębami.

— Dobrze, czarnuchu! Pójdzie, widzę jak po maśle. Trzymaj się więc w pogotowiu... ale zimna krew... żadnych podejrzeń nie wzbudzać!

Zgrzytające zębami, szatańskie oblicze ogarnęła błyskawicznie głupawa martwota, w jakiej po raz pierwszy widział je ksiądz.

Ajatasattu roześmiał się.

— Doskonała maska... nie zdejmuj jej... pamiętaj, że zdobycie kamienia zależy od samego ciebie.

Wybiegł prędko z pokoju do sali tanecznej, gdzie bajadery zabawiały dotąd gości płasami swemi.

Na pierwszy rzut oka spostrzegł, że niema dotąd Mahimsasy i doznał palącego niepokoju.

Może jakiś błahy przypadek nie dozwolił przyjść wodzowi i przeto paść musiał cały, misternie osnuty plan?

— Przypadek?... Nie... A gdyby Amara... mimo wszystko...

Dreszcz nim wstrząsnął i nie mógł wytrzymać w jasnej sali, gdzie spoczywało na nim mnóstwo oczu. Zdecydowany szybko stanął za parą królewską i pochylając się, rzekł:

— W sali panuje wielki zaduch, czuć go wyraźnie, przychodząc z świeżego powietrza. Na placu, przed pałacem, będzie przyjemniej, kazałem tam nawet rozstawić krzesła. Muszę się tylko przekonać, czy wszystko w porządku. Racz, o panie, usprawiedliwić wielce zajętego gospodarza.

Wyszedł na terasę i miał właśnie zboczyć w prawo, ku alei, którą musiał przybyć wódz, gdy nagle spostrzegł po lewej stronie grupę służących, zajętych żywą rozmową, którą przerwano natychmiast, ujrawszy pana. Jeden ze służących chciał, jakoby podejść doń, a drugi, siwowłoso, wstrzymał go.

Ajatasattu zszedł i przystąpił do nich.

— Panie! — zawołał służący, wyrwawszy się starcowi.

— Cóż to znaczy? Czy masz mi coś powiedzieć?

Służący zbliżył się i szepnął:

— Panie, w parku mnóstwo zbrojnych. Nie wiem, czy to nieprzyjaciele, zbójcy, czy demony... ale są zbrojni...

— Kłamiesz, niewolniku!

Służący wznosił dłoń do przysięgi.

— O, panie, nigdy nie mówił prawdziwiej.

— Nie wymówisz już słowa!

Ajatasattu wyrwał z zanadrza sztylet i wbił go służącemu w serce.

Nie wydawszy okrzyku, padł nieszczęsny w ramiona przerażonego starca, który podbiegł, by go schwytać. Inni skamienieli ze strachu.

Ajatasattu cisnął krwawy sztylet daleko, w gąszcz, i rzekł chłodno, spokojnie:

— Człowiek ten plótl od rzeczy. Ciało jego opętały demony.

— O tak, demony... odrazu to poznałem...

— zamruczał starzec, ledwo stojący na nogach z przerażenia.

— Pamiętajcież, co się z nim stało! — dodał książę — Bądźcie ślepi, niemi i posłuszni, każdy niech pełni swą powinność i nie trapi się niczem poza tem. Tą drogą może sobie jeno zjednać sługa opiekę bogów. Precz z tem!

Drżący słudzy zabrali zwłoki.

Ajatasattu poszedł ku alei, wyteżył z całych sił wzrok, wbijając go w długi szereg drzew, słuchał też, otaczając dłonią ucho.

Nic słyhać nie było... ciszy szmer nie przerywał najmniejszy.

Opuścił w zadumie głowę.

— Nic i nic... a gdyby nie przyszedł wcale, gdyby go przestrzegła Amara? Jeśli złamie przysięgę?

Zadrzał.

— Straszna to, zaprawdę, przysięga! — mruknął — Słyszę ją dotąd. Słyszałem ciągle po przez chrypliwy śmiech ucztujących gości. Bajadery tańczyły w jej takt!

Zatkał uszy.

— Ach, cóż znaczy zatykać uszy... brzmi ona echem we wnętrzu muszli, niby pogłos morza, wieczysta i nieustanna... Niechże nie wyzwolona błąkam się wieczyście przez żywoty... O Amaro, jakże byłoby straszne, gdybyś podpadła tej klątwie!

Takiemi nękania myślami, nie spostrzegł Ajatasattu Isidasi, która, podszedłszy do bramy pałacu, stanęła o kilka kroków, baczenie mu się przyglądając.

— Czegóż chcesz, szpiegówko! — zawołał porywczco, ujrzawszy ją nagle — Precz, do celi!

— Przybywam na obchód zaproszona! — odparła zakonnica.

Ajatasattu przyszedł do siebie.

— Ach, zapomniałem zupełnie! Wszakże sam cię zaprosiłem, o najczcigodniejsza!

— Mylisz się! — odparła — Zaprosił mnie inny!

Księżę odgadł, że mądra zakonnica odkryła w nim zmianę i to właśnie podkreśla zagadkowemi słowy. Odparł więc szorstko i butnie:

— To ty mylisz się, zakonnico! Jestem tym samym co poprzód człowiekiem!

— Ten sam, a inny w rzeczywistości.

Roześmiał się drwiąco.

— Oczywiście, to los każdego człowieka. Wszakże mędrcy powiadają: Zmieniając ciągle postać w tym świecie przemian, zawsze inni jesteśmy, choć ciągle ci sami.

— Nie każdy spostrzega, kiedy zaczyna nowe życie! — rzekła — Ty zaś poznałeś to teraz ze drżeniem.

Ajatasattu zaśmiał się znowu urągliwie, a nawet wrogo.

— Sądzisz, że ujrzysz mnie niedługo z ostrzyżonymi włosami, w żółtej kucie mnicha? — spytał.

— Sądzę, że niebawem nie zobaczę już cielesnemi oczyma Ajatasattu!

Cofnął się bezwiednie, wstrząśnięty tem proctwem. Nie śmiejąc spojrzeć jej w oczy, zawołał groźnie:



— Stać się to może, jeśli cię każę oslepić, obracając w ten sposób na twą niekorzyść złowrogie słowa i kładąc raz na zawsze tamę twym złym spojrzeniom.

Zakonnica odparła spokojnie:

— Możesz mnie oslepić, ale nie zdołasz tem przeszkodzić mi w śledzeniu twej drogi, aż do samych den piekła, dokąd nie wwioda cię moje złowrogie słowa, ale własne twe czyny, któremi szkodzisz sobie samemu jedynie.

Potem obróciła się i weszła miarowym krokiem do pałacu.

— Nikt mi pomóc nie może, ja tylko sam!... — mruknął patrząc za nią — Tak powiedziała rano i oto... sprawdziło się. Zaprawdę w świetlistej postaci Amary żywilem bezwiednie nadzieję zbawienia... A gdzież jest ta postać? Ściągnąłem ją do siebie zbrodniczo, wtajemniczyłem w mord i zdradę... uczynilem towarzyszką nie duchów niebiańskich, ale płomienistych demonów piekła.

Po chwili dodał ponuro:

— Wolałbym chyba, by odmówiła przysięgi i bym był śmiertelnie ranny własną ręką.

Ale odpędził zaraz tę myśl machnięciem dłoni, bezgłośnie krokami podszedł ku ogrodowemu narożnikowi pałacu, zapatrzył się w ciemń i zawołał zcicha:

— Bharadvaja!

Biała postać wyszła z poza pnia.

— Zostań w cieniu! — szepnął mu Ajatasattu, podchodząc blisko. — Czy zgromadziłeś już wszystkich?

— Tak i zgłosiło się jeszcze wielu innych. Mnóstwo ludzi stanęło po twej stronie, bo haniebny zakaz ofiar otwarł im oczy.

— Dobrze! Gdzież są?

— Większość skryta w parku nad jeziorem.

— A tak — odparł ksiązę, spojrzawszy surowo i drwiąco — i to bardzo źle skryta! Jeden z mych sług odkrył ich.

Bharadvaja poruszył się niespokojnie.

— Wiem to, wiem, niestety, chybił go mój oszczep.

— Ale nie chybił mój sztylet! — rzekł Ajatasattu.

Bramin odetchnął z ulgą.

— A więc nie zdradzi już.

— Zdaje się. Ale gdzież inni przyjaciele?

— W przedsionku świątyni Kryszny.

— Wyszukaj zaraz najdzielniejszych i postaw ich poza stupą. Tam, — wskazał oświetlony plac z krzesłami — tam zgromadzę gości. Gdy każe pogasić lampy, miej się na baczności.

— Wtedy atakować?

— Nie jeszcze. Będzie to jeno znak, że pora nadchodzi. Dopiero, gdy Mahimsasa...

— Dowiedziałem się, że go jeszcze niema.

— Mniejsza z tem, przyjdzie.

— A gdyby nie przyszedł?

— Milcz! — syknął Ajatasattu, tupiąc z pasją — Powiadam, że przyjdzie. Otóż w chwili, gdy przypadek spowoduje śmierć jego i powstanie zamieszanie, wówczas ludzie nasi wypadną z poza stupy i schwytają Naradę...

— Nibyto dla ochrony...

— Naprawdę dla ochrony, powiadam. Biada wam, gdyby któryś pod wpływem agitacji kapłanów podniósł nań rękę. Nie chcę bratobójstwa! I tak dość krwi popłynie.

— Jeśli toczy się walka w imię bogów, to bratobójstwo jest im ofiarą równie miłą, jak zabicie przed ołtarzem zwierzęcia.

— Czy wiesz to na pewno, kapłanie? — spytał badawczo książę.

— Pewniej niż to, że żyję, o panie!

— Ale ja nie wiem tego! — rzekł Ajatasattu z chłodnym szyderstwem — Nie wiem, czy króluje kędyś w przestworzu istota, któraby mnie mogła oczyścić z winy, lub pomóc mi, gdy czyny własne powstaną przeciw mnie. Powtarzam, zbierz ludzi i daj im wskazówki, odpowiadasz mi za Naradę, a jeśli któryś rozleje krew jego, krew popłynie przed ołtarzem. Dość tego! A więc zbrojni wtargną do sali, ty zaś...

— Ja stanę uroczyście na stopniach, otoczony kapłanami Kryszny, i obwieszczę:

— Gniew bogów dotknął wyraźnie bałwochwalcę Mahimsasę, ciebie zaś powołują ciż sami bogowie na tron, albowiem cnoty i zasługi...

— Dość tego! — przerwał mu brutalnie książę — Czy jest coś jeszcze do omówienia? Chyba nie...

— Tylko na wypadek, gdyby Mahimsasa nie przy...

Nowy poryw wściekłości księcia miał już wylądować się na zauszniku, gdy tenże chwycił go za ramię.

— Cóż to? — szepnął Ajatasattu, drgnąwszy ze strachu.

Bharadvaja wyciągnął ramię ku wylotowi alei.

— Idzie! Niech będą błogosławieni bogowie!

— Wszakże powiedziałem ci, że przyjdzie! — mruknął książę, kryjąc radość swą — Jedno jeszcze. Gdy już ustawisz ludzi, przyślij mi kuglarza... wiesz, tego czarnoskórego poskramiacza... A teraz do dzieła!

Kapłan znikł w ciemni parku.

Ajatasattu wyszedł spiesznie naprzeciw wodza i pozdrowił go u stopni placu, w sposób najgorętszy.

— Zawsze byłeś mi nader miłym gościem, o dostojny Mahimsasa! — powiedział — Ale teraz, obecność twoja jest podwójnie pożądana. Zastajesz mnie tu, gdyż całe towarzystwo wysłało mnie na zwiady, obawiając się, czy jakaś fatalna przeciwność nie pozbawi nas twojej obecności.

— Przybywam późno, drogi książę, — odparł wódz — dlatego, ponieważ chciałem się przystroić na uroczystość. Król trzymał mnie długo, a potem musiałem sam przetrząsać swój skarbiec.

— I na cóż ten trud, szlachetny wodzu? Wszakże sam twój węzowy diament, który nosisz ciągle, przyćmiewa blaskiem stokrotnie ozdoby wszystkich innych gości.

— Dzisiaj tak nie będzie chyba! — zauważył z uśmiechem Mahimsasa, wspomniawszy, kto go dziś przyćmi — Musiałem w istocie sięgać do samego dna moich klejnotów. Zajęło to więcej, niż sądziłem, czasu, to też racz mi przebaczyć, książę.

— O, nie! Nie uczynię tego! Nie przebaczać, ale dziękować przystoi mi. Byłoby to prawem twem należnym wiekowi, wzgardzić taką czczą uroczystością, mimo, że nie odczuwasz zgoła brzemienia swych lat, ale jeno ich dostojenstwo. Zaprawdę, jesteś rzeźki i mocny, jakbyś wczoraj dopiero wyrąbał ów klejnot z głowy węża i umieścił go zwyczajnie w naczółku swoim.

Mówiąc to, spojrział ostro i badawczo na turban Mahimsasy.

— Starzeję się mimo to, — odparł sędziwy wódz — ale nie żal mi, bowiem w miarę zbliżania się do

grobu, czuję coraz to wyraźniej nicość wszystkiego, co powstało w czasie, spostrzegam jak nikła jest władza, dostatki, zaszczyty i sława...

— Które posiadasz w pełni i które posiadłeś prawnie! — przerwał mu pochlebnie — Jeśli jednak ty sam nawet tak nisko cenisz wszystko, co daje życie, to czegoż spodziewać się mamy my?

— Tak... tak... — powiedział Mabimsasa, kładąc dłoń na ramieniu księcia — gdyby młodzieniec wiedział, że to co go wabi zdala, jest jeno bańką, pianą, która mu pęknie w dłoni, że to co tak połyska, to jeno żar węgla, który mu sparzy rękę, zaprawdę, oszczędziłby sobie niejednego blałego czynu, nie przynoszącego nikomu korzyści i niejednego czynu złego, który szkodzi wielu ludziom. Ale młodość nie wierzy i zazdrości tego, czegooby należało żałować, a żałuje rzeczy godnych zazdrości. Zazdrości tedy starym władzy, po która dopiero sięga, nie wiedząc, że jeno łowy dają rozkosz, a sam łup nie ma wartości. Starość zaś przeciwnie wie, iż śmierć zabierze mu niebawem zdobycz i zazdrości młodym możliwości łowów. Mędrzec jeno zna wartość istotną wszystkiego.

— Wiem, o wodzu, że nie lękasz się śmierci, jak to wiedzą wszyscy w kraju! — odparł książę — Ale słuchając cię, mam wrażenie, jakbyś pożałował naglej, a niespodziewanej śmierci. Czyż się mylę?

— Szlachetny książę! Śmierć jest celem życia, radbym jeno przysposobić się na nią godnie. To też z radością widzę, że i ty dostrzegłeś tę prawdę. Dziś ty jesteś gospodarzem, ja zaś gościem, jutro jednak zamienimy rolę, gdyż czcigodne siostry przyrzekły mi obiadować w domu moim. Jeśli mnie zaszczycisz

obecnością, posłyszysz słowa mądrej Isidasi, które mnie tak zawsze budują.

— Nie omieszkam przybyć, szlachetny wodzu! — odparł z głębokim ukłonem Ajatasattu — I u mnie jest, coprawda, dziś czcigodna Isidasi, ale milczy. Cóż mogę dać gościom jako rozrywkę, ponad żarciki kuglarzy i tańce bajader... Ale widocznie skończyło się to już, gdyż muzyka ścichła... chodźmyż zobaczyć...

Chciał wprowadzić Mahimsasę do hali, ale w tej chwili wyszli na plac król, królowa, dworzanie i wszyscy goście.

— Oto i Mahimsasa! — zawołał Narada z radością.

— Niezrównany gospodarz z księcia! — zażartowała Mahamaja. — Nibyto opuszcza gości, a zdobywa nowych i to najlepszych.

— Brak nam jeno Baku! — rzekł król.

— Zaraz przybędzie! — objaśnił Mahimsasa —

Zgotuje nam też niespodziankę! — dodał z uśmiechem.

— Mnie sprawiłby największą niespodziankę, nie przybywając! — roześmiała się królowa — Tam gdzie w bród wina i smacznego jada, nie brak nigdy artysty.

— Wszak prawda, że tutaj chłodniej i milej, niż w sali? — spytał Ajatasattu — Kazałem ustawić krzesła i o ile, szlachetni państwo, pozwolicie, tutaj dalej bawić się będziemy.

Król przystał ochotnie, królowa zaś wskazała wszystkim miejsca, wyrażając nadzieję, że i tu nastąpi jakaś rozrywka.

— Drobnostka jeno, — odparł książę — wystąpi przybyły właśnie kuglarz.

— Którego sztuczki nie znoszą, widocznie, oświetlonej w pełni sali! — zauważył ze znaczącym spojrzeniem Mahimsasa.

Ajatasattu odpowiedział takim samym spojrzeniem i rzekł obojętnie:

— Być może, że woli mniej światła.

Potem kazał służącym przynieść poduszki i dywany, dając im osobiście wskazówki, gdzie je umieścić.

— Niebo sprzyja ci, książę! — powiedział wódz. — Trudno o noc piękniejszą na uroczysty obchód.

— O tak, drogi bracie, — dodał król — Pewnie nie nadciągnie burza, która nam zagrażała rano.

— Zdaje się tak w istocie... — rzekł Ajatasattu, spoglądając w wygwieżdżone niebo.

— Wydaje się mi inaczej — zauważył Mahimsasa. — Czuję z radością w powietrzu burzę, po której tem rzeźwiej i milej będzie.

— Wkrótce zostanie wszystko przysposobione, — zauważył gospodarz — tymczasem zaś kazałem zastawić w sali wodotrysków chłodniki, jeśli państwo tedy łaskawi... — zwrócił się do gości.

Wódz odpowiedział śmiechem.

— Wyznaję, że nie odrzuciłbym teraz chłodnego napoju.

Wszedł wraz z królem i dworzanami do pałacu, zaś Mahamaja, postąpiwszy kilka kroków za nimi, przystanęła pośród kolumn, nie spuszczać z Ajatasattu oczu. Książę czuł z niechęcią ten pałacowy wzrok na sobie, ale obojętnie z pozorów dawał zlecenia służbie, nie przestając jednocześnie myśleć o Mahimsasie.

— Doskonała to rzecz — dumiał — że ten starzec nie lęka się śmierci, ale raczej wygląda jej. Nie mam

sobie więc nic do wyrzucania. Jakto człowiek robi sobie często skrupuły z niczego!

Podczas tych rozmyślań księcia zesła Mahamaja ze stopni. Zrzuciwszy jedwabną osłonę, stanęła przed nim, oddychając głęboko w przejrzystym, haftowanym złotem welonie, a ramiona, jej piersi i biodra połyskiwały klejnotami.

— Wszystkiemi porami wchłania ciało rzeźwość nocy! — westchnęła — O jakże to cudne! Klejnoty moje odbijają zimne jaśnienie gwiazd i jako kwiat piją rosę nocy. Czy podobam ci się w tym przystroju, gospodarzu mój? — dodała, podchodząc doń i patrząc podniecająco.

— Słusznie nosisz imię „wielkiego majaku!“ — odparł — W istocie oślepiasz mnie, stojąc tak przede mną. Jesteś jako ten świat zmysłów, w całej jego wspaniałości i blasku.

— A jednak jeno majakiem jestem!

— Nie chcę zostać świętym, szukającym prawdy absolutnej! — zaśmiał się — Przypominasz Urvasi, boginię miłości, która poszła po uczcie do mieszkania Ardżuny „w lekkim welonie, ukazując raczej niż słońc swe wdzięki,“ jak to czytamy w Ramajanie.

— Przyrównujesz mnie do Urvasi? — rzekła podejrzliwie. — Czyż zapomniałeś, że kiedy chciała mu dać miłość swoją, Ardżuna odepchnął ją zinnemi wyrazami czci? Czy to miałaś na myśli?

— Cóż znowu! Przekręcasz znaczenie mych słów! — zawołał Ajatasattu z wyrzutem.

— Czyż tak czynię w istocie? — spytała — Przyrównujesz mnie do zmysłowej jeno Urvasi? Dawniej, przyjacielu mój, znajdowałeś porównania z inną boginią. Czy pamiętasz?



— Nie wiem, o której mówisz. Kochanek bierze porównania z całego wszechświata.

— O, pamiętam doskonale, jakby to było dopiero wczoraj! — zaczęła Mahamaja marzycielskim tonem — Słyszę szum lasu i rzeki, widzę ciemną wodę, płynącą spienionym nurtem. Na czarnem niebie, ponad grzbietem gór błyszczą księżyc w pełni. Niby czółenko płynie moja lampka poprzez cienie drzew. Czy dosięgnie jeziora? Nie, uwikłała się w zwisające gałęzie. Wskakuje na kamień, chce jej dotknąć prętem... nagle, o cudzie!... Lśniaca postać, niby zjawa bóstwa, staje przede mną, chwyta mnie w ramiona i nazywa boginią swoją, Lakszmi samą, zwieńczoną w lotosy dawczynią szczęścia!

— Byłaś mi nią, wszakże! — szepnął ujmując jej rękę — Gdym wrócił z obczyzny w dziedzinę ojców moich, znalazłem w żonie brata to, o czym nie marzyłem nawet czasu pełnej przygód wędrówki po całym świecie. Byłaś mi, jesteś mi szczęściem!

— Któż zna swe szczęście? — mruknęła Mahamaja, spoglądając jak przez mgłę — Może właśnie Amara znalazła je naprawdę? — potem jednak zaśmiała się gorzko — Ach nie, zapomniałam, nie osiągnie go biedaczka! — to powiedziawszy wpila w księcia przenikliwe oczy i dodała — Wiesz pewnie, że Amara nie zostanie zakonnicą!

— Czyż nie chce wstąpić do klasztoru? Czemuż to?

— Nie wiem. Ciebie powinienym o to zapytać raczej!

— Przecież błagała tak gorąco! — wybąknął książe.

— Teraz nie chce! — przerwała mu — Może ty ją odwiodłeś od zamiaru?

— Ja? O nie... przysięgam na bogów...

— Nie przysięgaj! Namówiłeś ją, by przybyła tu na ucztę. Nie możesz się już obejść bez niej?

— Jakto? Tracisz, widzę zmysły! — zawołał Ajatasattu, tym razem naprawdę zdziwiony — Czyżbym ja miał ją namawiać, by przyszła? Skądże ci się wziął ten pomysł? Wszakże niema jej wcale!

— Przybędzie.

— Nie... nie!

— To miał właśnie na myśli jej stryj, mówiąc, że Baku sprawi nam niespodziankę. Dla ciebie nie jest to, coprawda, niespodzianką!

— Jakto? Myślał o Amarze? Niepodobna!

— Dlaczegożby? — spytała królowa, utwierdzając się w podejrzeniach w miarę jak księżę coraz to bardziej stanowczo przeczył przybyciu Amary — Dlaczegożby nie miała wziąć udziału w obchodzie, skoro zaszczyciła go swą obecnością nawet najpobożniejsza z zakonnice. Tem bardziej może przybyć na ucztę dziewczyna, która marzyła wprawdzie o żółtym płaszczu, ale cofnęła się wkońcu. Powiedz, czemu to uważasz za niemożliwość?

— Amara nigdy nie lubiła strojów, ni zabaw! — powiedział wymijająco.

Ale królowa chwyciła go za ramię i rzekła, wskazując ku wylotowi alei:

— Zmieniła widać zapatrywanie... oto idzie właśnie!

W tej chwili ukazał się w istocie Baku, wiodąc pod ramię Amarę, przystrojoną wspaniale, ale tak niemal bładą jak biały jedwab jej szat.

— O bogowie! — zawołał, odskakując i nie dowierzając własnym oczom.

— Czemuż się tak przeraziłeś? — spytała królowa — Zaniedbujesz obowiązki gospodarza.

Ajatasattu nie przypuszczał ni przez chwilę, by Amara wzięła udział w uroczystości i że będzie zmuszony dopełnić w jej oczach morderczego czynu.

Widok kochanej dziewczyny, przybranej w świetne szaty, był mu ciosem ogłuszającym niemal zmysły i bezwładniącym wolę. Zdrętwiał poprostu i dopiero drwiące i podejrzliwe słowa królowej ocuciły go na tyle, że, zbierając wszystkie siły, zdobył się na lekki, swobodny ton pana domu. Powitał miłych gości i oświadczył, że czulby wielki brak twórcy tego pałacu, w którego salach odbywa się właśnie uroczystość otwarcia. Obchód uważałby bez tego za nie udany, ale chociaż czcigodny wódz przygotował go na niespodziankę, to jednak nie śmiał przypuszczać przybycia uroczej córki mistrza, której obecność tem więcej rozraduje wszystkich, iż przed południem jeszcze była cierpiącą i potrzebowała spoczynku.

Słowa płynęły mu dość gładko z ust i gesty również nie zawiodły, ale nigdy nie było mu tak trudno wygłaszać pochlebstw i nśmiechać się pod pałacem spojrzeniem dwu par oczu. Smutne niezmiernie oczy Amary pytały ze strasznym wyrzutem: — Czy możliwe, by ten człowiek popełnić miał piekielną zbrodnię w mej obecności, w oczach kobiety, którą kocha? — Oczy zaś rani pałały gorączką podejrzenia i tliły się w nich gromy zabójcze, zwłaszcza dla ukochanej, na wypadek odkrycia tajemnicy jego serca.

Mistrz Baku odparł zafrasowany, że jest to może nieostrożność, ale córka jego w żaden sposób nie chciała pozbawić się udziału w obchodzie.

— Jakżebym mogła? — spytała Amara z przeobrażeniem znaczącym spojrzeniem.

— Lepiej było tak uczynić, — wmieszała się królowa — jeśli naprawdę jesteś słaba. Jakże ci teraz, powiedz?

Ostatnie pytanie zadała Mahamaja z powodu, że Amara wydała okrzyk stłumiony i nagłym ruchem chwyciła ramię ojca, by nie upaść. Cerę jej bladą przedtem, jak białe szaty, przysłonił teraz ziemisty ton śmierci.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, gdzie patrzyła Amara, i zobaczyli czarnego człowieka, o zwierzęcej twarzy, z koszykiem na ramieniu, który czekał o kilka kroków, w służalczej postawie.

— Przestraszyła się tego kuglarza! — powiedział Baku.

— W istocie obrzydłe stworzenie! — przyznała królowa — Nie widziałam jeszcze nic takiego!

— To jest poskromiciel węzów, umie on pokazywać piękne sztuczki! — rzekł Ajatasattu tonem lekkim, od którego zadrżał sam i zadrżała, jak spostrzegł, Amara.

— Otóż i stryj! — zawołała dziewczyna i, chcąc uniknąć wrażenia, puściła ramię ojca i podbiegła do Mahimsasy, który wyszedł właśnie wraz z królem i świtą z pałacu.

— Przybyła? — dumał Ajatasattu — Cóż to znaczy? Czy sądzi, że w jej oczach nie dokonam straszliwego zamysłu? Tak... tak rozumiem, przypuszcza to. I na to też liczyła, składając przysięgę. Ach Amaro, Amaro, nie wiesz jeszcze co uczynić zdolny człowiek, którego zła wola stanie się jego przeznaczeniem!

Było to jego przeznaczenie. Sam się związał, czuł teraz, jak ohotnie zaniechałby wszystkiego, dla ziszczenia jej nadziei, a jednak wiedział zarazem, iż dokona zbrodni.

Z dumań obudził go syczący głos i gorący oddech, na karku wyczuwany.

— Niespodzianka oszołomiła cię, widzę... i mnie również. Cóż robi tu ta dziewczyna w paradnym stroju? Ubrana jak bajadera. Czyżby chciała zaćmić nawet mnie, królową? Niemal dokazała nawet tego. Czy widzisz żółty diament w jej włosach? Nie widziałam nic podobnego poza kamieniem węzowym.

Ostatnie słowa podziały na Ajatasattu, jak cios niespodziewanej strzały.

— Co powiadasz? — jęknął wzburzony i chwycił jej ramię.

— Dziwi cię to? — spytała Mahamaja, śledząc badawczo podniecenie księcia.

— Wspomniałaś o kamieniu węzowym, a nosisz go przecież...

— Mahimsasa! — przerwała ze śmiechem — Możesz się o tem łatwo przekonać.

Wskazała ku grupie na schodach, gdzie Amara rozmawiała teraz poufnie ze starszym wodzem.

— Wiem to, wiem, — rzekł, przychodząc do siebie Ajatasattu — przekonałem się już. Długo i dokładnie badałem klejnot, który dzisiaj błyszczy szczególniejszem jeszcze, zielono-jadowitem światłem. Odniosłem wrażenie, że tkwi, jak dawniej w luskowatej głowie gadu i śle ku mnie groźne promienie.

— Czemuż ten kamień tak cię niepokoi? Jakie masz zamiary co do Mahimsasy? Cóż wreszcie znaczy ten czarny poskromiciel? Któż to jest?

— Zaraz się dowiesz! — odparł Ajatasattu i, zwrócony do gości, poprosił, by zajęli miejsca.

— Korzystny przypadek nasunął nam właśnie igraszkę niezwykłą! — rzekł.

— Ciekawym co też wymyśliłeś! — powiedział Narada, siadając wraz z małżonką na podwyższonem siedzeniu, tyłem do stupy. Księżę podprowadził z wielkiem ugrzeczniem Mahimsasę do krzesła, pośrodku lewego rzędu, podczas gdy Amara zasiadła na prawo, pomiędzy ojcem, a Isidasi, naprzeciw stryja.

Ajatasattu skinął, Chranquinchru przysiadł w półkolu i dobył z piszczalki kilka przenikliwych tonów wstępu.

— Ten poskromiciel, z dalekiego południa przybyły, — oświadczył księżę — pokaże nam kobrę, który podczas grania staje się tak łagodny, że sam mogę z nim baraszkować, mimo iż nie wyjęto mu wcale jadowitych zębów.

— To istotny cud! — rzekła Mahamaja.

Król przyzwolił gestem głowy na widowisko.

Poskromiciel odkrył koszyk i jał wygrywać dziwną melodję swoją.

— Istotnie nazwać to można cudem, — zauważyła Isidasi — ale przywodzi on nam na pamięć słowa męża doskonałego, które, podobnie jak muzyka zwierzę, czynią nas łagodnymi, mimo że przepojeni jesteśmy okrucieństwem, przyrodzonej nam natury.

Ledwo skończyła, wąż wypełził z koszyka, a zebrani wydali szmer podziwu na widok wielkości i potwornych ruchów gada. Głośniejsze atoli jeszcze rozbrzmiało uznanie, gdy Ajatasattu wystąpił przed krzesła i, wyciągnawszy rękę, jał igrać i drażnić się z potworem.

— Zaprawdę, potulny, jak piesek domowy! — zawołał jeden z widzów.

— A jak pięknie lyska językiem! — dodał drugi.

— Nie dostaniesz jeszcze mleka! — powiedział księżę do kobry. — Naprzód musisz nam pokazać wszystkie sztuczki swoje.

Piszczalka zagrała mocniej i ostrzej, a kobra wstał i rozpostarł kaptur.

— Wyraźnie widać znak! — zawołał rozradowany Baku.

— A teraz pokazuje nawet zęby!

— Straszne! — powiedziała Mahamaja — Czy nie zagraża niebezpieczeństwo?

— Najmniejsze! Patrz, królowo, chwytą moją dłoń, ale czyni to żartem jeno. Podnieśże się w całej okazałości! — rozkazał wężowi Ajatasattu, czyniąc odpowiedni ruch.

Poskromiciel odjął od piszczalki rękę i zaczął machać w kierunku pałacowej hali.

— Człowiek ten oznajmia, że światło, padające od pałacu, ślepi radź naga! — rzekł Ajatasattu. Wyszedł z koła, wbiegł spiesznie po stopniach i rozkazał służbie opuścić zasłony, oraz pogasić zawieszzone na drzewach lampy.

Stojąc na najwyższym stopniu i mając wprost przed sobą Mahimsasę, wyteżył Ajatasattu wzrok, by dostrzec wężowy kamień, który musiał teraz zalśnić mocno na złotym naczółku wodza.

— Pogasły światła, czyż zapromienieje klejnot? — myślał — Jakże to trwa długo... tak... w istocie, zaczyna błyszczeć... ach, jakież słaby ma połysk! Widywałem go innym. Gdy Mahimsasa wyszedł z tygryziej jaskini, wydawało się, że ma gwiazdę u czoła. Czyżby kamień utracił swą siłę. Wszakże to jeno odbłask jej.

— Ach mocni bogowie! Cóż to znowu? Tam lśni promień, tryska z miejsca naprzeciwko Mahimsasy... od krzesła Amary...

Siedziała doń bokiem, ale promień tryskający z kamienia oświecał coś przed nią... zgiętą szyją gada, rozpostarty kaptur i szkaradną, płaską głowę, której małe, zielone oczy połyskały w blaskach diamentu, ledwo na dwie stopy od jej czoła.

Jak zbłąkany, który poznaje przy świetle błyskawicy, że jest zgoła gdzieindziej, niż sądził, ogarnia wszystko w momencie, dostrzega punkt, w którym zeszedł z drogi, uświadamia sobie, jak się tu dostał, i ogarnia wszystkie skutki, podobnie zrozumiał Ajatasattu nagle wszystko i skamieniał ze strachu.

Gdyby skoczył, czyż gest ten nie przyspieszy jeno katastrofy? Czy lepiej prześliznąć się niepostrzeżenie, czy wołać?

Lekki szmer podziwu zaszumiał w ciszy. Sądzono, że jest to rzecz ułożona z góry... zachwycające widowisko... królowa nagów!

Przemozny ten podziw zadecydował. Jakże było tłumaczyć rzecz tym ludziom? Przymus czynu zmiótł precz wszystkie wątpliwości.

Jednym skokiem znalazł się na dole... ale jednocześnie zabrzmiał ostry gwizd piszczałki, podobny uderzeniu gromu, głowa kobry wykonała ruch, diament rzucił snop promieni prostopadle w niebo... zaczęto krzyczeć, zrywać się z siedzeń wokół.

Trzymał ją w objęciach, ... szatański kamień raził mu oczy, nakrył go przeto dłonią... na jej szyi była rana, na której perlily się dwie krople krwi... nakrył ją ustami... ssal, jakby można było wyssać jad... Nie powinna umierać... za nic... za nic!

Nagle spadł cios na kark jego, uczul wielki, przenikliwy ból... pociemniało mu przed oczyma...



---

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

### Zwycięstwo Garudy.

**I** znowu nastąpiło powolne mrugnięcie olbrzymiego oka, oka wszechświata.

Edmund zobaczył kobrę kołyszącego się przed nim i poskramiacza, grającego monotonna pieśń na pierwotnej piszczałce. Widział to, słyszał, a jednocześnie nie, gdyż cały umysł, aż do krańców poznania, wypełniała mu myśl, będąca zarazem odczuciem jedności Amary i Amandy. Gdzież była teraz jego Amanda? Pewnie tu, w parku, otoczona niebezpieczeństwami, które sam, w zaślepieniu ściągnął na jej głowę.

Czemże mu była teraz cała ta pałacowa rewolucja, ta walka o hinduskie radźostwo? Tem, czym jest dorosłemu papierowa korona, która kusi dziecko. Natomiast rzeczywistość, to owa niewyczerpana, niezmienna miłość, którą posiadał w minionem życiu, a tak późno poznał, że dopiero w ostatniem tchnieniu pokosztował jej słodyczy. W obecnem życiu posiadał również miłość ową i także zlekceważył, a teraz dopiero odkrył ją... za późno pewnie i poto jeno, by ją utracić.

Podczas tego rodzaju zuchwałych przedsięwzięć zdarzają się błędy i omyłki nieprzewidywane, które

wywołać mogą każdej chwili rewoltę. Ślepa fatalność mogłaby wplątać Amandę w zamęt rzezi, a jakaś zabłąkana kula trafiłaby ją może w serce. Gdzież największe niebezpieczeństwo? Naturalnie na górnej terrasie Ghandarów w pawim pawilonie. To też nie wolno mu było iść tam. Zjawienie się jego dałoby sygnał ognia i wybuchu całej miny.

Musiał ją chronić, a jednocześnie nie mógł tam iść, gdzie była niezawodnie. Targany piekielną męką, stał beczynny, zrozpaczony, obezwładniony.

Nie, nie widział już ani kobry, ani poskromiciela.

Zobaczył natomiast stojącego o kilka kroków Garudę.

Ulubieniec Amandy odczuwał tę samą rozterkę duchową. Tysiącrotnie spotężniała w nim teraz walka pomiędzy obowiązkiem a skłonnością na widok samego węża, największego z pośród widzianych w życiu kobrów. Był to w istocie godny przeciwnik, wyprostowany o parę kroków ledwo, z rozpostartym kapturem, oczarowany do tego stopnia, że nie dostrzegał obecności śmiertelnego wroga.

Zwierzątko stało z włosem tak najeżonym, że zdało się, iż pęknie za moment, a czerwone, pałające oczka jego były niby dwa pociski, gotowe utkwic w ciele węża.

Na ten widok nabrał Edmund otuchy. Garuda był tu, przeto pani jego nie mogła znajdować się zbyt daleko. Ale gdzie? W którym kierunku szukać jej? Przyszło mu na myśl, że drogę wskaże Garuda, gdy tylko oprzytomnieje po czarze, rzuconym przez gada.

Edmund uczynił gest i w tej chwili przestał grać poskramiacz. Wydał gardłowy dźwięk. Kobra opadł

na własne zwoje i powoli wpełznął w koszyk, kryjąc głowę oraz rozpostarty jeszcze kaptur pomiędzy liście.

Wstrząs elektryczny przebiegł Garudę. Odwłok węża falował jeszcze po ziemi... teraz, albo nigdy! Wrzask rozpaczy wyrwał się ze spiczastego pyszczka, ale łapki, wbite w ziemię, nie drgnęły. Za chwilę widać było jeno koniec ogona kobry... potem wieko koszyka zapadło. Skończyły się męki pokusy.

Garuda zwyciężcą! Taka pochwała należała się słusznie bohaterowskiemu samozaparciu biednego zwierzątka.

Garuda spostrzegł teraz, że obok niego stoi dobry znajomy, świadek niesłychanego czynu, wydał przeto pisk radosny i skoczył ku niemu.

Edmund wziął ichneumona na rękę, przytulił go do piersi, jakby był symbolem miłości, potem postawił ostrożnie na ziemi i zaraz spostrzegł, że iści się jego nadzieja. Garunda ruszył bez wahania w danym kierunku.

Weszli obaj w ciemną aleję, a Edmund musiał niemal biec, by nie stracić z oczu spieszącego się przewodnika swego. Na końcu szpaleru drzew zobaczył oświetloną świątynkę, a podszedłszy bliżej, ujrzał i poznał pośród kolumn, oblaną poświatą lamp postać umiłowanej.

---

Amanda trzymała w drżących rękach ostatnie kartki rękopisu Kala Ramy i czytała je płonąćmi oczyma...

Wśród zamętu i okrzyków trwogi rozbrzmiewał głos Mahimsasy, niby surma bojowa:

— Do mnie wierni poddani króla! Obsadzić bramy! Pochodnie zapalić! Schwycić kuglarza!

W jednej chwili skupili się wkoło niego mężczyźni. Dobywszy mieczów, które nawet podczas uczty nie opuszczają wojowników, odbierali rozkazy wodza. Najbliżej stojący otoczyli zwartem kołem króla. Potem jedni pobiegli do stupy, inni zaś do sali, której zasłony podniesiono, tak że światło oblało plac. Zjawiała się też służba z pochodniami.

Ajatasattu widny teraz dokładnie, trzymał w objęciach bezwładną Amarę, to usiłując wyssać jad z rany, to przemawiając do ukochanej słowami urywanymi, w których ją zaklinał, by nie umierała, i przysięgał, że sam woli ponieść śmierć raczej, byle żyła.

— Giń, zdrajco! — zawołała stojąca za nim Mahamaja.

Błyskawicznym gestem wyrwała jednemu z dworzan sztylet i wbiła w kark Ajatasattu.

Padł wraz z Amarą, nie wydawszy jęku.

— Co czynisz, Mahamajo! — zawołał przerażony Narada. Ale królowa opadła bez zmysłów na ręce stojących w pobliżu.

W tej chwili zabrzmiał jakby z oddali głos Amary. Wzywała księcia.

Ajatasattu uniósł się na łokciu, tak że mógł sklonić ku niej głowę.

— Słyszycie... kona z mem imieniem na ustach... za mnie się poświęciła... Amaro, idę za tobą... idę... Gdzież jesteś... uszłaś w dal niezmierną...

Ją machać drugą ręką i wołał:

— Precz ode mnie, poczwary szatańskie... precz! Kapłanie bramiński, gdzież są twe bogi? Ratuj mnie!

Nagle, miast kapłana spostrzegł Isidasi, pochyloną nad nim i Amarą. Rozwarł szeroko oczy i powiedział, dysząc ciężko:

— Zakonnico, powtórz raz jeszcze. Wszak prawda... nikt mi nie pomoże! Tę, która mnie mogła ocalić, zabiłem sam... uszła w sfery niebiańskie, mnie zaś ciągną w przepaść szatańskie moce.

Amara otwarła oczy. Blask zaziemski jej spojrzenia przyćmił demoniczne jaśnienie kamienia węzowego. Ostatnim wysiłkiem otoczyła ramionami szyję ukochanego i wyszeptowała:

— Nie bój się, jedyny mój... jestem z tobą... nade mną nie mają mocy siły piekielne.

— Amaro!

— Nie opuszczę cię nigdy!

— Nigdy?

Głos księcia zamarł, ścmiły się jego oczy i padł na martwe ciało Amary.

— Amaro! Dziecko moje! — Ikał nieszczęśliwy ojciec, klęczący obok zwłok córki.

Narada zasłonił twarz i szepnął:

— Mój brat i moja żona!

W tej chwili przywlokło kilku wojowników Bharadvaję, kapłana domowego Ajatasattu, zaś Mahim-sasa, którego serce krwawiło tajnie silniej jeszcze może, niż serce brata, który ból swój wylewał łzami, przystąpił spokojnie, a służbiście do króla.

— Panie! — rzekł — Obowiązki władcy mają pierwszeństwo przed cierpieniem serca. Sprytnie uknuty zamach rozslonił cię przed oczyma naszymi i przez ofiarę dobrowolną tej oto przeczystej istoty spełził na niczem, przed samym momentem zwycięstwa. Nie wiemy jeszcze, czy minęło niebezpieczeństwo. Tutaj oto masz przed sobą, panie, kapłana-zdrajcę, który dziś rano z kłamanem oburzeniem wypowiadał swą służbę. Zapewne wie o wszystkim.

Drżący Bharadvaja padł na kolana przed królem.

— Z rozdartem sercem pełniąc swój urząd, będę sędził łagodnie, ale sprawiedliwie! — rzekł Narada — Dopuszczono się tu zbrodni, urągającej wszelkiemu porządkowi ludzkiemu i boskiemu. Widzę to, chociaż otaczają mnie zagadki.

— Przenikam te zagadki! — powiedziała Isidasi — Wiedz, o panie, że usta tej dziewczyny zamykała przysięga i strasznej zbrodni ukochanego zapobiegła w ten jeno sposób, że ściągnęła na własne czoło grom i poświęciła się zań. Było to złudzenie, gdyż zbrodnia pozostała zbrodnią. Ale taka miłość, zaprawdę, nie jest złudzeniem. Rodzi ona owoce, które, niedosiężne wpływowi czasu, dojrzewają do wieczystej prawdy.

— I biednemu bratu memu dojrzeją także owoce jej czynu, bowiem miłość, jak ta, mylić się nie może. Dostrzegła to w głębi jego istoty, co dla nas zostało ukryte. Była to zaródź dobra, która zbudzona przez nią, w ostatnim momencie przedarła szorstką osłonę i wysłała pęd ku światłu. Wynieście oboje kochanków, połączonych skonem, złóżcie jako małżonków razem na stosie pogrzebnym, a niech jedna urna zawrze ich popioły.

Uczynił gest błogosławienia nad zwłokami, okrytymi teraz jednym całunem, i rzekł:

— Pokój wam!

Ale Isidasi skinęła łagodnie, a ostrzegawczo ręką i powiedziała:

— Nie pokój, o panie... nie! Walka... nowa walka... gdyż jeno wojownik zwycięża.

---

Amanda zerwała się z ławy. Ostatnie słowa przeczytała, pod wpływem wrażenia, głośno.

Tak, zbudzili się oboje na nową walkę. Ale jakże mieli zwyciężyć? Jakże mało uczyniła sama! Cóż należało robić? Szczęśliwa, zaiste, Amara, która tu spoczywa. Amara? Ale wszakże sama była Amarą... w tej urnie spoczywały jeno resztki znoszonej szaty dawnej... A on? Czyż niczego nie przeczuł? Jakże głęboko tkwił w złudzie? Czyż go nikt nie objaśni? Gdzież jest? Jakież go otaczają niebezpieczeństwa? Ach, gdybyż mogła być z nim przynajmniej razem!

Amanda - Amara!

---

Znalazła się w jego objęciach, w objęciach, które, zanim go jeszcze poznała, czuła, kiedy to wyrwał ją z morskiej fali Atlantyku. W objęciach tych trzymał ją i teraz, pośród oceanu nieszczęść i z których nie puści jej już nigdy. — Amanda - Amara! Moja Amando, moja Amaro! — Czegóż trzeba było ponad to podwójne imię, szeptane głosem przerywanym przez wzruszenie, wymawiane wśród pocałunków i westchnień, wykrzyków, łkań i wybuchów radości? Cóż więcej mogłyby powiedzieć oświadczenia, przysięgi, pytania i odpowiedzi?

Wiedział tedy wszystko, rozumiał, zbudził się zupełnie... zbudził się do miłości z oszłomienia parnej rozkoszy zmysłów, z dzikich gorączkowych rojeń fantazji! Jakże zagadkowo nagle odzyskał świadomość? Któż mu zerwał zosłonę z oczu? Wszystko to były pytania na później, teraz nie było ich, a panowała jeno błoga pewność.

Niebezpieczeństwo? Czyż groziło coś? Jemu, jej, obojgu? Któżby myślał o niebezpieczeństwach, póki trwa to długie, bezkresne objęcie! Skądże zresztą niebezpieczeństwo? Są to przecież zjawy świata zewnę-

trznego, jakże mogą tedy dotrzeć tu, poza czarodziejski, świetlny krąg, otaczający ich miłość przedwiekową, tonącą w ciemni praczasów, podobnej do ciemni tego pomarańczowego gaju, poza którego pasem błyszczał cichy ogród pałacowy?

Pewni byli, że trwać to musi wieki.

Ale zaraz zjawila się przeszkoda. Z ciemności wyrzwały dwie twarze, przenikając w święty krąg jaśni. Ledwo je rozpoznali, ale szorstki głos wyrwał ich z błogich marzeń.

— Chodźże, sahibie! Chodź! Niema chwili czasu...

Szpakowatemi włosami i oszrenioną brodą okolona twarz bramina-lwa pałała oburzeniem. Za dużo mu tego było, mimo że jako kapłan Kryszny, zwany przez pochlebców ansą, czyli wcieloną częścią bóstwa sprzyjającego, w przeciwieństwie do surowego Szywy, rozkoszom cielesnym, był wielkim amatorem kobiet. Nie mógł pojąć tego cudzoziemca, który uległ powabom dziewczyny w rozstrzygającej chwili, kiedy szło o uchwycenie władzy najwyższej. — To człowiek słaby! Z nim pójdzie mi łatwo! — pomyślał i to spostrzeżenie złagodziło znacznie jego gniew. Towarzysz arcykapłana, Czandra Singh rozradował się tem, na co patrzył, tak że mu zaszeleściła broda. — Gdy to opowiem rani — pomyślał — zbyteczną już będzie moja broń! Wszakże rozliczne, rodzime, trujące rośliny rosną poto, by je stosować w takich właśnie przypadkach.

Położył tedy rękę uspokajająco na ramieniu bramina, który też miał wybuchnąć, miał uwagi, że teraz w istocie nie pora na miłostki, spokojnie wezwał sahiba, by szedł z nimi natychmiast, gdyż czas najwyższy, król czeka, a także czekają inni.



— Niechże sobie czekają do sądnego dnia! — zawołał Edmund, niedbając o to, czy jego hinduscy sprzymierzeńcy słyszeli o takim dniu.

— Czekać? Władcy nie czekają, ani nie czekają ci, którzy chcą władać! Nie wolno ci zwlekać, sahibie, albo nie zostaniesz władcą!

— Czyż nie rozumiecie? Idźcie do stu djabłów! — krzyknął Edmund — Wyrzekam się was!

Arcykapłan podniósł rękę. Oczywiście Kama dotknął obłędem tego cudzoziemca. Bez namysłu wstąpił po kilku niskich stopniach i chwycił ramię Edmunda, by go tem oprzytomnić.

— Zbierzże zmysły, sahibie! — powiedział — Mówisz obłędnie!

Ale sahib pchnął tak silnie anse boga, że mąż dostojny znalazł się natychmiast na dole, w ramionach Radżputanina.

— Cóż to znaczy? — spytał Czandra Singh — Jakże możesz się nas wyrzekać, sahibie?

— Wyrzekam się ciebie, nikczemniku, który chciałeś mnie wczoraj zamordować! Coprawda, jest to z mej strony coś w rodzaju zdrady!

Oskarżenie zamknęło Radżputaninowi brodatą gębę, ale bramin-lew ryknął:

— Byłoby to zdradą, gdyby nie było szaleństwem! Zbyt daleko posunąłeś się, sahibie, musisz iść z nami, po koronę, albo dać głowę!

— Mylisz się, kapłanie! — zawołała śmiało Amanda, występując naprzód — Zamach wasz oddawna już przepadł. Kala Rama wie o wszystkim od godziny. Ale nie sahib, jeno ja go zawiadomilam! Odkryłam wszystko, nawet twój morderczy pomysł, Czandro Singhu! Uciekajcie przeto obaj, ratujcie się póki czas!

Za dużo tego było tygrysowi-Radżputany. Znieść nie mógł, że został wywiedziony w pole przez białolicą mem!

Ryknął wściekle i dobył miecza.

Edmund szarpnął Amandę wstecz i skoczył przed nią, a krzywy miecz Hindusa, trafiwszy na coś metalowego w jego rękę, rozciął rękaw kaftana, śmignął w stronę kopulastej stupy i pękł w szczelinie kamieni.

Czandra Singh cofnął się, chwycił sztylet, ale już miał przed oczyma parę pustych źrenic dwulufowego pistoletu Edmunda.

— Ram... Radżputana... Ram! — zawołał Czandra Singh.

— Do mnie wierni poddani króla! — krzyknął Edmund.

Ale jeno pierwsze zawołanie odniosło skutek.

Zaszeleściły w gąszczu spieszne kroki, wychynęło kilka głów w zielonych turbanach, a zwieńczona hełmem szakala postać Pertaba stanęła pierwsza. Przybyli stali przez chwilę, olśnieni światłem lamp. Bramin powiadomił ich w kilku słowach o wszystkim. Zaszemrały krwiożercze pomruki, potem rozbrzmiał poryk *mar, mar!* (zabić, zabić!) i błysło pół tuzina skimitarów. Ale napastnicy wahali się jeszcze wobec pistoletu panującego nad wejściem, pośród kolumn. Sahib nie upolował wprawdzie wczoraj czarnej pantery, ale wiedzieli wszyscy, że strzela dobrze, zwłaszcza z pistoletu.

Wiedział to i on sam. Nie nadarmo strzelał co dnia w Pizie w zawody z Shelleyem i Byronem. Miał w rękę życie dwu ludzi. Mogli się o tem przekonać dowodnie Czandra Singh i Pertab. Potem zaś, zdoła pewnie rozbić lufami pistoletu jeszcze kilka głów.

Przebiłby się może, gdyby był sam, ale w danej sytuacji było to niemożliwe. Mógł ją tylko zasłaniać własnym ciałem i żywić nadzieję ocalenia.

➤ Zbierając wszystkie siły, krzyknął ponownie:

— Do mnie wierni poddani radźy!

I znowu nie było odpowiedzi.

— Mar... mar! — zawyli napastnicy.

A więc naprzód w Radźputanina.

● Już naciskał kurek...

— Złożyć broń! — rozkazał znany dobrze, władczy głos tuż w pobliżu.

U wejścia świątynki stanął pomiędzy zapaśnikami Kala Rama.

---

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

---

### Drogi wędrowców rozchodzą się.

**N**ie był to minister Kala Rama, ale Kala Rama sanijassin.

Powlóczysta, bawelniana szata okrywała mu ramiona i opadała poza kolana, zostawiając swobodne ręce. Na głowie miał niewielki, biały turban. Poprzez prawe ramię zwisał mu gliniany dzbanek, okręcony kilka razy w przewężeniu długim powrozem. Nic nie świadczyło tak wymownie o przyszłym sposobie życia tego człowieka, który przed godziną jeszcze dysponował setkami milionów, jak ten okręcony powrozem dzban, będący teraz jedyną jego własnością. Miał nim czerpać ze studni wodę, niezbędny środek podtrzymywania sił wędrowca.

Mimo niesłychanego autorytetu Kala Ramy, nawet u przeciwników jego sposobu rządzenia, niewiadomo, czy interwencją swoją ocaliłby życie dwojga cudzoziemców, gdyby przybył w purpurze i diamentach. Ci Radżputanie wiedzieli, że im spadną głowy, zostali zdradzeni, zaprzędani. Krew hinduska domagała się zemsty, przed własnym skonem. Ale w sercach ich tak głęboko tkwiła, jeszcze od czasów wedyckich zakorzeniona, cześć bezwzględna dla życia reli-

gijnego, że ludzie, nie znający litości dla płodu w łonie matki, gdy szło o pomstę, na widok jawiącego się nagle pielgrzymy cofnęli się i znikli rychło w ciemni gaju.

Zostali we troje z Kala Ramą.

Amanda padła wyczerpana na ławę. Ale namiętne słowa Edmunda i spokojny głos, oraz wpływ ręki Kala Ramy, gładzącej łagodnie jej włosy, przywiodły ją rychło do przytomności.

— Niebezpieczeństwo minęło drogie dziecko, i nie wróci już! — powiedział — Uspokój się i nabierz otuchy.

Amanda rozpoznała głos i rysy, ale pojąć nie mogła, jak mógł minister, ubrany przed godziną w purpurowy, świetny strój orientalny, zjawić się w tej, więcej niż skromnej szacie żebraka, czy pielgrzymy.

Zrozumiała tylko, że ten szlachetny starzec wyrwał ich oboje z objęć śmierci i wrócił im życie, właśnie w chwili, kiedy nabrało głębszego znaczenia i wartości.

— Ocaliłeś nas, ekscelencjo!

— Nie ekscelencją jestem, moje dziecko, jeno Kala Ramą.

Usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

— Wszakże powiedziałem ci, że zobaczymy się raz jeszcze i to rychło.

— Raz jeszcze tylko? Czemuż nie więcej razy? O, Kala Ramo, czyż naprawdę nie ujrzę już pana?

— Może i nie... ktoś to wie? Ale sądzę... że prawdopodobnie drogi nasze nie skrzyżują się już.

— Dokądże wiedzie pańska?

— Idę szukać doskonałego spokoju, o który trudno w tym rozgwarze życia. Ty sama, droga Amando, przyniosłaś mi pozdrowienie mego guru i pojmiesz pewnie

teraz, czemu cię nazwałem głosicielką dobrej wieści. W tej to chwili dowiedziałem się, że nadeszła moja godzina. Zachowam na zawsze wspomnienie, że to twój głos rzekł niejako: — Tak, dobry starcze, napracowałeś się przez całe życie, teraz jednak nadszedł czas wytchnienia. — Oddawna było postanowione, że złożę w takim momencie urzędy i godności, a wszystko było przysposobione. Mój guru obiecał mi też, że z racji tej, tak ważnej dla mnie sprawy opuści dostojną siedzibę swoją i zjawi się tu wyjątkowo we własnym ciele, by mnie zabrać z sobą.

— Nie pójdziesz pan tedy sam! — zawołała Amanda z naiwną radością, zadowolona nie tylko z tego, że starzec nie zostanie bez opieki i pomocy, czego zresztą nie potrzebował, ale także z powodu, że samotność bezwzględna przerażała jej kobiecy umysł — Będziesz pan miał za towarzysza tego nieznanego, który napełnił mnie takim zaufaniem i tak dziwnie uspokoił samą swą obecnością.

— Towarzysz ten był, jak sądzę, ongiś królem Naradą! — rzekł Edmund.

Amanda spojrzała ze zdumieniem, zaraz jednak twarz jej rozbliżyła, bowiem zrozumiała wszystko.

— O, wiem już teraz, kto ci otwarł oczy!

— Tak, droga Amando, on to uczynił! — przyznał Kala Rama — Widzisz przeto, że w dobrych będę rękach! — poczem zaraz dodał z lekkim, miłym przekomarzaniem — Nie uważasz mnie, widzę, za dość silnego, by dbać o siebie...

Amanda pokraśniała.

— A gdzież leży ta dostojna siedziba, o której pan wspomniałeś? — spytała.

— Gdzieś wysoko w Himalajach! Jest to pustać, miejsce sposobne dla spokoju myśli, kontemplacji i współżycia z osobami tych samych upodobań. O miejscu tem mówi poetycznie dawny, tybetański pustelnik Milaraspa:

Oto jest w Milaraspy górach pustelnia,  
Powyż lodowce błyszczą potężnego boga,  
Przedemną gęstych lasów przepiękne głębiny,  
Zieleń pastwiska i łąk ogromne roztocze,  
Ponad barwnymi kwiatami brzęczą mile pszczoły,  
Wiszą motyle, a ptaki na brzegu jezior stojące  
Kręcą głowami i obzierają się wkoło.  
W drzewach, wśród koron i pośród gałęzi  
Ptaki rozliczne śpiewają sobie wesoło,  
A gór niesiężnych na dali srebrzysta firanka  
Stanowi tło uroczego obrazu i ramę.

— Nie jest to wszystko, razem wzięte, *sanssouci* do pogardzenia dla starego, spragnionego wytchnienia męża stanu! — dodał z uśmiechem.

— Aj! Przydałoby się to również młodej parze nowożeńców! — zażartowała Amanda, wpadając w swobodny ton Kala Ramy.

— Zapewne, — przyznał — wcale niegorsza podróż poślubna, będąca w zwyczaju u Anglików, którzy przeważnie jeżdżą w Alpy. Ale przypuszczam, że ruszycie państwo w innym kierunku! — zakończył, patrząc badawczo w oczy Edmunda.

Edmund ujął dłoń Amandy i rzekł:

— Jeślim dobrze zrozumiał wczoraj mego dobrego geniusza, to pojedziemy w podróż poślubną do Afganistanu.

Amanda spojrzała wesoło i odważnie na ukochanego.

— Przypuszczałem to! — powiedział Kala Rama i skinął głową.

— W młodości miałem, Kala Ramo, przyjaciela, którego zwałem słusznie swym dobrym genjuszem. Znasz pan jego nazwisko nieśmiertelne, był to Shelley, największy może poeta z bożej łaski zachodu, wyczysty młodzieniec, pełen zapału i natchnienia. Zwa-  
liśmy go „sercem serc“ i ten napis wyryliśmy na gro-  
bowcu, gdyż krwawiły je cierpienia wszystkich istot  
żyjących na ziemi, a radowała każda rzecz szlachetna.  
Kto go jeno znał, mówił, że jest to jedyny człowiek nie  
myślący nigdy o sobie. Podobnie jak poezja, było jego  
życie płomieniem ofiarnym na ołtarzu sprawiedliwości  
i miłości całego rodzaju ludzkiego. Właśnie wczoraj  
przypomniano mi go dwukrotnie. Otrzymałem list od  
jego żony z ostrzegawczą wzmianką, że opuścił mnie  
mój dobry genjusz, oraz wyrazami zaufania w to, że  
nie mogę się sprzeniewierzyć jego duchowi. Powtórnie  
zaś przywiodła mi go na myśl Amanda, która w roz-  
mowie o mej misji afgańskiej zawołała rozpromieniona :  
— O, jeśli komuś danem jest służyć ludzkości, szerzyć  
dobro, a zapobiegać okrucieństwu, to choćby dzia-  
łalność taka pozostała w ukryciu, daje sama przez się  
w nagrodzie wzniosłe uczucie szczęścia! — Słowa te,  
o Kala Ramo, brzmiały niesfalszowanym echem prze-  
konań mego przyjaciela młodości. Przekonałem się tu,  
że znowu mam przy sobie mego dobrego genjusza.  
Jakżebym mógł się tedy wahać w wyborze drogi. Mam  
już za sobą mnóstwo błędnych ścieżek, na ostatniej,  
dopiero co zakończonej wędrówce omal nie postradałem  
życia, teraz atoli nie zejść już na manowcę, choćby  
kroczyć przyszło przez śmiertelne niebezpieczeństwa,  
a wiem, że i ona nie straci odwagi...



— Nie braknie niebezpieczeństw! — rzekł Kala Rama, chwiejąc głową — Zwiecie czas poślubny „miodowym miesiącem“, otóż miód afgański będzie mocno korzenny, choć smaczny i zdrowy. Ale te dzikie pszczoły skalne, to ludek mocno popędliwy i niebezpieczny. Bałbym się, znając zuchwałe męstwo pańskie, gdybyś pan był zdany na siebie samego jeno. Ale i o tem już pomyślano, tak że, jak ufam silnie, wyjdiesz pan cało, dokonasz rzeczy wielkich, błogosławionych w skutkach, a tak cenny pokój nie zostanie naruszony.

Umilkł i jął nadsluchiwać, wzniosłszy głowę ruchem myśliwca z dżungli, którym był w młodości. Zachował bystry słuch i chwytal głosy nie istniejące dla drugih.

— Słyszysz głos ojca twego, Amando. Odnajdzie on tu popioły, dawno wygasłej miłości, oraz tę samą miłość rozpościerającą, niby feniks, skrzydła do nowego lotu. Nie znajdzie jeno swej „wyżynnej gęsi wędrownej“... proszę cię, pożegnaj go ode mnie, od brata, gdyż braćmi byliśmy niegdyś po krwi, a dziś jesteśmy nimi po duchu.

— Nie możesz dłużej pozostać z nami, Kala Ramo? — spytała ze smutkiem.

— Wędrowny ptak czuje, dziecko moje, w skrzydłach czas odlotu. Tęsknię do swych wyży, kędy dziać mi się będzie, ufam, tak jak to opiewa wędrowiec Mila-raspa, który dawno osiągnął spokój:

Kiedy spoglądam na to z wyżu,  
Ze szczytu gór przepięknych, kiedy patrzę  
Na przemijanie zjawisk świata złud,  
Chmur on symbolem mi się staje,  
A życie snu majakiem, który pierzcha.  
Ruch wszystkich trzech okręgów tego świata  
Niczem mi jest... o cóż za wielki cud!

— Poblogosław nam, ojczy! — rzekła prosząco Amanda.

Kala Rama nie wyciągnął po kapłańsku rąk nad głowami młodej pary, ale położył je przyjacielsko na ich ramionach i rzekł:

— Spelnia się pragnienie, wyryte na tych kamieniach rozpadła w popiół dłonią tego, który mi jest dziś towarzyszem i mistrzem, a był ongiś królem Naradą — Oby w innym, ziemskim żywocie szczęśliwsza gwiazda przyświecała ich miłości! — Odchodzę tedy rozradowany z tego miejsca.

Uczuli oboje, że otrzymali błogosławieństwo uroczystsze, niżby na nich spłynąć mogło pośród murów katedry, we wspnianym przystroju weselnym...

---

— Tu oto, najczcigodniejszy sahibie, ujrzymy ostatnie dzieło wielkiego Baku, grobowiec jego córki...

Słowa utkwily w gardle poczciwego pandity, gdy ujrzał w świątynce „wielkiego sahiba.“ Tak nisko ceniono jego umysł, jako człowieka wiedzy, że ani nie zatajano, ani też powiedziano wszystkiego. Wiedział jeno, że ten cudzoziemiec, to osoba centralna, w pobliżu której istnieje największe niebezpieczeństwo, zatem należy unikać tego człowieka, by po raz drugi nie ściągnąć na siebie gniewu lwa bramińskiego, co drogoby musiał okupić biedny, niezdarny „znawca świętych Wed.“

Jął tedy smażyć swój mózg celem wymyślenia jakiegoś pokuśliwego pastwiska, zdolnego powstrzymać byka wiedzy sanskryckiej od pochodu w tym niebezpiecznym kierunku.

— Może obejrzymy wpierw, o najczcigodniejszy, pewien napis, niezwykle trudny do odcyfrowania? — zaproponował nagle.

— Nie, nie... powiadasz, przyjacielu, że to grobowiec Amary, córki Baku? Muszę go natychmiast zobaczyć!

Rzekłszy to, pociągnął profesor za sobą przemocą opierającego się daremnie panditę...

Amanda i Edmund nie zwrócili się ku nadchodzącym.

Wiedli oczyma za Kala Ramą, który wyszedł na oświetloną przestrzeń parku. Jego na tle ciemnego gaju pomarańczowego bielejąca dotąd postać topniała teraz w blaskach, niby kształt srebrzystego ptaka, wzlatującego w przepojone słońcem chmury...

Wyżynny ptak wędrowny odlatywał.

K O N I E C.



## Uwagi i przypiski.

---

Legenda o węzowym kamieniu jest to rzecz skomponowana przeze mnie, podobnie jak i opowieść z czasów późniejszych. Nie uczyniłem tego przez zarozumiałość, by wszystko brać z własnej jeno fantazji. Przeciwnie, przestudjowałem cały zbiór *Jatak*, chcąc w nich znaleźć coś przydatnego do prastarej części mych „Wędrowców świata“, ale daremnie. Doszedłszy do tego negatywnego rezultatu, udałem się wieczór, zniechęcony do opery, dla odpoczynku. Wróciwszy do domu, skomponowałem legendę o węzowym kamieniu. W sześć lat potem, opowiedziałem jednemu z angielskich przyjaciół gotową już dawno historję legendarną o węzowym kamieniu, on zaś dał mi orientalny romans bajeczny Jerzego Mereditha „*The shaving of Shapgat*“. Tutaj znalazłem ku wielkiemu zdumieniu, ogromnego, w jeziorze żyjącego węża z diamentem w czole i bohatera, który go zabija, kamień wyjmuje i darowuje ukochanej, poczem ona nosi ten klejnot w naszółku. Na tem kończyło się całe podobieństwo. Książka wydana została w r. 1903, było to jednak „*revised edition*“, tak że może opowieść Mereditha wcześniejsza jest od mojej. W każdym razie, zapoznałem się z nią przed rokiem dopiero, zaś mój „kamień węzowy“ leżał już w szufladzie, wprawdzie nie przez dziewięć lat horacjuszowskich, ale i tak przez większą ich część.

Oдноśnie do mego bohatera, to każdy znawca dotyczącego okresu angielskiej literatury pozna zaraz, kogo miałem na myśli, a raczej kto był mym pierwowzorem. Przyznaję, że „swoboda poetycka“, na jaką sobie z nim pozwoliłem, jest daleko posunięta. Zachowałem mimo to charakter, a słynny autor książki „*Records of Shelley, Byron and the author*“ prezentuje się u mnie znacznie lepiej, niż w byronowskim romansie „*The castaway*“, napisanym przez Hallie Rivesa, który zeń zrobił wstrętną karykaturę.

KSIEGA PIERWSZA. Rozdział piąty. Odnośnie do tego napisu w zamkniętej kopercie odsyłam do dzieła A. P. Sinnetta: „*The occult world*“, zwłaszcza do miejsca następującego: — W dwu, czy trzech wypadkach otrzymywałem krótkie wiadomości od Koot Hoomi, napisane wpoprzek pustych miejsc listów osób innych, otrzymywanych pocztą, przyczem piszący nie wiedział zgoła o tych dodatkach... Mr. Hume... otrzymał wiadomość od Koot Hoomi, w liście nadesłanym pocztą, od osoby, nie biorącej udziału w naszych okultystycznych pracach, która to osoba pisała w sprawie pewnej rzeczy municypalnej. (Str. 97 i 120 cytowanego dzieła). Wiarogodności subiektywnej i uczciwości przedmiotowej Sinnetta, wysokiego urzędnika angielskiego, nie podają w wątpliwość i ci nawet, którzy odrzucają jego okultystyczne wywody, nie mogąc, coprawda, podać racjonalniejszego objaśnienia. Nie chcę przez te słowa wyrazić, że jestem przekonany o rzeczywistości tych faktów, ani też, że im przeczę. Służą one jeno dla czytelnika, który nie słyszał o tem nigdy, i mają mu być dowodem, że nie idzie tu o swobodną fantazję poetycką. To samo dotyczy rozdziału ósmego, księgi drugiej p. t. „Wielki brat“.

Str. 52:

*Čankara* (Sankara) hinduski uczony i reformator (ur. 788 po Chr.). W swych obszernych komentarzach do *brahma-sutr* stworzył teologiczno-filozoficzny system wiedzy, obowiązujący odtąd całą indyjską filozofję ortodoksyjną. Uznawszy pismo święte (Wedy) za autorytet bezwzględny, musiał usunąć sprzeczności, tam zawarte, przez przyjęcie dwu nauk: egzoterycznej dla tłumu i ezoterycznej dla wtajemniczonych. Tylko w tej pierwszej może być, przez akomodację mowa o Bogu i duszy, zaś istotna filozofja Sankary to abstrakcyjny monizm, uwieńczony śmiałym, ale pustym zarazem idealizmem, który uznaje jeno jeden absolut (brahman-atman), zaś całą empiryczną rzeczywistość nazywa złudzeniem.

Str. 53: *Siedm pierwiastków*. Nauka główna teozofów. Są następujące: 1. ciało, 2. siła żywotna, 3. ciało astralne, 4. dusza zwierzęca (*manas* — rozum), 5. ciało eteryczne, 6. dusza duchowa (*buddhi* — najwyższe, nie u wszystkich rozwinięte siły duchowe) i 7. duch (atman — najwyższe, boskie ja). Uważać można za wielki anachronizm, że wprowadzam rozmowę o tem, w roku 1834. Podobnie rzecz się ma z towarzystwem

teozoficznem, jakie rzekomo miało wówczas istnieć w Kalkucie. Ponieważ jednak teozofowie twierdzą, że nauka ich jest bardzo stara, przeto któż mi dowiedzie, że nie było wówczas takiego tajnego... bardzo tajnego... towarzystwa?

Rozdział siódmy. Niektóre szczegóły, (jak n. p. czekan) wziąłem od Ryszarda Garbego: „Beiträge zur indischen Kulturgeschichte“. Garbe czerpał z poważnych źródeł.

KSIĘGA DRUGA: Rozdział pierwszy. Mógłby ktoś uznać za przesadę to, że podaję Edmunda za wcielenie Rama. W odpowiedzi przypominam, że to samo spotkało nieśmiertelnego bohatera z czasów powstania sepojów, generała Johna Nicholsona. Będąc komisarzem (faktycznie regentem) w zachodnim Pendźbie, zaimponował do tego stopnia tubylcom, że powstała sekta uznająca go za boga, a mianowicie, o ile pamiętam właśnie za Rama. Ale Nicholson był to równie pobożny jak surowy człowiek, przeto skazał swych czcicieli na chłostę. Po tej karze, czcili go jeszcze więcej. Gdy poległ podczas zdobywania Delhi, zebrala się sekta Nicholsonianów po raz ostatni, a jej przywódca przebił się mieczem, twierdząc, że nie można żyć w świecie, gdzie niema już boskiego Nicholsona.

Rozdział drugi. Epizod z piratami został w zarysach głównych, nie dotyczących osób działających, wzięty ze współczesnego opisu podróży „*First impressions and studies from nature in Hindostan, by Thomas Bacon, lieut. of the Bengal horse artillery, Londyn 1837.*“

Str. 191. Refren ten brzmi:

*Fifteen men on the dead mans chest . . .*

*Yoho . . . ho . . .! and a bottle of rum . . .*

Używając tych wierszy, miałem przekonanie, że nie wymyślił ich Stevenson (w „*The treasure island*“) ale wziął ze starej ballady bukanów. Pewien angielski przyjaciel przyobiecał mi dać zbiór „*Buccaner ballads*“, ale ponieważ zawiódł, musiałem użyć tej pieśni.

Opowieść o sati, którą wygłasza pułkownik, a która nie miałaby żadnej wartości, gdyby była jeno zmyśloną, wziąłem, dosłownie niemal ze współczesnego dzieła: *Cutch or random sketches taken during a residence in one of the northern provinces of Western India, by mr. Postans.*

Rozdział dziesiąty. Chóralne strofy zakonników i zakonnice wzorowane są na strofach 894—74 z theragathy („Die Lieder der Mönche und Nonnen Gotamo Buddhos, übersetzt von Karl Eugen Neumann).

Rozdział końcowy. Milaraspa. Mi—la—ras—pa (lub poprostu Mila) był to wędrowny mnich buddystyczny, który prze-wędrował cały Tybet, czyniąc cuda, nawracając innowierców i bu-dując ludzi swemi improwizacjami (ur. 1038). Wiersze te prze-łożył misjonarz Häscke (zmieniłem je w paru jeno miejscach), a zamieszczono je w dziele Alberta Grünwedela p. t. „Mythologie des Buddhismus“, skąd zaczerpnąłem też niniejszą notatkę.



# SPIS RZECZY.

## KSIĘGA PIERWSZA.

### PRZYJACIEL LORDA BYRONA.

	Strona
Rozdział I: „I uchylił zasłony...”	1
„ II: Kamień kobry	16
„ III: Czarna pantera	28
„ IV: Jak to sir Trewelyan i indolog zapijali Rüdersheimera	37
„ V: Ręka Opatrzności	48
„ VI: Kala Rama	54
„ VII: Romal	69
„ VIII: Rękopis	80
„ IX: Wężowy kamień. Ustęp pierwszy	86
„ X: Niebezpieczne ścieżki	113
„ XI: Otello i Desdemona	126
„ XII: Stare dzieje	136
„ XIII: Jogis	147
„ XIV: Trzy czaple krzyki	154

## KSIĘGA DRUGA.

### PRZED TRZECIEM ZAWYCIEM SZAKAŁA.

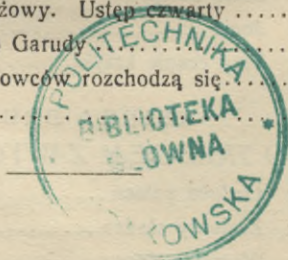
Rozdział I: Ozdoba pałacu	159
„ II: Zachody słońca	173
„ II: Warsztat Karmy	215
„ IV: Pozdrowienie mistrza	223

Rozdział V:	Dom matki Kali i dom Kała Ramy.....	232
„ VI:	Sluga bogini Kali .....	246
„ VII:	Kamienie mówią .....	258
„ VIII:	„Wielki brat“ .....	275
„ IX:	Pływająca lampa Lakszmi .....	282
„ X:	Kamień węzowy. Ustęp drugi .....	295
„ XI:	Bliźniacze kamienie .....	329
„ XII:	W znaku rosnącego księżyca .....	334
„ XIII:	Adepci .....	338

### KSIĘGA TRZECIA.

#### ZASŁONA SPADA.

Rozdział I:	W kiosku ogrodowym .....	349
„ II:	Kamień węzowy. Ustęp trzeci.....	352
„ III:	Amanda bierze jeńca .....	373
„ IV:	Bramin — lew i Radźputanin — tygrys .....	382
„ V:	Naucz .....	392
„ VI:	Tam gdzie krążą białe gołębie .....	398
„ VII:	Napis króla Narady.....	402
„ VIII:	Bez przeszłości.....	411
„ IX:	Amanda widzi istnego Chranquinchru .....	418
„ X:	Szlak wyżynny wędrownych gęsi .....	427
„ XI:	Przed schodami demonów .....	438
„ XII:	Kamień węzowy. Ustęp czwarty .....	447
„ XIII:	Zwycięstwo Garudy .....	467
„ XIV:	Drogi wędrowców rozchodzą się .....	478
Uwagi i przypiski.	.....	487





WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

LWÓW

POZNAŃ

ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15.

ULICA ZWIERZYŃSKA L. 6.

PROSPEKT

BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA. STAN. LAMA.

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nietylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nieznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniem polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmienictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ  
„ II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.  
„ III. MAURCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ  
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON SYNNOVE SOLBAKKEN —  
[MARSZ WESEŁNY  
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI  
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ  
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ  
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COL-  
[GNARDA  
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU-  
[SZY — ZBLĄKANE PTAKI  
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS  
„ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEL DOMOWEGO OGNISKA  
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ  
„ XIII. MAURCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW  
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS  
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI  
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI  
[BENGALU.  
„ XVII. MAURCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.  
„ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.  
„ XIX. RUDYARD KIPLING — STALKY I SP. — POWIEŚĆ.  
„ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.

Tom XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.

„ XXII. HENRYK PONTOPIDDAN — ZIEMIA OBIECANA —  
POWIEŚĆ.

„ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS  
POETYCZNY.

W dalszym ciągu pojawiają się następujące tomy:

ROMAIN ROLLAND — ANETKA I SYLWIA — POWIEŚĆ.

KNUT HAMSUN — WIKTORJA — POWIEŚĆ.

VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS — POWIEŚĆ.

KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK — POWIEŚĆ.

PAWEŁ HEYSE — DZIECI ŚWIATA — POWIEŚĆ.

SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING — POWIEŚĆ.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi  
w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje  
od 15 do 25 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach;  
gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

**WYDAWNICTWO POLSKIE**

*Sp. z ogr. por.*

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.











10,00  
1

S-96

36.393

£

3.5103

10/11 J8

40 ✓

POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



I-301252

Kdn. 524. 13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231555